

**AGUSTÍN SÁNCHEZ
VIDAL
KRWAWY WĘZEŁ**



AGUSTÍN SANCHEZ

VIDAL

KRWAWY WĘZEL

Z hiszpańskiego przełożyła
TERESA GRUSZECKA-LOISELET



Tytuł oryginału: NUDO DE SANGRE

Copyright © Agustín Sánchez Vidal 2008

All rights reserved

Published by arrangement with Silvia Bastos S.L. Agenda Literaria

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

Polish translation copyright © Teresa Gruszecka-Loiselet 2012

Redakcja: Barbara Michalska

Ilustracja na okładce: más!gráfica/Editorial Espasa

Ilustracje wewnątrz książki: CalderonStudio

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-503-0

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

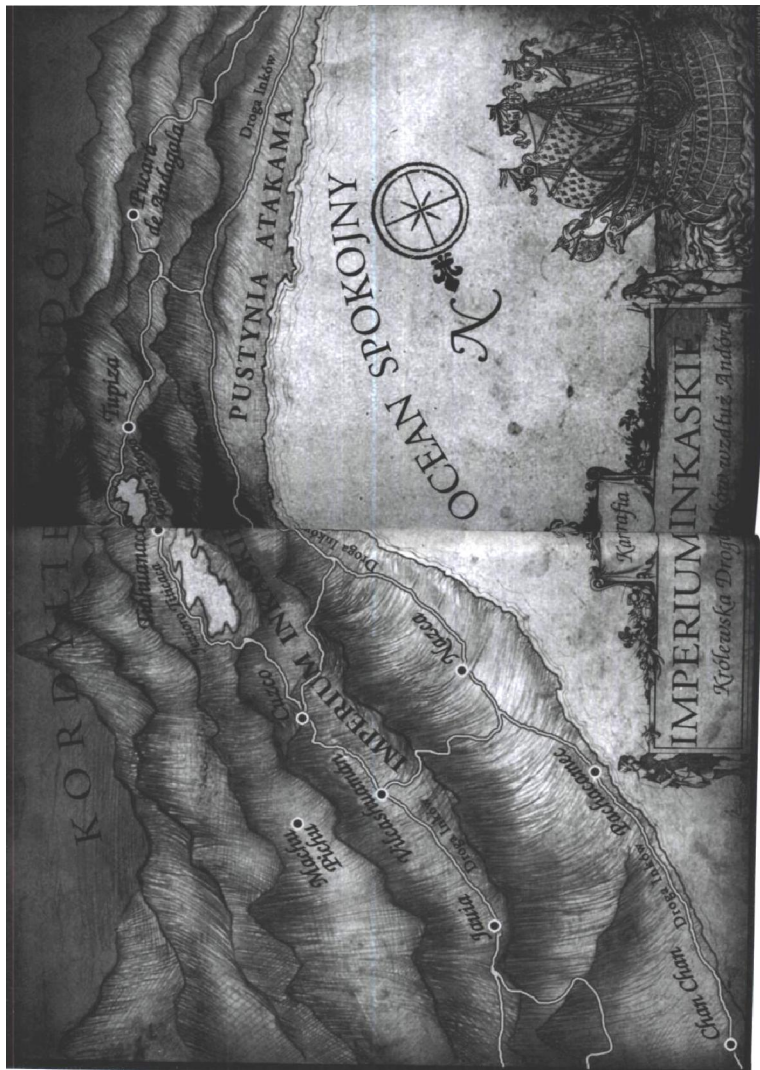
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2012. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Pacowi Calvo



*Człowiek podejmuje dzieło malowania świata. Z upływem lat
zaludnia przestrzeń obrazami prowincji, królestw, gór,
zatok, okrętów, wysp, ryb, pokoi, instrumentów, gwiazd, koni
i ludzi. Na krótko przed śmiercią odkrywa, że ten cierpliwy
labirynt linii kreśli obraz jego twarzy*.*

Jorge Luis Borges

* J.L. Borges, *Epilog*, [w:] *Twórca. Pochwała cienia*, przeł. A. Sobol-Jurczykowski,
wyd. Pavo, Warszawa 1994, str. 90.

PROLOG

Czarny Okręt

Wybrzeże Andaluzji, 1573

Rybak zakręcił sterem łódki, wołając do swych dwóch synów, którzy łowili na dziobie. Sieć była pełna. Okrągły księżyc zawieszony na ciemnym niebie odbijał się w rybich łuskach, czyniąc bezużytecznym światło latarni.

Kiedy omijał skałę, dostrzegł ogromny statek, cały czarny, od żagli po kadłub. Poczul lęk, bo wyłonił się on z mgły niczym zjawa. Zakotwiczony na spokojnych w tym miejscu wodach kołysał się w ciemności z wygaszonymi światłami pozycyjnymi.

Znał opowieści o Czarnym Okręcie. Pojawiał się to tu, to tam, jako współnik w dziwnych, tajnych misjach. I znikał bez śladu. „Jezuici znów coś knują” – szeptano. Czarny pająk wędrujący bez końca po gęsto utkanej sieci. Z kolei inni twierdzili, że za duże pieniądze można go było wynająć do przewozu ładunków, takich, których lepiej nie deklarować w porcie ani w komorze celnej.

Rybak zgasił światło, ale było już za późno. Poczul uderzenie szalupy, która podpłynęła bezszelestnie, gdyż pióra wiosel były poowijane szmatami. Wychynęła zza skały i zaatakowała ich od strony dzioba, aż drzazgi poszły.

Zawołał na synów. Ale oni nic już nie mogli zrobić. Potoczyli się na dno i tam znaleźli śmierć.

Napastnicy zwrócili się teraz w jego stronę. Niewiele mógł zdziałać bosakiem przeciwko szpadzie, która przeszła mu bok. Zanim stracił przytomność, zdawało mu się, że słyszy protestującego mężczyznę i kobietę, która coś krzyczy w jakimś dziwnym języku. Nie był to język Maurów ani Berberów, tylko inny, nieznany w tych stronach. I jeszcze odpowiedź marynarza:

– Milczeć, Indianko i jezuito!

Rybak osunął się na rumpel steru, a następnie na ławkę. Fale lizały go po twarzy, krew kapłała, przyćmiewając metaliczny połysk szamoczących się ryb, próbujących wyrwać się z tonącej sieci. Kiedy całe olinowanie znalazło się pod wodą, ryby rozpierzchły się przerażone. A wraz z nimi ustały wszelkie oznaki życia.

CZEŚĆ PIERWSZA

Węzeł gordyjski

1 Metyska

Madryt, 1780

Sebastián de Fonseca już od dawna nie był w żadnym teatrze. Tym bardziej w tym teatrze. Nigdy by tu nie przyszedł, gdyby nie kategoryczna prośba ojca.

Tego wieczoru miał niedobre przecucia, całymi latami omijał to miejsce, aby nie dopuścić do takiej sytuacji. Starał się opanować. Podniósł pokrytą smoliście czarnymi włosami głowę, ukazując dumne rysy twarzy o charakterystycznym, ostrym profilu, mocny podbródek, wystające kości policzkowe, smagłą cerę, wydatny nos z rozszerzonymi skrzydełkami.

Jak przystało na adoratora, przed wejściem podał ramię Frasquicie i odnosił się do niej z atencją. Widać było, że jest z tego dumna. Nie wszystkie kobiety mogły pochwalić się takim dzielnym i przystojnym wojskowym jak Sebastián, młodszy od niej o ponad dziesięć lat. Dodatkową radością napawał ją fakt, że jest w teatrze bez męża, bo ten byłby tylko postrachem dla przyjaciółek i przeszkodą w rozmowie.

Panie rozmawiały, rzecz jasna, o adoratorach, jako że każda takiego miała. O tym, że światły, nowoczesny małżonek powinien dyskretnie przymknąć oko na kolejnego dyżurnego fircyka u boku żony. Wszak zaniedbywane mężatki musiały mieć dla rozrywki pudelka, małpkę albo kawalera. Wydawało się, że Madrytem zawładnął jakiś nowy duch albo

diabeł kulawy, który szalał, hulał i rozniecał pragnienia. Nikt już nie wiedział, czy to nazwać przywarą, cnotą, modą, a może po prostu, co wcale nie jest wykluczone, cechą Hiszpanii.

Podszedł do nich Águeda i cmoknąwszy dwa razy w powietrze koło ucha Frasquity, zagadnął Sebastiána:

– Dawno cię nie widziałem. I do tego w teatrze... – Dostrzegł grymas niechęci na twarzy Frasquity, więc czym prędzej zmienił ton, pytając: – Gdzie byłeś?

– W górach Torrero.

– To koło Saragossy – wyjaśniła Frasquita.

– Nie wiem, czy „koło” jest właściwym określeniem – sprecyzował Sebastián. – Torrero góruje nad miastem. To taki ichni akropol.

– A co tam porabiałeś?

– Wytyczałem plany pod Kanał Cesarski w Aragonii.

– Można wam pozazdrościć, inżynierom wojskowym. Dużo podróżejcie, wracacie wypoczęci, opaleni. Choć co prawda ty zawsze miałeś smagłą cerę... Ale, ale, dlaczego ta premiera wzbudza takie zainteresowanie?

– Wiem tylko tyle, że to adaptacja komedii Tirsa de Moliny pod tytułem *Węzeł gordyjski* – oznajmiła Frasquita.

Odprawiła Aguedę, który powędrował ku innej grupie. Wyjęła flakonik z opaliny, potrząsnęła i roztarła perfumy na szyi, nie omieszkawszy zganić swego kawalera:

– Coś ty taki zamyślony?

– Raczej zmartwiony.

– To miejsce tak na ciebie wpływa, prawda?

– No właśnie. Ale muszę jeszcze porozmawiać z dyrektorem trupy Cañizaresem. Ojciec kazał mu coś przekazać. Do rąk własnych.

– No to idź. Zaczekam.

Niepokój Sebastiána wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył wśród zgromadzonych markiza de Montillę, który rozglądał się wokół z miną niechętną i wyzywającą. Trudno było go nie poznać z tą twarzą pooraną bliznami, które połączyły losy obu mężczyzn na całe życie. W zasadzie

jego obecność nie powinna dziwić Sebastiána. Markiz był człowiekiem wielce ustosunkowanym na dworze królewskim i nigdy nie tracił okazji, aby pokazać się między ludźmi należącymi do socjety. Ale na jego widok Sebastián poczuł jeszcze większe przygnębienie – że oto wrócił do miejsca, które przez tyle lat obchodził z daleka, żeby nie budzić smutnych wspomnień. Teraz dopadły go z całą siłą.

Wejścia do garderoby strzegli gwardziści głusi na wszelkie argumenty. Kiedy zatoczył koło, żeby ich ominąć, zorientował się, że przy każdych drzwiach stoją wzmocnione straże jak przed ważną wizytą.

Frasquita rzuciła mu zdziwione spojrzenie, że tak szybko wrócił, i czym prędzej odłączyła się od znajomych, żeby zapytać:

- Co się stało?
- Gwardia opanowała teatr. Coś się będzie działo.

Odźwierny zaanonsował przybycie sekretarza stanu, hrabiego Florida-blanki. Po salonie przeszedł pomruk zdziwienia i wszyscy zaczęli przepychać się nerwowo, żeby stanąć jak najbliżej wyścielonego dywanem przejścia.

- Wiedziałaś, że przybędzie premier? – spytał Sebastián.
- Nie. Ciekawe, dlaczego trzymano to w tajemnicy. Chyba ze względów bezpieczeństwa. Skoro jest Floridablanca, to tylko patrzeć, jak zjawi się mój mąż.

W tym momencie wkroczył hrabia z napuszoną miną.

- Widzisz? – szepnęła Frasquita, pochylając głowę w geście powitania.
- Bardzo się postarzał. Wcale się nie dziwię, że jest w takich dobrych stosunkach z Onofrem.

Mówiła o swoim mężu Onofrze Abascalu, który był dla Floridablanki człowiekiem do specjalnych poruczeń, a teraz osłaniał go z lewej strony.

Jednak Fonseca nie patrzył na sekretarza stanu, tylko na osobę zajmującą zaszczytne miejsce po prawicy hrabiego. Była to śniada, szczupła brunetka o lekko skośnych oczach i łagodnym spojrzeniu. Jej świeże usta miały w sobie coś nieodparcie zmysłowego, a skóra tę niezwykle barwę miedzi i cynamonu cechująca tylko. Metyski. Jej uroda zapierała dech w piersiach i przyprawiała

patrzących o zawrót głowy, a czas zdawał się stawać w miejscu. Po raz pierwszy od lat Sebastián doznawał uczuć, które od dawna uważał za umarłe.

– Kto to? – spytał Frasquitę.

– Bardzo mało wiadomo na jej temat. Tej wizycie towarzyszą nadzwyczajne środki ostrożności. Wiem tylko tyle, że ma na imię Umina i jest inkasą księżniczką. Oczywiście jest bardzo bogata.

– Co tu robi, z dala od swego kraju?

– Zdaje się, że zgłasza jakieś żądania i na poparcie swoich praw potrzebuje dokumentów, które podobno są w Hiszpanii. Dowód pochodzenia z królewskiego rodu i takie tam...

– Teraz rozumiem, dlaczego Floridablanca pokazuje się z nią w miejscu publicznym, na premierze sztuki o braciach Pizarro, którzy dokonali podboju Peru.

– Coś w tym jest.

Metysce towarzyszył wysoki, dobrze zbudowany Indianin w liberii lokaja dostosowanej do stroju jego pani. Miała na sobie gronostajową peleyrnkę na wspaniałej, obcisłej sukni z czerwonego aksamitu z dwoma równymi rzędami szmaragdów zamiast guzików, które pięły się ku górze, aż po nasadę głębokiego dekoltu odsłaniającego ciemną skórę piersi, nagie ramiona i smukłą szyję.

Sebastián patrzył zafascynowany, jak idzie, wysuwając pierś do przodu i kołysząc biodrami. Podobał mu się u kobiet taki sposób chodzenia. Dawniej mógł godzinami obserwować madryckie ślicznotki, które poruszały się tak, jakby energia wydzielana przez ich ciała miała wpływ na obroty Ziemi wokół własnej osi. Czasem zdawało mu się, że świat straci rację bytu, jeśli one przestaną się poruszać, i sama myśl o tym przyprawiała go o niepokój.

To było dawno temu, zanim zdarzyło się to nieszczęście. Ale teraz znów miał takie wrażenie. Zastanowił się, czy widać ten niepokój w jego oczach utkwionych w Uminę. Wysunęła się lekko do przodu i przechodząc obok Sebastiána tak blisko, że niemal się o niego otarła, obrzuciła go

spojrzeniem, jakby ujrzała zjawę albo starego znajomego.

– Bezwstydnica! – syknęła Frasquita, kiedy minął ich orszak Florida-blanki.

Idąc na swoje miejsce, odwróciła się jeszcze do Sebastiana z przestrożą:

– Uważaj. Lepiej unikać takich kobiet, przynajmniej na razie. Nie jesteś jeszcze na tyle silny, żeby się z nimi zmierzyć.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ona jest niebezpieczna. Teraz ubrała się elegancko i wygląda jak dama, ale to prawdziwa amazonka. Podobno na polowaniu z Floridablancą własnoręcznie upolowała niemal wszystko, co było do zdobycia. Hrabia musiał obejść się smakiem. Wyobraź sobie, że ona nigdy nie chybia celu.

Łoza Frasquity znajdowała się tuż nad sceną. Inżynier pomógł jej usiąść i zaczął rozglądać się za Metyską. Siedziała na honorowym miejscu obok sekretarza stanu, który dawał znak, że można rozpocząć spektakl. Z drugiej strony był Onofre. A z tyłu olbrzymi lokaj indiański, który zdejmował właśnie z jej ramion gronostajową pelerynkę.

Rozpoczęła się hałaśliwa uwertura z udziałem kotlistów i trębaczy i kurtyna poszła w górę. Frasquita zdążyła jeszcze zapytać:

– Ojciec dał ci do przeczytania *Węzeł gordyjski*!

– Nie, bo nie zachował dla siebie żadnej kopii. A ja przybyłem do Madrytu nie dalej niż wczoraj. Jechałem co koń wyskoczy na wezwanie ojca. Jest w kiepskim stanie. Chce mieć mnie przy sobie, chce wiedzieć, jak zostanie przyjęte to przedstawienie.

– Onofre powiedział mi, że to komedia oparta na trylogii Tirsa de Moliny o braciach Pizarro.

– O ile wiem, mój ojciec pomógł dyrektorowi teatru streścić trzy części w jednej.

– Powinni wystawić *Uwodziciela z Sewilli*. To ta sztuka o Juanie Tenorio. Mogliby na niej więcej zarobić.

– Ja pragnę tylko, żeby Indianie nie byli tacy operetkowi jak w *Inkach* Marmontela.

– Całe szczęście, że w zeszłym roku zdjęto ją ze sceny. Stanowiła obrazę nie tylko dla Hiszpanii, ale też dla całej ludzkości i zdrowego rozsądku.

* * *

Umilkli, żeby posłuchać aktorów. Początkowe dialogi informowały o wydarzeniach z połowy XVI wieku. Mówiono, co się stało w Peru po śmierci Francisca Pizarra i o spisku uknutym przez jego brata Gonzala. Tę postać grał Cañizares, dyrektor trupy teatralnej. Gonzalo był w tej sztuce najważniejszy. Zwracał się właśnie do swej bratanicy Franciski, która była pierwszą Metyską, owocem związku jego nieżyjącego już brata Francisca z kobietą z królewskiego rodu Inków.

Gonzalo mówił, że stronnicy namawiają go do poślubienia Franciski, gdyż wtedy zostanie królem Peru i ogłosi niezależność tego kraju od cesarza Karola V. Porównał się do Aleksandra Wielkiego, usprawiedliwiając tym sposobem tytuł *Węzeł gordyjski*. Zaznaczył jednak, że zamierza dochować wierności Koronie Hiszpańskiej.

Sebastián pomyślał, że to przesłanie jest nadal aktualne w sytuacji późniejszej o dwa wieki, ponieważ w Peru znów wrze i pretendenci do tronu kręcą się wokół hiszpańskiego dworu, jak choćby ta Metyska.

Teraz rozumiem, dlaczego Floridablanca był od początku zainteresowany tą sztuką i porozumiewał się z Onofrem w sprawie adaptacji – powiedział sobie w duchu. – Ale dlaczego ojciec zgodził się pomóc Cañizaresowi w sekrecie? Po co miesza się w te spory?

Oderwał na chwilę wzrok od sceny, skierował kieszonkową lornetkę w stronę Uminy i zauważył, że dziewczyna śledzi sztukę z dużym zainteresowaniem.

Wrócił do oglądania spektaklu, kiedy uzmysłowił sobie, że na widowni zapanowała nagle wielka cisza.

Nic w tym dziwnego. Cañizares w roli Gonzala Pizarra mówił właśnie o skarbie Inków. Przypominał, że Inkowie ukryli go w 1533 roku zaraz po wkroczeniu jego brata do Peru. Zareplikowała na to bratanica Francisca,

wcielając się w rolę diabła kusiciela. Namawiała go, żeby połączyli swe siły. Niech się z nią ożeni i da początek własnej dynastii, a odzyska bajeczne skarby. Widzowie zamarli ze zdziwienia, słysząc te śmiałe słowa. Zwłaszcza gdy owa pierwsza Metyska rzuciła wyzwanie:

*I niech Hiszpania spróbuje,
jeśli zdoła, zerwać koronę z mego czoła.*

Na widowni rozległy się szepty. Powiało niepokojem. Inżynier ciekaw reakcji Uminy ponownie skierował lornetkę na jej twarz. Nikt inny w teatrze nie był tak zaniepokojony jak ona.

Floridablanca to sprytny gracz i na pewno ma w tym jakiś cel, skoro pokazuje się publicznie z tą Metyską, powiedział do siebie Fonseca.

Niewykluczone, że dziewczyna pomyślała to samo, zwłaszcza gdy Gonzalo Pizarro, podnosząc głos, zaproponował bratanicy:

*Jak zobaczą cię na tronie,
to zaraz chętnie przyniosą
ukrytych skarbów krocie
i jeszcze o przyjęcie poproszą.*

Fonseca odsunął lornetkę, żeby swobodnie spojrzeć na dół, tam gdzie rozpościerała się scena. I zobaczył, że w ferworze gry aktor i dyrektor w jednej osobie wysunął się aż na proscenium, jakby chciał podkreślić wagę chwili. Widział go teraz z bliska i mógł obserwować, jak rozkłada ramiona, wypowiadając z emfazą kolejne kwestie. Na sali zapadła kompletna cisza, kiedy Cañizares oświadczył poufnie, że tajemnicę tych skarbów zna pewna kobieta, która przybyła z Peru do Hiszpanii na statku pomalowanym na czarno, z czarnym kadłubem i czarnymi żaglami.

Sebastián zorientował się, że coś tu nie pasuje. Zastanowił się, na czym tak naprawdę polegała przeróbka, której podjął się jego ojciec. Wiersze, recytowane teraz przez Cañizaresa, nie miały tej samej prozodii.

Najwyraźniej dyrektor improwizował.

Frasquita poprosiła o lornetkę i zaraz mu ją oddała.

– Przyjrzyj się Floridablance – zasugerowała.

Inżynier stwierdził, że sekretarz stanu mieni się na twarzy: zmarszczył surowo brwi, popatrzył bezmyślnie przed siebie i powiedział coś do Onofrego, który był tak samo zaalarmowany jak on. Tuż za nimi pojawił się stary wróg Fonseców, markiz Montilla. Jego twarz zeszpecona dziobami wyglądała przez lornetkę jeszcze groźniej.

Co tu robi ten intrygant? Coś niedobrego się dzieje, powiedział do siebie.

Sebastián zajmował łożę tuż przy scenie i przy tak bliskiej odległości nie mógł pozostać niewidoczny. Zwłaszcza że wszyscy czekali na odpowiedź aktorki grającej Franciscę Pizarro. Nie wiedziała, jak się zachować w tej sytuacji, i w zdumieniu patrzyła na suflera, tak samo przerażonego jak ona.

Ale zdaje się, że Cañizares to przewidział. Dalej prowadził swój monolog, zadając sam sobie pytania i udzielając na nie odpowiedzi słowami, które na pewno odbiegały od oryginału. Zastanawiał się, grając Gonzala Pizarra, jak Inkowie mogli przekazać ów sekret o ukrytych skarbach, skoro nie znali pisma. I odpowiadał, że potrafili wszystko zarejestrować za pomocą węzłów wiązanych na sznurach. Zaraz to udowodni niedowiarkom, tylko najpierw trzeba zmienić dekoracje. Nowa scena będzie odegrana w miejscu, które jest dokładnym odzwierciedleniem miejsca ukrycia skarbu Inków w Peru zwanego Okiem Wielkiego Inki.

Cañizares podkreślił z patosem ostatnie słowa i zakończył swą kwestię energicznym machnięciem ręki na znak, że pora opuścić kurtynę.

Podczas zmiany dekoracji Sebastián znów skierował lornetkę na Uminę. Była bardzo niespokojna. Hrabia Floridablance i Onofre Abascal zabawiali ją rozmową, ale uczestniczyła w niej z roztargnieniem. Korzystając z pierwszej wolnej chwili, odwróciła się do olbrzymiego Indianina, który pochylił się nad nią, i szepnęła mu coś do ucha.

Ochroniarz zniknął w mrocznej części loży. Otworzył drzwi, żeby wyjść na korytarz. Promień światła wydobył z ciemności jego dumny indiański profil, ale po chwili nic już nie było widać.

Inżynier odwrócił się do Frasquity zajętej wymianą komentarzy na temat sztuki. Podobnie jak reszta publiczności czekała cierpliwie na kontynuację przedstawienia.

– Podaj mi mój *rapé* – poprosiła.

Fonseca szukał porcelanowego puzderka na tytoń, kiedy poczuł, że cichną wszystkie odgłosy sali. Podniesiono kurtynę. I usłyszał okrzyk swej damy, pomnożony natychmiast o krzyki dobiegające z różnych miejsc teatru. Ludzie machali rękami w kierunku sceny. Spojrzał na dół.

O nie, tylko nie to! – pomyślał na widok makabrycznego spektaklu, jaki rozpościerał się u jego stóp.

2 Montilla

W pierwszej chwili ścisnął go za serce paraliżujący lęk.

Nie powinienem był tu wracać, powiedział sobie w duchu, odwracając spojrzenie.

Nagle przypomniał sobie matkę. I ten dzień, kiedy wzięła go za rękę i wyciągnęła z domu, żeby nauczył się pokonywać strach. Był wtedy jeszcze dzieckiem. Ich andaluzyjskie ziemie zalała powódź. W brudnej wodzie pływały sine, spuchnięte od gazów trupy. Musiał przejść przez całą wioskę, od góry do dołu, oferując pomoc i pocieszenie. Matka pilnowała, żeby nie zamykał oczu.

„Nie zamykaj oczu, kiedy się boisz, bo staniesz się niewolnikiem swego strachu – powiedziała. – Jeśli nauczysz się patrzeć mu prosto w oczy, choćby to było nie wiem jak straszne, nic cię nie przerazi”.

Ponownie skierował wzrok na scenę. Wisiał tam jakiś człowiek z przełamaną szyją, kołysząc się jak pajac. Pomruk idący wśród reszty aktorów pozwolił na natychmiastową identyfikację. To był Cañizares, dyrektor trupy teatralnej.

Frasquita wzięła go za rękę, kiedy spuszczano kurtynę.

– Dobrze się czujesz, Sebastiánie?

Musiał się pospieszyć. Jak tylko minister Floridablanca opuści widownię, strażnicy otoczą kordonem scenę i zabronią mu wejścia.

– Wybacz, że zostawię cię samą – przeprosił swą damę.

Zmierzył w myślach wysokość, wziął rozbieg i skoczył na deski sceny, które złagodziły jego upadek głuchym trzaskiem.

Po drugiej stronie kurtyny zastał aktorów w absurdalnych strojach Indian i konkwistadorów. Usiłowali zdjąć sznur z szyi Cañizaresa. Nie było to łatwe zadanie. Cañizares został powieszony w sposób wyjątkowo okrutny. Założono mu pętlę na szyję, a na usta coś w rodzaju kagańca ze sznura, owiniętego parę razy wokół głowy tak mocno, że miał wyrwane szczęki i wyłupione oczy. Okropna, groteskowa śmierć, bez cienia godności.

Otrząsnąwszy się z nagłego przerażenia, wywołanego tym widokiem, zauważył dziwny węzeł na sznurze w miejscu, gdzie wciąż jeszcze kapłała krew. Nigdy dotąd takiego nie widział: węzeł z czterema supłami jak motyl o rozpostartych skrzydłach. Na każdym z dwóch dolnych supłów wisiały płócienne woreczki.

Aktorzy nie śmieli tego dotknąć. Fonseca ukląkł przy zwłokach i odwiązał jeden worek. W środku był biały proszek. Powąchał i roztarł go w palcach. Chyba wapno. Nie miał natomiast żadnych wątpliwości, jeśli chodzi o zawartość drugiego worka: był to bób. Reszta zgromadzonych popatrzyła po sobie ze zdziwieniem.

Otoczyły ich strażę i komedianci musieli się odsunąć, żeby zrobić przejście dla Onofrego.

Nowo przybyły spojrział pytająco na inżyniera pochylonego nad nieboszczykiem. Zbladł, kiedy zobaczył węzeł i zbadał zawartość woreczków. Zimne poty wystąpiły mu na czoło.

– Sebastián, nie możesz tu zostać – powiedział Abascal głosem zdradzającym podenerwowanie, choć próbował mu nadać przyjazne brzmienie.

Fonseca przytaknął w milczeniu i opuścił scenę.

Kierując się w stronę wyjścia, zastanawiał się, czy tak przygotowana pętla dla wisielca ma coś wspólnego z pismem węzełkowym Inków, o którym napomknął Cañizares w swej ostatniej kwestii, mówiąc o bajecznych skarbach peruwiańskich. Jeśli tak, to jaki to ma związek z jego śmiercią? Komu

zależało na publicznej egzekucji aktora i reżysera spektaklu?

Przypomniawszy sobie, że ma w kieszeni zalakowaną kopertę z wiadomością od ojca dla aktora. Poszukał ustronnego miejsca i zeszkrobał pieczęć. W środku były tylko te słowa: *Cañizares, miej się na baczości, jeśli na widowni będzie Metyska, świeżo przybyła z Peru.*

Zadrzał. Co łączyło z tym wszystkim Juana de Fonsecę? Ojciec był powszechnie znany jako wielki erudyta i miłośnik teatru. Ale prawie nikt nie wiedział, że pomagał Cañizaresowi w adaptacji sztuki Tirsa de Moliny. Ciekawe, czy Onofre o tym wiedział. Niewiele rzeczy umykało jego uwagi.

Musi zapytać o to ojca. Staruszek nie mógł przybyć na przedstawienie, bo poruszał się tylko na wózku inwalidzkim. Trzeba natychmiast poinformować go, co się stało.

W holu panowało niezwykle poruszenie. Hrabia Floridablanca i towarzysząca mu Metyska zdążyli już wyjść. Frasquita czekała na niego, żeby wypytać o zdarzenie. Oszczędził jej najbardziej makabrycznych szczegółów.

– Jesteś wstrząśnięty, prawda? – odezwała się pierwsza, widząc strach w jego oczach. – Nie powinienesz tu przychodzić.

Rozumieli się w pół słowa. Oboje dobrze wiedzieli, o czym mówią. O tamtej śmierci na scenie. O Marii Ignacii zwanej Iskierką. Miała tyle wdzięku, pikanterii i talentu, że postradał dla niej zmysły. Była jego pierwszą miłością, ale musiał się jej wyrzec przez wzgląd na honor rodu Fonseców, starego ojca i przestrogi zwierzchników wojskowych, że cała jego kariera legnie w gruzach, jeśli ożeni się z tą aktorką. I Maria Ignacia popełniła prawdziwe samobójstwo na scenie podczas spektaklu, w którym grała rolę samobójczyni. Stało się to na jego oczach w tym teatrze, stosunkowo niedawno.

Ciężko to przeżył i gdyby nie Frasquita, jeszcze bardziej pograżyliby się w rozpacz. Ale ona mu na to nie pozwalała, wyciągała go z domu, udając, że sama sobie nie poradzi w Madrycie i potrzebuje jego pomocy. Była frywolna jak nigdy dotąd. Aranżowała spotkania z kobietami, podsuwała mu na przynętę istoty tak cudowne, że każdy inny mężczyzna w jego wieku i

z jego pozycją dałby się uszczęśliwić od razu. Ale nie inżynier. On zamknął się w pancerzu obojętności, zablokował wszelkie żywsze uczucia. Początkowo mogło się wydawać, że go to chroni. Ale potem okazało się, że głównie wyjaławia i stanowi napęd do pracy nacechowanej destrukcyjnym perfekcjonizmem. Dało o sobie znać wychowanie jezuickie wpajające głębokie poczucie odpowiedzialności i winy.

– Muszę natychmiast zobaczyć ojca – usprawiedliwiał się Sebastián. – Pozwolisz, że nie odwiozę cię do domu.

– Powóz czeka na mnie przed wejściem. Nic się nie martw.

Jako że nieszczęścia zawsze chodzą parami, w tym momencie pojawił się markiz Montilla. Niepożądany sąsiad na andaluzyjskich włościach, rywal w interesach i zatwardziały wróg Fonseców. Znali się od dziecka. Kiedyś byli przyjaciółmi i bawili się razem, dopóki mały markiz nie postanowił wepchnąć Sebastiana między łodygi kaktusa figowego: zaczęli się szamotać i w rezultacie sam się przewrócił prosto na kolce i poranił sobie twarz. Wywiązała się z tego infekcja, po której pozostały mu już na zawsze blizny przypominające ślady po ospie.

Od tej pory pałał do Sebastiana śmiertelną nienawiścią. Przez dłuższy czas obaj starali się nie wchodzić sobie w drogę. Ale teraz markiz wyraźnie szukał zwady i pozwolił sobie na obraźliwe komentarze. W jego zachowaniu zaszła rażąca zmiana.

Wyśmiał, zbędne jego zdaniem, roboty wodne i inne przedsięwzięcia, które uznał za niegodne szlachcica, choć wiedział, że inżynier był z nimi związany. Pozwolił sobie nawet na złośliwą uwagę na temat jego roli przy budowie Kanału Aragońskiego. Tego już Sebastián nie mógł puścić płazem, gdyż był mocno zaangażowany w prace nad doprowadzeniem kanału do Morza Śródziemnego i wierzył, że w przyszłości połączy się w ten sposób Morze Śródziemne z Kantabryjskim. Dlatego ostro zareagował na jego słowa.

– Zgadza się pan ze mną, panie Fonseca? – zapytał markiz obraźliwym tonem.

– Uważam, że dzięki takim przedsięwzięciom jak kanał, a jest ich

jeszcze bardzo niewiele, możemy myśleć o Hiszpanii jako o kraju europejskim.

Markiz parsknął lekceważąco. I świadom, że wszyscy go słuchają, dodał:

– Czyżby? Gdyby ten projekt był tak ważny, to czy dano by przy nim pracę człowiekowi z pańską przeszłością?

Frasquita chwyciła Sebastiána za rękę i ścisnęła znacząco, żeby się nie dał sprowokować i nie wpadł w pułapkę zastawioną przez tego głupca markiza. Słowa Montilli miały podwójne znaczenie. Mogły nawiązywać do tego, że Fonsecowie opowiedzieli się po stronie przegranych w wojnie secesyjnej, która doprowadziła do konfrontacji zwolenników kandydata austriackiego ze stronnictwem Burbonów. Ale mogły też odnosić się do tragicznej śmierci Marii Ignacii. Na nieszczęście Montilla dostrzegł poufały gest Frasquity i posunął się jeszcze dalej w swych zniewagach, nasycając każde słowo ukrytym jadem:

– Jasne, pan ma różne inne zamiłowania. Lubi się pan kręcić wokół cudzej zagrody. Widzę, że nie wystarczą panu polowania na drobnego zwierza i zabawy w teatrze. Teraz chce pan upolować grubego zwierza. Ale ostrożnie, bo można nadziać się na kły albo rogi.

Tą grubiańską aluzją dotknął nie tylko Sebastiána, ale naruszył też honor jego damy. Zanim Frasquita zdołała go powstrzymać, inżynier w odpowiedzi wymierzył Montilli siarczysty policzek.

Markiz nie obruszył się zbyt. Zdawał się tylko na to czekać. Pogląskał obolałą część twarzy i powiedział sucho:

– Niech pan nie traci werwy. Przyda się panu, kiedy stąd wyjdziemy. – Ściszył głos, żeby nikt inny nie mógł usłyszeć: – Wie pan, gdzie są stajnie? – Inżynier potwierdził skinieniem głowy. – Więc tam na pana czekam.

Fonseca wolałby odłożyć pojedynek na potem. Chciał najpierw powiadomić ojca o zdarzeniu w teatrze. Ale zrozumiał, że taka propozycja z jego strony zostanie źle odebrana. Lepiej nie tracić czasu i szybko skrzyżować szpady.

– Będę do pana dyspozycji – odpowiedział.

Frasquita odciągnęła go na bok, błagając:

– Nie idź tam, na miłość boską. Markiz pojedynkuje się co najmniej raz na tydzień. Ma sławę znakomitego szermierza.

– Wiesz dobrze, że nienawidzę pojedynków tak samo jak ty. Ale jeśli się nie stawię, nikt nie poda mi ręki i do końca życia będę musiał unikać tego niegodziwca. Ty również.

3 Pojedynek

Wśród obecnych zapanowała atmosfera konspiracji. Wiedzieli, na co się narażają. Za udział w pojedynku groziła kara śmierci i konfiskata majątku.

Sebastián de Fonseca zdjął kapelusz, płaszcz i rękawiczki. Przez chwilę ważył w ręku szpadę, żeby uspokoić zmysły i oswoić je z zimnem stali. Było już późno i zależało mu na tym, aby skończyć jak najszybciej. W przeciwnym razie, gdyby pojedynek się przedłużył, ojciec mógłby się niepokoić. Nie podobało mu się to wszystko. Pachniało zasadzką, zbyt pochopnie się zgodził.

Kiwnął potakująco głową w odpowiedzi na pytanie sędziego i stanął naprzeciwko markiza. Jego przeciwnik miał usta spięte w krzywym uśmiechu i chytre spojrzenie, jakby obmyślał jakiś plan.

Znaleźć się w takiej sytuacji było ostatnią rzeczą, jakiej inżynier mógłby zapragnąć. Postanowił, że szybko zakończy tę bezsensowną walkę, nieodpowiednią dla człowieka cywilizowanego.

Oczywiście umiał posługiwać się bronią, choć starał się nie używać szpady bez ważnego powodu. Nauczył się szermierki u jezuitów, a potem ćwiczył regularnie w wojsku.

Wystarczyła mu krótka obserwacja przeciwnika, żeby wiedzieć, z kim ma do czynienia. Znowu są naprzeciwko siebie jak w dzieciństwie. Tylko że teraz gra jest prawdziwa. Nie analizował jego ruchów szpadą. Przyglądał

się przede wszystkim twarzy i postawie ciała, bo w ten sposób mógł się dowiedzieć, jaką strategię przeciwnik myśli zastosować. Najważniejsze są oczy. Spojrzenie Montilli było ostre i wyrachowane. Resztę wyczytał z przebiegłego uśmiechu i ustawienia nóg, mocno stojących na ziemi. Wszystko mówiło o człowieku podstępny, perfidny i zimny, który udawał porywczego. O człowieku, który zrobi z siebie bufona, byle wyprowadzić z równowagi oponenta.

Pierwsze półciosy przeznaczone na sprawdzenie siły i temperamentu przeciwnika potwierdziły Fonsece, że ma do czynienia z niebezpiecznym wrogiem.

Wiedział, jak się zachować w takim przypadku. Jeśli za szybko pokaże, na co go stać, osiągnie tylko tyle, że zręczny szermierz przyjmie pozycję obronną. Natomiast jeśli będzie się cofał i udawał, że tamten jest górą, zmusi go do porzucenia obranego planu i zmyli czujność.

Dość szybko wyczuł, co jest piętą achillesową jego rywala: równowaga. Dlatego robił częste zwroty i wymuszał na nim to samo, żeby go zmęczyć. Przy jednym z takich posunięć, kiedy markiz zachwiał się nieznacznie, Fonseca przytrzymał szpadę, obrócił w jego stronę i zranił go w prawą dłoń. Markiz zaczął krwawić, więc sędzia podbiegł, żeby zbadać cięcie, i uprzedził:

– Panie markizie, długo pan nie utrzyma szpady w tej dłoni. Gotów jest pan uznać się za pokonanego?

Wszyscy sądzili, że tak będzie: pojedynek do pierwszej krwi. Ale Montilla nie zamierzał przyznać się do klęski. I zwracając się do Sebastiana, dalej wyzywał go do walki:

– Nie mogę walczyć szpadą, ale są jeszcze pistolety. Tę sprawę trzeba zakończyć raz na zawsze.

Inżynier stanowczo odmówił. Ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, że będą walczyć na śmierć i życie. Poza tym zrobiło się późno. Musi natychmiast poinformować ojca o zdarzeniu w teatrze. Podszedł do miejsca, gdzie zostawił płaszcz, zarzucił go na ramiona i zaczął wciągać rękawiczki.

Ale markiz już trzymał swój pistolet. Stał w drzwiach i groził mu nie na żarty:

– Niech się pan broni albo natychmiast poczęstuj pana kulą.

Fonseca zapytał gospodarza, czy odpowiada mu taka zmiana planów.

– Byle nie tu. Na strychu – zaproponował ten ostatni.

Grube mury zabudowania zagłuszą odgłosy strzału i władza o niczym się nie dowie.

Zapalono lampy, bo było coraz gorzej widać. Sprawdzone nowe miejsce i odmierzone odległości. Naładowano broń i zaczęło się losowanie. Podrzucana do góry moneta dała pierwszeństwo Montilli. Sprawa przyjęła niedobry obrót.

Przeciwnicy zajęli wyznaczone pozycje. Sebastián stanął na swojej i odwrócił się bokiem, spięty do granic wytrzymałości. Jego przeciwnik zrobił to samo, owinął chustką zranioną dłoń i przymierzał się do celowania.

Po nieskończonej długiej chwili rozległ się strzał: suchy trzask odbił się potężnym echem wśród grubych murów. Sebastián poczuł ukłucie w czoło. Zrobiło mu się gorąco i trysnęła krew. Zachwiał się: Montilla go trafił.

Jednakże nie upadł. Starał się stać prosto. Sekundanci podtrzymali go, obejrzel ranę i oczyścili. Kula ledwie go zadrasnęła. Teraz jego kolej oddać strzał.

Co robić? Stojący naprzeciwko niego markiz mienił się na twarzy: Makijaż, pod którym ukrywał swoje szramy, nadawał mu patetyczny wyraz. Ale jak zabić człowieka tylko dlatego, że pozwolił sobie na kilka podłych słów pod adresem Sebastiana i jego damy? Choć z drugiej strony byłoby zbyt wielkim ryzykiem zlekceważyć takie wyzwanie.

Starał się uporządkować myśli i odzyskać ostrość widzenia. Podniósł pistolet i wycelował. Montilla zakrył twarz obiema rękami. Wszyscy patrzyli na inżyniera, jakby pytali, dlaczego nie pociąga za spust. Nagle dobiegło ich wołanie z patio.

– Sebastián de Fonseca!

Wbiegł jakiś chłopak, a za nim kilku służących, którzy usiłowali go

zatrzymać. Zapanowała konsternacja, ponieważ nikt z obecnych nie sądził, że ktokolwiek oprócz nich może wiedzieć o pojedynku.

– Przystań wrzeszczeć, smarkaczu! – zganiał go gospodarz i zwracając się do służących, zapytał z wściekłością:

– Dlaczego pozwoliliście mu tu wejść?

– Wyrwał się nam, panie – odparł jeden z nich. – Mówi, że ma bardzo ważną sprawę.

– Czy może być coś ważniejszego? – Gospodarz wskazał ręką na rozgrywającą się w spichlerzu scenę.

– Mam wiadomość dla pana Fonseki od jego ojca – wypalił jednym tchem chłopak, zwracając się do Sebastiana.

Inżynier opuścił broń i poprosił, aby pozwolono chłopcu podejść bliżej.

– Skąd mój ojciec wiedział, że tu jestem, i jak ty się dowiedziałeś? – zapytał.

– Posłano mnie najpierw do teatru, a stamtąd do domu pańskiej damy. Ona skierowała mnie tutaj. Majordomus Moncho kazał powiedzieć, żeby pan natychmiast wracał do pałacu.

Sebastián spojrział na swego przeciwnika, który przysłuchiwał się tej rozmowie ze zrozumiałym niepokojem. Podniósł pistolet i wymierzył do niego. Markiz pobiegł ukryć się za starym żłobem.

Inżynier wciąż nie był pewien, czy to dobra decyzja, ale nie miał już czasu na dalsze rozważania. Wiedział, że markiz nigdy mu nie wybaczy tego, co zamierzał zrobić.

Opuścił broń i strzelił w klepisko. Następnie odrzucił pistolet, który upadł bezgłośnie na resztki słomy, i wyszedł w największym pośpiechu.

4 Maskarada

Pałac Fonsecaów znajdował się w pobliżu. Ale najpierw trzeba było się przedostać przez zatłoczone ulice, lekka mżawka nie ułatwiała tego zadania. Był karnawał i wszyscy chcieli się bawić. Każdy pretekst był dobry do zbiorowego szaleństwa. Zarówno egzekucja, jak i rewia cieląt czy mody, autodafe i popisy cyrkowców. Byleby się coś działo, nieważne co.

Musiał omijać landa, berlinki i inne pojazdy z pijanymi woźnicami, którzy chwiejąc się na koźle, odganiaли chmary żebraków i złorzeczyli na niekończący się zator.

Przeciskał się przez grupę przebierańców, wśród których byli Maurowie, Indianie i – przede wszystkim – postaci madryckiego przedmieścia, coraz bardziej popularne w Hiszpanii dotkniętej plagą przepowiedni i espadryli.

Nie rozumiał, dlaczego wysoka szlachta darzy taką sympatią *majos*, *chulos*, *chisperos* i *picaros* żyjących z wieszczenia nieszczęść na schodach kościołów. Zastanawiał się nawet, czy nie ma w tym zazdrości. W każdym razie to pragnienie zrównania się z plebsem zatruwało umysły jego dobrze urodzonych rodaków.

Dotarł wreszcie na plac, przy którym wznosił się pałac Fonsecaów. Pozostawało mu tylko przedostać się na drugą stronę, co wcale nie było takie proste. Podniecony tłum falował wokół zaimprovizowanej naprędcy sceny,

na której wystawiano jakąś farsę, i nie szczędził aktorom niewybrednych pochwał. Sebastián mógł tylko stać i patrzeć na swój dom z bramą zwieńczoną majestatycznym łukiem, w którym ziało puste miejsce po kamiennym herbie usuniętym z fasady po tym, jak odebrano Fonsecom tytuł szlachecki. Herb wielki jak jego duma i dużo większy niż obecne wpływy z majątku rozkradanego przez zarządców.

Nie zwrócił uwagi na postać fanfaronu owiniętego w zgrzebną pelerynę, który głaszał nóż ukryty za pasem, a na widok przechodzącego obok inżyniera dał jakiś znak w kierunku pałacu.

Sebastián zastanawiał się, jak przedrzeć się przez tę ludzką falę, nie czekając na koniec przedstawienia. Głównym bohaterem farsy był diabeł, który skacząc z miejsca na miejsce, okładał dzieci nadmuchanym świńskim pęcherzem i zadzierał dziewczynom spódnice. Nic więc dziwnego, że ludzie pomstowali na Sebastiana, że się rozpycha albo że zasłania. Był już prawie u kresu drogi, kiedy dobiegł go charakterystyczny odgłos bębna wojskowego oraz dźwięk kołatek i dzwoneczków.

– Pan Bóg idzie! – powiedział ktoś, ale zaraz rozległo się sykanie i zapadła cisza.

Wszystko znieruchomiało. Plac zamienił się nagle w jeden z tych pobożnych obrazów ukazujących przejście Izraelitów przez Morze Czerwone. Tłum ścieśnił się i rozsunał, żeby utorować przejście. Ludzie zdejmowali kapelusze i inne nakrycia głowy, padając na kolana w kałuże wody. A najgorliwiej ukląkł aktor grający diabła: już nie ganiał dzieciaków i nie zadzierał dziewczynom spódnic, tylko żegnał się raz po raz znakiem krzyża i mruczał modlitwy.

Sebastián szybko skorzystał z tej martwej ciszy i niczym nowy Mojżesz ruszył przed siebie drogą utorowaną przez opatrność. Ale tłum zaczął go lżyć, zwłaszcza gdy na placu pojawił się oddział żołnierzy. Prowadził ich sierżant, który kazał Sebastiánowi uklęknąć, bo tylko on jeden był widoczny w morzu pochylonych głów. Wtedy zrozumiał, co się dzieje i skąd ta nagła cisza, i ogarnął go straszliwy lęk. Zaraz za sierżantem szedł ksiądz

pod baldachimem niesionym przez czterech akolitów, a poprzedzał ich mały ministrant z kołatką. Ksiądz z wiatykiem dla umierającego. Każdy katolik dobrze wie, że w takiej sytuacji należy przerwać wszelkie czynności i oddać cześć Najświętszemu Sakramentowi.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy pomyślał, że ksiądz idzie do pałacu Fonseca. Wezwanie majordomusa mogło przecież oznaczać, że ojciec jest konający. Niewiele myśląc, ruszył w ślad za księdzem.

Nie spodziewał się jednak, że sierżant będzie tak służbisty i każe żołnierzom go zatrzymać.

Fonseca nie mógł na to pozwolić. Już i tak stracił dużo cennego czasu. Chwycił za szpadę i ujrzał pół tuzina strzelb wymierzonych w swoją pierś. Ludzie cofnęli się, robiąc wokół niego puste półkole.

Z tyłu za oddziałem dał się słyszeć jakiś głos.

– Co tu się dzieje?

Żołnierze zrobili przejście dla oficera, który podeszedł do sierżanta i zażądał wyjaśnień.

– Ten człowiek nie chciał uklęknąć przed Najświętszym Sakramentem – odparł zapytany.

Tymczasem ksiądz minął już plac i skierował się w inną stronę. Sebastián zrozumiał, że musi się wytłumaczyć, więc powiedział, wskazując na pałac:

– Złąkłem się, że ten ksiądz idzie z wiatykiem do mojego domu.

– Kogo ja widzę! Sebastián de Fonseca! – zawołał porucznik. I zaraz zrugął swego podwładnego:

– Stańcie na baczność przed tym człowiekiem, sierżancie! Macie przed sobą kapitana wojsk inżynierskich.

Oficer wziął Sebastiana pod ramię i powiedział ze znaczącym uśmiechem:

– Nic a nic się nie zmieniłeś.

A widząc nieme zdziwienie Sebastiana, zaskoczonego tą poufałością, dodał:

– Ja też byłem seminarzystą. Zaczynaliśmy razem u jezuitów w

Królewskim Seminarium dla Młodzieży Szlacheckiej przy Kolegium Cezarskim. Ty z powodu tej aktorki wszystko straciłeś i musiałeś poszukać sobie zajęcia przy budowie kanałów i zapór. Ja natomiast zostałem w wojsku, zawsze gotów pomagać dawnym kolegom.

Fonseca wybąkał kilka słów przeprosin i pospieszył do pałacu. W tym zaaferowaniu nie zauważył, że człowiek w karnawałowej masce śledzi go w ciemnościach. Spod zielonej oponczy z kapturem, która osłaniała go przed deszczem, wystawał kostium kościotrupa. Na twarzy miał maskę w kształcie trupiej czaszki.

* * *

Zaledwie Sebastián przekroczył próg salonu, majordomus zawołał:

– Tędy, panie! W czerwonym pokoju! Musieliśmy wyważyć drzwi, bo nie odpowiadała na nasze wołania.

Sebastián pobiegł pełen trwogi. Już jako dziecko bał się tego pomieszczenia i nigdy go nie polubił. Tam zamykał się kucharz, żeby zabijać zwierzęta na mięso, bo matka nie chciała na to patrzeć. Izbę pomalowano na czerwono, żeby zakryć plamy krwi. Często śniła się Sebastiánowi, zwłaszcza po śmierci matki, która zginęła w wypadku ulicznym. Ojciec przeżył, ale został kaleką i odtąd poruszał się tylko na wózku inwalidzkim. To wtedy kazał zamienić tę izbę na swój gabinet pracy, ponieważ mieściła się na parterze i miał tu łatwy dostęp.

Wpadł do środka, potykając się o zainstalowaną w rogu wannę. Kiedy się wyprostował, poczuł cierpką, gęstą woń, jakże różną od bursztynowopiężmowego zapachu ojcowskich perfum. Czerwony pokój na nowo czynił zadość swej nazwie. Pod lampą z frędzlami, w wielkiej kałuży krwi, leżał sztywno na podłodze jego ojciec.

5 Ojciec

Śmierć powlekła szarością twarz Juana de Fonseki i wyostrzyła jej rysy. Szklane oczy patrzyły z przerażeniem, na wykrzywionych w potwornym bólu ustach zastygł grymas niedowierzania. Ślady na ciele świadczyły, że zabójca bezlitośnie pastwił się nad ofiarą. Paznokcie prawej dłoni zostały wyrwane z palców wraz ze skórą; pięć krwawych pasków przechodziło na nadgarstku w jeden duży płat naderwany aż do przedramienia.

– Mój Boże! – załkał Sebastián, opadając bezsilnie na krzesło. – Teraz rozumiem, dlaczego ojciec tak nagle wezwał mnie do Madrytu. Szkoda, że nie znaleźliśmy wczoraj czasu na rozmowę!

Zaraz po przybyciu zauważył, że ojciec jest bardzo przygnębiony. Ale nie chciał zadawać za dużo pytań, żeby go jeszcze bardziej nie męczyć. Wiedział, że wszystkiego się dowie w swoim czasie. Bez istotnej przyczyny Juan de Fonseca nie odrywałby syna od obowiązków i nie kazał mu iść do teatru, z którym wiązało się tyle trudnych wspomnień. Ale z pewnością nie wziął pod uwagę takiego rozwiązania. Wszystko potoczyło się zbyt szybko.

Zabolało go, że ojciec zginął tak okrutną i niesprawiedliwą śmiercią. Od pewnego czasu próbował bezskutecznie zbliżyć się do syna. Ale skurczył się w sobie, podczas gdy Sebastián urósł, i wytworzyła się między nimi przepaść obcości.

Sebastián żałował, że nie poświęcił mu więcej czasu po śmierci matki. Wtedy gdy z braku lepszego zajęcia osamotniony ojciec zaczął maniacko grzebać w jakichś papierach. Zachowywał się wręcz obsesyjnie. Krążył wokół siebie tylko znanych tematów jak koń w kieracie. I co z tego? Zepsuł sobie wzrok i niemal zapomniał mowy, tak to jest, kiedy człowiek używa oczu i języka sam dla siebie, w swoich czterech ścianach. Szybko się zestarzał ogarnięty tęsknotą za tym wszystkim, czego nie zdążył zaznać i przeżyć z ukochaną żoną, która odeszła tak wcześnie.

Sebastián patrzył na pętlę zaciśniętą na jego szyi. Mimo woli wyobrażał sobie ojca, jak wije się i podnosi zakrwawione dłonie do sznura, próbując złapać oddech. Widocznie mordercę ogarnął pośpiech dopiero wtedy, gdy Moncho wezwał na pomoc innych domowników, żeby wyważyć drzwi, bo pan nie otwierał i nie odpowiadał na wołanie.

Zdziwił go ten węzeł. Miał cztery oploty, podobnie jak węzeł na sznurze, którym uduszono dyrektora teatru. Z jednego zwisała mała papierowa torebka z ryciną przedstawiającą dwóch zakonników oraz anagram jezuitów. Mógł się mylić, ale zakonnik z lewej strony wyglądał zupełnie jak święty Ignacy Loyola, założyciel Towarzystwa Jezusowego. Na rysunku byli też jacyś Indianie.

Po otwarciu torebki znalazł w niej garstkę soli. Przypomnił sobie wapno i bób z woreczków na szyi dyrektora teatru. To by wskazywało na autorstwo jednej i tej samej osoby.

Przeglądając się dokładniej, zauważył, że ojciec zdążył jeszcze coś napisać własną krwią na podłodze. Z trudem odczytywał litery. Pierwsza wyglądała jak K. Druga była zwykłą kreską, czyli duże I. I na końcu U.

– KIPU – przeczytał.

Inżynier pierwszy raz zetknął się z tym słowem. Nie wiedział, co oznacza i czy w ogóle coś znaczy. Nigdy dotąd nie słyszał o czymś takim.

Przykrył zwłoki pledem, którym ojciec otulał sobie nogi. Służba z respektem czekała przy drzwiach. Powiedział, że pragnie zostać sam, i zamknął za nimi drzwi. Chciał przeszukać miejsce zbrodni, zanim wezwie

policję. Potrzebował samotności i trochę czasu, żeby wyciągnąć własne wnioski.

Sądząc po ustawieniu i śladach kół wózka inwalidzkiego, Juana de Fonseca napadnięto w chwili, gdy siedział przy tym swoim wielkim, osobliwym biurku. Odkąd wypadek znacznie ograniczył jego możliwości poruszania się, przeniósł tu wszystkie książki i kazał poustawić rzędy niskich półek, żeby mieć pod ręką bogate zbiory biblioteczne.

Owo niezwykle biurko stało w głębi gabinetu na niedużym drewnianym podeście z podjazdem. Był to ogromny mebel zrobiony na specjalne zamówienie przez mistrza ciesielskiego. Sporą część przestrzeni między trzema ścianami zajmował pulpit, w którym było wydrążone miejsce na wózek. Nad biurkiem wisiał zegar ścienny, żeby ojciec mógł dobrze gospodarować swoim czasem. W rezultacie, gdy nie mógł oderwać się od pracy, co się często zdarzało, przynoszono mu obiad do gabinetu.

W miejscu gdzie pochyła płaszczyzna blatu stykała się z trzema ścianami w głębi pokoju, wyrastały trzy rzędy szafek z przegródkami, których ojciec używał do segregowania swoich karteluszków, owych pasków papieru nazywanych już wtedy liskami. Notował na nich słowa i przeróżne informacje, na pozór zupełnie przypadkowe, ale niechętnie wypowiadał się na ten temat. Pod spodem biurko było zabudowane aż do podłogi szufladami, które stanowiły zarazem oparcie dla pulpitu i część podestu. Zawsze panował w nich porządek, podobnie jak w przegródkach.

Teraz papiery były porzrucane. Widniały na nich notatki dotyczące prawdopodobnie sztuki teatralnej, nad którą ojciec pracował do spółki z niedawno zamordowanym dyrektorem teatru. Pytania nasuwały się same: jaki był związek tych notatek z *Węzłem gordyjskim*? Co było powodem tych dwóch zabójstw i czy można je ze sobą łączyć?

Powinienem być wczoraj porozmawiać z ojcem zaraz po przybyciu! – wyrzucał sobie Sebastián, waląc ze złością pięścią w biurko.

Zaledwie kilka sekund potem usłyszał w odpowiedzi ciche pukanie. W

pierwszej chwili pomyślał, że ma halucynacje, ale pukanie nie ustawało. I choć trudno było w to uwierzyć, musiał przyznać, że dochodziło spod podłogi.

6 Kret

Z którego dokładnie miejsca dobiegały te dźwięki? Sebastián de Fonseca wpatrywał się w podest. Wyjął szpadę, nadstawił ucha i czekał, wstrzymując oddech. Tam na dole, pod podłogą, ktoś był. Ktoś, kto próbował wydostać się na zewnątrz. Zaczął obmacywać biurko w poszukiwaniu wklęsłości.

Nagle spostrzegł, że coś się dzieje u jego stóp. Jeden z pionowych segmentów biurka rozsuwał się, a wraz z nim rozsuwał się w tym miejscu podest, tworząc okienko w podłodze. Zaraz potem wyłoniła się stamtąd głowa mężczyzny. Był wychudzony, stary, z siwą brodą i włosami.

Sebastián pochylił się i przystawił mu szpadę do gardła, unieruchamiając go w tym otworze.

Mężczyzna zdawał się zaskoczony takim przyjęciem. Podniósł do góry zalęknione oczy i odezwał się z wyrzutem, pokasłując:

– Nie poznajesz mnie?

Wyraz twarzy Sebastiána musiał mu starczyć za całą odpowiedź. Ostrze szpady nie zwolniło ucisku i mężczyzna nie mógł się poruszyć. Uznał, że musi się wytłumaczyć, zanim będzie za późno.

– To ja, twój stryj Álvaro.

Inżynier zamrugał ze zdziwienia, po czym odpowiedział:

– To niemożliwe.

Stryj Álvaro de Fonseca, członek Towarzystwa Jezusowego, był jego preceptorem w Seminarium dla Młodzieży Szlacheckiej przy Cesarskim Kolegium prowadzonym przez jezuitów w Madrycie. Ale od prawie trzy-nastu już lat przebywał poza Hiszpanią. Musiał udać się na wygnanie w 1767 roku po kasacji zakonu.

Sebastián nie opuścił szpady.

Mężczyzna zrozumiał, że jeśli szybko nie zareaguje, zginie na miejscu, bo jest na przegranej pozycji. Więc powiedział:

– Orły latają w pojedynkę, a gawrony stadami.

Minęło kilka sekund, zanim do Sebastiána dotarł sens tych słów. To było ich tajne hasło z czasów, kiedy Álvaro opiekował się bratankiem. Znali je tylko oni dwaj i używali w ważnych sytuacjach, wymagających natychmiastowej decyzji.

Álvaro odetchnął z ulgą, widząc błysk zrozumienia w oczach bratanka.

– Nigdy nie opuściłem Hiszpanii – dodał. – Ukrywałem się tutaj przez te wszystkie lata.

– Gdzie?

– W starej piwnicy.

Inżynier przypomniał sobie, że kiedy ojciec postanowił urządzić tu swój gabinet i bibliotekę, kazał przebudować tę część domu pod pretekstem osuszenia murów. Data przebudowy pokrywała się z datą wygnania jezuitów.

– A więc to dziwaczne biurko zrobiono po to, żeby zakryć wejście do piwnicy?

– Nie tylko po to. Ma ono również swoją własną rację bytu.

– Aha... – mruknął Sebastián, nie mogąc oswoić się ze śladami zniszczeń na twarzy stryja, bo w pamięci wciąż miał obraz eleganckiego i starannie ogolonego mężczyzny. – I z pewnością tylko ojciec o tym wiedział.

– Dekret o wygnaniu zawierał karę śmierci za ukrywanie jezuitów i wszelką inną dla niego pomoc. Brat nie chciał nikogo narażać oprócz siebie. – Mężczyzna zorientował się, że bratanek dziwnie mu się przygląda,

więc dodał: – Przykro mi, że tak się zmieniłem i nie mogłeś mnie poznać. Rozumiem. Miałem zaledwie pięćdziesiąt lat, kiedy zamknąłem się w tej piwnicy, a teraz jestem starcem.

– Jak mogłeś tu wytrzymać tyle czasu?

– Najgorzej było nocami, kiedy chowałem głowę w poduszkę, żeby nikt nie usłyszał mojego kaszlu. Bałem się, co będzie, jak zachoruję. Twój ojciec podrzucił mi kiedyś piecyk do ogrzewania. Ale wystarczyła chwila nieuwagi z mojej strony i wybuchł pożar. Juan musiał natychmiast wywołać pożar na górze, żeby mieć wodę do gaszenia ognia w piwnicy. Jednak nie skarzę się, bo więcej wycierpieli nasi bracia na wygnaniu. Wygnanie jeszcze bardziej zmienia ludzi i nikt nie jest już taki sam, kiedy wraca do domu.

– Zanim wyjdiesz z tej dziury, muszę cię uprzedzić, że ojciec został właśnie zamordowany – powiedział Sebastián.

Álvaro de Fonseca stanął na podłodze, wyprostował się i zobaczył pled skrywający zwłoki swojego brata. Rzucił się w tamtą stronę.

– Nic już nie poradzimy. Ojciec nie żyje. Lepiej, żebyś go takim nie widział. – Sebastián usiłował powstrzymać stryja.

Álvaro go nie usłuchał. Podniósł koc i zawołał:

– Juan! Na miłość boską, co oni ci zrobili?

Przerwał, bo uzmysłowił sobie, że winien jest bratu pomoc duchową. Głosem przerywanym przez łkanie odmówił modlitwę za zmarłych i z powrotem naciągnął mu koc na głowę.

Skorzystał z pomocy Sebastiána, żeby wstać z klęczek, i wziął go w objęcia. Inżynier usadził go na krześle i zarygłował drzwi.

Álvaro kręcił głową z niedowierzaniem, mrużąc pochwały pod adresem młodszego brata, który pomimo tortur nie zdradził jego tajemnicy. W przeciwnym razie znaleźliby go w kryjówce pod podłogą.

– Zrobił to nie tylko z myślą o mnie, ale również dla ciebie – zapewnił bratanka – bo gdyby się wydało, że ukrywa jezuity, ty także musiałbyś za to zapłacić.

* * *

Słuchając tych słów, Sebastián zrozumiał, ile trudu kosztowało ojca ratowanie Álvaro. Tego brata, który wcześniej tak często okazywał mu swą arystokratyczną wyższość jezuitę, miał go za pantoflarza ustępującego we wszystkim żonie, kobiecie z charakterem. Krytykował go za to, że pozwala żonie zarządzać ich rodzinnym majątkiem, który przypadł w całości Juanowi, kiedy Álvaro wstąpił do zakonu. Między innymi dlatego Juan czuł się w obowiązku pomóc bratu w potrzebie.

Przez wiele lat byli w konflikcie, ale na starość się pogodzili i spędzali długie godziny na rozmowie jak w dzieciństwie, gdy pałac Fonseca był jednym z najbogatszych w okolicy. Jak wtedy, gdy bawili się żołnierzykami z terakoty, jeden był za Karolem Austriackim, drugi za Filipem Burbońskim i obaj wznosili fortece i cytadele, tocząc bratobójcze walki. Robili przy tym tyle hałasu, że pewnego dnia odebrano im armie i wyrzucono za okno, co długo opłakiwali nareszcie pojednani we wspólnej sprawie. Pocięszali się po tej stracie, zajadając masę czekolady i czytając książki, które to upodobanie pozostało im już na zawsze.

Skończywszy serię wspomnień o chwilach dobrych i złych z ich wspólnego życia, Álvaro otarł łzy i zapytał bratanka:

- Jak to się stało?
- Nie wiem. Byłem w teatrze. Tam też popełniono morderstwo.

Opowiedział mu o Cañizaresie. Podniósł pled i pokazał napis na podłodze wykonany przez ojca własną krwią: KIPU.

Ale stryj zwrócił uwagę nie tylko na to słowo. Oglądał papierową torebkę z solą i rysunek.

– Teraz rozumiem, dlaczego Juan był taki wystraszony – powiedział ponuro.

- Dlaczego?
- Ktoś mnie szuka. Torturowali go, żeby zdradził moją kryjówkę.

A że Sebastián nadal patrzył nań pytająco, dodał:

- Byłem jakiś czas temu w Peru.
- Nic o tym nie wiedziałem.
- Miałem powody, żeby to ukrywać. Teraz widzę, że postąpiłem

słusznie. Ale nie do końca. Odnaleźli trop.

Wskazał na krwawy napis i powiedział: – „Kipu” znaczy „węzeł”.

– Jak to: znaczy?

– Bo to słowo pochodzi z języka Indian peruwiańskich, keczua. Ale to nie wszystko. Samo „keczua” znaczy „sznur”.

Sebastián wstrzymał oddech, zastanawiając się, jakie to rozrachunki z przeszłością rozgrywają się na jego oczach. Musiał jak najszybciej znaleźć odpowiedź, żeby wiedzieć, co powinien zrobić i czego ma unikać w najbliższej przyszłości.

Wskazał na sznur, którym uduszono jego ojca.

– Masz na myśli taki sznur z węzłem jak ten?

– Widziałem tylko jedno kipu w życiu, kiedy byłem w Limie. Składało się ze sznurów i węzłów, ale to nie to samo. Prawdopodobnie są różne rodzaje kipu w zależności od treści zapisywanej informacji. Z tego, co mówiłeś o Cañizaresie, wynika jasno, że kaganiec i wylupione oczy mają być przestrożą dla tych, którzy za dużo gadają o miejscu zwanym Ojo del Inca^{*}. Takie jest przesłanie tej śmierci.

^{*} Ojo del Inca (hiszp.) – dosł. Oko Inki. Laguna boliwijska niedaleko Potosí.

– A w przypadku mojego ojca?

– Ręka obdarta ze skóry to przestroga dla piszących o sekretnych sprawach. Ale to nie wszystko... – przerwał i coś rozważał w myślach, zanim dodał: – Jest tu również wyraźna aluzja do Towarzystwa Jezusowego. Znasz powiedzenie: powiesili jezuitę i uciekł ze sznurem.

– Bardzo dowcipne!

– Mnie to mówisz? Ja jestem adresatem tej przestrogi.

– Nie rozumiem.

– Ktoś wie, że ukrywam się w Madrycie, ale nie wie gdzie. Chcą mnie zmusić do wyjścia. „Wyjdź, jezuito”, tak brzmi ta przestroga. Stąd wzięła się torebka z solą^{**} i obrazkiem. Taki sam miałem w swoim gabinecie w Cesarskim Kolegium. Przywiozłem go z Limy. Ktoś idzie po śladach prowadzących do skarbu Inków i nie cofnie się przed niczym.

^{**} W oryginale: *sal* (hiszp.) – czyli sól, a także forma rozkazująca czasownika *salir*, wychodzić.

– Ale kto?

W tym momencie z korytarza na tyłach pałacu dobiegł jakiś hałas.

– Co to? – spytał zaniepokojony Álvaro.

– Nie mam pojęcia. Ukryj się!

7 Zielona opończa

Okno korytarza było otwarte i wiatr uderzał jego skrzydłem o ścianę. Sebastián pobiegł do swego pokoju, otworzył szafkę, gdzie trzymał pistolety, i wyjął jeden z nich – był nabity i odbezpieczony.

Wyjrzał przez okno: oślepiła go czerń nocy rozpraszana jedynie słabym blaskiem latarni pałacowej. Ale zdążył jeszcze zauważyć znikający cień.

Niewiele myśląc, wyskoczył na ulicę i pobiegł za uciekającym. Ziemia była śliska od błota. W miarę zbliżania się do placu dostrzegał coraz wyraźniej zieloną opończę z kapturem, której poły plątały się między nogami biegnącego, przeszkadzając mu w ucieczce. Sebastián przyspieszył kroku i złapał za kaptur; właściciel opończy musiał się zatrzymać.

Uciekinier odwrócił się wyzywająco. W świetle narożnej latarni Sebastián ujrzał kościotrupa z trupa czaszką zamiast głowy. Cofnął się zaskoczony i w tym momencie zjawa rozhuśtała kaptur, machając nim jak biczem. Koniec kaptura smagnął twarz inżyniera, bryzgając mu w oczy błotem.

Kiedy oprzytomniał, było już za późno. Przetarł oczy wierzchem dłoni,łożył się do strzału i zawołał: „Stój, bo strzelam!”. Ale uciekinier był już na placu, gdzie wciąż trwał karnawał.

Za dużo ludzi, żeby strzelać, pomyślał.

Kiedy przedarł się przez tłum na drugi koniec placu, po zielonej opończy nie było śladu. Dostrzegł natomiast uzbrojony oddział straży miejskiej z latarniami. Już miał ich prosić o pomoc, ale po namyśle zrezygnował. Zaczęliby wypytywać o szczegóły i musiałby opowiedzieć o zabójstwie ojca. Wolał nie ryzykować, że podczas rewizji domu znajdą kryjówkę stryja. Najpierw przeniesie go w jakieś inne bezpieczne miejsce i dopiero potem złoży doniesienie.

Postanowił wrócić do domu. Przechodząc w pobliżu miejsca, gdzie zatrzymał intruza, zobaczył na ziemi coś błyszczącego. Schylił się i podniósł kawałek metalu – był to fragment srebrnej zapinki, przypuszczalnie ułamała się od szarpnięcia za kaptur.

Gdy znalazł się ponownie w gabinecie i zarygłował za sobą drzwi, zawołał do Álvaro, że może wychodzić z kryjówki.

– Nie widziałem jego twarzy pod maską. Ale znalazłem coś na ziemi. Myślę, że to należało do niego – powiedział, pokazując srebrny przedmiot.

– Otwórz tę szufladę z prawej i podaj mi lupę – poprosił stryja.

Po dokładnym obejrzeniu stwierdził:

– Wszystko jasne. Widać znak złotnika z oznaczeniem próby i inicjałami. To pochodzi z Limy.

– Teraz już wiedz, gdzie cię szukać, stryju. Tutaj nie jesteś bezpieczny. Musisz zmienić kryjówkę. Weź najniezbędniejsze rzeczy na tę jedną noc, a resztę doniosę ci jutro razem z jedzeniem.

– Gdzie mam iść?

– Do naszego składu powrozów nad rzeką Manzanares. Baraki są od dawna puste i nikt tam nie zagląda. Będziesz bezpieczny.

– Chcesz, żebym wyszedł na ulicę?

– Jest karnawał. Nikt cię nie zauważy.

Álvaro de Fonseca długo rozważał propozycję bratanka. Wreszcie zgodził się i oznajmił:

– W takim razie muszę coś ci dać.

Wrócił na chwilę do kryjówki i przyniósł książkę w skórzanej oprawie.

– Co to?

– *Kronika* z szesnastego wieku. Dokument najwyższej wagi. Pilnuj jak oka w głowie, żeby nie dostał się w niepowołane ręce. Obawiam się, że tego właśnie szuka morderca.

Szykując się do przeprowadzki, stryj wyjaśniał Sebastiánowi:

– Autorem tej *Kroniki* jest Diego de Acuña, skryba pełniący w Peru obowiązki sekretarza i tłumacza z języka keczua. Brał udział w wyprawie Hiszpanów przeciwko buntownikom inkaskim z Vilcabamby w tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim. Był świadkiem pojmania i egzekucji Túpaca Amaru, ostatniego z dynastii Inków. Jest więcej niż pewne, że jakieś informacje o skarbie Inków przeszły przez jego ręce.

– Jak wszedłeś w posiadanie tej *Kroniki*!

– Poprzez jednego z naszych przodków, jezuitę Cristóbalą de Fonsecę, który znał keczua i był nauczycielem Diega de Acuña.

– Sami jezuitci w tej rodzinie!

– Ród Fonseców zawsze był związany z Towarzystwem Jezusowym. A ten manuskrypt należy do nas od kilku pokoleń. Na nim oparł się twój ojciec, pisząc *Węzeł gordyjski*. Bo największa tajemnica Inków wiąże się z tym, że zdołali przekazać swe sekrety, nie znając pisma. Jak to zrobili? Niektórzy sądzą, że właśnie za pomocą sznurków z węzełkami, czyli kipu.

– To samo powiedział dyrektor teatru chwilę przedtem, zanim został powieszony. Ale czy w ogóle da się coś zapisać w taki sposób?

– Porozmawiamy o tym przy innej okazji.

Álvaro de Fonseca nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć po raz ostatni na ciało brata.

– Biedny Juan! Tak niewiele radości dało mu życie w ostatnich latach...! Co zamierzasz teraz zrobić?

– Zaprowadzę cię do nowej kryjówki i natychmiast zgłoszę się do burmistrza z zawiadomieniem o popełnionej zbrodni.

– Nie pokazuj nikomu tego obrazka, żeby nie było na jezuitów. Schowaj go razem ze sznurem, którym go uduszono.

8 Wątek

Sebastián de Fonseca zakończył czytanie mowy pogrzebowej z żalem w głosie i oczach. Złożył kartkę papieru na pół, podniósł głowę i przesunął wzrokiem po licznych żałobnikach. Był zimowy słoneczny dzień pod czystym, pięknym niebem madryckim, które ojciec tak kochał.

Słowa odczytane przed chwilą nie były jego dziełem. Nie odznaczał się talentem krasomówczym. Jak większość ludzi zaczynał się przy wystąpieniach publicznych. Tekst pożegnania napisał stryj Álvaro. Przedstawił wzruszający, lecz zupełnie Sebastiánowi nieznaną obraz zmarłego. Obraz człowieka aktywnego, jakim był kiedyś, zanim wypadek skazał go na wózek inwalidzki i skłonił do grzebania w papierach w poszukiwaniu nowej racji bytu – odkrywaniu mglistej i dręczącej przeszłości rodzinnej. W tej wzruszającej mowie pożegnalnej jezuita zawarł wszystko, czego nie zdołał powiedzieć bratu za jego życia.

Wzruszenie ogarnęło również grono zebranych. Sebastián uzmysłowił sobie, jak mało znał ojca. Miał go za człowieka staroświeckiego, przedstawiciela dawno przebrzmiałego ładu, nieumiejącego pogodzić się ze zmianami. Ale pogrzeb zaprzeczał takiej opinii. Żegnano człowieka, który był lubiany. Ignorowany przez gazety i pisma goniące za nowinkami, ale obecny w sercach i umysłach wielu najlepszych ludzi, wśród których byli i mędry, i prostaczkowie, jak domownicy i służba. To, co inni ganili jako

złe zarządzanie majątkiem, oni uważali za szczodrość godną najwyższej pochwały.

Ksiądz żegnał zmarłego psalmami pokutnymi, modlitwami łacińskimi i wodą święconą, a Sebastián wciąż rozmyślał nad smutnym losem ojca, jego pełnym sprzeczności życiem. Teraz rozumiał, dlaczego było w nim tyle goryczy – ojciec wziął na siebie ciężar ukrywania Álvaro, choć nigdy nie miał z nim dobrych stosunków. Musiał być stróżem i opiekunem starszego brata, który zawsze go lekceważył. I który teraz kajał się w mowie pogrzebowej dręczony wyrzutami.

Kiedy ksiądz skończył, ruszył orszak składających kondolencje. Był wdzięczny Frasquicie i jej mężowi Onofremu Abascalowi, że mimo swej wysokiej rangi poczekali do samego końca, aby zamienić z Sebastiánem kilka słów na osobności. Widział, że są niespokojni i wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Martwiła ich ta lawina zdarzeń niezapowiadających nic dobrego.

Frasquita była jak zwykle czuła i serdeczna.

– Na litość boską, bądź ostrożny i uważaj na siebie – powiedziała na zakończenie.

Onofre też zalecał ostrożność, ale z innego powodu. Ich rozmowa była podszyta podejrzliwością, pełna niedomówień. Bo Sebastián nie mógł powiedzieć o stryju Álvaro, musiał ukrywać przed nim tę wiadomość. Mimo wielkiej przyjaźni łączącej ich rodziny obaj wiedzieli, że nie mówią sobie wszystkiego. Szczerość byłaby zbyt wielkim ryzykiem.

– To nie jest odpowiedni moment, ale obawiam się, że lepszego nie będzie – odezwał się Onofre, przybierając poważny wyraz twarzy. – Mądryt aż trzeszczy od plotek o twoim pojedynku z markizem Montillą – zrobił znaczącą pauzę, po czym dodał: – Choć, oczywiście, ja o niczym nie wiem.

– Bardzo panu dziękuję.

– Nie dziękuj. Byłbym w dużym kłopotcie, gdybym musiał wytoczyć proces Montilli. Ma wielu możliwych protektorów. Weź to na przyszłość

pod uwagę i postępuj ostrożniej. Jesteś w trudnej i delikatnej sytuacji. Najdrobniejszy błąd może cię wiele kosztować. A ja nie wiem, czy po raz wtóry interweniowałbym w twojej sprawie.

* * *

Wracając do domu, Sebastián rozważał słowa Abascala. Nieuchronnie przywodziły mu na myśl stryja. Musi zanieść mu jedzenie do nowej kryjówki i opowiedzieć o ceremonii pogrzebowej.

Zadbał o wszelkie środki ostrożności w drodze z pałacu do starego magazynu, gdzie ukrył stryja. Koń czekał w zagrodzie u karczmarza, u którego zamówił jedzenie, bo nie chciał niepokoić służby.

Dzielnica Lavapiés*, poprzecinana strumykami spływającymi po nierównym terenie nabrzeżnej ulicy Atocha, nie na darmo nosiła to imię, zwłaszcza w okresie ulewnych deszczów. W tym labiryncie zabudowań łatwiej będzie mu zgubić ewentualnego szpiega. Kiedy zdawało mu się, że ktoś zbyt długo podąża tą samą drogą co on, zataczał szeroki łuk, dopóki nie stracił go z oczu, i co chwila oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma.

* *Lavapiés* (hiszp.) – naczynie do mycia nóg.

Wreszcie dotarł przed skład powrozów. Ale nie wszedł od razu. Zrobił jeszcze jedną rundę wokół budynków. Po raz ostatni obejrzał się za siebie i skierował ku tylnemu wejściu, upewniwszy się, że w całej okolicy nie ma żywej duszy. Przywiązał konia i zszedł na dół do stryja.

W piwnicy czuć było wilgocią i pleśnią. Wręczając przyniesione koce, stwierdził, że stryj kiepsko wygląda.

– Prawie nie zmrużyłem oka – przyznał jezuita.

Sebastián pomyślał, że to nie tylko z powodu braku wygod i nadmiaru zmartwień, ale również ze strachu. Álvaro był przybity. Znikła gdzieś jego pewność siebie i wytworność, cechy, które kiedyś dla młodego Sebastiána były nieodzownym atrybutem władzy. Przeciwności losu mocno nadwerężyły tę wyniosłość, przekształcając ją w pewien rodzaj pokory. Albo upokorzenia.

– Jeśli mnie tu znajdą i zaczną torturować, nie wytrzymam długo. Do wczoraj było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie, bo czułem się pogrzebany za życia, ale wystarczyło, że odetchnąłem świeżym powietrzem, i już nie chcę umierać.

– Uspokój się, stryju, nie umrzesz. Nie trzeba nam więcej pogrzebów. Mogę to zatrzymać na pamiątkę? – spytał, pokazując kartkę z mową pożegnalną.

– Oczywiście – potwierdził zakonnik.

Sebastián opowiedział o pogrzebie – kto przybył i jaki efekt wywarły słowa pożegnania napisane przez stryja. Álvaro kiwał głową, odpowiadając półsłówkami, ledwie żywy ze zmęczenia.

Na koniec inżynier wyciągnął kosz z żywnością, serwetki, bochen chleba, pieczonego kurczaka, butelkę wina i resztę zamówionych potraw. Podał stryjowi szklankę i nalał wina.

Jezuita powoli odzyskiwał dobrą formę, otrząsnął się z przygnębienia i chwalił jedzenie.

– Mogę cię o coś zapytać, stryju?

– Pytaj.

– Wciąż chodzi mi po głowie ten wyraz, który ojciec zapisał tuż przed śmiercią własną krwią.

– Kipu?

– Powiedziałeś, że oznacza „węzeł” w języku keczua, a samo słowo „keczua” znaczy „sznur”. Zdaje się, że w starym herbie Fonseców był kiedyś sznur z węzłem, prawda?

– Tak jest – potwierdził stryj i szybko wypił łyk wina.

– Widać go było z ulicy, bo herb znajdował się nad głównym wejściem.

– Pamiętam... Teraz pewnie leży gdzieś w kącie na dziedzińcu... Nie było sensu go trzymać po tym, jak Burbonowie odebrali Fonsecom tytuł szlachecki.

– Co właściwie przedstawiał ten herb?

– Zdaje się, że węzeł gordyjski, ten sam, który przeciął Aleksander

Wielki. To taka płatanina supłów na sznurze. Uważano, że kto rozwiąże ten węzeł, będzie rządził Azją Mniejszą. Aleksander spróbował, ale mu się nie udało. Więc wyjął miecz i przeciął go za jednym zamachem.

– Kiedy pojawił się ten znak w naszym herbie?

– W tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim – odparł stryj bez zastanowienia. A widząc zdziwienie Sebastiána, dorzucił: – Pamiętam dokładnie, bo to rok Czarnego Okrętu.

– Było o tym w sztuce teatralnej.

– To taka legenda. Powiązano ten okręt z Towarzystwem Jezusowym, choć podejrzewam, że miał całkiem inne misje do spełnienia. Przypisano je nam, jezuitom, bo trzeba było znaleźć winnego. Jedno jest pewne: tym statkiem wrócił z Peru do Hiszpanii nasz przodek, Cristóbal de Fonseca, jezuita, który nauczył Diega de Acuña posługiwać się językiem keczua. Ten Diego to autor *Kroniki*, którą ci przekazałem. Mówiłem ci już.

– Mój ojciec o tym wiedział?

– Oczywiście. Był przekonany, że to zapoczątkowało pomyślność rodu Fonsecaów. Przykładał wielką wagę do tej *Kroniki*.

– Sądzisz, że węzeł w herbie mógł coś sygnalizować?

Álvaro zawahał się. Widać było, że ostrożnie dobiera każde słowo.

– Nie wiem, co odpowiedzieć... Czy węzeł coś sygnalizował i komu? Złośliwi mówili, że to nie jest węzeł gordyjski, tylko coś bardziej prozaicznego. Jak wiadomo, Fonsecaowie zbili majątek na handlu powrozami. Nasz ród nigdy nie miał w herbie pokonanego lwa, Maura z obciętą głową lub czegoś podobnego. Przez długi czas byliśmy głównymi dostawcami takielunku dla statków Armady. Połowa olinowania pochodziła z naszych warsztatów.

– Wciąż nie brak chętnych, żeby odebrać nam resztkę zamówień... Na przykład markiz Montilla, nasz sąsiad na andaluzyjskich włościach.

– Masz na myśli ojca czy syna?

– Obu – przyznał Sebastián.

– To ci powiem, że stary Montilla najgorliwiej zabiegał o usunięcie herbu z fasady pałacu Fonsecaów. Wciąż przypominał, że byliśmy nielojalni

wobec Korony, a mimo to nadal dostajemy oficjalne zamówienia na wyrób sznurów. Niektórzy twierdzą, że przyczynił się do śmierci twojej matki i kalectwa ojca. Ale trudno go obwiniać o ten wypadek, bo nie było dowodów...

- Ostatnio pojedynkowałem się z jego synem.
- Jak mogłeś? To czyste szaleństwo!
- Musiałem. Sam mnie sprowokował publicznie.

Álvaro zamilkł i długo nic nie mówił trawiony niepokojem. Odezwał się dopiero wtedy, gdy zobaczył, że bratanek szykuje się do wyjścia. Nie miał ochoty zostawać sam.

– Zabrałeś się do *Kroniki*!

– Tak, ale niewiele przeczytałem – przyznał Sebastián. – Pełno w niej skrótów i niejasności, a na dodatek Diego de Acuña ma taki charakter pisma, że trudno go odczytać.

– Twój ojciec robił notatki, które mogą ci pomóc. Odczytanie tego tekstu zajęło mu dużo czasu i kosztowało wiele pracy i wysiłków.

– Nie wszystko rozumiem. Może dlatego, że zbyt mało wiem o Peru sprzed dwustu lat. Czy rzeczywiście ten dokument jest taki ważny?

– Przecież ci powiedziałem, że jego autor był tłumaczem podczas wyprawy, która zakończyła się w tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim roku zdobyciem przez Hiszpanów Vilcabamby, ostatniego bastionu Inków. Musiał wiedzieć, gdzie ukryli swój skarb.

– I napisał o tym w *Kronice*?

– Tak przynajmniej sądził twój ojciec. Ale nie wiadomo, jak to zrobił. Na pewno znalazł jakiś sposób, żeby sekret nie dostał się w niepowołane ręce.

– Może użył szyfru?

– Nie sądzę. Inkowie nie znali pisma. Jak mówiłem, rejestrowali wszystkie informacje, zwłaszcza rachunkowe, za pomocą systemu sznurów i węzłów, które nazywali kipu. Teraz rozumiesz, dlaczego Juan napisał przed śmiercią to słowo?

– Jeszcze niezupełnie. Czy nikt nie rozszyfrował tego systemu?

– Jak dotąd nie. W przeciwnym razie dowiedzielibyśmy się od razu, bo Towarzystwu Jezusowemu bardzo na tym zależało. Jezuici długo pracowali nad tym problemem w różnych archiwach.

– Nie wierzę, że to takie trudne. Wystarczy kontynuować prace.

– Mylisz się. Pod koniec szesnastego wieku Trzeci Sobór Limski ogłosił, że kipu są przedmiotem bałwochwalstwa, i rozkazał je zniszczyć. Jeśli jakieś się zachowały, to tylko przypadkiem.

– To znaczy, że pisząc to słowo, ojciec chciał mi przekazać wiele informacji.

– A ty co byś zrobił, gdybyś miał napisać jedno słowo w momencie śmierci? Wybrałbyś najkrótsze i najbardziej treściwe, prawda? Takie, które najwięcej mówi o mordercy i jego zamiarach.

– Jak wyglądało to kipu, które widziałeś w Limie?

– Zwinięte, przypominało bicz albo pasek. Nikt nie zwróciłby uwagi na ten zwój cienkich sznurków, gdyby nie wiedział, o co chodzi. Natomiast po rozwinięciu ukazywał się główny sznur, długi na dwie stopy, z którego zwisały delikatne różnokolorowe frędzle, długie na półtorej piędzi, powiązane w różnych miejscach w supełki. Dzięki temu Inkowie mogli prowadzić swoje rachunki.

– Tak jak my za pomocą liczydeł?

– Mniej więcej. Zdaje się, że kipu służyło im do inwentaryzacji mieszkańców, ziemi, zapasów... Jednym słowem: całego imperium. Twój ojciec twierdzi w notatkach, że rejestrowali wszystkie wyroby, każdą parę sandałów, i mieli nadzwyczaj skuteczny system zarządzania w państwie.

– Tego się nie da zrobić bez pisania – upierał się Sebastián.

– Dobrze byłoby odnaleźć kipu i umieć je rozszyfrować. Myślę, że o to chodziło twojemu ojcu. I to jest ta misja, którą powierzył ci w chwili śmierci. *Kronika* zawiera dużo aluzji dotyczących jednego, bardzo szczególnego kipu, sam się o tym przekonasz. Dlatego Juan był zdania, że rękopis przyniesie rozwiązanie zagadki, jeśli zdołamy go odczytać metodą skjarzeniową.

– Co to znaczy?

– Porozbijał tekst na małe fragmenty i poumieszczał je w przegródkach swego biurka, które pełni funkcję klasyfikatora. W *Kronice* jest wyjaśnienie, co z tym dalej robić. Sam się przekonał.

– A owo szczególne kipu, które tak interesowało ojca, to jakiś konkretny sznur z węzłami czy fragment *Kroniki* z jego opisem?

– Nie wiem. Było brakującym elementem w tej układance Juana, bez niego nie potrafił złożyć poszczególnych części *Kroniki* w nową całość. Może oznaczać klucz albo mapkę. Ale pisząc to słowo, pragnął jednocześnie ostrzec cię przed niebezpieczeństwem, bo zdaje się, że morderca również szuka tego kipu. Masz *Kronikę*, ale nie masz kipu, więc niewiele zrozumiesz z tej lektury. Pamiętaj jednak, że tu nie chodzi o jakieś zwykłe kipu. Ono jest wyjątkowe i tak ważne, że w tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim roku przywiozła je do Hiszpanii na pokładzie tajemniczego statku pewna kobieta powierzona opiece naszego przodka Cristóbalu. Inkowie z Vilcabamby złożyli w jej ręce to, co mieli najcenniejszego w swej kulturze.

– Aż tak jej zaufali? Musieli być bardzo zdesperowani.

– Nie mieli innego wyjścia, bo znaleźli się w nowej dla siebie sytuacji. Wyobraź sobie, że jedno z największych imperiów w historii świata niespodziewanie staje w obliczu zagłady za sprawą stu kilkudziesięciu awanturników hiszpańskich pod wodzą Francisca Pizarra. Grupa najdzielniejszych Indian nie chciała się z tym pogodzić, dlatego schronili się w warownym mieście Vilcabamba, gdzie przetrwali trzydzieści sześć lat. Wiedzieli, że ten czas jest im dany na ratowanie cywilizacji, skarbów i sekretów, dzięki którym ich przodkowie ujarzmili dziką przyrodę Andów. W tak krótkim czasie i właśnie w tym miejscu musieli sporządzić jakąś formę przekazu, która przetrwałaby hiszpańską nawałnicę. Coś takiego, czego najeźdźcy nie wykryją i nie zniszczą od razu. Tu wchodzi w grę tylko i wyłącznie ów enigmatyczny system sznurków i węzełków. Posłużyli się nim przy wyrobie tkanin ubraniowych. Dzień w dzień nosili te swoje stroje na oczach konkwistadorów, nieświadomych, że mają do czynienia z czymś w rodzaju żywego archiwum. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba było

komuś powierzyć pieczę nad kluczem do odczytania tej zagadki.

– Skąd wiedzieliście obaj z ojcem o tej historii i o Czarnym Okręcie?

– Byłem archiwistą Cesarskiego Kolegium. Utajnione zasoby archiwalne zawierały między innymi dokumentację dotyczącą rejsu Czarnego Okrętu odbytego w roku tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim. I wyobraź sobie, że tego samego dnia, w którym nasz zakon został rozwiązany, a ojcowie skazani na wygnanie, zjawił się w archiwum jezuickim ktoś, kogo nie interesowało nic oprócz tej dokumentacji.

– Założę się, że ją sobie przywłaszczył.

– Nie, bo niczego nie znalazł. Kilka lat wcześniej przewiozłem ją do Peru, żeby porównać z dokumentami przechowywanymi w limskim archiwum jezuickim. Zrobiłem to potajemnie. Zależało mi również na tym, żeby przetłumaczyć niektóre dokumenty z języka keczua.

– A więc ktoś, kto trzynaście lat temu, w momencie kasacji zakonu szukał tych materiałów w madryckim archiwum i nie znalazł, mógł pomyśleć, że ty je ukryłeś, stryju.

– I dlatego teraz próbują mnie znaleźć. A gdy zorientują się, że nawiązaliśmy kontakt, ty również będziesz poszukiwany, grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Musisz bardzo uważać, żeby nie podzielić losu swego ojca. Dobrze się zastanów, zanim podejmiesz jakąś decyzję w tej sprawie...

– Nie ujdzie im to płazem. Zapłacą mi za śmierć ojca.

– W porządku...

Zakonnik umilkł. Wahał się, czy kontynuować ten wątek. Rozgrzebywać starą historię. Poprzysiągł kiedyś, że dotrzyma sekretu, ale czy ta przysięga wciąż go obowiązuje, skoro nie ma już Towarzystwa Jezusowego? Nieznajomość faktów narazi Sebastiána na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Nie ma co się dłużej zastanawiać. Może to już ostatnia okazja, żeby opowiedzieć o tamtych smutnych wydarzeniach.

9 Plan Inki

Álvaro de Fonseca postanowił zrekonstruować na użytek bratanka dramatyczne zajście sprzed trzynastu lat. O świcie pierwszego kwietnia 1767 roku zbrojne oddziały otoczyły Cesarskie Kolegium w Madrycie i siłą wtargnęły do środka. Zaraz potem ogłoszono konfiskatę mienia jezuitów i aresztowano zakonników, rozstawiając wszędzie uzbrojonych żołnierzy.

– Jak dowiedzieliśmy się później, wszystko było zawczasu przygotowane w najdrobniejszych szczegółach. Zwłaszcza okupacja kolegium, klejnotu naszego zakonu. Ledwie zdążyliśmy otworzyć bramę i wypuścić żołnierzy, a już sędzia wydał rozkaz zajęcia wieży, żebyśmy nie mogli uderzyć w dzwony i ostrzec naszych współbraci. Odcięto nam także możliwość kontaktu z ludźmi z zewnątrz, ponieważ przy każdych drzwiach prowadzących na ulicę postawiono warty.

– Widać, że maczał w tym palce hrabia Aranda, specjalista do spraw wojskowych.

– Następnie kazano rektorowi kolegium wezwać wszystkich ojców do sali kapituły. Tam odczytano nam rozkaz natychmiastowego wydalenia z kraju. Pod bramą czekały już powozy, żeby przewieźć ojców do najbliższego portu morskiego. Każdy zakonnik mógł zabrać tylko brewiarz i ubranie na zmianę.

– Nie stawiliście oporu?

– Kto ważyłby się oprzeć rozkazom samego Arandy? Od początku było wiadomo, że wszelki bunt będzie karany śmiercią. A poza tym jedna z naszych reguł zakonnych mówi o bezwzględnym posłuszeństwie, „czerpaniu satysfakcji z postawy reprezentowanej przez Martę”.

– Jak zdołałeś wyrwać się stamtąd, stryju?

– Początkowo nie miałem takiego zamiaru. Najpierw usunięto z kolegium zakonników, bo obawiano się jednak, że dojdzie do protestu. Potem przystąpiono do przygotowania bagaży i wywozu dokumentów, a to już była bardziej skomplikowana sprawa. Trzeba było powołać paru koadiutorów. Zostałem jednym z nich. Jako archiwista otrzymałem rozkaz pozostania w kolegium. W trakcie szczegółowej rewizji mojego gabinetu znaleziono tę rycinę i wtedy stałem się dla nich wrogiem numer jeden.

– Jaką rycinę?

– Tę, której użyto do sporządzenia torebki z solą przymocowanej do sznura na szyi twojego ojca. Dlatego od razu zorientowałem się, o co chodzi.

– Skąd wiesz, że to ta sama?

– Dostałem ją w Limie od dyrektora archiwum jezuitów. Ma pewien defekt, dzięki któremu poznałem, że to ten sam egzemplarz. Jest to reprodukcja oryginalnego obrazu z siedemnastego wieku, który znajdował się w kościele Jezuitów w Cuzco, dawnej stolicy Inków. Przedstawia pewien rodzaj alegorii, czyli apoteozę. W zakonie znany był pod nazwą Chrześcijańska Monarchia Peru albo, krócej, Plan Inki.

– Plan Inki?

– Zaraz zobaczysz dlaczego. Jeśli dobrze się przyjrzyysz, ujrzyysz dwóch jezuitów. Ten z lewej to święty Ignacy Loyola.

– Tak myślałem.

– A ten z prawej to święty Franciszek Borgia.

– Inaczej mówiąc, mamy tu założyciela Towarzystwa Jezusowego obok jednego z najważniejszych świętych waszego zakonu. A co tu robią Indianie?

– Są tu przedstawione dwie ceremonie ślubne. Trzeba ci wiedzieć, że

Martín García Loyola, bratanek świętego Ignacego, poślubił bratanicę i główną spadkobierczynię ostatniego imperatora Inków Túpaca Amaru. A ich córka wyszła za mąż za wnuka świętego Franciszka Borgii.

– Czyli mamy tu skrzyżowanie rodu Inki z dwoma najważniejszymi świętymi zakonu jezuitów.

– Nie tylko. Martin García Loyola otrzymał rękę bratanicy Túpaca Amaru w nagrodę za zdobycie Vilcabamby i schwywanie tegoż władcy. Potomstwo zrodzone z tych związków dziedziczy prawa dynastyczne Inków. Tak to uznaje Korona Hiszpańska.

– Chyba już rozumiem, dlaczego ten obraz nazywa się Planem Inki.

– Niektórzy sądzą, że wyraża ambicje jezuitów do zawładnięcia dawnym tronem Inków i, w perspektywie, całą Ameryką Południową. Mówi się o tym w *Węzle gordyjskim*.

– Nic takiego nie zauważyłem.

– Bo spektakl został przerwany. W tej sztuce jest dużo więcej aluzji do skarbu Inków. Twój ojciec poumieszczał w różnych fragmentach zaszyfrowane zdania, żeby sprawdzić, jak to zostanie przyjęte przez publiczność. Były zaadresowane w sposób szczególny do pewnej osoby, która tego dnia miała znaleźć się na widowni. Takie puszczenie oka do kogoś, kto wie, o co chodzi, i kto zrobi wszystko, żeby skontaktować się z autorem przeróbki.

– Ale przecież tekst sztuki musiał przejść przez cenzurę. Onofre Abascal nigdy by się nie zgodził na takie wzmianki.

– W oryginale ich nie było. Juan zapewne wprowadził te nowe dialogi w ostatniej chwili, bo o ile wiem, wcześniej nie było mowy o tym, że skarb został ukryty w miejscu zwanym Okiem Inki. Wiedział o tym tylko Cañizares, który miał wygłosić tę kwestię ze sceny.

– Czy wiesz, dlaczego ojciec wprowadził te zmiany?

– Chyba tak. Powiedział mi, że miał wizytę. Odwiedziła go pewna kobieta z Peru.

– Metyska? – spytał Sebastián. I widząc wahanie Álvara, dodał czym prędzej: – Towarzyszył jej potężny Indianin?

- Rzeczywiście, Juan wspominał coś o Indianinie.
- Ojciec dał mi krótki list dla Cañizaresa, w którym ostrzegał przed tą kobietą. Widziałem ją w teatrze. Była bardzo niespokojna. Indianin opuścił łożę chwilę przed śmiercią dyrektora teatru. Powieszono go przy opuszczonej kurtynie podczas zmiany scenerii.
- Teraz rozumiesz, dlaczego pragnąłem cię ostrzec?
- Jeszcze jedno pytanie, stryju. Powiedziałeś, że w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym, kiedy doszło do okupacji Cesarzowskiego Kolegium w Madrycie, ktoś szukał dokumentów Czarnego Okrętu i materiałów dotyczących Peru.
- Tak było.
- W takim razie należy przypuszczać, że ktoś interesuje się tymi sprawami od wielu lat. I na pewno był też w limskim archiwum, kiedy wypędzono stamtąd jezuitów.
- Owszem, ale nic nie znalazł, bo uprzedziłem współpraci.
- Jak ci się to udało?
- Przekupiłem marynarza ze statku płynącego do Peru. Zabrał ze sobą list z wiadomością o wypędzeniu jezuitów z Hiszpanii. Było to wkrótce potem, jak znalazłem schronienie w podziemiach pałacu Fonseców. Kazałem naszemu zarządcy z Kadyksu Pacowi Powroźnikowi wyszukać odpowiedniego załoganta i dobrze mu zapłacić. Jednocześnie Paco i twój ojciec zostawili szereg fałszywych śladów, aby przekonać władze, że ukrywałem się w naszym majątku koło Kadyksu, i gdy nadarzyła się okazja, opuściłem Hiszpanię drogą morską. Dlatego przestano mnie poszukiwać i mogłem spokojnie siedzieć w piwnicy.
- Jezuita zamilkł i patrzył na inżyniera, wyczuwając jego niepokój. Sebastián pierwszy przerwał milczenie:
- Czytałeś dokumenty Czarnego Okrętu?
- Oczywiście. Dlatego wiem, że razem z naszym przodkiem Cristóballem de Fonsecą przybyła pewna kobieta z Peru.
- Co się z nią potem stało?
- Mieszkała do śmierci w Hiszpanii pod fałszywym nazwiskiem. Pochowano ją na naszym cmentarzu rodzinnym niedaleko Kadyksu.

– Kto jeszcze o tym wie?
– Mam wrażenie, że teraz zaczyna się na nowo odgrzebywanie tych starych historii, ponieważ tron Inków jest na wagę złota. Los całego kontynentu i plany niepodległościowe zależą od tego, kto zasiądzie na tym tronie, kto potrafi udowodnić, że jest prawowitym spadkobiercą. Podejrzewam, że parę osób nie cofnie się przed niczym, żeby zdobyć wiadomości będące w posiadaniu naszej rodziny. Dlatego jesteśmy w centrum uwagi.

– Kto to taki?

– Dokładnie nie wiem. Ale już nasz przodek Cristóbal de Fonseca miał kłopoty. Został uwięziony i zginęły mu jakieś papiery. Nigdy nie chciał zdradzić miejsca pochówku tej kobiety. Mam wrażenie, że ten grób zawiera jakieś ważne wskazówki. Może to mapa zaginionego miasta Vilcabamba albo szkic szlaku prowadzącego do ukrytego skarbu Inków.

– Grób to idealne miejsce na ukrycie skarbu.

– Jakkolwiek na to spojrzeć, życie naszych przodków skrywa parę tajemnic.

– Wiem coś na ten temat, bo za każdym razem, gdy zabiegałem o awans w wojsku, musiałem tłumaczyć się ze swego wyglądu.

– A ja interweniowałem w sprawie twojego przyjęcia do Cesarskiego Kolegium, bo podano w wątpliwość twoje szlacheckie pochodzenie. Ktoś zna peruwiański rozdział historii rodu Fonseców i stara się to wykorzystać na swoją korzyść, a przeciwko nam.

Sebastián rozejrzał się dookoła i powiedział do stryja:

– Muszę już iść. Trzeba ci czegoś jeszcze?

– Mam jedną osobistą prośbę... – zająknął się Álvaro.

– Słucham.

– To wiąże się z moim pobytem w Peru. Po powrocie przez długi czas korespondowałem z jednym z moich limskich uczniów. Właśnie do niego napisałem w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym ów list, który Paco Powroźnik wręczył marynarzowi ze statku wiozącego do Limy rozkaz o wydaleniu jezuitów.

– Jak się nazywa ten uczeń?

- Czy to takie ważne?
- Tak, stryju. Mnie możesz powiedzieć.

Drżący ton głosu i lękliwe spojrzenie stryja uzmysłowiły inżynierowi, że stary jezuita ma coś na sumieniu, choć minęło już tyle lat.

– Nazywa się Gil de Ondegardo. Jest archiwistą, zna język keczua i tłumaczył dla mnie te dokumenty, które wywiozłem do Peru.

– Wciąż tam mieszka?

– Tak, pozwolili mu zostać. Dekret o wygnaniu go nie obejmował, gdyż on w tym momencie nie był już jezuitą. Opuścił zakon wcześniej. Martwię się, bo od jakiegoś czasu nie mam od niego wiadomości. Może odkryli naszą korespondencję i przejęli listy. O ile wiem, on postanowił wymazać ze swego życia wszystko, co świadczyło o jezuickiej przeszłości. Kazał pisać do siebie na adres: Maria de Ondegardo. Zdaje się, że to jego matka. Moje listy do niego podpisywał twój ojciec, żeby nie budzić podejrzeń. Muszę go teraz ostrzec. Tu jest ten list. Zależy mi na tym, aby otrzymał go do rąk własnych z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Paco Powroźnik będzie wiedział, jak to zrobić. Przekażesz mu ten list?

– Oczywiście, możesz na mnie liczyć. Poszukam kogoś zaufanego, kto jedzie do Kadyksu.

– Nie ma takiej potrzeby. Paco jest w Madrycie. Wiem to od twego ojca. Przyjechał pokazać mu nowe liny. Zamierzają sprzedać je Armadzie. Obawiam się, że jedną z tych lin Juan został uduszony. Porozmawiaj z Pakiem. On ci wszystko wyjaśni.

– Majordomus Moncho będzie wiedział, gdzie go szukać?

– Jasne. Masz ten sznur, którym uduszono twojego ojca?

– Tak. Zrobiłem, jak kazałeś.

– Pokaż go Pacowi. To najlepszy specjalista od węzłów, jakiego znam.

Uścisnął mocno bratanka na pożegnanie i powiedział wzruszony:

– Uważaj na siebie, mój drogi. Bądź ostrożny!

Kiedy Sebastián znalazł się na ulicy i zacerpnął świeżego powietrza, ogarnęło go dziwne przygębienie. Przytłaczał go ciężar nowej odpowiedzialności. Ale nie tylko. Chociaż kluczył po okolicy dla zatarcia śladów, wciąż miał wrażenie, że ktoś go śledzi.

10 Paco Powroźnik

Mężczyzna chwycił prawą ręką nóż sprężynowy i otworzył go szybkim, zdecydowanym ruchem. W lewej dłoni trzymał linę z owym poczwórnym węzłem. Rozwinął ją, naprężył i umiejętnie badał każde włókno, biorąc je między palce i dotykając opuszkami. Był bardzo skoncentrowany na tej czynności, ale nie uszło jego uwagi, że Sebastián przygląda mu się ze zdziwieniem.

Podsunał inżynierowi pod nos rozciągnięty powróż. Ten nie zrozumiał, o co chodzi. Kazał mu powąchać. Fonseca przesunął parę razy nosem od góry do dołu i stwierdził:

– Nic nie czuję.

– No właśnie – odezwał się Paco Powroźnik. – Liny tego rodzaju zwykle są smołowane, żeby nie zawilgotniały. Ale gorąca smoła może przypalić cząstki włókna. Trzeba więc było poszukać innego sposobu. Niektórzy stosują impregnację na zimno, używając do tego pakulów. Jednak w tym przypadku mamy do czynienia z czymś zupełnie innym.

Sebastián słuchał uważnie i nadal nic nie rozumiał. Majster kontynuował:

– Nie ulega wątpliwości, że ten sznur jest impregnowany. Spróbuję go przeciąć. I co? Nóż się ślizga.

To Sebastián już wiedział, bo początkowo sam próbował rozciąć sznur szpadą. Paco odgiął nożem jedno włókno.

– I co tu widzimy? Wosk – wyjaśnił zdumionemu rozmówcy. – Trudno przeciąć sznur, bo jest nawoskowany. To nowość.

– Nowość?

– Tak, nowa metoda, w Hiszpanii jeszcze nieznaną, ale stosuje się ją na Malcie. My jesteśmy pierwsi. Nie wiem, co z tego wyjdzie, bo to dopiero pierwsza partia wyrobów. Boję się, że szczury skuszone woskiem zaczną nadgryzać liny okrętowe.

– To znaczy, że tylko my wytwarzamy takie powrozy? A kto o tym wie?

– Wszyscy. Trzeba było wykonać próbę na wytrzymałość w obecności wielu świadków i zarejestrować wyniki w księgach stoczni w La Carraca koło Kadyksu. Materiał przeznaczony na kable i takielunek musi być bardzo wytrzymały. Ten sznur jest tego najlepszym przykładem. Urwał się dopiero przy obciążeniu wynoszącym czterdzieści jeden kwintali* dwie arroby**.

* Kwintal – hiszpańska miara wagowa równa ok. 5 kg.

** Arroba – hiszpańska miara wagowa równa 11,5 kg.

– Znaczy, że gdyby pokazać go ekspertom, żaden z nich nie miałby wątpliwości, że pochodzi z warsztatu Fonsecaów.

– Osobiście zaniósłem go kilka dni temu pańskiemu ojcu. Mamy zamówienie od Armady na takielunek dla okrętu liniowego. Ale brakuje nam pieniędzy, żeby rozpocząć produkcję.

– A co powiesz o tym wiązaniu?

Paco znów się pochylił. Końcem noża pociągnął wzdłuż splotu, zrobił parę nacięć, w jednym miejscu docisnął, w innym poluzował. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie potrząsnął głową i poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Próbuję sprawdzić, jak to zostało zrobione. Badam kierunek i kolejność splotów... A także rodzaj odkształcenia... Mistrzowska robota, nie ma

co. Ktoś miał dużo sprytu i zwinne palce. Skomplikowane... Nie zawaham się stwierdzić, że pomysłodawca i wykonawca to jedna osoba.

– Skąd wiesz?

– Węzeł jest jak podpis autorski. Widać w nim rękę mistrza. Choćby w sposobie przeplatania, bo skręt może zaczynać się od góry albo od dołu, z lewej strony albo z prawej. Jest kilka rodzajów, może z pół tuzina, węzłów, które służą do duszenia. Ten jest częściowo regularny. Przynajmniej do tego miejsca. – Paco pokazał czubkiem noża pierwszy splot. – Następnie idzie skrót i pętla się zaciąga. Przemysłne urządzenie!

– Jaki stąd wniosek? – niecierpliwił się Sebastián.

– Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego. To nie jest ani węzeł rybacki, ani żeglarski. Nie pasuje mi też do hodowców bydła ani do żadnego innego zawodu, jaki znam. Chyba że to węzeł tkacki... Ale nietutejszy. Ciekawa odmiana węzła poczwórnego nazywanego krwawym.

– Krwawy węzeł?

– A tak. To najlepszy sposób na połączenie dwóch końcówek tak, żeby nic nie było widać. Mało znany wśród marynarzy, a jego technika wciąż pozostaje sekretem.

Paco długo pływał na statkach i zdawał sobie sprawę, jak ważne są węzły w zawodzie marynarza. Wyjaśnił Sebastiánowi, że od wytrzymałości węzła zależy życie człowieka, a nieraz i całej załogi. Paruset mężczyzn. Nikt nie jest bardziej zależny od węzłów niż marynarze. Dlatego wymyślili ich dziesięciokrotnie więcej niż wszystkie inne zawody razem wzięte.

– Średniej wielkości statek ma kilka mil sznurów. Każdy majtek parę razy dziennie bada cały takielunek cal po calu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Powroźnik zaczął wspominać długie rejsy, podczas których mogło zabraknąć wszystkiego z wyjątkiem czasu i sznurów. I jak tu nie wymyślać węzłów? Dobrego marynarza poznawało się po splotach sznurka, którym owijał kufer albo worek na rzeczy osobiste. Ledwie postawił nogę na pokładzie, a już wiedziano, co sobą przedstawia. Nawet chłopiec okrętowy

miał tę świadomość, że jeśli znajdzie dobry węzeł, to dzieło jego rąk i umysłu stanie się znane na całym świecie. Dlatego technikę wiązania utrzymywano zawsze w sekrecie. Można ją było zdradzić tylko w zamian za inny, równie rzadki i cenny węzeł.

– Miałem to szczęście, że pracowałem w stoczni w La Carraca, która przyjmowała dużo statków w celu uzbrojenia, przeglądu albo naprawy kadłuba, wymiany uzupełnienia żagli i takielunku. Poznałem też sporo koszykarzy, szewców, chirurgów i, oczywiście, tkaczy.

– Czym szczególnie odznacza się krwawy węzeł?

– Wydaje się prosty, całkiem zwyczajny, ale na palcach jednej ręki można zliczyć ludzi, którzy umieją go wykonać. To najtrudniejszy sprawdzian, próba ogniowa dla marynarzy, tak połączyć dwa końce, żeby wyglądały i działały jak jedna całość, bez dających się rozwiązać splotów.

Sebastián przypomniał sobie, co się działo w teatrze, gdy znaleziono powieszonoego Cañizaresa. I zadał Pacowi następane pytanie:

– Nie każdy to potrafi, prawda?

– Bardzo niewielu.

– Ale mówisz, że przy robieniu tego węzła zastosowano trochę inną technikę.

– My takiej nie używamy.

– A więc ktoś, kto posłużył się liną z naszej nowej partii wyrobów, udowodnił, że dobrze zna się na tym interesie.

– Niestety, tak.

– To mógł być markiz Montilla – zasugerował Fonseca.

– Owszem, jest naszym konkurentem w dostawach dla statków Armady, ale nie umiem powiedzieć, czy to zrobił – odparł ostrożnie majster.

– Długo zostaniesz w Madrycie?

– Tyle, ile trzeba. To zależy od pana.

Sebastián położył mu z wdzięcznością dłoń na ramieniu, dając jednocześnie znak, że może odejść.

Kiedy został sam, pojawiły się pierwsze wątpliwości: to niefortunne

spotkanie z Montillą w teatrze nie było przypadkowe. Wszystko zostało zaplanowane, a markiz pomagał komuś, kto pragnął odwrócić uwagę Sebastiána od tego, co działo się w domu ojca.

Opadły go złe przeczucia.

Przepowiednie

Zawrócił w stronę opuszczonego składu powrozów i sprawdził tylne wejście. Drzwi były otwarte.

Chyba zamknąłem je dokładnie, usiłował sobie przypomnieć.

Zeskoczył z konia i wbiegł do środka co sił w nogach.

Kiedy był już o krok od kryjówki stryja, zawołał go po imieniu.

Nikt nie odpowiedział.

Było ciemno. Poszukał po omacku świeczki. Tak trzęsły mu się ręce z pośpiechu i niepokoju, że dopiero po kilku próbach zdołał wykrzesać ogień.

Pośliznął się, schodząc po wąskich, drewnianych schodkach. Były ubrudzone, pełne świeżych śladów błota.

Kiedy znalazł się na dole, serce zabiło mu mocniej. Instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Zwłaszcza gdy ujrzał stryja leżącego bezwładnie na podłodze.

Leżący nie usłyszał jego wołania. Nie poruszył się.

Podchodząc bliżej, zobaczył na jego szyi to, czego tak bardzo się obawiał. Pętlę zaciągniętą krwawym węzłem z czterema splotami. W taki sam

sposób uduszono jego ojca i powieszono dyrektora teatru.

Tylko że teraz wszystko odbyło się pospiesznie i brutalnie, bez tamtych subtelnosci. Álvaro de Fonseca miał wciąż otwarte, rozszerzone paniką oczy.

– Mój Boże! – szepnął Sebastián i pochylił się, żeby zamknąć stryjowi powieki. – Uciszyli go na zawsze, bo za dużo wiedział.

Starał się opanować i zastanowić, co ma zrobić z ciałem.

Kiedy przysunął bliżej świeczkę, odkrył, że do jednego ze słupów przyczepiona jest kartka zadrukowanego papieru. Wyglądała jak wyrwana ze starych almanachów, które tak lubił oglądać. Może znowu jakaś przepowiednia Torresa Villarroela. Przeczytał: *Wysoki urzędnik, który przebiegłością wdrapał się na same szczyty władzy, zginie okrutną śmiercią ku ucieksze swoich popleczników, którzy jeszcze tak niedawno mu kadzili... Dymisja ministra, który nie umiał wyciągnąć należytych wniosków z tej zagadki. Niespokojna sytuacja na dworze. Gwałtownicy wprowadzają zamęt, niektórych spotka za to kara śmierci.*

Niewiele więcej mógł zrobić. W tej samej chwili usłyszał rżenie konia i straszliwy huk. Ktoś próbował wyważyć drzwi, które Sebastián zostawił zamknięte.

Instynktownie sięgnął po szpadę. Ale miał przy sobie tylko broń do walki konnej, teraz niezbyt przydatną. Zresztą i tak nie mógł z niej skorzystać. Pierwszy napastnik, który pojawił się na drabinie, mierzył do niego z dwóch pistoletów. Niezwłocznie otoczyło go jeszcze trzech. A po nich szedł piąty wyglądający na dowódcę.

Ktoś wymyślił na Sebastiána dobrą zasadzkę. Podwójną pułapkę: mogli go oskarżyć o zamordowanie włóczęgi albo o ukrywanie jezuitę. Tak czy inaczej, nie mógł się bronić. Jego wrogowie mieli wszystkie atuty w rękę. Ktoś się o to postarał.

Związali mu ręce na plecach tak ciasno, że zaraz mu zdrętwiały wskutek złego krążenia krwi. Wetknęli szmatę w usta i zakneblowali. Na koniec wsadzili na głowę czarny kaptur. Nie mieli dla niego żadnych względów, popchnęli ku drabinie i kuksańcami popędzali do góry. Potem wlekli po ulicy i wrzucili do powozu, który natychmiast ruszył.

To nie byli urzędnicy sądowi ani magistracy, sam nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Nie nosili mundurów i nie przestrzegali żadnych przepisów policyjnych.

Powóz podskakiwał z trzaskiem po ulicach i placach. Początkowo jechali po twardej nawierzchni, słyszał stukot kół, jakieś głosy na zewnątrz, trucht koni przejeżdżającej obok karety. Potem odgłosy zrzędyły, powóz zatrząsł się na wybojach, teren stawał się nierówny, co wskazywało, że wyjechali z miasta. Zastanawiał się, dokąd go wiozą – i po co.

Wreszcie pojazd się zatrzymał. Otworzyli drzwi i kazali mu wysiadać. Dwaj mężczyźni ujęli go pod pachy i pociągnęli z taką siłą, że przebiegał nogami w powietrzu. Usłyszał nowe głosy, zaskrzypiały ponuro drzwi i znaleźli się w jakimś pomieszczeniu.

Teraz miał pod stopami wyszczerbione płytki. Nie zatrzymując się, poszli dalej prosto przed siebie i dopiero po chwili przystanęli.

Zazgrzytały zamek, otworzyły się kolejne drzwi i potężny cios w plecy przewrócił go na ziemię. Zanim zdążył się podnieść, skuli mu ręce i nogi kajdanami przymocowanymi do ściany.

Było tu zimno i wilgotno. Nic nie widział, ale miał pewność, że znalazł się w lochach używanych jako tajne więzienie. Czuł świeży zapach wymiocin i moczu, chociaż zdawało mu się, że nie ma tu nikogo oprócz niego. W powietrzu unosił się przeraźliwy odór strachu. Słyszał też jakieś kroki za drzwiami, głośny krzyk, odgłosy bicia i skowyt torturowanych.

Zaczął się obawiać, że nie pomoże mu już żaden woźny sądowy, alkad lub sędzia śledczy, który nakazałby wszcząć postępowanie, wezwał świadków i wykonał szereg innych czynności prawnych. Nie będzie skryby, przesłuchań, procesu ani rekwizycji. W rejestrze zatrzymanych nie pozostanie po nim nawet ślad.

Boję się, że nie wyjdę stąd żywy, myślał, podciągając się i opierając o ścianę.

Musi przemyśleć wszystko od początku i ułożyć sobie jakiś plan.

* * *

Nie minęło wiele czasu, gdy na korytarzu zadźwięczały czyjeś kroki.

Kroki mocne, energiczne, zdecydowane. Zatrzymały się pod jego drzwiami i usłyszał trzask otwieranej zasuw. Przyszli po niego.

Zdjęli mu kajdany z nóg i uwolnili ramiona z żelaznych obręczy wystających ze ściany. Przed wyprowadzeniem z celi ściągnęli mu na chwilę kaptur z głowy, żeby wyjąć z ust knebel. Potem znów włożyli kaptur i poszturchując, wypchnęli na korytarz. Powlekli go do jakiegoś pomieszczenia.

Nadal nic nie widział, ale poczuł bijące z lewej strony ciepło. Jednocześnie usłyszał czyjś srogi głos. Mówiący znajdował się na wprost niego. To chyba przesłuchanie, pomyślał. Po hałasach dobiegających z prawej strony wywnioskował, że przesłuchujący opiera się o stół, na którym jakaś inna osoba rozkłada przybory do pisania.

– Powiem otwarcie, muszę mieć ten dokument – odezwał się ten sam głos.

Ten „dokument” to nic innego jak *Kronika*. Ale Sebastián wolał nie ryzykować.

– Jaki dokument?

– Niech pan nie udaje. Ten z szesnastego wieku. Teraz znalazł się w pana posiadaniu.

A więc już się dowiedzieli. Nie dadzą się zwieść. Musi coś wymyślić, żeby zyskać na czasie.

– Jestem w posiadaniu różnych dokumentów z tego okresu.

Wyczuł konsternację swojego rozmówcy. Usłyszał skrzyp odsuwanego krzesła. I cichy szept, z którego nic nie zrozumiał, bo kaptur zagłuszał słowa. Miał wrażenie, że mężczyzna z kimś się naradza. Z kimś, kto woli pozostać w cieniu, ale wszystkim kieruje. Wreszcie padło następne pytanie:

– Co to za dokumenty?

– Nie wiem. Nie zdążyłem przeczytać.

Znów cisza, na pewno z powodu konsultacji. I żądanie:

– Te inne też chcę mieć. I ostrzegam: nie może zabraknąć ani jednej kartki z *Kroniki*.

– Najpierw musi mnie pan wypuścić. Tylko ja wiem, gdzie jej szukać.

Tym razem mężczyzna nie potrzebował się naradzać. Zorientował się, że Sebastián gra na zwłokę. I uznał, że pora wezwać kata, aby nie przedłużyć niepotrzebnie całej sprawy.

Zapewne dał jakiś znak oprawcy, bo Sebastián wyczuł z lewej strony sapanie miecha i trzask płomieni, a zaraz potem chrzęst oselki. Domyślił się, że kat ostrzy swe narzędzia przed włożeniem do ognia.

Nagle chwyciły go wielkie, szorstkie dłonie. Ściągnęły z niego kasak i szarpnęły za koszulę, która rozerwała się na strzępy. Na plecy spadła mu ciężka kłoda z obręczami zaciskającymi się na jego dłoniach. Z trudem utrzymał się na nogach. Zgięty w pół usłyszał szcęk żelaza w palenisku i zaraz potem rozpalone do białości szczypce znalazły się niebezpiecznie blisko jego twarzy. Kat czekał na dalsze instrukcje.

Co robić? Sebastián był przekonany, że go zabiją, jak tylko dostaną *Kronikę*. A jeśli nic im nie powie, rezultat będzie ten sam, tyle że poprzedzony torturami.

– Zaczekajcie! – zawołał. – Dajcie mi coś do pisania.

Wyczuł, że kat się oddala, potem wraca, popycha go na krzesło i przysuwa do stołu. Zorientował się jeszcze, że ktoś opuszcza salę, a zaraz potem zdjęto mu kaptur i uwolniono prawą rękę.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył mężczyznę mniej więcej czterdziestoletniego. Nieruchoma twarz, bez wyrazu, świadczyła, że jej właściciel miał duże doświadczenie w takich sprawach. Przy drugim końcu stołu siedział starszy osobnik, który podsunął inżynierowi przybory do pisania. Po lewej stronie stał kat z rękami skrzyżowanymi na piersi. Z tyłu za nim kręcili się dwaj inni uzbrojeni mężczyźni. W pomieszczeniu panował półmrok, mimo że paliły się dwie lampy, w tym jedna na stole, przy którym siedział teraz Sebastián.

Pisanie nie zajęło mu dużo czasu. Wystarczyło kilka linijek. Mężczyzna z naprzeciwka patrzył wyczekująco. Kiedy dostał do ręki kartkę i przeczytał, wyciągnął w stronę inżyniera drugą dłoń. Ten zaczął grzebać w spodniach, wywracał kieszenie, wreszcie znalazł to, czego szukał. Przesunął się bliżej światła i powiedział:

– Oto kluczyk od szafki w moim pokoju. Poślijcie kogoś do pałacu Fonseca. Niech pokaże tę kartkę mojemu majordomusowi Monchowi. I odbierze dokument.

Na obojętnej dotąd twarzy mężczyzny wykwitł pogardliwy uśmiech: łatwo im poszło z tym tchórzem. Wręczył skrybie kartkę i kluczyk, po czym dał znak, żeby wyprowadzono Sebastiana.

Po powrocie do celi czas niesłychanie mu się dłużył. Wciąż nasłuchiwał otwierania i zamykania drzwi, a z kroków w korytarzu próbował odgadnąć, kto i do kogo przyszedł. Wreszcie jakieś kroki zatrzymały się pod jego drzwiami. Modlił się w duchu, żeby wszystko odbyło się tak, jak zaplanował.

12 Nagie fakty

Ktoś przekręcił klucz w zamku, drzwi się otworzyły i w progu zamajaczyła sylwetka, która wydała mu się znajoma.

– Sebastián de Fonseca?

Głos i twarz, którą ujrzał dokładniej, kiedy przybysz skierował latarnię w jego stronę, należały do Onofrego Abascała.

– Nic ci nie jest? – usłyszał zatroskane pytanie.

– Wszystko w porządku.

Abascal polecił jednemu z towarzyszących mu ludzi uwolnić inżyniera. Kiedy zostali sami, powiedział:

– Przybyłem natychmiast. Skąd wiedziałeś, że twój majordomus domyśli się, żeby mnie zawiadomić?

– Moncho wie, że te dwa pistolety z inkrustacjami z masy perłowej, które trzymam w szafce w moim pokoju, dał mi pan w prezencie, kiedy awansowałem na kapitana. Otworzył szafkę kluczykiem, który przyniósł mu skryba, ale nie znalazł żadnych dokumentów, tylko broń. Od razu pojął, że coś tu nie pasuje, bo na pewno bym się tak nie pomylił. No więc przycisnął skrybę do muru i zmusił go do wyznania, w jakich okolicznościach otrzymał ode mnie ten kluczyk. A potem zawiadomił o tym wszystkim pana.

Kiedy wychodzili z celi, Abascal dodał:

– Przykro mi, że w tak krótkim czasie tyle się na ciebie zważyło. Najpierw śmierć ojca, teraz stryja.

– Skąd pan wie o stryju? – spytał Sebastián głosem, w którym zaskoczenie mieszało się z niepokojem.

– Wszędzie mam swoich informatorów, choć czasem działają na własną rękę, o czym dowiaduję się ostatni.

– Nie sądzi pan, że za śmiercią Cañizaresa, mojego ojca i stryja stoi jedna i ta sama osoba?

Onofre nie wykazywał chęci do prowadzenia rozmowy w tym miejscu.

– Może przejdziemy do mojego powozu – zaproponował.

Tak zrobili, ale Abascal wciąż nie spieszył się z podjęciem tego wątku. Widać było, że jest bardzo przygnębiony.

– Sebastián, nawet nie wiesz, w co się wplątałeś. Musisz natychmiast się wycofać, zanim będzie za późno.

– Czy mógłby pan mówić jaśniej?

– Tu wchodzi w grę interesy kogoś bardzo ważnego.

– Montilla?

– Ależ nie. Na litość boską! To ktoś dużo bardziej wpływowy. Potrafi skłócić ze sobą różne ugrupowania i wykorzystać do własnych celów knowania naszych miejscowych konspiratorów – i zagranicznych, bo dużo ludzi kręci się wokół Peru.

– O co chodzi z tym Peru i dlaczego to się odbija na nas?

– Sytuacja w tej kolonii ma wpływ na całą Amerykę Południową. A rodzina Fonseca znalazła się, jak widać, w samym centrum zainteresowania.

– Właśnie to mnie najbardziej dziwi.

– No cóż, nie znasz się na szpiegostwie, ale to nie twoja wina. W tym zawodzie trzeba umieć co innego myśleć, a co innego mówić. I tak dzień po dniu, w każdej chwili. To trudna sprawa. Na zewnątrz niby wszystko w porządku, wiadomo, jakie są reguły gry i jak ich przestrzegać. Ale to tylko pozory, bo pod stołem toczy się zupełnie inna gra, tam idzie walka na sztylety.

Szpieg, jak szuler, ma swój system znaków, żeby coś komuś przekazać w razie potrzeby.

– Jestem w stanie to pojąć, jeśli otrzymam więcej wyjaśnień.

Onofre Abascal wiercił się, niezadowolony, na siedzeniu powozu. Powinien zacząć od tego, że polityk mówi półsłówkami, które raz znaczą to, a raz tamto, i można je rozmaicie interpretować w zależności od sytuacji. Znał Sebastiána i wiedział, że nie będzie ślepyim narzędziem w niczyich rękach. Jednak im mniej wie o tej sprawie, tym lepiej dla wszystkich. Również dla niego samego, dla inżyniera. Zaczął więc ostrożnie, gotów przerwać w każdym momencie.

– W Peru jest wielkie niezadowolenie. Pojawiło się kilku pretendentów do tronu Inków. Każdy z nich próbuje udowodnić, że ma absolutne prawo do tego dziedzictwa. Nic więc dziwnego, że dokumenty, które dotąd spoczywały pod grubą warstwą kurzu, nagle stały się niesłychanie ważne. Ta sprawa interesuje również Anglików i... – zrobił znaczącą pauzę, zanim dodał: – I jezuitów.

– A co oni mają z tym wspólnego?

– Od pewnego czasu nasi najlepsi szpiedzy donoszą nam z Anglii o podejrzanych ruchach statków. Fregaty płynące oficjalnie do Gwinei pojawiają się niespodziewanie u wybrzeży Brazylii albo Patagonii, a kapitanowie tłumaczą, że zboczyli z kursu z powodu burzy. Na tych statkach jest pełno skrzyń z bronią. Na dodatek sześćdziesięciu oficerów Armady uczy się języka hiszpańskiego u niejakiego Harrisa, który podaje się za nauczyciela z Liverpoolu, a w rzeczywistości to jezuita z Bilbao.

– Nie wiedziałem, że Anglicy wspierają peruwiańskich rebeliantów.

– My udzieliliśmy poparcia ich koloniom w Ameryce Północnej, kiedy chciały oderwać się od Wielkiej Brytanii. Teraz Anglicy odpłacają nam pięknym za nadobne w południowej części kontynentu i pomagają terytoriom hiszpańskim uniezależnić się od Korony. A największe znaczenie ma w tym wypadku tron Inków. To symbol prawowitej władzy z czasów przed przybyciem Hiszpanów.

– Myśli pan, że za tym, co się teraz u nas dzieje, też stoją angielscy szpiedzy?

– Może oni, a może ich hiszpańscy agenci. Dlatego muszę się dowiedzieć, co łączyło twojego ojca i stryja z tą sprawą skarbu Inków.

Do tego momentu doszedł główny bohater sztuki *Węzeł gordyjski*, w którego wcielił się dyrektor teatru. Miał przedstawić historię skarbu Inków, ale uniemożliwiono mu to przez powieszenie! Sebastián nagle pojął sens pytania Abascal. Mało jest ludzi tak dobrze poinformowanych jak Onofre. Nie mógł nie wiedzieć, że ojciec pomagał Cañizaresowi w przygotowaniu scenariusza tej sztuki. Ale czy wiedział o wizycie Metyski Uminy? Czy dowiedział się czegoś nowego o Fonsecach z rozmowy, jaką Sebastián miał ze stryjem Álvarezem po jego wyjściu z kryjówki?

– Sam chciałbym znać odpowiedź na to pytanie – odparł wymijająco.

– Jesteś dorosły i wiesz, co robisz, na co się narażasz – ostrzegł go Abascal. – Następni na naszej liście podejrzanych, zaraz po Anglikach, są jezuici i ich przyjaciele. Całe to Towarzystwo, które było Jezusowe, dopóki nie wdał się w to sam diabeł. A teraz zeszło do konspiracji, co dodatkowo komplikuje nam sprawę. Tylko mi nie mów, że Fonsecaowie nie mają z tym nic wspólnego.

– Może mi pan wierzyć albo nie, ale aż do śmierci ojca nie wiedziałem, że stryj Álvaro ukrywa się w Madrycie.

– Zlituj się, Sebastiánie, nikt nie uwierzy w takie bajki!

– Mówię prawdę. Pan też nie zawsze wie o wszystkim, co robią pańscy ludzie, na przykład ci, którzy mnie uwięzili.

– To co innego. W rządzie są różne frakcje. Nasi przeciwnicy rwą się do władzy i tylko patrzą, kiedy nam się noga powinie. Podobnie w kwestiach polityki zamorskiej. My stawiamy na Kreolów i tubylców, którzy nie mają ekstremistycznych zapędów. Jesteśmy gotowi porozumieć się z nimi nawet za cenę pewnych ustępstw, bo chcemy uniknąć większego zła. Nie możemy pozwolić, żeby te terytoria uniezależniły się od Hiszpanii.

– Dlatego ta Metyska cieszy się waszym wsparciem?

- Lepiej, żeby była z nami niż z naszymi wrogami.
- Rozumiem. Ale co to ma wspólnego ze śmiercią mojego ojca, stryja i Cañizaresa?

– Przecież byłeś w teatrze, słyszałeś, jakie kwestie padały ze sceny, i widziałeś, jakie były tego następstwa. Ktoś posługuje się węzłami do zadawania śmierci, bo pragnie w ten sposób ostrzec innych ludzi, żeby się nie wtrącali i nie przeszkadzali mu w intrygach. Dlatego Cañizares zginął niemal na oczach publiczności. To miała być przestroga. Między innymi dla mnie.

– Dla pana?

– Tak. Do kogo twoim zdaniem skierowana jest ta notatka?

Pokazał kartkę znalezioną przy zwłokach Álvара de Fonseki:

Wysoki urzędnik, który przebiegłością wdrapał się na same szczyty władzy, zginie okrutną śmiercią ku uciesze swoich popleczników, którzy jeszcze tak niedawno mu kadzili... Dymisja ministra, który nie umiał wyciągnąć należytych wniosków z tej zagadki. Niespokojna sytuacja na dworze. Gwałtownicy wprowadzają zamęt, niektórych spotka za to kara śmierci.

– To horoskop z almanachu Torresa Villarroela. Przepowiada bunt Esquilachego, który potem przypisano jezuitom.

Widząc, że Fonseca nadal niewiele rozumie, Abascal kontynuował:

– Znasz procedurę pod nazwą *nudo hecho**? – Inżynier potrząsnął przecząco głową. – Jest to dyrektywa, która dotyczy czynności zmierzających do udowodnienia, że funkcjonariusz jest winny popełnienia zarzucanego mu czynu.

* *Nudo hecho* (hiszp.) – 1. Nagi fakt; 2. Węzeł zawiązany. Gra słów w języku hiszpańskim.

– Znajomość prawa nie jest moją mocną stroną.

– Mówiąc wprost: chroni funkcjonariusza i nakazuje domniemywać jego niewinności, dopóki nie zostanie mu udowodnione naruszenie prawa. Należy trzymać się nagich faktów, czyli *nudo hecho*. Otrzymałem groźbę.

– Jak to?

– Do pętli na szyi Cañizaresa były przymocowane dwa woreczki, jeden z bobem, drugi z wapnem. Połącz oba słowa, a otrzymasz moje nazwisko: Abascal*.

* Gra słów w języku hiszpańskim: *habas* (hiszp.) – bób; *cal* (hiszp.) – wapno.

Sebastián przypomniał sobie, że wtedy w teatrze Onofre na przemian pocił się i bladł, patrząc na te woreczki.

– Jest taka jezuicka technika – powiedział Sebastián, usiłując zrozumieć sposób działania mordercy. – Nazywa się „kompozycją miejsca” i polega na przekazaniu treści przekazu w sugestywnej formie obrazów i scen, które wywołują duże wrażenie i tym samym ułatwiają zapamiętywanie. Może morderca jest jezuitą?

– Prędzej renegatem. Też o tym pomyślałem. Mordercą może być ktoś, kto dobrze zna środowisko jezuitów i wie, jak ich zmusić, żeby się ujawnili. Albo próbuje podrzucić im trupa.

– Chce oskarżyć wszystkich jezuitów?

– Nie, tylko jedną, określoną grupę. Takich jak twój stryj. Chodzi o jezuitów, którzy byli kiedyś w Peru i mogą coś wiedzieć na temat skarbu Inków.

To wiele wyjaśnia, pomyślał Sebastián. Weźmy woreczek z solą na szyi ojca. Álvaro od razu domyślił się, że oznacza: „Wyjdź, jezuito”. Przypomniał sobie, co Juan de Fonseca napisał do Cañizaresa. Dlaczego ostrzegął go przed tą Metyską Uminą? Ona nie popełniła tych zbrodni sama, choć podobno świetnie włada bronią. Ale może działała do spółki z tym olbrzymem – Indianinem, który nie opuszcza jej ani na krok. Czego szuka morderca, ktokolwiek by to był? Po tym jak został aresztowany i przesłuchiwany, Sebastián nie miał wątpliwości, że chodzi o *Kronikę* Diega de Acuña. O dokument, który ktoś przywiózł do Hiszpanii w 1573 roku na pokładzie Czarnego Okrętu. I który, jak się zdaje, opisuje miejsce ukrycia skarbu Inków. Trzeba tylko umieć go odczytać.

* * *

Dojechali do miejsca pracy Abascala. Kiedy weszli do budynku, Onofre od razu wezwał adiutanta i kazał mu przynieść jakieś papiery. Zaprowadził Sebastiana do swego gabinetu, podał mu krzesło, a sam zajął strategiczne miejsce za stołem, na którym panował wyjątkowy porządek.

– Co teraz? – zapytał inżynier.

– Sytuacja jest bardzo trudna. Jeszcze nie zdążyłem załagodzić sprawy twojego pojedynku, a ty już narobiłeś sobie nowych kłopotów. Dałeś się wplątać w śmierć krewnego, na dodatek jezuitę, który potajemnie przebywał w Madrycie, ukrywając się w waszym domu. Ktoś zadbał o to, aby połączyć to z dwoma poprzednimi zabójstwami oraz ze sprawą niezwykle drażliwą dla Korony, czyli z problemem konspiracji peruwiańskich.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Sam jestem ofiarą.

– Wiem, ale to niczego nie zmienia. Są świadkowie gotowi zeznawać przeciwko tobie. Działają na polecenie kogoś ważnego, kto ma duże wpływy na dworze. Ten ktoś chce przy okazji zniszczyć i mnie. Nazwisko, które nosisz, bardziej ci szkodzi, niż pomaga. Fonseca jest teraz łatwym celem ataków. Musiałem twardo negocjować, żeby cię z tego wyciągnąć.

Sebastián liczył się z takim obrotem sprawy. Czekał cierpliwie na główną część reprimendy. Spojrzał na Onofrego, spodziewając się, że to nie będzie przyjemne. I nie pomylił się:

– Różne ważne osoby miały wobec ciebie złowrogie zamiary. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Broniąc cię, ryzykowałem posadę. Jeśli znów w coś się wplądziesz, mnie pierwszemu przyjdzie za to zapłacić. Następnym razem będziesz zdany na siebie, bo ja nie będę mógł ci pomóc... Teraz udało mi się wybronić cię z opresji, ale jest jeden warunek: musisz opuścić półwysep.

– A więc zesłanie? – Sebastián aż podskoczył.

– Nie, to nie tak. Nie będzie żadnego wyroku na piśmie. Osobiście wystawię ci list polecający. Możesz się nim posłużyć w razie potrzeby.

– Gdzie mnie pan wysła?

– Na Wyspy Kanaryjskie.

- Na jak długo?
- Dopóki sprawa nie ucichnie.
- Aha – mruknął gorzko Sebastián. – To znaczy, że mogę pożegnać się z Madrytem na wiele lat.

Onofre próbował go pocieszyć.

- Nie jest aż tak źle, nie przesadzaj.

Otworzył teczkę z jego aktami i przeczytał:

– Dane o pochodzeniu kandydata Sebastiana Fonseki, który oświadcza pod przysięgą w obecności notariusza i trzech świadków, że wszyscy jego przodkowie w linii prostej byli starymi chrześcijanami bez kropli obcej krwi. Nie było wśród nich Żydów, Maurów ani przechrztów. Wszyscy wywodzili się ze szlachty i byli powszechnie poważani...

Przełożył kilka stron i zatrzymał się przy karcie przebiegu służby wojskowej, czytając:

– Sebastián de Fonseca, oficer, szlachcic, dobrego zdrowia, kawaler, inteligentny, utalentowany... Dotychczasowe przydziały: prace nad projektem cesarskiego kanału i nad przygotowaniem żeglugi po Ebro od Saragossy do Morza Śródziemnego...

– Sam pan widzi – przerwał mu Sebastián – moja specjalność to prace przy nawadnianiu... Nie wiem, czy przydam się na Wyspach Kanaryjskich.

– Przydasz się... Pomożesz przy badaniach topograficznych na Teneryfie. – Głos stał się odtąd surowszy. – Ale musisz mieć własne środki utrzymania. Sam o to zadbasz. W drodze do Kadyksu objedziesz wasze posiadłości andaluzyjskie i pozbierasz dzierżawne.

- A więc decyzja zapadła?

Onofre potwierdził ruchem głowy, przeglądając dalej gruby plik akt leżący przed nim na stole i sprawdzając coś na globusie.

– Robię to dla twojego dobra. Zamierzam poręczyć, że wsiądziesz na pierwszy statek w Kadyksie i opuścisz półwysep. Sprawdźmy, co my tu mamy... Ekspedycja na wyspy: Świętego Tomasza, Fernando Po i Annonbon, związana z handlem czarnymi niewolnikami. Trasa wiedzie przez

Wyspy Kanaryjskie. Znajdzie się dla ciebie wolne miejsce na pokładzie.

Onofre podpisał przygotowane wcześniej pismo i podał je Sebastiánowi.

– W Kadyksie zwrócisz się do miejscowej komendantury. Oddasz się do dyspozycji dowódcy. Uważaj na siebie w tym mieście. To gniazdo szpiegów.

– A co z Montillą? – zapytał Sebastián, żeby sprawdzić, czy kara za pojedynek została rozłożona równomiernie.

– Montillą nie czekał na konsekwencje i sam zaproponował przygotowanie ekspedycji naukowej do Peru. Osobiście weźmie w niej udział i wszystko sfinansuje.

– Sprytnie! Ten łotr wie, że Korona nie ma pieniędzy, więc nie odrzucił tak intratnej oferty. Sam zorganizował sobie zesłanie, i to do kraju, który szczególnie go interesuje. Ale ktoś musi mu dać pieniądze, bo Montillę nie stać na taki wydatek.

– Oczywiście. I ten ktoś dostanie w zamian grupę dobrze uzbrojonych ludzi, poruszających się po Peru z całkowitą swobodą, i to w okresie poważnych ograniczeń na wydawanie pozwoleń na wyjazd do tego kraju.

Sebastián oburzył się na taki cynizm mówiącego.

– Przecież pan wie równie dobrze jak ja, po co oni tam jadą! Będą szukać skarbu Inków.

– Zgadza się – przyznał Abascal. – Więc twoim zdaniem należało odrzucić tę ofertę?

Fonseca zamilkł. Zastanawiał się, po czyjej stronie jest Onofre. Na czym mu najbardziej zależy, pomijając oczywisty fakt dbania, jak zwykle, o własne interesy. Przyjaźń łącząca ich rodziny zawsze wydawała się Sebastiánowi trochę dziwna. Matka była szczerze związana z Frasquita, ale ojciec nigdy nie sympatyzował z Abascalem. Poza tym żaden zazdrosny mąż nie pogardziłby okazją do pozbycia się adoratora swej żony, który pojedynekował się w obronie jej honoru, a na dodatek należy do rodziny źle widzianej na dworze królewskim. Ambicje polityczne Abascala mogłyby wskutek tego ucierpieć. Lepiej usunąć adoratora z Madrytu na dłuższy czas. A może już na zawsze.

I jeszcze jedno. Co łączy Onofrego z Uminą? Może to ona finansuje wyprawę Montilli, licząc na jego poparcie w chwili decydującej rozgrywki o władzę w Peru.

– A ta Metyska z teatru gdzie się podziewa?

– Nic nie mogę powiedzieć.

– Ale na pewno pan wie.

– Nic nie mogę powiedzieć ze względu na jej bezpieczeństwo – odparł zimno Onofre.

– A moje bezpieczeństwo? Ledwie uszedłem z życiem, wyrwałem się z zastawionej na mnie pułapki. Kto zaręczy, że to nie ona wszystko zorganizowała?

– Dosyć! Nie zapominaj, że to ja wyrwałem cię z tej pułapki. Przestań bawić się w domysły i pomyśl wreszcie o innych. Pomyśl o racji państwa, któremu służysz.

Zapadła pełna napięcia cisza. Onofre przerwał ją, dzwoniąc dzwoneczkiem.

– Każ odwiedzić pana Fonsecę do domu – polecił adiutantowi.

Wchodząc do pojazdu, Sebastián pomyślał, że jeśli w porę nie zareaguje, wszystko, co się zdarzyło, pozostanie bez kary. Będzie tak, jakby nic się nie stało. Owszem, jego ukarzą zesłaniem, a Montilla w tym czasie przejmie rodzinny interes Fonsecaów, doprowadzi ich do ruiny i już się nie podniosą. Przypomniał sobie słowa stryja mówiącego o wypędzeniu jezuitów. Wygnanie bardzo zmienia ludzi i nikt nie jest już taki sam jak przedtem, kiedy wraca do domu.

13 Tkając płaszcz świata

W normalnych warunkach poszedłby do Frasquity bez zapowiedzi. Ale po gorzkiej rozmowie z Onofrem Abascalem wolał przestrzegać form. Czekaając na pokojówkę, rozglądał się dookoła i zauważył, że dom jest w remoncie. Na sufitach kładziono nowy gips, poprawiano fryzy. Główne korytarze zyskiwały złożone ozdoby, a ściany modną tapetę. Przywieziono właśnie nowe meble: stoły, taborety, kanapy. W brzuchatym kredensie pojawiły się naczynia z porcelany w stylu chińskim ze świeżo otwartej w Alcorze fabryki księcia Arandy.

W przejściu minął Sebastián jeden z najdroższych fryzjerów francuskich i żegnając się, udzielał pokojówce wskazówek, jak ma dbać o włosy swej pani, którą uczesał *a la celosa**. Była to jedna z tych artystycznych fryzur, które winny oddawać nastrój kobiety. Poświęcił na jej zrobienie trzy i pół godziny. Dziewczyna zamknęła za nim drzwi i zaprowadziła Sebastiana przed oblicze pani.

* *Celosa* (hiszp.) – zazdrosna.

Frasquita znajdowała się w swym prywatnym gabinecie, którego młodzieniec dotychczas nie widział. Schroniła się tu na czas remontu. Był to pokój nieco staromodny, przeznaczony do różnych robótek ręcznych. Coś w rodzaju gineceum, gdzie kobiety spędzały czas przy szyciu albo tkaniu,

przeplatając pracę zwierzeniami, ale to było dawno, dawno temu. Frasquita urządziła go wedle własnych potrzeb i chętnie siadywała na pufie, tak jak teraz, robiąc koronki klockowe.

– Czas na podwieczerek. Napijesz się ze mną czekolady? – zaproponowała uprzejmie. Młodzieniec grzecznie odmówił, ale nie ustępowała: – Może ciasteczko? – Pokazała na tackę stojącą na inkrustowanym stoliku.

– Poproszę o kawę mokka.

Frasquita dała znak pokojówce, która szybko przyniosła biszkopty, konfiturę, orszadę i migdały w cukrze. Wcięty kubraczek i gorsecik wdzięcznie podkreślały młodą kibić. Nie uszła uwagi pani domu kokieteria dziewczyny i błysk w oku Sebastiána, kiedy patrzył, jak stawia przed nim na talerzyku filiżankę z kawą.

Są w tym samym wieku, pomyślała ze smutkiem, podsuwając swojemu adoratorowi dużą szklankę wody z kawałkiem różowego, gąbczastego cukru.

Z tyłu za inżynierem wisiały na ścianie ich podobizny z profilu. Wykonał je wędrowny artysta o przydomku Król Nożyczek, którego spotkali w parku Retiro. Sztuka tego rodzaju dopiero zaczynała wchodzić w modę. I tak został uwieczniony ostry profil Sebastiána obok delikatnych rysów Frasquity. Było to na początku ich znajomości.

– Przykro mi, że mój pojedynek z markizem Montillą narobił tyle zamieszania – zaczął młodzieniec.

– Z pojedyńkiem jak z garnkiem, im mocniej przykrywasz, tym silniej wre – powiedziała Frasquita, udając beztroskę. – Zapomnij o tym. Powiedz lepiej, kiedy wyjeżdżasz i co zrobisz z pałacem. Potrzebujesz czegoś?

– Staram się pozająłtwić najważniejsze sprawy związane z domem, ale chciałbym cię prosić, żebyś pomogła majordomusowi Monchowi. Nie mam zaufania do administratora.

– Twoja matka mówiła, że ten człowiek jest interesowny jak lekarz, który jak najdłużej pielęguje wrzód u chorego, żeby mieć co jeść. Uczciwego administratora i dobrego lekarza ze świecą szukać...

– No cóż, ojciec nie znał się na rachunkach...

Frasquita odłożyła na bok poduszczkę do koronek klockowych i prosiła Sebastiána o pomoc przy zwijaniu wełny.

– Na waszą rodzinę spadło wiele nieszczęść, z którymi musiał się zmierzyć twój ojciec, świeć Panie nad jego duszą. Nie miej do niego pretensji. Miał niełatwe życie. Spotkał się z ostracyzmem, bo wiele osób odwróciło się od was. Jediną osłodą była dla niego twoja matka.

Z czułością dotknęła dłoni milczącego Sebastiána, próbując go pocieszyć:

– Jestem pewna, że potrafisz o siebie zadbać, ale nie wiem, na ile jesteś przygotowany do zmierzenia się z tym, co cię czeka. Powiesz, że nic cię nie zaskoczy, bo przeżyłeś już więcej niż niejeden starzec. Ale nie jestem tego taka pewna. Bądź ostrożny. Twoja matka zawsze mi o tym przypominała. Bardzo wiele jej zawdzięczam. Całą moją wiedzę o życiu i ludziach. Chciała, żebym przekazała ją tobie i żebym ci pomogła. Nie jak matka synowi, ale jak kobieta mężczyźnie. Wiedziała, że masz za dobre serce. Zajmij się nim, prosiła. Lepiej, żeby stał się mężczyzną przy tobie, niż gdyby jakaś mała żmijka wykorzystała jego naiwność. Naucz go, czego należy spodziewać się po kobietach. Zrobiłam, co mogłam. Teraz już wiesz, do czego jesteśmy zdolne. Znasz nasze kobiece sztuczki, zresztą wcale nie takie groźne.

Młodzieniec zamierzał coś powiedzieć, ale Frasquita nakazała gestem, żeby uważał na motek wełny, i kontynuowała:

– Byłeś jeszcze malutki, kiedy pojawiłeś się w salonie u boku matki. Zagraliście razem jakiś utwór. Zabawnie było patrzeć na takiego malca ze skrzypcami prawie tej samej wielkości co on. Matka nie oparła się pokusie, żeby pochwalić się tobą przed znajomymi. Akompaniowała ci na angielskim klawikordzie, to był jej ulubiony instrument. Wypadłeś wtedy znakomicie. Zyskałeś uznanie w oczach samego Boccheriniego. Może w innych madryckich salonach panował większy przepych niż u was, ale takiego zbioru partytur nie miała nawet księżna Osuna.

– Przecież wiesz, że rzuciłem muzykę. Dlaczego mi o tym przypominasz?

– Bo powinieneś pamiętać, że prowadzenie salonu było dla niej jednym ze sposobów, żeby wyrwać ojca z ostracyzmu towarzyskiego. Jednocześnie pomagało jej finansować to, na czym najbardziej jej zależało: działalność humanitarną. Prowadziła Szkołę Patriotyczną dla dziewcząt. Uczyla je krawiectwa, haftu i tkactwa.

Widząc zdziwienie w oczach Sebastiána, który wciąż nie rozumiał, do czego zmierza ta opowieść, Frasquita kontynuowała:

– Szkoła ta dała wielu dziewczynom dobre przygotowanie do zawodu, a to zachęciło twoją matkę do wspierania Kasy Zapomogowej Przędzalnictwa, żeby uzyskać dla nich miejsca pracy. Jedna z uczennic okazała się wyjątkowo utalentowana. Dziś prowadzi ośrodek założony przez twoją matkę w folwarku nieopodal stoczni Kadyksu. Nazywa się Lucia. Jest bystra i nad wyraz uczciwa. Powinieneś ją odwiedzić.

– Nawet mam taki zamiar. Muszę pozbiierać opłaty dzierżawne, zanim udam się na wygnanie.

– Nie tylko dlatego. Powinieneś zobaczyć, czym zajmowała się twoja matka. Zabiegając o odebranie wam dostaw dla Armady, Montilla wysunął wiele oskarżeń pod adresem tych filantropijnych towarzystw działających pod patronatem twojej matki. W rezultacie pozbawiono Fonseców tytułu szlacheckiego, a wkrótce potem został usunięty z fasady waszego pałacu ów herb z węzłem, który tak bardzo ją niepokoił.

– Chcesz powiedzieć, że matka należała do jakiegoś tajnego stowarzyszenia?

– Spotkały ją takie zarzuty. Jak wiadomo, masoneria żeńska wiąże się z tkactwem, tak samo jak męska z budownictwem. Ale matce chodziło o coś innego. Tylko w ten sposób mogła przejąć kontrolę nad handlem linami. Tak czy inaczej, w związku z oskarżeniami Montilli zdecydowała, że lepiej usunąć herb z węzłem.

– Ale dlaczego?

– Obawiała się, że węzeł może coś oznaczać. Jakiś sygnał albo pretekst do działania? Z tego samego powodu wyzbyła się swojego ulubionego obrazu. Oddała go do mnie na przechowanie, nakazując, żeby zwrócić go

tobie, gdy się ożenisz. Przygotowała dla ciebie prezent weselny.

Frasquita pokazała na obraz wiszący na ścianie za jej plecami.

– Nie widzę dobrze. Za mało tu światła.

– Przysuń ten świecznik i podkręć knot – powiedziała, pokazując na czteroramienny świecznik woskowy. – Weź to, żeby nie poparzyć palców – dodała, podając mu srebrne szczypcy do świec.

* * *

Sebastián wziął świecznik i przesuwając nim przy obrazie. Światło ślizgało się po wysokiej baszcie, która znajdowała się w centrum malowidła. Była hermetyczna i heksagonalna, w kształcie ula, ale bez części frontowej, dzięki czemu widać było, co jest w środku. A tam, na samej górze, jednako ubrane kobiety pracowały przy ręcznym krośnie opartym o ścianę. Tkwały nitką, która wyskakiwała z czółenka przypominającego rurkę albo tygiel alchemika. Mistrz alchemii stał obok, z oczami utkwionymi w wielkiej księżce, i mieszał w tym tyglu czarodziejską różdżką.

W gruncie rzeczy wieża nie była wcale hermetyczna, ponieważ w jej sześciu bokach, na wysokości górnej ramy krosna, znajdowały się małe okienka i tkanina wysuwała się przez nie na zewnątrz, opadała, falując, na dół i sunęła aż po horyzont, rozpościerając się na wszystkie strony, jakby chciała przyodziać świat, dać mu ziemię, lasy, góry, jeziora, miasta i morza... Cały ten dywan był tworem kobiecych rąk, wytryskiwał z nich jak źródło, tworząc ziemski płaszcz.

Panny przy krośnie, z somnambulicznym wyrazem twarzy, pracowały jak w transie. Tylko jedna z nich miała bystre spojrzenie. Ale ona nie używała nitki z czółenka, nad którym pochylał się alchemik. Tkwała własnymi włosami, jakby chciała przelać w nie wszystkie marzenia i pragnienia. Jej wzrok biegł na dół, na zewnątrz, tam gdzie stał trubadur z lutnią przewieszoną przez ramię. Niewątpliwie przybył na wezwanie dziewczyny. Wysoka wieża była niedostępna, ale to go nie zniechęcało, on był gotów na wszystko dla swej ukochanej i czekał na jej znak. Ona zrobiła takie miejsce w ziemskim płaszczu, gdzie mógł się ukryć i zaczekać na nią. Zamierzali

uciec na statku stojącym nieopodal wieży, u wybrzeża. To był czarny okręt pod pełnymi żaglami, gotów wypłynąć na morze w każdej chwili. Tymczasem ta dziewczyna chciała zaludnić przestrzeń prowincjami, górami, zatokami i okrętami na miarę swych marzeń, utkać most między przeszłością pogrążoną w niepamięci a przeznaczeniem, które poznawała, pisząc na krośnie.

– Co za obraz! – zawołał Sebastián. – To chyba jakieś misterium albo akt inicjacji. Dlaczego matka oddała go tobie na przechowanie?

– Już ci mówiłam. Z tego samego powodu, dla którego kazała usunąć ten dziwny węzeł z herbu Fonseców. Obawiała się, że może być dla kogoś znakiem i ściągnąć niebezpieczeństwo na wasze głowy.

– Matka nie miała skłonności do filozofowania.

– Nie. To cecha twojego ojca. Ona była konkretna i lubiła pracować. My kobiety inaczej podchodzimy do życia.

– A węzły? Jaką funkcję pełnią węzły w żeńskiej masonerii?

– Są łącznikiem z przeszłością. Ostoją tradycji, bez której łatwo się pogubić. Czy wiesz, że w procesie tkania pierwszy węzeł jest dla tkaniny tym, czym kamień węgielny dla budynku? Ale nie martw się, twoja matka mocno stąpała po ziemi, była osobą pragmatyczną.

* * *

Sebastián był tak zaskoczony, że nie wiedział, jak ma to wszystko przyjąć. Pili w milczeniu kawę. Frasquita mówiła dalej urywanymi zdaniem. Jej słowa były pełne niedopowiedzeń. Wielu rzeczy musiał się sam domyślać, ale zrozumiał, jak trudną rolę miały do odegrania takie kobiety jak jego matka, które znalazły się w centrum życia społecznego, odpowiadając na wyzwania współczesności i pęd do odnowy. Mężczyźni długo jeszcze pozostali zakładnikami starych zwyczajów, zazdrości i zazdrostek, krótkich pludrów i nakrochmalonych krez.

Zrozumiał męczarnię tych kobiet, gdy musiały przestrzegać starego ładu, który reprezentowali kawalerowie pyszniący się jak pawie na oczach damy, odgradzonej od ulicy kratami, zamkniętej w domu niczym ćma.

Mężatka też nie miała dużo większej swobody, gdyż najchętniej widziano ją na klęczniku, z różańcem w ręku, w skromnej sukni, pogrążoną w modlitwie i obłudzie.

– Jeśli z czegoś byliśmy dumne, twoja matka i ja, to z tego, że udało nam się wciągnąć mężczyzn do niektórych kobiecych zajęć. Wnieść odrobinę szczęścia do tego padołu łez i szczyptę radości w to surowe życie podporządkowane nakazom obyczaju i trosce o honor męża. Twoja matka mówiła, że kobieta tka, a mężczyzna tnie. I że nasz trajkot jest jak sieć łącząca świat, która czyni go mniej ponurym. Kaznodzieje ani inni mówcy nie wspominają o szczęściu. Trzeba robić dobrą minę do złej gry. A po burzy będzie pogoda. Tego wszystkiego nauczyłam się od twojej matki. Czy sądzisz, że nie zdaję sobie sprawy z niesprawiedliwości i samowoli władzy tak samo jak ty?

Znów zamilkła, lecz w jej oczach Sebastián czytał to, czego nie powiedziała: że małżeństwo jest rezygnacją z własnych pragnień. Już w dzieciństwie, ledwie zaczną chodzić, zakłada się im żelazną obręcz na szyję, żeby prosto trzymały głowy, nieważne, że puste. Muszą ścisnąć się w pasie, nosić gorset, aby mieć szczupłą talię. Następnie przychodzi czas na umizgi i zaloty, łączenie się w pary, serenady pod balkonem, ukradkowe zwierzenia, komplementy podczas przejażdżki na Prado w tłumie karet, gdzie panny muszą się pokazać jak towary w oknie wystawowym. A potem z posagiem i błogosławieństwem przechodzą pod władzę męża. Raz zdobyte zamieniają się w cnotliwe matrony albo wieloródki. Żyją już tylko dla męża, wspominając w samotności swoją wielką urodę, która zwiędła między kolejnymi ciążami.

Zresztą nie to jest najgorsze, gdyż tak samo żyły i cierpiały ich matki i babki. Gorzej, że trzeba dokonywać patetycznych wysiłków, aby nie wypaść z roli. Urządzać przyjęcia, prowadzić salon, uczyć się diabelskich kontredansów i tym podobnych tańców, które wymyślono dla młodego ciała. Był już taki moment, że Frasquita poczuła się jedną z tego smutnego szeregu kobiet, które już nie są młode i wiedzą, że młodość nie wróci, że młodzieńcy nie do nich się zalecają, w ogóle ich nie dostrzegają, jakby

stały się niewidzialne, i nie pomogą najbardziej powabne z ich spojrzeń rzuconych spod wachlarza.

– Na szczęście zjawileś się ty, Sebastianie. Zawdzięczam ci drugą młodość. Byłeś taki czarujący. Nareszcie ktoś się mną interesował...

Frasquita nigdy nie przepadała za śmiesznymi fircykami, którym w głowie głównie stroje i moda, świszczypałami cuchnącymi francuskimi perfumami, bywalcami salonów i kulis teatralnych.

– Damie w zupełności wystarczy, by kawaler przytrzymał jej drzwiczki do powozu – mówiła – potowarzyszył na zakupach, doradził wybór wstążki lub fryzury. I okazywał cierpliwość, jakiej mąż nigdy nie ma dla żony, choć ma jej aż nadto dla ładacznicy. A co dopiero mówić o Onofrem ciągle zajęтым pracą.

Wszystko się teraz kończy. Wraca zwykła rutyna. Znow będzie klócić się ze służbą, rządzić domem, wydawać dziesiątki niepotrzebnych poleceń chłopcu na posyłki, spotykać się z przyjaciółkami... Zostają jej na pociechę koncerty wielkopostne, rozdawanie ubrań ubogim, opera i operetka, od czasu do czasu dobry spektakl chińskich cieni...

Co jeszcze? Popioły i wystygły żar coraz bardziej odległej młodości, wspominaanej zimą przy ciepłym piecu. Nuda i zniechęcenie: ratowała ją przed nimi obecność młodego inżyniera, ale teraz dopadną ją ze zdwojoną siłą. Czas jej będzie wolno płynął nad szydełkiem i klockami koronkowymi, z których wyczaruje nowe światy.

– Wchodzę w wiek, w którym kobiety stają się niewidzialne dla mężczyzn, natomiast mężczyźni robią się bardziej interesujący dla kobiet.

* * *

Sebastián nie mógł opanować wzruszenia, widząc, że Frasquita z trudem powstrzymuje się od łez. Miał dla niej wiele czułości i wdzięczności. Z zalem myślał o tym, że kończy się piękny okres w ich życiu, kiedy połączył ich niewinny, czysty związek, dodając im siły, a teraz na nowo będą bezbronni. To rozstanie było jak przecięcie drugiej pepowiny. Zawsze

będzie pamiętał, że kiedy przeżywał trudne chwile i został odsunięty od wojska, Frasquita nauczyła go patrzeć na to wszystko innymi oczami. Dzięki niej odzyskał utraconą wiarę w ludzi. Było to po tym, jak Maria Ignacia popełniła samobójstwo na jego oczach w teatrze przy pełnej widowni. Zaskorupił się wtedy w swym bólu, nie umiejąc sobie poradzić z emocjami, które go dręczyły. Zabronił sobie okazywania uczuć, zgorzkniał pod wpływem tylu klęsk życiowych, był jak chory. Odżył dopiero przy Frasquicie, a teraz znów zostaje sam, na szczęście już jako rekonwalescent.

Frasquita nie mogła dłużej kontynuować tej rozmowy, nawet przez sekundę. Nie miała na to siły. Pragnęła się pożegnać:

– Twoją matkę martwiło to, że jesteś taki impulsywny i nie wiadomo, co się stanie, kiedy moja opieka się skończy. Bądź ostrożny, obiecaj mi, że się postarasz.

– Obiecuję – wzruszenie odebrało mu głos. Aby rozproszyć smutek pożegnania, położył dłoń na poduszce, która służyła Frasquicie do wyrobu koronek klockowych, i powiedział: – Przysięgam na to. Jak to się nazywa?

Frasquita otarła wierzchem dłoni kilka ukradkowych łez i wyszeptwała, próbując się uśmiechnąć:

– Nazwa nie jest ważna. Teraz to będzie całym moim światem.

14 Biurko-detektyw

Odłożył na bok szydło szewskie, na które był nawinięty mocny szpagat, i uciął nożyczkami spory kawałek. Następnie zszył boki. Na odległość było widać, że to amatorszczyzna. Ale wytrzyma. Musi trzymać *Kronikę* cały czas przy sobie, tak jak nalegał stryj Álvaro. Dlatego uszył torbę z nieprzemakalnej ceraty, którą powiesi sobie na szyi, pod ubraniem, żeby nie krępowała ruchów.

Zajęty tymi czynnościami w pierwszej chwili nie zauważył, że z oprawionego w skórę manuskryptu wypadła jedna luźna kartka. Kiedy ją podniósł, od razu rozpoznał drobne, staranne pismo ojca. Kartka, zatytułowana *Genealogia Inków*, zawierała spis wszystkich władców, którzy rządili imperium do czasu przybycia Hiszpanów. Juan de Fonseca sporządził taką listę, żeby nie pogubić się przy lekturze *Kroniki*. Sebastián schował ją z powrotem, przyda się, kiedy w wolnej chwili sam zacznie czytać tę książkę.

Potrząsnął manuskrytem, może między kartkami znajdą się jeszcze inne luźne notatki, oprócz tych na marginesach stron. Stryj wspominał, że jego brat opisał zasady funkcjonowania biurka, największego i najważniejszego mebla w czerwonym pokoju. I rzeczywiście, były dwie kartki ściśle zapisane drobnymi literkami, tak charakterystycznymi dla Juana de Fonseki. W pierwszej chwili Sebastián poczuł się nieswojo, jednak ciekawość

wzięła górę nad skrępowaniem. Tytuł – *KIPU*– zawierał to samo słowo, które ojciec napisał przed śmiercią na podłodze własną krwią.

Podtytuł brzmiał: *TECTUM (tecton) – TEXTILIA – TEXTO: Klasyfikacja zbiorów biurka-detektywa*.

Poczuł zakłopotanie. Przypomniawszy sobie, jak pytał ojca o ten dziwny mebel. Nigdy właściwie nie otrzymał odpowiedzi, ojciec zbywał go, mówiąc, że jest za młody, aby to zrozumieć. Teraz jednak miał przed sobą dwie kartki papieru zawierające, jak się zdaje, cały system operacyjny stosowany przez ojca w pracy, której poświęcił tyle lat.

Zdecydował się przejść do jego gabinetu.

Kiedy już się tam znalazł, usiadł w fotelu Juana de Fonseki i usiłował spojrzeć na ten mebel oczami człowieka, który spędzał tu całe dni.

Zwrócił uwagę na trzy segmenty z przegródkami przylegające do trzech ścian w głębi pokoju.

Ojciec wkładał do tych przegródek różne karteczki. Sebastián nigdy nie rozumiał, jakimi kryteriami kierował się przy tej czynności. Teraz natomiast wystarczył mu jeden rzut oka, aby stwierdzić, że owe fiszki dotyczyły *Kroniki* Diega de Acuña. Ojciec rozbił i podzielił na czynniki pierwsze oryginalny układ dokumentu, a następnie próbował złożyć go ponownie inaczej, wykorzystując do tego sieć dokładnie usystematyzowanych związków.

Bez wątpienia to właśnie miał na myśli Álvaro, kiedy twierdził, że jego brat starał się czytać między wierszami, żeby zrekonstruować owo KIPU, które, jak obaj sądzili, zawarte jest w tekście. Taki rodzaj lektury upodabniał go do malarza pokrywającego powierzchnię płótna zaprawą, żeby uzyskać lepszy efekt perspektywy: horyzont nieosiągalny, lecz nadający sens wszystkim kreskom i plamom.

I tak, zgodnie z zapiskami ojca, część archiwum przy ścianie po lewej stronie nosiła nazwę TECTUM, w nawiasie była podana pierwotna forma tego słowa: *tecton*. Przegródki zawierały hasła związane z „tektoniką”, a więc wyrazy odnoszące się zarówno do ukształtowania terenu: góry,

źródła, jaskinie, jak i do „architektoniki”: domy, budowle, osiedla i miasta. Wszystko, co pod dachem.

Drugi segment archiwum, umieszczony przy środkowej ścianie, nazywał się TEXTILIA i obejmował hasła związane z tkaniną, sznurami i węzłami. Najwięcej miejsca zajmowało hasło KIPU.

Przegródki segmentu przy ścianie po prawej stronie dotyczyły dziedziny TEXTO, a więc tego wszystkiego, co łączy się z pisaniem.

* * *

Do tego momentu system wydawał się Sebastiánowi logiczny. Rozumiał jego zasady, chociaż nie dorównywał ojcu w znajomości greki i łaciny. Na wszelki wypadek, aby nie pozostały żadne wątpliwości, Juan de Fonseca klarownie wyjaśnił na dwóch stronach, dlaczego zastosował taki trójdzielny podział.

Rozpoczyna od zadziwiającego stwierdzenia dotyczącego Diega de Acuña: *Autor tej Kroniki pisze, iż rdzenni mieszkańcy Peru myślą i wystawiają się w quechua. Słowo to oznacza sznur lub nitkę. Mówienie jest dla nich równoznaczne z tkaniem, splataniem, przeplataniem słów. Tkają swoje domy i dachy podobnie jak tkaniny i jak opowieści, które pragną uchronić od zapomnienia, dlatego zachowują je w postaci sznurów i węzłów, które nazywają kipu. Acuña uważa, że kipu mogą zawierać również mapy. Oprócz Vilcabamby najważniejszym dla nich miejscem było tak zwane Oko Inki. Sporządzili nawet specjalną mapę – kipu, oznaczając ją poczwórnym węzłem, rozchodzącym się w cztery strony, jak rozwarte skrzydła motyla, co ma symbolizować Cztery Części inkaskiego imperium. Najdziwniejszy w tym wszystkim jest fakt, że taki sam węzeł znajduje się w herbie rodu Fonseca, a także na jednym z grobów w naszym zamku w Kadyksie, przy czym zarówno herb w tej postaci, jak i grób pochodzą sprzed dwóch wieków z tego samego okresu. Nie potrafię rozwikłać tej zagadki.*

Już wiem, o jakim kipu myślał ojciec przed śmiercią, wypisując to słowo własną krwią. Szukał tego kipu całymimi latami. I dlatego zginął, przemknęło mu przez myśl.

Dalszy ciąg tekstu, napisanego drobnym maczkiem na dwóch kartkach papieru, nawiązuje do konsultacji przeprowadzonych korespondencyjnie przez Juana de Fonsecę z naukowcami w kraju i za granicą. W ten sposób dokonał on ustalenia trzech kategorii, TECTUM (tecton) – TEXTILIA – TEXTO, wyrazów mających wspólnego przodka. Doszedł do wniosku, że podobieństwo między *tectum* i „tkanina” oraz między „tekstylny” i „tekst” nie jest przypadkowe. Wyjaśniał to następująco: ludzie potrzebowali przede wszystkim schronienia, dachu nad głową, a do tego nadawała się pieczara i inne „tektoniczne” kształty powierzchni Ziemi. Jeśli nie znaleźli tego, czego szukali, musieli zbudować tectum własnymi rękami. I tak przeobrazili się w cieśli, uczniów „architektów”, tworząc struktury drewniane. Ale pierwsze ściany to były prawdopodobnie ogrodzenia i maty z trzciny lub wikliny, żeby zaznaczyć swoją własność i schronić się przed upałem albo nadmiernym chłodem. Dlatego mówimy o kryciu (tectum), kiedy chcemy coś przykryć albo ukryć, czyli „dać zadaszenie”. Przeciwnieństwem jest „od-krycie”, pozostawienie bez dachu. Stąd blisko do „wy-krycia”. Juan de Fonseca uważał, że w przyszłości będziemy nazywać „wykrywaczami” lub „detektywami” osoby zajmujące się tymi sprawami, czyli wykrywaniem, odkrywaniem. Tu dodawał, że jego miejsce pracy jest swoistym biurkiem-detektywem, ponieważ pragnie odkryć sens *Kroniki* przykryty warstwą słowną, dotrzeć do wewnętrznej struktury i mocno ją uchwycić.

Następnie ojciec powracał do historii, ewolucji i specjalizacji słownictwa. Utrzymywał, że materiałem, który nadaje się zarówno do budowania, konstrukcji, jak i do innych, subtelniej szych celów, jest materiał z dziedziny *textilia*, a więc tkanina. Wiele ludów żyje pod namiotami, które mają w procesie tkania. I tak od słowa *tectum* przechodził do słowa „tkać”. Podłogi i ściany przykrywa się dywanami, które mają własne motywy i wzory. Praca tkaczek przy krośnie okazuje się opatrnościowa, ponieważ pozwala zachować w pamięci obrazy i figury, utrwała w ludzkim umyśle pamięć o minionych czasach.

Textilia są materiałami przenośnymi, co zwiększało możliwości ich użycia do komponowania nowych motywów, tworzenia symboli, organizowania opowieści przekazywanych z ust do ust. Tkaniny i inne materiały tkane pozostawiły trwałą ślad w umyśle człowieka, tworząc swoistą sieć organizującą, poprzez język, świat zewnętrzny i wewnętrzny, będącą istotnym przejawem ludzkiej świadomości.

Podawał jako przykład znaki i kreski, którymi pokrywamy kartkę papieru, kiedy przysłuchujemy się nieuważnie jakiejś rozmowie. Te kółka, kwadraty i siatki wylaniają się z nas spontanicznie, jakby to był najstarszy, wręcz archaiczny alfabet. Albo zapomniany język uniwersalny. Przejaw myśli błędzących w czeluściach, wychwytyjących embriony koncepcji.

Dlatego, uważał Juan de Fonseca, mówimy o „wątku” opowiadania, „kanwie” powieści; mamy przędziwo Penelopy, magiczny dywan Szeherazydy... Tworzenie wątków opowieści jest poniekąd wyższą funkcją naszych umiejętności tkackich. Mówimy również o „wątku” przewodnim i zagadnieniu „węzłowym”, o „sztuce teatralnej” i „rozwiązaniu” akcji. Skoro rozumiemy w kategoriach wątków i mamy potrzebę uporządkowania myśli według pewnego systemu, to czemu nie pisać na sznurkach i węzłach? Dlaczego nie wypłacać tekstów? A co robimy, zawiązując węzełek na chusteczce albo obwijając palec kawałkiem nitki po to, żeby nie zapomnieć o czymś ważnym? Albo odmawiając różaniec – przecież to tylko węzełki na sznurku, lecz jeśli wiemy, co oznaczają, mamy pojęcie o pewnej historii.

Niektóre narody zastosowały to wszystko w procesie pisania. Zrobiły krok od *textilia* do *texto*. Natomiast Inkowie postąpili inaczej: zorganizowali swoje społeczności – terytorium, sieć dróg, miejsca pamięci, obrzędy, kalendarze – opierając się na tkaniu, bez uciekania się do pośrednictwa pisma, które uznali za niepożądane. Podobno tak nakazał im jeden z ich władców, kiedy zobaczył, jakie katastrofy szerzą się w jego królestwie pod wpływem pisma. Inkowie obrali inną drogę w porównaniu z ówczesnymi kulturami. Pragnęli zachować jedność tkactwa i ziemi, która dawała im tożsamość. Sploty i wątki służyły im zarówno do budowy domów, jak i

do wyrobu tkanin czy utrwalania historii składających się na pamięć zbiorową narodu.

Juan de Fonseca kończył swój wywód, podkreślając, że był to wyczyn na miarę tytana. Nieliczne są miejsca na ziemi, gdzie natura okazała się tak niezwyciężona jak w Andach. Nieliczne są miejsca, gdzie ludzi musieli tak zaciekle walczyć o jej przychylność. W tej walce starali się nie stosować przemocy, nie wywierali na naturze gwałtu ponad to, co niezbędne. Ojciec pragnął zgłębić tę logikę. Próbował powiązać te wszystkie fakty, aby zrozumieć, w jaki sposób Inkom udało się zachować pamięć o dziedzictwie przodków. Dzięki temu móglby wejrzeć w ich archiwa i odszyfrować kipu...

Teraz lepiej rozumiem, co miało znaczyć owo KIPU napisane przez ojca własną krwią, pomyślał przygnębiony Sebastián.

Nie czuł się na siłach sprostać temu zadaniu. Juan de Fonseca zamierzył takie odczytanie *Kroniki*, ponieważ był wspaniałym erudytą, pracował nad tym od wielu lat i mógl liczyć na pomoc swego brata Álvara i licznych korespondentów. A Sebastián był tylko zwykłym inżynierem wojskowym...

Ktoś chrząknął za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył Moncha.

- Przyszedł administrator, proszę pana – zaanonsował majordomus.
- Zaprowadź go mojego gabinetu. Zaraz tam będę.

15 Czas strapienia

Wszedł do gabinetu, gdzie czekał już na niego nieduży mężczyzna wiercący się niespokojnie jak ogon jaszczurki. Sebastián poprosił, żeby usiadł, i administrator zaczął grzebać w teczce z papierami, którą miał przy sobie. Coś wyjął, zmiął, znowu włożył i wreszcie powiedział:

– Nie mam dobrych wiadomości, proszę pana. Szczerze mówiąc, jest pan zrujnowany.

– Jak to zrujnowany? A ten pałac?

– Pałac jest wart co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy reali. Ale w całości, razem z wyposażeniem, jest zastawiony pod hipotekę. Nie wolno panu nic zabrać oprócz książek i kilku przedmiotów osobistych.

– Co z włościami mego ojca?

– Od dawna nie przynoszą zysku. Ziemia rozparcelowana, sucha, kiepskiej jakości. Tylko winnice można wycenić na jakieś pięćdziesiąt pięć tysięcy reali. Jest tam prasa do tłoczenia winogron, skład win i dom z ogrodem. Mają własnego zarządcę, który zajmuje ten dom z racji sprawowanego stanowiska. Dawno nikt tam nie zaglądał, więc nie musi się przed nikim tłumaczyć. Gdyby pan sam pojechał, to co innego.

– A majątek matki?

– Wszystko w porządku. Zarządza nim Lucía, jej wychowanka. Dobrze sobie radzi. Tam z pewnością znajdzie pan środki na czas swojego... –

przerwał, żeby nie wymówić słowa „zesłanie”, i poprawił się: – swojego wyjazdu. Paco Powroźnik powie panu na ten temat dużo więcej, ale zdaje się, że produkcja żagli i powrozów na liny okrętowe idzie w najlepsze.

Na potwierdzenie swych słów administrator wyciągał kolejne dokumenty, kwity i rachunki, omal nie zniknął pod stosem papierów. Sebastián patrzył na to coraz bardziej szarpany wątpliwościami.

- Który z tych papierów może pan zamienić na gotówkę?
- Ten, panie. – I pokazał kwit na sumę dwudziestu pięciu tysięcy reali.
- To wszystko? – ryknął inżynier. – Tak pan zarządzał majątkiem mego ojca?

Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju, próbując się uspokoić. Miał ochotę udusić tego człowieka.

- Panie, tu jest wszystko zapisane, co do grosza.

Sebastián próbował się rozeznać w tym galimatiasie. Ale czy on mógł wiedzieć, ile kosztuje arroba jęczmienia, buszel pszenicy albo kwintal wełny? Z braku czasu nie mógł sobie pozwolić, żeby zwolnić tego administratora i zatrudnić nowego, który prędzej czy później też okaże się złodziejem. Postanowił zakończyć tę rozmowę, ale administrator nie ruszał się z miejsca. Rzucił mu pytające spojrzenie i usłyszał:

- Trzeba uregulować długi, proszę pana.
- Jakie długi?
- Chodzi o służbę. Nie możemy trzymać takiej liczby służących teraz, gdy nie ma już pańskiego ojca, a i pan wyjedzie. Na potrzeby domu wystarczy mała grupa. Zdaje się, że Moncho zebrał wszystkich służących, aby mógł pan do nich przemówić. Trzeba to jakoś zakończyć. Tu mam listę zaległych wypłat.
- Niech pan poda łączną sumę i oszczędzi mi szczegółów.
- Będzie około dziesięciu tysięcy reali.
- Chce pan powiedzieć, że na czysto zostanie mi tylko piętnaście tysięcy reali?

Wziął listę od administratora i sprawdzał skonsternowany.

– W porządku. Chodźmy do nich.

Służba zgromadziła się w salonie. Wszyscy mieli grobowe miny. Dał się słyszeć urywany szloch. Moncho nakazał ciszę, widząc, że Sebastián zamierza zabrać głos.

– Przykro mi, że wy również ponosicie konsekwencje tego, co się stało. Nie muszę wam mówić, w jakim stanie są moje finanse. Chcę tylko powiedzieć, że nikt nie zostanie zwolniony, dopóki nie znajdzie innej pracy.

Rozległ się szmer zapewnień o wierności przeplatany podziękowaniami i łkaniem. Administrator skorzystał z zamieszania, żeby szeptnąć Sebastiánowi do ucha:

– Nie da się spełnić tej obietnicy, panie.

Inżynier kontynuował, nie zwracając uwagi na jego słowa:

– Przyjaciółka rodziny, pani Abascal, rozejrzy się wśród znajomych, czy nie potrzebują służby. Razem z Monchem będą szukać nowego miejsca pracy dla tych spośród was, którzy nie mają żadnych innych planów. Osoby niezainteresowane czekaniem na propozycję zatrudnienia będą przyjmował pojedynczo w moim gabinecie.

Pierwsza weszła stara niania i ze łzami w oczach wspominała, jak trzymała go na rękach, kiedy był malutki. Fonseca bardzo ją szanował i dlatego uciszył administratora, kiedy ten kazał się staruszce pospieszyć, bo inni czekają. Na koniec powiedziała, że nie ma sił do dalszej pracy. Dostała dobrą odprawę.

Z pozostałymi było podobnie. Jedni chcieli wrócić na wieś, gdzie wcześniej za zaoszczędzone pieniądze kupili kawałek ziemi. Młodzi zamierzali spróbować szczęścia w innym mieście i innej dziedzinie... Nie miał serca odmawiać im tego, o co prosili.

Po wyjściu ostatniego rozmówcy administrator był zdesperowany.

– Zostały panu niecałe trzy tysiące reali. Ledwie starczy na podróż do majątku pod Kadyksem. Da Bóg, że nie wyjedzie pan stamtąd z pustymi rękami, tak jak pański ojciec, Panie świeć nad jego duszą. Za każdym

razem, kiedy wyruszał do Andaluzji, żeby pościągać renty, pańska matka mówiła do mnie: „Boję się, że zamiast wrócić z pełną kieszą, znów zrobi coś takiego, że będziemy biedniejsi o kilka tysięcy reali”.

W taki oto sposób Sebastián uświadomił sobie, że chciał skubnąć pieniędzy, tymczasem sam wyjedzie oskubany. Pożegnawszy administratora, raz jeszcze przejrzał papiery. Zwrócił uwagę na pokwitowanie wojskowe podpisane przez starszego sierżanta pułku kawalerii Borbón y Montesa. Potwierdzenie odbioru pięćdziesięciu koni, które Juan de Fonseca podarował wojsku. Nie były to jakieś marne szkapy, tylko doborowe rumaki pod siodło z pełnym ekwipunkiem dla jeźdźcy. Sebastián osłupiał, kiedy przeczytał, jaką miały wartość.

– Sto tysięcy miedzianych reali! Toż to bajeczna suma! – zawołał.

Taki wydatek musiał mocno nadszarpnąć chudą ojcowską kiesę. Mimo to Juan de Fonseca zdobył się na ten patetyczny gest, żeby pomóc synowi w karierze wojskowej.

Biedny ojczulek! – pomyślał, z trudem wstrzymując łzy. – Niewiele miał, ale starał się, jak mógł. Wydał resztkę majątku, ostatni grosz, żeby móc awansować na kapitana.

Ale to nie wszystko. Dużo pieniędzy poszło na Álvara. Nie tylko dlatego, że ojciec przez tyle lat ukrywał brata w tej ponurej kryjówece i musiał mu zapewnić możliwość przeżycia. Okazuje się, że wcześniej również ratował go z opresji, zwłaszcza że w czasie pobytu w Limie jezuita miał poważne kłopoty.

Ciekawe, co się przydarzyło stryjowi w Peru, zastanawiał się Sebastián.

Inne dokumenty mówiły o kłopotach z uzyskaniem świadectwa szlacheckiego pochodzenia, którego żądały władze wojskowe w związku z możliwością awansu dla Sebastiana. Ojciec za wszystko musiał płacić. Wynajął ludzi, żeby przeprowadzili badania w celu zdobycia potrzebnych informacji. Jeździli po Andaluzji, byli w majątku koło Kadyksu i w innych miejscach Hiszpanii związanych z Fonsecami sprawdzali ich drzewo genealogiczne, gromadzili metryki chrztów, ślubów i pogrzebów, szukali

wiarygodnych świadków gotowych potwierdzić prawdziwość tytułów szlacheckich tego rodu. W jednym z dokumentów była wzmianka o dziwnym węźle gordyjskim w herbie Fonseców, który zdawał się nie mieć związku z tym nazwiskiem.

Dlaczego z Fonsecaami są zawsze jakieś problemy, zastanawiał się Sebastián ze smutkiem, wychodząc na patio, żeby się przewietrzyć.

Niczego takiego nie ma w linii rodowej matki. Przypomniał sobie słowa stryja Álvara, który natknął się na przeszkody już wtedy, gdy chciał zapisać Sebastiana do seminarium prowadzonego przez jezuitów.

W rogu patio leżał stary herb z twardego jak granit kamienia. Przesunął palcami po węźle, zastanawiając się, jaka klątwa nad nim ciążyła, że nawet po tylu latach jest przyczyną nieszczęścia.

* * *

Resztę dnia przeznaczył na żegnanie się z miejscem, które było dotąd jego domem, choć właściwie spędził tu tylko dzieciństwo. Odkąd podrósł, ciągle był w rozjazdach: najpierw szkoła, potem studia i wreszcie praca inżyniera wojskowego wymagały częstych zmian miejsca pobytu.

Tam, gdzie dywany nie pokrywały podłogi, parkiet z drzewa kasztanowego wydzieliał delikatny zapach przypraw korzennych. Wdychając go, nie mógł nie pomyśleć o matce, która przyrządzała płyn do pastowania z gorzkich pomarańczy, sprowadzanych z majątku w Andaluzji, ucieranych z goździkiem i liściem laurowym.

W dużym salonie muzycznym zwrócił jego uwagę jej ulubiony klawesyn i wiszący na ścianie portret. Była na nim razem z małym Sebastianem w aksamitnym surduciku. Wyglądał na szczęśliwe dziecko: uśmiechnięty, spoglądał przed siebie umie błyszczącymi oczami.

Miłe to były wspomnienia, ale terażniejszość wzywała. Przejrzał bagaż i położył się wcześniej spać. Długo nie mógł zasnąć po przeprowadzeniu rachunku sumienia, nauczył się go u jezuitów i nadal stosował, bo dzięki temu mógł uporządkować to, co zdarzyło się w ciągu dnia. Ta wędrówka

po własnym wnętrzu nie zawsze kończyła się dobrze, a pamięć podsuwała wywołujące lęk obrazy.

Zrozumiał, że zaczyna nowy etap życia, w którym liczy się czas i przeznaczenie. Ścieżka przed nim może być nawet krótsza niż ta, którą zostawia za sobą. Odkąd stracił oboje rodziców, przytłaczał go ciężar wspomnień i świadomość, że jest ich jedynym strażnikiem. Jego kolej zadbać o przedłużenie rodu, stać się odpowiedzialnym, naprawić, jeśli to możliwe, popełnione błędy i wypróbować nowe szanse.

Pomyślał o pułapce bez wyjścia, w jakiej się znalazł, i przyszła mu na myśl ignacjańska maksyma: „W czasie strapienia nigdy nie robić żadnej zmiany”. W obecnej sytuacji zakrawało to na sarkazm. Jeszcze kilka dni temu wiódł spokojny żywot i wszystko wskazywało na to, że jego kariera będzie się rozwijać bez nadmiernych wstrząsów. Jednakże bezlitosny mechanizm, ślepy przypadek sprawił niespodziewanie, że los obrócił się przeciwko Fonsecom.

Zanim wsiądzie w Kadyksie na statek, którym popłynie na miejsce zesłania, musi jeszcze załatwić dwie sprawy: przede wszystkim zdobyć pieniądze, pościągać od zarządców zaległe należności, a potem znaleźć grób kobiety, która dwa wieki temu przybyła z Peru do Hiszpanii razem z jego przodkiem, jezuitą Cristóbalem de Fonsecą.

16 Zaplombowany grób

Podróż Sebastiána i Paca minęła bez kłopotów głównie dzięki temu, że przyłączyli się do kolumny wojskowej, która zapewniała im ochronę. Jedyłą niedogodnością było to, że Sebastián mimo najszczerszych chęci nie mógł poświęcić się czytaniu *Kroniki*. Dowiedziawszy się, z kim ma do czynienia, dowódca oddziału zapraszał go co wieczór do swego namiotu na jedzenie, picie i pogawędkę.

Pierwsze włości Fonseców zaczynały się zaraz na granicy prowincji Kadyks. Wioska, do której wjechali, pamiętała lepsze czasy. Resztki dawnych murów obronnych otaczały bielone wapnem, chylące się do ziemi domy, malutki klasztor Klarysek i kalwarię prowadzącą do kapliczki na wzgórzu o nazwie Borreguero.

– Myślisz, że wyciągnę stąd trochę pieniędzy na czysto? – zapytał Paca, kiedy szli jedyną w tej wiosce ulicą godną takiej nazwy.

– Uprzedziłem ich o pańskiej wizycie. Ale sam pan wie, jak jest z tymi ludźmi. Kiedy przyjdzie do płacenia podatków, robią taką minę, jakby zaraz mieli umierać.

Ledwie weszli między pierwsze zabudowania, otoczyła ich zgraja usmarkanych malców. Zdawało się, że wszystko, co wyssali z mlekiem matki, wydalają w smarkach.

Kiedy przy dźwiękach klasztornej dzwonu zbliżyli się do domu

zajezdnego, czekali tu już zgromadzeni chłopci, aby ich powitać. Był również zarządca, do którego wysłano wiadomość, że ma sporządzić remanent i przedstawić wyniki.

Podchodzili wszyscy po kolei, żeby złożyć mu kondolencje z powodu śmierci ojca i stryja. A przy okazji – wręczyć pisemne memoriały, które urosły w spory stos. Paco Powroźnik nie ukrywał zdumienia. Na pytanie Fonseki, o co tu chodzi, zarządca odpowiedział:

– Każdy ma jakąś potrzebę.

– Jak to? – wybuchł Sebastián. – Czy nie powiedziano wam, że po śmierci ojca zostałem bez pieniędzy? A teraz jeszcze to wygnanie.

– Była wielka susza, jasnie panie. Na dodatek trzeba było ogrodzić winnice murem, żeby bydło sąsiadów nie wchodziło w szkodę. No i żniwa mieliśmy kiepskie tego roku...

– A zbiory z terenów górskich? – Paco wszedł mu w słowo, bo wiedział, do czego zmierza ta wyliczanka.

– Nie ma o czym mówić. To tylko drobna część, poza tym słaba gleba, trudna do uprawiania...

Paco nie mógł się powstrzymać i zaczął na niego krzyczeć. Fonseca przywołał go do porządku i pomyślał, że nie byłoby aż tak źle, gdyby trochę częściej tu zaglądał. Zresztą wystarczyło rzucić okiem na pola, aby stwierdzić, że opowieść o suszy nie jest wyszana z palca.

W tym momencie zjawił się chłopak z wiadomością, że na Sebastiana czekają siostry klaryski. Stąd to bicie dzwonu. Zaraz odbędzie się msza za dusze ojca i stryja.

Poszli do klasztoru. Główna kaplica wyglądała całkiem przyzwoicie. W czasie nabożeństwa fagot i skrzypce bez większych zgrzytów akompaniowały do śpiewu siostrom i chórowi dzieci szkolnych, dla których pieśni żałobne były, jak się zdaje, ciężką harówką. Po mszy Sebastián udał się na rozmowę z przeoryszą i poprosił o pokazanie grobów, ale nie znalazł tego, którego szukał. Były tam tylko groby zakonnic i jednej ciotecznej babki, która umarła na trzeciadczkę pięćdziesiąt lat temu w czasie letniego pobytu u sióstr.

Przeszli następnie do klasztorowego refektarza. Tam dostał ciasteczka, mistelę i petycję w sprawie naprawy dachu, pięknie zredagowaną przez magistra Castaño, który również pojawił się na spotkaniu. Przedstawił się jako „prezbiter i nauczyciel szkolny”, podkreślając swą podwójną funkcję kapłana klarysek i nauczyciela wiejskich dzieci. Był tak wiekowy, że inny na jego miejscu już dawno rozpadłby się ze starości. On jednak poruszał się z wawo, trzymał prosto i miał czerstwą cerę.

– Ile lat ksiądz sobie liczy? – zapytał Sebastián.

– Wkrótce będzie siedemdziesiąt. Ale starcza mi jeszcze sił na polowanie. Zakładam kurtkę myśliwską, kapelusz z szerokim rondem, biorę strzelbę i hajda w las na pstrokatym ośle, z chartem u boku!

Co za niezwykli ludzie żyją w tych stronach, pomyślał Sebastián.

Jego też zapytał o grób, nie wdając się w szczegóły ponad to, co niezbędne. Ale ksiądz nie pamiętał żadnego grobu o podanych cechach ani na wzgórzu Borreguero, ani w innych miejscach jego jurysdykcji.

Z domu zajezdnego przyszedli zaprosić Sebastiana na obiad.

– Dobrą macie kucharkę? – zapytał z nadzieją, że nareszcie coś zyska.

– Dobrą, wielmożny panie. A byłaby jeszcze lepsza, gdyby miała co wrzucić do garnka.

I stało się tak, jak przeczytał w jakiejś starej powieści: jedli wszyscy, ale nikt się nie najadł. Podano mięso z barana, który musiał być bardzo stary i sterany życiem, bo smakowało jak wielbłądzie.

Do końca wizyty nie zdarzyło się już nic godnego uwagi. Pożegnali się i ruszyli dalej. Paco uprzedził go, że będą jechać drogą służebną obok posiadłości markiza de Montilli.

Nawet bez tej informacji widać było różnicę między biedą znoszoną z godnością, którą pozostawili za sobą, a tutejszą skrajną nędzą. Całe rodziny wychodziły żebrać o jałmużnę. Powróznik nalegał, żeby się nie zatrzymywać, bo to nie ich ludzie i mogą być konflikty.

– Co sprawiło, że tak zbiednieli? – spytał Sebastián.

– Przymusowy pobór – odpowiedział mu Paco.

– Czy naprawdę musimy tędy przejeżdżać?

– Nie ma innej rady, jeśli chce pan porozmawiać z Hermógenesem. – A widząc, że to imię nic panu de Fonsece nie mówi, Paco dodał: – Tak się nazywa marynarz, o którego pan pytał. To jemu dałem wtedy list do Peru. Prosił mnie o to pański ojciec.

Rzeczywiście, Sebastián nalegał na odszukanie człowieka, który, jak twierdził stryj Álvaro, zawiózł do Limy w 1767 roku wiadomość o wypędzeniu jezuitów. List zaadresowany do Gila de Ondegarda, który był w posiadaniu dokumentów Czarnego Okrętu. Z kolei Sebastián miał list powierzony mu przez stryja tuż przed śmiercią z prośbą o doręczenie temu samemu adresatowi, ale na adres jego matki, Marii de Ondegardo. Włożył go między kartki *Kroniki*.

– Hermógenes jest najlepszym cieślą okrętowym w całej okolicy – wyjaśnił Paco. – Mieszka tu, w tym domu.

Pokazał na nędzną szopę, która nie zasługiwała na miano domu.

Kiedy byli już blisko, wyszła im na spotkanie kobieta z piątką dzieci, z których najmniejsze nie miało jeszcze sześciu lat. Rozpłakała się na widok Paca i powiedziała, że Hermógenes został zmobilizowany zaraz po powrocie z poprzedniego, długiego rejsu. Nie wie, gdzie teraz przebywa.

Powroźnik poprosił Sebastiana na bok.

– Została sama z dziećmi. Nie mają z czego żyć.

– Co ja na to poradzę?

– Może znalazłoby się dla niej jakieś miejsce w wiosce, w której niedawno gościliśmy.

– Oczywiście, zaraz jej to powiem.

– Na miłość boską, nie! Niech pan tego nie robi! Ona nie może wiedzieć, kim pan jest – błagał Paco – bo jak markiz de Montilla się dowie, będzie miał pretensje, że wtrąca się pan w jego sprawy. Po co panu nowe kłopoty? Ja sam się tym zajmę, jeśli pan pozwoli.

– Weź to dla niej. – Sebastián podał mu jeden z ostatnich dublonów, jakie mu pozostały.

Wrócili na drogę służebną i kontynuowali podróż. Sebastián miał coraz więcej okazji do stwierdzenia, że tutejsi arendarze i robotnicy najemni byli

traktowani znacznie gorzej niż w posiadłościach Fonsecaów. U markiza de Montilli nie liczyły się żadne prawa.

Dzięki wpływom na dworze królewskim markiz i jego przodkowie wygrywali wszystkie procesy i odmawiali swoim wyrobnikom najmniejszych przywilejów. Dlatego wiele rodzin przenosiło się na ziemie Fonsecaów, co markiz traktował jako zdradę. Paco opowiedział Sebastiánowi, jak Montilla tłumił zarzewie buntów. Wcielał niepokornych do milicji i wysyłał jak najdalej od domu, nawet do Ameryki. Nie przeszkadzało mu, że prawo zabrania rekrutować ojców rodzin wielodzietnych, aby nie pozostawiać matki z dziećmi bez środków do życia.

– To wszystko jeszcze bardziej zaogniło starą zawiść między Montillami i Fonsecaami – zakończył Powroźnik.

Sebastiána rozsierdziło, że markiz w taki sposób werbuje ludzi do ekspedycji do Ameryki.

Paco uspokajał go i zalecał ostrożność.

– Znalazł się pan w bardzo delikatnym położeniu. Trzeba unikać komplikacji. Radzę wyjechać stąd jak najszybciej. Bo kiedy ludzie się dowiedzą, że pomogliśmy jednej rodzinie, nie opędzimy się od następnych. A Montilla będzie miał pretekst, żeby oskarżyć pana o sianie zamieszek w jego włościach. Wspomniał pan o jakimś grobie. Myślę, że warto poszukać w zamku. Z tego co wiem, zmarłych grzebano w zamkowej kaplicy.

– Czy któraś z płyt nagrobnych ma wyryty węzeł, taki jak ten, który kiedyś widziałeś?

– Nie pamiętam. Ale pański ojciec był bardzo przywiązany do tej kaplicy. Tam odbył się jego ślub z pańską matką. Tam też kazał mi zanosić ładunek, który odbierałem w Zatoce Kadyksu.

– Jaki ładunek?

– Nie wiem, bo był w zaplombowanych skrzyniach. Marynarze wyrzucali je za burtę przed wejściem w pas kontroli celnej. Znakiem rozpoznawczym była bo ja. Ja podpływałem łódką, ładowałem skrzynie i wyładowywałem na zamku. Pański ojciec kazał zatrzymywać ołowiane plomby, bo potrzebował ich do zapieczętowania grobu.

- Musimy tam zajrzeć.
- Tylko uprzedzam, że zamek jest bardzo zaniedbany.
- Ktoś tam chyba mieszka.
- Tylko stróż z żoną. W pobliżu jest parę domostw. To niebezpieczna okolica, pełna bandytów.

Po przejechaniu kawałka piaszczystej drogi zobaczyli to, co pozostało z dawnego zamku Fonsecaów. Ruiny na skalistym wzgórzu, dokąd prowadziła zarośnięta ścieżka.

Zastukali do drzwi, ale długo nie było odpowiedzi. Wreszcie ktoś się pojawił, bo rozpoznano Paca. A kiedy okazało się, że przyjechał z nim panicz, przeprosinom nie było końca. Inżynier usiłował skierować rozmowę na właściwe tory. Ale wszystko na próżno. Stróż wziął od nich konie i nie przestawał gadać, a Paco z Fonsecaą skierowali się do kaplicy.

Dopiero wtedy stróż pojawił, o co im chodzi, i powiedział coś konkretnego:

- Niedawno tu ktoś był. Mówił, że przyszyła go pański ojciec.
- Jak wyglądał? – wykrzyknął Sebastián, z trudem powstrzymując rozdrażnienie.

Stróż opisywał przybysza niemrawo i niewiele z tego wynikało. Nie widzieli go dobrze, bo osłaniał chusteczką twarz od kurzu. Na szczęście żona stróża zapamiętała pewien szczegół. Zielona opończa, ten człowiek był w zielonej opończy. Sebastián już wiedział, o kogo chodzi – taki sam stróż nosił domniemany morderca jego ojca, kiedy wyskakiwał przez okno w pałacu Fonsecaów, a Sebastián usiłował go dogonić. Ten człowiek znów był od niego szybszy.

W murach kaplicy było wiele grobów. Idąc główną nawą, Sebastián dokładnie je obejrzał. Żaden nie pasował do opisu stryja. Wracając do wyjścia, skierował się w nawę poprzeczną i tu natknął się na płytę w podłodze. Nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie węzeł, taki sam jak w herbie Fonsecaów. Płyta znajdowała się u stóp ołtarza, przy którym jego rodzice wzięli ślub. Jedno nie ulegało wątpliwości: ktoś tu już węszył – ołowiana pieczęć była zerwana.

Paco pomógł mu odsunąć ciężką płytę. Nie było widać żadnej trumny. Ani ciała.

– Grób jest pusty... Ale nie. Coś jest na samym dole... Idź po świeczkę. Majster przyniósł kaganek i przykucnął, żeby lepiej oświetlić jamę.

– To jedna z tych skrzyń, które wylawiałem z zatoki – poinformował.

Sebastián wsunął się do grobu. Otworzył skrzynię i wydał okrzyk zdumienia:

– Tu są książki! Same książki!

Wziął pierwszą z brzegu. Był to ósmy tom Wielkiej Encyklopedii Francuskiej. Przerzucił kilka kartek i przeczytał: *Choćby wybuchła rewolucja w najdalszym zakątku ziemi albo nawet w samym centrum krajów cywilizowanych, pociągając za sobą zniknięcie miast i rozproszenie ludów i pogrążając świat cały w ciemnościach i ignorancji, nie wszystko stracone, jeśli pozostanie choć jeden egzemplarz tego dzieła.*

Słowa górnoletne, ale inspirujące dla Juana de Fonseki, ponieważ oprócz ósmego tomu były również wszystkie pozostałe. Ogarnięty podziwem dla tak monumentalnego dzieła ojciec pochował w zamkowej kaplicy komplet encyklopedii. I wszystko wskazuje na to, że stał na tej płycie, biorąc ślub z matką – może już wtedy myślał o potomności.

Wzruszyła go ta naiwność, ogromna wiara w postęp, rozum i przyszłość, jaką wymarzył dla swego jedynaka. Wiara idąca w parze z młodością, bo oboje byli bardzo młodzi, kiedy zdecydowali się połączyć swe losy mimo sprzeciwu obu rodzin. Fonsecaowie byli szlachtą starej daty i nie chcieli mieć w swoim gronie parweniuszki, co z tego, że bogatej. A rodziców panny młodej raziło polityczne uwikłanie Fonsecaów i dlatego uważali, że Juan nie jest dobrą partią.

Chwila wzruszenia trwała krótko. Bo kiedy grzebał w książkach, nagle coś mignęło mu przed oczami i wbiło się w jego rękę. Poczł bolesne ukąszenie.

Paco zareagował natychmiast. Wyjął nóż i jednym ciosem przeciął to na pół. Potem z furją wgniół butem w ziemię i powiedział:

– Żmija. Ktoś tu ją podłożył. Jest ciężarna i dlatego jeszcze bardziej jadowita.

Oczyścił ranę i założył naprędce opatrunek. Wiedział, co należy zrobić. Tu nie znajdą pomocy. Muszą jak najszybciej pojechać do tkalni w dolinie, gdzie jest medyk i apteka. Byle tylko nie przytrafiło im się po drodze nic złego, bo wszędzie pełno bandytów.

Lucía

Administratorki Lucí i nie było w domu, więc poszli jej szukać do hospicjum. Był to wspaniały budynek, w którym jego matka założyła dom dla okolicznych sierot. Serce człowiekowi rosło, kiedy przekraczał próg i rozpościerał się przed nim szeroki dziedziniec z krużgankiem o finezyjnych łukach i ścianach pokrytych starannie wykonanymi freskami. Schody z dwoma skosami prowadziły na galerię. Patrząc na strop kasetonowy, można się było zdumieć, jak to możliwe, że posiadłość Fonseca w Madrycie chyli się ku upadkowi, a ta tutaj błyszczy pełnym blaskiem, przypominając czasy, kiedy rodzinie wiodło się doskonale, a majątek był dobrze zarządzany.

Obejrzenie tkalni było przyjemnością dla ciała i ducha. Tak to podsumował Sebastián, kiedy przechadzał się po dolinie. Zrozumiał wówczas miłość matki do tych ziem, gdzie były żyzne sady, aleje wysadzone topolami, strumyk z odpływami do rowów nawadniających i dwóch studni na skarpie.

Znaleźli administratorkę. Przebywała w sali razem z dziewczynkami, które uczyła obsługiwać krosno. Nie była to kobieta urodziwa. Ani nawet

ładna. Ale miała w sobie tyle entuzjazmu, że zarażała nim wszystkich dookoła. Lekko utykała na jedną nogę, a mimo to poruszała się z naturalnym wdziękiem. Łączyła w swym charakterze rys melancholii – widocznej w ciemnych oczach o głębokim spojrzeniu – z niezaprzeczalnym talentem organizatorskim. Biła z niej energia osób na pozór kruchych, ale takich, które borykały się w życiu z różnymi przeciwnościami i pokonały je siłą woli.

Sebastián zauważył przy okazji zmianę w zachowaniu Paca w obecności Lucii – zazwyczaj opryskliwy, przy niej stawał się wręcz nieśmiały i delikatny. Kiedy z nią rozmawiał, był pełen uwagi jak najwierniejszy adorator.

Lucia chciała pokazać im warsztaty. Weszli najpierw do wytwórni tkanin. Stała się pośrodku długiego szpaleru krosien i zaklaskała w dłonie nie po to, żeby odrywać ludzi od pracy, ale żeby przywitani inżyniera, który zaszczylił ich swą wizytą. Radość brała patrzeć na te dwa szeregi chłopców i dziewcząt, którzy gręplowali wełnę, przygotowywali nitki i zakładali do tkania.

– Tu robimy sukna – wyjaśniła. – Tam baję, a na samym końcu barchan i materiał na worki.

Kiedy Sebastián zapytał, dlaczego dziewcząt jest tyle samo, a może nawet więcej niż chłopców, Lucia zaprowadziła go przed tablicę, na której wisiały – przepisane dużymi literami – deklaracje i dekryty królewskie nakazujące, aby pod żadnym pozorem nie przeszkadzać kobietom w nauce tkactwa.

– Oprócz tkactwa – wyjaśniała Lucia – uczymy dziewczęta różnych innych rzeczy, przygotowujemy je do prowadzenia domu i do małżeństwa. A te, które wychodzą za mąż, dostają od nas posag oraz rozdarty fartuch.

– Rozdarty fartuch?

– To taki nasz ceremoniał na znak, że dziewczyna jest już samodzielna. Ale wiele z nich woli tu zostać i pracować.

Na końcu wielkiej nawy widać było wyrzeźbioną w drewnie scenę zdjęcia z krzyża. Józef z Arymatei wraz z paroma innymi opuszczali na ziemię za pomocą sznurów umęczone ciało Chrystusa. Figury były całkiem udane.

Sebastián przyglądał się im z zaciekawieniem, tym bardziej że nigdzie indziej nie było obrazów religijnych.

– To stacja pasyjna przygotowana przez powroźników. Nasi rzemieślnicy chodzą z nią w procesjach Wielkiego Tygodnia. To był pomysł pańskiej matki, żeby pokazać nasze wyroby i zebrać trochę pieniędzy wśród litościwych ludzi.

Przeszli do części foluszniczej, a stamtąd wyszli na pola.

– Tutaj i na nizinie Granady rosną najlepsze konopie w całej Andaluzji, a niektórzy mówią, że i w Europie – kontynuowała Lucía. – Jednak sporo musieliśmy się nachodzić, żeby znaleźć nabywców nie tylko na surowiec, ale głównie na gotowy wyrób, bo to się nam bardziej opłaca. Pańska matka wydała dużo pieniędzy, żeby stocznie w Kadyksie kupowały od nas konopie w postaci lin i płótna żaglowego.

Paco słuchał tych wyjaśnień z nieskrywaną dumą, a Sebastián był wprost oszołomiony. Bezpieczeństwo żaglowców przepływających przez Atlantyk w drodze do kolonii i z powrotem zależało od tego, co tu robiono, żeby złapać wiatr, zatrzymać i zaprząć do pracy.

Lucía oświadczyła, że już wszystko widzieli i jeśli Sebastián chce, mogą przejść teraz do biura, gdzie pokaże mu księgi rachunkowe i przedstawi projekty.

Z porozumiewawczego spojrzenia, jakie rzuciła Pacowi, Sebastián wywnioskował, że zbliża się chwila prawdy.

Najpierw wyjaśniła mu, w jaki sposób jego matce udało się ochronić ten majątek przed represjami, jakie spadły na Fonseców za lojalność wobec Habsburgów. Skorzystali z dekretów markiza Ensenady i wyspecjalizowali się w wyrobie tkanin, powroźów i olinowania dla statków. Matka użyła wszystkich swoich wpływów, aby poprzez Paca Powroźnika zdobyć próbki różnych gatunków płótna żaglowego z fabryk w Zatoce Kadyksu i z okolic stoczni w La Carraca. Zainteresowała się też modelami grzebieni stosowanych w krosnach.

– Teraz wszystko się zmienia i nasza przyszłość zależy od tego, czy zdołamy się do tych zmian przystosować. Konkretnie chodzi o to, czy

poradzimy sobie z dostawami dla statków nowego typu w konkursie ogłoszonym przez Armadę. Jeśli nam się nie uda, pozostaniemy w tyle. W przyszłym tygodniu mija termin dostarczenia zamówionych lin. Wtedy nam zapłacą. Pójdzie pan razem z Pakiem do stoczni w La Carraca po pieniądze.

Administratorka zorientowała się, że Fonseca jest żywo zainteresowany sprawami warsztatów tkackich, i zaczęła opowiadać mu, jakie są plany na przyszłość. Jej wiedza była imponująca. Wszystko miała w małym palcu: ile lin jest na statku, ile konopi potrzeba do wyprodukowania takiego takiego linku, ile wynoszą zarobki majstrów i terminatorów... A zwłaszcza ile sierot można wykarmić za pieniądze, po które przyjechał Sebastián. Inżynier dostrzegł w tym rozumowaniu wpływ swojej matki i był zachwycony, że dziewczyna tak dobrze sobie radzi.

– Czego wam najbardziej trzeba? – zapytał.

– Nowych krosien. I unowocześnienia tych, które mamy, poprzez zamianę grzebieni na szersze. Staramy się oszczędzać na wszystkim, co tylko możliwe, żeby je kupić. W przeciwnym razie stracimy zamówienia. Nasi ludzie i te sieroty pozostaną bez środków do życia. Nie będzie co jeść. Nowe zamówienie to dla nas wielka szansa. Jeśli je stracimy, nie poradzimy sobie z konkurencją ze strony markiza Montilli.

Kiedy wieczorem wrócił do pokoju gościnnego, w którym go ulokowano, otworzył okno, żeby wywietrzyć dym od piecyka na węgiel drzewny. Przez dłuższą chwilę spoglądał na wewnętrzny dziedziniec z murami porośniętymi winoroślą. Potem zamknął okno, położył się do łóżka i zaczął przebiegać w myślach wydarzenia tego dnia. Jedno nie dawało mu spokoju: pieniądze, które są do odebrania w stoczni, to jedyna możliwość, żeby miał za co żyć na wygnaniu. Ale jeśli je weźmie, pozostawi tę manufakturę w poważnych tarapatach finansowych.

Paco odważył się wyznać mu na osobności to, czego nie powiedziała Lucía: liczyła na ten kapitał, bez tych pieniędzy nie zrealizuje swojego projektu. Nie uszło uwagi Sebastiána, że majster poprzemienił swoje rzeczy ze stoczni, która była jego głównym miejscem pracy, do skromnego pokoiku na terenie manufaktury. Chyba miał nadzieję, że nowe zamówienie zapewni mu tutaj pracę i stabilizację na długie lata i będzie mógł oświadczyć się Lucii.

18 Kadyks

Sebastián de Fonseca i Paco Powroźnik rozdzielili się w porcie Santa Maria. Majster miał tu poczekać na inżyniera; prześpi się na wozie, a rano zawiozą liny do stoczni w La Carraca i odbiorą należną zapłatę. Natomiast inżynier wsiadł na mały statek kursujący po zatoce, gdyż postanowił udać się do Kadyksu z listem polecającym od Onofrego Abascała, który miał mu ułatwić podróż na Wyspy Kanaryjskie.

Dzień miał się ku końcowi, ale niebo było jasne i czyste. Ciepły blask zachodzącego słońca odbijał się w domach z białego kamienia i pinaklach z ceramiki szkliwionej zdobiących balustrady tarasów dachowych. Połyskiwały bielone wapnem ściany, spienione fale mieniły się błękitem, ochrą i różem. Miasto jawiło mu się teraz równie piękne jak w jego wspomnieniach, natomiast port rozrósł się i był dużo wspanialszy niż dawniej. W miarę zbliżania się do nabrzeża dostrzegał coraz to nowe budynki.

Na pokładzie młodzi ludzie śmieli się i dowcipkowali, choć niewygodnie im było stać pod niskim zadaszeniem. W pewnym momencie pilot podniósł głos i powiedział poważnie uroczystym tonem:

– Pomódlmy się za dusze ludzi, którzy zginęli w tym miejscu.

Nastąpiła wielka cisza. Słysząc było tylko szept modlitw, a majtek chodził z czapką i zbierał miedziaki na mszę za dusze czyścicow. Ławice piasku często zmieniały miejsce i co roku pochłaniały sporo ofiar.

Jak tylko skończyła się zbiórka pieniędzy, młodzi wrócili do śmiechów i żartów, jeszcze bardziej ochoczo niż przedtem. Ale statek zbliżał się już do portu. Marynarze wiosłowali lekko i tak manewrowali, żeby ustawić się dziobem jak najbliżej brzegu. Potem spuścili trap, by ułatwić pasażerom zejście na ląd. Tragarze przepychali się, gotowi skakać na pokład, aby przenieść jak najwięcej kufków, waliz i torb, i trzeba ich było przywoływać do porządku.

Sebastián zameldował się w lokalnej komendanturze, a tam mu powiedzieli, że musi poczekać co najmniej parę dni na statek w stronę Wysp Kanaryjskich. Kończy się termin przyjmowania interesantów, którzy mają towary do przewozu, trzeba jeszcze podpisać umowy, przeprowadzić przegląd ładunku i wiele innych czynności celnych.

Postanowił znaleźć sobie miejsce do spania w tawernie portowej, w okolicach ulicy San Francisco i jej przedłużenia, czyli ulicy Nueva. Była to strefa sklepów i kantyn, kosmopolityczny Babilon pełen cudzoziemców. Dawniej, kiedy on tu mieszkał, cudzoziemscy urzędnicy stanowili na tyle znaczną grupę, że sami Francuzi otworzyli ponad pięćdziesiąt domów handlowych. A teraz było ich jeszcze więcej.

Przechodząc koło komory celnej, z przykrością patrzył na morskich weteranów, którzy na starość lub z powodu kalectwa żyli z pucowania butów, ledwie wiążąc koniec z końcem. Zatrzymał się obok starego marynarza z siwą brodą i wypłowiałymi oczami, który najlepsze lata spędził przy żaglach, a teraz próbował zarobić parę monet, pokazując sztuczki z węzłami. Smutny koniec dla człowieka, który poświęcił życie morzu.

Trafiło mu się łóżko w dość porządnej tawernie, rozgościł się, a potem wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza i poszukać, gdzie by tu zjeść kolację. Już miał wejść do jadłodajni, z której dochodził smakowity zapaszek, kiedy nagle zauważył dwie charakterystyczne sylwetki. Nie mógł się pomylić: markiz Montilla i osobnik w zielonej opończy z dużym kapturem.

Co za przypadek, pomyślał, chowając się za ścianą.

Szedł za nimi dyskretnie aż do muru za basztą Candelaria. Dobrze znał tę dzielnicę, w sąsiednim pawilonie studiował inżynierię morską. Wszedł

na basztę i zobaczył, że tych dwóch rozmawia z dwoma innymi mężczyznami w pelerynach, którzy na nich czekali. Dobiały go tylko strzępki rozmowy, a i tak musiał nadstawiać ucha, przysuwając się jak najbliżej otworu strzelniczego. Mężczyźni w pelerynach mówili z obcym akcentem, co było całkiem normalne w tym mieście.

Cała czwórka szybko opuściła to miejsce, kierując się do dzielnicy mniej uczęszczanej. Tu Fonseca starał się zachować bezpieczną odległość, żeby móc ich śledzić, sam nie będąc widzianym.

Kiedy dotarli na esplanadę, gdzie, jak sądzili, nikt ich nie usłyszy, rozmowa stała się głośniejsza i bardziej ożywiona. Sebastián teraz już nie miał wątpliwości: ci dwaj cudzoziemcy byli Anglikami.

Szpiedzy? – zastanawiał się.

Szedł za nimi dalej, dopóki nie weszli do księgarni, której właścicielem był Francuz. Miasto miało około dwudziestu takich lokali handlowych. Kiedyś często tu przychodził, bo nie było lepszego miejsca, żeby zdobyć zakazane książki.

Widział ich przez szybę dużego okna wystawowego, ale nie słyszał, o czym ci czterej mężczyźni dyskutują.

Zamierzał podejść bliżej, udając przypadkowego przechodnia. Mijając drzwi, potknął się o butelkę, która z hałasem potoczyła się po bruku. Natychmiast schował się za rogiem. Stamtąd, ukryty w cieniu, patrzył, jak Montilla podchodzi do okna, robi daszek z dłoni i rozgląda się nieufnie po ulicy. Potem zasunął kotary i Sebastián nic więcej nie zobaczył.

Światło paliło się nadal, więc stał i czekał niecierpliwie na dalszy rozwój wydarzeń. Minęła dłuższa chwila, zanim zgasło. Jednak nikt nie wyszedł drzwiami. Wtedy zrodziło się w nim podejrzenie.

Okrzyknął bryłę domów i zauważył, że jest tylne wyjście. A więc tamtędy uciekli.

19 Stocznia La Carraca

Podczas gdy zbliżali się do stoczni, Paco Powroźnik wyjaśniał Sebastiánowi de Fonsece, co sprawiało, że była ona nie do zdobycia od morza i od lądu. Mieściła się w głębi Zatoki Kadyksu, na samym końcu estuarium, gdzie były tylko mokradła i rozmiękła ziemia. Moczary niedostępne od lądu dla jakiegokolwiek wojska, które zginęłoby niechybnie, tonąc w błocie. Jednak kanały, które je przecinały, były dość szerokie i głębokie, by umożliwić żeglugę. Miały nie mniej niż pięć sążni w czasie przyływu i trzy i pół w czasie odpływu. Mogły się tam zmieścić statki o dużym zanurzeniu, jeżeli prowadził je doświadczony pilot lub ktoś, kto znał te wody.

Jeśli chodzi o dostęp od morza, broniły jej fortyfikacje Kadyksu, przede wszystkim twierdze San Sebastián, Santa Catalina i San Felipe, a dalej druga linia artylerii utworzona przez baterie w Puntal i w Matagorda, które dzieliły zatokę na dwie części. Wszystko to, jak również wysepka i zamek Sancti-Petri, sprawiało, że atak od strony morza byłby nierozważnym zuchwałstwem.

Majster zatrzymał wóz do kontroli przy posterunku strażników. Dobrze go znali. Zaledwie rzucili okiem na rozkaz dostawy osprzętu i przeprowadzili rutynową kontrolę ładunku.

Wjechali do stoczni i skierowali się w stronę Plaza de Armas. Przejechali obok domów mieszkalnych, zanim zatrzymali się przy budynku

administracyjnym. Weszli do intendentury, żeby zarejestrować ładunek i zaczekać, aż prokurent głównego inżyniera przyjmie dostawę.

Podczas gdy sprawdzał spis towarów w towarzystwie inspektora, Powroźnik poprosił Sebastiana, żeby za nim poszedł.

– Czy pamięta pan Hermógenes? Tego cieślę zwerbowanego na siłę przez Montillę.

– Rozmawialiśmy z jego żoną, nieprawdaż? Tą, która żyje w nędzy z piątką dzieci.

– Właśnie. Podejrzewam, że on tu gdzieś może być. Jest jednym z najlepszych cieśli okrętowych. A tutaj naprawia się i przygotowuje do drogi statki, które mają płynąć do Ameryki. Przed wielu laty byliśmy towarzyszami podróży i chciałem go spotkać, żeby opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło, i powiadomić go, że jego rodzina znalazła schronienie na ziemiach należących do pana.

Przeszli obok kościoła, szpitala i apteki, sklepu i tawerny. Pozostawili z tyłu kwatery oficerów i park artylerii. Stocznia pracująca na pełnych obrotach robiła wielkie wrażenie swoją przemysłową aktywnością. Inżyniera zdziwił wysiłek konieczny do dopasowania tak rozmaitych części. W całym królestwie istniała rozległa sieć pozwalająca pozyskać i skierować do Właściwego miejsca taką mnogość materiałów.

Paco wziął go za ramię, aby przygotować go na to, że wchodzą na nierówny teren pochyłony w stronę wody i zawalony tyłoma belkami, że można by wybudować co najmniej kilka okrętów o dużym zanurzeniu. Kile ustawione były z północy na południe tak, by drewno było z obu stron jednakowo nasłonecznione, co pozwalało uniknąć jego niesymetrycznych zniekształceń. Przyglądał się szkieletom łodzi, podziwiając smukłość ich profilu i czystość linii.

Majster pozdrowił znajomego oficera i zatrzymał się, żeby wy badać go, na kiedy mają przygotować następną dostawę osprzętu:

– Jak wam idzie z tym statkiem?

– Jeszcze zostało dużo pracy. Czekamy na dostawę drewna z Malagi, żeby dociągnąć do pierwszego pokładu.

- A ten drugi?
- Gdyby tak mieć setkę ludzi do pracy, traczy i pomocników, można by przyspieszyć... Ale co tu dużo gadać, skoro zabrali nam najlepszego cieślę, jakiego mieliśmy.
- Hermógenes? – spytał Paco.
- Mieliśmy już z nim umowę. Otrzymał pozwolenie pozostania przez pewien czas na łądzie. Ale wygląda na to, że znowu go zmobilizowano – zniżył głos, żeby dodać: – Między nami mówiąc, coś mi tu śmierdzi. Odrodzili część stoczni i bardzo jej pilnują. Nie pozwalają nikomu tam wejść i wszystko robią w wielkiej tajemnicy. Podejrzewam, że Hermógenes tam przebywa.
- Gdzie jest to ogrodzenie?
- Wiesz, gdzie jest akwedukt? Ten, którym płynie pitna woda z wyspy León, obok esplanady, gdzie sprawdza się żagle, koło szopy na pakuły.
- Tak, wiem, o którym mówisz.
- No więc musisz przejść na jego drugą stronę i minąć jeszcze smolarnię. Tam natkniesz się już na ogrodzenie. Nie pozwolą ci wejść na nabrzeże załadunków i wyładunków.
- Przy warsztacie powroźniczym?
- Dokładnie tam.

* * *

Szybko pożegnali się z Jorgem Juanem, żeby udać się we wskazanym kierunku. Tak jak im zapowiedział, doszli tylko do kanału badania wytrzymałości, gdzie przeprowadza się próby kadłubów. Widzieli też, jak inni rzemieślnicy puszczają latawce pokryte różnymi tkaninami, żeby zbadać działanie wiatru na żagle. Ale nie udało im się pójść dalej. Zaczynała się tam strefa zagrodzona z kazamatami dla wojska. I napotkany patrol kazał im się wycofać.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – powiedział Paco do Sebastiana, kiedy wracali. – Ale wie pan, co możemy zrobić, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu? Pójdziemy po pieniądze za dostarczone liny, za nim

nam zamkną administrację, potem, dla zabicia czasu, posiedzimy w tawernie, wypijemy coś, żeby uczcić wypłatę, bo z pewnością okazja jest dobra, wiadomo, jak trudno wyrwać od nich pieniądze. Poczekamy tak ze dwie godziny, aż zajdzie słońce. Wtedy skończy się jedna zmiana i spróbujemy odszukać Hermógenes. Może uda się nam dowiedzieć, gdzie go zakwaterowali.

Tak też zrobili. Po wyjściu z administracji po raz pierwszy od dłuższego czasu Fonseca miał pokazać torbę w rękę.

– Niech jej pan dobrze pilnuje – powiedział Paco, wręczając mu pieniądze. – Trzeba było nieźle się napracować, żeby to zarobić.

I z tonu głosu zdradzającego smutek, jeśli nie gorycz, z jakim wypowiedział te słowa, Sebastián zorientował się, jak wielkie nadzieje pokładał rządca w tej wypłacie.

Kiedy zapadł zmierzch, wyszli z tawerny, żeby wrócić do strefy przeznaczonej na magazyny i zbrojownie. Paco pozdrowił grupę robotników, którzy kończyli właśnie swój dzień pracy i odkładali narzędzia.

Co do straży kontrolującej dostęp do ogrodzonego terenu, została ona zmniejszona do niewielkiego oddziału. Wystarczyło oddalić się nieco od żołnierzy wchodzących w jego skład, żeby pod osłoną ciemności przejść przez płot i ukryć się w pierwszej szopie, jaką znaleźli w tej strefie.

W magazynie, do którego weszli, paliło się światło, lampa stojąca na stole. Było to zaimprovizowane biuro. Zastanawiali się, kto może go używać. Nikogo nie było widać. Paco zaczął przeglądać papiery rozrzucone po stole i pokazał Sebastiánowi kartę stanu jakiegoś okrętu. Z notatki nakreślonej u góry wynikało, że pospiesznie zaopatrywano go w prowiant na polecenie „Tajnej Komisji”.

– Takie karty tworzy się dla poufnych misji, kiedy nie chce się zdradzać celu wyprawy – powiedział Fonseca cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Ukryto tam wiele innych szczegółów, które byłyby jawne w zwyczajnym zleceniu. Ale nie stanowiło to przeszkody dla tak doświadczonego

człowieka jak Paco. Z wykazu sprzętu i innych danych wywnioskował, że chodzi o okręt liniowy wyposażony w siedemdziesiąt cztery działa.

– To naprawdę wielka jednostka. Załoga takiego okrętu liczy co najmniej sześciuset ludzi.

Podczas gdy inżynier zachowywał czujność na wypadek, gdyby wrócił lokator tego pomieszczenia, majster przeglądał inwentarz prowiantu i beczek: pełne wyżywienie załogi, baryłki z wodą, beczki wina, oliwy i octu.

– Te zapasy starczą im na cztery miesiące bez zawijania do portu. Tyle zabiera się na podróż przez ocean.

– To znaczy, że płyną do Ameryki – stwierdził Fonseca.

– Zgadza się. Tyle czasu potrzeba, żeby dopłynąć na *Tierra Firme*. Do Panamy.

– To najkrótsza droga do Peru.

Według wszystkich znaków był to okręt, którym miała płynąć ekspedycja Montilli. Ale musieli się upewnić. I w umyśle inżyniera zaczęła kiełkować pewna myśl.

Kiedy przekonali się, że nie ma nikogo na esplanadzie prowadzącej do okrętu, wyszli z magazynu i zbliżyli się do niego z całą ostrożnością, kryjąc się za sprzętami rozłożonymi wzdłuż dziedzińca. Ze swojej kryjówki zdołali dostrzec nazwę okrętu, „África”, i jego imponujący profil odcinający się na tle czerwieniącego się o zachodzie nieba. Rzemieślnicy zakończyli już swoją pracę, a ci, co teraz znajdowali się na pokładzie, zajęci byli ładowaniem sprzętu.

– Lada chwila podniosą kotwice – powiedział Paco. – Ładują już bagaże.

Fonseca wyjął niewielką lunetę, którą miał w kieszeni, i obserwował ten ładunek, w miarę jak umieszczano go na drewnianych platformach przymocowanych do silnych lin biegnących do kabestanu, który pozwalał podnieść je na pokład i wprowadzić do ładowni. W tym momencie do jednej z nich zbliżono latarnię, żeby sprawdzić liny. I w jej świetle zdołał zobaczyć kilka kufrów z herbem Montilli.

– Nie ulega wątpliwości, że markiz płynie na tym okręcie... – skomentował Sebastián. – Poczekaj, a to co takiego? – dodał, regulując ostrość lunety.

Miał na myśli bagaż, do którego przytroczona była charakterystyczna zielona opończa ze złamaną klamrą, jaką miał na sobie domniemany zabójca jego ojca, kiedy zaatakował go na uliczce za pałacem rodziny Fonsecaów.

– Paco, chcę cię o coś spytać. Poradzisz sobie sam z odnalezieniem Hermógenesesa?

– Mam nadzieję, że tak. Dlaczego?

– Zaraz ci to wyjaśnię. Ale najpierw powiedz mi: czy ten okręt mógłby wyjść na otwarte morze przy takim wietrze jak teraz?

– Bez wątpienia. W tej zatoce da się żeglować przy wszystkich wiatrach oprócz północno-zachodniego. Tylko sztorm z tego kierunku mógłby to uniemożliwić. Ale na to się teraz nie zanosì.

– Musisz mi pomóc ukryć się wśród lin, które dostarczyliśmy. Jeśli się nie mylę, tam jest nasza skrzynia przygotowana do załadunku.

– Ależ to szaleństwo, proszę pana.

– Myślisz, że rozsądniej będzie pójść do dowództwa, żeby wysłali mnie na Wyspy Kanaryjskie albo Bóg wie dokąd...? Więc jak, zrobisz to dla mnie?

Majster przytaknął z rezygnacją.

Partia lin znajdowała się już w pobliżu miejsca załadunku i musieli się zbliżyć z wielką ostrożnością. Gdy znaleźli się na drewnianej platformie, którą miał unieść kabestan, Paco obłożył Sebastiana takielunkiem tak, że był całkowicie zasłonięty.

Kiedy majster już się zegnał, Fonseca wyciągnął do niego dłoń. Nie była pusta: wręczał mu torbę z gotówką, którą właśnie im wypłacono.

– Weź. Niech pilnuje tego Lucía. Nikt nie zagospodaruje tego lepiej niż ona.

– Ależ pan zostanie z niczym... Nie możemy na to pozwolić.

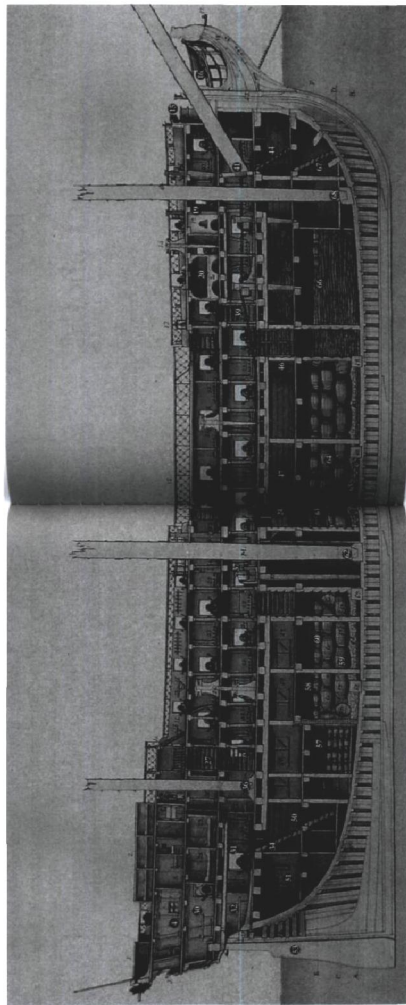
– Zarobiliście te pieniądze własnym potem... Teraz już odejdz, bo nadchodzą.

Liny naprężyły się i platforma zaczęła się powoli wznosić, aż znalazła się nad statkiem. Kabestan obrócił się, pozostawiając ją zawieszoną nad górnym pokładem. Robotnicy pociągnęli za liny, aż ustawili platformę dokładnie nad głównym lukiem okrętu znajdującym się przy grotmaszcie. I gdy dano im znak, zaczęli ją opuszczać.

Ukryty wśród takielunku Sebastián usiłował utrzymać równowagę, podczas gdy platforma opuszczała się, przechodząc przez drugi, najwyższy pokład. Potem przez pierwszy, niższy. W końcu przez pokład najniższy, leżący na wysokości linii wodnej, aż weszła do ładowni i uderzyła o deski schowka przeznaczonego na liny. Był pogrzebany w najgłębszych wnętrznościach okrętu.

CZEŚĆ DRUGA

Zapomniany sen



Widok wewnętrzny statku z 74 działami; przekroj

4. Kabina oficerska (górny pokład)
5. Szaty na broń
15. Zrzuwak i larny dla oficerów
16. Larny dla marynarzy
19. Piec
20. Palenisko
24. Luk główny
27. Zęście na pokład doły i do zbrojowni
36. Kabina na dołym pokładzie
31. Sterownica
32. Kajuty kapelanów
34. Zbrojownia
36. Grniazdo stermaszu
37. Pompy do wypospowywanu wody
39. Luk dziobowy
41. Grniazdo buksprytu
44. Magazyń (schowek) bosmański
45. Wępiec na pokładzie bojowe

wędnący od rufy do dziobu w kierunku kila

46. Magazyń cesti
47. Pokład doły i pasaze bojowe
50. Zęście do prochowni
51. Magazyń artyleryjski
52. Ster
53. Prochownia
58. Szpizarna oddzielenia od prochowni
60. Magazyń (schowek) bosmański
- 60a. Wępiec z cepeł
59. Boczki z winca
60. Baryki mięsa, suszonych jarzen, oleju itp.
62. Grniazdo gromaszu
63. Schowek na liny
64. Ladownia i zapas wody pitnej
65. Kamienie i szaty balastu
66. Drwa i boczki z drzęciem oraz smola
67. Magazyń bosmański w ładowni
68. Grniazdo kokmaszu

20 Młoda Indianka

Obudziły go trzy strzały armatnie, wrzaski, bieżanina marynarzy i inne odgłosy towarzyszące podnoszeniu kotwicy. Potem usłyszał rozkaz podniesienia trapu i gwizdki bosmana. Wreszcie okręt był wolny, woda napierała na burty. Zatrzeszczał kadłub, torując sobie drogę pośród fal. Zaskrzypiały maszty, wprawione w ruch pracą górnych żagli, które nabierały wiatru. Po chwili dołączyły do nich z furkotem pozostałe żagle i całe oprzyrządowanie zadźwięczało jak dobrze nastrojony instrument. „África” wypłynęła na pełne morze.

Zanim zamknięto luki pokładowe, Sebastián zaopatrzył się w latarnię. Zapalił ją, żeby zbadać swoje królestwo, mroczny świat ładowni zanurzonej w morzu pod falami. Poczłł kloaczne wyziewy z zęzy, w której zbierały się resztki deszczu, woda po myciu mostków, przecieki z kadłuba oraz odchody zwierzęce i ludzkie, tworząc kałużę pełną martwych szczurów i sfermentowanych odpadów wszelkiego rodzaju.

Sprawdził najpierw, z której strony mogli go zaskoczyć członkowie załogi schodzący z pokładów. W tylnej części okrętu był złaz rufowy przy bezanmaszcie. Tego zejścia pilnowano najbardziej, bo prowadziło do prochowni. Na szczęście znajdowało się dość daleko od jego włości. Z tej strony nic mu nie grozi.

Idąc w kierunku dziobu, zobaczył przy stermaszcie główne schody

podzielone na dwie części pod pokładem. Jedne prowadziły do spiżarni – korzystali z niej kucharz i jego pomocnicy. Drugie, te obok schowka na liny i kotwicę, gdzie złożono takielunek, pod którym się ukrywał, wyglądały na mało używane. Postanowił, że tu urządzi swoją kryjówkę, bo idąc dalej w kierunku dziobu, natrafił na schody, z pewnością wykorzystywane przez marynarzy, ponieważ prowadziły do kuchni. Stamtąd w porze pieczenia chleba i gotowania obiadu dobiegały kuszące zapachy.

Po tym pobieżnym przeglądzie zajął się zorganizowaniem sobie pożywienia. W zasięgu ręki miał beczki, a w nich mięso i soloną rybę, warzywa i suszone owoce, oliwki, ser, rodzynki z Malagi... Niczego nie brakowało, choć powinien ograniczyć się do pojemników otwieranych przez marynarzy odpowiedzialnych za spiżarnię, bo wszystko było ponumerowane. Zrobił zapasy, biorąc po trochu z różnych beczek, żeby nie zauważono braków, i zaniósł to do swojej kryjówki pośród lin. Z tego miejsca mógł doskonale obserwować wszystkie ruchy schodzących do ładowni.

Czuł się spokojniejszy, mając takie schronienie. Pocięszał się myślą, że niczego mu tu nie brakuje do życia oprócz świeżego powietrza i światła dnia. Znał gorsze więzienia. Musi tu wytrzymać i nie dać się znaleźć, dopóki nie miną Wysp Kanaryjskich. W przeciwnym razie doprowadzą go na miejsce zesłania albo wsadzą na inny statek płynący w tamtym kierunku.

Teraz miał dużo czasu, choć jeszcze tak niedawno narzekał na jego brak. Mógł skupić się na czytaniu i odnaleźć w *Kronice* klucz do bieżących wydarzeń.

Wymacał ceratową torbę schowaną pod ubraniem, wyjął oprawiony w skórę tom i postanowił przez najbliższe dni zająć się lekturą. Był wdzięczny ojcu za przezorność i umieszczenie na początku książki własnych notatek ze streszczeniem zdarzeń, jakie zaszły w Peru bezpośrednio przed historią spisaną przez Diega de Acufię. W przeciwnym razie łatwo pogubiłby się w meandrach tej opowieści.

* * *

Okoliczności towarzyszące tej historii sięgają swym początkiem roku 1527, kiedy umiera ostatni imperator Inków z czasów przed przybyciem Franciscisa Pizarra. Nazywał się Huayna Cápac. Za jego panowania państwo Inków znalazło się w zenicie, u szczytu rozwoju. Jednakże Huayna Cápac, jak wynika z relacji Diega de Acuña, miał profetyczny sen, bardzo niepokojący. Królewscy astrologowie dostrzegli w tym zapowiedź upadku państwa Inków.

Dynastię Synów Słońca, stwierdzili, czeka to samo co Słońce, które zmienia swój cykl co dwanaście miesięcy. Tak oto Huayna Cápac dowiedział się od astrologów, że dwunasty Inka, czyli jego syn i następca, będzie ostatnim dzieckiem Słońca. W związku z tym postanowił zaprzestać podbojów i umocnić to, co już posiadał. Przede wszystkim kazał strzec jak oka w głowie złotego bożka Punchao symbolizującego wschodzące słońce, gdyż w jego piersi była ukryta najcenniejsza relikwia imperium – starte na pył serca wszystkich jego królów. Dopóki lud będzie o nich pamiętać, nikt go nie pokona. A nowy cykl słoneczny i dynastyczny znów zacznie piąć się w górę, do zenitu.

Huayna Cápac pragnął zjednoczyć poddanych wokół swego pierworodnego syna. I kiedy ten miał się narodzić, rozkazał zrobić złoty sznur, czyli łańcuch ze złota, gruby jak męskie ramię i tak długi, że można nim było otoczyć cały główny plac w Cuzco. Tak ciężki, że sześciuset najsilniejszych Indian ledwie mogło go unieść. Podczas najważniejszych uroczystości obnoszono ten łańcuch ostrożnie, jak wielkiego węża, jedną z największych świętości inkaskich, symbolizującą mądrość, która wyłania się z wnętrza ziemi. Celem monarchy było, aby ten ogromny złoty łańcuch wzmocnił i połączył poddanych w obliczu nadchodzących niebezpieczeństw. Aby uzmysłwić im to jeszcze wyraźniej, nadał synowi imię Huáscar, które w ich języku znaczy „sznur” albo „łańcuch”.

Następne lata wykazały, że ostrożności nigdy nie za wiele. Nieszczęścia przepowiedziane we śnie zaczęły się spełniać zaraz po śmierci Huayny Cápac, kiedy jego dwaj synowie, Huáscar i Atahualpa, zaczęli walczyć o władzę, a państwo podzieliło się na dwa przeciwstawne obozy. Huáscar

miał za sobą południe i stolicę imperium Cuzco. Atahualpę popierała północna część państwa i miasto Quito. W tej wojnie domowej zwyciężył Atahualpa. Krwawo rozprawił się z mieszkańcami Cuzco. Ze szczególnym okrucieństwem potraktował szlachetnie urodzonych. A także mędrców, strażników dawnej historii, których zmusił do spożycia ze śmiertelnym skutkiem wielkiej liczby pikantnych papryczek chili. W ten sposób chciał zniszczyć pamięć o swych poprzednikach, żeby założyć nową dynastię.

I osiągnąłby ten cel, gdyby nie inwazja Francisca Pizarra, który w 1553 roku pojmał Atahualpę i uwięził go w Cajamarce. Obiecał go uwolnić, pod warunkiem że dostanie tyle złota, aby napełnić nim dwie sale. Atahualpa dotrzymał słowa, jego poddani przynieśli złoto, ale i tak został zamordowany przez Hiszpanów. Wcześniej zdążył wydać rozkaz zabicia Huáscara przetrzymywanego w obozie stronników Atahualpy.

Po śmierci dwóch starszych synów Huayny Cápac Pizarro postanowił osadzić na tronie trzeciego Manca Cápac. Hiszpanie widzieli go jako marionetkowego wodza i zamierzali nim manipulować. Podobne intencje przyświecały nowemu Ince: pragnął posłużyć się Hiszpanami, żeby usunąć innych pretendentów do tronu, osiąść w Cuzco i zemścić się na mieszkańcach Quito, przed którymi wcześniej musiał się ukrywać. Nie chcąc dłużej znosić upokorzeń ze strony Hiszpanów, obmyślił sposób ucieczki.

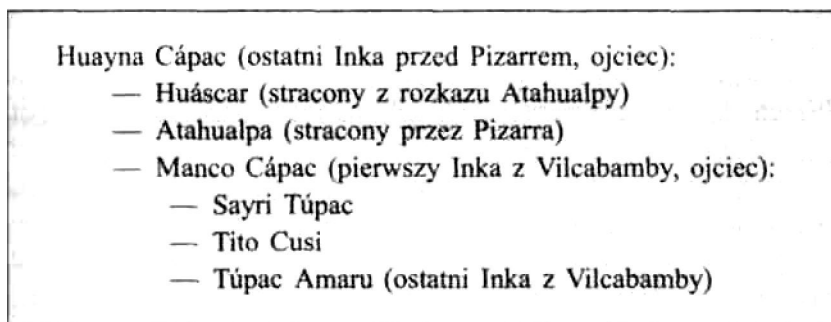
Wiedział, że jest taka przynęta, której nie oprze się żaden Hiszpan: skarb Inków. I wykorzystał to. Najeźdźcy chcieli, żeby wypełnił dwie sale złotem i srebrem, jak to zrobił jego poprzednik. Manco Cápac potwierdził, że posiada ogromne bogactwa, ale zostały dobrze ukryte po tym, jak Pizarro złamał dane słowo. Niech go wypuszczą na wolność, to przyniesie im złoto. Hiszpanie zaślepieni żądzą zgodzili się na jego wyjazd z Cuzco w roku 1536.

Manco Cápac wrócił, ale nie ze złotem, tylko z potężnym wojskiem, i przystąpił do oblężenia miasta. Lata spędzone wśród Hiszpanów pozwoliły mu poznać zwyczaje, uzbrojenie i fortele wojenne. Mimo to nie zdołał zdobyć Cuzco, choć dokonywał cudów waleczności. Po roku musiał

wycofać się w wysokie góry na północny wschód, gdzie posiadłości Inków stykały się z dżunglą. Zatrzymał się w mieście Vilcabamba, które uczynił nową stolicą swego państwa. Położone w odległości trzydziestu czterech *leguas* * od Cuzco, między rzekami Apurímac i Urubamba, miało duże znaczenie strategiczne ze względu na bliskość Cuzco i wysokich gór, ale liczne przeszkody naturalne utrudniały swobodę manewrów. Wąskie doliny, urwiska i strome ściany górskie broniły dostępu do Vilcabamby. Z tej twierdzy Manco Cápac nękał najeźdźców do czasu swej śmierci. Zostało po nim trzech synów, którzy rządili sukcesywnie: Sayri Túpac, Tito Cusi i Túpac Amaru.

* *Legua* (hiszp.) – hiszpańska miara drogowa. Jedna *legua* – około 5,5 km.

Doszedłszy do tego miejsca, Sebastián zauważył, że ojciec sporządził niewielkie drzewo genealogiczne:



Tu, zanotował Juan de Fonseca, jest klucz do zrozumienia tego, co dzieje się obecnie. Wszystko zaczęło się dwieście lat temu. Owo rozgałęzienie linii i zachłanność na ukryte bogactwa stanowi źródło wszystkich późniejszych problemów. Wystarczy powiązać inkaskie spory o sukcesję i hiszpańskie wojny domowe o władzę i podział łupów, aby stać się świadkiem trudnych narodzin nowego kraju – Peru.

Vilcabamba znajdowała się w stanie wojny do czasu, gdy w 1557 roku usposobiony pokojowo Sayri Túpac zgodził się podpisać traktat z Hiszpanami,

po czym osiadł nieopodal Cuzco, w dolinie Yucaj nad rzeką Urubambą, na dawnych bagnach osuszonych i skolonizowanych przez jego dziadka Huaynę Cápacę. Cztery lata potem zmarł. Jego brat Tito Cusi był bardziej ambitny i pozostał w górach, bo nie ufał Hiszpanom. Oskarżał ich nawet o otrucie Sayriego Túpacę. W rezultacie ogłosił się nowym Inką i sprawował tę godność do końca życia. Zmarł w 1571 roku. Wtenczas przybył do Peru nowy wicekról Francisco Álvarez de Toledo, który za wszelką cenę dążył do zaprzestania walk. W tym celu wybrał się do Cuzco, nie wiedząc, że Tito Cusi zmarł i tron objął jego brat Túpac Amaru.

Było to na początku roku 1571. Rebelianci z Vilcabamby od trzydziestu pięciu lat stawiali Hiszpanom opór. Tu rozpoczyna się historia zrelacjonowana przez Diega de Acuña, młodego tłumacza i sekretarza, który przybył do dawnej stolicy Inków z orszakiem wicekróla.

Pewnej nocy przed świtem znalazł się w pobliżu Plaza de Armas. Przechodził właśnie przez ulicę, gdy usłyszał jakieś krzyki. Czym prędzej skierował tam swe kroki i zobaczył kilku hiszpańskich żołnierzy, owych groźnych weteranów zaprawionych w bojach i potyczkach, halabardników z gwardii wicekróla, którzy po pijanemu zaatakowali kogoś, kogo tłumacz dobrze nie widział, ale słyszał. Słyszał też kobiece krzyki.

Napastowali młodą Indiankę. Z ich zachowania i odzywek domyślił się, że poddali ją próbie płaszczu. Jeden po drugim zachodzili ją od tyłu i zniechęta uderzali po pupie zwiniętym w rulon płaszczem. Miał to być sprawdzian dojrzałości dziewczyny. Jeśli się nie przewróci, to znaczy, że dojrzała do poznania mężczyzny.

Inaczej mówiąc, zamierzali ją zgwałcić. Próba płaszczu była w tym wypadku zwykłą drwiną. Napastowana wyglądała co prawda niewinnie, ale nie była już dzieckiem. Broniła się zębami i paznokciami, gotowa raczej zginąć, niż im ulec. Krzyczała w keczua, żeby ją puścili. Żołdacy odpowiadali śmiechem i kazali mówić do siebie po chrześcijańsku.

Świadom, na co się naraża, Diego wyciągnął szpadę i zaatakował pierwszego z brzegu. Odwrócili się ze zdziwieniem: nikt dotychczas nie śmiał

porwać się na halabardnika. Pijany żołnierz już stawał do walki, gdy nagle coś go przestraszyło i uciekł na chwiejnych nogach. W pierwszej chwili tłumacz gotów był pomyśleć, że to jego postawa i groźny błysk w oczach tak podziały na przeciwnika, ale musiało być coś więcej, bo reszta towarzyszy też uciekła. Żaden nie odważył się stawić mu czoło.

Na opustoszałej uliczce został z dziewczyną sam na sam. Schował szpadę i podał Indiance dłoń, ale jej nie przyjęła. Przyglądała mu się nieufnie i wciąż jeszcze zadyszana przytulała się do ściany, jakby chciała się w nią wtopić.

Odezwał się po hiszpańsku, żeby ją uspokoić. Nie zareagowała, więc powiedział to samo w keczua.

Widać było po niej zaskoczenie, że ten nieznamy włada jej językiem. Jednak tym razem też nie odpowiedziała.

Diego nie przestawał jej namawiać, żeby poszła do domu, zanim nastnicy wrócą umocnieni. Odprowadzi ją, jeśli trzeba.

Nic nie mówiła, tylko patrzyła mu prosto w oczy. Jej piersi unosiły się w szybkim oddechu. Nie wyglądała na zwykłą Indiankę. Młody skryba poczuł nagle wzruszenie, gdyż wydała mu się taka bezbronna i osierocona. Oczy o zagadkowym wyrazie prześwitywały spoza długich czarnych włosów opadających na jej twarz, ale i tak widać było, że jest niezwykle piękna. Poczul słabość, jakby za chwilę miał upaść. Nie wiedział, czy to uroda, czy magia emanująca z dziewczyny wywołała ten efekt.

Gdy zapytał, gdzie mieszka, spuściła wzrok. Ale zaraz spojrzała prosto przed siebie, choć nie na niego. W jej oczach pojawił się krótki, zagadkowy błysk, co nie uszło uwagi Diega.

Kiedy się odwrócił, zdążył jeszcze dostrzec Indianina ukrytego za węglem. Podszedł bliżej i przekonał się, że było ich więcej. Duża grupa Indian oddalała się bezszelestnie. Teraz zrozumiał, dlaczego żołnierze woleli uciec, niż podjąć walkę.

Zastanawiał się, kim jest ta dziewczyna, budząca tak wielkie zainteresowanie i wśród Hiszpanów, i wśród Indian. Już na pierwszy rzut oka

widać było, że jest kimś ważnym. Co więc robi sama o tej porze na ulicy?

Chciał ją o to zapytać, ale kiedy wrócił na miejsce, gdzie ją zostawił, dziewczyny już nie było. Na próżno rozglądał się dokoła.

Nie wiedział, gdzie jej szukać, zresztą zbyt słabo znał miasto.

Już miał odejść, gdy zobaczył, że coś leży na ziemi. Schylił się, żeby to podnieść. Był to czerwony sznurek z supelkami. Widział już u Indian podobne ozdoby. Ta z pewnością należała do dziewczyny. Zgubiła ją podczas szarpaniny z żołnierzami. Dobrze, że jest po niej jakiś ślad. Ukrył starannie tę cenną pamiątkę.

* * *

Co to za hałas, zaniepokoił się Sebastián, przerywając lekturę.

Zgasił lampę. Jednak ładownia nie pogrążyła się w ciemnościach jak przedtem. Słabe światło sączyło się przez otwarty nad jego głową luk pokładowy, docierając aż do zęzy.

Kiedy przyzwyczaił się już do półmroku, zauważył czyjeś niespokojnie błyszczące oczy. Powoli zbliżały się do jego kryjówki. Skulił się jeszcze bardziej, żeby jak najmniej było go widać, i wstrzymał oddech. Mimo to oczy były coraz bliżej. Ktoś odkrył jego obecność pod pokładem.

21 Czerwone kipu

Próbował ukryć się pośród zwojów lin. Stąd śledził ruchy tych oczu, które zbliżały się do niego nieuchronnie. Co najdziwniejsze, wciąż były na tym samym poziomie, jakby intruz poruszał się na czworakach. Wcisnął się głębiej między sznury z nadzieją, że nowo przybyły go nie zauważy i pójdzie dalej. Ale tak się nie stało. Ten ktoś zatrzymał się obok niego i nie ruszał się z miejsca, zachowując nadzwyczajną ciszę.

Kiedy wysunął nieco głowę, zobaczył, że to kot. A właściwie kotka. Wiedział, że wszystkie okręty mają na pokładzie co najmniej jedno takie zwierzę, żeby szczury nie pogryzły takielunku i nie dobrały się do zapasów żywności. A więc to była nadworna kotka z „Áfriki” i jak każdy przedstawiciel tego gatunku miała bardzo rozwinięty zmysł przynależności terytorialnej. Teraz zrozumiał, dlaczego wcześniej nie widział nic oprócz wielkich oczu. Była cała czarna z wyjątkiem białej łatki na piersiach.

Miauknęła parę razy z żądaniem wyjaśnień od osobnika, który śmiał zająć jej tereny, po czym usiadła na czterech łapach i zaczęła sobie lizać futerko, jakby chciała pozbyć się jakiegoś nieprzyjemnego zapachu. Kiedy skończyła toaletę, wyczuła inną niepokojącą woń i zainteresowała się *Kroniką*, którą inżynier trzymał w dłoni. Sebastián myślał początkowo, że to skóra okładki tak na nią działa. Ale nie. Wsunęła pyszczek do środka. I zaczęła lizać, nawet nie papier, tylko atrament, bardzo się przy tym

spieszyła, przeczuwając, że długo jej na to nie pozwolą.

Co za czasy! – pomyślał inżynier, zamykając książkę. – Nawet koty są oświecone!

Zastanawiał się, co z nią zrobić. Nie obawiał się, że zdradzi jego obecność lub inaczej ściągnie na niego niebezpieczeństwo. Wprost przeciwnie, może być świetną sojuszniczką.

Kto lepiej niż kot zna wszystkie zakamarki statku? – powiedział sobie w duchu.

Obserwował teraz, jak dokładnie bada jego kryjówkę. I robi to świadomie, cal po calu, wykrywając przedmioty i zapachy, które tu nie pasują. Nielatwe zadanie. Ale kotka znakomicie sobie z tym poradziła. Rzeczywiście, świetnie orientowała się w terenie: bezbłędnie wybierała przejścia między beczkami.

* * *

Po tygodniach spędzonych w samotności zaczął doceniać wizyty Luni. Była bardzo towarzyska, łatwo przywiązywała się do miejsca i ludzi. Pewnego dnia, obserwując jej wędrówki i reakcje, które nauczył się rozpoznawać, postanowił iść za nią, żeby dokładniej zbadać teren. Nie musiał już się kryć i co chwila uciekać jak dotychczas.

Zaczął od ładowni. Badał ją cal po calu, od środka w kierunku rufy. Z tyłu za grotmasztem rozciągała się spiżarnia z zapasami żywności w beczkach. Tę część już znał, więc poszedł dalej. W pewnym momencie musiał przerwać zwiedzanie, gdyż natknął się na ścianę z cegieł. Broniła dostępu do zbrojowni, gdzie zgromadzono beczki z prochem. Miejsce najbardziej strzeżone. Na szczęście dla Sebastiána wejście do tej komory znajdowało się nie z tej strony, tylko bardziej z tyłu, koło schodów rufowych.

Cofnął się i odbył tę samą drogę w kierunku dziobu. Za schowkiem na liny, gdzie urządził sobie kryjówkę, znajdowała się komora z zapasem wody pitnej. Następnie pomieszczenie, gdzie były drwa na opał, beczki dziegci i parę innych, większych i cięższych beczek, których przeznaczenia nie zdołał odgadnąć. Kiedy przysunął nos, poczuł gryzący, nieznanemu mu

zapach. Pomyślał, że to trochę niepokojące. Jednak na tym musiał skończyć zwiedzanie. Przegroda zamykająca ładownię od strony dziobu uniemożliwiła mu dotarcie do fokmasztu.

Zadowolony z oględzin wrócił do swej kryjówki. Kilka następnych dni poświęcił na czytanie *Kroniki*, a historia spisana przez Diega de Acuña coraz bardziej go wciągała.

Skryba relacjonował dalszy ciąg wydarzeń, jakie miały miejsce w Cuzco w roku 1571. Po tym jak uratował młodą Indiankę z rąk hiszpańskich żołnierzy, szukał jej po całym mieście i długo nie mógł znaleźć. Zniknęła.

Próbował o niej zapomnieć, pogrążając się w pracy. Jako sekretarz i tłumacz miał bardzo dużo obowiązków, a jego nauczyciel keczua, jezuita Cristóbal de Fonseca, wciąż dokładał mu nowych.

Ojciec coś tu napisał na marginesie, zauważył Sebastián. I przeczytał: *Zdaje się, że od tego czasu datuje się związek Fonseca z relacjonowanymi tu wydarzeniami.*

Diego zdawał relację z wielogodzinnych rozmów z Indianami, w których służył jako tłumacz. Pewnego dnia zgłosił się jakiś *curaca*, jak nazywano miejscowych wodzów i kacyków. Poskarżył się na jednego z tych hiszpańskich obszarników zwanych *encomenderos*, który zajął jego najlepsze ziemie, pozbawiając go tym samym dziedzictwa przodków. Przedstawił dokumenty świadczące o tym, że ziemie te z dawien dawna należały do jego rodziny.

Acuña przekonał się wtedy, że Indianie mają swój system rejestrowania tytułów własności. Kacyk nie przyszedł sam. Towarzyszył mu starszy mężczyzna, który trzymał się nieco z tyłu i dostarczał potrzebnych informacji. Przesuwał dłońmi po sznurkach pełnych węzłków, kiedy *curaca* zwracał się doń z jakimś pytaniem, i błyskawicznie udzielał mu odpowiedzi zawierającej szczegółowe dane.

Początkowo nie przywiązywał do tego większej wagi. Aż do momentu gdy wraz z innymi członkami ekspedycji wojskowej znalazł się na terenie jeszcze nie do końca objętym panowaniem hiszpańskim. Zabrakło im

pożywienia i musieli udać się do jednego z tych świetnie zaopatrzonych spichlerzy inkaskich, które tubylcy przynosili z miejsca na miejsce w latach nieurodzaju, aby zapobiec klęsce głodu. Indianin pilnujący tego składu żywności wydał im niechętnie kilka miarek kukurydzy. Diego zauważył, że bierze on jakieś sznurki z węzłami, które rozwiązuje w jednym miejscu i zawiązuje w innym.

Zapytał, po co to robi, a Indianin poskarżył się na Hiszpanów, że opróżniają zbiorniki i nie pamiętają, żeby napełnić je na nowo. Armia inkaska tak nie postępuje, bo choć przemierza swe imperium wzdłuż i wszerz, korzysta zazwyczaj z własnych kwater i spichlerzy, a żołnierze mają zabronione pod karą śmierci zabierać żywność albo cokolwiek innego mieszkańcom terenów położonych na trasie przemarszu. Dlatego on zajmuje się inwentaryzacją, rejestruje wszystkie dostawy i pobrania z magazynu za pomocą kipu, czyli węzłów zawiązywanych bądź rozwiązywanych na sznurkach. Jego zawód to *quipucamayo*, czyli „odpowiedzialny za kipu”.

Po powrocie do Cuzco Diego odwiedził swego nauczyciela Cristóbal de Fonsecę, żeby opowiedzieć mu o tym spotkaniu. Jezuita bardzo się przejął. Powiedział, że sznurki z węzłami zwane kipu to coś w rodzaju pisma. Za ich pomocą miejscowi rejestrują wszystko, co wiedzą o sobie i swoich przodkach. Kipu to dla nich dokument najwyższej wagi i gotowi są bić się z każdym, kto podaje to w wątpliwość.

Znać się na kipu to tak, jakby znaleźć się w samym sercu imperium Inków. Można badać rodowód królów i innych ludzi, prześledzić wydarzenia historyczne, ewidencję ludności, produktów rolnych, podział gruntów... W tych sznurkach wszystko jest zapisane od początku do końca, do ostatniego sandała.

Widząc niedowierzanie na twarzy ucznia, Cristóbal de Fonseca dodał, że chętnie mu to wytłumaczy bardziej przystępnie, ale młodzieniec musi przysiąc, że dochowa absolutnej dyskrecji. Po przyjęciu przysięgi jezuita powiedział, że też początkowo w to nie wierzył, przez długi czas traktował te sprawy ze sceptycyzmem. Widział jednak, że Indianie szlacheckiego

rodu i kacykowie mają własnych *quipucamayos* i wynagradzają ich sowiecie, jakby to byli kronikarze albo archiwiści. W przypadku rozszczeń albo sporów wystarczyło wezwać takiego specjalistę, a on już potrafił wyczytać z kipu to samo, co hiszpański skryba znajdował w foliach rejestru własności. Acuña był tego świadkiem podczas wspomnianej wizyty kacyka.

Diego się zdziwił, bo ów system węzłów i sznurków wydał mu się zbyt prymitywny, aby dokumentować za jego pomocą sprawy najwyższej wagi.

Ale niedługo pozostał w błędzie. Cristóbal de Fonseca opowiedział mu o pewnej próbie. Wezwano różnych *quipucamayos*, którzy nie znali się między sobą, i poproszono o odczytanie tego samego kipu. Wszyscy zinterpretowali je dokładnie tak samo. Nie ulega wątpliwości, że to, co Hiszpanie uważali za zwykłą płataninę sznurków i supełków, było odpowiednikiem księgi rachunkowej.

Dlatego prosił go o dyskrecję, bo – jak już Diego zdążył się przekonać – kipu stanowi o prawie do własności ziem lub kopalń, o dziedziczeniu tytułów, które wiążą się z ogromnymi bogactwami, a to oznacza poważny problem. „Własność” to ważne słowo, ale jeszcze ważniejszym słowem jest „historia”, która nadaje własności moc prawną. Część Hiszpanów już się zorientowała, czym to pachnie, skonstatował Cristóbal de Fonseca, i niszczył każde kipu, jakie znajdą.

Diego podziękował mu za te informacje i z pożytkiem wykorzystał je w swej pracy tłumacza. Aż pewnego dnia przyszło mu towarzyszyć poborcy podatkowemu w drodze z Cuzco na wybrzeże. Na bezludziu zostali zaatakowani przez kilku uzbrojonych Indian z twierdzy w Vilcabambie, którzy często schodzili z gór, żeby siać postrach wśród kupców i podróżnych. Poborca i jego eskorta zginęli na miejscu. Acuña o mało nie podzielił ich losu. Jeden z napastników już zamachnął się bronią, żeby go ugodzić, ale wzrok jego padł na cienki czerwony sznurek, który Diego nosił na szyi jako ozdobę. Sznurek zgubiony przez indiańską dziewczynę. Napastnik cofnął się i przywołał towarzyszy, żeby im go pokazać. Wszyscy wpatrywali się w sznurek, jakby to był talizman, i darowali młodemu skrybie życie.

Po tym zdarzeniu musiał przyznać, że sznurek nie był zwykłą ozdobą. Oznaczał dla Indian coś ważnego. Może to było kipu. Bardzo szczególne kipu.

Przekonał się o tym wkrótce, kiedy podczas tłumaczenia zeznań starego Indianina rozchyliła mu się koszula na piersi, odsłaniając ów sznurek. Stary spojrział raz, potem drugi. I Diego usłyszał pełen podziwu i zdumienia okrzyk: *Yahuar quipu!* Co w języku keczua znaczy „krwawy węzeł”.

Acuña zanotował, że od tego momentu odnosili się do niego z większym zaufaniem i mówili mu takie rzeczy, których nie powierzyliby Hiszpanowi. Postanowił skorzystać z tej okazji. Po skończonej pracy odszukał starca i opowiedział mu o dziewczynie, którą spotkał w Cuzco w dziwnych okolicznościach. Ale wtedy zachowanie starego Indianina uległo zmianie. Ścisnął swój węzełek i zawołał na synów, żeby natychmiast go stąd zabrali.

To zdarzenie roznieciło jeszcze bardziej ciekawość tłumacza. Przede wszystkim zaczął obserwować pracę *quipucamayos*, których dotąd brał za zwykłych tkaczy albo innych wyrobników. Teraz zachwycał się ich pamięcią, szybkością i zdecydowaniem, jakie przejawiali w odczytywaniu kipu. Nikt nie był w stanie ich naśladować. Zaczął podejrzewać, że wbrew powszechnej wśród Hiszpanów opinii, że to prymitywna, typowa dla dzikusów czynność, była to prawdziwa sztuka, choć w obecnych warunkach zniewolona, przytłumiona i w defensywie.

Odkąd potrafił odróżnić kipu od zwykłych sznurków, z przerażeniem patrzył, jak Hiszpanie rzucają je w ogień. Serce mu się rwało z żalu na myśl o takiej stracie. Oto w zasięgu ręki znajdowała się sieć sznurów z węzłami, obejmująca całe terytorium, zawierająca ludzkie sekrety i wspomnienia utkane w gigantyczny dywan. A także ślady wiodące do ukrytych skarbów. Ale Hiszpanie nie umieli sobie poradzić z taką łamigłówką. I przyszedł czas, że ledwie jakiś Indianin wyciągnął kipu w trakcie toczącej się rozprawy, natychmiast padał rozkaz odebrania mu go i zniszczenia. Jako skryba Diego dobrze rozumiał, co znaczy spalić te powiązane w supły sznurki, które *quipucamayos* oddawali pod przymusem ze łzami w oczach. To tak, jakby zniszczyć archiwa i książki całego narodu, pozbawić go pamięci.

Indianie okazywali mu coraz większe zaufanie. Poruszało go do głębi to, co słyszał z ust tych prostych ludzi. Przed oczami miał smutny obraz rodzin i całych wiosek niszczonech, popadających w ruinę i nędzę wskutek wielokrotnych grabieży i oszustw. Skryba nie mógł się z tego otrząsnąć.

Taki efekt przynosiła polityka wicekróla Toledy. Cały sposób życia tych ludzi musiał ulec zmianie, bo nowy władca wpadł na pomysł przesiedlenia ich do zamkniętych osad. Nie godziło się, jego zdaniem, pozostawić ich w górach i wąwozach, gdzie nadal będą oddawać cześć swoim bożkom. Postanowił nauczyć ich życia w warunkach uznanych za normalne i zgodnych z rozsądkiem, gdzie wszystko było dokładnie ustalone i wytyczone.

Diego często widział rozdzierające sceny rodzinne, gdy siłą odrywano ludzi od ich domów, pól, grobów przodków i miejsca urodzenia ich dzieci. Świat, w którym od niepamiętnych czasów każda skała i każde źródło budziły uczucie czci i szacunku, był dla nich wszystkim. A teraz kazano im go opuścić i przenieść się pod przymusem do odległych osad zbudowanych podług jednego planu, gdzie były kościół, ratusz, więzienie i dom dla każdej rodziny z drzwiami wychodzącymi na ulicę, żeby lepiej kontrolować mieszkańców.

Nie jeden raz po zapadnięciu zmroku odwiedzał swojego nauczyciela Cristóbal de Fonsecę, gdyż wiedział o jego zaangażowaniu w sprawę Indian. Często słyszał z jego ust jezuicką maksymę sprzeciwiającą się nawracaniu na siłę: „Najpierw zróbmy z nich ludzi, a dopiero potem chrześcijan”. Jezuita zalecał cierpliwość. Ale Diego wyczuwał z jego miny i gestów, z tego, co niewypowiedziane, choć oczywiste, że nauczyciel nie pochwala działań wicekróla Toledy.

Nie ułatwiała sytuacji postawa kapitana gwardii wicekrólewskiej Martina Garcíi Loyoli. Po tym kuzynie samego świętego Ignacego należało spodziewać się innego zachowania. Zakon pokładał w nim wielkie nadzieje. Jednak don Martin stawiał na pierwszym miejscu własne interesy, a na samym końcu wszystkie pozostałe.

No to mamy Martina Loyolę – powiedział do siebie Sebastián. – Tego samego, który figuruje na rycinie z rodowodem jezuitów.

Inżynier z bólem wspomniął zmarłego ojca, przy którym znalazł ten obrazek – ilustrację Planu Inki wedle Towarzystwa Jezusowego. Pomysł utworzenia Chrześcijańskiej Monarchii Peru nabierał obecnie wielkiej wagi w oczach tych, którzy pragnęli przywrócić tron inkaski za cenę oderwania się od Hiszpanii.

Dalszy ciąg *Kroniki* był jeszcze większym wstrząsem. Diego de Acuña nakreślił taką sylwetkę kuzyna świętego Ignacego, że można o nim powiedzieć wiele, ale nic dobrego. Niewykluczone, że z tego powodu książka zyskała miano kontrowersyjnej. Towarzystwu Jezusowemu zależało na wyidealizowanym wizerunku człowieka, który wywodził się z rodziny założyciela zakonu. A *Kronika*, punkt po punkcie, obalała ten mit.

Z zapisków Diega wynikało również, iż don Martin był niemiłe zaskoczony tym, że skryba cieszy się względami wicekróla. Wiedział już od żołnierzy, że odebrał im indiańską dziewczynę. Słyszał, że Indianie traktują go jak swojego i opowiadają mu o sprawach, które nigdy nie wychodziły poza ich własny krąg. Ale najbardziej zniechęciła go do Diega wiadomość o tym, że tylko on wyszedł cało z rąk indiańskich napastników, że darowali mu życie, bo miał na szyi niezwykły talizman.

Odtąd kuzyn świętego Ignacego nie ustawał w próbach oczernienia tłumacza i wyrzucał mu nadmierne spoufalanie się z tubylcami. Acuña doszedł do wniosku, że jego czerwone kipu musi zawierać jakiś sekret, i postanowił sprawdzić to za wszelką cenę.

Poprosił o pomoc paru *quipucamayos*, ale odmówili załężnieni. Ich reakcja go zaskoczyła i choć nadal nosił ten sznurek na szyi, starał się nie wystawiać go na ludzkie spojrzenia. Wciąż nie tracił nadziei na ponowne spotkanie młodej Indianki. A ten krwawy węzeł był dla niego jedyną oznaką więzi, jaka się między nimi wytworzyła.

* * *

Jakie to wszystko dziwne, pomyślał Sebastián, zamykając książkę. Czuł potrzebę przetrawienia tego, co dotychczas przeczytał. Zdziwiły go częste

wzmianki Diega de Acuña na temat kipu. Widać było, że skryba docenia wartość tych węzłów i sznurów splecionych przez archiwistów inkaskich. Zwłaszcza wartość tego czerwonego kipu, wokół którego wszystko się kręciło. Juan i Álvaro Fonsecawie też musieli to zauważyć, kiedy czytali *Kronikę*. Tym bardziej że pojawia się tam ich przodek, jezuita Cristóbal de Fonseca.

Co z tym może mieć wspólnego biurko-detektyw, które wymyślił mój ojciec? – zastanawiał się Sebastián.

Zdaniem stryja Juan de Fonseca kazał sporządzić ten mebel wedle własnego projektu po to, by lepiej zrozumieć i rozszyfrować kipu. Zwłaszcza to jedno, o którym myślał w ostatniej chwili życia, o czym świadczy napis wykonany jego własną krwią. Może jest tu jakiś związek z owym szczególnym kipu, które opętało Acuña.

Czy to chciał powiedzieć Álvaro, kiedy zapewniał, że wyjaśnienie znajduje się w *Kronice*”?

Usłyszał głosy, które zmusiły go do przerwania tych rozważań. Wyrwał przez luk i zobaczył dwóch marynarzy schodzących do ładowni. Szybko zgasił lampę i pobiegł się ukryć.

Dwaj załoganci schodzili równolegle, a wręby w słupach, na których opierała się ładownia, służyły im za schodki.

Stanęli na deskach, pod którymi ukrywał się inżynier, sięgnęli po wiszącą na ścianie latarnię i zaczęli rozglądać się dokoła.

Wydawało się, że sprawdzają stan zapasów podług listy, bo jeden z nich trzymał w rękę jakiś papier, a drugi przysuwał bliżej latarnię, żeby lepiej widzieć.

Co będzie, jeśli zauważą, że ktoś podbiera im żywność? – pomyślał. – Zorientują się, że mają pasażera na gapię.

22 Dom Wężów

– Co wiesz o tym tajemniczym pasażerze? – zapytał jeden z marynarzy.

Był tak blisko, że Sebastián, choć wcześniej bał się poruszyć, żeby nie zdradzić swej kryjówki, wzdrygnął się mimo woli.

– Nic, ale dałbym wiele, żeby się czegoś dowiedzieć – odpowiedział drugi.

– Widziałeś go?

– Miałem akurat dyżur w stoczni, kiedy przyniesiono go w lektyce. Działo się to w nocy i statek był jeszcze prawie pusty. Mogę powiedzieć tylko tyle, że kapitan na niego czekał i wcale nie okazał zaskoczenia.

– A więc niewykluczone, że porusza się swobodnie po pokładzie i go codziennie mijamy.

– Czemu nie? Płynię z nami tylu cywilów. Choć równie dobrze może podróżować razem z oficerami w części rufowej.

– Tak, ale tam nam nie wolno wchodzić.

– Zdaje się, że ustawili specjalne ścianki, żeby odgrodzić jedną z kajut kapelańskich. Zrobił to ten nowy cieśla. Widziałeś jego warsztat?

– Tak. I co z tego?

– Pod ławą jest drewniana makieta tego statku przykryta jakąś płachtą. Widać na niej, że porobiono duże zmiany.

- Ciekawe, czy Miguelito coś wie na ten temat.
- Sam go spytaj!
- No bo codziennie nosi tam jedzenie na tacy.
- Myślałem, że to dla kapitana.
- Za dużo jak na jednego. Zresztą kapitan je niewiele, jak ptaszek. Tak słyszałem.

Z tej rozmowy Sebastián zorientował się, że nie mówili o nim, jak początkowo myślał, tylko o innym pasażerze, który znalazł się na pokładzie „Áfriki”. Przypomniawszy sobie bagaż przykryty zieloną oponczą z uszkodzoną srebrną papinką ładowany na statek.

Po co tyle tajemnicy wokół jednego człowieka, dlaczego się ukrywa? – zastanawiał się Sebastián. – Z pewnością jest to morderca mojego ojca i stryja Álvara.

Musi go znaleźć. Ale słowa obu marynarzy nie dawały wiele nadziei na szansę przedostania się na rufę, gdzie prawdopodobnie przebywał ten pasażer. Dzieliły go od niego oficcerskie kajuty i miejsce najbardziej strzeżone – zbrojownia. Nawet załoga miała zakazane tam się zbliżać.

Odezwał się gwizdek bosmana. Dwaj mężczyźni zakończyli pakowanie żywności do wiklinowego kosza i oddalili się w stronę włazu, przez który niedawno zeszedli.

Dopiero gdy w ładowni na nowo zapanował spokój, Fonseca wysunął się z kryjówki, zapalił lampę i rozejrzał się dokładnie wokół. Ucieszył się, stwierdzając, że wszystko jest na swoim miejscu. Na dodatek marynarze otworzyli nowe beczki, jedną z jabłkami, drugą ze śledziami, a trzecią z orzechami, dzięki czemu urozmaicili trochę swoją dietę. Umościł się wygodniej i wrócił do lektury *Kroniki*.

* * *

Z tego, co pisał Diego de Acuña, wynikało jasno, że piękna młoda Indianka, którą uratował przed napaścią żołdaków Martina de Loyoli, wywarła na nim wielkie wrażenie. Szukał jej wszędzie, na ulicach i placach, na targowiskach i w kościołach. Czasem napotykał u przechodzących dziewcząt jakiś

znak albo gest, który mu ją przypominał. Ale widywał ją tylko we śnie i w marzeniach.

Aż wreszcie pewnego dnia, wczesnie rano, kiedy wyszedł na miasto w swoich sprawach, natknął się na jednego z halabardników, którzy zaatakowali ją owej nocy.

Żołnierz próbował uciec, ale Diego odciął mu drogę i poinformował, że nie pragnie zwady, tylko szuka indiańskiej dziewczyny.

W odpowiedzi usłyszał, że żołnierz nie zna tej dziewczyny. Zobaczyli, że ukradkiem wychodzi z domu, zachowywała się podejrzanie i dlatego postanowili ją zatrzymać.

Kazał zaprowadzić się przed ten dom.

Halabardnik niechętnie poszedł z nim na Plaza de Armas. Pokazał duży dom z szarego kamienia o ciosach gładkich i dopasowanych wedle najlepszych reguł inkaskiej architektury. Nazywał się Domem Wężów, bo przedniej ściany strzegły rzeźbione w kamieniu gady. Do budowy użyto materiałów z terenu Amaru Cancha, gdzie znajdował się pałac Huayny Cápac. Acuña dobrze wiedział, że *amaru* znaczy „wąż”.

Zdziwiło go, że mimo wczesnej pory na placu było pełno gapiów. Tłumnie przybyli przed okazałą budowlę, żeby wysłuchać herolda miasta Cuzco. Był nim jeden z Metysów o bardzo hiszpańskim wyglądem, bo tylko tacy mieli dostęp do niewielkiej liczby stanowisk przeznaczonych dla mieszańców.

Powolnym, miarowym głosem recytował z pamięci długą listę przedmiotów, mebli i strojów. Pozycje objęte licytacją reprezentowały majątek o znacznej wartości.

Jeden z pomocników poinformował Acuñę, że cała zawartość domu poszła na sprzedaż. Urzędnicy sądowi od kilku dni starali się go przejąć, ale nie mogli, bo w środku zabarykadowała się stara Indianka ze swoją służbą.

Mówiący umilkł i wskazał na drzwi budowli, które powoli się otwierały.

Diego odwrócił się w tamtą stronę. Rzeczywiście tak było.

Zaległa wielka cisza, cały plac zdawał się oczekiwać na ciąg dalszy.

W drzwiach pojawiła się drobna, szczupła kobieta. Wychodziła z pół

mroku, osłaniając dłonią oczy przed pierwszymi promieniami słońca. Wszystko w niej było indiańskie i świadczyło o wielkiej godności mimo podeszłego wieku.

Ujrawszy ludzkie zgromadzenie, staruszka szybko prześliznęła się wzdłuż frontowej ściany i znikła za rogiem. Wielkie, ciosane kamienie inkaskiego muru sprawiały, że wydawała się jeszcze drobniejsza.

Nic nie rzekła do herolda ani do czekających na nią woźnych sądowych. Nie odpowiedziała na wołania dwóch niewolników, którzy zaraz po niej wyszli z domu i od razu zostali zatrzymani.

Diego patrzył za nią, dopóki nie znikła w wylocie małej uliczki. Nie odwróciła się już, żeby spojrzeć na dom, który w tym czasie doszczętnie opróżniono. Obu niewolników wystawiono na sprzedaż, licytując wysokie stawki.

Nie musiał się dużo natrudzić, żeby ją odnaleźć. Była pomiędzy żebrakami w łachmanach, którzy oblegali portyk kościoła Świętego Franciszka, licząc na ludzkie miłosierdzie.

Kiedy się zbliżył, obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Odezwał się do niej po hiszpańsku. Wydawało się, że nie rozumie, więc powtórzył to samo w keczua. Oczy kobiety zabłyśły na moment. Ale była to tylko słaba iskra i zaraz zgasła w tych oczach nieskończenie smutnych i nieufnych, ukrytych pośród zmarszczek. Wyglądała na zdziwioną, że taki młody i piękny Hiszpan zna jej język. Jednak nie odpowiedziała.

Tłumacz nie zastanawiał się dłużej. Pokazał jej czerwone kipu.

Zachowanie kobiety uległo natychmiastowej zmianie. Już nie była w letargu. Na jej twarzy zagościł wyraz niepokoju. I spytała go, skąd to ma.

Acuña schował kipu i powiedział, że najpierw ona musi odpowiedzieć na jego pytania.

Kobieta zawahała się. Najwyraźniej nie umiała tego połączyć z nową sytuacją, w jakiej się znalazła po wypędzeniu z domu.

Wreszcie zgodziła się zrezygnowana. Zapytała, czy to on kilka dni temu przyszedł na ratunek młodej Indiance i wyswobodził ją z rąk hiszpańskich żołnierzy.

Odparł, że tak. I zapytał, gdzie teraz jest ta dziewczyna.

Staruszka wyczuła niepokój bijący z jego słów. Przyjrzała mu się, a potem gestem falującej jak wachlarz ręki poprosiła o chwilę zwłoki, rozglądając się dookoła i dając do zrozumienia, że nie jest to odpowiednie miejsce do takiej rozmowy.

Acuña zapytał więc, czy ma gdzie spędzić noc. Kiedy zaprzeczyła, podał jej ramię, żeby wstała. Zapewnił, że znajdzie dla niej przyzwoite schronienie. Żebracy obserwowali ich z ciekawością.

Zamierzał po raz kolejny udać się po pomoc do Cristóbal de Fonseki. I rzeczywiście, dzięki jezuitom mógł wybrnąć z kłopotu, bo przyjęli staruszkę pod swój dach, choć jego mentora nie było wtedy w mieście.

Właśnie tam, gdy posiliła się dużą miską zupy i odzyskała spokój, opowiedziała mu swoją niewiarygodną historię. Początkowo Diego słuchał tylko po to, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa Indianka z jego westchnień. Jego zdziwienie i zainteresowanie urosło do niebotycznych rozmiarów, w miarę jak poznawał tożsamość kruchej staruszki.

Nazywała się Quispi Quipu, co znaczy „wolny węzeł”. Była córką Huayny Cápac, ostatniego imperatora Inków z czasów przed konkwistą. Tego, który umarł, nie wiedząc, że Hiszpanie opanowali jego królestwo, choć przeczuwał to duchem i ciałem. Umarł bowiem na ospę, chorobę przywiezioną przez konkwistadorów, nieznaną dotąd Inkom, którzy nie mieli jak się przed nią bronić. Tego, który wyśnił, że jego następca będzie dwunastym i ostatnim z dynastii Inków, a wraz z nim upadnie imperium ich przodków.

Nareszcie coś o kobietach, ucieszył się Sebastián.

Wyciągnął ołówek i zanotował:

Staruszka Quispi Quipu była siostrą Huáscara, Atahualpy i Manca Cápac. I ciocią dla trzech potomków tego ostatniego, którzy wychowali się w Vilcabambie: Sayriego Túpac, Tita Cusiego i Túpac Amaru.

Wziął kartkę papieru z wykresem genealicznym naszkicowanym przez jego ojca i dodał imię córki Huayny Cápac:

Huayna Cápac (ostatni Inka przed Pizarrem,
ojciec czworga dzieci):

- Huáscar (stracony z rozkazu Atahualpy)
- Atahualpa (stracony przez Pizarra)
- Manco Cápac (pierwszy Inka z Vilcabamby, ojciec trzech synów):
 - Sayri Túpac
 - Tito Cusi
 - Túpac Amaru (ostatni Inka z Vilcabamby)
- **Quispi Quipu**

Potem wrócił do *Kroniki* Diega de Acuña i podobnie jak on, z przestraszaniem i zaciekawieniem, poznawał niezwykłą opowieść tej kobiety, zasłyszaną przez tłumacza. Była to historia pełna wojen domowych, gdzie Indianie bili się z Indianami, Hiszpanie z Hiszpanami, wszyscy ze wszystkimi.

Życie Quispi Quipu przypadło na koniec imperium Inków i początek nowego kraju, który zrodził się z popiołów, o czym Sebastián wiedział z innych ksiązek – z kronik pisanych przez zwycięzców. Natomiast ta *Kronika* przemawiała głosem ludzi, którym za całą pamięć i pismo musiały starczyć posuplane sznurki zwane kipu. Była jak kobierzec oglądany od spodu, który unaczynał całą technikę tkania.

Bez wątpienia kobiecie tej nie bez kozery nadano imię Quispi Quipu, „wolny węzeł”, tak samo jak jej bratu imię Huáscar, co w keczua znaczy „lina” albo „łańcuch” i jest nawiązaniem do złotego węża o niezwykłej długości, którego kazał sporządzić Huayna Cápac, żeby upamiętnić w ten sposób przyjsie na świat pierworodnego syna. Może imperator obawiał się, że synowie doprowadzą do podziału kraju w rozlicznych walkach i masakrach, i zapragnął powierzyć córce szczególną misję. Kobiety odgrywały często tak samo waleczną rolę jak mężczyźni, tyle że w gmatwaniu systemu dziedziczenia i genealogicznych dysputach. Oni walczyli na polu

bitwy, a one za pomocą pałacowych intryg równie okrutnych jak zbrojne potyczki.

Quispi Quipu snuła swoją opowieść jednostajnym tonem, bez żadnych emocji. Mówiła, że ona osobiście nie miała wielu okazji do intryg. Kiedy dwaj starsi bracia rozpoczęli wojnę domową po śmierci ojca, znajdowała się w Cuzco u boku Huáscara, który przegrał. Miała zaledwie dwanaście lat, gdy Francisco Pizarro wszedł do stolicy. Początkowo Hiszpanie odnosili się do niej z szacunkiem, bo była taka milutka. Na tronie Inków posadzili jej trzeciego brata Manca Cápaca, a ten bardzo ją lubił.

Dwa lata później skończyła się farsa z Mankiem Cápakiem w roli marionetkowego Inki. Upokarzali go, więzili, poddawali torturom, żeby zdradził miejsce ukrycia skarbu Inków. Zależało im zwłaszcza na Punchao, wyrzeźbionym w złocie bożku wschodzącego słońca, który miał swą świątynię w Cuzco. Indianie ukryli go przed żądzą Hiszpanów.

Wymęczony torturami Manco obiecał, że jeśli wypuszczą go na wolność, dostarczy im więcej złota, niż zdołają to sobie wyobrazić. Uwolnili go. Ale zamiast wrócić ze skarbem Inków, Manco zebrał liczne wojsko i przez ponad rok oblegał stolicę.

Tu staruszka przerwała swą opowieść. Z pewnością ogarnął ją smutek na wspomnienie złowrogiej serii nieszczęść, jakie spadły na to piękne miasto. Najpierw złupione przez wojska Atahualpy, następnie przez Hiszpanów, potem spalone przez rebeliantów inkaskich i na koniec splądrowane przez konkwistadorów.

Ale szybko się opanowała, powracając do beznamiętnego tonu.

Po upływie roku Manco przerwał oblężenie i wycofał się w góry, o trzydzieści cztery *leguas* na północny wschód od Cuzco. Podczas gdy on w Vilcabambie zbierał siły do walki, ona została sama w mieście, które znało ją jako księżniczkę. Teraz stolica była w rękach Hiszpanów, a ci wprowadzili własne rządy, zamieszkali w pałacach Inków, zamienili stare świątynie na kościoły i klasztory.

Jak odległe wydawały się dni, kiedy jej ojciec był panem całego królestwa i nikt spoza kręgu królewskiej rodziny nie mógł się zbliżyć ani

odezwać do księżniczek. Teraz inkaskie kobiety przymierały głodem, chorowały na syfilis. Idąc ulicą, Quispi Quipu często odwracała głowę, żeby nie patrzeć na kuzynki i dawne towarzyszki dziecięcych zabaw, które musiały się prostytuować, by przeżyć. Ona sama krążyła po mieście zdana na łaskę losu i ukradkiem chodziła od domu do domu z miską i świeczką, aby zdobyć choć garść kukurydzy do jedzenia.

Uniknęła losu swych kuzynek i koleżanek tylko dlatego, że mogła liczyć na protekcję biskupa Cuzco, który rozdzielając między biednych jałmużnę, dowiedział się o jej królewskim pochodzeniu. Przejęty tak okrutnym losem napisał list do Karola V, interweniując w jej sprawie. Cesarz miał akurat jeden z nielicznych ataków szczerokości występujących u niego rzadziej niż ataki podagry. I w ten sposób Quispi Quipu odzyskała bogate ziemie należące dawniej do jej matki. Biskup doradzał jej, by z takim majątkiem jak najszybciej wyszła za jakiegoś Hiszpana bez pieniędzy i ambicji, który zapewniłby jej opiekę. Ale ona nie spieszyła się ze znalezieniem nowego właściciela.

Dzięki tej nowej sytuacji mogła wieść życie godne księżniczki i zapragnęła odnowić kontakt z bratem Mankiem Cápakiem, który wciąż przebywał w Vilcabambie. Byli bardzo do siebie przywiązani, do tego stopnia, że on parę razy potajemnie zszedł z gór do Cuzco, żeby zobaczyć się z siostrą. W czasie jednego z tych spotkań zwierzył jej się ze śmiałego planu, który powinien raz na zawsze odmienić ich życie. Miała obowiązek utrzymać to w sekrecie. I nigdy nikomu nie zdradziła. Nie zdradziłaby też Diegowi de Acuña, gdyby nie to, że był w posiadaniu czerwonego kipu stanowiącego nieodzowną część realizacji tego planu.

Rok później wszystko się zmieniło, mówiła dalej Quispi Quipu. Jej brat Manco został zamordowany przez Hiszpanów. Zjawili się w Vilcabambie pod pretekstem negocjacji i zaszyteliwali go na oczach jego syna Tita Cusiego. Chłopak miał wtedy zaledwie dziesięć lat. Nigdy nie zapomniał tej straszliwej sceny, zwłaszcza że jego również usiłowali zabić ciosem noża, ale obsunął się, pozostawiając wielką bliznę.

Quispi Quipu dowiedziała się o tym od posłańca z Vilcabamby. Razem z wiadomością o śmierci Manca otrzymała jego podarunek dla dziecka, które miało być owocem ich niedawnych spotkań.

Diego de Acuña bardzo się zdziwił i myślał, że się przesłyszał. Ale nie, starszka potwierdziła jego podejrzenia. Mówiła o swoim dziecku, którego ojcem był Manco Cápac. Inkascy królowie żenili się z siostrami, żeby zapewnić sobie dziedzica w najprostszej i najbardziej prawowitej linii. Wołą zmarłego brata było, żeby w razie upadku Vilcabamby zatrzymała przy sobie to dziecko poczęte w tajemnicy dla zachowania rodu królewskiego.

Miała nadzieję, że urodzi syna. Ale powiła dziewczynkę. Początkowo była tym bardzo rozczarowana. Jednak stopniowo uzmysławiała sobie, że nawet jeśli dojdzie do śmierci trzech synów Manca Cápac, którzy bronili się w Vilcabambie, dziewczynce nic nie grozi. Ona będzie jak pęd, z którego wyrosną nowe pokolenia Inków. Wезде jak nowe słońce utożsamiane z PUNCHAO. Najeźdźcy często darowywali życie kobietom, żeniąc się z nimi, bo małżeństwo było legalnym pretekstem do przejęcia ich ziemi i majątku.

Quispi Quipu umilkła, popatrując na Diega. Zapewniła go, że mówi tylko prawdę i odpowiada na zadane wcześniej pytanie. Jej córka poczęta ze związku z Mankiem Cápakim jest tą dziewczyną, którą wyrwał z rąk żołnierzy Martina de Loyoli.

Miała na imię SÍRAX. A czerwone kipu znalezione przez Acuña było owym podarunkiem i znakiem przekazany pośmiertnie przez jej ojca. Znakiem, że pochodzi z królewskiego rodu. Ten „krwawy węzeł” – *Yahuar quipu* – potwierdzał jej tożsamość i prawa do tronu. Był zapisem przekazywanym z rąk do rąk jako najważniejsze dziedzictwo, a każdy nowy władca miał obowiązek aktualizować ten zapis odpowiednio do wydarzeń zachodzących w jego królestwie. Zawierał największe sekrety Inków, za jego pomocą wyrażali swą wolę, tak jak Manca Cápac, który pragnął przedłużyć swą linię dynastyczną.

Oto Plan Inki, doszedł do wniosku Sebastián, przerywając lekturę.

Znów wyjął ołówek i kartkę papieru ze schematem sporządzonym przez swojego ojca.

Jeszcze jedna kobieta – pomyślał. – Może zbliża się moment wyjaśnienia przyczyn konfliktu, który teraz wybuchł z taką siłą.

I dopisał w odpowiednim miejscu imię córki zrodzonej z tajemnego związku Manca Cápac i Quispi Quipu.

Huayna Cápac (ostatni Inka przed Pizarrem,
ojciec czworga dzieci):

- Huáscar (stracony z rozkazu Atahualpy)
- Atahualpa (stracony przez Pizarra)
- Manco Cápac (pierwszy Inka z Vilcabamby, ojciec trzech synów):
 - Sayri Túpac
 - Tito Cusi
 - Túpac Amaru (ostatni Inka z Vilcabamby)
- **Quispi Quipu: Sírax**

* * *

Czym właściwie jest Plan Inki – zastanawiał się Sebastián. – I co ma wspólnego z planem, za który wciąż krytykuje się jezuitów, mimo upływu dwóch wieków? Bo taką samą nazwę nosił projekt Towarzystwa Jezusowego, owa Chrześcijańska Monarchia Peru, pomysłana jako forma uniezależnienia się Ameryki Południowej.

Odpowiedź na te pytania musi być znana choć trochę, jeśli nie całkowicie, osobom, które obecnie przejawiają taką gwałtowność w swych działaniach.

Wciąż chodziła mu po głowie rozmowa dwóch marynarzy o pasażerze, który dotarł na pokład statku w lektyce. Podejrzewał w nim właściciela bagażu z zieloną opończę. To, co dotąd przeczytał, kazało mu jak najszybciej odnaleźć tego osobnika, bo on na pewno zna klucz do rozwiązania całej

zagadki. Brakowało mu jeszcze wielu elementów i szerszej perspektywy, którą uzyska dopiero po przeczytaniu *Kroniki*. Zajmie mu to jeszcze trochę czasu, choć coraz bardziej oswajał się z charakterem pisma Diega.

Miał dylemat: czytać dalej czy odłożyć na potem. Ale czuł się zmęczony, pragnął rozruszać członki i dać odpocząć zaczerwienionym oczom. Poza tym chciał poznać okręt. Jeśli już ryzykować, to teraz, kiedy nikt nie podejrzewa, że ktoś może ukrywać się w takim miejscu. Tak mu się przynajmniej wydawało.

23 Dylemat

Sebastián odważył się wyjrzeć poza ładownię i wspiął się na dolny pokład znajdujący się bezpośrednio nad nią, wzdłuż linii zanurzenia. Dlatego nie było tu otworów wychodzących na morze, dostrzegł natomiast szereg pomieszczeń poodgradzanych między sobą przepierzeniami. Znajdowały się w nich zapasy żywności, narzędzia cieśli i wiele innych rzeczy.

Dolny pokład był częściej odwiedzany niż ładownia i Sebastián starał się zachować jak największą ostrożność.

Przystanął akurat koło schodów dziobowych, kiedy usłyszał odgłos drobnych, żwawych stóp zbiegających po stopniach. Szybko schował się między kuframi i z tej zaimprovizowanej kryjówki dostrzegł chłopca mniej więcej dziesięcioletniego. Schodził prawdopodobnie z drugiego pokładu, gdzie mieściła się kuchnia, ponieważ niośł tacę z jedzeniem. Skierował się do części rufowej. A za nim sunęła kotka, spodziewając się, że coś jej kapnie po drodze.

Sebastián stwierdził ze zdziwieniem, że na wysokości grotmasztu chłopiec opuścił ten pokład, wspinając się po schodach na wyższy poziom, jakby chciał uniknąć niespodziewanego spotkania. Natomiast kotka zamierzała kontynuować wędrówkę na tym samym poziomie, co wydawało się

ze wszech miar logiczne. Niezadowolona ze zmiany zamiauczała w kierunku Sebastiana.

Niedługo potem chłopiec znów pojawił się trochę dalej na dolnym pokładzie, zмирzając jak poprzednio do części rufowej. Wyglądało to tak, jakby usiłował kogoś zmylić.

Inżynier postanowił iść za nim, żeby zobaczyć, co się dalej stanie.

Daleko nie uszedł. Na drodze wyrosło drewniane przepierzenie. Chłopiec zapukał parę razy, zanim wychylił się jeden ze strażników pilnujących zbrojowni i dał mu znak, żeby wszedł, zamykając za nim drzwi.

Po co tyle środków ostrożności – zastanowił się Sebastián. – Czy to aby nie tu przebywa tajemniczy pasażer, o którym rozmawiali dwaj marynarze?

Chwilowo Sebastián nie mógł tego stwierdzić. Postanowił zakończyć swoje pierwsze zwiedzanie statku poza ładownią i wrócić do kryjówki.

Zatęsknił do *Kroniki*. Przerwał lekturę w momencie, gdy córka Huayny Cápaca Quispi Quipu zdradzała Diegowi de Acuña, kim jest ta młoda Indianka, którą uwolnił od napaści hiszpańskich żołnierzy.

* * *

Staruszka starała się wypełnić jak najlepiej przykazanie Manca Cápaca. Prosił ją poprzez swych wysłanników, aby wychowywała ich dziecko w ukryciu, na małym dworze w Cuzco, gdzie mówi się tylko w keczua i panują dawne zwyczaje Inków. Manco Cápac pragnął mieć syna dziedzica wychowanego w duchu tradycji przodków, z dala od demoralizującego wpływu najeźdźców.

Tymczasem urodziła się dziewczynka i Quispi Quipu zrozumiała, że dużo trudniej będzie wykonać polecenie brata. Nie ze względu na nią, ponieważ zawsze odmawiała nauki języka hiszpańskiego, ale na okoliczności. Rozpoczęła się nowa wojna domowa między najeźdźcami. Jedna z wielu, ale toczona z takim zapalem i furją, jakby to była naturalna cecha i kondycja Hiszpanów. Gonzalo Pizarro wystąpił przeciwko Karolowi V jako reprezentant niezadowolonych *encomenderos*, których przywileje zostały

ograniczone nową ustawą o ochronie Indian. Powstanie stłumiono i wprowadzono nowy porządek.

Dotychczas znosiła swój los ze stoickim spokojem. Ale teraz już nie była sama, miała córkę. Biskup Cuzco, który był jej protektorem, poradził, żeby przyjęła katolicyzm i wyszła za mąż za hiszpańskiego żołnierza pochodzącego z jego stron. Narzeczony był wdowcem i oprócz dorosłego już syna z poprzedniego małżeństwa nic do tego związku nie wnosił. Jakiś czas potem urodziła mu syna, któremu dała na imię Pedro, tak jak ojciec, żeby nie zawracać sobie głowy wymyślaniem nowego imienia. Mąż, weteran wymęczony wojnami, nie wtrącał się w jej życie, więc przynajmniej pod tym względem miała spokój. Jego interesował tylko hazard. Nie wiedział, że Sírax jest jej dzieckiem poczętym z bratem Mankiem Cápakiem. Brał dziewczynkę za jedno z tych dziwacznych, hałaśliwych stworzeń, którymi opiekowała się jego żona. Wszak po domu wciąż się kręcili jacyś indiańscy krewni czy służący.

Diego słuchał tej opowieści lekko zniecierpliwiony, co nie uszło uwagi starej kobiety. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o dziewczynie. Zapytał, dlaczego nadała jej imię, które brzmiało dla niego jak „tkaczka”.

Staruszka wyjaśniła, że to taki przydomek, bo dziewczyna ma niezwykły talent do tkania. Doskonale opanowała sztukę wyrobu większości tkanin, węzłów i splotów, w tym również kipu.

Sytuacja zmieniła się w Vilcabambie po śmierci jej brata Manca Cápaca, kiedy na tron wstąpił jego najstarszy syn Sayri Túpac. Hiszpański wicekról poprosił Quispi Quipu, żeby pomogła mu doprowadzić do zawarcia pokoju z bratankiem. Sayri Túpac, który nie miał jeszcze dwudziestu lat, poddał się w 1557 roku. Pozostawił w Vilcabambie braci Tita Cusiego i Túpaca Amaru, otrzymując dla siebie i swych potomków w wiecznym nadaniu ziemię w dolinie Yucay, niedaleko Cuzco, które należały kiedyś do jego dziadka Huayny Cápaca.

Dla zachowania tożsamości rodowej zgodnie z tradycją Sayri Túpac ożenił się ze swą siostrą. Potrzebowali do tego specjalnej zgody papieża,

wynegocjował ją Filip II. Wkrótce urodziła im się córka. Jej matką chrześną została Quispi Quipu, której na chrzcie nadano imię Beatriz. To samo imię otrzymała oficjalnie nowa księżniczka i odtąd nazywano ją Beatriz Clara Coya.

Znów jakaś notatka ojca na marginesie, powiedział do siebie Sebastián, przerywając lekturę.

Rzeczywiście, Juan de Fonseca napisał: *Z czasem ta księżniczka poślubiła Martina Loyolę, bratanka świętego Ignacego. Jej wizerunek figuruje na rycinie, która przedstawia genealogiczną więź jezuitów z królewskim domem Inków.*

Teraz dramat miał już kompletną obsadę. Prawdopodobnie to właśnie przekazałby ojciec w sztuce *Węzeł gordyjski*, gdyby nie została przerwana.

Wziął ołówek, wyjął kartkę z wykresem naszkicowanym przez Juana de Fonsecę i wstawił w odpowiednim miejscu imię córki Sayriego Túpac:

Huayna Cápac (ostatni Inka przed Pizarrem,
ojciec czworga dzieci):

- Huáscar (stracony z rozkazu Atahualpy)
- Atahualpa (stracony przez Pizarra)
- Manco Cápac (pierwszy Inka z Vilcabamby, ojciec trzech synów):
 - Sayri Túpac (ojciec): **Beatriz Clara Coya**
 - Tito Cusi
 - Túpac Amaru (ostatni Inka z Vilcabamby)
- **Quispi Quipu: Sírax**

Przeczytał jeszcze kawałek, żeby poznać do końca historię Quispi Quipu. Wszystko się pogmatwało w jej życiu, poczynając od roku 1561, kiedy młody Sayri Túpac zmarł w swej posiadłości w dolinie Yucay. Jego brat Tito Cusi, który pozostał w Vilcabambie, bo nie ufał Hiszpanom, oskarżył ich o otrucie Sayriego i zerwał traktat pokojowy.

Quispi Quipu była wtedy w Cuzco i miała wielki dylemat. Tylko ona wiedziała, że są dwie księżniczki, które mogą dziedziczyć zgodnie z prawem hiszpańskim. Z jednej strony – Beatriz Clara Coya, jej chrześnica i stryjeczna wnuczka, z drugiej – Sírax, córka poczęta ze związku z Mankiem Cápakiem, o czym prawie nikt nie wiedział. Bała się, że ją straci, jeśli ujawni jej tożsamość. A jeśli tego nie zrobi, Sírax pozostanie na zawsze wykluczona z linii dynastycznej.

Mając taki dylemat, uznała, że najlepszym rozwiązaniem będzie Plan Inki, który stworzył jej ojciec Huayna Cápac, zaktualizował zaś jej brat Manco Cápac. A najlepszą gwarancją – czerwone kipu, które znalazło się przypadkiem w posiadaniu Diega. Opowiedziała mu o wszystkim, aby wyjaśnić znaczenie czerwonego kipu. I żeby zrozumiał, do czego to go zobowiązuje.

Na koniec należało jeszcze dodać, co wydarzyło się w Peru po przybyciu ostatniego wicekróla Francisca Álvareza de Toledo. Lat około sześćdziesięciu, suchy jak szczapa, zimny i bezwzględny. Jak każdy z jego poprzedników pragnął przede wszystkim stłumić opór twierdzy Vilcabamba. Ale w przeciwieństwie do pozostałych dążył do tego za wszelką cenę. Każdy sposób był dobry, byle uzyskać jak najszybciej pełną kapitulację tego warownego miasta, które samym swym istnieniem stanowiło policzek dla jego rządów. Quispi Quipu przestała być przydatna. Hiszpanie już jej nie potrzebowali, ponieważ nie zamierzali negocjować z żadnym z jej siostrzeńców.

Naówczas rozchorował się jej mąż. Ten stary hiszpański żołnierz, narzucony jej na męża, szybko zabrał się z tego świata. I dopiero wtedy dowiedziała się, że pozostawił jej tylko długi. Natychmiast opadła ją chmara wierzycieli. Pozwali ją do sądu, bo nie uznała tych długów. Nastąpiła wymiana pozwów i apelacji. Dokumenty krążyły między Peru a Hiszpanią. Gryzpiórki miały pełne ręce roboty. Idąc za poradą zyczliwych sobie osób, odwołała się do samego króla Filipa II. Aż wreszcie, po wyczerpaniu wszelkich środków, przyszedł moment ogłoszenia wyroku.

Tego dnia ubrała się w strój hiszpański, który mąż kazał jej nosić, gdy

pojawiali się razem w miejscach publicznych, żeby z powodu żony nie najeść się wstydu. Ale narzuciła na suknię ulubiony indiański szal, który maskował jej chudość.

W sądzie Quispi Quipi kazali czekać na stojąco. Adwokat ponownie wytłumaczył w języku keczua, że zmarły mąż zastawił cały ich majątek. Odpowiedziała, że nawet jeśli to prawda, to zrobił to bez jej zgody. Na co adwokat pokazał papiery z jej podpisem. Znow te białe chusty z czarnymi gryzmołami na kształt pazurów i łap, które wyglądały, jakby walczyły między sobą. Oświadczyła, że ją oszukano. Nie mówiła po hiszpańsku. Nie umiała czytać ani pisać. Robiła tylko to, co kazał mąż.

Burmistrz, który przewodniczył sądowi, oznajmił, że wszystko, co posiada, zostaje zajęte na poczet spłaty wierzycieli.

Przez trzy dni z rzędu herold miasta Cuzco stawał przed jej drzwiami i ogłaszał licytację. Przez trzy dni z rzędu, choć zjawiał się wcześniej rano, zastawał tłumy przed surową fasadą z szarego kamienia. Pod młotek szły kolejno wszystkie przedmioty, meble i stroje.

Ceny podbijano, choć ona wciąż jeszcze nie opuściła domu. Zabarykadowała się. Na jej rozkaz czarny niewolnik zastawił drzwi i okna, czym się dało. Do pomocy wezwała najbliższą rodzinę. Dopiero gdy dowiedziała się od służącej, że syn Pedro uciekł z domu po dachach, pozostawiając ją samą na pastwę urzędników gotowych do przeprowadzenia eksmisji, opadła z sił. Nakazała rozebrać barykady i otworzyć główne wejście.

Właśnie wtedy ujrzał ją Diego po raz pierwszy: bezsilną, kruchą i pokurczoną starą Indiankę.

Był jeszcze jeden powód, że tak się opierała: kilka dni wcześniej poseł z Vilcabamby przyniósł wiadomość od jej bratanka Túpaca Amaru. Okazało się, że właśnie objął tron jako nowy Inka po śmierci swego przyrodniego brata Tita Cusiego. I wiedząc o kłopotach Quispi Quipu i o istnieniu Sírax, wzywał dziewczynę do siebie.

Dlatego Sírax wyszła z domu sama tamtej nocy, aby spotkać się z wysłannikami Túpaca Amaru. Właśnie wtedy Diego uratował ją przed napaścią hiszpańskich żołnierzy. Zbliżał się decydujący moment wprowadzenia

w życie Planu Inki. Matka przekazała Sírax czerwone kipu, tak jak zostało ustalone przez Manca Cápaca.

Tym większe było jej osłupienie, kiedy ujrzała ten sznurek na szyi Diega. Tłumacz musiał jej przysiąc na wszystko co najświętsze, że zwróci go Sírax przy najbliższej okazji.

Na pytanie Acuña, jak ma to zrobić, staruszka oznajmiła, że kipu samo zaprowadzi go do dziewczyny. Nie umie powiedzieć, kiedy i jak to się stanie, ale nie trzeba się martwić. Ten talizman sam wybiera drogę i służy jako glejt.

Ona, Quispi Quipu, nie może teraz opuścić Cuzco. Odwołała się do Filipa II, aby odzyskać swoje posiadłości, i nie chce stracić tej ostatniej szansy. Ma prawo do obrony jako osoba ochrzczona, wdowa po hiszpańskim żołnierzu, matka jego syna. Opuścić teraz miasto oznacza zaprzepaszczenie wszystkich wysiłków i ostateczną utratę dziedzictwa przodków, a na dodatek byłaby to legitymizacja bezprawia.

* * *

Na tym kończyła się opowieść tej kobiety spisana przez Diega de Acuña. Skryba dodał w postscriptum, że Quispi Quipu długo nie pożyła po tym, co ją spotkało. Kilka miesięcy potem był na jej pogrzebie. Zaledwie około tysiąca Indian odprowadzało ulicami Cuzco skromną trumnę ostatniej córki inkaskiego imperatora Huayny Cápaca do klasztoru Świętego Dominika. Poprosiła przed śmiercią, aby ją pochowano w krypcie klasztoru utworzonej w ruinach Świątyni Słońca, najświętszego miejsca inkaskiego imperium.

Smutna historia, pomyślał Sebastián, zamykając okładkę manuskryptu.

Ale nie zastanawiał się nad tym długo. Wręcz przeciwnie, uznał, że pora wreszcie przystąpić do działania.

Wyjął ze skórzanej teczki list powierzony mu przez stryja Álvara, który miał doręczyć limskiemu archiwście. Wsunął go między kartki *Kroniki*, którą trzymał w ceratowej torbie, żeby nie niszczyła od wilgoci. Torbę ukrył w innym miejscu, niż spał. Uznał, że tak będzie bezpieczniej, gdyby go nakryto.

Teraz był gotów do wyjścia na dolny pokład. Zamierzał udać się najpierw do magazynu cieśli. Z tego, co podsłuchał u marynarzy, wynikało, że jest tam makieta okrętu uwzględniająca zmiany poczynione dla ulokowania tajemniczego pasażera, który dostał się na pokład w lektyce. Już wiedział, że ta komora znajduje się na dolnym pokładzie przy schodach rufowych.

Wychylił najpierw głowę, żeby sprawdzić, czy droga wolna: było pusto. Wziął lampę, prześliznął się ku schodom i zatrzymał się przed rozsuwanymi drzwiami magazynu cieśli. Otworzył je i zajrzał do środka. Uderzył go idealny porządek, jaki tu panował. Przegrody oddzielające poszczególne pomieszczenia były pełne szuflad na gwoździe, młotki, piły i inne narzędzia.

Sebastián obejrzał wszystko dokładnie i znalazł to, czego szukał. Pod ławą, przykryta czystą płachtą, leżała makieta okrętu. „África” pokazywała swoje wnętrze w przekroju wzdłużnym od stewy rufowej do stewy dziobowej. Uwagę inżyniera zwróciła część rufowa, pomalowana czerwoną farbą. Były to zmiany wprowadzone przez cieślę, żeby odizolować jedną z kajut kapelańskich.

Ciekawe, czy tu ukrywa się ten pasażer, pomyślał.

Zdaje się, że tak, bo przecież tędy codziennie przechodzi chłopiec okrętowy z tacą. Widział go na własne oczy. To na pewno ta kajuta na sterburcie, na prawo od rufy, patrząc w kierunku dziobu. Kapelana ulokowano po przeciwnej stronie, w kajucie na bakburcie, a tę część oddano do dyspozycji tajemniczego pasażera.

W tym momencie rozległ się jakiś hałas. Natychmiast zgasił lampę, bo usłyszał kroki na schodach rufowych. Może ten ktoś pójdzie w innym kierunku.

Niestety, skręcił tutaj. I nie były to zwawe, bębniące po stopniach kroki chłopca okrętowego, do których zdążył się przyzwyczaić. Uzmysłowił sobie wyraźnie, kiedy przybysz szedł po równej powierzchni pokładu, że utyka on na jedną nogę, porusza się powoli i z trudnością, bo często przystaje po drodze. Wreszcie zatrzymał się na dobre przed drzwiami pomieszczenia, w którym przebywał Sebastián.

Inżynier szybko ukrył się pod ławą obok makiety okrętu i naciągnął na siebie płachtę. Zdążył jeszcze chwycić ostre dłuto ciesielskie, żeby na wszelki wypadek mieć pod ręką jakąś broń.

Przestraszył się nie na żarty, kiedy usłyszał mrukliwy głos:

– Kto zostawił uchylone drzwi?

Przybysz odsunął je do końca, wszedł, postawił lampę na ławie i rozglądał się uważnie. Zachowywał się swobodnie, jak ktoś, kto jest u siebie, co mogło świadczyć tylko o tym, że to cieśla.

Sebastián uniósł róg płachty, którą się osłonił, i ze swej kryjówki pod ławą obserwował intruza. Zauważył, że ma on jedną nogę drewnianą.

Cieśla, jeśli to był on, wziął młotek i parę gwoździ, zabrał lampę i szykował się do wyjścia. Fonseca pomyślał, że będzie kłopot, jeśli ten człowiek zamknie za sobą drzwi. Ale uspokoił się, bo narzędzi do otwierania nie brakowało.

W ostatniej chwili pojawił się w progu nowy niespodziewany gość. Kotka odbywała swój codzienny patrol.

– Zabieraj się stąd, Luna, szybko, bo muszę zamykać – powiedział cieśla.

Ale kotka nie zwracała na niego uwagi. Weszła głębiej i wysunęła pyszczek w kierunku ławy, pod którą ukrywał się Sebastián. Węszyła.

Podeszła bliżej. Wyciągnęła pazurki, żeby dotknąć materiału, i nagle szarpnęła. Płócienna szmata osunęła się z chrzęstem na podłogę. Kotka się wystraszyła i uciekła, jakby miała diabła za skórą. Inżynier nie mógł tego zrobić, gdyż cieśla, choć zaskoczony, miał szybki refleks i zaryglował za sobą drzwi od zewnątrz.

24 Życie na pokładzie

Dwaj żołnierze wyznaczeni do pilnowania Fonseki doprowadzili go na pokład forkaasztelu i wprowadzili do kabiny oficerskiej. W mesie czekał na niego z surowym wyrazem twarzy kapitan Valdés, jako dowódca statku, i drugi oficer, który miał zapisywać wszystko, co tu będzie mówione. Fonseca stwierdził z niezadowoleniem, że obecny był także markiz de Montilla. Jego śmiertelny wróg nawet nie starał się ukrywać satysfakcji i, w przeciwieństwie do skromnie ubranego w zwykły mundur kapitana, wystroił się specjalnie na tę okazję: miał kordelas, złoty zegarek i inne ozdoby.

W kącie, obojętna na całe to zamieszanie, które spowodowała, Luna dostojnie myła sobie łapki pod szkieletem wieloryba, który służył jej za schronienie.

Wszedł cieśla. I, co najbardziej zdziwiło Sebastiána, odpowiadając na pytania komisji, ani razu nie wspomniał, że zastał go przy makiecie okrętu. Gdyby to powiedział, narobiłby Sebastiánowi jeszcze większych kłopotów. Ten człowiek mógł czuć się dotknięty wtargnięciem na swój teren i miał wszelkie powody, żeby go oskarżyć i nie brać na siebie odpowiedzialności. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że nie chce świadczyć przeciwko inżynierowi, choć takie milczenie mogło go dużo kosztować.

On mnie chroni, pomyślał Fonseca. – Ale dlaczego? To bardzo dziwne. Wszedł bosman ze skórzaną teczką znaną w jego kryjówce w ładowni.

Sebastián ucieszył się na myśl o tym, że nie znaleźli *Kroniki*, i pogratulował sobie pomysłu, żeby schować ją w innym miejscu, w ceratowej torbie.

Kapitan wyjął z teatki list Onofrego Abascula z zaleceniem opuszczenia Hiszpanii. Przeczytał i podał Montilli, prosząc drugiego oficera o zaprotokołowanie.

– Panie de Fonseca – powiedział Valdés – z tego dokumentu wynika, że miał się pan udać na Wyspy Kanaryjskie. Oczywiście nie ma tu ani słowa o tym okręcie. Może zechce pan wyjaśnić, co pan robi na pokładzie „Áfriki”.

Sebastián dobrze wiedział, że cokolwiek powie, nikt mu nie uwierzy. Ale musiał podać jakiś wiarygodny powód.

– Zaplątałem się w liny, które mój majster dostarczył do stoczni na zamówienie. Przewróciłem się i straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, byłem zamknięty w ładowni.

– Chyba pan nie sądzi, że połknimy gładko te bzdury – wtrącił Montilla z nieskrywaną pogardą.

Valdés przerwał markizowi i kontynuował przesłuchanie z zachowaniem wszelkich formalnych zasad.

– Dlaczego nie zgłosił się pan do nas po odzyskaniu przytomności?

– Właśnie dlatego. – Pokazał na Montillę. – Bo nikt by mi nie uwierzył. Uznałem, że lepiej poczekać, aż okręt zawinie do najbliższego portu, i wtedy opuścić ładownię. Nie wiedziałem, dokąd płyniemy. Ale sądziłem, że zatrzymamy się na Wyspach Kanaryjskich, jak większość okrętów wypływających z Kadyksu.

Ta odpowiedź nie wypadła przekonująco i komisja rozpoczęła dyskusję, co z nim zrobić. Montilla zaproponował, żeby wysadzić go z zapasem jedzenia na jakiejś bezludnej wyspie, gdzie ich okręt nie zwróci niczyjej uwagi, i tam zostawić. Nie mogą ryzykować, że ich tajna misja zostanie skompromitowana.

Ale dowódca kategorycznie odmówił:

– Ten człowiek jest oficerem inżynierii, wojskowym. Oddam go w ręce władz na *Tierra Firme*. Niech przeczytają ten list i zrobią, co uznają za stosowne. Albo go zatrzymają, albo wsadzą na statek i odesłają na Wyspy Kanaryjskie.

Montilla przystał na to niechętnie i dodał:

– Niech będzie i tak. Pod warunkiem że resztę podróży spędzi w kajdanach na dolnym pokładzie.

Valdés ponownie wyraził swój sprzeciw:

– Chcę oddać w ręce władz całego i zdrowego człowieka, a nie ludzki ochłap.

Tym samym rozprawa dobiegła końca. Obecni złożyli podpisy i wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Valdés zaczekał, aż wszyscy wyjdą, i zaprosił Sebastiána do swej kajuty. Kiedy się tam znaleźli, poczęstował go winem i kielbasą i życzliwie zagał rozmowę:

– Mam nadzieję, że zakończymy rejs bez szczególnych nieprzyjemności. Największym problemem byłoby spotkanie z angielskim okrętem. To czymy z nimi wojnę. Z tego co wiem, ich flota zamierza zaatakować nasze posiadłości w Ameryce.

– Panie kapitanie, czy mogę zapytać, dokąd płyniemy?

– Już powiedziałem. *Tierra Firme*. Portem docelowym jest Panama.

– Ile nam jeszcze zostało, żeby tam się znaleźć?

– Miesiąc z kawałkiem, pod warunkiem że nic się nie zmieni. Tam wysadzę ekspedycję naukową i część wojska. A pana przekażę władzom hiszpańskim.

– Jeśli postanowią odesłać mnie z powrotem, czy będę mógł wrócić z panem?

– Nie. To już nie będzie ten sam okręt. Mam powiedziane, że w tę stronę „África” nie może podejmować walk, chyba że w obronie własnej. Ale po wysadzeniu cywilów i części żołnierzy sytuacja ulega zmianie. Od tego momentu przechodzimy do ofensywy. Spróbujemy pokrzyżować plany Anglików w strefie jeziora Nikaragui i rzeki San Juan, gdzie londyńscy

kupcy chcą otworzyć przejście między oceanami. Będziemy atakować abordażem każdy podejrzany statek, nie damy wytchnienia przemytnikom.

W ten sposób kapitan Valdés okazał mu zaufanie i spodziewał się od Fonseki tego samego.

– Jestem nowy na tym okręcie. Powierzono mi dowodzenie w ostatniej chwili. Nie znam jeszcze dobrze załogi i nie bardzo wiem, co się dzieje na pokładzie. Dlatego powtórzę pytanie: Jakie są prawdziwe powody pańskiej obecności tutaj?

A więc Valdés nie uwierzył ani jednemu słowu Sebastiána, choć nie okazał tego publicznie. Musiał liczyć się ze zdaniem Montilli, ponieważ markiz miał duże wpływy na dworze królewskim i u ministra marynarki. Zresztą nie mógł popaść w konflikt z człowiekiem, który ma swoich ludzi na okręcie, tych pięćdziesięciu mężczyzn z ekspedycji naukowej. Dwóch dowódców na jednym okręcie – to stwarza poważne problemy i trzeba wielkiej dyplomacji, żeby stosunki między nimi układały się poprawnie. Valdés był tego świadom i starał się zachować pozory.

Przez kilka sekund Sebastián patrzył mu prosto w oczy, zastanawiając się, czy powiedzieć prawdę. Kapitan wydawał mu się człowiekiem godnym zaufania i oto otwierała się przed nim jedyna możliwość szczerzej rozmowy o sekretach tego rejsu, a zwłaszcza o tożsamości pasażera, wobec którego zastosowano tyle środków ostrożności.

Ale co ja mu powiem? – zastanawiał się gorączkowo. – Że na pokładzie znajduje się morderca mojego ojca? Czy w moim położeniu można sobie pozwolić na oskarżanie kogokolwiek?

Miał świadomość ryzyka takiego wyznania, sprawę komplikowało dodatkowo niejasne tło tej całej historii i obecność Montilli. Po krótkim namyśle ostatecznie zdecydował: zdąży mu to jeszcze powiedzieć, kiedy lepiej rozezna się w sytuacji.

Wybrał milczenie, nie pozostawało mu więc nic innego, jak potwierdzić wcześniejszą wersję.

– Wszystko już powiedziałem, panie kapitanie.

Valdés pokręcił głową z rozdrażnieniem. Zamknął butelkę z winem,

wciskając korek jednym uderzeniem dłoni, i zakończył rozmowę tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Rozczarował mnie pan, Fonseca. Chyba pan wie, że markiz de Montilla przedstawi własną wersję tego, co się tu dzieje. Nic więcej nie mogę dla pana zrobić. Jako dowódca odpowiedzialny za załogę, a teraz i za pana, przypominam, że odtąd podlega pan bezpośrednio bosmanowi i proszę dokładnie stosować się do jego poleceń. Nie będę mógł panu pomóc w razie najmniejszego uchybienia regulaminowi. I proszę pamiętać, że ma pan przeciwko sobie nie tylko Montillę i jego ludzi, ale również całą załogę. Jako wojskowy powinien pan wiedzieć, że na szacunek trzeba sobie zasłużyć. Nie przyjdzie to panu łatwo. Ludzie morza mają ciężkie życie i nie lubią pasażerów na gapę. Teraz zgłosi się pan do bosmana po ubranie i najpotrzebniejsze rzeczy oraz miejsce do spania.

* * *

Kapitan nie przesadzał. Wkrótce Fonseca przekonał się na własnej skórze, że marynarze rzeczywiście nie lubią gapiów. Bosman był złym człowiekiem: uwielbiał rządzić i pomiatać innymi. Kazał Sebastiánowi długo czekać, zanim przyniósł mu ekwipunek załoganta i rzucił wraz z workiem prosto pod nogi.

Następnie zaprowadził go do pomieszczenia, które odtąd miał dzielić z marynarzami. Zeszli na drugi pokład po schodkach w pobliżu dziobu. Przeszli obok kambuzy, gdzie kucharz, kuchciki i reszta pomocników kuchennych rozpalali ogień w brzuchatym palenisku z żelaza opartym na podestach, żeby wzmocnić solidne poszycie podłogi.

Ale tu się nie zatrzymali. Trzeba było zejść jeszcze niżej, na pierwszy pokład, położony najbliżej dna, bezpośrednio nad międzypokładziem. Zapuścili się w głąb korytarza w części dziobowej, w kierunku fokmasztu. Wreszcie dotarli do celu – bosman wskazał mu ponurą norę, gdzie lampa ledwie się tliła z braku świeżego powietrza. Trudno wyobrazić sobie miejsce do spania bardziej niewygodne.

Wraz z nadejściem nocy mógł się przekonać, jakie panowały tu zaduch i

ciasnota. Prawie całą wolną przestrzeń zajmowały działa pierwszej baterii. Między nimi marynarze porozwieszali swe koje, które kołysały się jak szynki w wędzarni. Ściśnięte jedna obok drugiej pozostawiały tylko wąski przesmyk i trzeba było ustawiać się bokiem, żeby przejść.

Przeciskając się do swojego hamaka, widział wrogie spojrzenia marynarzy. Dobiegały go urywki rozmów, z których wywnioskował, że Montilla rozpuścił już wśród swoich ludzi pogłoskę, że mają na pokładzie panicyzka, któremu trzeba przytrzeć nosa.

Od razu zwrócił jego uwagę osobnik w czerwonej czapce. Wołali go Bracamoros. Nie rozstawał się ani na chwilę z dwoma kumplami, hultajami jak on. Jeden nazywał się Zambullo, a drugi Baryła, bo był gruby i niski. Bracamoros mówił najgłośniej i rozwalał się na koi, która z trudem mieściła jego wielkie cielsko.

Sebastián szedł na wpeł zgięty, żeby nie uderzyć głową o belki. Kiedy przechodził obok Bracamorosa, ten wystawił nogę. Inżynier potknął się i przez chwilę się chwiał, usiłując złapać równowagę. Rozległy się głośne śmiechy. Na szczęście nie upadł.

Nie zareagował i ruszył dalej jakby nigdy nic.

Doszedłszy na swoje miejsce, zaczął rozpinać hamak. Wykonywał te czynności mechanicznie, ale głowa nie przestawała pracować.

Wielkolud w czerwonej czapce zdawał się wodzić rej w tej kompanii, Zambullo był jej mózgiem, a Baryła pełnił funkcję wesółka.

Sebastián zrozumiał, że marna jego dola, jeśli z nimi nie wygra. Kiedy pogasną lampy, nikt się nad nim nie ulituje.

Problem w tym, że czuł się bardzo słaby i odrętwiały: pobyt w ładowni dawał o sobie znać.

Powziął decyzję. Zamontował hamak, lecz zamiast się położyć, ruszył w stronę wyjścia.

Przechodząc koło Bracamorosa, zauważył, że olbrzym robi taki ruch, jakby znowu chciał podciąć mu nogi, i choć nic się nie stało, jego kumple zarechotali złośliwie.

Tymczasem Sebastián starał się nie tylko zachować ostrożność, ale i notować w pamięci każdy szczegół.

Wyszedł na pokład, przeszedł się parę razy w tę i nazad, żeby napęłnić płuca świeżym powietrzem i wzmocnić siły przed decydującą próbą. W głowie miał już plan działania.

Kiedy wrócił do ciasnej, cuchnącej kajuty, powitały go gwizdy i kpiące uwagi ludzi z ekspedycji Montilli, po których mógł spodziewać się wszystkiego co najgorsze. I nie pomylił się. Na jego widok Bracamoros zaczął wyczyniać różne wygibasy, naśladować miny i gesty fircyka:

– Panicz nie może zasnąć? Nie podoba się paniczowi nasze towarzystwo?

Sebastián przystanął, wyprostował się tyle, na ile pozwalał niski pułap, i podszedł do olbrzyma. Stał tak blisko, że prawie dotykali się nosami. Wokół nich zapadła absolutna cisza. Całkowicie opanowany, bez pośpiechu i bez zdenerwowania powiedział, rozdzielając wyraźnie sylaby:

– Nie znoszę zarozumiałców...

Ktoś sapnął ze zdziwienia, a ktoś inny rzucił jakiś krótki komentarz, kiedy Fonseca dodał:

– A ty działasz mi na nerwy.

Bracamoros zamachnął się silnie i jak nic rozwaliby Sebastiánowi głowę, gdyby się ten nie usunął i nie złapał przeciwnika za nogi. Jednocześnie, wykorzystując jego zaskoczenie i chwilowy brak równowagi, uderzył go pięścią w twarz. Olbrzym przewrócił się na hamak.

Ale na tym nie koniec. Nie dając sobie ani chwili wytchnienia, Sebastián posłużył się koją Bracamorosa jak procą. Złapał za róg, który miał najbliżej siebie, naciągnął z całych sił i rozbijał, po czym nagle wypuścił z ręki, a przeciwnik wyleciał jak z katapulty, waląc głową w najbliższą armatę.

Efekt był niesamowity. Głowa Bracamorosa zatrzeszczała jak arbuz rozbijany kamieniem. Skrzwawiony hamak zwinął się i upadł razem z nim.

Nikt się nie poruszył. Wszyscy byli wstrząśnięci tym, co się stało. Sebastián odwrócił się od poturbowanego przeciwnika i spokojnie ruszył

do swojej koi. Nie musiał się przeciskać. Ludzie sami robili mu przejście. Kiedy doszedł na miejsce, zwrócił się do członków ekspedycji ze słowami:

– Co z was za koledzy? Tyle mu nadskakiwaliście, a teraz nie chcecie mu pomóc?

Powoli zdjął buty i postawił pod koją. Przy okazji zobaczył, że wcale nie tak łatwo wejść na ten hamak. Trzeba wziąć rozpęd, bo inaczej człowiek nie znajdzie się na górze. A jak się za mocno podskoczy, to można wylądować na podłodze z drugiej strony.

Jeśli teraz skompromituję się jak nowicjusz, znów przyjdzie zaczynać wszystko od początku, pomyślał.

Spróbował wsunąć najpierw jedną nogę, odbić się na drugiej i wykonać półobrót, a jednocześnie dobrze skalkulować, gdzie i jak opaść na koję, żeby się nie wywróciła. Powoli, kuląc się i prostując jak dżdżownica, która sunie do przodu, lub jak człowiek, który płynie, zdołał wreszcie ułożyć głowę na poduszce.

* * *

Zgaszono światło. Ale nie dawało się zasnąć przy tym koncercie chrapania na przemian z innymi, jeszcze gorszymi symfoniami. A do tego straszliwy fetor i gorąco jak w piecu, chociaż działały rękawy wentylacyjne. Gęste, nieruchome powietrze o zapachu gnojówki uderzało w nozdrza, nie przynosząc żadnej ulgi.

W tym ciasnym pomieszczeniu stłoczono ponad dwustu mężczyzn, których ciała wytwarzały przeróżne wyziewy i opary. Hamaki były tak blisko jeden drugiego, że można by je pozszywać bez najmniejszego trudu. Wszy, pchły, pluskwy i cała plaga innych drobnych stworzeń miały tu używanie.

W tym półśnie, przerywanym skrzypieniem wręg okrętu, przypomniał sobie o pozostawionej w ładowni *Kronice*. Musi ją odzyskać. Zatęsknił za chwilami, kiedy pogrążony w lekturze przeżywał wydarzenia z przeszłości, których cień wciąż padał na Fonseców. Pragnął poznać ciąg dalszy tej historii.

Jednocześnie nie dawała mu zasnąć myśl, że o parę metrów dalej, na tym lub na innym pokładzie, znajduje się morderca jego ojca i stryja. Jeszcze nie do końca zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi ze strony marynarzy na pokładzie i w innych uczęszczanych miejscach okrętu.

Ale wiedział, że na osobności lub w chwili nieuwagi ryzykuje cios nożem w plecy, zepchnięcie do morza, nocny atak i parę innych rzeczy. Nikt nie zobaczy i nie usłyszy. I nikt nie pomoże.

Przeżyć – to jego główny cel na najbliższe tygodnie.

25 Machina na wiatr

Prawie przez całą noc nie mógł zmrzyć oka. A kiedy zasnął nad ranem, po prostu z wyczerpania, trzeba było zaraz wstawać. Najpierw poczuł potrzebę pójścia do ustępu. Do „ogrodów”, jak mawiano na pokładzie. Ujrzał z rozpaczą, że musi stać w kolejce, bo były tylko cztery kabiny dla wszystkich marynarzy, a nie wolno im było korzystać z dwóch kabin zarezerwowanych dla oficerów. Dowódcy wojskowi i kapitan mieli własne „ogrody” na rufie, latryny znacznie dyskretniejsze i wygodniejsze, jak mówiono.

Kiedy już sobie ulżył, zapytał, gdzie się może ogolić. Sarkastycznie doradzono mu, żeby, o ile nie ma nieuniknionych zobowiązań towarzyskich, zaczekał do soboty, kiedy wszyscy oddają się ogólnej toalecie. I żeby zlecił to balwierzowi. On jest przyzwyczajony do kołysania okrętu i za parę monet można się oddać w jego ręce bez zbytniego ryzyka, że poderżnie człowiekowi gardło.

Potem było śniadanie, podano kakao. I to całkiem dobre, choć brakowało kubków, w których można by rozmoczyć suchary, bardzo twarde. Ucieszyła go myśl, że nie zabraknie świeżego mięsa, gdyż ujrzał chodzące swobodnie kozy, woły ryczące w zagrodzie zbitej na pokładzie, a w szalupach klatki z drobiem. Ale wkrótce się dowiedział, że zwierzęta i drób są zarezerwowane dla oficerów i dla chorych.

Nieprzespana noc i fakt, że odzwyczaiał się od morza, sprawiły, że na słońcu poczuł senność. Oparty o pokładowe działo zasnął pod wpływem szumu fal, lin wibrujących na wietrze, skrzypiącego drewna, krzyku mew... Tych wszystkich dobrodziejstw otwartego powietrza przesyconego solą, które już niemal zapomniał.

Kiedy się obudził, nieco bardziej rześki, popatrzał wokół, żeby przyjrzeć się załodze rozrzuconej po całym okręcie. Jak się dowiedzieć, który z nich jest tym, kogo szuka?

Mógł przeżyć tę podróż tylko pod warunkiem, że nie zrobi fałszywego kroku, że dobrze pozna okręt wraz ze wszystkimi jego zakątkami, trapami, rozkładami dnia i zwyczajami, aby nie dać się nagle zaskoczyć. Kiedy już dobrze rozezna się w terenie, zlokalizuje zabójcę. A jeśli nie, to przynajmniej ten kufer z zieloną opończą i złamaną kłamrą, przecież widział, jak go ładowano. Dzięki załodze mógł poznać tożsamość właściciela kufra i być może jego zamiary.

Podszedł do niego bosman i bardzo niegrzecznie powiedział, żeby nie przeszkadzał marynarzom zajmującym się utrzymywaniem porządku na okręcie. Gdy tylko usłyszy gwizdek wzywający do wykonania jakiegoś manewru, ma natychmiast opuścić pokład. I w żadnym wypadku nie wolno mu wychodzić poza grotmaszt w kierunku rufy. Wszystkie jego potrzeby na pokładzie są zaspokajane w tej połowie okrętu, od strony dzioba, i jeżeli wykroczy przeciwko tym ścisłym rozkazom, musi się liczyć z bardzo poważnymi konsekwencjami. Jest ostrzeżony.

Sebastián wrócił więc do swojej poprzedniej pozycji i znów zaczął przyglądać się mężczyznom zajęтым utrzymywaniem kursu. Była to pokazna grupa. Według jego pierwszej oceny załoga liczyła około trzystu marynarzy. Garnizon wojskowy – nie mniej niż dwustu siedemdziesięciu żołnierzy. A do tego trzeba było jeszcze dodać co najmniej pięćdziesięciu członków ekspedycji naukowej i innych cywilów.

Ponad sześćset osób na pokładzie! – westchnął. – Od czego zacząć?

Nadał się nad tym zastanawiał, kiedy rozległ się dzwonek oznajmiający

południowy posiłek. I dowiedział się, że spożywa się go na kilka zmian: na każdym pokładzie montuje się z desek zaimprovizowane stoły i ławy, między działami, na tej samej przestrzeni, na której w nocy rozwiesza się hamaki. Gdy nadeszła pora, załoga zbierała się w grupy od ośmiu do dwunastu ludzi, tych samych, co obsługiwali każde działło. I jeden z każdego stołu, dyżurny, szedł do szpizarni, gdzie czekał w kolejce, by pobrać racje żywnościowe wszystkich towarzyszy, niósł je do kuchni, a po podgrzaniu odbierał kotły z gotowym posiłkiem. Potem przynosił je na pokład, gdzie czekali jego towarzysze, i nakładał im strawę do drewnianych misek.

Nie wiedział, gdzie ma jeść, bo nie należał do żadnej grupy. Musiał czekać do końca, żeby zdobyć swoją porcję. Ale kucharz nie chciał go obsłużyć, jako że było to wbrew zwyczajom. Prowadził z nim pertraktacje, kiedy nadszedł jakiś chłopiec ze swoim garnkiem.

– O co chodzi, proszę pana? – zapytał Sebastiána.

Inżynierowi wydało się, że rozpoznaje pazia, którego wcześniej widział niosącego bardzo ostrożnie na rufę tacę z posiłkiem. Wskazał na kucharza, który nie chciał go obsłużyć. A ten poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Nie należysz do żadnej grupy.

– Czy to prawda? – spytał chłopiec.

Fonseca przytaknął.

– Zje pan z nami. Zrobimy panu miejsce... Włóż tutaj jego porcję – zwrócił się do kucharza, wskazując na swój garnek.

Kiedy szli do stołu, Sebastián chciał mu pomóc nieść garnek. Ale chłopiec powiedział:

– Dam sobie radę, proszę się nie przejmować. Nazywam się Miguel i jestem paziem od miotły i prochu – wyjaśnił z uśmiechem, który choć przesłonięty cieniem smutku, rozświetlił mu twarz.

– Paziem od miotły i prochu! – zdziwił się inżynier. – Brzmi to jak jakiś tytuł szlachecki.

– Chodzi o to, że kiedy nie ma walki, zamiatam pokład, ale gdy trzeba nakarmić działła, noszę kartusze z prochem ze zbrojowni – odpowiedział z tą całkowitą powagą dzieci zmuszonych wieść życie ludzi dorosłych.

Podeszli do deski służącej za stół jego towarzyszom posiłku. Kiedy ci ujrzeli Sebastiana, nikt się nie poruszył, żeby zrobić mu miejsce. Aż dał się słyszeć głos, który wydał mu się znajomy:

– A gdzie stare i dobre zasady gościnności?

Był to cieśla Hermógenes. Wysłuchali go z szacunkiem, ale nikt nie przesunął się ani na cal. To Miguel odstąpił mu swoje miejsce na ławie, a sam ulokował się między dwoma marynarzami. Ci nic nie powiedzieli chłopcu; widać było, że darzą go wielką sympatią.

Jedli w milczeniu. Fonseca wstał pierwszy, żeby pomóc małemu Miguelowi zebrać miski i garnek, podczas gdy mężczyźni rozbierali zaimprovizowane stoły i rozchodzili się.

* * *

Sebastián skorzystał z okazji, żeby pójść z Hermógenesem do jego warsztatu. A kiedy do niego weszli, zapytał:

– Dlaczego mnie najpierw zamknąłeś, a potem nie zeznawałeś przeciwko mnie?

– Bo z początku nie wiedziałem, kim pan jest.

– A więc mnie znasz?

– Znałem pana ojca, który bardzo dobrze się obszedł z moją rodziną. Kiedy byłem młokosem, poruszył niebo i ziemię, abym mógł zaciągnąć się do floty jako chłopiec okrętowy razem z dwoma towarzyszami.

Ta historia coś Sebastianowi przypomniwała.

– Czy jednym z nich nie był Paco Powroźnik? – spytał.

– Tak – odpowiedział Hermógenes. – A trzecim ojciec Miguelita. Juan de Fonseca pomagał naszym rodzinom, kiedy my, trzej chłopcy z ziem, które wtedy do niego należały, zaciągnęliśmy się do floty. Paco pracował na bocianim gnieździe, ojciec Miguelita był cieślą, ja zaś – jego pomocnikiem. Podczas jednej z bitew poległ, a ja zostałem ranny. Paco miał więcej szczęścia. Przeszedł do stoczni i tak wraz z nogą straciłem najlepszego przyjaciela. Kiedy zaproponowali mi, żebym zajął miejsce ojca Miguela, nie wahałem się. Wcześniej mu obiecałem, że zajmę się jego synem. Jest

jeszcze paziem, ale zostanie wielkim marynarzem. To dobry chłopak, wychodzi z siebie, wykonując swoje obowiązki, żeby zostać chłopcem okrętowym, a z czasem, kiedy podrośnie, pracować na bocianim gnieździe.

Sebastián przypomniał sobie, co opowiadał mu stryj Álvaro o liście, który powierzył Pacowi Powroźnikowi, żeby dostarczył go do Limy pierwszym statkiem, jaki wyruszy do Peru.

– Czy to ty zawiozłeś w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym roku do Limy list, który ci powierzył Paco?

– Tak, to było we wrześniu tysiąc siedemset sześćdziesiątego siódmego. Na liście było takie nazwisko...

– Gil de Ondegardo?

– Właśnie. Takiego nazwiska nie można pomylić. Chociaż ja ograniczyłem się do wręczenia go ojcu furtianowi klasztoru Świętego Pawła, siedziby jezuitów.

– Dziękuję ci za zaufanie. A przechodząc do tego, co się tutaj dzieje, to dlaczego kapitan Valdés tak się niepokoi?

– Nie zna załogi, która też nie uważa go za jednego ze swoich. Zaokrętował się w ostatniej chwili.

– A poprzedni kapitan?

– Miał wypadek. Drugi oficer spodziewał się, że otrzyma nominację i propozycję, aby go zastąpić. Ale z dnia na dzień przyszło zlecenie na ten rejs i trzeba było czym prędzej pozmieniać wiele planów, między innymi moje własne, bo miałem pozostać na lądzie, ale w ostatniej chwili odwołano moje zezwolenie. A poza tym ten markiz de Montilla, drugi oficer i bosman psują humor kapitanowi Valdésowi, chociaż jest to bardzo zdolny marynarz.

– Czy „África” sprawia dużo kłopotu? – spytał Sebastián, wskazując na stojącą pod ławą makietę.

– To niezły okręt, chociaż źle znosi manewry, które wykonuje się, kiedy płynie pod wiatr.

I podczas gdy Hermógenes wyjaśniał mu jego budowę, Sebastián zaczął rozumieć, że ten okręt o siedemdziesięciu czterech działach jest

wspaniałym pomnikiem ludzkiej pomysłowości. Przy stu dziewięćdziesięciu sześciu stopach długości i czterdziestu ośmiu w swojej najszerszej części był jak małe pływające miasto. Każdy skrawek przestrzeni wykorzystano na potrzeby długiego rejsu.

Wyszli na podkład i Hermógenes pokazywał Sebastíanowi rozmaite gatunki drewna, z jakich okręt był zbudowany. By powstała ogromna bryła, ta machina na wiatr, trzeba było zużyć ponad trzy tysiące drzew.

Cieśla wykazywał tak drobiazgową znajomość swojego zawodu, że Sebastían zaczął go sondować na temat ekspedycji naukowej, którą mieli na pokładzie.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznał Hermógenes, drapiąc się w brodę. – Oni mówią, że jadą pomagać poprzedniej misji, która jest w Peru od dwóch lat, w opisywaniu i lepszym poznaniu uprawy pewnych roślin. I że teraz minister marynarki polecił im znaleźć jakąś sosnę odpowiednią na maszty.

– Wierzysz w to?

– Maszty są najdroższą częścią okrętu. Muszą wytrzymać ciężar ożaglowania, który zwiększa się, kiedy pada deszcz i wszystko jest mokre. Muszą znieść porywy wiatru i najgwałtowniejsze burze. Bez dobrego masztu okręt jest nic niewart. Najlepsze pochodzą z Rosji i Polski, a to sprawia, że są jeszcze droższe. Toteż znalezienie ich w Peru byłoby dobrą nowiną.

– Czy znasz wszystkich uczestników tej ekspedycji, której przewodzi Montilla?

– Niektórych. Każdy pochodzi z innego miejsca i ma inny zawód.

– A ci, których znasz, to cieśle?

– Tylko dwóch z nich. Pozostali nawet nie rozumieją popularnych zwrotów na określenie poszycia. Nie mają żadnych znajomych cieśli pracujących w stoczniach.

– No cóż, może dlatego, że nie uprawiają tego zawodu od tylu lat co ty.

– Powinni znać tych ludzi przynajmniej z nazwiska, bo listy personelu

morskiego są często odnawiane, żeby było wiadomo, kto nadal działa, a kto się już wycofał. Powinni też znać spis drzew w Zatoce Kadyksu.

– To znaczy, że ty byś im nie dowierzał. Ale nie oni jedni zaokrętowali się po kryjomu...

Sebastián usiłował w ten sposób skierować rozmowę na interesujący go temat. Chciał, żeby Hermógenes opowiedział mu o przeróbkach, których dokonał w kajucie na sterburcie przeznaczonej w zasadzie dla jednego z kapelanów, gdzie teraz, jak podejrzewał, ukrywa się jakiś pasażer. Jednak cieśla nie dał się złapać w te sidła i ograniczył się do odpowiedzi:

– Ja mówię panu tylko tyle, że większość z tych pięćdziesięciu uczestników ekspedycji nie jest tymi, za których się podaje. Na pana miejscu byłbym ostrożniejszy. Czy wie pan, co to jest węzeł workowy?

– Nie. Co to takiego? Jakaś sztuczka?

– Dzięki niemu można się przekonać, czy zaufać śpiącym obok ludziom.

Dołączając czyn do słowa, podniósł leżący w pobliżu worek i pokazał, jak się go wiąże.

– Jak wiele innych ten węzeł jest bardzo prosty, kiedy już się go pozna. Na pozór wygląda jak płaski i każdy, kto otwiera cudzy worek, zamyka go potem właśnie węzłem płaskim, nie dostrzegając, że różni się on od tego, który panu pokazałem. Tak więc jeśli używa pan zamknięcia węzłem workowym i okazuje się, że ma pan węzeł płaski, to znaczy, że ktoś grzebał w pana rzeczach.

26 Ludzie do wszystkiego

Po kilku dniach zdołał dość dobrze poznać zwyczaje panujące na okręcie. Rano na pokładzie panowała wielka krzątanina. Po południowym posiłku następne godziny były spokojniejsze. Potem wydawano lekką kolację, wygaszano palenisko i dokonywano zmiany warty na nocną z jej trzema czterogodzinnymi wachtami.

Trudniejsze okazało się dotarcie do różnych zakątków okrętu. Jak mówił Hermógenes, okręt liniowy ma swój własny świat. Fonseca śledził z uwagą, jak załoga schodzi na najniższy pokład i do ładowni. Miał zamiar odwiedzić możliwie szybko te miejsca, aby odzyskać *Kronikę* i przyjrzeć się bagażom. Tylko w ten sposób mógł rozpoznać zabójcę swojego ojca i stryja, zlokalizować kufer z zieloną opończę i uszkodzoną srebrną klamrą.

Panował tak wielki ruch, że można było tego dokonać tylko w nocy. I również wtedy było to bardzo ryzykowne. Podczas tej wachty rychtowano działa wyższej baterii ze zdjętymi pokrywami luf, na wypadek gdyby trzeba było odeprzeć niespodziewany atak. Poruszanie się w ciemnościach po pokładzie mogło być bardzo niebezpieczne. Jeżeli nawet nie wpakowaliby w niego kulki, to mogli go zobaczyć. I jego wróg, markiz de Montilla, miałby świetną wymówkę, by zażądać zakucia go w łańcuchy i zamknięcia na resztę podróży w ładowni. Nie mógłby tam przeżyć. Zabicie go byłoby najłatwiejszą rzeczą pod słońcem.

Nie mógł liczyć na czyjąkolwiek pomoc oprócz Hermógenesa i Miguelita, z ich bardzo ludzkim, nawet dziecinny, sposobem bycia, jak wtedy, kiedy opowiadali o kotce na okręcie o imieniu Luna. Nie tylko uważali, że jest bardzo łowna i dobrze wypełnia swoje obowiązki. Byli z niej dumni, pewnego razu bowiem, jeszcze przed rozpoczęciem wojny z Wielką Brytanią, stali w porcie wraz ze statkiem z tego kraju. A ponieważ oba były przycumowane obok siebie, burta przy burcie, jasny, prążkowany kot sąsiadów, bardzo dziarski, usiłował dokonać abordażu. Nie spodziewał się reakcji kotki, która nie miała ochoty na amory. Wyszła adoratorowi naprzeciw po desce, którą marynarze położyli dla ułatwienia ich flirtów. Odrzuciła jego zaloty, potraktowała go pazurami w tak dziki sposób, że angielski kot musiał wracać, skąd przyszedł, z podwiniętym pod siebie ogonem.

To wydarzenie stało się przykładem skutecznego odparcia brytyjskiego abordażu. I widać było, że obaj oni są po dziecinnemu dumni z Luny. Jakby okazała wierność właśnie im i nie zdradziła ich z odwiecznym wrogiem. Oczywiście kotka nie mogła się skarżyć na to, jak jej się odwodziło. Uważano ją za jedyną samicę, jaka mogła poruszać się po pokładzie i kręcić tyłkiem, nie wywołując zamieszania wśród załogi.

* * *

Hermógenes zaprosił go na pogawędkę z toreadorami płynącymi do Limy na uroczystości na cześć nowego wicekróla, który miał wkrótce przybyć. Fonseca, chociaż nie pasjonował się korridą, stwierdził, że toreadorzy i ich ekipa to zacni ludzie. A zwłaszcza ten, kto zdawał się grać tu pierwsze skrzypce, Manuel Romero zwany „Jerezano”. Zaczynając rozmowę, zawołał jednego ze swoich pomocników i kazał mu przynieść gąsior wina *amontillado*, które wieźli ze sobą dla skrócenia rejsu przez kałużę, jak nazywali Atlantyck.

– No rusz się i popracuj trochę – powiedział mu.

Na co ten drugi odparował, z tym swoistym wdziękiem, który dziwi każdego, kto nie jest Andaluzjczykiem:

- Jak mogę pracować, skoro pochodzę z Kadyksu?
- Przecież się tam nie urodziłeś...
- My z Kadyksu rodzimy się, gdzie nam się podoba.

Jerezano powiedział mu, że był już wcześniej w Peru i zachował miłe wspomnienia o tym miejscu i mieszkających tam ludziach.

- Czy w Limie jest arena? – spytał Sebastián.

– I to piękna. W Acho. Jej średnica ma nie mniej niż osiemdziesiąt pięć kastylijskich łokci i mieści jakieś dziesięć tysięcy widzów. Nie ma lepszej w całej Hiszpanii.

- A byki są bardzo ostre?

– Proszę spojrzeć na tę bliźnię. To pamiątka po Rompeponchos, małym byczku z Bujamy, który o mało nie rozpruł mnie na dwie połowy. Przyglądałem mu się spokojnie, żeby zobaczyć, czy ma rogi proste, czy też zagięte do tyłu, i obliczałem cios. Mówiłem sobie: Uważaj, Manuel, bo chociaż lewy róg jest u tego byka krótszy, prawy ma dobry wymiar i wejdzie w ciało bez trudu. Więc nie rozpraszaaj się i pozwól mu pobiegać, aż spokornieje. Zahaczył mnie, gdy go odciągałem od matadora, ale było warto, bo ludzie docenili mój styl.

- A więc limianie znają się na korridzie.

– Oni stosują mieszaninę stylów, tak w korridzie, jak w wielu innych rzeczach. Kłują byka zarówno na sposób z Nawarry, jak i stosując figurę zwaną *verónica*, metodą z Rondy lub z Sewilli. Mówią, że robią to po kreołsku i że dla nich wszystko od karku do ogona jest bykiem.

Sebastiánowi wydało się, że w tym stadium rozmowy i wina może już zrobić taką uwagę:

- Widzę, że ma pan dobrze dobraną ekipę.
- Są ze mną od samego początku.

To właśnie chciał wiedzieć. Pomyślał, że tu nie czai się jego wróg. Ale mógł z powodzeniem zakamuflować się między żołnierzami lub w ekspedycji naukowej. Tak więc pożegnał się.

Kiedy Fonseca został sam, poczuł, że ktoś go śledzi, obserwuje wszystkie jego ruchy. Rozejrzał się wokół, wzdłuż pokładu, gdzie rysował się

rząd dział. Potem spojrział w stronę schodów prowadzących do kasztelu na dziobie, na pokład po stronie rufy, na zagrodę ze zwierzętami, na szalupy, na gmatwaninę lin i żagli...

Może wyobraźnia płatała mu figła, a w rzeczywistości wszystko, co widział, było normalne i można się było tego spodziewać w takim miejscu i takiej chwili. Koło niego kilku marynarzy siedziało na słońcu i łapało pchły, a inny poddawał się zabiegom balwierza. Na dziobie rachmistrz i szafarz sprawdzali rachunki, obok nich Miguelito sprawował wartę przy butli zegara piaskowego, którą obracał co pół godziny. Poniżej osłonięty przed słońcem kapelan uczył katechizmu paziów i chłopców okrętowych. Na pokładzie rufowym drugi oficer poprawiał kadeta przy posługiwaniu się sekstansem. A stojący za nim Valdés musiał dyskutować z bosmanem o jakimś szczególe takielunku, gdyż wskazywali ku górze, potem w jedną stronę, potem w drugą, ceremonialnymi i mechanicznymi ruchami, jak zegarowe automaty.

Wszystko wyglądało normalnie. Ale Sebastián miał wrażenie, że ktoś, kto ma pełną kontrolę nad jego poczynaniami, kogo nawet nie zna, pilnie śledzi zarówno jego kroki, jak i rozmowy. I zdał sobie sprawę, że mogą do niego strzelić podczas ćwiczeń, upuścić na niego z góry jakiś ciężar, wrzucić go do morza, jeśli znajdą go samego w latrynie, zaatakować w jakimś ciemnym kącie. Nie mógł tak nadal trwać na łasce swojego wroga. Musiał przejść do ataku. Zaczął obserwować kołysanie okrętu, impet fal. Zapytał Hermógenes o kilka szczegółów, które jeszcze nie były dla niego jasne. Nadstawił ucha, kiedy mówiono o stanie morza przewidywanym na najbliższą noc... Wiedział, że księżyc jest w ostatniej kwadrze, co ułatwiało jego zamiary, gdyż będzie trochę światła, ale nie tyle, by można było z łatwością odkryć jego obecność. Musiał się upewnić. Miał zrobić coś niedorzecznego, bardzo niebezpiecznego, bez względu na to, czy mu się powiedzie, czy też nie. Ale nie mógł już dłużej czekać. Ani zmarnować czynnika zaskoczenia, jedyne działające na jego korzyść.

27 Ukryty pasażer

Nadeszła chwila, żeby stawić czoło zabójcy jego ojca i stryja. Kim innym mógł być ów podróżny, oficjalnie nieistniejący, dla którego podejmowano tyle środków bezpieczeństwa? Wszystko wskazywało w tym kierunku: szepty o osobie wniesionej na okręt w lektyce, które usłyszał z ust dwóch marynarzy. Taca z posiłkiem, którą niósł Miguelito, przeróbki, jakie wykonał Hermógenes, żeby odizolować kajutę na sterburcie przeznaczoną dla jednego z dwóch kapelanów, absolutny zakaz zbliżania się do owej strefy...

To ostatnie zmuszało Sebastiána do podjęcia najbardziej ryzykownej decyzji, jako że zabroniono mu wychodzić poza grotmaszt w kierunku rufy. I niebezpieczeństwo wzrastało po zapadnięciu nocy i przy wzburzonym morzu.

Teraz już nie mógł się wycofać, wstał ze swojego hamaka, ubrał się i włożył buty pod pretekstem pójścia do latryny. Musiał działać szybko. Słabe światło księżyca oświetlało na tyle, na ile było to konieczne. Niestety, oczywiście on też był widoczny.

Wspiął się na drugi pokład, podszedł do drzwi prowadzących na dziób i przekręcił po omacku kółko uchwyty. Zwykle stał tam wartownik, więc wychylił się, żeby ustalić jego pozycję. Poczekał, aż oddali się na drugi koniec, i wtedy wyszedł, uważając, by drzwi nie trzasnęły pod wpływem wichru bijącego w przód okrętu.

Przeskoczył przez poręcz i zawisł nad jego bokiem. Kiedy tak zwisał nad falami, kołysanie było przerażające. Powietrze biło go gwałtownie po twarzy. Musiał przycisnąć się do kadłuba, żeby wycofać się ku rufie, z rękami wczepionymi w brzeg dziobowego kasztelu i stopami opartymi o otwory działowe, przez które wylały się lufy. Czuł szorstkość spoin, blizny drewna.

Posuwając się, musiał uważać na trzymających straż marynarzy. Obaj mężczyźni stali po drugiej stronie, przy bakburcie, rozmawiając z tym, który pilnował dziobu. Ale wkrótce mieli wrócić na sterburtę, gdzie był on.

Przedtem zapoznał się szczegółowo z boczną stroną okrętu, po której wykonywał teraz swoją ryzykowną ekskursję. I wiedział, że każdy z trzech wielkich masztów dysponuje kompletem grubych lin, want, które mocują go do obu stron kadłuba, przytwierdzone do solidnej, drewnianej poziomej belki – występu stołowego. Te trzy wykusze były jedynymi kryjówkami, pod którymi mógł się schować, jeśli wartownicy wychyliliby się przez burzę.

Skierował się ku tylnej stronie okrętu ukryty pod pierwszym występem stołowym mocującym wanty fokmasztu. Wszystko poszło tu dobrze na pierwszym odcinku drogi. Wartownicy byli po drugiej stronie, wykusz okazał się aż nadto wytrzymały i okucia, które go wzmacniały od dołu, zniosły z łatwością jego ciężar.

Problemy pojawiły się, kiedy dolna część jego spodni zaczęła się o zawiasy otworu strzelniczego jednego z dział, na którym opierał stopy. Pozostał zawieszony na obu ramionach, nie mogąc się ruszyć ani odczepić. Okręt przechylił się gwałtownie, co omal nie zrzuciło go w morze. I na domiar złego usłyszał nad sobą wartowników, którzy wrócili na sterburtę i wychylili się za jej krawędź, dokładnie nad nim.

Uderzenie fali ochlapało go wodą. Dłonie zaczęły mu się ześlizgiwać. Modlił się, żeby ci mężczyźni odeszli szybko na drugą stronę. Ale stali tam nadal.

Miał tylko jedno wyjście, zanim zabraknie mu sił: kotwicę, którą umocowano ukośnie z boku kadłuba. Jeżeli puści wykusz i uchwyci się trzonu

kotwicy, będzie mógł się opuścić z pozycji, którą zajmuje, i odczepić spodnie od zawiasów otworu strzelniczego. Musi to zrobić z całą ostrożnością, unikając jakiegokolwiek hałasu przy poruszeniu drzwi działa, jako że po drugiej stronie śpią członkowie załogi. Dobrze o tym wiedział, gdyż właśnie tam znajdował się jego hamak.

Prawą dłonią puścił występ stołowy i schwytał kotwicę. Ta, choć się poruszyła, wyglądała na dobrze umocowaną. Potem zrobił to samo z lewą dłonią. Ale nie udało mu się odczepić spodni. Uwiesił się obiema rękami na trzonie kotwicy, trzymając się mocno, żeby zakołysać nogami i uwolnić dolną część spodni.

W końcu mu się to udało, ale za cenę poruszenia kotwicy i zawisnięcia w próżni. Musiał wytrzymać silne szarpnięcie zdrętwiałych członków, a całe jego ciało bujało się jak wahadło, podczas gdy wartownicy, usłyszawszy hałas, szukali przenośnej latarni, żeby obejrzeć to miejsce. Jeżeli nie zdoła się ukryć, zanim wrócą ze światłem, będzie zgubiony.

Dobytując ostatków sił, wyciągnął się pod okuciami wzmacniającymi dolną część wykusza stołowego. Nie mógł długo wytrzymać w tak męczącej pozycji.

Wstrzymał oddech, podczas gdy wartownik sprawdzał bosakiem umocowanie liny kotwicznej. Ostry hak przesunął się raz i drugi przy jego twarzy. O mało nie przecięli mu jego wydatnego nosa.

W końcu wynik kontroli ich zadowolił. Wtedy inżynier odpoczął chwilę dla odzyskania sił – poczekał, aż oddał się na drugą stronę, zanim zaczął znowu posuwać się ku rufie.

Była to najpilniej strzeżona część okrętu, w której mieszkali oficerowie. Również najbardziej oświetlona – przez wielkie latarnie oznaczające ich pozycję.

Nieszczęście chciało, że bardzo blisko niego, na tylnym balkonie, zapaliło się jakieś światło. Przez okno zobaczył, że ktoś w samej koszuli, z latarnią, udaje się do ustępu dla oficerów i sadowi się tam wygodnie gotów sobie ulżyć bez pośpiechu.

Sebastián zawahał się, ale tylko przez kilka sekund. Wspiął się na górną

część przeszklonego fragmentu rufy. Teraz znajdował się na najbardziej niebezpiecznym odcinku okrętu, o kilka kroków od miejsca, gdzie spali Montilla i oficerowie. Wszedł do paszczy wilka.

Pozostawanie tam było zbyt ryzykowne. Dostrzegł wiszące z tyłu czółno, niewielką łódkę umocowaną na dwóch wysięgach. Wystawały one poza burtę, utrzymując ją odsuniętą od kadłuba. Wspiął się po jednej z podpór i przedostał się do wnętrza łódki.

Stąd mógł kontrolować to, co działo się na rufie, sam nie będąc widzialny. I zaledwie oficer opuścił latrynę i zniknął mu z oczu, dostrzegł nowe światło, na które dotąd nie zwrócił uwagi. Wydobywało się dokładnie z tej kajuty, której szukał.

Nie zastanawiał się dwa razy. Schwycił jedną z lin, jakie leżały w łódce, przywiązał ją mocno do podpory, na której wisiał, i zaczął się po niej opuszczać, aby dotrzeć do kajuty.

Gdy już zszedł na wysokość pierwszego pokładu, napotkał pewną trudność: płaszczyzna rufy nie była pionowa, lecz ustawiona ukośnie, nachylna do wewnątrz i znajdowała się zbyt daleko. Musiał się rozhuścić, najpierw powoli, potem z większą siłą, omijając łańcuchy steru, odsuwając się ku sterburcie, aż zdołał przylgnąć do kadłuba.

Przy ruchu okrętu trudno było dobrze wyliczyć siłę uderzenia i walnął w niego z głuchym odgłosem. Uchwycił się wyrzeźbionych w drewnie dekoracji w nadziei, że nikt go nie usłyszał.

Potem poczuł, że ma dość sił, by zajrzeć w otwór strzelniczy działa sterowego, które zostało usunięte, aby zrobić z tego otworu dodatkowe okno kajuty kapelana na sterburcie. W końcu miał spotkać się oko w oko ze swoim wrogiem.

To, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie.

Jego zaskoczenie było tak wielkie, że nie spostrzegł, iż ktoś wyszedł przez inny otwór strzelniczy znajdujący się za nim. A kiedy zdał sobie z tego sprawę, silne ramię trzymało go za szyję jak w kleszczach, nie pozwalając mu złapać powietrza.

28 Zwierciadło z obsydianu

Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, że na pokładzie jest kobieta. Zobaczył ją, kiedy zajrzał przez okno kajuty. Brała akurat kąpiel, nie spiesząc się i wyraźnie rozkoszując się wodą, co w tych okolicznościach było całkiem zrozumiałe. Prawa noga z idealnie zarysowaną łydką, aż po dołeczki przy kostkach, wystawała z wanny, a jej właścicielka przesuwała po niej namydloną gąbką. Przy tej czynności napinały się mięśnie jej wysmukłej szyi pod ściągniętymi w kok włosami, a piersi unosiły się i opadały w rytmie energicznych ruchów gąbki.

Olśniony widokiem wspaniałego ciała o barwie cynamonowej dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to Umina, Metyska, którą widział w teatrze na przedstawieniu *Węzła gordyjskiego*.

Zafascynowała go tak samo jak przedtem i skarcił się w duchu. Takie zauroczenie nie licowało z zasadami, które mu wpojono na temat honoru rodu, dumy z pochodzenia, czystości krwi i herbów. Ale było mu wszystko jedno. Mimo niebezpieczeństwa, mimo podejrzeń, że to ona ponosi odpowiedzialność za śmierć jego ojca i stryja, musiał przyznać, że bardzo mu się podoba. W najgłębszych zakamarkach jego ciała rodziło się i wzbierało nieodparte, zwierzęce pożądanie. Słusznie mówi przysłowie, że kobieta obnażona to kobieta uzbrojona.

Po tym, co zobaczył, nie musiał długo myśleć, żeby wiedzieć, kto go

trzyma za szyję. Nie widział go, bo ten człowiek wychylił się przez otwór strzelniczy z tyłu za jego plecami. Ale wiedział, że jest to strażnik tej dziewczyny, potężny Indianin, odstraszaający samym swym wyglądem. I czuł, że wciąga go do środka.

Musiał się poddać, bo w przeciwnym razie żelazny uchwyt zmiażdżyłby mu szyję. Napastnik nie odezwał się ani słowem. Nie musiał, jego siła była wystarczająco wymowna. I tak, obezwładniony i popychany, Sebastián stanął przed dziewczyną.

Miała go w ręku i zdawała sobie z tego sprawę. Wykrzywiła usta w mało zachęcającym uśmiechu i dając znak Indianinowi, żeby nie hałasował, przytrzymała drzwi, wpuszczając ich do kajuty.

Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, to zapach. Przyjemna woń perfum. Co za odmiana w porównaniu z zaduchem spoconych marynarskich ciał! Metyska zarzuciła na ramiona szlafrok. Bez uprzedzenia przysunęła mu do twarzy lusterko z czarnego, wypolerowanego kamienia w srebrnej oprawie. Miała je przy sobie w kąpeli i dlatego zobaczyła go już wcześniej, choć była odwrócona plecami. Cofnął się zaskoczony widokiem twarzy wyłaniającej się z czarnego obsydianu.

Nie od razu rozpoznał siebie w tym ciemnym mężczyźnie o stwardniałych rysach, jeszcze bardziej wyostrzonych niż zazwyczaj, który patrzył na niego z drugiej strony. A wyglądał jak człowiek z innej epoki, innej rasy.

– Niech pan się przejrzy – powiedziała. – To lusterko należało do Sírax.

Było całkowicie niemożliwe, żeby Metyska wiedziała, co czytał przez te ostatnie tygodnie. Więc skąd znała historię inkaskiej księżniczki? Czy osoba odpowiedzialna za śmierć jego ojca i stryja może zachowywać się w ten sposób? Jej głos był miły, ładnie modulowany. Akcent miękki, delikatny, wręcz jedwabisty, kontrastujący ze stanowczością, którą wyczuwało się w jej zachowaniu.

– Kim pani jest? – obruszył się Sebastián. – Dlaczego zabiła pani mojego ojca?

Nic nie osiągnął tym atakiem. Indianin unieruchomił go jedną ręką, ścisnąc za gardło, podczas gdy jego pani zastanawiała się nad odpowiedzią.

– A więc to tak. Pan myśli, że to ja.

– A kto odwiedził go dzień przed śmiercią?

– Chciałam go ostrzec.

– Raczej obrzucić pogróżkami!

– Rozmawialiśmy o Sírax i o Diegu de Acuña – odpowiedziała, obserwując jego reakcję. – I o tej *Kronice*. Próbowałam go przekonać, że dobrze znam tę historię, dałam dowody... Podobnie jak teraz w rozmowie z panem... Ale mi nie uwierzył, nie odpłacił zaufaniem... Mam nadzieję, że pan nie popełni tego samego błędu.

– Jakie dowody?

– Mówiłam mu o Vilcabambie, o miejscu zwanym Okiem Inki, gdzie znajduje się skarb. Teraz wiem, że powiedziałam za dużo. Ale kto mógł się spodziewać, że pański ojciec postąpi nieostrożnie i włoży to wszystko w usta aktora w spektaklu, na który przyjdzie pół Madrytu?

– Może nie miał wyboru...

– Właśnie że miał. Prosiłam, żeby się nie wtrącał. To samo radzę teraz panu. Niech pan się z tego wycofa, póki czas. Proszę mi oddać *Kronikę* i pozwolić działać. To nie jest pańska sprawa.

– Nie moja? Zamordowano mi ojca i stryja.

– Pana czeka to samo, jeśli mnie pan nie posłucha.

– Grozi mi pani?

– Boże drogi, co za uparty człowiek! Ja nikogo nie zabiłam. A pan nie powinien się tym zajmować. Nie musi pan.

– A pani musi?

– Nie mam innego wyjścia.

– Proszę mnie przekonać. Wystarczy jeden powód.

– Wie pan, gdzie mieszkam w Cuzco...? W Domu Wężów. Coś to panu mówi, prawda?

Sebastián był zdziwiony: w tym domu zaczęła się historia opowiedziana przez Quispi Quipu. Tam jej córka Sírax spędziła swoje dzieciństwo.

– Skąd pani wie o tym wszystkim? Wyciągnęła to pani od mojego ojca, zanim go pani zabiła?

– Ja go nie zabiłam – przerwała, tracąc cierpliwość. – Jeśli jeszcze raz pan to powie, zgłoszę kapitanowi, co pan uczynił.

– Pani go nie zabiła, ale na pani rozkaz zrobił to ten nieochrzczony dzikus – powiedział, mając na myśli Indianina, który wciąż trzymał go za gardło.

– Nazywa się Qaytu i jest ochrzczony. Na chrzcie otrzymał katolickie imię, ale to teraz nieważne. Najważniejsze, że to nie on zabił pańskiego ojca. Natomiast powód, że znam historię Sírax, jest taki, że moja matka pochodzi z królewskiego rodu. I ja też. Z rodu Quispi Quipu.

Sebastián zrobił gest niedowierzania, więc Metyska westchnęła z rezygnacją, otworzyła szufladę i zaczęła czegoś szukać w papierach.

– Jest pan taki sam jak pański ojciec... Mam nadzieję, że dokumentom pan wierzy. Oto jeden z tych, które odnalazłam w Hiszpanii. Chyba przeczytał pan w *Kronice*, że Quispi Quipu odwołała się do króla Filipa II, kiedy chciano jej odebrać ziemię i Dom Wężów. Odpowiedź przyszła za późno, gdy już wszystko straciła i była umierająca. Niemniej jednak odpowiedź przyszła i królewski dekret stwierdza, co następuje – zacytowała: – *Filip, z łaski Bożej król Kastylii, Leónu, Aragonii, Obojga Sycylii, Jerozolimy, Nawarry, Grenady, Toledo, Walencji, Galicji, Majorki, Sewilli, Sardynii, Korsyki, Murcii, Jaén, Algarves, Algeciras, Gibraltaru, Wysp Kanaryjskich, Indii i ziem zamorskich, książę Flandrii, Tyrolu...*

– Gdyby miał kilka tytułów mniej – przerwał Sebastián – może hiszpańska sprawiedliwość byłaby bardziej rychliwa.

– Pomyślałam to samo. Przynajmniej w jednym się zgadzamy – powiedziała Umina z lekkim uśmiechem.

I dalej czytała ten dokument, który – mówiąc skrótowo – przywracał Quispi Quipu wszystkie utracone dobra. Tak więc staruszka wypędzona z Domu Wężów mogła przed śmiercią podyktować testament. Zapisała dom i cały majątek swoim spadkobiercom.

– Przyzna pan, że ona jedna zachowała godność do końca.

– Dlaczego pani tak mówi?

– Bo inni potomkowie królewskiego rodu Inków jeździli do Hiszpanii, żeby uzyskać audiencję u króla, a kiedy znaleźli się w Madrycie, zaczęli szastać pieniędzmi, pragnąc zaimponować dworakom, którzy i tak nimi pogardzali. Filip Drugi nigdy nie miał dla nich czasu i niczego im nie przyznał. Niektórzy zakończyli żywot w więzieniu, gdzie wsadzano ich za długi, inni pomarli z tęsknoty za Peru, bo nie stać ich było na powrót.

– Nie można tego powiedzieć o Beatriz Clarze Coi, kuzynce Quispi Quipu, którą wydano za bratanka świętego Ignacego, Martina Loyolę.

– Oczywiście, że nie. Z tego małżeństwa urodziła się córka Ana María Coya de Loyola, która odziedziczyła ogromny majątek i wzięła ślub w Madrycie z Juanem Borgia, który też był bardzo bogaty, a pochodził z rodziny kolejnego świętego jezuickiego Franciszka Borgii. Inna gałąź królewskiego rodu Inków jest spokrewniona z potomkami świętego Franciszka Ksawerego. Zna pan obraz przedstawiający ślub z inkaskimi księżniczkami?

– Znam rycinę zwaną Planem Inki.

– Tak, to ta. Chrześcijańska Monarchia Peru wymarzona przez jezuitów. Nie podejrzewali, jakie przeszkody i kłopoty pojawią się później. W tysiąc siedemset trzydziestym dziewiątym wygasa linia potomków Loyola-Borgia ożenionych z księżniczkami inkaskimi. A w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym następuje kasata zakonu i jezuici są wydaleny z Hiszpanii i Peru. Obecnie Plan Inki znów nabiera znaczenia, ale w innym kontekście.

Sebastián, choć niechętnie, musiał przyznać, że to, co mówiła, trzymało się kupy. Umina odgadła jego myśli i dała znak Qaytu, żeby go puścił.

– A więc pani mieszka w Domu Wężów – powtórzył niepewnie.

– Razem z matką. Ona jest prawowitą właścicielką tego domu. Jak również tej *Kroniki*. Wy, Fonseca, byliście tylko depozytariuszami.

– Mijają dwa wieki, jak mamy ten depozyt.

– Zgoda, ale teraz chcę odzyskać *Kronikę*. Jest mi potrzebna. Dlatego poszłam porozmawiać z pańskim ojcem. Poprosiłam o zwrot depozytu.

Powiedziałam mu o tych paru szczegółach, żeby udowodnić, że go nie oszukuję.

– To panią wciągnięto na pokład w zasłoniętej lektyce?

– Tak. Skąd pan wie?

– Z przypadkowej rozmowy. Jeśli pani żądania są uzasadnione, to dlaczego się pani ukrywa?

– W trosce o własne bezpieczeństwo. Żeby nie stało się to samo co z moim bratem. Został zamordowany kilka lat temu w Limie, kiedy zamierzał wsiąść na statek płynący do Hiszpanii.

– Kto to zrobił?

– Z pewnością ta sama osoba, która zamordowała pańskiego ojca i stryja. To ktoś, kto służy interesom peruwiańskich *encomenderos*, którzy nigdy nie pozwolą na ujawnienie swych nadużyć i nieludzkiego postępowania wobec Indian. A najgorsi są właściciele manufaktur.

– Jakich manufaktur?

– Chodzi o fabryki tkackie, gdzie Indianie harują jak niewolnicy. Gorzej niż w kopalniach. Próby doniesienia o tym władzom ponoszą klęskę. Hiszpania jest za daleko. A ludzie, którzy osobiście chcą poinformować o tym wyzysku, giną tragicznie, zanim dotrą do Madrytu. Za mną też wysłali kogoś, kto miał mi w tym przeszkodzić. Oni zrobią wszystko, by ukryć kompromitujące ich fakty. Tym bardziej teraz, kiedy sytuacja w Peru jest wyjątkowo napięta. Jestem pierwszą osobą, której udało się dotrzeć do władz w Madrycie i przeżyć.

– Chwilowo.

– No tak. Ale przynajmniej Floridablanca udzielił mi swego poparcia, pokazując się ze mną publicznie. Zadbałam, żeby rozpuszczono pogłoski, że muszę zostać dłużej w Hiszpanii, żeby znaleźć dokumenty na potwierdzenie moich praw do inkaskiego dziedzictwa. Gdyby ktoś się dowiedział, że razem z Qaytu wsiadłam na ten okręt, moje życie byłoby w niebezpieczeństwie. Pańskie poszukiwania mordercy ojca poszły w złym kierunku. Nie wiem, czy to się panu podoba, ale jesteśmy po tej samej stronie

barykady i powinniśmy zawrzeć sojusz.

Widząc wahanie inżyniera, dorzuciła:

– Niech pan nie będzie taki dumny i nieostrożny jak pański ojciec. Nie jestem przeciwko Fonsecom. Co więcej, mamy wspólnego wroga. Zdaje sobie pan sprawę, że mogłabym donieść na pana kapitanowi okrętu. On jeden wie o naszej obecności na pokładzie. Moja skarga byłaby dla pana katastrofą.

Sebastián milczał, czekając, co jeszcze powie Metyska i dokąd zmierza.

– Jeśli kapitan okrętu dowie się, co pan zrobił – kontynuowała – wątpię, czy dotrze pan żywy do Panamy. Co wtedy stanie się z *Kroniką*, którą pan ukrywa?

Rzeczywiście, pomyślał Sebastián, tak czy inaczej stracę *Kronikę*, bo kiedy znajdziemy się na kontynencie, zapakują mnie z powrotem na statek i wysadzana Wyspach Kanaryjskich. Na pewno nie pozwolą mi zatrzymać *Kroniki*.

– Proszę mnie posłuchać – powiedziała. – Ten dokument ma wielką wartość, ale tylko dla kogoś, kto dobrze zna Peru. Nie chcę być okrutna, ale pan ma teraz ważniejsze sprawy na głowie. Walczy pan o przeżycie.

Nie da się ukryć, że ta kobieta wiedziała, czego chce, i umiała myśleć logicznie.

– Więc co mi pani proponuje? – zapytał wreszcie inżynier.

– Przyniesie mi pan *Kronikę*, a ja udam, że nigdy pana nie widziałam.

– Potrzebuję kilku dni, żeby ją odzyskać. Jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Szykował się do odejścia, szukając po omacku końcówki sznura, po którym zsunął się tutaj.

– Co pan wyprawia? – zapytała ona.

– Muszę wrócić do mojej kajuty. Jeśli zauważą pusty hamak, podniosą alarm i będę mieć kłopoty.

– Jak pan zamierza wrócić?

– Tak samo jak tu przyszedłem. Po zewnętrznej stronie burty, trzymając się, czego się da.

– Teraz, w środku nocy? A więc tak pan tu przyszedł?

– Od wewnątrz jest to niemożliwe. Od razu trafiłbym na wartę przy zbrojowni.

– Jest pan szalony. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – To cud, że pan nie spadł! Drugi raz może się nie udać. Chyba że chce pan zostać samobójcą... Lepiej nie kusić losu. Pomożemy panu stąd wyjść.

– Czyżby? – odparł Sebastián ze sceptycyzmem.

– Owszem. Ale nic za darmo – uśmiechnęła się. – Jest jeden warunek.

– Słucham...

– Już powiedziałam. Chcę tylko tego, co mi się należy: *Kronikę*. W pańskich rękach nie jest bezpieczna. Poza tym ja też mam prawo to przeczytać... Niech pan już idzie, bo zauważą pańską nieobecność. Nie chciałabym, żeby pana tutaj znaleźli. Qaytu pokaże bezpieczniejszą drogę powrotną. On nie może mówić, ale porozumiecie się na migi.

– Co to za droga?

– Jest taka jedna, którą przygotował kapitan Valdés, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego i musiałabym stąd uciekać.

Metyska otworzyła drzwi, zawołała Indianina i powiedziała mu parę słów w jego języku. Qaytu machnął ręką do Sebastiána, żeby szedł za nim.

Zaprowadził go na miejsce, gdzie była ścianka odgradzająca tę część od reszty okrętu. Widział to już na makiecie w magazynie cieśli Hermógenes.

Z tyłu, za drewnianym przepierzeniem, była wolna przestrzeń, żeby zapewnić dostęp do dział na rufie i żeby rumpel steru na górze pod sufitem mógł swobodnie zataczać półkola.

* * *

Indianin otworzył kłapę w podłodze z tyłu za sterem tuż przy stępce. Ku zdumieniu Sebastiána pod spodem znajdowało się pomieszczenie, z którego miał wyjście na dolny pokład.

Był to magazyn szefa kanonierów, który trzymał tu wyciory, lonty i inne przyrządy do obsługi dział. Wygięcia stępki od wewnątrz służyły jako schody w dół.

Qaytu otworzył rozsuwane drzwi i dał mu znak, że może wychodzić. Kiedy Sebastián to zrobił, podał mu lampę. I zamknął za nim drzwi. Inżynier poczuł się nieswojo. Nie ufał Indianinowi.

Zapуścił się w ciasny przesmyk, zastanawiając się, dokąd go zaprowadzi. Przeszedł wzdłuż całego okrętu i znalazł się przed czymś, co wyglądało na kolejne drzwi, bo miało uchwyt do ciągnięcia. Próbował otworzyć. Bez rezultatu. Postawił lampę na podłodze, żeby mieć wolne ręce, i pociągnął z całych sił. Udało się przesunąć je o kilka cali. Przerwał, gdy zaskrzypiały. Zląkł się, że usłyszy to wachta albo towarzysze z kajuty do spania, która znajdowała się nad jego głową.

Zgasił lampę, wymacał zbiornik na olej, podmuchał, żeby schłodzić, i wziął na palec kilka kropel oleju. Posmarował prowadnice i odczekał chwilę, po czym sprawdził, jak to działa.

Tym razem udało się przesunąć drzwi bez zgrzytów. Po drugiej stronie, na wprost niego, były schody dziobowe oświetlone słabym światłem. Ostrożnie zasunął za sobą drzwi, pamiętając o pozostawieniu wewnątrz lampy. Powoli wspinał się po stopniach, starając się nie robić hałasu.

Wychylił głowę na pierwszy pokład: cisza i spokój. Mógł więc szybko przedostać się na swoje miejsce do spania, nie budząc niczyich podejrzeń.

Kiedy wyciągnął się wreszcie na hamaku, sen długo nie nadchodził. Czuł w całym ciele napięcie. W głowie miał wielki zamęt. Jeśli Umina nie jest odpowiedzialna za śmierć Juana i Álvaro Fonseców, to co miała znaczyć wiadomość, której nie zdążył przekazać dyrektorowi teatru? Ojciec wyraźnie ostrzegwał Cañizaresa przed Metyską.

Kim jest morderca? I czym się kieruje? Czy zna fakty z przeszłości opisane w *Kronice*, tak jak zna je Umina z rodzinnych opowieści? Gdzie się ulokował na okręcie? Przecież Sebastián widział jego bagaż wśród innych ładowanych na pokład.

Prawdopodobnie podróżuje razem z Montillą w części rufowej, która jest wygodniejsza. Inżynier nie ma do niej prawa wstępu, podobnie jak inni marynarze. A może jest członkiem ekspedycji? Markiz ma ich pięćdziesięciu, więc zanim znajdzie tego jednego, wiele się może wydarzyć. Lepiej nie ryzykować i odszukać najpierw bagaż, a potem właściciela.

Natomiast jeśli chodzi o Metyskę, jej pokrewieństwo z Quispi Quipu tłumaczy, dlaczego zna tyle szczegółów, które ojciec i stryj gromadzili latami na podstawie takich dokumentów jak *Kronika*. Ale w takim razie po co Uminie ta *Kronika*? Co tam jest takiego interesującego dla niej? Musi doczytać do końca historię młodej Indianki o imieniu Sírax i kronikarza Diega de Acuña. Być może tu kryją się sekrety.

To była ostatnia myśl i ostatnia decyzja, jaką podjął, zanim zapadł w głęboki sen, nie zdając sobie sprawy z tego, że ktoś nieustannie śledzi jego kroki.

29 Partia szachów

Następnego dnia Sebastián poszedł powiedzieć Hermógenesowi, że potrzebuje zejść do ładowni. Po drodze zastanawiał się, na ile może podzielić się z nim najświeższymi wydarzeniami i czy cieśla coś wie na ten temat. Na pewno domyślił się, że kazano mu przebudować kajutę kapelana po to, by ulokować w niej nowego pasażera. Ale cieśla nie musi wiedzieć, kim jest ten pasażer. Lepiej więc nie wspominać o Metysce ani słowem i w ogóle starać się nie popełnić głupstwa, kiedy będzie prosił Hermógenes o pomoc. Wystarczy, jak powie, że musi coś zabrać z kryjówki, bo zostawił parę rzeczy przez zapomnienie.

Kiedy wspólnie omawiali plan zejścia do ładowni, dowiedział się, że wąski pasaż, którym dotarł na swój hamak po wyjściu z kajuty Uminy, nazywa się pokładem bojowym. Cieśla dobrze go znał. Ten korytarz biegnie po bokach wzdłuż całego okrętu, od rufy do dziobu. Korzysta się z niego, gdy trzeba naprawiać szkody od pocisków armatnich. Najniebezpieczniejsze są dziury na linii zanurzenia. W czasie walk Hermógenes z pomocnikami mają dużo roboty przy uszczelnianiu i usuwaniu przecieków wody w kadłubie, które powstają w wyniku strzałów wroga.

Inżynier poprosił go, żeby stanął na czatach przy schodach dziobowych, kiedy on będzie schodził do ładowni. W ten sposób, nie budząc jego podejrzeń, dotarł na miejsce, gdzie była ukryta ceratowa torba z *Kroniką*. Zabrał ją i schował na piersi pod ubraniem. A po południu postanowił udać się do Uminy, żeby wypełnić swoją część umowy.

Pokład bojowy znacznie ułatwiał mu to zadanie. Nie musiał się już obawiać, że ktoś go zauważy i doniesie o łamaniu zakazu wychodzenia na teren poza grotmasztem. Spokojnie przeszedł dołem na drugi koniec okrętu, do magazynu szefa kanonierów, i wspiął się po wystających częściach stępki, które tworzyły naturalne schody na rufie od wewnętrznej strony. Uważnie nasłuchiwał, ale nie było żadnych innych odgłosów oprócz kroków stróża Metyski, Qaytu.

Kiedy spróbował odsunąć klapę w podłodze, okazało się, że jest zablokowana z drugiej strony. Uderzył pięścią i czekał. Wkrótce uchyliła się i pojawiła się w niej twarz Indianina, który spojrzał na niego pytająco.

– Przyszedłem do Uminy.

Indianin pomógł mu wejść i kazał zaczekać, a sam poszedł do niej.

Wrócił po chwili i dał mu znak, żeby wszedł do kajuty.

Sebastián pokazał dziewczynie *Kronikę*. Bardzo się ucieszyła i poprosiła go, żeby usiadł. W dowód wdzięczności zaproponowała kieliszek wódki, po którym od razu nabrał animuszu.

Przyzwyczajony do trudów obcowania z tą książką w półmroku ładowni dopiero teraz zobaczył, jak przyjemnie czyta się przy świetle dnia i w dobrym towarzystwie. Dziewczyna wyjaśniała mu różne szczegóły, które umykały jego uwagi, bo nie znał Peru ani inkaskich zwyczajów.

Łatwiej się czytało również dlatego, że narracja nabierała tempa, styl stawał się bardziej osobisty i bardziej bezpośredni, ponieważ teraz Diego de Acuña nie zdawał się już na świadectwo Quispi Quipu, tylko sam opisywał, co widział. Po śmierci starej Indianki ten tłumacz i skryba wybrał się w pierwszą, długo wyczekiwaną podróż do Vilcabamby jako członek

komisji utworzonej przez wicekróla Francisca de Toledo w połowie 1571 roku w celu zbadania możliwości zawarcia pokoju.

* * *

Mimo ostrego sprzeciwu Martina de Loyoli Diego wszedł w skład tego poselstwa. Potrzebowano tłumacza. Wiedzano, że Acuña ma dobre kontakty z Indianami. Na dodatek posiada talizman, który budzi respekt wśród tubylców, co daje nadzieję na powodzenie wyprawy.

Po kilku dniach podróży wzdłuż doliny Urubamby przeszli przez most Chuquichaca i znaleźli się na drugim brzegu rzeki. Natychmiast otoczyli ich rebelianci, którzy zniechęceni wysunęli się spoza skał. Hiszpanie byli na to przygotowani. Wieźli dary dla Inki, które przyjęto z zadowoleniem, ale nie pozwolono im iść dalej. Nie pozwolono im również się wycofać, musieli zostać na miejscu. Po jakimś czasie zjawiał się kapitan z grupą dwustu Indian i poprosił, żeby poszli za nimi, chociaż nie obiecał, że zobaczą Inkę. Diego zrozumiał, że chronią swojego króla przed zasadzką, nauczeni przykrym doświadczeniem poprzednich lat, kiedy Pizarro kazał zabić Atahualpę, a Manco Cápac został zasztytowany przez Hiszpanów. Może są dzicy i nieokrzesani, ale nie da się ukryć, że mają dobrą pamięć.

Acuña pisał, że w drodze do Vilcabamby rozpętała się gwałtowna nawałnica, która dodatkowo utrudniła im przemarsz, zamieniając w błoto nieliczne ścieżki. Deszcz lał się strumieniami, a grzmoty odbijały się echem po wąwozach i wracały ze wzmożoną siłą.

Kiedy dotarli do celu, wyszedł im na spotkanie jeden z doradców Inki i kazał, żeby rozbili obóz i poczekał na decyzję w sprawie audiencji. Tymczasem burza ustała i zaświeciło słońce. Z rozrzedzającej się mgły wyłoniły się najpierw wierzchołki gór, a po chwili nowa stolica Inków ukazała się w pełnym blasku. Miasto rozłożyło się na dwóch grzbietach górskich, o zboczach przechodzących łagodnie w tarasy, schody i esplanady, wśród których widniały świątynie, pałace, domy i szopy, wyglądające bardzo majestatycznie w tej scenerii zdominowanej przez dumną przyrodę. Z jednej

strony strzegły go potężne fortyfikacje nad niedostępną przepaścią z szumiącą w dole rzeką o wodach wezbranych od niedawnej ulewy. Z drugiej zaś otwierało się na żyzną dolinę pokrytą bujną roślinnością prześwitującą poprzez strzępy mgły i dalej przechodziło w gęstą dżunglę o intensywnie szmaragdowym odcieniu. Widok ten zachęcał do odpoczynku nawet rwących się do walki żołnierzy.

Hiszpanów rozleniwiło to oczekiwanie. Diego dla zabicia czasu grał w szachy z dowódcą eskorty. Żołnierz ten wyróżniał się długoletnią służbą i wielkim zarozumiałstwem, był zaufanym człowiekiem Martina de Loyoli, który postawił go na czele oddziału, żeby zrekompensować swój brak doświadczenia. Ten weteran miał tak wielkie mniemanie o sobie, że odmawiał podpisywania się własnym nazwiskiem i samowolnie dodawał drugi człon: De la Entrada, ponieważ był jednym ze stu siedemdziesięciu kilku, którzy zadręczyli na śmierć Atahualpę w Cajamarce. Od czasu tego historycznego wydarzenia uważał się za nowego arystokratę i biada temu, kto śmiałby to podważyć. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał zbyt groźnie. Był chudy, szorstki w obyciu i nieprzewidywalny. Bano się jego porywów gniewu.

Zdarzyło się, że podczas jednej partii Diego niechcący dotknął swojej wieży, choć wcale nie miał zamiaru wykonać nią ruchu. Przeciwnik ani myślał mu uwierzyć i natychmiast zastosował zasadę „nie ma cofania ruchów”. Pobił mu wieżę koniem i zrzucił na ziemię jednym machnięciem ręki. Acuña podniósł figurę i umieścił na szachownicy tam, gdzie stała, a jednocześnie cofnął konia przeciwnika na poprzednią pozycję.

Oczy weterana błysnęły furią. Niby od niechcenia przesunął ręką w dół, ale było jasne, że sięga po sztylet. Diego wiedział, czym to grozi. Oficer znany był z tego, że kiedyś przygwoździł nożem do stołu dłoń partnera do gry w kości, ponieważ podejrzewał go o oszukiwanie.

Diego też przesunął prawą dłoń do miejsca, gdzie trzymał swój sztylet, pogłaskał ręką i przez moment obaj patrzyli na siebie w napięciu,

dotykając stali i czekając, który z nich jako pierwszy zrobi fałszywy krok.

Wreszcie oficer chwycił wieżę i rzucił ją tak silnie, że przeleciała nad wysokim murem na drugą stronę. Dobrze wiedział, co robi. Indianie uprzedzili, że ten mur stanowi granicę, której Hiszpanom nie wolno przekroczyć pod żadnym pozorem.

– A widzisz? Jednak straciłeś wieżę – powiedział. – Zobaczymy, na co mu się przyda ten jego talizman – dodał, zwracając się do kolegów, którzy niepewnie spoglądali na Diega.

Acuña był spokojnym człowiekiem, ale nie z tych, co dadzą sobie w kaszę dmuchać. Urażony do żywego postanowił odzyskać wieżę, nawet gdyby musiał skakać przez mur.

Początkowo myślał, że zdoła się wspiąć po tej ścianie za pomocą sztyletów, jak to zazwyczaj robił. Wyjął dagę i zapytał, czy ktoś nie pożyczyłby mu drugiej do pary. Ale nie było jak wbić ostrza w ten mur. Szpilki by nie wcisnął między wygładzone i starannie dopasowane bez żadnej zaprawy kamienie.

Szedł wzdłuż muru, wypatrując najmniejszej szpary, i nie zauważył, że oddala się od grupy. A ponieważ nie znajdował, oddalał się coraz bardziej. Chciał przynajmniej sprawdzić, gdzie kończy się ta niedostępna ściana. I czy znajdzie jakiś sposób, żeby przedostać się na drugą stronę. Wołania towarzyszy słabły, aż zupełnie ustały i stracił ich z oczu.

Wspinał się teraz pod górę, cały czas trzymając się muru. I dotarł do wąskiej ścieżki w połowie zbocza, która prowadziła do przełęczy pośród głazów i bloków kamiennych poukładanych na ściętych wysoko drzewach. Cztery wieże obronne wieńczyły mur w tym miejscu. Budziły respekt. Zauważył, że kamienie leżą na platformach poruszanych dźwignią i wystarczyłby jeden ruch, aby odeprzeć szturm na cytadelę od strony wąwozu.

Znalazł się w miejscu porośniętym niedużym lasem. Jedno drzewo leżało oparte konarami o mur. Prawdopodobnie przewróciło się wskutek wczorajszej burzy. Tłumaczowi nie trzeba było więcej. Wdrapał się na pień i czołgał się po tych zaimprovizowanych schodach prowadzących prosto

na szczyt muru. Wciąż zaślepiiony gniewem nie zauważył dziupli w drzewie. Poczul, że coś lepkiego klei mu się do koszuli. To był miód. Zanim zdążył pomyśleć, otoczył go rój wściekłych pszczół.

Ze szczytu muru dostrzegł w dole, w pewnej odległości, zbiornik z dymiącą wodą. U podnoża muru rosły gęste krzaki, które złagodzą wstrząs upadku. Nie zastanawiając się dłużej, skoczył. Nic mu się nie stało, ale pszczoły uwięzione w fałdach ubrania wciąż atakowały bezlitośnie.

Podniósł się i pobiegł do stawu. Prawie nic nie widział z bólu po ukłuciach pszczół i wskutek oparów unoszących się nad wodą. Nie próbował nawet ocenić głębokości. Skoczył bez namysłu.

Nie poczul żadnej ulgi, bo pszczoły atakowały nadal. Było gorzej – ktoś im w tym pomagał. Ledwie wychylił się na powierzchnię, otrzymał cios w głowę. Na tyle silny, że znów pogrążył się w tym gęstym, duszącym płynie, który wdzierał mu się do płuc przy każdym oddechu. Utonąłby, gdyby nie ratunek...

* * *

Sebastián de Fonseca wzdrygnął się, słysząc, że zegar wybija godzinę kolacji.

– Muszę wracać – powiedział do Uminy i prawie mechanicznie zamknął *Kronikę*, żeby schować ją do ceratowej torby, którą trzymał na piersi pod ubraniem.

– Rozumiem, że musi pan już iść – odparła Metyska. – Ale to zostaje tutaj – dodała, pokazując na książkę. I widząc, że inżynier, zaskoczony, zmarszczył brew, gotów zaprotestować, powiedziała z naciskiem: – Chyba nie zapomniał pan o naszej umowie?

To zakrawało na szantaż. Niemniej ona miała rację. Fonseca zobowiązał się, że *Kronika* zostanie u niej jako zastaw za jej dyskrecję.

Wręczył jej książkę. Kiedy oddalał się dumnie, zadowolony, że dotrzymał słowa, usłyszał za plecami dźwięczny głos dziewczyny mówiący na pożegnanie:

– Jeśli chce pan poznać ciąg dalszy, proszę tu przyjść. Zna pan drogę.

Qaytu otworzył mu luk do magazynu artyleryjskiego, skąd mógł się przedostać na pokład bojowy.

Zbliżając się do dziobu, słyszał coraz wyraźniej harmider marynarzy, którzy ustawiali się w kolejce do kuchni.

Przystanął przy drzwiach, za którymi zaczynała się część dziobowa, i zastanowił się, czy to dobrze pojawić się tak blisko spiżarni w porze, gdy wszyscy są na kolacji. Słyszał wołania roznoszących potrawy dyżurnych. Przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że najpierw musi zrobić szparę w drzwiach i zbadać sytuację.

Zobaczył kolejkę do kuchni. Nie mógł zatem odsunąć drzwi i wejść jak gdyby nigdy nic. Ale jeśli tego nie zrobi, zauważą jego nieobecność, będą go szukać i dopiero zaczną się kłopoty. Jak z tego wybrnąć?

Czekał już dłuższą chwilę, każda minuta dłużyła się w nieskończoność, aż wreszcie ujrzał dwie znajome sylwetki. Cieśla Hermógenes i chłopiec okrętowy Miguel przyszedli po swoje porcje. Z tempa posuwania się kolejki wywnioskował, że za kilka minut ci dwaj znajdą się przy drewnianej ladzie z sucharami, dość blisko wejścia na pokład bojowy, gdzie właśnie się znajdował.

Zaczekał, aż Hermógenes zbliży się na tyle, że będzie w zasięgu jego ręki, odsunął trochę bardziej drzwi i pociągnął go za drewnianą protezę.

Cieśla wzdrygnął się, ale spojrzawszy pod nogi, od razu zorientował się w sytuacji. Celowo upuścił suchary, które trzymał w ręku, schylił się, żeby je pozbierać, i szepnął w stronę Sebastiana:

– Przyślę panu Miguelita. Niech pan zaczeka.

Trochę to jeszcze potrwało, bo chłopak nie mógł mu pomóc, dopóki kręciło się tu dużo ludzi. Wreszcie dał mu znak, że droga wolna, i czatował przy schodach, kiedy Sebastián wyłaził z dziury. Razem poszli do kuchni po swoje porcje i usiedli przy stole. Cieśla puścił do niego porozumiewawczo oko.

Udało się, odetchnął z ulgą Sebastián.

Radość ustąpiła miejsca zmartwieniu, kiedy znalazł się przy koi do spania. Zajrzał do swoich rzeczy i zobaczył, że ktoś grzebał w worku. Co prawda wszystko było poukładane jak należy, ale worek był inaczej zamknięty. Nie na węzeł workowy, którego nauczył się od Hermógenesesa, tylko na zwykły węzeł płaski.

Umina ma rację – pomyślał. – *Kronika* będzie bezpieczniejsza u niej. Gdybym zostawił ją w worku albo nosił pod ubraniem, mogliby mi ją ukraść.

W nocy, kiedy wszyscy spali, przygarbiona postać skradała się między hamakami. Nie był to żaden marynarz, któremu zachciało się do latryny. Ten ktoś nie kierował się do schodów, tylko w drugą stronę, tam, gdzie spał inżynier. W słabym blasku lampy przy schodach można było zobaczyć, że trzyma w ręku sznur.

Mężczyzna poruszał się ostrożnie, starając się nie robić hałasu, żeby nikogo nie obudzić. A kiedy znalazł się koło Fonseki, podniósł się z podłogi, chwycił mocno sznur w obie ręce i pochylił się nad nim, żeby go udusić.

30 Sytuacja bez wyjścia

Sebastián spał wyciągnięty na koi. Położył się bez koszuli, bo było bardzo gorąco. Piersi i szyję miał odkryte. Mężczyzna zrobił pętlę ze sznura, naprężył, przytrzymał za oba końce i rzucił się na niego.

Zanim go dopadł, inżynier podniósł ostre dłuto ciesielskie, które zabrał z magazynu Hermógenesisa i nie rozstawał się z nim nawet w czasie snu. Wycelował i mocnym, precyzyjnym ruchem wbił je w lewe ramię napastnika. Usłyszał powstrzymywany jęk bólu. Uderzenie było tak silne, że mężczyzna zatoczył się na drewniane przepierzenie, które odgradzało ich od dziobu.

Rumor obudził innych marynarzy. Nie zważając na nic, Fonseca wyskoczył niezgrabnie ze swego hamaka, żeby dopaść napastnika. Ten wycofywał się błyskawicznie w stronę otwartego luku bosmana. Z pewnością tędy przyszedł i chciał wrócić tą samą drogą.

Fonseca próbował za nim biec. Ale wróg był już na dolnym pokładzie i zamykał za sobą właz.

Oczywiście wszystko zaplanowane, pomyślał Sebastián, waląc z bezsilną wściekłością w klapę.

- Co tam się dzieje? – zapytał jeden z marynarzy.
- Nic – odpowiedział przepraszającym tonem. – Miałem koszmarne sen i spadłem z koi.

Lepiej nic nie mówić i zostawić rzeczy tak, jak są. Teraz jego przeciwnik nosi znamię, którego nie zdoła ukryć.

* * *

Nazajutrz rano wypatrywał człowieka z raną na lewym ramieniu. Przez cały dzień rozglądał się uważnie i nic. Ani śladu.

Co to wszystko znaczy, pomyślał zdziwiony.

Niewykluczone, że ten mężczyzna przebywa w części rufowej poza granicą grotmasztu, której jemu nie wolno przekraczać.

W pierwszej chwili chciał powiadomić o tym zdarzeniu kapitana Valdésa, ale po namyśle zrezygnował. Nie był pewien, po czyjej stronie opowie się kapitan, a im mniej będzie mu sprawiał kłopotów swym zachowaniem na pokładzie, tym lepiej. Sprawa zaczynała przyjmować bardzo niepokojący obrót.

Muszę porozmawiać z Uminą i ostrzec ją, postanowił.

Jego ojciec został zamordowany po tym, jak się z nią spotkał. To samo próbują zrobić z nim.

Komuś bardzo nie odpowiada, żeby Fonsecaowie kontaktowali się z tą Metyską, przemknęło mu przez myśl.

Czyżby się obawiano, że dojdzie do nowego paktu między potomkami królewskiego rodu Inków i rodziny uważanej za zwolenników jezuitów?

A może poszukują *Kroniki*? Co takiego jest w tej książce, że stwarza tyle problemów? Musi zobaczyć się z Uminą.

Dotąd jeszcze nie korzystał z pokładu bojowego za dnia. Miał świadomość, że to ryzykowne, zwłaszcza rano, gdy jest najwięcej pracy i zamieszania na całym statku i nie można wtedy liczyć na pomoc Hermógenes, bo cieśla jest bardzo zajęty.

Mimo wszystko zrobił to. Popęłił tę nieostrożność.

Zszedł na dolny pokład, rozglądając się na wszystkie strony, przedostał się do pasażu bojowego i, przyciśnięty do ściany kadłuba, przebiegł do magazynu artyleryjskiego w części rufowej. Tam wspiął się i zapukał w kłapę, żeby Qaytu mu otworzył.

Kiedy zdziwiony Indianin zaprowadził go do kajuty Uminy, Fonseca pokrótce zrelacjonował jej wydarzenia minionej nocy i poprosił, żeby opowiedziała mu dalszy ciąg *Kroniki*. Była bardziej zaawansowana w lekturze niż on, więc podjęła wątek w tym samym miejscu, gdzie poprzednio skończyli.

* * *

Diego de Acuña dalej opisywał, co zdarzyło się w stawie, do którego skoczył, uciekając przed rojem pszczoł, lecz zamiast ulgi otrzymał parę ciosów w głowę. Nawet ta ciepła woda sprzymierzyła się z pszczołami.

Utopiłby się, gdyby ciosy nagle nie ustały. Ktoś wyciągnął go z wody.

Nie wierzył własnym oczom. Tym napastnikiem była Sirax, młoda Indianka uratowana przez niego z rąk żołdaków, której szukał przez tyle miesięcy w Cuzco. Poczęta w ukryciu córka Manca Cápaca i Quispi Quipu.

Zaskoczył ją podczas kąpieli. I oto stała przed nim niczym zjawa piękna dziewczyna z twarzą okoloną długimi czarnymi włosami. Poczucie nierealności wzmacniały użądlenia pszczoł i tępy ból głowy zmieszany z oszołomieniem.

Dziewczyna trzymała w dłoni zwierciadło z obsydianu w srebrnej oprawie, którym przed chwilą waliła go po głowie. W drugiej ręce miała czerwone kipu noszone przez Diega na szyi od czasu, gdy ona je zgubiła, uciekając przed Hiszpanami. Teraz to kipu uratowało mu życie.

Dziewczyna błyskawicznie zorientowała się w sytuacji.

– Rozbieraj się! – nakazała.

A widząc jego wahanie, dorzuciła czym prędzej:

– Pospiesz się! Rzuć ubranie jak najdalej od siebie. Chyba nie chcesz, żeby pszczoły podziurawiły cię jak sito!

Zdjął koszulę, odrzucił ją na trawę, a rój natychmiast odleciał.

Popatrzył na dziewczynę takim wzrokiem, jakby uczestniczył w akcie magii. Nagle oboje poczuli się skrępowani tą niespodziewaną intymnością kąpieli.

Sirax powiedziała tylko:

– Królowa roju zaplątała ci się w koszuli. Chodź, natrę cię błotem. To

pomaga na uządlenia.

Diego poddał się jej dłoniom, bąkając:

– Nie wiedziałem, że tam są pszczoły. Nie zauważyłem... – Tłumacz szukał w pamięci odpowiednika słowa „ul” w języku keczua, ale nie mógł sobie przypomnieć, więc powiedział: – Nie zauważyłem tego domu dla pszczół.

– Dom dla pszczół? – roześmiała się. – Czemu nie? Jedne żyją w dziuplach drzew, inne w rozpadlinach skalnych... Radzą sobie, jak mogą.

– Nie oswajacie ich?

– Żyją na wolności. Jeśli będziesz uważał, żeby nie rozdrażnić królowej, to nic ci nie zrobią i nawet pozwolą wybrać miód – powiedziała ze znaczącym uśmiechem.

Podczas gdy Sírax nakładała mu błoto na miejsca po uządleniach, Diego podziwiał kąpielisko termalne. Rozległy staw wyłożony dużymi płytami miał z jednej strony wyjście na taras otoczony kamiennym murem z otworami w kształcie trapezu. Z drugiej przylegał do masywnej skały, z której zwisały lilie Inków. A z wydrążonych w skale otworów tryskała strumieniami gorąca woda. Dokoła unosiły się opary zmieszane z duszącym zapachem kwiatów.

Diego spytał ją, co tutaj robi. Odpowiedziała, że przyprowadzili ją tu Indianie, których widział owej nocy w Cuzco. W Vilcabambie zobaczyła na własne oczy to, czemu wcześniej nie chciała dać wiary, a mianowicie: drugi syn Maca Cápaca Tito Cusi umarł, a tron po nim objął Túpac Amaru. To on wezwał ją do siebie.

Kiedy Diego zapytał o nowego Inkę, Sírax poinformowała go, że różni się, i to bardzo, od wojowniczych generałów i fanatycznych kapłanów, którzy go otaczają. Dostał ich w spadku po swoim poprzedniku. On sam ma pokojowe usposobienie, ale nie zamierza opuścić tych skalistych wertepów, żeby nie stracić swej godności. To dzielny wojownik, cierpliwy i bardzo oddany sprawie – prawdziwy księżę inkaski, od dziecka przygotowywany na króla. Tylko on może uratować resztki imperium i uczynić je

na powrót takim, jakie było przed przybyciem Hiszpanów. Dobrze ich zna, więc w ich obecności nie czuje zachwyty ani onieśmielenia. Nie zamierza przyjąć zwyczajów najeźdźcy za cenę rezygnacji z własnych. Długo się zastanawiał, zanim chwycił za broń. Ale jak już raz coś postanowi, to działa z determinacją, póki nie osiągnie celu.

Z kolei Acuña musiał opowiedzieć, co wydarzyło się w Cuzco podczas jej nieobecności. Dziewczyna wiedziała o śmierci swej matki Quispi Quipu i o przykrościach, jakie spotkały ją pod koniec życia. Nie mogła powstrzymać łkań, kiedy mówił jej o swych rozmowach ze staruszką po eksmisji z Domu Wężów. Diego wyszedł z wody i szukał, czym by tu przykryć dziewczynę w tej bolesnej chwili. Wziął pierwsze, co znalazł, a była to tkanina wyjątkowo cienka i delikatna.

Sírax poprosiła, żeby nie dotykał tej szaty i odłożył ją na miejsce.

– Nikt jej nie może włożyć oprócz Inki – wyjaśniła. – Dla niego ją utkałam.

– Pierwszy raz widzę coś tak niezwykłego. Z czego to zrobione?

– Z sierści nietoperza.

– Niemożliwe! – zawołał tłumacz. – Musiało ich być bardzo dużo!

– Tu niedaleko jest jaskinia pełna nietoperzy – pokazała na górę wznoszącą się nad tarasem.

Owinęła się ręcznikiem i powiedziała:

– Musisz zniknąć. Zaraz przyjdą po tę szatę. Nie mogą cię tu zobaczyć.

Diego sięgnął po swoją koszulę, w której nie było już żadnej pszczoły.

Dziewczyna wzięła materiał między palce i zapytała:

– Kto to utkał?

– Moja matka.

– Ja też tak umiem. Hiszpańskie kobiety tkają tak samo jak my.

Powiedziała to nie bez zdziwienia, jak ktoś, kto nagle odkrywa, że istnieją takie same cechy, pasje i wspólny, uniwersalny język tam, gdzie najmniej można by się spodziewać.

– Gdzie są twoi rodacy i jak się tu znalazłeś? – zainteresowała się dziewczyna.

– Szedłem wzdłuż muru obronnego.

– Widziałeś wieże?

– Tak. Ale przeskoczyłem przez mur trochę wcześniej. Skorzystałem z przewróconego drzewa.

– A więc widziałeś platformy z głazami i te wielkie bloki kamienne, które strzegą urwiska. To niedobrze. Nikt obcy nie może się o tym dowiedzieć. Ani o tym, że powiedziałam ci o śmierci Tita Cusiego i objęciu tronu przez Túpaca Amaru. Obiecuj, że nic nie powiesz swoim towarzyszom. A ja przysięgam, że moi nie dowiedzą się, że tu byłeś. W przeciwnym razie nie wyszedłbyś stąd cało. Wszyscy zostalibyście zabici.

– Obiecuję – powiedział Diego uroczyście.

– Przysięgnij na to czerwone kipu, które tyle dla nas znaczy.

Diego nie wiedział, kogo ma na myśli, mówiąc „dla nas”: Inków czy też ich dwoje. Ale przysięgł, kładąc dłoń na tych sznurkach z węzłkami.

Pokazała mu, którędy powinien wracać, żeby uniknąć niebezpieczeństw:

– Musisz wejść na szczyt i poszukać ścieżki, która biegnie w dół po stoku z drugiej strony. Dojdiesz nią do przełęczy w kształcie półksiężyca. Jest tam jaskinia, ale omiń ją, bo zawiera wielkie niebezpieczeństwo. Jednak gdybyś musiał do niej wejść, trzymaj się tylko tych miejsc, gdzie są nietoperze. Tylko te przejścia są bezpieczne.

Dziewczyna przycisnęła do piersi czerwone kipu, które, jak się zdaje, wiele dla niej znaczyło.

– Dziękuję, że mi je oddałeś – powiedziała na pożegnanie.

Diego wspiął się na szczyt gór i zaczął schodzić po stoku z drugiej strony. Wydawało mu się, że dostrzega w oddali przełęcz, która przecina górę na kształt półksiężyca. Ale pomylił ścieżki i zabłądził. Wkrótce potem wpadł na kilku wartowników indiańskich, którzy rzucili się na niego i związali mu ręce w łokciach.

Kiedy go prowadzili do cytadeli, zrozumiał powagę sytuacji. Nie trzeba być żołnierzem, aby wiedzieć, że złamał wszystkie możliwe zakazy mające uniemożliwić Hiszpanom rozpoznanie planu miasta. Narobił sobie kłopotów. Teraz nawet jego towarzysze nie ujmą się za nim, żeby nie wypaść na współników kogoś, kto zrobił wszystko, aby uznano go za szpiega.

Dotarli do twierdzy nad niedostępną przepaścią, której dno wyżłobione przez rzekę tworzyło długi kanion. Weszli na plac tak przestronny, że swobodnie biegały po nim zabrane Hiszpanom konie. Zdziwił się, że Indianie są dobrymi jeźdźcami.

W drodze do pałacu, który wznosił się nad esplanadą, mijali setki wojowników. Niektórzy podchodzili do Diega, grozili mu, nazywali brodaczem, złodziejem i tchórzem. Mówili, że zabiją go na miejscu, i dotykali go dzidami w taki sposób, że czuł ich ostrze pod żebrami. Szydzili, że zjedzą go na surowo, i pokazywali siedem głów hiszpańskich zatkniętych na pale. Należały do morderców Manca Cápaca.

Jeden z groźnie wyglądających wodzów przystrojony w błyszczące pióra i srebrne ozdoby wymachiwał bębenkiem wojennym zrobionym ze skóry wroga. Na spodzie plecy, na wierzchu brzuch, po bokach głowa, nogi i ręce, wszystko wysuszone i spreparowane.

Po tak zachęcającym powitaniu wprowadzono go do pałacu. Piękna budowla przykryta była plecioną strzechą. Wchodząc przez główne wejście, podziwiał rzeźbione drzwi z pachnącego cedru i salon udekorowany malowidłami. Nie spodziewał się po dzikusach tak dobrego smaku.

Zostawiono go pośrodku sali. Zaległo pełne napięcia milczenie. Z zewnątrz dobiegały wesołe krzyki dzieci i śpiew ptaków, a w rzadkich chwilach spokoju słychać było groźny pomruk dżungli, niczym akompaniament dla jego udręczonych myśli. Przed sobą miał podium przykryte baldachimem i królewski sztandar. Na podłodze leżały dywany z sierści lamy. Obok podium, na honorowym miejscu, znajdował się idol ze złota. Diego domyślił się, że to PUNCHAO, najcenniejsza relikwia imperium, która zawiera proch z serc wszystkich inkaskich władców. PUNCHAO jako tarcza

ochronna i główna wyrocznia Vilcabamby. Dopóki jest w rękach Inków, dopóty są panami swego losu.

Po dłuższej chwili wyszedł Túpac Amaru. Nie miał jeszcze trzydziestu lat. Był silny i zgrabny, o szlachetnych rysach twarzy, spojrzeniu szczerym i otwartym. Wyglądał imponująco. Płatki uszu miał mocno poprzekłuwane. Ubrany był w diadem, naszyjnik i kiras, a czoło zdobiła gruba frędzla *mascaipacha*, symbol jego władzy. Koszula była tak delikatna i błyszcząca, że Diego nie potrafił rozpoznać, z czego jest zrobiona. Dopiero potem zorientował się, że to Sírax utkała ją z sierści nietoperza. U pasa, na purpurowym fartuchu, wisiał nóż bogato zdobiony klejnotami. Kolana władcy były przewiązane różnokolorowymi wstążkami, na kostkach dzwoniły srebrne dzwoneczki. Na piersi wisiał złoty dysk przedstawiający słońce. Uzupełnieniem tych królewskich atrybutów była pierzasta laska i złota maczuga.

Inka zapytał, skąd się tu wziął ten Hiszpan. Odpowiedział jeden z generałów, że przyłapali go w miejscu, gdzie posłom wicekróla nie wolno było wchodzić, o czym dobrze wiedzieli. To na pewno ich szpieg i nie powinien wyjść stąd żywy.

Podobnego zdania był *villacumu*, czyli najwyższy kapłan, a jednocześnie najważniejsza osoba po Ince, na którego zdawał się mieć duży wpływ. Aby rozwiać wątpliwości, przypomniał, jak zostali potraktowani hiszpańscy mnisi, gdy przyszli ich ochrzcić, i do czego posłużyły Indianom kościelne kielichy i ornaty. Jako przykład pokazał woreczki na kokę z kawałków materiału, na których widać było wyhaftowane krzyże.

W zachowaniu Inki uderzała powściągliwość i bezstronność. Zapytał, czy są inne dowody. Nikt nie odpowiedział. Już miał wydać werdykt, kiedy za jego plecami rozległ się głos, który Diego od razu rozpoznał.

– To nie szpieg, tylko tłumacz. Doskonale włada naszym językiem. Sami możecie się przekonać. Uratował mnie w Cuzco i dzięki niemu odzyskałam to.

Sírax (bo to była ona) pokazywała na czerwone kipu. Podniosła rękę do góry i powiedziała:

– Nie można zabić kogoś, kto przybył z takim glejtem. Dobrze wiem, jak on się tu dostał. Byłam wtedy na pałacowym tarasie zajęta tkaniem. Pokazał mi to kipu. Sama otworzyłam mu bramę, żeby wziąć je od niego. To nie jest wróg, tylko ktoś, kto wyświadczył nam wielką przysługę.

Dały się słyszeć okrzyki protestu. Wszyscy czekali, żeby zobaczyć, czy-
je świadectwo jest dla Inki ważniejsze: siostry czy najwyższego kapłana.

Túpac Amaru podniósł do góry dłoń, zarządzając ciszę.

– Sírax ma rację – oznajmił. – Jeśli on uratował ją przed żołnierzami i przyniósł *Yahuar quipu*, nie zasługuje na złe traktowanie. Nakazuję go uwolnić – zawyrokował. – Ale musimy być ostrożni, jak zaleca nasz kapłan. Dlatego nie przyjmujemy posłów wicekróla, którzy czekają za murami.

Ten Inka to drugi Salomon, pomyślał Diego, spoglądając w górę, żeby pożegnać się z Sírax, ale jej nie zobaczył.

Spotkał ją dopiero przy wyjściu z pałacu, kiedy wyprowadzano go poza obręb murów do hiszpańskiego obozowiska. Pragnął zatrzymać w pamięci wdzięczną postać młodej, pięknej jak sen Indianki, z twarzą otoczoną burzą czarnych włosów.

Czy zobaczę ją jeszcze kiedyś? – zastanawiał się.

Ich spotkania były dotąd krótkie jak błyskawica, naładowane niepokojem. Te ulotne, choć burzliwe chwile muszą wystarczyć tłumaczowi na długie miesiące, bo bez niej nie wyobrażał już sobie życia.

Był mocno poruszony z powodu tego kipu, które zdawało się tak wiele znaczyć dla tych ludzi. Ale także dla niego i dla młodej Indianki, których los związał ze sobą nierozdzielnie...

* * *

– Jakże inaczej brzmi to wszystko w pani ustach! – przyznał Sebastián.

– To efekt wódki, którą pan wypił – uśmiechnęła się Umina.

Słowa Sebastiána nie były pustym komplementem. Dzięki Metysce *Kronika* z opisem dawnego, zapomnianego świata przedstawiała być martwą literą. Krajobrazy i zwyczaje sprzed wieków nabierały życia, na nowo zaczynały tętnić ludzkim gwarem.

Tak oto podczas kolejnych spotkań poznawali historię Sírax i Diega de Acuñi.

Aż pewnego dnia, kiedy skończyli czytać i Sebastián musiał wracać do siebie, Umina powiedziała;

– Wiem od kapitana Valdésa, że zbliżamy się do Morza Karaibskiego, a tam często można spotkać wrogie okręty, piratów i korsarzy. Kapitan poprosił, żebyśmy zwolnili z Qaytu część pomieszczenia, bo chce z powrotem wstawić działa, które specjalnie dla nas usunęli z rufy, żebyśmy mogli wykorzystywać otwory strzelnicze jako okna. Mówię panu o tym, żeby był pan ostrożny.

Fonseca się pożegnał i skierował jak zwykle na pokład bojowy. Bez kłopotów dotarł na drugi koniec okrętu, idąc tą drogą na skróty. Ale nie mógł wyjść.

Przekłęte drzwi! Chyba się zacięły, powiedział do siebie, zaciskając zęby i ciągnąc obiema rękami za uchwyty.

Choć bardzo się starał, drzwi nawet nie drgnęły.

Ktoś musiał je zaryglować z drugiej strony, pomyślał.

Poczuł się jak w pułapce.

Zrozumiał, że traci tylko cenny czas, i przestał się szarpać z drzwiami. Postanowił wrócić na rufę i poprosić Uminę o pomoc, żeby mógł skorzystać z innego przejścia.

Pobiegł wąskim pasażem tak szybko, jak mu pozwalała niewygodna pozycja: zgięty wpół uważał, by nie uderzyć głową w poprzeczne belki sufitu i nie potknąć się o przeszkody leżące na podłodze.

Oby nie było za późno, przemknęło mu przez myśl.

Jeśli wróg go śledzi, musi dotrzeć do wjazdu wcześniej niż on.

Kiedy wreszcie znalazł się przy magazynie bosmana sztabowego położonym na linii zanurzenia, obok rufy, był mokry od potu i serce waliło mu w piersi.

Wziął głęboki oddech i zaczął się wspinać po wystających belkach stepki, które służyły mu za stopnie.

Na górze naprężył się, żeby wypchnąć na zewnątrz klapę, którą miał nad głową. Nie dawał rady.

Zebrał się w sobie i spróbował od nowa.

Musiał ustąpić wobec oczywistej prawdy: klapa była zablokowana.

Nie mógł wyjść ani z jednej, ani z drugiej strony. Z pewnością komuś na tym zależało.

Wciągnięto mnie w zasadzkę, pomyślał.

31 Sztorm

Sebastián usiłował odtworzyć to, co się wydarzyło: fakt, że Qaytu mu nie otworzył, nie znaczył, iż Umina go zdradziła. W to trudno mu było uwierzyć. Wiedział, że w przypadku alarmu Metyska i jej opiekun mieli schronić się w kajucie i w niewielkiej przestrzeni pomocniczej, pozostawiając wolny środek statku, aby można było zamontować działa chroniące rudel od sterburty. A jak ona sama mu przypomniała, właśnie dopływali do owych niespokojnych wód Morza Karaibskiego, żeby potem dotrzeć do stałego lądu w Panamie, gdzie niepożądane spotkania nie były rzadkością. To wyjaśniało, dlaczego Qaytu musiał opuścić miejsce, w którym zwykle przebywał, czuwając. A teraz nikt nie mógł otworzyć mu luku.

Wobec tego kto zamknął z drugiej strony drzwi przesuwne wychodzące na pokład bojowy od strony dziobu? Może było to wynikiem dodatkowej ostrożności, środkiem bezpieczeństwa na wypadek alarmu bojowego. Ale wyglądało to raczej na zasadzkę, którą na niego zastawiono, korzystając z tego, że Umina i Qaytu musieli się schronić w bardziej ograniczonej przestrzeni, tej, która znajdowała się po drugiej stronie przegrody dzielącej kajutę kapelana. Jeśli tak było, wkrótce mieli po niego przyjść.

Z tych rozmyślań wyrwało go bicie dzwonu wzywającego na posiłek. Była to chwila, kiedy Miguelito zanosił zwykle tacę Uminie i Qaytu, na krótko przed tym, gdy zbierały się grupy członków załogi posilających

się wspólnie. Paż powinien nadejść lada chwila. I musiał zapukać do drzwi w przegrodzie, żeby Qaytu mu otworzył. Ale ten nie mógł go usłyszeć, podobnie jak wcześniej nie mógł odpowiedzieć na jego wołania. Wówczas, nie spotykając Indianina, paż musiał wejść do środka aż do miejsca, gdzie znajdowała się kłapa, pod którą teraz znajdował się on. Dokładnie w owej chwili, ani wcześniej, ani później, musiał zwrócić jego uwagę. Była to jedyna szansa.

Czekał napięty i skoncentrowany. Usiłował rozróżnić drobne kroki chłopca schodzącego po schodach. Kilkakrotnie wydało mu się, że je słyszy, aż rzeczywiście odczuł ich delikatny odgłos na stopniach i przy wejściu do korytarza. Zdołał usłyszeć pukanie w przegrodę i wysoki głos pazia proszącego, by mu otworzono. Nie usłyszawszy odpowiedzi, Miguel spróbował otworzyć drzwi, które zwykle były zamknięte od środka, kiedy Qaytu ich pilnował. Teraz otworzył je bez trudu.

Inżynier nie zastanawiał się dwa razy i zapukał od dołu w kłapę, aby zwrócić uwagę chłopca.

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Wtedy zdecydował się krzyknąć:

- Miguel, to ja, Sebastián de Fonseca! Słyszysz mnie?
- Słyszę. Co pan tam robi?
- Otwórz luk, zatrzasnąłem się tutaj.

Usłyszał, jak chłopiec szamocze się z lukiem. Ten nie ustępował.

- Co się dzieje, Miguel?
- Jest zawiązany bardzo ścisłym węzłem. Nie mogę go rozsupłać.
- Masz nóż?
- Nie mam przy sobie, proszę pana.
- Czy możesz gdzieś zdobyć?

Ale chłopiec już nie odpowiedział. Na górze rozległy się jakieś głosy. Nadstawił ucha. Potem usłyszał krzyki pazia.

– Miguel! Co się tam dzieje? – zawołał Sebastián. Usłyszał jakieś nowe dźwięki, których nie zdołał rozpoznać. Potem poczuł, że ktoś mocuje się z kłapą, aż wreszcie ta się podniosła.

Przed jego twarzą pojawiła się latarnia, oślepiając go. I zanim zdołał cokolwiek dostrzec, na jego czole oparł się pistolet.

– Wychodź stąd – powiedział ktoś niegrzecznie. Zrozumiał, że nie żartują. Kiedy wychodził spod pokładu i się prostował, spostrzegł bosmana, a za nim uzbrojony patrol. Prawdopodobnie straż zbrojowni.

– Mam nadzieję, że potrafi pan dać kapitanowi jakieś dobre wyjaśnienie – dodał marynarz.

Kiedy jego wzrok przystosował się do tej nowej przestrzeni, pierwszą rzeczą, jaka zwróciła jego uwagę, był węzeł, za którego pomocą zablokowano luk. A natychmiast potem coś, co działo się w głębi, na początku schodów prowadzących na górny pokład. Skierował tam wzrok, starając się uniknąć światła latarni.

– Na co pan patrzy? – zapytał bosman, odwracając się w tamtą stronę.

Sebastiánowi wydało się, że dostrzegł mężczyznę z zabandażowaną lewą ręką. Człowiekowi, który usiłował go udusić, wbił dłuto też w lewą rękę.

Ale nie miał sposobności, żeby dowiedzieć się wiele więcej. Na schodach pojawił się markiz de Montilla. Mężczyzna, który pogrążył się w półmroku, szepnął mu coś do ucha. Śmiertelny wróg Fonseki zwrócił się do bosmana i zdawał się przekazywać mu jakieś instrukcje. Potem tak zbeształ paza, że chłopiec się rozplakał. Na Sebastiána nawet nie raczył spojrzeć. Ograniczył się do wskazania go swoim strażnikom i rozkazania im:

– A tego zaprowadźcie do sali obrad.

Oburzyło go, że markiz traktuje załogę tak, jakby miał na okręcie jakąś władzę. I podczas gdy żołnierze prowadzili go na górny pokład, zastanawiał się, co teraz się stanie z Uminą. Czy Montilla wiedział ojej obecności na okręcie? Jaka była rola Metyski w tej całej historii?

Kiedy wchodził po schodach na rufie, dostrzegł niezwykłą krzątanicę. Załoga w pośpiechu ukończyła posiłek, zebrała naczynia, rozebrała stoły, żeby zostawić wolną przestrzeń działom.

Coś się tutaj dzieje, i to coś poważnego, pomyślał Sebastián.

Kiedy znalazł się na pokładzie rufowym, kazano mu wejść do jego górnej części, obszernej, jasnej, wysokiej sali, z oknami nachylonymi do

wewnątrz. Przy stole kapitan Valdés i oficerowie zawzięcie o czymś dyskutowali.

Miguel płakał gorzkimi łzami. Fonseca usiłował go pocieszać, żeby nie pokazał się przed kapitanem w takim stanie. Ale nie udało mu się uwolnić chłopca od przytłaczającego poczucia odpowiedzialności: nigdy go nie ukarano. Był przekonany, że po tej historii nie pozwolą mu zrobić kariery we flocie i jego życie nie będzie już miało sensu.

Valdés podniósł wzrok znad map, a jego towarzysze się odsunęli. Zwrócił pytające spojrzenie na bosmana i na markiza, kiedy ci podeszli do niego, prowadząc inżyniera i pазia.

Montilla podszedł do niego i przez chwilę coś mu mówił, czego Sebastián nie mógł słyszeć.

Potem kapitan wyprostował się i zapytał surowo:

- I cóż ma pan do powiedzenia, panie de Fonseca?
- Chcę tylko zapewnić, że Miguel nie ma z tym wszystkim nic wspólnego... – zaczął.
- Ach, nie? – przerwał mu Montilla. – Chce pan, żebyśmy uwierzyli, że nie był pana współnikiem? Tylko on ma dostęp do tej części rufy.
- To moja sprawa, wyłącznie moja – ciągnął inżynier, nie zwracając uwagi na słowa markiza.

Valdés spojrzał na niego w taki sposób, że można było wyczuć jego szacunek dla Sebastiána, który niepokoił się o chłopca w chwili, gdy sam miał zostać wrzucony do żęzy. Kapitan nie ukrywał też swojego niezadowolonia z ingerencji markiza, jego oskarżeń skierowanych przeciwko pазiowi i sposobu, w jaki to przedstawiał, jakby chodziło o jakiś zorganizowany spisek, by w ten sposób pogorszyć sytuację Sebastiána de Fonseki.

– Jeżeli jest tak, jak pan mówi – argumentował markiz – to dlaczego ten chłopiec został schwytyany w chwili, kiedy usiłował panu pomóc wy dostać się z dolnego pokładu?

– To zbieg okoliczności. Miguel przyszedł tam z posiłkiem...

Zamilkł, widząc spojrzenie kapitana, gdyż zdał sobie sprawę, że nie powinien mówić nic więcej, by nie zdradzić obecności Uminy i Qaytu na

pokładzie. Dostrzegł, że kapitan poczuł ulgę i wdzięczność za jego dyskrecję.

Wtedy wszedł do sali jeden z oficerów na służbie i stając na baczność, zameldował:

– Panie kapitanie, flotylla na widoku.

– Na zawietrznej czy na podwietrznej? – zapytał Valdés.

– Na zawietrznej. Chociaż na podwietrznej sprawy też nie wyglądają dobrze, bo rozwija się tam sztorm.

– Powinien pan zarządzić alarm bojowy i ostrzelać ich z dział – powiedział Montilla.

– To ja tu dowodzę, panie markizie – odparł Valdés wyraźnie zirytowany. I zignorował jego obecność, pytając oficera:

– Czy statki tej flotylli mają jakąś banderę?

– Nie, panie kapitanie.

W tym momencie Valdés przypomniał sobie o tajnych sygnałach, które mu powierzono w poufnej dokumentacji okrętu, i rozkazał wysłać zaszyfrowaną wiadomość:

– Proszę wciągnąć czerwoną flagę na fokmarsreję i biały wimpel na grotmaszt nad banderą. Proszę przyjść natychmiast, kiedy będzie odpowiedź.

– Jaka powinna być?

– Jeżeli to nasi, wciągną biały wimpel na grotmaszt i niebieski na fokmarsreję.

Po chwili oficer wrócił, żeby zameldować:

– Nie odpowiadają.

– Widzi pan? – nalegał Montilla. – Powinien był pan ich ostrzelać.

Valdés zignorował znowu jego impertynenckie słowa i zwrócił się do oficera:

– Upewnijmy się, że nie chodzi tu o jakiś problem związany z widocznością. Proszę spróbować z działami. Niech pan wystrzeli raz na zawietrzną. Jeżeli nie odpowiedzą trzema wystrzałami na podwietrzną w regularnych minutowych odstępach, proszę nakazać alarm bojowy.

Po chwili dał się słyszeć wystrzał z „Áfriki”, natomiast nie nadeszła żadna odpowiedź z flotylli, która szybko się zbliżała.

– Panie kapitanie – rzekł oficer. – Otworzyli klapy strzelnicze i wysunęli działa. I właśnie wciągnęli angielską banderę.

– Jaką mają artylerię?

– Dwadzieścia sześć osiemnastofuntówek na górnym pokładzie, dwadzieścia długich ośmioletówek na pokładzie rufowym i na kasztelu dziobowym i dwie długie dwunastofuntówki po obu stronach bukszprytu.

– To angielskie fregaty, nie ma wątpliwości. Przygotujcie alarm bojowy, ale nie opuszczajcie żagli. Utrzymujemy kurs.

– Panie kapitanie – odrzekł zaniepokojony oficer – popłyniemy prosto w sztorm.

– O to właśnie chodzi.

W tym momencie wystrzał armatni z jednej z nieprzyjacielskich fregat wzniosł pióropusz wody niedaleko od rufy.

– Czy będzie pan uciekał, nie odpowiedziawszy tym fanfaronom? – uczynił mu wyrzut Montilla.

– Niech pan nie lekceważy Anglików, markizie – odparł kapitan. – Są wielkimi marynarzami. Ten wystrzał z odległości bezpośredniego celowania był tylko ostrzeżeniem. I jeżeli nie wykorzystamy sprzyjającego nam wiatru na pełnych żaglach, niedługo znajdziemy się w ich zasięgu.

Valdés dobrze wiedział, że nie było szans w walce z dwiema tak dobrze uzbrojonymi i tak zwrotnymi fregatami. Ich jedyną przewagę nad Anglikami stanowiło to, że „África” mogła płynąć z mniejszym ryzykiem wśród sztormu, który mieli przed sobą. Ich wrogowie mogli stracić więcej i nie ośmieliliby się za nimi podążyć. Poza tym otrzymał rozkaz nie prowadzić walki do czasu wysadzenia na ląd w Panamie pasażerów. Dopiero wówczas miał wykonać drugą część swojej misji polegającą na tropieniu i stawianiu czoła nieprzyjacielskim statkom.

– A co mamy zrobić z nimi? – spytał z rezygnacją bosman, wskazując Sebastiána i Miguela.

– Zamknijcie ich w dolnej sali – rozkazał Valdés.

Miejsce to znajdowało się pod salą obrad. Sebastián usiłował uspokoić Miguelita, który niepokieszony nadal płakał, mamrocząc, że paż od miotły i prochu jak on powinien teraz nosić kartusze z prochem do swojego działą Manolona. Každy oddział nadawał swojej armacie przydomek określający jej charakter, tak jak w przypadku ludzi.

* * *

Wychodząc z sali obrad, Fonseca przekonał się, że Valdés nie był skłonny zwiąć żagli, około trzydziestu, jakimi dysponował okręt, zachowując ich pełną sprawność. Przy pełnych żaglach „África” nabrała szybkości; wyglądała tak majestatycznie, że jej widok wzbudzał szacunek, kiedy pokonywała fale, przecinając je. Tymczasem zawarczały werble i wprowadzano alarm bojowy. Z dołu przyniesiono koje i powięzано je sieciami na górnym pokładzie, żeby wykorzystać to jako parapet dla żołnierzy. Na pokładach rozsypano piasek, by nie były śliskie. Uprzątnięto wszystko, co zbędne, každyemu wskazano jego miejsce, od najwyższych oficerów do ostatniego chłopca okrętowego.

Usunięto to, co torowało swobodny dostęp do zbrojowni. Otworzono klapy działowe, ale tylko w dwóch górnych bateriach, bo morze było bardzo wzburzone i groziło zalaniem otworów strzelniczych pierwszej baterii, ponieważ były zbyt blisko linii wodnej. I zaczęto wydobywać kartusze z prochem i roznosić je do dział według ładowności każdego z nich. Załadowano w nich kule, sprawdzono knoty i cały sprzęt i umieszczono na dziobie kamień szmerglowy do ostrzenia pik, szabel i toporów abordażowych, oficerskich rapierów i bagnatów piechoty.

Kiedy Sebastián i Miguelito dochodzili do głównych schodów „Áfriki”, na okręt spadła mgła, jakby chciała opanować ozagłowanie, tak obfite, że kołysanie stało się przerażające. Chmury uwolniły się od swojego ciężaru, zrzucając na nich grad, który huczał w żaglach i takielunku, bił w pokłady i chłostał twarze pazia i inżyniera. Poczuli ulgę, kiedy weszli na schody przy stermaszcie. Zeszli nimi do dolnej sali, gdzie ich zamknięto pomimo protestów inżyniera, który chciał walczyć i domagał się broni.

Wiatr stawał się coraz silniejszy, a morze coraz bardziej spienione. Nabrało ciemnozielonej matowej barwy jak bluszcz. Okręt torował sobie drogę pośród białych grzbietów ogromnych bałwanów, aby potem spadać gwałtownie w otchłanie otwierające się pod kadłubem, aż trzeszczały wszystkie drewniane elementy. Wielkie kurtyny wody zamiatały od burty do burty pokład, w który waliły porywy nawałnicy rozbijające się o dziobowy kasztel. Przepych gromów i grzmotów był tak wstrząsający, że okręt zdawał się płonąć żywym ogniem.

Był to decydujący moment. Anglicy znajdowali się jeszcze w polu widzenia i tylko utrzymując silną ręką kurs, mogli wydostać się z ich zasięgu. Właśnie wtedy, w swoim więzieniu, Sebastián i Miguelito poczuli silne uderzenie w rufę czegoś, co rozbiło okno dolnej sali i, jak się zdawało, spadło jeszcze niżej.

Wychylili się przez rozbite okno, do którego dochodziły bryzgi największych fal. Ale niczego nie zobaczyli. To, co spowodowało uderzenie, znajdowało się pod nimi.

Zrozumieli znaczenie tego, co się stało, kiedy okręt zaczął schodzić z kursu i z pokładu rufowego rozległy się krzyki:

– Ster nie odpowiada!

Gdy Sebastián się zorientował, było już za późno. Miguel przywiązał linę do nóg stołu, solidnie przymocowanych do podłogi, i opuszczał się przez rozbite okno. Kiedy się wychylił, zobaczył, co paż usiłuje zrobić: odblokować ster unieruchomiony przez czółno z rufy. Ta łódź, zawieszona na tylnych wspornikach, zerwała się z jednej z lin pod wpływem gwałtownego kołysania wywołanego przez sztorm. A ponieważ nadal była uwiązana przez drugą linę, zachowała się jak wahadło, spadając najpierw na okno dolnej sali, a potem klinując się na wysokości linii wodnej. Teraz łańcuch i liny steru trzymały ją uwięzioną pomiędzy jego łopatą a kilem. Tylko po usunięciu tej przeszkody okręt mógł odzyskać sterowność i powrócić na swój kurs. W przeciwnym razie mógł stać się łatwym łupem sztormu i Anglików.

Inżynier zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej to on jest odpowiedzialny za ten wypadek, użył bowiem jednej z lin, aby opuścić się z łodzi do kajuty Uminy. A teraz nie zastanawiał się dwa razy, zanim i on opuścił się po linie, aby ratować Miguela. Kiedy zdołał wyjść poza galerię dolnej sali, która zasłaniała mu widok, zdał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi paziowi. Wykazując się niesłychaną odwagą, chłopiec czekał, aż jakiś ruch okrętu spowoduje obrót steru i uwolni łódź, aby puścić linę, na której ona wisiała. Ale robiąc to, sam zostałby zgnieciony, gdy tylko udałoby mu się uwolnić czółno.

Olbrzymia zielonkawa fala omiotła okręt na całej długości, wznosząc jak pióropusz swój biały grzbiet, ostry jak sztylet. Zaczęło nim jeszcze silniej rzucać, zdawało się, że lada chwila się rozpadnie. Zawisł na szczycie fali, runął w próżnię i podczas gdy marynarze wstrzymywali oddech, spadł na sam dół przepaści, wydając całym swym drewnianym ciałem jęki jak rżenie konającego.

Wykorzystując ten nagły ruch, Miguel zdołał oswobodzić czółno od liny, która je więziła. Łódź spadła, uwalniając ster. Odważny paź osiągnął swój cel. Ale teraz to on był na łasce przechyłów, narażony na niebezpieczeństwo, że zostanie zgnieciony. Silne uderzenie jednego z brązowych zawiasów steru dosięgło głowy chłopca, który zaczął krwawić.

Stracił przytomność i spadłby niechybnie do morza, gdyby w tym momencie nie dotarł do niego Sebastián i mocno go nie uchwycił. Był teraz narażony na taki sam los. Nie mógł wspiąć się po linie. Do tego potrzebował obu rąk. A jedną z nich miał zajęętą, trzymał się liny, podczas gdy drugą utrzymywał chłopca. Obaj wisieli tak nad tym wzburzonym morzem, które w każdej chwili mogło ich porwać.

Wtedy nadeszła następna gigantyczna fala, wielka jak góra. Uderzyła w okręt, wprawiając go w drżenie, w miarę jak go całego ogarniała od dziobu po rufę, podrzucając jak zabawkę. Okręt przechylił się do tego stopnia, że w każdej chwili mógł się przewrócić. A przy takim uderzeniu ster niechybnie by ich zmiażdżył.

32 Gorzkie przebudzenie

Wisząc na linie, którą Miguelito przywiązał do stołu w dolnej sali, Sebastián usłyszał jakiś głos i poczuł, że ktoś za nią ciągnie. Był to Hermógenes. Spostrzegł, co się dzieje, kiedy naprawiał szkody wyrządzone przez łódź po jej uderzeniu w okno rufowe.

– Niech pan się trzyma! – wołał. – Pilot usiłuje wrócić na kurs!

Nie stanowiło to dla niego wielkiej pociechy: kiedy mu się to uda, będzie już za późno.

Miał tylko bardzo ogólne pojęcie o tym mechanizmie. Łopata steru szła do dołu równoległe do krańca rufy, wystając poza kadłub. I umocowana była swoją głowicą do sterownicy, solidnej poziomej belki, która wchodziła do wnętrza okrętu na wysokości pierwszego pokładu. Już w jego wnętrzu przechodziła obok sufitu pomieszczenia, gdzie zwykle spał Qaytu. I poprzez system krążków obracała się na bakburtę lub sterburtę dzięki półkolistej prowadnicy, posuwając się zgodnie z ruchem lin nawiniętych na koło sterowe, które działało jak pionowy kabestan.

A ponieważ ster się rozluźnił, pilotowi trudno było odzyskać nad nim kontrolę. I w każdej chwili mógł zmiażdżyć jego i Miguelita.

Usiłował zatrzymać stopami ruch łopaty, zapierając się plecami o kadłub. Ale jego siły były śmiesznie małe przy tej potężnej dźwigni, która

parła na nich w nieunikniony sposób. Poczul, jak zaczyna naciskać na jego ciało. I chciał je jakoś obronić, podobnie jak ciało pazia, bezwładne i poobjane.

Zamknął oczy, żeby nie oślepiła go niszczycielska fala, która omiatała okręt. Kiedy znów je otworzył, dostrzegł, że belka przestaje na niego napierać. Zatrzymała się. I nie wyglądało to na dzieło pilota, który jeszcze nie odzyskał całkowitej kontroli nad sterem, ale kogoś, kto w rozpaczliwy sposób powstrzymuje sterownicę.

Łopata pozostawała nieruchoma, ale wstrząsało nią drzenie, które zdradzało olbrzymie napięcie, jakiemu była poddawana. Potem przestała na nich naciskać. I wreszcie wyglądało na to, że sternik odzyskał kontrolę. Groźna belka zaczęła odpowiadać na ruchy koła i oddalać się od nich. Najpierw z wolna, potem już w widoczny sposób.

Usłyszał nad sobą okrzyki radości Hermógenes. Ale nie zrozumiał, co się stało, aż zobaczył Qaytu w otworze strzelniczym jednego z dział rufowych ciągnącego z całej siły linę, na której wisieli, żeby w ten sposób sprowadzić własnymi rękoma jego i pazia na powrót do środka.

Kiedy, ociekając wodą, przedostał się przez otwór strzelniczy, zrozumiał, że Indianin użył całej swojej siły, aby unieruchomić belkę łączącą głowicę steru z kołem. Posłużył się drewnianą lawetą jednego z dział, żeby uniemożliwić jej obrót, który okazałby się dla nich fatalny. Znał on dobrze mechanizm steru, gdyż mieścił się nad помещением, w którym zazwyczaj spał. W ten sposób uratował im życie.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – rzekł omdlały Fonseca, zanim położył na podłodze Miguelita i padł bez tchu w kącie pomieszczenia.

Qaytu zamierzał pochylić się nad paziem, kiedy dały się słyszeć jakieś głosy. Inżynier pokazał mu na migi, żeby się ukrył. Był to Hermógenes, prowadził ze sobą kilku ludzi, żeby ich ratować.

Ale zanim weszli i zanim jego wybawca zdołał ukryć się w klitce zbudowanej obok kajuty Uminy, Sebastián zauważył u Indianina gest paralizującego przerażenia.

Inżynier spojrział w tę samą stronę i zdołał dostrzec kogoś, kto w mroku ich obserwował. Nie widać było jego twarzy spowitej w półmroku. Jednak mógłby przysiąc, że ów człowiek miał zabandażowaną lewą rękę i że był to ten, którego już widział z Montillą w chwili, gdy został zatrzymany po tym, jak zatrzaśnięto go na pokładzie bojowym.

Wyczerpany do granic wytrzymałości musiał patrzeć bezsilnie, jak oddala się on z wolna, usłyszawszy wołania tych, którzy się zbliżali. Teraz ten człowiek już wiedział, że Qaytu znajduje się na pokładzie.

* * *

Kiedy Hermógenes i jego towarzysze znaleźli się przy nim, okręt prostował się pośród trzeszczenia wręg, które walczyły o to, by odnaleźć swoje miejsce, jakby po tej rozpaczliwej ucieczce okręt zaczynał nad sobą panować. Gdy już odzyskał sterowność pod kontrolą pilota, wymacał swoją drogę wśród spienionych grzbietów fal, które zaczynały się zmniejszać.

Fregaty angielskie pozostały daleko w tyle. A oni wychodzili ze sztormu, który oddalał się w stronę otwartego morza, i płynęli w kierunku kontynentu. Nadal wiał silny wiatr, ale ster odpowiadał posłusznie, pozwalając żaglom chwytać go od strony rufy i regularnie bić o maszty.

W tym czasie Sebastián zebrał siły, aby pójść za Hermógenesem, który niósł teraz na rękach poobijanego Miguela. Zanim doszli do lazaretu, wyszedł im naprzeciw lekarz z noszami. Kazał położyć na nich chłopca, żeby go wygodniej przenieść. Kiedy przechodzili koło członków załogi, którzy dowiedzieli się już o wyczynie małego, wszyscy zdejmowali czapki z głów na dowód szacunku.

Sebastián mógł się przekonać, że skutki sztormu wewnątrz okrętu były równie niszczycielskie. Ludzie z ekspedycji Montilli chronili się w zakamarkach, wśród krzątany, lamentów, mdłości i tak długich ataków wymiotów, jakby mieli wyrzucić z siebie duszę.

- Wypił dużo wody – poinformował lekarza Sebastián.
- Przynieście szybko wino i oliwę – niecierpliwił się Hermógenes.
- Już się tym zajmują – przerwał mu medyk niezadowolony, że ktoś

wtrąca się do jego spraw. – Proszę mu podnieść nogi.

Podczas gdy cieśla unosił stopy pazia, poruszał mu w gardle piórem, aż chłopiec zwrócił morską wodę. Wkrótce nadszedł kucharz z gorącym winem, które wiano mu do ust. Kiedy zobaczyli, że reaguje, kazali mu wypić kubek oliwy, żeby słona woda nie wywołała gnicia jelit.

W oczekiwaniu na skutek lekarz wziął swój kuferek i dał znak Sebastianowi, żeby wyszedł z nim na pokład. I tam, podczas gdy opatrywał rany inżyniera, powiedział:

– Nic panu nie jest, to tylko zadrapania. Ale niepokoję się o chłopca. Żle to wygląda.

– Czy to coś poważnego?

– Trzeba będzie poczekać. Chwilowo nie można nic więcej zrobić. A pan powinien odpocząć.

– Niech pan dba o niego, doktorze.

Po wysiłku i ulewie wracało ciepło. Ludzie zdejmowali brezentowe kurtki impregnowane smołą, mgła rozwiewała się i na niebie znów pojawiło się słońce. W kuchni zaczęto przygotowywać kawę, gdyż po napięciu walki i po sztormie ciało domaga się swoich praw.

Wśród pobrzękiwania garnków z pieców zaczął wydobywać się dym i rozwieszono plandeki, żeby ochronić się przed słońcem. Dźwięk dzwonu wzywającego na posiłek rozbrzmiewał teraz pośród dziwnej ciszy, wzlatając nad ciemnoniebieskim morzem.

Chociaż bohaterskie zachowanie pozwoliło mu odzyskać swobodę poruszania się, Sebastian nie wziął nic do ust. Położył się wyczerpany na swoim hamaku. Spał przez wiele godzin. A kiedy się obudził i znowu odwiedził pazia, wydało mu się, że ten szybko wraca do siebie.

– Jak róża – żartował Hermógenes na sąsiedniej koi. – Chciałbym mieć takie zdrowie jak on.

Chłopiec usiłował się uśmiechnąć. Nie był to jednak jeden z tych uśmiechów, jakie zazwyczaj rozjaśniały jego twarz. Zauważył coś dziwnego. Kiedy zapytał o to lekarza, ten powiedział, unikając tematu:

– Dałem mu trochę laudanum. Trzeba go tak zostawić, żeby natura zrobiła swoje. Nie można go męczyć. Pozwólcie mu się wyspać.

Podczas gdy czuwał nad snem Miguelita, inżynier zaniepokoił się o Qaytu i Uminę. Teraz ktoś, kto był całkowicie zaangażowany w walkę z nim, wiedział o obecności Indianina na pokładzie, a co za tym idzie, mógł domyślić się obecności Metyski.

Kapitan Valdés, który też przyszedł odwiedzić pazia, poinformował go:

– Za kilka dni dopłyniemy do naszego miejsca przeznaczenia. Tam będą się mogli lepiej zająć Miguelem, mają więcej środków niż my. – Potem podniósł oczy na inżyniera i oznajmił: – A co do pana, będę musiał, choć bardzo niechętnie, oddać pana do dyspozycji władz.

Sebastián zrozumiał, że to koniec podróży i nie może dłużej czekać.

Muszę koniecznie zobaczyć się z Uminą, postanowił.

Ale jak to zrobić? Wciąż chodziło mu po głowie to, czego dowiedział się od niej podczas ostatniego spotkania: fragment *Kroniki*, w którym Diego de Acuña przedstawia smutne wydarzenia zakończone zdobyciem Vilcabamby.

* * *

Ryzykowna eskapada Diega miała tę zaletę, że ponownie spotkał się z Sírax, ale w sumie podważyła jego prestiż. Przyczynił się do tego szczególnie Martin de Loyola, przekazując wicekrólowi Toledzie swoją wersję wydarzeń. Francisco de Toledo chciał jak najszybciej zdobyć zbuntowaną twierdzę. W Niedzielę Palmową 14 kwietnia 1572 roku ruszyła potężna machina wojenna, której celem było zniszczenie „gniazda oporu indiańskiego”.

Acuña zrozumiał, że to nie przelewki i że ekspedycja zakończy się zagładą rebeliantów. Znał słabe punkty twierdzy, widział ją na własne oczy, ale nikomu o tym nie powiedział, żeby nie złamać obietnicy danej Sírax. Niemniej zabiegał na wszelkie sposoby o udział w tej wyprawie. Przede wszystkim dlatego, że chciał ratować Sírax.

Wicekról zgromadził ogromne siły, przyjmując wszystkich, którzy

nadawali się do walki. Ustanowił nawet specjalne trofeum: zapowiedział, że kto pojmie króla buntowników, poślubi Beatriz Clarę Coyę, córkę Sayriego Túpaca, który podpisał pokój z Hiszpanami. Wraz z ręką tej bogatej dziedziczki Inków otrzyma najlepszą encomiende w Peru, a jego potomkowie będą się legitymować największym prawem do tronu. Taka okazja nie zdarza się codziennie.

Kiedy Diego się o tym dowiedział, zrozumiał, jaka krzywda stanie się Sírax. To ona była pierwsza w kolejce do tronu jako córka Manca Cápaca i siostra rządzącego obecnie Túpaca Amaru. Zrobiłby wszystko, by jej w tym pomóc, ale istniały dwie poważne przeszkody: jeśli ujawni tożsamość Sírax, życie tej młodej księżniczki będzie w niebezpieczeństwie i wniwecz obróć się sekretne plany jej ojca Manca Cápaca i matki Quispi Quipu. Natomiast on sam narazi się na podejrzenia swoich ziomków i po raz kolejny zostanie oskarżony, że bierze stronę Indian.

Przez cały tydzień zabiegał o przydział do ekspedycji. Wszystkie jego starania rozbijały się o stanowczy sprzeciw Martina de Loyoli. Acuña nic by nie osiągnął, gdyby nie pomoc jego nauczyciela keczua, jezuitę Cristóbalą de Fonseki, który miał jeszcze coś do powiedzenia u wicekróla. Zakonnik bardzo zaangażował się w sprawie Acuñi. Podkreślał, że jest on nie tylko najlepszym tłumaczem, ale też jedynym Hiszpanem, który był ostatnio w Vilcabambie.

Wreszcie Diego otrzymał zgodę. Poczyniono ostatnie przygotowania i ekspedycja żegnana gromkim *Te Deum* w katedrze opuściła Cuzco. Przeszli pod ukwieconym łukiem w kierunku równiny Anta i dalej na północ.

Po kilku potyczkach rozpoznawczych rozegrała się wielka bitwa na trzeci dzień po Zielonych Świątkach, pierwszego czerwca 1572 roku. Indianie byli nieustraszeni. Bili się z wielką zaciekłością do tego stopnia, że weterani walk o Chile i wojny o Niderlandy mówili potem, iż nigdy jeszcze nie widzieli takich wrogów. Hurmą nacierali na arkebuzy, nie bacząc na straty w swych szeregach, byle tylko jak najprędzej stanąć do walki wręcz. Przekonał się o tym Martin de Loyola, który szedł na czele. Wystarczyło

na niego spojrzeć, aby zrozumieć, że nie jest dobrym żołnierzem. Okrucieństwo i chciwość nigdy nie idą w parze z odwagą. Jeśli kuzyn świętego Ignacego wyszedł z tego cało, to tylko dlatego, że miał wiernego giermka.

Tubylcy wycofali się w szyku do Vilcabamy, żeby wykorzystać swoje atuty. Weterani wcześniejszych kampanii poradzili, żeby rozbić w pobliżu obóz i przygotować się do szturmowania po uprzednim rozpoznaniu terenu. Przeprowadzono jednego z jeńców. I wtedy Diego stanął przed wielkim dylematem. Zorientował się w trakcie tłumaczenia, że Indianin próbuje ich wciągnąć w pułapkę. Gdyby go posłuchali i poszli drogą, którą im wskazywał, wyszliby na przełęcz w kształcie półksiężyca, prosto pod grad kamieni. Wahał się między dotrzymaniem obietnicy danej Sírax a poinformowaniem o przygotowanej przez Indian zasadzce, która przyniosłaby w razie wpadki klęskę całej ekspedycji hiszpańskiej. I zrozumiał, że nie może tego przemilczeć.

Powiedział więc dowódcy ekspedycji Hurtadowi de Arbiecie, że dostępu do cytadeli broni fort dobrze zaopatrzonej w kamienie do zrzucania na szturmujących. Wiedzie doń wąska ścieżka nad przełęczą z rwącą rzeką w dole. W jednym punkcie przejście prowadzi pod ostrą granią, o którą rozbijają się chmury. To doskonałe miejsce na zasadzkę, zwłaszcza że przechodzić można tylko pojedynczo.

Martin de Loyola go wyśmiał. Potraktował jak tchórza, który nie ma zielonego pojęcia o wojennym rzemiośle. Ale starzy weterani byli zdania, że nie należy lekceważyć tych informacji, i doradzali atak od góry, żeby rozbić zasadzkę.

Kierując się wskazówkami Diega, uzbrojeni po zęby, z całym sprzętem i arkebuzami wspinali się pod górę poprzez gęste zarośla. Przejście było tak wąskie i strome, że miejscami przylegali do ziemi, żeby nie spaść w przepaść, z wyjątkiem jednego Portugalczyka, silnego jak tur, który nie tylko przeszedł całą drogę na własnych nogach, ale na dodatek dźwigał nieduże działo artyleryjskie, budząc tym wielki podziw towarzyszy.

Patrząc w dół, mogli się przekonać, że wszystko było tak przygotowane, aby nikt z Hiszpanów nie przeżył, gdyby nie posłuchali tłumacza. Z góry

leciałyby na nich kamienie, a z dołu strzały, gdyż prawie pięciuset Indian z plemienia Chuncho słynącego ze znakomitych łuczników już czekało gotowych do walki. Pozajmowali strategiczne pozycje, żeby dobijać rannych.

Atak Hiszpanów wywołał wśród nich wielki popłoch – nie spodziewali się uderzenia od strony szczytów górskich. To zwycięstwo przesądziło o wynikach bitwy: droga do miasta stała otworem, a obrońcy Vilcabamby nie mieli żadnych szans.

Tej nocy Hiszpanie odpoczywali, zbierając siły do ostatecznego natarcia. Acuña nie mógł spać ani jeść. Poczucie obowiązku spełnionego wobec towarzyszy, których uprzedził o zasadzce, walczyło w nim z poczuciem zdrady wobec Sírax, gdyż nie dotrzymał danego słowa. Jednak najbardziej martwił się o los tej dziewczyny po wkroczeniu hiszpańskiej armii do cytadeli. Wzdrygał się, słuchając sprośnych odzywek żołnierzy, którzy już teraz przechwalali się, że nie przepuszczą żadnej Indiance.

Wkrótce potem, 24 czerwca 1572 roku, przypadała dla chrześcijan uroczystość świętego Jana Chrzciciela, a dla Inków – Inti Raymi, najważniejsze święto przesilenia zimowego. Tego dnia o świcie generał Hurtado de Arbieto dokonał przeglądu wojska przed atakiem na miasto. Przegląd wypadł pomyślnie i ruszyli do natarcia przy biciu w bębny, z furkotem sztandarów.

Diego zaglądał w każdy zaułek, szukając najmniejszego śladu lub jakiejś wiadomości o Sírax. Nie napotkali żadnego oporu. Miasto widmo otwierało się przed nimi bez przeszkód. Domy, a było ich przynajmniej czterysta, stały opustoszałe. Mieszkańcy wynieśli z nich wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Pałace, świątynie, magazyny i inne zabudowania jeszcze dymiły trawione przez ogień. Indianie spalili również zapasy żywności, których nie mogli ze sobą zabrać. Zniszczyli miasto tak dokładnie, że Hiszpanie nie zrobiliby tego lepiej.

Po przeczesaniu miasta i okolic pozostało już tylko zwołać radę i zastanowić się, co dalej. Najważniejsi Indianie znów się wymknęli. Diego długo chodził po mieście, zatrzymał się przy basenie, w którym kąpała się Sírax, i wspominał spędzone razem chwile. Na myśl o nieuchronnej tragedii nie

mógł powstrzymać łez.

Tymczasem potrzebny był tłumacz, więc przysłano po niego. Chodziło o przesłuchanie jeńca, którego udało się schwytać pod miastem. Zmuszony do ujawnienia kryjówki rodziny królewskiej wyznał, że Inka uciekł w dół rzeki i zamierza przedostać się do dżungli na terytorium Indian Manari. Za całą eskortę ma osiemdziesięciu najwierniejszych wojowników. Acuña poczuł wielką ulgę w sercu i podczas gdy tłumaczył cudze słowa, niepostrzeżenie wtrącał własne, pytając o Sirax. Ale jeńiec nie umiał mu nic odpowiedzieć.

Grupa żołnierzy wysłanych na zwiad przyniosła rzeźbę Punchao. Wicekról bardzo się ucieszył z tej zdobyczy. Inni wrócili z mumiami Manca Cápac i Tita Cusiego. Nikt nie trafił na Inkę ani na członków jego rodziny. W tej sytuacji Martin de Loyola zgłosił się na ochotnika, że stanie na czele ekspedycji mającej schwytać Túpaca Amaru. Wybrał około pięćdziesięciu żołnierzy i natychmiast wyruszyli w drogę. Oczywiście wzięli ze sobą tłumacza Diega de Acuñę.

Przeszli czterdzieści *leguas* brzegiem rzeki, zanim trafili wreszcie na kilku Indian i zmusili ich do wyznania, gdzie obecnie znajduje się Inka. Okazało się, że nie uszedł daleko, ponieważ jego żona wkrótce będzie rodzić. On bardzo ją kocha, więc nie zostawi jej samej. Troszczy się o nią, pomaga we wszystkim, często zatrzymują się na odpoczynek i dlatego posuwają się powoli.

Zadowolony z tej informacji Martin de Loyola ponaglił swoich żołnierzy. I miał rację. Po przejściu dwudziestu *leguas* zobaczyli o zmroku ognisko w dżungli. Zbliżyli się po kryjomu: był to Inka z żoną.

Túpac Amaru został zatrzymany niemal w ostatniej chwili. Trzy godziny później byłby już na rzece Urubambie i przepadłby jak kamień w wodę. Nigdy by go nie schwytano, gdyby nie to, że wolał zaopiekować się brzemenną żoną, niż uciekać i ratować tron przodków. Ten objaw miłości kwitnącej w dzikiej dżungli wrzucił Diega do łez i potwierdził wysokie mniemanie, jakie miał o tym monarsze od pierwszej chwili, gdy ujrzał go w Vilcabambie.

Gdy tylko nadarzyła się okazja, zapytał o Sírax. Otrzymał lakoniczną odpowiedź, że nie było jej z nimi.

W drodze powrotnej do Vilcabamby usiłował dowiedzieć się czegoś więcej o młodej Indiance, ale Túpac Amaru nic mu nie powiedział. Natomiast jego żona, odgadując prawdziwe intencje Diega i wyczuwając jego niepokój, poradziła, żeby szukał jej w Cuzco.

Tak kończy się patetyczna historia twierdzy Inków, która spędzała sen z oczu Hiszpanom przez ponad trzydzieści pięć lat. Trudno nie dostrzec tu melancholii, która – bardziej niż jakiegokolwiek inne uczucie – przepajała *Kronikę* Diega de Acuña opisującego ten finał.

* * *

Takie wrażenie odniósł Sebastián de Fonseca, sam zasmucony z powodu obecnych wydarzeń i przejęty ciszą infirmerii. Rozmyślenia te przerwał mu sen.

Obudził go lekarz, który przyszedł obejrzyć rannego.

Kiedy skończył badanie, inżynier nie mógł się powstrzymać i zapytał:

– Co jest z jego twarzą? Nieruchoma jak maska, nawet kiedy Migueli to próbuje się uśmiechnąć.

Lekarz dał mu znak, żeby nic nie mówił, i wyszli na pokład. Dopiero wtedy odpowiedział:

- To uśmiech sardoniczny.
- Co takiego?
- Skurcz mięśni zuchwy, karku i twarzy.
- Czy to poważne?
- Bardzo poważne. To tężec.
- O Boże! Wyjdzie z tego?
- Nie. Czeka go okropna śmierć. Biedny dzieciak!

Wkrótce wiedzieli o tym wszyscy na statku. Marynarze zaglądali jeden po drugim, w miarę postępowania choroby coraz bardziej zmartwieni. Słabe ciało Miguela wyginało się, sztywniejąc. Ze ściśniętej krtani wydobywał się już tylko agonalny świst.

W miarę jak choroba czyniła postępy, drgawki stawały się coraz częstsze

i bardziej gwałtowne. Zdawało się, że rozerwą mu mięśnie brzucha, cierpiał straszliwie. Lekarz zwiększył dawkę laudanum, które sam przygotował, mieszając opium ze Smyrny i wino z Malagi z cynamonem, szafranem, miodem i drożdżami piwnymi. Mimo to każde dotknięcie sprawiało chłopcu dotkliwy ból. Wkrótce zaczęły pękać mu żebra. Dziecięcy płacz rozlegał się po całym okręcie.

Marynarze przerywali swoją pracę za każdym razem, gdy go słyszeli. Czuło się wzrastające wśród nich napięcie i Valdés był poważnie zaniepokojony. Dobrze wiedział, że bardzo lubili Miguelita i ciężko im było pogodzić się z myślą o najgorszym. Do pazia coraz częściej zaglądał kapelan. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że śmierć może przyjść w każdej chwili. Pewnego dnia wrzaski chłopca ustały.

Wszyscy stłoczyli się wokół luku prowadzącego do infirmerii. Przybył Valdés i musiał użyć całego swego autorytetu, aby wrócili na pokład i tam zaczekali, aż przyniesie im informacje.

Kiedy pojawił się, schodząc powoli po schodach razem z kapelanem, zasłonił twarz kapeluszem, a potem poinformował:

– Pogrzeb odbędzie się jeszcze dziś.

Na całym okręcie zaległa śmiertelna cisza i nawet świece wyglądały jak całun. Kiedy nadeszła pora pogrzebu, umieszczono małe zwłoki na kracie zdjętej z wejścia do luku i ustawiono na pokładzie. Chłopiec był zawinięty we własny, zaszyty hamak, jak poczwarka w kokonie, która nigdy nie przemieni się w motyla. Stopy zwrócone w stronę morza obciążono kulami armatnimi. Stawiła się cała załoga, wszyscy mieli odkryte głowy i przgnębione miny, gdy zgromadzili się wokół kapelana w stule i komży, który odprawił nabożeństwo żałobne. Podniesiono kratę ze zwłokami i oparto o brzeg burty. Zaszleściło płótno żeglarskie, ześlizgując się po kracie. Nie wielki tobolek z ciałem Miguelita nabrał prędkości. Spadł lekko w fale. Rozległo się głucho pluśnięcie, po którym wytrysnął w górę strumień piany i turkusowoniebieskie morze przyjęło składaną mu daninę.

Valdés dał znak drugiemu oficerowi, żeby rozkazał ludziom wrócić do swoich zajęć. Ale nikt się nie poruszył. Powtórzył polecenie, a wtedy rozległ się rumor głosów żądających ustalenia winnego.

Padaly pytania, kto odczepil czolno, ktore spowodowalo katastrofe. Jeden z marynarzy podniosl jeszcze bardziej glós, zebý zapytac:

– Kto podrózuje na rufie w kajucie na sterburcie, bo przeciez nie kapelan?

Sebastián miał wrazenie, jakby któs dyktowal marynarzowi te slowa. Próbowal podejsc blizej, ale zobaczył tylko plecy oddalajacego się czlowieka, który miał cóś na lewym ramieniu. Z tej odleglosci nie bylo dobrze widać, ale niewykluczone, że to opaska na ranę...

Bylo za pózno, zebý za nim pobiec. Rozgorączkowana masa ludzka kierowala się do kajuty na sterburcie, która tak bardzo ich zaintrygowala.

Odsuneli na bok Valdésa, kiedy próbowal ich powstrzymac. Kilku marynarzy zabralo go na kasztel, podczas gdy inna grupa schodzila do tego miejsca, które dotad bylo dla nich zakazane. Sebastián przekonal się, że choc kapitan byl bardzo dobrym marynarzem, oficerowie nie uwazali go za swojego. Nie czuli się tez zobowiazani do egzekwowania posluszenstwa wobec jego zakazów, tym bardziej że dowódcza nie wtajemniczyl ich w swój sekret.

Wkrótce przywlekli przerazonego Qaytu. Bez watpienia Indianin wyszedl im naprzeciw, zebý Umina miała czas się ukryć.

Inzynier zrozumial, że chcą go wrzucic do morza. Przecisnal się na wyzszy poklad i podszedl do Qaytu, gotów stawic czolo tym, którzy go zatrzymali.

– Posluchajcie mnie! Ten czlowiek nie moze mówic. Ja zrobię to zamiast niego. On nie ponosi zadnej winy za śmierć Miguela, co wiecej, pomógł mi wyciągnac chłopca.

Marynarz, który zdawal się pelnic funkcję przywódcy, wysunal się naprzód i krzyknal:

– On go broni dlatego, że się znają i są wspólnikami. Obaj zasluzyli na karę. Do wody z nimi!

Hermógenes próbowal cóś powiedziec na potwierdzenie słów Fonseki. Ludzie Montilli nie dali mu dojsc do glósu i odsuneli na bok. Nawet kapelan nie miał prawa się wtracic.

Postanowiono wyrzucic ich za burte.

33 Zawieszenie broni

Wroga falanga napierała coraz mocniej na Sebastiána i Qaytu, gdy nagle w ostatnich szeregach buntowników dał się słyszeć zupełnie inny gwar. Było to tak niespodziewane, że ci z przodu postanowili się zatrzymać, żeby sprawdzić, co się stało.

Kiedy odwrócili głowy, zobaczyli, że marynarze przesuwiają się, żeby zrobić dla kogoś przejście. Jednocześnie zgiełk ucichł tak nagle, jak się pojawił, całkiem zamarł. Valdés pozostawał zamknięty w swojej kabinie, więc to nie mógł być on. Ale kto miał taki wielki autorytet? Powietrze zdawało się naelektryzowane i słychać było tylko szum wiatru na wantach i łopot żagli.

Wtedy ją zobaczył. To była Umina. Szła wyprostowana, owinięta szalem, dostojna jak królowa.

Utrzymywała równy krok, nie przyspieszając i nie okazując lęku. Spokojnie zbliżyła się do Qaytu i wzięła go za ramię, żeby go stąd zabrać.

Nikt nie ośmielił się nawet pisnąć, tymczasem ona spojrzała ukradkiem na Sebastiána, pytając go wzrokiem, na co czeka, dlaczego do nich nie dołączy.

Inżynier zrozumiał, że nie było czasu do stracenia, bo załoga mogła w każdej chwili zmienić zdanie. Podążył za nimi w stronę kasztelu, ponieważ Umina postanowiła na dodatek uwolnić Valdésa z zamknięcia.

Zaraz po wyjściu dowódca rozkazał ludziom, żeby powrócili na swoje miejsca, jak gdyby nic się nie stało. I co najdziwniejsze, został wysłuchany.

Kapitan okrętu z podziwem patrzył na Metyskę, która okazała tyle zimnej krwi.

– Co by pani zrobiła, gdyby rzucili się na panią? – spytał zaciekawiony.

– Zaczęłabym strzelać – odpowiedziała.

Odchylając szal, pokazała skórzany pas pod spodem, do którego były przymocowane dwa pistolety naładowane i gotowe do strzału.

– Najgorzej, że teraz wszyscy się dowiedzą, że pani wraca do Peru. Załoga nie utrzyma języka za zębami – narzekał Valdés.

– Czy to takie ważne, żeby to był sekret? – spytał Fonseca.

– Ważne – wyznała przygnębiona Umina. – Cały mój plan się na tym opierał. A teraz moi wrogowie przejmą inicjatywę.

– Jacy wrogowie?

– *Encomenderos*. Nie znam twarzy ani nazwiska agenta, którego mogli za mną wysłać, ale wiem jedno: ci ludzie nie chcą nic zmienić. I zrobią wszystko, żeby do zmian nie dopuścić.

– Myślę, że jestem w stanie wskazać pani tego agenta.

– Zna go pan?

– Zaatakował mnie w nocy podczas snu w hamaku.

– Ktoś pana zaatakował? – zdziwił się kapitan. – Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– To nic ważnego. Zdołałem go wystraszyć i zranić w lewe ramię.

– Powinien mnie pan natychmiast o tym poinformować. Zaraz zrobię zbiórkę załogi i wszystkich pasażerów. Dowiemy się, kto to – zapewnił Valdés.

– Sądzi pan, że się uda pomimo tej próby buntu?

– Nie było buntu, proszę mi wierzyć. Takie rzeczy zdarzają się na okręcie, zwłaszcza podczas długiego rejsu. Jestem nowym kapitanem, a poprzedni trochę rozpuścił załogę. Poza tym oni poczuli się zdradzeni i

oburzeni tym, że ukryłem przed nimi dwójkę pasażerów na pokładzie.

– Myślę, że komuś zależało, aby tak się poczuli. Ktoś podżegał ich do buntu.

– Być może. Ale prędzej uznałbym, że chcieli wylądować swoją złość i skorzystali z pierwszej lepszej okazji.

– Mówi pan o Qaytu? – spytała Umina.

– Tak. Miał pecha, że to się na nim skupiło. W takiej sytuacji nie trzeba daleko szukać, każdy by się nadawał na kozła ofiarnego. Na przykład wy dwoje. Macie szczęście, że trafili najpierw na niego. Znacie historię Jonasza? To coś irracjonalnego. A teraz pozwólcie, że was opuszczę. Robimy przegląd załogi – oświadczył Valdés.

Polecił drugiemu oficerowi wezwać wszystkich na pokład i kazał im odsłonić lewe ramię. Po dokładnych oględzinach trzeba było ustąpić wobec oczywistej prawdy, że żaden marynarz nie był ranny.

– Czy członkowie ekspedycji Montilli też zostali sprawdzeni? – spytał Sebastián.

– Tak. Jeśli to pana interesuje, to mogę powiedzieć, że jednego brak.

– No to mamy winnego!

– Markiz poinformował mnie już wcześniej, że jeden z jego ludzi zaginął podczas sztormu.

– Uwierzył mu pan?

– Nie miałem innego wyjścia. Powiedział mi to kilka dni wcześniej, a nie w momencie ogłoszenia apelu.

– Jak się nazywał ten zaginiony?

– Ojeda, szkutnik. Ale w to akurat nie wierzę. Nazwisko może być wymyślone. Normalna rzecz.

Faktem jest, że nigdzie nie było osobnika, którego Fonseca zranił w ramię, i gotów był pomyśleć, że mu się to przyśniło, gdyby nie świadomość ciągłego niebezpieczeństwa. Teraz mógł się obawiać najgorszego.

Umina nie musiała się już ukrywać, więc Valdés pragnął ją mieć przy swoim stole i zaprosił również inżyniera. W kabinie było bardzo jasno. Na

suficie odbijały się niebieskawo spokojne ruchy fal, tworząc przytulny nastrój.

Choć może sprawiały to uroda i wdzięk Metyski. Wyglądała przepięknie w eleganckiej sukni na modłę europejską. Sam kapitan, zazwyczaj tak wstrzemięźliwy w słowach, powiedział, że jej obecność to dla niego wielki zaszczyt, i mruknął do inżyniera, że trzeba to jakoś uczcić. Wyjął ze skrzynki z drzewa orzechowego masywny zegar: chronometr podający szerokość geograficzną, i sprawdził jego stan.

– Za kilka dni przybijemy do Panamy – zakomunikował.

– A więc to będzie nasze spotkanie powitalne i pożegnalne zarazem – powiedziała z uśmiechem Umina. – Co się stanie, jak wejdziemy do portu?

– My zajmiemy się walką z przemytem. Ale dopiero wtedy, gdy wysadzimy ekspedycję naukową Montilli. Oni mają pierwszeństwo i przesiądą się na inny statek, żeby przepłynąć z Atlantyku na Pacyfik i dalej do Peru. Wysiądzie również część żołnierzy, co zajmie trochę więcej czasu, ponieważ są przydzieleni do różnych miejsc. A co pani zamierza?

– Przedsiębiorstwo mojego zmarłego ojca, które obecnie prowadzi jego wspólnik i przyjaciel rodziny, ma swoje przedstawicielstwo na *Tierra Firme*. Pomogą nam znaleźć jakiś statek i tak szybko, jak to będzie możliwe, wyruszymy do portu Callao, a stamtąd już tylko kilka mil drogą lądową do Limy.

Kiedy kapitan otwierał butelkę swego najlepszego wina, zapukał do drzwi ochmistrz, który miał podawać do stołu, i zapytał, czy może zacząć. Stopniowo przynosił szynkę, jajka, tosty, jarzyny, pasztet z pieca i plastry świeżo złowionej ryby szpady.

– Jak smakuje ryba? – zapytał z ciekawością.

– Nawet bardziej niż tuńczyk – odpowiedziała Umina.

– A co ja mam powiedzieć? – roześmiał się Sebastián. – Toż to istna uczta królewska w porównaniu z jedzeniem pokładowym.

– No cóż – odezwał się Valdés. – Gdyby nie to, że pod koniec rejsu moja prywatna spiżarnia świeci pustkami, ugościłbym was jeszcze lepiej.

- Ma pan swoją prywatną spiżarnię? – zapytała dziewczyna.
- To normalne w przypadku dowódcy okrętu.
- Szkoda, że nie wiedziałem tego wcześniej. Nie musiałbym głodować w ładowni – zażartował Fonseca.

Roześmieli się wszyscy troje. Valdés podniósł swój kielich i po przepi-sowym toaście na cześć króla powiedział:

– Gdyby nie takie chwile jak ta, życie na pokładzie byłoby bardzo ciężkie. Niewiele rzeczy cenię sobie bardziej niż dobre towarzystwo przy stole. A już towarzystwo takiej damy jak pani – tu zrobił ukłon w kierunku Uminy – to jak główna wygrana na loterii.

– Dziękuję. Jak to się stało, że powierzono panu dowodzenie tym okrętem?

– Bo poprzedni kapitan „Áfriki” miał wypadek.

– Można powiedzieć, szczęśliwy zbieg okoliczności!

– Tak, to nie jest normalny rejs. Odziedziczyłem załogę przyzwyczajoną do lżejszej ręki i zaszczyt przewożenia ekspedycji rekomendowanej z bardzo wysoka. Poza tym musiałem porobić zmiany wokół kajuty kapelana na sterburcie, żeby ulokować panią wraz ze służącym...

– Normalny rejs przebiega spokojniej, czy tak?

– O wiele spokojniej, ale ja się nie skarżę! Kapitan i tak ma o wiele lepsze życie niż marynarze. A co dopiero mówić na starość! Taki marynarz, jeśli przeżyje, to po trzydziestu latach służby będzie zmuszony dorabiać na życie jako czyścibut w Kadyksie albo wyrobnik w polu, zależy od tego, czy jest inwalidą, czy zachował sprawność. Nawet sternik ma kłopoty na starość – ubolewał Valdés. – Cokolwiek by o tym powiedzieć, nie ceni się u nas fachowców, mimo wysiłków takiego Jorge Juana, który...

– Zna go pan? – wszedł mu w słowo Sebastián.

– Byliśmy razem w szkole kadetów w Kadyksie.

– A ja w Królewskim Seminarium Młodzieży Szlacheckiej w Madrycie.

– No to sam pan wie. W naszym kraju bardziej ceni się salonowca i błyskotliwego mówcę, znającego się na manierach niż człowieka, który

potrafi posługiwać się oktantem, rozwiązać równanie i czytać z mapy żeglarskiej.

– Pan też miał problemy z awansowaniem?

– Kto ich nie miał? Tam się liczą wpływy i pozycja rodziny.

– Nie mieści mi się w głowie – powiedział Sebastián – że załoga mogła zareagować tak, jak to zrobiła. Na własne oczy widziałem, że traktuje ich pan ze stanowczością, ale i z szacunkiem.

– Tłum jest nieludzki z natury. Pojedynczo ludzie zachowują się inaczej. – I zwracając się do Uminy, która odłożyła na bok sztucce, zapytał: – Skończyła pani jeść? W takim razie przejdźmy na kawę i ciasto. Zobaczymy, co nam przygotowano.

Nawet najlepszy deser nie pomógł Fonsece wyzbyć się niesmaku, jaki odczuwał na myśl o tej próbie buntu.

– Nie rozumiem, dlaczego chcieli znęcać się nad Qaytu, który nie może im odpowiedzieć. Właściwie jak do tego doszło, że stał się niemową? – zapytał inżynier Uminę.

– Obcięto mu język za to, że nie wahał się mówić o nadużyciach popełnianych przez *encomenderos* – odpowiedziała dziewczyna. – A marynarze znęcali się nad nim, bo tłum zawsze odczuwa lęk przed tym, co obce i nieznanne. Indianin i Hiszpan to dwa odmienne światy. Indianin nie jest chciwy, a chciwość Hiszpana nie zna granic. Indianin jest flegmatykiem, Hiszpan cholerykiem. Indianina cechuje pokora, Hiszpana arogancja; nie ma bardziej aroganckich ludzi na świecie niż Hiszpanie. Indianin jest cierpliwy, a Hiszpan, jak czegoś zapragnie, natychmiast musi to mieć. Indianin ceni wolność, a Hiszpan lubi rozkazywać, wydaje się, że po to się urodził...

– Litości! – zażartował Fonseca. – Przecież pani jako Metyska reprezentuje te dwa wrogie światy. Jak sobie pani z tym radzi?

– Aby poznać odpowiedź, musi pan zaryzykować i sam się przekonać, jak to jest – odparła tak samo żartobliwie.

Ta kolacja była jak oficjalne podpisanie zawieszenia broni. Nie tylko między biesiadnikami, ale i dla wszystkich podróżujących tym okrętem. Nawet pogoda temu sprzyjała, gdyż morze było wyjątkowo spokojne.

Marynarze gotowi byli nosić Uminę na rękach. Ozdobili wstążkami i proporczykami miejsce na rufie, gdzie lubiła siadać, utworzyli girlandy, które kontrastowały z oschłością stylu wojskowego. I choć nie ukrywała zmartwienia z powodu tego, co się stało, cieszyła ją myśl, że może swobodnie się przechadzać i nie musi się już ukrywać.

Był jednak ktoś, komu to nie przypadło do gustu: kotka. Źle znosiła obecność innej samicy na pokładzie. Na dodatek była to pełnia Księżycy, kotka dostała rui, nosiło ją po całym statku i głośno miauczała. Nocą marynarze rzucali w nią butami, żeby się uciszyła, ale bez rezultatu.

Więc kiedy Luna zobaczyła, że Sebastián i Umina zabierają się do wspólnego czytania *Kroniki*, przyłączyła się do nich, pomrukując, jakby ta historia ją bardzo interesowała.

34 Memoriał

Opowieść Diega de Acuña kończyła się opisem smutnego losu ostatniego Inki Túpaca Amaru. Po upadku Vilcabamby dostał się w ręce żołnierzy pod dowództwem Martina de Loyoli. Tego kuzyna świętego Ignacego interesowało najbardziej triumfalne wejście z jeńcem do Cuzco. Zadał, aby odbyło się „dla jego większej chwały”.

Dzień 21 września 1572 roku, uroczystość świętego Mateusza, zastał tłumacza wraz z innymi żołnierzami stojącymi przed bramą Carmenca w pełnej gotowości do przedefilowania przez dawną stolicę. Ale Diego niecierpliwił się, bo jego interesowało jedynie odnalezienie Sírax.

Popłynęły pierwsze dźwięki dzwonu katedralnego, który bił z całej siły, podając rytm innym dzwonom. Natychmiast dołączyły do niego wszystkie pozostałe, aż miasto zadrżało od tego dzwonienia. Bicie w dzwony słyhać było wszędzie. To był sygnał, na który czekali żołnierze.

Pierwsze rzędy wzdłuż trasy przemarszu były zajęte przez Hiszpanów. Ale z tyłu za nimi Diego dostrzegał tubylców o smutnych, rozbieganych oczach. Biła z nich głęboka rozpacz. Upadły wszystkie nadzieje.

Loyola prowadził na łańcuchu jeńca, którego głowę zdołała *mascapa-icha*, pleciona opaska z królewską frędzlą opadającą na czoło. Za Inką szła w tym samym orszaku jego żona, dzieci, rodzeństwo i reszta rodziny. Nie-siono zmumifikowane ciała dwóch monarchów zmarłych w Vilcabambie:

Manca Cápacą i Tita Cusiego. Ale najbardziej wyróżniał się złoty bożek Punchao rozsiewający silny blask.

Acuña podziwiał postawę Túpacą Amaru. Nie widać było po nim strachu, nie sprawiał wrażenia pokonanego. Kroczył z godnością właściwą randze ostatniego przedstawiciela długiej dynastii władców. Nie spodobało się to Martinowi de Loyoli. I kiedy zbliżyli się do firanek zasłaniających wicekróla, kuzyn świętego Ignacego rozkazał Ince zdjąć nakrycie głowy na znak poddaństwa. Jeniec odmówił. Oświadczył dumnie, że nie może tego zrobić przed kimś, kto jest tylko sługą króla hiszpańskiego. Wtedy Loyola spoliczkował go, dokładając szyderstwo do hańby.

Diego pojął, jak okrutne musi być to widowisko dla Sírax, która zapewne jest gdzieś w tłumie i patrzy na upokorzenie brata. Wyobraził sobie, co ona czuje, gdy widzi go wśród defilujących, i że odtąd będzie go traktować jak najeźdźcę.

Pokazywano Túpacą Amaru na ulicach dawnej stolicy jako trofeum wojenne, a potem zaprowadzono do Colcampaty, na stoku góry wznoszącej się nad Cuzco, gdzie kiedyś był pałac pierwszego Inki, a teraz miała się odbyć edukacja religijna więźnia. Jednocześnie trwały przygotowania do procesu sądowego.

Acuña nie ustawał w poszukiwaniach Sírax. Przede wszystkim poszedł do Domu Wężów. Słyszał, że Filip II zarządził jego zwrot na rzecz Quispi Quipu, a ona przekazała go swoim dzieciom w testamencie sporządzonym na krótko przed śmiercią. Ale na próżno kołatał do okazałych drzwi, nikt nie przyszedł mu otworzyć. Jeśli Sírax jest w Cuzco, to z pewnością zamieszkała w jakimś bardziej dyskretnym miejscu. Znow szukał jej po całym mieście.

Niespodziewanie zobaczył ją w Colcampacie. Spotkali się przypadkiem, kiedy Diego kończył tłumaczyć zeznania jednego z więźniów, a Sírax przyszła odwiedzić swojego brata Túpacą Amaru. Dziewczyna wołała nie afiszować się z tym pokrewieństwem i udawała, że jest służącą. Dzięki swojej służce Sulce, która nie odstępowała pani ani na krok, całkiem dobrze wywiązywała się z tej roli. Acuña nie poznałby jej, gdyby nie to,

że przypadkiem na siebie wpadli.

Powstrzymał się w samą porę. Widząc, że jest ubrana pospolicie, niestosownie do swojej rangi, domyślił się, jakie ma zamiary, i udał, że się nie znają. Szedł za nią aż do drzwi. Potem uliczką. I dopiero gdy zeszli z oczu strażnikom, a jeszcze nie wmieszali się w tłum, szybko poprosił, żeby nazajutrz w południe przyszła do siedziby Towarzystwa Jezusowego. Tam gdzie znalazła schronienie jej matka Quispi Quipu, kiedy wyrzucono ją z Domu Wężów.

Dziewczyna odmówiła gniewnie. Dopiero Cristóbal de Fonseca musiał jej wytłumaczyć, że niesłusznie oskarża Diega o współnictwo z Martinem de Loyolą. Nic bardziej mylnego, tłumaczowi zależało jedynie na tym, żeby ją odnaleźć i uratować.

Kiedy młodzi spotkali się wreszcie w siedzibie zakonu, Sírax z płaczem zaczęła mu wyrzucać, że się na nim zawiodła, złamał dane słowo i wziął udział w ekspedycji przeciwko jej bratu. Serce pękało jej z bólu, gdy zobaczyła go wkraczającego do Cuzco wśród zwycięzców.

Usiłował wytłumaczyć, jak do tego doszło. Przekonywał, że wrócił do Vilcabamby tylko po to, żeby ją chronić i ratować jej najbliższych. Zapewnił, że brat będzie miał sprawiedliwy proces.

Bardzo chciała mu uwierzyć. I w swej desperacji znów kazała mu przysięgać, że mówi prawdę.

Tymczasem wicekról Toledo już postanowił, że Túpac Amaru musi umrzeć. Wiadomość ta spadła na Cuzco jak bomba. Nikt nie przypuszczał, że czterdzieści lat po egzekucji Atahualpy z rozkazu Pizarra powtórzy się taka sama niegodziwość.

Diego de Acuña nie wiedział, co robić. Nie mógł interweniować w sprawie Inki, nie miał takiego autorytetu. Jedyne nadzieje w Cristóbalu de Fonsece. Znów się do niego udał. Nauczyciel powiedział, że właśnie o to zabiega i żeby mu nie przeszkadzać.

Wicekról Toledo okazał się nieugięty. Bardziej liczył się z opinią Martina de Loyoli, któremu wręcz zależało na egzekucji jeńca. To on go wziął

do niewoli, w nagrodę miał otrzymać rękę Beatriz Clary Coi, a ich dzieci będą głównymi kandydatami w sukcesji do tronu.

Kiedy Diego dowiedział się o tym od nauczyciela języka keczua, od razu poszedł wytłumaczyć Sírax, co się stało. Ale ona nie chciała go widzieć. Tłumacz zadręczał się wyrzutami.

W dniu planowanej egzekucji Túpaca Amaru Acuña zjawił się w więzieniu razem z Cristóbałem de Fonsecą. Jezuita miał jeszcze nadzieję, że w ostatniej chwili przyjdzie ułaskawienie na mocy indultu.

Patrzyli, jak wyprowadzają więźnia z celi. Wsadzili go na muła przykrytego czarnym aksamitem. I popędzili w dół po zboczu, a potem przez ulice Cuzco – na miejsce kaźni.

Szafot wzniesiono na Plaza de Armas, gdzie w nie tak dawnych czasach święcili triumfy jego poprzednicy na tronie Inków. Czarne sukno spowijało rusztowanie.

Rozglądając się uważnie wokół siebie, Diego dostrzegł Sírax w tłumie. Stała na balkonie, cała zapłakana. Dawał jej znaki, ale go nie widziała, próbował przedostać się bliżej – było to niemożliwe. Nawet urzędnik sądowy na koniu miał kłopot z utorowaniem sobie drogi w tłumie i rozdzielał laską ciosy na prawo i lewo.

Wielu poddanych przyklękało na widok skazańca. Túpac Amaru odpowiadał skinieniem głowy. Jego twarz nie wyrażała nic oprócz zaszępienia. Wszystkie wzgórza były najeżone Indianami. Morze głów falowało na ulicach i placach, ale tylko w jednym kierunku. Na trasie przejazdu stało co najmniej piętnaście tysięcy osób i było tak ciasno, że szpilki nie dałoby się wcisnąć, a gdyby rzucić pomarańczę do góry, nie miałyby gdzie spaść.

Inka wszedł na szafot. Całą swą postawą wyrażał niezachwianą godność. Dopiero gdy przyszło mu się zegnać z nieletnimi dziećmi, widać było, ile go kosztuje zachowanie takiego spokoju. Wreszcie pojawił się kat – Indianin z plemienia Canari. Wyjął swój wielki nóż i przymierzał się do ścięcia skazańcowi głowy. Wtedy wśród Indian podniósł się wielki krzyk. Tłum zafalował gwałtowniej. Krzyk przeplatany z lamentem był tak silny, że nawet niebiosy musiały go usłyszeć.

Túpac Amaru podniósł prawą rękę i otwartą dłonią dotknął ucha. Potem powoli opuścił i oparł dłoń na udzie. Budził taki szacunek wśród poddanych, że nawet teraz posłuchali natychmiast, wystarczył jeden jego gest, żeby ucichli. Zaległa głęboka, niczym niezakłócona cisza. Nikt się nie poruszył. A przecież widzieli go po raz pierwszy, bo dotąd ukrywał się w Vilcabambie. Przemówił do nich krótko w keczua, wymieniając trzykrotnie imię Punchao.

Wielu Hiszpanów również było wzruszonych. Cristóbal de Fonseca jeszcze raz poprosił wicekróla o darowanie życia Ince. Do tej prośby przyłączyli się inni zakonnicy. Ale Toledo nie chciał ich wysłuchać i dał znak, żeby rozpocząć egzekucję.

Właśnie w tym momencie pojedynczy krzyk przeszył ciszę. To krzyczał Diego, który stał obok Cristóbala de Fonseki. Jednym ruchem ręki odepchnął Martina de Loyolę i usiłował przedrzeć się na szafot. Nie uszedł daleko. Kuzyn świętego Ignacego obalił go ciosem w głowę i kazał halabardnikom, żeby go zatrzymali.

Ze swego miejsca Acuña widział dokładnie, jak na znak wicekróla kat podchodzi do Inki. Bierze go za włosy lewą ręką, a w prawej trzyma ostrą jak brzytwa szpadę, którą wprawia w ruch obrotowy, nie szczczędząc sił. Ostrze zabłysło w powietrzu i zakreśliło fatalną linię w kształcie wachlarza, zanim dotknęło szyi skazańca. Cios był celny, głowa od razu odpadła od tułowia, trysnęła krew, rozbryzgując się na wszystkie strony.

Kat podniósł drżącą jeszcze głowę z drgającymi powiekami i trzymał ją w górze, podczas gdy ciało osuwało się powoli z pnia na platformę rusztowania. Z tysięcy gardeł wydarł się przeraźliwy jęk, jakby całe miasto zapłakało. Halabardnicy musieli zrobić zaporę ze swej broni, żeby powstrzymać napierający tłum.

Diego de Acuña jako tako doszedł do siebie, choć wzrok jeszcze mu się mącił od uderzenia w głowę. Wyjął szpadę.

Ale Loyola chyba był na to przygotowany, bo natychmiast wyciągnął swoją i trzymając ją w obu rękach, zamachnął się silnie, zwalając z nóg młodego skrybę. Zabiłby go na miejscu, ale Cristóbal de Fonseca pospieszył

na ratunek swojemu uczniowi, zasłaniając go własną pierśią i wzywając pomocy. Poważnie ranny młodzieniec został przeniesiony do infirmerii jezuitów.

I właśnie tam, kiedy odzyskał przytomność, u wezglowia łóżka zobaczył Sírax.

Od niej dowiedział się reszty. Między jednym a drugim szlochem opowiedziała, że po egzekucji głowa Túpaca Amaru zawisała na wystawionym na Plaza de Armas palu, tuż obok miejsca, gdzie został stracony. Gdy zapadła noc, wielkie rzesze Indian przyszły oddać cześć swojemu Ince i żadne kary nie mogły ich od tego odwieść. Ciało przełożono na nosze, które zakonnicy i arystokraci indiańscy zanieśli do ojców dominikanów, żeby je pochować w krypcie klasztoru Świętego Dominika, gdzie spoczywał już jego brat Sayri Túpac. Niegdyś znajdowała się w tym miejscu Świątynia Słońca, Coricancha.

Podczas gdy życie Diega wisiało na włosku, Sírax czuwała przy nim w infirmerii we dnie i w nocy. Potem poczuł się trochę lepiej i był tak ożywiony, że wszyscy, którzy przy nim byli, ucieszyli się i mieli nadzieję, że niebezpieczeństwo minęło, a ranny wraca do zdrowia.

Ale wywiązała się gangrena. Jego życie znów było zagrożone, więc postanowił zdradzić swojemu nauczycielowi prawdziwą tożsamość dziewczyny. Kiedy Cristóbal de Fonseca poznał ten sekret, zaczął obawiać się o los księżniczki, o to, co będzie, gdy ktoś go odkryje. Im więcej o niej wiedział, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że trzeba coś zrobić, aby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Przyczyniło się do tego również postępowanie Martina Loyoli. Poślubiwszy Beatriz Clarę Coyę, zamknął ją w klasztorze Świętej Klary. Wszak osiągnął już to, czego najbardziej pragnął: wicekról przekazał mu jako małżonkowi i kapitanowi swej gwardii wszystkie nadania i ziemie dziewczyny położone w przepięknej dolinie Yucay, które należały do jej ojca Sayriego Túpaca. Kuzyn świętego Ignacego miał przy tym jeszcze jedną nikczemną prośbę: umieścić w swym herbie uciętą głowę w uznaniu dla roli, jaką odegrał w egzekucji Túpaca Amaru, który był stryjem jego obecnej żony.

Prośbę tę odrzucono. Królewski dwór miał więcej rozsądku niż ten ambitny dorobkiewicz.

Jego młoda żona nic nie skorzystała na tym ślubie. Nie dość, że mąż trzymał ją w klasztorze, to jeszcze nie skonsumował małżeństwa. On sam twierdził, że to dlatego, że jest Indianką, ale złośliwi dodawali, że kapitan nie interesował się żadnymi kobietami.

To była ostatnia wiadomość, jaką Cristóbal de Fonseca przekazał Diegowi de Acuña, zanim rozpoczął przygotowania, żeby wyruszyć z Sirax do Hiszpanii. Mógł to uczynić, ponieważ wicekról Toledo powierzył mu w wielkim sekrecie misję przewiezienia do Madrytu złotego bożka Punchao. Wysyłając tę bezcenną zdobycz Filipowi II, wicekról pragnął zatrzeć złe wrażenie z powodu egzekucji Túpaca Amaru, która wywołała wiele protestów. Zasugerował Jego Wysokości podarowanie Punchao papieżowi. Dlatego wybrał do tej misji jezuitę i Czarny Okręt, który gwarantował całkowitą dyskrecję.

Dowiedziawszy się o tym, tłumacz powziął najniezwyklejszą decyzję, jaka kiedykolwiek zrodziła się w umyśle skryby. Postanowił, że coś jeszcze dopisze do swojej *Kroniki* i poprosi Cristóbala de Fonsecę, żeby zabrał ją do Hiszpanii. Sirax będzie mogła z niej skorzystać, kiedy zaczną dochodzić swoich praw do sukcesji.

Resztkami sił napisał memoriał, który stał się wstrząsającym świadectwem zniszczenia kultury inkaskiej. Prawdopodobnie zamierzał jedynie udokumentować pochodzenie Sirax. Ale już po kilku pierwszych zdaniach w jego tekście pojawił się ton oskarżycielski dyskredytujący konkwistę i kolonizację. Nie tylko tę hiszpańską, ale i każdą inną. Przynajmniej raz historia nie została zredukowana do tej niezdolnej parady zwycięzców, wśród których nigdy nie brak morderców i złodziei.

Dla Uminy i Sebastiána szybko stało się jasne, że tego memoriału nie można było nigdzie pokazać bez obaw, że wywoła skutki odwrotne do zamierzonych. Ten rozpaczliwy alegat powstał w momencie, gdy Diego walczył z cierpieniem fizycznym i duchowym. Spodziewał się najgorszego, więc tym bardziej pragnął zatrzymać obrazy, które nachodziły go nagle, jak gwałtowne podmuchy wiatru, i rozwiałyby się, znikłyby razem z nim, gdyby

nie przelał ich na papier.

Pisał więc:

Ja, Diego de Acuña, zamieszkały w mieście Cuzco, stolicy królestwa Peru, poszkodowany na ciele, ale zdrowy na umyśle, z nienaruszoną pamięcią i wolą, pragnę złożyć niniejsze świadectwo, ażeby przynieść ulgę duszy mojej.

Oświadczam Jego Królewskiej Mości, katolickiemu królowi Filipowi, naszemu panu, iż kiedy wkroczyliśmy w te dominia i odebraliśmy je Ince, który nimi władał jako swoją własnością, w kraju był porządek i dobre obyczaje. Ludzie żyli w spokoju, góry bielity się od pasących się lam, spichlerze były pełne, ziemie dobrze uprawiane i nawadniane.

Zdobyliśmy władzę siłą broni. Pozbawiliśmy ich łąk, pastwisk, nie bacząc, że są dla nich święte, bo oddawali cześć każdej skale, potokom i drzewom. Nie tak jak my, którzy nie widzimy żadnej różnicy między jednym a drugim kawałkiem ziemi, porzucamy groby naszych ojców i miejsca, gdzie rodziły się nasze dzieci. Tymczasem oni traktują ziemię jako matkę, a nie wroga.

Nalozżyliśmy na nich daninę, której nie mogli uiścić, bo nie mieli z czego. Nawet wtedy, gdy zamarzyli im zbiory, musieli płacić podatki i pozostawali bez środków do życia. Gdy zachorowali, bali się szukać pomocy, bo nie było ich na to stać. W tym, w czym chodzą za dnia, śpią w nocy, a ten, kto ma jedną zmianę ubrania, uważany jest za bogacza. Porozpadały się tarasy i perony utrzymujące dawniej górskie zbocza w doskonałym stanie. Pozatykały się kanały i rowy wodne. Zniszczały ulice i mosty, albowiem nikt ich nie reperował. Opustoszały spichlerze, wyginęły stada lam. Sam widziałem, jak zabijano je dla ich mózgu, który uchodzi za wielki przysmak, a resztę wyrzucano. Przez cztery lata wybiliśmy więcej tych zwierząt niż Indianie w ciągu czterech stuleci panowania Inków.

Zdeprawowaliśmy tubylców, którzy nie mieli w swym charakterze skłonności do przestępstw ani żadnych ekstrawagancji. Dawniej Indianin, który trzymał w domu sto tysięcy pesos w złocie i srebrze, nie zamykał drzwi, kiedy musiał wyjść, tylko przegradzał je kijem na znak, że gospodarza nie

ma. Każdy to wiedział i nie wchodził do środka. Przeto gdy zobaczyli, ilu u nas złodziei, przestali nas szanować.

Daliśmy im zły przykład i to królestwo jęło podupadać, albowiem zanim tu przybyliśmy, Indianie nie robili nic złego, a przy nas znaleźli się w takim stanie, że nie robią już prawie nic dobrego.

Pozbawieni pożywienia i wełny, których dostarczały im ich zwierzęta, snują się teraz po wzgórzach wygłodniali, półnaczy, jęcząc i narzekając niczym dusze czyścicowe. Tym to sposobem rasa, zmierzająca pewnym krokiem do dobrobytu, została wykolejona i zniewolona.

Taki Huayna Cápac, którego mamy za barbarzyńcę, potrafił atoli utrzymywać w swym królestwie ład tak wysmienity, że nie powstydzilby się go Aleksander Wielki ani żaden z najpotężniejszych królów starożytności. Ziemia obfitowała w zbiory i dla wszystkich starczało, a teraz widać tylko opuszczone zagrody. Przeto panowanie Inków było lepsze i skuteczniejsze, Indian przybywało, a teraz są na wyginięciu i jeżeli nic się nie zmieni, to za parę lat nikt z nich nie zostanie. A kiedy zabraknie Indian, skończą się rzędy wicekróla, bo nie będzie miał nad kim panować, straci na tym ta ziemia i całe jej bogactwo, bo to Indianie ją uprawiają i wydzierają jej całe złoto i srebro płynące do Hiszpanii.

Indianie stracili ochotę do życia, albowiem czują, że ani oni, ani ich dzieci czy wnuki nie zazną w tym życiu nic lepszego prócz ciężkiej pracy.

Jedni umierają z głodu, inni przez powieszenie lub spożycie trujących ziół. Matki zabijają nowo narodzone dzieci, pragnąc oszczędzić im takiego życia, jakie jest ich udziałem. Serce boli patrzeć, jak giną ludzie tak pokorni i pełni posłuszeństwa.

Umina i Sebastián długo milczeli głęboko poruszeni tym wywodem.

Pierwszy odezwał się inżynier, żeby powiedzieć:

– Została jeszcze jedna strona.

Przeczytał. Była tam mowa o tym, że Diego przetłumaczył Sirax swój memoriał. A wtedy ona zrobiła coś jeszcze bardziej dziwnego. Poprosiła skrybę, żeby nie odkładał pióra i pisał dalej, bo chce mu coś podyktować w

języku keczua. I zdejmując z szyi czerwone kipu, wzięła je do ręki tak, jak się bierze różaniec, i zaczęła recytować całą listę nazw, przesuając w palcach węzełki i sznurki.

– Ciekawe, co było na tej liście. – powiedziała Umina do Sebastiána, wpatrując się w ostatnią stronę *Kroniki*. – Bo tu jest tylko kilka słów w keczua. Dalej relacja się urywa, brak dalszego ciągu.

– Skoro Sírax podyktowała ją Diegowi, to znaczy, że ta lista jest transkrypcją.

– Nadzwyczajne! Byłaby to jedyna transkrypcja zachowana do naszych czasów. Dzięki niej można by rozszyfrować ten język sznurków i węzłów.

Inżynier odsunął na bok kota, który spał mu na kolanach, i zaczął przyglądać się oprawie książki. Otwierał ją i zamykał, żeby na koniec stwierdzić:

– Nic z tego. Oba dowody zniknęły. Ktoś wyrwał trzy ostatnie kartki. I nie wiemy, gdzie szukać tego kipu.

Pokazał jej ślad po brakujących stronach *Kroniki* – w jednym miejscu wystawał kawałek nitki.

Luna wysunęła łapkę, żeby złapać ten cienki sznureczek. Zaczepiła pazurkami. Sebastián chciał pomóc kotce i odsunął ją na bok, ale ona pociągnęła za sobą nitkę i cała oprawa się rozpadła.

Stare kartki papieru leżały teraz luzem, przemieszane niczym karty do gry. Inżynier zaczął je zbierać do kupy, natomiast Umina zajęła się czerwoną nitką.

Odpędziła chętną do zabawy kotkę i powiedziała do Sebastiána:

– Pytał pan o kipu... Tu jest.

– Ta nitka? – Sebastián spoglądał z niedowierzaniem. – Wygląda jak z jedwabiu.

– To wełna z wigonia. Najcieńsza i najdelikatniejsza w całych Andach. W niej zawarte jest to, czego tyle osób szukało i nadal szuka.

Pokazała mu poczwórny krwawy węzeł.

– Umie to pani rozszyfrować?

– Nie – przyznała. – Nie wiem, czy żyje jeszcze ktoś, kto to potrafi. Chyba że w okolicach Cuzco.

Przerwali rozmowę, bo od strony bocianiego gniazda dobiegło wołanie marynarza, który dostrzegł ziemię. Podróż dobiegała końca. Wkrótce wylądują w Panamie. Na pokładzie zaczynały się przygotowania do wyjścia na ląd.

Spojrzeni po sobie ze świadomością, że zbliża się rozstanie, będą musieli się pożegnać. On zostanie przekazany władzom stałego lądu, a ona zaczeka na rozładunek towaru i przesiądzie się na statek handlowy, który znajdzie się u wybrzeży Pacyfiku.

Dla Sebastiána była to też ostatnia okazja, żeby poznać mordercę ojca i stryja.

– Teraz albo nigdy – powiedział Fonseca, zrywając się z miejsca.

– Gdzie pan idzie?

– Muszę sprawdzić, do kogo należy ten bagaż w ładowni.

– Co mam z tym zrobić? – zapytała Metyska, pokazując na *Kronikę* i kipu.

– Może je pani zatrzymać. I proszę to wziąć, przyda się do zapakowania. – Podał jej ceratową torbę. – Ale pod jednym warunkiem...

Szukał między kartkami, aż znalazł list stryja Álvara.

– Proszę przekazać ten list adresatowi w Limie. Natomiast co do *Kroniki* i kipu, to sądzę, że pani zrobi z nich lepszy użytek niż ja. Mam wrażenie, że mają wartość tylko tam, skąd pochodzą. A mnie raczej nie uda się dotrzeć do Peru. Zresztą to pani własność. My, Fonseca, byliśmy tylko depozytariuszami, jak sama pani powiedziała. *Kronika* i kipu mogą poczekać, skoro czekają już od dwustu lat. A ten list nie może. Trzeba go jak najszybciej przekazać. Niestety, nie jest to w mojej mocy.

35 Twarzą, w twarz

Musiał sprawdzić, kim jest jego wróg. Nareszcie miał swobodę ruchów, po raz pierwszy i może ostatni. Trzeba tylko odszukać kufer załadowany na statek przed wypłynięciem z La Carraca. Bagaż z zieloną opończę, która ma uszkodzoną srebrną klamrę. Jeśli mu się nie uda, morderca będzie miał wszystkie atuty w rękę. Na dodatek już wie o obecności Uminy na pokładzie. Pora zacząć działać, korzystając z zamieszania wśród załogi, która już przygotowuje się do zejścia na ląd.

Cały problem w tym, że musi zejść do ładowni, aby odnaleźć ten bagaż.

Skierował się do schodów rufowych i zszedł na międzypokład. Przejrzał wnęki z bagażami marynarzy, ale nie było kufra, którego szukał.

Zszedł więc do ładowni. Znów znalazł się w miejscu tak dobrze sobie znanym, gdzie ukrywał się przez kilka tygodni. Musi się pospieszyć, bo zaraz po zacumowaniu marynarze przystąpią do rozładunku.

Wziął ręczną latarnię, zapalił i przeszedł do części, którą Hermógenes nazywał „Świętym Grobem”. Czuł pod stopami trzask łupin migdałów pokrywających podłogę między kamieniami balastowymi. Przypomniał sobie powiedzenie cieśli „śmierdząca zęza to bezpieczeństwo dla kadłuba”. Jego zdaniem brud chroni drewno kadłuba przed robakami okrętowymi. Jeśli to prawda, temu okrętowi nic nie grozi. Wielki brzuch „Áfriki” cuchnął tak potwornie, że zatykało oddech.

Szedł po omacku przez platformę, która flankowała ładownię: pomost na stałe przytwierdzony do kadłuba jako boczna keja załadunkowa. W dole leżały w stosach ogromne beczki z wodą, wysokie i wydłużone baryły, które z łatwością mieściły sześćdziesiąt cztery arroby^{*}; były podparte klinami, żeby się nie przemieszczały. Wiele z nich było już pustych, gdyż podczas rejsu zużyto ich zawartość.

* Arroba (hiszp.) – hiszpańska i portugalska miara objętości wynosząca w różnych prowincjach tych krajów od 10 do 15 litrów.

Badał miejsca, do których nie miał dostępu w czasie swego wcześniejszego, sekretnego pobytu w tym pomieszczeniu. Widział mocne drewniane skrzynie ostemplowane pieczęciami komory celnej. Mógł poznać ich zawartość, jedna z nich bowiem rozbiła się podczas sztormu i wydostawały się z niej delikatne tkaniny.

Prowadził dalej tę inspekcję, aż zatrzymał się w kącie, gdzie dobrze przywiązany brezent okrywał ściśle jakiś wydatny kształt. Ukryto go wśród drewna i baryłek dziegciu, ale teraz był widoczny, gdyż obniżył się poziom zużytego już częściowo paliwa. Musiał to być jakiś przemycany towar. Specjalnie zrobiono przestrzeń między beczkami, aby umieścić ten tak troskliwie przechowywany ładunek.

Dlaczego tu, a nie na najniższym pokładzie, jak cała reszta? – zastanawiał się.

Złożono go w pobliżu wielkiego luku załadowniczego otwartego na dziobie i obsługiwanego przez znajdujący się tam kabestan, dzięki czemu mógł być łatwo spuszczonej oraz szybko i dyskretnie wyładowany.

Zszedł po wrębach jednego ze słupów podpierających klapę ładowni i podszedł do tego pakunku. Nie było na nim pieczęci komory celnej. Odwiązał linę mocującą brezent i kiedy poświecił sobie latarnią, zobaczył, że są tam warsztaty tkackie.

Angielskie krosna mechaniczne. To wyjaśnia, dlaczego ukryto je tutaj. Bez wątplenia ktoś chce je przeszmuglować, pomyślał.

Ale było coś więcej. Grzebiąc wśród części krosien, znalazł broń.

Cała partia broni palnej!

Usiłował zorientować się w sytuacji. Musiał to być ładunek, na którego temat Montilla pertraktował w Kadyksie z Anglikami. Czy miało to coś wspólnego z brytyjskimi fregatami, które usiłowały ich zatrzymać? Montilla znał trasę „Áfriki” i nakłaniał kapitana do podjęcia walki z nieprzyjacielskimi okrętami. Tylko ktoś taki jak markiz mógł być tak zuchwały, żeby dokonywać przemytu na okręcie wojennym. Ktoś, kto dysponował własnym wojskiem, żeby móc poruszać się po Peru z bardzo konkretną misją: chciał odnaleźć zagubione miasto Inków i ich skarby pod oficjalną przykrywką, jaką dawała mu ekspedycja „naukowa”.

Teraz musiał zlokalizować zieloną opończę ze złamaną zapinką i poznać tożsamość tego, kto działał w cieniu Montilli, wykonując wszystkie tajne i niebezpieczne zadania, dzięki czemu reputacja markiza nie była narażona.

Podniecony zaczął szukać w pośpiechu, nie zwracając uwagi na hałas, jaki wywoływał. Nie zauważył też, że ktoś porusza się ponad nim i stara się poznać jego dokładną pozycję.

Nie upłynęło wiele czasu, zanim Sebastián natrafił na mocno okuty kufer, do którego przymocowana była na zewnątrz zielona opończa.

Wreszcie dowiem się, kim jesteś, morderco, powiedział sobie w duchu. Wyłamał wieko kufra. Na wierzchu zobaczył bieliznę i ubrania na zmianę. Kiedy sięgnął głębiej, zaczęły pojawiać się dokumenty. I nazwisko, które w nich znalazł, zaskoczyło go do tego stopnia, że o mały włos nie wypadła mu z rąk latarnia. Zwłaszcza kiedy usłyszał z góry głos za swoimi plecami:

– Szczury wracają zawsze do spizarni. Znalazł pan coś ciekawego w moim bagażu?

Kiedy obrócił się i podniósł oczy, oślepił go blask abordażowego topora, który dzierzył przeciwnik. Nie widział pod światło jego twarzy. Ale wyraźne zgrubienie na lewym ramieniu, pod kurtą, pozwalało się domyślać, że jest to bandaż położony na ranę, którą on sam mu zadał ciesielskim dłutem.

A więc to był ten człowiek, którego Montilla usiłował zgubić podczas sztormu i który w rzeczywistości się ukrył, ponieważ Qaytu go rozpoznał. Po tym jak nie udało mu się wyrzucić Indianina za burtę, musiał pozostać w ukryciu do chwili potajemnego zejścia z okrętu.

Teraz, kiedy już poznał jego tożsamość, ten nędznik nie pozwoli mu ująć z życiem. Jego wróg miał na wyciągnięcie ręki stały ląd, *Tierra Firme*, i mógł zbiec bez trudu. I z pewnością pomyślał: Teraz albo nigdy.

Sebastián był łatwym celem. Nie miał broni. Przede wszystkim zgasił latarnię. W ten sposób zwiększył swoje szanse, jako że znał dobrze tę ładownię, teraz zaledwie oświetloną przez latarnię jego przeciwnika i słaby blask padający z luku.

Ale jego wróg też poruszał się zwinnie. Mimo zgaszenia latarni ciosy topora, którym wymachiwał w ciemnościach, nie stały się mniej niebezpieczne.

Topór świstał w pobliżu jego głowy, zmuszając go do cofania się, aż zapędzony w kąt oparł się plecami o beczki.

W tym momencie nastąpiło gwałtowne szarpnięcie wywołane manewrami cumowania okrętu i spadło na niego kilka beczek z dziegciem. Zaledwie miał czas, żeby przyłgnąć do kadłuba i uniknąć zmiżdżenia. Teraz Fonseca był pogrzebany w wąskiej przestrzeni między ciężkimi beczkami.

Usiłował zorientować się w sytuacji, sporządzając błyskawicznie kompozycję miejsca. Przede wszystkim, jeżeli wróg zechce upewnić się co do jego śmierci albo go zrewidować, musi zejść tu, gdzie znajduje się Sebastián.

Widział światło jego latarni. Napastnik był nad nim. Trzymał się lżejszych beczek, tych z wodą, i zaczął schodzić w kierunku miejsca uwięzienia Fonseki. W szczelinie między beczkami błyszczały srebrne klamry jego butów.

Zaczął macać wokół siebie, aż znalazł łopatę do rozrzucania i ubijania na podłodze lupin z migdałów. Była z żelaza i bardzo ostra. Jego jedyną szansą było poczekać, aż przeciwnik znajdzie się w zasięgu jego ręki, i

uderzyć go po nogach z wystarczającą siłą, by go przewrócić. Ale najpierw musi zaczekać, aż tamten go uwolni, gdyż samodzielnie nigdy nie zdołałby stąd wyjść. Najważniejsze to dobrze wyliczyć chwilę i miejsce.

Słyszał, jak przeciwnik z wysiłkiem przesuwając beczki, posługując się toforem jako dźwignią, i jak one toczą się w głąb ładowni. Została już tylko jedna, szczególnie ciężka, i droga będzie wolna.

Kiedy tylko zaczął odsuwać tę ostatnią beczkę, zagradzając przejście, Sebastián uderzył go z całej siły łopata w kostki. Usłyszał krzyk bólu, jęki wysiłku, aby utrzymać się na nogach, i świst topora, którym przeciwnik usiłował go dosięgnąć, a który trafił w beczkę. Ta przewróciła się na inżyniera.

Otwierano już luki i światło słoneczne zalało wnętrze ładowni. Usłyszał, jak jego przeciwnik pełźnie na czworakach, dysząc ciężko wśród przekleństw i bluźnierstw, a potem wspina się po wrębach jednego ze słupów podpierających klapę ładowni. Bez wątpienia uciekał, żeby nie znalazł go w tak kłopotliwym miejscu i położeniu.

Uwięziony pod beczką Fonseca rozpoznawał odgłosy charakterystyczne przy wpływaniu do portu. Najpierw była to wymiana pozdrowień, potem wołania marynarzy z okrętu, którzy zwracali się do tych na nabrzeżu, aby uważali na cumy. Potem dźwięgi, trzask kabestanów i metaliczny zgrzyt łańcuchów o skrzynie.

Ale wszystko to docierało do niego jak przez mgłę. Ogarniała go dziwna słabość i mącił mu się umysł. W tej ciężkiej beczce, która na niego spadła, powstała niewielka szczelina od uderzenia toforem przez jego wroga na moment przed upadkiem. I teraz wypływała z niej, kropla po kropli, jej zawartość.

Nie był to dziegieć, lecz jakaś srebrzysta strużka. Padając na jego ciało, rozpryskiwała się na maleńkie kulki. W każdej z nich mógł zobaczyć w zniekształceniu swoją pełną trwogi twarz.

Potem ten wyciekający płynny metal dotarł na dno ładowni i przedostał się między łuskami migdałowymi, szukając sobie miejsca. Była to rtęć.

A Sebastián wiedział, jak bardzo toksyczne są jej opary.

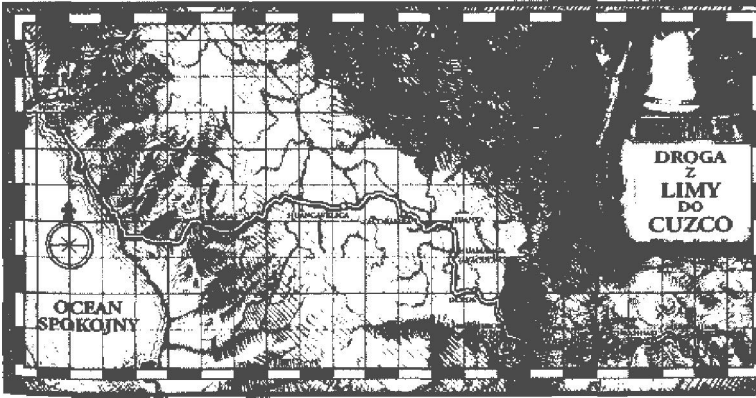
Zanim jego umysł pogrążył się w mroku i myśli zaczęły tonąć w tych miazmatach, zdał sobie sprawę, że oto kończy swą podróż tak, jak ją zaczął: żywcem pochowany w tej cuchnącej ładowni. A więc po to przemierzył Atlantyk, przeczytał ową *Kronikę* i odkrył w końcu tożsamość mordercy, poznał jego imię, które jednak zostanie pogrzebane wraz z nim. Godny koniec dla syna wieku postępu.

CZEŚĆ TRZECIA

Zmęczony Kamień

I

Miasto Królów



36 El Callao

Stojąc koło steru, Umina dyskutowała z kapitanem statku, oparłszy ręce na biodrach. Nie było to na „Áfrice” ani na wodach Atlantyku. Płynęli przez Pacyfik na powolnym statku pocztowym. Oficjalnie nazywał się „Matka Boska Bolesna”, ale marynarze nazywali go między sobą „Ruina”. Płynęli na południe, trzymając się blisko wybrzeża, do portu El Callao w pobliżu Limy.

- Potrzeba mi więcej jajek – nalegała Umina.
- Pani zabiera nam wszystkie – narzekał kapitan.
- To i tak za mało.

Obok niej Qaytu potrząsał stanowczo głową.

- W porządku. Wygrała pani! – zgodził się marynarz.

Podszedł do klatek z kurami i wybrał wszystkie jajka, jakie znalazł.

Umina poukładała je ostrożnie w koszyku i poszła do kuchni. Wzięła dużą glinianą miskę i zaczęła oddzielać żółtka od białek.

Białka oddawała Qaytu, który ubijał je mocno, dolewając po trochu wody. Następnie skierowali się do miejsca dobrze zasłoniętego od wiatru i ciekawskich spojrzeń.

Zbudowali małe pomieszczenie z kartonów, które statek wiozł do fabryki cygar. W środku na sienniku leżał Sebastián de Fonseca.

- Proszę to wypić – nakazała dziewczyna, podtrzymując mu głowę.
- Znowu? – zaprotestował. – Gardło mam już tak czyste, że mógłbym śpiewać w operze.
- O nie! Tylko tego nam jeszcze brakowało... – roześmiała się. – Qaytu twierdzi, że to najlepsze lekarstwo na zatrucie rtęcią.
- Skąd on się na tym zna?
- Pracował w kopalniach rtęci w Huancavelice. Proszę nam uwierzyć. Jeszcze trochę, a będzie pan wyglądał jak człowiek.

Sebastián miał za sobą bardzo ciężkie dni: gorączka, silne wymioty, skurcze. I choć czuł się już znacznie lepiej, pozostało mu jeszcze drganie warg i powiek.

Umina i Qaytu wyciągnęli go z ładowni „Áfriki” i uprosili kapitana, żeby zostawił ich w Panamie, gdzie mieli liczne znajomości. Kapitan Valdés przystał na prośbę dziewczyny, kiedy zobaczył, w jakim stanie znajduje się inżynier. Wiedział, że nie przeżyje, jeśli znajdzie się w więzieniu. Przed wypłynięciem na morze wręczył Metysce jego dokumenty z zaleceniem, aby oddała je władzom, jeśli Fonseca wyjdzie z tego cało. Miał świadomość, że dziewczyna zrobi, co będzie chciała.

Kiedy minęło pierwsze niebezpieczeństwo, Umina poruszyła niebo i ziemię, żeby uregulować sytuację Sebastiána. Pominęła kłopotliwe szczegóły, jak to, że znalazł się na „Áfrice” jako pasażer na gapę. Obyło się bez zbędnych wyjaśnień i wkrótce mogli kontynuować podróż.

Inżynier zachował bardzo mgliste wspomnienia z tych pierwszych dni przemieszane z majakami gorączki. Dziewczyna nie odstępowała go ani na chwilę. Za każdym razem gdy otwierał oczy w przyływie świadomości, widział, jak przeciera mu czoło albo leży obok pokonana zmęczeniem.

- Co się stało na pokładzie „Áfriki”? – zapytała pewnego dnia.
- Napadł na mnie ten człowiek. Jestem pewien, że chciał mnie zabić. Ale zraniłem go i wolał uciec, kiedy otwarto luki pokładowe, bo bał się, że go ktoś rozpozna.

- Sprawdził pan, jak się nazywa?
- W bagażu miał dokumenty na nazwisko Alonso Carvajal y Acuña.

Na dźwięk tych słów Umina i Qaytu popatrzyli na siebie z niedowierzaniem i przerażeniem.

- Jest pan tego pewien?

Kiedy potwierdził, dziewczyna zmieniła się na twarzy, strużka potu ściekała po jej czole. Zobaczył, że drżą jej ręce, kiedy wyjmowała chusteczkę, żeby obetrzeć twarz. Potem zakryła ją dłońmi i jęknęła rozpaczliwie:

- Boże drogi!

Wstała, żeby wyjść na pokład. Nie było jej dłuższą chwilę. Usłyszał, jak wymiotuje za burtę, tak przynajmniej mu się zdawało. Wróciła blada. Bardzo blada.

- Zna pani tego człowieka? – zapytał.

– Niestety, tak – odparła ponuro. – Nie wiedziałam, że Alonso Carvajal ma drugie nazwisko Acuña. Nigdy go nie używa.

– Tu jest pies pogrzebany. Znalazłem u niego dokumenty potwierdzające, że pochodzi od Diega de Acuña.

- To wiele wyjaśnia – jęknęła słabym głosem.

Czekał, że powie coś więcej, ale Umina była zbyt rozbita. Wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, co usłyszała. Poza tym wyczuł, że nie chce mówić w obecności Qaytu. Zaczekała, aż Fonseca skończy, wzięła od niego miskę, dając znak Indianinowi, żeby odniósł ją do kuchni.

- Kim jest ten człowiek? – zapytał Sebastián.

– Alonso Carvajal ma koło Cuzco wytwórnię tkanin La Providencia. Kiedyś należała do jezuitów. Ale zostali wypędzeni i on ją kupił. Wtedy zaczęły się problemy.

- Dla pani?

Zawahała się. Uciekła oczami, wbiła wzrok w podłogę i powiedziała:

– Dla mnie, dla mojej rodziny i dla wielu ludzi. To on obciął Qaytu język, żeby nie rozpowiadał o okrucieństwach Carvajala wobec Indian... Nie dość, że obciął, to...

Sebastián uzmysłowił sobie, że te wspomnienia budzą w dziewczynie nie tylko strach, przerażenie, ale coś jeszcze, czego nie umiał określić. Czekał cierpliwie, aż się uspokoi.

– ...Zrobił coś okropnego... – kontynuowała Umina. – ...Rzucił obcięty język psu na pożarcie. Ma takiego czarnego mastifa. A Qaytu musiał na to patrzeć, dusząc się własną krwią.

Fonseca wziął ją za rękę i prosił, aby się uspokoiła. Jednocześnie próbował zebrać to wszystko do kupy.

– A więc dlatego chciał się go pozbyć, kiedy tylko zobaczył, że Qaytu jest na pokładzie. Chciał go wyrzucić za burtę. Obawiał się, że Qaytu go rozpozna wśród innych członków ekspedycji pod wodzą Montilli.

– Chyba tak – odparła – ale to nie wszystko...

Bolesne wspomnienie odebrało jej na moment mowę, ale opanowała się i dokończyła:

– Myślę, że to on jest winny śmierci mojego brata...

– Kiedy to było?

– Parę lat temu w Limie. Brat miał popłynąć statkiem do Hiszpanii...

– I co się stało?

Pokręciła głową, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy.

– To było straszne...

Nie mogła mówić. Sebastián zrozumiał, że dla niej Carvajal jest gorszy od najgorszego koszmaru.

Ten człowiek pastwił się nad swymi ofiarami tak okrutnie, że nawet ci, którym udało się przeżyć, byli do końca życia naznaczeni kalectwem. Ale coś jeszcze musiało się wydarzyć – tak straszego, że dziewczyna nadal nie mogła się z tym pogodzić. Wolał nie nalegać. Ścisnął bezwładną dłoń, żeby dodać jej otuchy.

– Rozumiem... To dlatego wybrała się pani do Madrytu zamiast brata – powiedział.

Potwierdziła skinieniem głowy, ocierając załzawione oczy chusteczką.

– Jest coś jeszcze, co powinien pan wiedzieć. Niewykluczone, że to było detonatorem obecnej sytuacji. Jakies dwa albo trzy lata temu pojawił się na arenie wydarzeń indiański kacyk José Gabriel Condorcanqui. Ma dużą posiadłość ziemską niedaleko Cuzco i przedsiębiorstwo transportu przy użyciu mułów. W tysiąc siedemset siedemdziesiąt siódmym wyjechał do Limy i zaczął walczyć o uznanie go prawowitym spadkobiercą tronu Inków, potomkiem Túpaca Amaru. Moja matka i brat złożyli sprzeciw. Było dużo zamieszania z udokumentowaniem praw obu stron. Trzeba było szukać po archiwach. Mam wrażenie, że między innymi to skłoniło Carvajala do działania. Bardzo interesował się przebiegiem sprawy, przekupywał świadków i sędziów, a przy okazji zadbał o własne interesy i zdobył dokumenty dotyczące praw jego rodziny.

– Pewnie w ten sposób, pociągając za różne sznurki, dowiedział się o Fonsecach, związanych w jakiś sposób z Peru, poczynając od Cristóbalą, a kończąc na moim ojcu i stryju Álvaro, który też przebywał w tym kraju. Stryj powiedział mi przed śmiercią, że kiedy zamykano archiwa jezuickie w Madrycie i Limie w związku z kasatą zakonu, ktoś interesował się szczególnie sprawami sprzed dwóch wieków. Myślę, że Carvajalowi zależało na sojuszu z naszymi największymi wrogami i nawiązał kontakty w Hiszpanii, aby mieć Montillę po swojej stronie. A potem już bez większych kłopotów zdobył dla siebie poparcie oficjalne i półoficjalne.

– Tak, to całkiem możliwe – potwierdziła Umina. – A wracając do tego kacyka Condorcanquiego, uważa się go za przyjaciela jezuitów i Anglików, z których pomocą pragnie przywrócić tron Inków i uniezależnić kraj od Korony Hiszpańskiej.

– Czy Carvajal i Montilla bardzo nas wyprzedzili?

– Myślę, że są już w Callao. Ekspedycję Montilli potraktowano priorytetowo i nie musieli na nic czekać. Zobacz pan, że jak tylko wylądują w Peru, markiz będzie zwykłym pionkiem, a Carvajal wyjdzie z cienia i znacznie rządzić. Znajdzie się w swoim żywiole.

– Musi pani bardzo uważać. Będą tam na panią czekać. Ci dwaj nie mają dobrych zamiarów.

– Nie oni jedni będą na nas czekać. Przekazałam wiadomość i zaufany człowiek odbierze nas z portu.

* * *

Płynąc na południe wzdłuż wybrzeża tą drewnianą łajbą, którą z takim optymizmem nazywano statkiem, obserwowali ciągnący się bez końca, monotonny pejzaż. Między Guayaquil a Paitą była tylko jałowa pustynia, wypalona słońcem ziemia, bez innych oznak życia oprócz powykęcanych, upiornych drzew. W głębi wznosiła się Kordylera Andów jak potężna, wezbrana fala z kamienia na wąskim pasie wybrzeża. I to wszystko, co było widać. Z rzadka pojawiała się na tym pustkowiu barwy ochry zielona wstążka wijąca się nieśmiało wokół rzeki, która spadała ze szczytów, tocząc w dół swe wzburzone wody.

Krajobraz ten nie uległ zmianie aż do dnia, kiedy o zachodzie słońca ujrzeli na horyzoncie latarnię wyspy San Lorenzo z osławionym więzieniem. Szarawe, ponure skały na wprost przed nimi wskazywały drogę do portu Callao. Z daleka widać było mury Real Felipe.

Statek zarzucił kotwicę, ale kapitan poinformował ich, że muszą pozostać na redzie. W porze nocnej nikt nie może zejść na ląd i nie wolno rozładowywać statku. Takie przepisy obowiązywały od ubiegłego roku w ramach walki z przemytem. Królewski dekret nakazywał przeprowadzać dokładną rewizję towarów i pasażerów wkraczających do portu. Zamiast protestować, niech lepiej przygotowują dokumenty do okazania urzędnikom komory celnej i w biurze rejestracyjnym.

Musieli zadowolić się oglądaniem z pokładu białych domów Callao, żółknących wraz z zachodem słońca. Gasnące światło wznosiło się znad wybrzeża, połykało nabrzeżną równinę i brązowawe wzgórza i nikło za Kordylerą. Ostatnie promienie zabłyśły nieśmiało na pokrytych śniegiem szczytach, światłem najpierw ciemnoczerwonym, potem fioletowym i na koniec wszystko pokryła noc rozjaśniona Krzyżem Południa.

Ranek zaskoczył ich dziwną ciszą. Callao zniknęło przykryte gęstą mgłą. Prześwitywały przez nią uśpione statki, łodzie i barkasy, które

powoli kołysały się w porcie wśród krzyków mew, burzyków i pelikanów. Ptaki krążyły nisko między masztami, gotowe spaść na ławice sardynek, które zbierały się i rozbiegały wraz z falami jak otwierany i zamykany wachlarz.

Budynki miasta były rozmazaną plamą. Bardziej odgadywało się, niż widziało, profil dachów, niezgrabną, ciemną dzwonicę przy kościele i bastiony z groźnymi bateriami armat. Wszystko miało kształty nierealne, rozszerzone, jakby oglądane przez lupę.

Sebastián obudził się wcześniej, niespokojny, i wyszedł na pokład, gdzie oparł się o burtę, wypatrując wejścia do portu. Raptem zastygłe powietrze przeszył chrapliwy dźwięk, coś między sapaniem a ponurym rykiem. Z wody wyłonił się łeb zwierzęcia przypominającego wielkie cielę.

– To lew morski – wyjaśniła stojąca za Sebastianem Umina, którą rozbawiło jego zaskoczenie.

– Ach tak, to miło, dzień dobry – przywitał się z nią.

– Teraz jest okres rui i samce walczą ze sobą – powiedziała, pokazując na zwierzęta. – Ale są nieszkodliwe, a przy dużej mgłę służą marynarzom jako przewodnicy. Pokazują, gdzie są skały, bo tu nie ma dzwoniów ostrzegających.

Kapitan poinformował, że mają już pozwolenie i łódka dowiezie ich do nabrzeża.

Kiedy tam dotarli i stanęli na twardej ziemi, zaczekali, aż tragarze skończą przeładowywać ich bagaż na płaskie wózki, a następnie udali się do komory celnej.

Przy wyjściu czekał na nich wysoki mężczyzna przy tuszy. Ubrany był w pludry i kaftan z niebieskiego aksamitu, ze złotymi galonami i guzikami. Pod spodem czerwona kamizelka dobrana pod kolor pończoch. Na trzech palcach dłoni błyszczały pierścienie wysadzone drogimi kamieniami.

– Przedstawiam panu don Luisa de Zúñigę – powiedziała Metyska do Sebastiana. – Kupiec i armator, wspólnik mojego zmarłego ojca, jedna z najważniejszych osobistości w Limie.

Mógł mieć około pięćdziesięciu lat i choć wiek swoje zrobił, był wesoły

i uśmiechnięty. Wydatny nos pokryty żyłkami i rumiane policzki zdradzały skłonność do dobrej kuchni i wypitki.

– Cieszę się, że dostałeś moją wiadomość – powiedziała Umina, całując go serdecznie na powitanie. Po czym odsunęła się na bok i dodała: – To Sebastián de Fonseca, pisałam ci o nim. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby się z nami zabrał, prawda?

– Oczywiście! Inaczej być nie może! Witam pana. Wyjeżdżamy stąd, jak tylko skończą ładować bagaże. Nie podobają mi się te typki. – Pokazał na placyk w pobliżu przystani.

Sebastián podziękował i spojrzął w tamtym kierunku. Właściwie trudno powiedzieć, kogo miał na myśli Luis de Zúñiga, gdyż tyle ludzi kłębiło się wokół dymiących piecyków, przy których uwijały się Indianki. Dobiegał stamtąd smakowity zapach skwarków, smażonej ryby, mięsa i ziemniaków z ostrymi papryczkami. A kiedy zasłona dymu rozwiewała się nieco, można było zobaczyć półprzezroczyste jak alabaster bloki solne, skrzynie z korą drzewa chinowego, brązowe bryłki cukru owinięte w liście bananowe i chmary much...

Ale Zúñiga nie to miał na myśli, tylko mężczyzn otaczających kolasę, która miała ich zawieźć do Limy oddalonej o prawie trzy mile od portu Callao. Wśród tragarzy pomagających przy ładowaniu bagażu kręciło się paru osobników, którzy usiłowali kontrolować pasażerów. Fonseca rozpoznał jednego z nich: to członek ekspedycji Montilli, duży, a głupi Bracamoros, z którym pobił się na pokładzie.

Jak tylko bryczka była gotowa, wsiedli i don Luis dał rozkaz do odjazdu. Qaytu usadowił się na koźle obok woźnicy. Oprócz nich było tam czterech uzbrojonych mężczyzn na koniach, którzy flankowali powóz jako eskorta. Zadzwoniły dzwoneczki zaprzęgu i pojazd z hałasem potoczył się po bruku. Cała główna ulica to tylko jeden rząd niskich, pobielonych wapnem domów z płaskimi dachami i tarasami, na których przysiadły nieduże sępy o ciemnym upierzeniu, czekając, czy nie trafi im się coś do jedzenia, może jakiś zdechły pies albo drzemiący osiołek. Ale nawet w tak niewielkiej zabudowie portowej osady Sebastián dostrzegał ciekawe rozwiązania,

efekt pracy inżynierów wojskowych, których plany zawsze cechowała powaga i racjonalność.

Droga do Limy prowadziła pod górę, najpierw łagodnie, a dalej, za wioską i cmentarzem Bellavista, na niektórych odcinkach bardziej stromo. Krzyż przy gościńcu upamiętniał cud podczas niezwykłego trzęsienia ziemi w 1746 roku, kiedy gigantyczna fala runęła nagle na port z taką siłą, że pociągnęła za sobą potężny okręt z załogą na pokładzie, a potem równie szybko się wycofała, zostawiając okręt nietknięty, który zarył na piasku, przy czym nikomu z marynarzy nic się nie stało.

Kiedy zatrzymali się, żeby opowiedzieć o tym zdziwionemu Fonsece, ludzie z eskorty zwrócili ich uwagę na grupę jeźdźców wyruszających z portu. Sebastián dostrzegł wśród nich Bracamorosa i kilku innych członków ekspedycji Montilli, których wkrótce stracili z pola widzenia, bo przykryła ich chmura kurzu na drodze do Limy.

- Przyłynęli z nami na „Áfrice” – powiedział.
- Dobrze wiedzieć – odparł Zúñiga.

Podczas podróży Umina zrelacjonowała armatorowi i kupcowi w jednej osobie to, co wiedziała na temat ekspedycji markiza Montilli, i o jego kon-szachtach z Alonsem Carvajalem.

Don Luis nie ukrywał, że zmartwiła go ta wiadomość.

- Jeszcze tego nam brakowało... – powiedział, kręcąc z niezadowoleniem głową. – Tak jakby ten kraj miał za mało kłopotów.
- Aż tak źle? – spytała.
- Gorzej niż wtedy, kiedy wyjeżdżałaś. Trudno się w tym wszystkim połapać.

Szarawy, piaszczysty pejzaż zaczął nabierać życia. Szpalery trzciny i rzędy wierzb znaczyły zygzakowatą linię rowów nawadniających. Biegły z gór przez pola lucerny i kukurydzy aż do Rimac, rzeki, która dała nazwę miastu Lima, bo słuchając tubylców, Hiszpanie myśleli, że tak należy wymawiać to słowo.

W pobliżu miasta zieleniły się ogrody warzywne i owocowe otoczone ogrodzeniem z suszonej cegły. Zza murów wystawały drzewa pomarańczowe,

figowce, pnąca winorośl i granaty. Gołębniki rozbrzmiewały gruchaniem, jakby ptakom podbierano jaja. Wkrótce znaleźli się w szerokiej alei, która prowadziła do murów miejskich i nad rzekę. Przejechali przez most, a następnie ulicą Mercaderes do Plaza Mayor, przy którym wznosiły się katedra, pałac wicekróla i ratusz.

Don Luis de Zúñiga musiał nalegać, żeby inżynier przyjął jego zaproszenie.

– Nie chciałbym sprawiać kłopotu – próbował opierać się Sebastián.

– Obrażę się, jeśli pan odmówi – zaprotestował Zúñiga. – Trzeba panu wiedzieć, że jedno z moich nazwisk brzmi tak samo jak pańskie: Fonseca. Może łączy nas jakieś pokrewieństwo. Poza tym byłoby z pańskiej strony wielką nieostrożnością zakwaterować się gdzieś na mieście. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo niebezpieczny jest ten człowiek Alonso Carvajal.

37 Lima

Kolasa zatrzymała się przed pałacem oskrzydłym przez dwa wspianiałe drewniane balkony z żaluzjami w stylu mauretańskim. Szeroka brama ze zdobieniami z brązu otwarła się natychmiast. Pojazd wjechał na dziedzińiec, okrążył centralną fontannę z azulejos i zatrzymał się przy donicach, z których wylewały się liliowce, goździki i jaśminy. Główne wejście było udekorowane fragmentem żelaznego łańcucha, co poczytywano w Limie za szczególny zaszczyt.

– To stary przywilej szlachecki – wyjaśniła Umina Sebastiánowi. – Żaden stróż prawa nie wejdzie do tego domu bez zgody właściciela.

– Wstęp zarezerwowany dla przyjaciół – dodał don Luis de Zúñiga. – A pan jest jednym z nich. Z tego co wiem, pańska podróż nie była zaplanowana, lecz wymuszona okolicznościami. Mam nadzieję, że znajdzie pan w moich szafach ubranie na swoją miarę. Proszę się rozgościć. Przyślę panu mojego cyrulika, jeśli pan pozwoli.

Sebastián był wdzięczny za okazaną gościnność. Zwłaszcza gdy zobaczył przeznaczony dla siebie pokój na piętrze. Podziwiał wyrafinowany gust przy doborze tapet, zasłon i dywanów, wspianiałe lustra, przepych gładkich mebli zdobionych masą perłową i złotem. Po raz pierwszy od

wielu miesięcy czuł, jakim dobrodziejstwem jest pobyt w prawdziwym domu.

Zúñiga zostawił mu trochę czasu na odpoczynek, po czym przyszedł powiedzieć, że zaprosił na dzień następny kilku zaufanych przyjaciół pełniących ważne funkcje w kolonii.

– To ludzie wpływowi – poinformował. – Dobrze zorientowani w sprawach, które interesują pana i Uminę. Wiem, o co chodzi, bo z nią rozmawiałem. Ich rady mogą okazać się przydatne. Przynajmniej w Limie. Bo w głębi kraju nikt nie jest bezpieczny.

Było to rzeczywiście merytoryczne spotkanie, nie tyle ze względu na liczbę biesiadników – zaledwie pół tuzina – ile dlatego, że Zúñiga zaprosił samych przyjaciół i rozmowa przebiegała szczerze, a nie jak na oficjalnym bankiecie. Sam fakt zgromadzenia w trybie pilnym tylu osobistości dawał pewne wyobrażenie o autorytecie gospodarza.

Zaczęli się schodzić koło południa i zabawiali się dyskusją, zanim zaszli do stołu. Sebastián nie czuł się obco w ich towarzystwie, zwłaszcza że don Luis nie odstępował go ani na chwilę i wyjaśniał ukryty sens poruszanych tematów. Wszyscy potraktowali go serdecznie. Ale jeden z nich, don Pedro de Ampuero, człowiek Królewskiego Trybunału, przyglądał mu się dziwnie natarczywie.

- Czy ma pan rodzinę w tym kraju? – zapytał w pewnej chwili.
- Nie sędzę, a dlaczego pan pyta? – odparł inżynier.
- Ot tak, bez powodu... – szybko wycofał się sędzia nieco zakłopotany.

Fonseca nie wiedział, co o tym myśleć. Wyczuł w spojrzeniu sędziego to samo co u Uminy, kiedy pierwszy raz zobaczył ją w Madrycie. Jak nazwać to natarczywe przyglądanie się jego twarzy o wydatnych rysach? Rozpoznaniem? Wiedział, że to absurdałne, ale tak mu się zdawało. A może to z powodu nazwiska? Może sędzia znał stryja Álvara w czasach, gdy jezuita przebywał w Limie?

Wyrwał go z tych rozważań don Luis, biorąc pod ramię i prowadząc do gości, którzy żywo o czymś rozprawiali.

- Wyjaśniałem panu Fonsece, że mamy interregnum – powiedział

Zúñiga. – Podatki rosną jak grzyby po deszczu, a bunty wybuchają co chwila w różnych miejscach kraju.

– Szkoda, że w Ameryce nie mamy dużych armii – wtrącił jeden z biesiadników. – W całym Peru zbierze się ledwie trzy i pół tysiąca żołnierzy do regularnych oddziałów wojskowych. Obecnie między Limą i Callao nie znajdzie pan ani jednego wojskowego.

A Carvajal i Montilla mają na swoje rozkazy pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn, którzy wkrótce zaczną działać w tym kraju, pomyślał Sebastián.

– Więc ten, kto zbierze pół setki mężczyzn, może dyktować prawo – podsumował.

– Niczym udzielny władca. Zwłaszcza gdy jego ludzie są dobrze uzbrojeni i zahartowani w bojach.

Don Luis dał znak Uminie, że czas zasiąść do obiadu. Stół był nakryty świeżym obrusem, podano zupełną dominikańską i wspaniałe *puchero*. Zúñiga powitał to danie, jakby to był jeszcze jeden gość.

– Oto i ono. Nie mogło go zabraknąć, drodzy przyjaciele. Wiem, że nie tyle dla mnie, ile dla niego, dla *puchero*, przychodzicie w te skromne progi, ilekroć was wezwę.

– Proszę mi podać swój talerz – zwróciła się Umina do inżyniera.

Nie mógł oderwać od niej oczu, kiedy nakładała mu jedzenie. Zajmowała jedno z honorowych miejsc przy stole. Włożyła na tę okazję wspaniałą suknię z brokatu w duże kwiaty przetykane złotą i srebrną nitką na jedwabiu w kolorze szafranu. Tak bogaty strój wymuszały na niej kobiecie sztuczną pozę, ale nie w przypadku Uminy, której wdzięk, przezroczyista cera Metyski i wrodzona zmysłowość tylko na tym zyskiwały. Podwinęła lekko koronkowe rękawy i sama usługiwała biesiadnikom.

Kontynuowano wcześniejszą rozmowę, powracając do punktu, który najbardziej wszystkich intrygował, a mianowicie: przyjazd nowego wicekróla i jego zdolność do uśmierzania buntów.

– Nie jest jeszcze tak źle – zażartował jeden z gości, po którym było już widać skutki picia wina. – Zamiast armii mamy hałaśliwą zgraję

urzędników państwowych, sławny uniwersytet, arystokrację z tytułami markizów i hrabiów do kupna i na sprzedaż... To dobra odszkodnia dla buntowników.

– Nie jestem taki pewien – wszedł mu w słowo Ampuero, mniej skłonny do ironizowania w porównaniu z innymi. – W górach wrze. Nie zapominajcie o niejakim José Gabrielu Condorcanquim, który każe nazywać się Túpakiem Amaru. Spędził w Limie większą część tysiąc siedemset siedemdziesiątego siódmego roku na procesach, żądając, aby go uznano za spadkobiercę Inków, którzy rządili przed nastaniem Hiszpanów. Teraz ogłosił się obrońcą Indian przeciwko właścicielom ziemskim.

– Pan prowadził tę sprawę, prawda? – zapytała Umina. Spoglądała przy tym na Sebastiana, aby zwrócić jego uwagę na temat dobrze znany pozostałym gościom.

– W rzeczy samej, łaskawa pani – odparł sędzia. – Condorcanqui podaje się za potomka tego Túpaca Amaru, który był ostatnim Inką z Vilcabamby ściętym w tysiąc pięćset siedemdziesiątym drugim roku. Studiował u jezuitów w Kolegium Szlacheckim Świętego Franciszka Borgii w Cuzco.

– Z tego co wiem, pan Condorcanqui jest kacykiem w jednej z prowincji nieopodal Cuzco – uzupełniła tę informację dziewczyna. – Ma trzysta pięćdziesiąt mułów jucznych, zajmuje się handlem i wie dzie dostatnie żyć.

– Zgadza się. Dwa lata temu z kawałkiem zjawił się w Limie, wynajął niewielkie mieszkanie, które zapełnił dokumentami, i dzień w dzień wyciągał jeden po drugim na poparcie swych roszczeń do sukcesji po królewskiej dynastii Inków.

– Nie są one uzasadnione – wtrąciła Umina.

– Ma pani całkowitą rację – przytaknął uprzejmie Ampuero. – Ale Condorcanqui nadal uważa się za potomka Túpaca Amaru i przyjął jego imię. Wydał przy tym majątek na adwokatów.

– Nie ma w tym nic nowego – wtrącił don Luis. – W każdej epoce był i będzie jakiś człowiek z Cuzco, który samowładnie ogłosił się Inką. Wczoraj Juan Santos, dziś Condorcanqui... Nie zabraknie obowiązkowej

ekspedycji naukowej: wczoraj Jorge Juan, dziś Hipolito Ruiz, markiz Montilla albo Perico de los Palotes. Zawsze też będą biskupi wołający o większe przywileje, mnisi, którzy domagają się takich samych prerogatyw, jakie ma sąsiedni klasztor, uniwersytety wyklócające się o katedry i ludzie interesu tacy jak my, żądający mniejszych podatków.

Zgromadzeni przyjęli to gromkimi owacjami. Ale Ampuero nie ukrywał zmartwienia:

– Tym razem jest inaczej, drogi przyjacielu. Uwierz mi. Podział wicekrólestwa jest korzystny dla Buenos Aires i Rio de la Plata, którym przypadła w udziale lwia część. Anglicy, świadomi rosnącego niezadowolenia, tylko czekają, aby wkroczyć. Jezuitci, którzy ukrywają się tu po likwidacji zakonu, mają swój żal i pretensje...

– Będzie z tego tyle co z niepoświęconej hostii – orzekł sentencjonalnie Zúñiga. A widząc zaskoczenie na twarzy Sebastiána, wyjaśnił: – Niech pan nie bierze mych słów za bluźnierstwo. To takie nasze powiedzenie, odpowiednik waszego nie wszystko złoto, co się świeci.

– Bóg jest w niebiosach, król w Hiszpanii, a my tutaj. Ojczyzna, matka nasza, jest bardzo daleko, a jej prawa muszą przystosować się do naszego klimatu – dodał inny z gości.

– Choć odległość duża, kłamstwo ma krótkie nogi jak zwykle. Sądownictwo hiszpańskie jest nie tyle domeną sprawiedliwości, ile pierwszym kręgiem piekła dla sprawiedliwych. A życie toczy się dalej. Amen – odezwał się kolejny.

– Wiadomość o wypędzeniu jezuitów okazała się jednak prawdziwa – stwierdził z rozdrażnieniem Ampuero niezadowolony z takiego podważania jego opinii.

– A, to co innego – rzekł pierwszy. – Doktryna jezuitska mówiła więcej o niezawisłości ludu niż o wierności królowi. Wielebni ojcowie głosili publicznie, w pełnym świetle dnia, że nie władza króla pochodzi od Boga, ale władza ludu. To lud jest pomazańcem bożym, a nie monarcha. Niejeden dawny jezuita, który tu żył i jadł klasztorną zupkę, teraz jest na żołdzie u Anglików. Zwłaszcza odkąd doszło do zerwania naszych stosunków z tym

krajem, czyli od zeszłego roku. Wiadomo, że Anglia popiera wiele z tych buntów, które wybuchają w górach. W tym momencie również Condorcagniego.

– Przyznacie sami, że decyzja o rozwiązaniu jezuitów spotkała się z aplauzem połowy Europy. I nie były to kraje ciemne czy zacofane – zauważył drugi.

Sebastián nie mógł się powstrzymać, żeby nie wtrącić:

– Rzeczywiście, to ta sama Europa, która wciąż ciska gromy przeciwko wypędzeniu Żydów za panowania królów katolickich, przeciwko prześladowaniom protestantów za Filipa Drugiego albo Maurów za Filipa Trzeciego. Czyżby jezuita byli w mniejszym stopniu Hiszpanami niż tamci prześladowani albo Peruwianczykami, jeśli chodzi o tutejszych?

– Nie sposób było tolerować ich bezsensownej pychy, tego rzucania kamieniem w innych i chowania ręki...

– Nie oni jedni! – kontratakował Fonseca. – Europa kwitnie od filantropijnych książek, które karmią się czarną legendą przeciwko Hiszpanii, ale są finansowane z pieniędzy zarabianych przez kraje protestanckie na handlu niewolnikami porwanymi w Afryce i przewożonymi do amerykańskich kolonii.

– Spokój, panowie – interweniował gospodarz. – Nie można występować z apologia ojców jezuitów, bo to oznaczałoby nielojalność wobec naszego monarchy Karola Trzeciego. Uspokójcie wzburzone umysły, bo oto na stole pojawiają się kolejne potrawy.

Podano gołąbki z migdałami w pikantnym sosie, tamale z mielonej kukurydzy z kawałkami wieprzowiny z rusztu zawinięte w liście kukurydziane. A także ceviche z ryby na krążkach gorzkiej pomarańczy i placki z krewetek z rzodkiewką i cebulą.

Gastronomiczne szaleństwo zakończyła sałatka owocowa, mieszanina smaków słodkiego i gorzkiego, pikantnego i łagodnego. A całość uwieńczył doskonały flan z mleka.

Po deserach przyszedł czas na rozmowę o ekspedycji naukowej Montilli, o której wspomniano mimochodem, pytając biesiadników o zdanie.

– Słyszałem coś na ten temat – odparł jeden. – Zdaje się, że to kontynuacja pracy Hipolita Ruiza, który poświęcił już dwa lata na katalogowanie naszych roślin. Markiz Montilla poszukuje sosen najlepiej nadających się na maszty.

Sebastián tylko na to czekał.

– Nie jest sam w tym przedsięwzięciu... – zaczął, badając teren i czyniąc ewidentną aluzję do Alonsa Carvajala.

Nikt nie podjął rzuconej rękawicy. Nastąpiła nieprzyjemna cisza w gronie osób dotąd tak elokwentnych i niczym nieskrępowanych.

Umina skierowała rozmowę na inne tory. A kiedy inżynier próbował do niej wrócić, dała mu znak oczami, żeby tego nie robił. Przynajmniej dopóki jest pod tym dachem.

Don Luis de Zúñiga natychmiast wyczuł konflikt i zaproponował przejście na likiery. Przy pierwszej okazji poprosił Sebastiána na stronę. Nie musiał się niczego obawiać, bo nalewano likiery i Umina zabawiała gości. Zamienili zaledwie kilka słów, kiedy przyłączył się do nich don Pedro de Ampuero, członek Królewskiego Trybunału Sądowego, i zapytał Fonsecę:

– Interesują pana stare księgi?

– Oczywiście... – potwierdził inżynier.

– Przyjacielu Zúñiga, może nam pan pokaże tego białego kruka w swoich zbiorach?

– Bardzo proszę – odparł gospodarz, zapraszając ich do biblioteki.

Kiedy się tam znaleźli, podeszli do pulpitu, na którym leżała otwarta książka. Inżynier obejrzał ją dokładnie, zanim wydał swój sąd:

– Nie jestem specjalistą od literatury, ale wygląda mi to na stare wydanie *Don Kichota*.

– Pierwsze wydanie. Rok tysiąc sześćset piąty. Pod koniec owego roku jeden egzemplarz książki otrzymał mój przodek, wicekról don Gaspar de Zúñiga Acevedo y Fonseca. Oto on. – I pokazał na niezły portret don Gaspara na tle aksamitnej kotary z godłami heraldycznymi. – Widzi pan? To jest herb Fonsecaów: pięć czerwonych gwiazd w złotym polu.

Sebastián dobrze się przyjrzał i stwierdził, że nie było węża gordyjskiego ani żadnego innego.

Don Luis pragnął jeszcze zwrócić jego uwagę na dedykację, którą odczytał:

– *Juanowi de Avendaño – Miguel de Cervantes*. To był bliski przyjaciel rodziny, a zarazem kolega Cervantesa z uniwersytetu. Ich przyjaźń nigdy nie ostygła. Zaprosił go do siebie do Peru. Cervantes chciał przyjechać, lecz król Filip Drugi odpowiedział na jego prośbę w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym roku: *Niechaj petent tutaj szuka łaskawości*.

– Bardzo ciekawe – przyznał Fonseca. – Ale chyba nie sprowadziliście mnie tutaj, panowie, tylko po to, żeby pokazać mi tę książkę.

– Oczywiście, że nie – przyznał Ampuero. – Obawiam się, że pan i ja reprezentujemy różne poglądy. Jednakże umiem obserwować ludzi i potrafię rozpoznać, czy ktoś jest uczciwy. Nie znam nikogo, kto broniłby jezuitów tak jak pan, choć teraz są w niełasce. Dlatego pragnę pana uprzedzić, że nieostrożnością byłoby wypytywanie o Alonsa Carvajala. Ten człowiek ma wszędzie swoich szpiegów. Wiem, co mówię.

– Nie bardzo rozumiem. Czy mógłby mi pan to wyjaśnić? – poprosił Sebastián.

– Chciałbym, ale to niemożliwe. Powiem panu tylko tyle, że Carvajal obserwował z bliska roszczenia Condorcanquiego i w odpowiedniej dla siebie chwili przedstawił własne dokumenty rodowodowe. Pierwsze, co uczynił, kiedy przybył tutaj z Hiszpanii, to przestudiował wszystkie materiały procesowe. Nigdy nie było takiego zainteresowania dokumentami z epoki Vilcabamby jak ostatnio. Teraz ten człowiek przygotowuje marsz na Cuzco. Zamierza zbadać grób Túpaca Amaru, który znajduje się w krypcie klasztoru Świętego Dominika w Cuzco. Nikt tego dotąd nie uczynił.

– Dostanie pozwolenie na wejście do krypty? – zdziwił się Zúñiga. – Wiele osób się o to starało, bo podobno tam są resztki Świątyni Słońca, Coricanchy. A może nawet ukryte skarby Inków.

– Niewykluczone, że dostanie. Klasztor ma spore kłopoty finansowe, a

nowy przeor jest bardzo przedsiębiorczy i zależy mu na udowodnieniu, że tam zostali pochowani ostatni przedstawiciele królewskiego rodu Inków. Jeśli mu się to uda, wzrośnie ranga klasztoru, który otrzyma nazwę Królewskiego, a za tym pójdą liczne dary.

Sebastián zrozumiał, że on i Umina muszą jak najszybciej znaleźć się w Cuzco. Nie mogą dopuścić, aby Carvajal i Montilla ich w tym ubiegli. Ale najpierw ma do spełnienia w Limie nie mniej ważną misję. Zapytał więc sędziego z myślą o dokumentach, które stryj Álvaro przywiózł do tego miasta:

– Czy w tych procesach pojawiły się dokumenty z dawnego archiwum jezuitów? Wiadomo coś panu na ten temat?

– Nic już nie dodam. I tak za dużo powiedziałem – powiedział Ampuero, zmierzając do wyjścia.

– Jeszcze chwilę – poprosił Fonseca. – Dlaczego pan mnie pytał, czy mam rodzinę w Peru? Błagam o odpowiedź.

– To delikatna kwestia. Nie chciałbym pana urazić.

– Jestem przekonany, że taka myśl nawet nie przeszła panu przez głowę. Proszę powiedzieć, a zostanie to między nami.

– Zgoda i z góry przepraszam za niestosowność tej uwagi, ale przypomina mi pan z wyglądu tego José Gabriela Condorcanquiego. Każe się nazywać Túpac Amaru, choć jest mieszanej krwi. To Metys, zbyt biały jak na Indianina i o cerze zbyt smagłej jak na Hiszpana.

– Na litość boską! – roześmiał się Fonseca. A zwracając się do Zúñigi, zapytał: – Panu też przypominam Condorcanquiego?

– Nie miałem przyjemności poznać tego kacyka – wykręcił się don Luis.

Ale gdy po wyjściu audytora zostali sami, gospodarz powiedział do Sebastiána:

– Przykro mi, że się powtarzam, jednak ja też pragnę ostrzec pana przed Alonsem Carvajalem... Ampuero ma całkowitą rację. Nikt nie ośmieli się wystąpić przeciwko temu człowiekowi. Wszyscy się go boją. Jest

jednym z najpotężniejszych i najokrutniejszych obszarników. Posiada władzę wykonawczą jako reprezentant interesów Kreolów. To pozwala mu poruszać wieloma sprężynami i sznurkami, ale zawsze pozostaje w cieniu. Nigdy nie działa w pełnym świetle, więc formalnie nie można go o nic oskarżyć. Lepiej nie stawać mu na drodze, dobrze panu radzę.

– Obawiam się, że już to zrobiłem. Teraz nie mam odwrotu.

– W takim razie może pan liczyć tylko na jedną osobę, która nie boi się mu sprzeciwić.

– Zakładam, że nie mówi pan o José Gabrielu Condorcانquim.

– Oczywiście, że nie. Ten kacyk jest co prawda zaprzysięgłym wrogiem Carvajala, ale choć go dobrze nie znam, nie sądzę, abyście znaleźli wspólny język.

– Pozostaje więc tylko Umina.

– Jak pan to odgadł?

– Zaczynam ją trochę poznawać. I wiem, że Carvajal zabił jej brata.

– Opowiedziała panu o tym? – zdziwił się Zúñiga.

Inżynier wyczuł panikę w jego głosie.

– Tak, ale nie podała żadnych szczegółów. Mam nadzieję poznać je od pana.

– Rozczaruję pana. Powiem tylko, że to było potworne. Jak pan sądzi, dlaczego nikt nie chce o tym mówić?

38 Maria de Ondegardo

Sebastián de Fonseca wstał późno. Zjadł na śniadanie tosty, popijając czekoladą z pianką pachnącą cynamonem i wanilią. Czuł się dobrze, miał ochotę wyjść od razu na miasto, żeby wypełnić wolę stryja Álvaro i dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat.

Wyczuwał, że śmierć stryja to nie było zwykłe wyrównanie rachunków. Zaczynał rozumieć rolę Alonsa Carvajala y Acuña. Jeśli historie rodzinne Uminy i Fonsecaów mają za tło wydarzenia ujawnione częściowo w *Kronice*, to co dopiero mówić o tym człowieku. Wszak wywodzi się w prostej linii od Diega de Acuña, autora *Kroniki*. Ma dostęp do ukrytych lub zapomnianych dokumentów sprzed dwustu lat.

Sebastián był przygotowany na najgorsze, niemniej jednak odczuwał pewien niepokój. Zwłaszcza gdy zastanawiał się nad stosunkiem Uminy do Carvajala. Za dużo tu było niedomówień. Dziwne błyski pojawiały się w oczach ludzi, kiedy próbował się dowiedzieć, co stało się z bratem Metyski. Coś na kształt ostrzeżenia, podejrzliwości i strachu.

Udało mu się przekonać dziewczynę i don Luisa de Zúñigę, żeby puścili go na miasto bez eskorty. Sądził, że nie wypada iść do kogoś z wizytą w towarzystwie obcych ludzi z obstawy. Poza tym nie chciał dzielić się z nimi informacjami na temat limskiego archiwisty Gila de Ondegarda, których stryj Álvaro udzielił mu w największym sekrecie. Wszystko wskazuje na to, że archiwista ma klucz do odczytania *Kroniki* w świetle obecnych

wydarzeń. Przywiózł dla niego list od stryja. Adres i nazwisko tego eksjezuity to najcenniejszy kontakt Sebastiána w tym mieście.

Dzień był chłodny. Ale bardziej niż chłód dawała się we znaki wilgotna mgła wisząca nad doliną. Słońce ledwie prześwitywało zza chmur sięgających nieustannie mżawką, od której wszystko pokrywało się mokrą mazią. Nawet dźwięk dzwonów wydawał się przytłumiony i grząski.

Szerokie ulice Limy były wytyczone jak pod sznur, co ułatwiało orientację w tym mieście. Ale budowle, włącznie z pałacem wicekróla, nie budziły zachwytu. Dopiero wewnątrz można było podziwiać gust i bogactwo mieszkańców. Natomiast z zewnątrz duże wrażenie robiły wielkie balkony przesłonięte drewnianą kratą, która wielu Hiszpanom przypominała rodzinne strony. Te ogromne kolorowe klatki rozbrzmiewały szeptem i gruchaniem niczym gołębniki, a od czasu do czasu migwały spoza krat oczy kobiety bezkarnie szpiegującej ulicę.

Doszedł na Plaza de Armas. Pośrodku wznosiła się stara fontanna z brązu obłożona przez wozowodów, którzy przybyli z osiołkami, jukami i beczkami. Balwierze skakali wokół klienteli, a w przerwach biegli do zatłoczonych kiosków, gdzie było wszystko, w tym również najnowsze wiadomości.

Na tej mieszance ras i kolorów najlepiej wyszły limianki. Nic nie dorównywało ich urodzie, bystrości i elegancji ruchów podkreślonej nieskazitelną bielą satynowych pantofelków. Biła od nich niezwykła radość życia niczym aura emanująca z ciemnej, gładkiej jak aksamit skóry. Uśmiechały się do Sebastiána i rzucały mu płomienne spojrzenia.

Były śliczne, rozważne i ostrożne, ale jak trzeba, to potrafiły dopiec do żywego. Umina uprzedziła go, że miały znakomity system komunikowania się między sobą i powiadamiania o najnowszych wydarzeniach. Nic w tym mieście nie odbyło się bez ich udziału.

Metyska poradziła mu również, żeby uważał na *tapadas*, kobiety z zasłoniętą twarzą ubrane prawie jednakowo, co pozwalało im na zachowanie anonimowości. Zdarzało się nieraz, że taką kobietę zaczepiał na ulicy jej

własny mąż, nieświadom, że zaleca się do swojej żony, dopóki nie odsłoniła twarzy i nie przywołała go ostro do porządku. Limianki mogły poruszać się po mieście same, a zainteresowanie okazywane im przez przechodniów nie było traktowane jako obraza czy brak wychowania. Co więcej, kobiety z zasłoniętymi twarzami same często przejmowały inicjatywę, zwłaszcza gdy spodobał im się jakiś nieznajomy.

Inżynier miał okazję przekonać się na własnym przykładzie, jak to jest. Omijając wędrownych sprzedawców słodyczy, tamali i herbatki z malwy, znalazł się koło portalu Botoneros, gdzie przechadzały się kobiety, w samym centrum sieci koronek i ploteczek. Zaczepiła go jakaś kwiaciarka, szepcząc prawie do ucha:

– Niech pan dla niej kupi bukiet z jaskrów, a jak nie, to róże albo goździki.

– Dla kogo? – zdziwił się Fonseca.

Dziewczyna roześmiała się szelmowsko.

– Przede mną nic się nie ukryje... – Ale widząc, że Sebastián nie udaje, tylko naprawdę jest zdziwiony, kazała mu się dyskretnie odwrócić: – Tam, koło kolumny. Wodzi za panem wzrokiem. Niech pan jej kupi kwiaty, a będzie dla pana miła.

Sebastián oddalił się z tego miejsca, nie dając kwiaciarce dokończyć. Szczerze mówiąc, już wcześniej miał wrażenie, że ta *tapada* przygląda mu się natarczywie. A jak mówi stare madryckie przysłowie: Naturalną cechą każdego, nawet najtwardszego, mężczyzny, jest to, że lubi się podobać i kokietować.

Nie znając tutejszych zwyczajów, wolał jednak nie ryzykować. A teraz jeszcze ta kwiaciarka, która na pewno dobrze zna te zwyczaje, oświadcza, że kobieta z zasłoniętą twarzą jest nim zainteresowana.

Przespacerował się leniwie po placu i stwierdził, że to prawda. *Tapada* niby przypadkiem przecinała mu drogę, a robiła to z takim wdziękiem, że musiał sobie powtarzać, że ma ważniejsze sprawy na głowie. Jednocześnie zadawał sobie pytanie: jeśli kobieta, odsłaniając tylko jedno oko, potrafi

zawrócić w głowie mężczyźnie, to co dopiero, gdy odsłoni inne powaby?

Oczywiście nie wykluczał, że to może być zasadzka.

Zresztą był już koło katedry, a pamiętał, że ulica, na którą ma zanieść list od stryja Álvara, znajduje się w pobliżu tej świątyni. List był zaadresowany do pani Marii de Ondegardo. Sądził, że to matka prawdziwego adresata Gila de Ondegarda. Pragnął jak najszybciej go poznać i porozmawiać. Wierzył, że to spotkanie pomoże mu wyjaśnić pewne okoliczności śmierci stryja i ojca, a jednocześnie wzbogaci jego wiedzę o Carvajalu. Miał również nadzieję poznać dalszy ciąg historii Diega de Acuña i Sírax. Był pewien, że to ona, a nie kto inny, podróżowała w 1573 roku na pokładzie Czarnego Okrętu z Peru do Hiszpanii.

* * *

Kiedy przybył pod podany adres, zobaczył duży dom w zaułku. Brama zamknięta, okna przykryte okiennicami, jakby nikt tu nie mieszkał. Zaniepokoiło go to.

Mocno potrząsnął kołatką.

Nikt nie odpowiedział. Potrząsnął jeszcze raz, mocniej.

Na patio zadudniły czyjeś kroki. Masywne wrota pozostały jednak zamknięte. Odsłonił się jedynie mały zakratowany otwór na wysokości oczu.

– Czego pan tu szuka? – usłyszał kobiecy głos.

Domyślił się, że to służąca.

– Przynoszę list dla Gila de Ondegarda.

W oczach kobiety pojawiło się zdziwienie i coś na kształt strachu. Powiedziała sucho:

– Pan Gil de Ondegardo nie żyje.

Na Sebastiána spadło to jak grom z jasnego nieba. Zdołał tylko wykrztusić:

– Od jak dawna?

– Niedługo będzie rok – odpowiedziała kobieta gotowa zakończyć rozmowę.

Młodzieniec w ostatniej chwili zdobył się na reakcję. Podniósł dłoń na

wysokość twarzy, żeby pokazać przesyłkę.

- W zasadzie list jest zaadresowany do jego matki.
- Ona też nie żyje – odparła służąca bez namysłu.
- To niemożliwe... – wyjąkał inżynier.

* * *

W pokoju panował półmrok. Kobieta siedziała na sofie. Miała zniszczoną twarz, przedwcześnie postarzałą. Ból wyrył na niej bruzdy goryczy widoczne gołym okiem nawet bez światła.

Mimo to wydawała się zbyt młoda jak na matkę archiwisty, o której wspominał stryj Álvaro. Ale skoro matka Gila de Ondegarda nie żyje, jak powiedziała służąca, to kim jest ta kobieta?

Usiadł na wskazanym fotelu i w milczeniu czekał, aż ona zacznie rozmowę.

- Jest pan z rodziny Álvaro de Fonseki?
- To był mój stryj.
- Był?
- Nie żyje od trzech miesięcy.

Kobieta podniosła rękę do twarzy i zawołała:

- Co za nieszczęście!

Sebastián wyczuł, jak trudno jej utrzymać pozory spokoju i ru^e rozpaczać w obecności obcego człowieka.

– Proszę wybaczyć mą ciekawość, ale jaki stopień pokrewieństwa łączył panią z Gilem de Ondegardem?

- Byłam jego żoną.
- Żoną?

Widząc zaskoczenie inżyniera, poczuła się w obowiązku wyjaśnić

– Nie wiedział pan, że był żonaty? Pobraliśmy się po tym, jak opuścił Towarzystwo Jezusowe. – Sebastián nie zareagował, więc zapytała: – Zna pan treść tego listu?

- Nie, oczywiście, że nie.

Wyciągnęła dłoń z kartką papieru.

Sebastián nie chciał przyjąć.

– Wolałbym, żeby pani sama mi powiedziała.

– Proszę przeczytać – nalegała wdowa. – Nie mam siły na opowiadanie. A zresztą, nie uwierzyłyby pan moim słowom.

Fonseca stanął tyłem do okna, żeby lepiej widzieć. W miarę jak odczytywał niewyraźne, pisane drżącą ręką słowa, zaczynał rozumieć postawę tej kobiety. A także swojego stryja.

Z tego nieszczęsnego listu wynikało jasno, że Álvaro de Fonseca nie wiedział nie tylko o śmierci Gila de Ondegarda, lecz i o tym, że był on żonaty. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że list ten odbierze wdowa.

Można było z niego wywnioskować, że stryj Sebastiána i mąż tej kobiety byli kiedyś kochankami.

Uprzedzając Gila o grożącym niebezpieczeństwie, Álvaro nie wahał się wyrazić, co do niego czuje. Był zrozpaczony, gotów na wszystko, byle uratować ukochanego Gila.

Teraz inżynier zrozumiał, dlaczego ojciec wysłał tyle pieniędzy do Peru. Trzeba było zapłacić paru osobom za milczenie, żeby nie wybuchł wielki skandal obyczajowy. Może dlatego Gil musiał potem opuścić zakon, zresztą Álvaro i tak już nie było w Peru, bo wrócił do Hiszpanii.

Sebastián przeczytał list i długo dobierał słowa. Nie wiedział, co powiedzieć wdowie. Co zrobić z tą nową wiadomością na temat swojej rodziny.

Pomyślał o Álvaro. Ile musiał wycierpieć, kiedy ukrywał się w podziemiach pałacu Fonseców w Madrycie i bezradnie patrzył, jak zaciska się wokół niego pętla, giną jego najbliżsi, a morderca może wkrótce dotrzeć do jego kochanka. I po raz kolejny zadał sobie pytanie, jakie sekrety rodzinne czekają jeszcze na odkrycie.

Tymczasem Maria de Ondegardo wyznała mu, szlochając, że mąż nie zginąłby, gdyby nie to, że ona przejmowała korespondencję Álvaro. Od dawna podejrzewała, że coś ich łączy, zaczęła czytać listy i postanowiła ukrywać je przed mężem, żeby zakończyć tę znajomość.

– Wszystko przez zazdrość – lamentowała. – Bałam się, że ode mnie odejdziesz. Nie chciałam go stracić.

Jednak Gil oddalał się coraz bardziej, był niespokojny i coraz częściej nieobecny duchem. Czytała w listach z Madrytu, że Álvaro de Fonseca ostrzega jej męża przed jakimś niebezpieczeństwem. Teraz wie, że to była prawda. Ale wtedy uważała, że Álvaro wszystko zmyśla, aby zwrócić na siebie uwagę ukochanego i podtrzymać gasnące uczucie. Mąż zginął, a ona czuje się winna, bo nie umiała okazać mu tego, co aż nadto udowodnił stryj Sebastiana. Wolał umrzeć, niż zdradzić Gila, chociaż wtedy było już za późno.

– Kochał go bardziej niż ja – stwierdziła i głos jej się załamał.

Sebastián wysłuchał tych zwierzeń w milczeniu. Próbował pocieszyć zrozpaczoną wdowę. Jednocześnie instynkt samozachowawczy mówił mu, że powinien jeszcze raz rozważyć wszystkie fakty, zastanowić się, co dalej.

Nagle uświadomił sobie, że popełnił błąd. Składając wizytę tej kobiecie, wskazał mordercy na jeszcze jeden trop. Być może ostatni, jakiego tamten potrzebował.

39 Czekolada jezuitów

Po pierwszej konsternacji wdowa znalazła ulgę w szczerzej rozmowie z Sebastianem. Zwłaszcza gdy dowiedziała się, co się stało z jego stryjem i ojcem. Odplacając szczerością za szczerość, zaczęła mu opowiadać, dlaczego kobiety jej pokroju wychodzą za mąż za Metysów, takich jak Gil de Ondegardo.

- Gil był Metysem? – zdziwił się inżynier.
- A co, nie wiedział pan o tym?

Czego jeszcze nie zdążył powiedzieć mu stryj? Trudno odpowiedzieć na takie czy inne pytania, które wynikały z rozwoju wydarzeń, choć pozornie wydawały się nie na miejscu. Sekularyzacja Gila była skutkiem przemyśleń czy gestem rozpaczony? A może tylko zwykłym konwenansem? A jego ślub? Czy miało to coś wspólnego z odkryciem, jakiego dokonał Ondegardo, grzebiąc w papierach jezuickiego archiwum? Wykorzystał to odkrycie dla własnych korzyści albo żeby zaskarbić sobie czyjeś względy, nie powiadając o tym ani Álvara, ani zakonu?

Kiedy wdowa zauważyła, że otrząsnął się z zamyślenia, znów zaczęła zawodzić:

- Jaka szkoda, że hiszpańskie kobiety nie zadawały się z Indianami w takim samym stopniu jak Indianki z konkwistadorami. Mam na myśli intymne związki. Muszę przyznać, że moje małżeństwo było szczęśliwe.

– Mimo wszystko? – ośmielił się zapytać.
– Często zamykał się w sobie, ale nie przywiązywałam do tego większej wagi. Miałam nadzieję, że z czasem samo minie. Niestety, tak się nie stało... Dopiero potem dowiedziałam się, że był śledzony i miał różne kłopoty.

– Dlatego że ożenił się z panią?
– Nie, dlatego że był jezuitą.
– Przecież porzucił zakon.
– Zrobił to w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym, aby uniknąć wygnania z Peru.

– I wtedy zaczęły się kłopoty?
– Opowiadano przeróżne historie o bajecznej fortunie Towarzystwa Jezusowego. Mówiono, że jezuita znalazł skarby Inków i wysłał do Hiszpanii wielkie ilości czekolady, aby zyskać przychylność króla, rodziny królewskiej i osób mających duże wpływy na dworze. Ta czekolada była tak ciężka i twarda, że powstało nawet powiedzenie: „Cięższy niż czekolada jezuitów”. Aż wreszcie ktoś zaintrygowany tyloma ciężkimi przesyłkami otworzył jedną skrzynię. Każda uncja czekolady zawierała uncję złota. Na coś się jednak przydały te prezenty, bo tutejsi jezuita zostali powiadomieni zawczasu o kasacji zakonu.

– Znam tę historię – potwierdził Sebastián.

I opowiedział, co usłyszał od stryja Álvara, że na jego prośbę Paco Powroźnik przekazał list Hermógenesowi, który zamustrował się jako cieśla na statku płynącym z Kadyksu do Callao i w ten sposób list dotarł do rąk Gila de Ondegarda.

– Słyszałam, że rozkaz o wypędzeniu jezuitów – mówiła dalej kobieta – nie był dla zakonników żadnym zaskoczeniem. Podobno przedstawiciele władzy zastali jezuitów gotowych do drogi. Ojcowie czekali spokojnie w klasztornej refektarzu z brewiarzem w jednej ręce i tobołkiem z ubraniem w drugiej.

– Znaczący, że ostrzeżenie przyszło w porę.
– Nawet bardzo, bo zdążyli jeszcze poukrywać swoje najcenniejsze

skarby w rozmaitych bezpiecznych miejscach. I pojawiła się w Peru nowa epidemia – wyjaśniała Maria de Ondegardo. – Wiele osób zachorowało na poszukiwanie ukrytych skarbów. Zwolennicy wygnania jezuitów rozsiewali plotki o kopalniach złota i niesłychanych bogactwach zgromadzonych przez zakon. Miały one posłużyć utworzeniu niezależnego państwa w Ameryce Południowej. A największym argumentem na rzecz tej tezy były koligacje głównych świętych jezuickich z królewską dynastią Inków. Mówiono nawet, że jezuita ukrywa najcenniejszą relikwię Inków, wschodzące słońce Punchao, w której złożono proch z serc wszystkich inkaskich władców.

– Teraz znowu się o tym mówi, jeśli się nie myłę.

– Owszem. Wzmagają się poszukiwania na strychach i w podziemiach budynków związanych z jezuitami. Mało brakowało, a ich kościół zawaliłby się od ciągłego ostukiwania fundamentów. Proszę się więc nie dziwić, że byłam wobec pana nieufna. Wiem, że w Hiszpanii na potęgę falsyfikuje się mapy skarbów i mapy rejsów ujawniające wiele różnych informacji o miejscach ukrycia wielkich bogactw w Ameryce. Oryginały pochodzą rzekomo z rodzinnego archiwum pewnego więźnia z Ceuty, który w ostatniej chwili wyznał to na spowiedzi. To tylko jedna z wersji.

– Dlaczego prześladowano Gila po opuszczeniu zakonu?

– Ponieważ był archiwistą, miał dostęp do dawnych dokumentów. Poza tym był Metysem i znał język keczua. Utrzymywał kontakty z Indianami, którzy wyjaśniali mu różne zawiłości językowe, jakie napotykał w dokumentach. Dla wielu ludzi był niewygodny.

– Czy mąż kiedykolwiek wspominał o dokumentach, które przywiózł do Limy mój stryj Álvaro? – Kobieta nie była pewna, więc kontynuowała: – Były to dokumenty z madryckiego archiwum dotyczące statku, który przypłynął potajemnie z Peru do wybrzeży Andaluzji w tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim roku.

– Nie umiem panu powiedzieć. Gil był bardzo niespokojny od czasu, gdy odwiedził go pewien człowiek, który wypytywał o różne dokumenty. Nie wiem, czy chodzi o to samo.

– Pamięta pani nazwisko tego człowieka? Czy nie był to przypadkiem Alonso Carvajal y Acuña?

Sebastián sądził, że wdowa zareaguje na to nazwisko z przestraczem, podobnie jak inni jego rozmówcy. Ale tak się nie stało.

– Gil nie podał mi nazwiska tego człowieka. Ale wiem, że nie wywarł on na nim dobrego wrażenia. Zaczął się nawet lękać o własne życie i dlatego powiedział mi, gdzie ukrył te dokumenty. Dodał, że w przeddzień wyłączenia jezuitów powierzono mu część najważniejszych archiwaliów.

– Czy zwierznicy wiedzieli, że zamierza opuścić zakon?

– Tak, ale znali jego absolutną lojalność i uczciwość. Poza tym on już zdążył poznać te dokumenty... Ponieważ wszystko działo się bardzo szybko, Gil w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie je ukryć. Akurat przechodził ulicą Murzyn z narzędziami murarskimi. Wezwał go i umówili się, że murarz wykona dla niego specjalną skrytkę. Potem zawiązał mu oczy, obrócił parę razy i zaprowadził na miejsce, gdzie miał powstać ten schowek na papiery...

– Pokaże mi pani tę skrytkę? – przerwał jej Sebastián.

Zbytnio się pospieszył. Wdowa zauważyła jego niecierpliwość. Milczała. Sebastián zrozumiał, że waha się, czy powierzyć mu sekret, który kosztował Gila życie. Postanowił położyć wszystko na jedną szalę i powiedział:

– Pani Mario, proszę mi zaufać albo okaże się, że pani mąż, mój ojciec i mój stryj zginęli na próżno. I moja podróż też była niepotrzebna.

Odchrząknęła i powiedziała z namysłem:

– Gil mówił, że czarny murarz bardzo się wystraszył, kiedy podczas pracy dobiegł go wielki hałas tuż nad jego głową. Rozładowywano akurat wozy zboża, żeby przechować ziarno w silosie, który znajduje się na końcu tej ślepej uliczki. Do silosu można dojść z naszej piwnicy, wcale nie trzeba wychodzić na ulicę.

– Proszę mnie tam zaprowadzić. Błagam.

Wdowa potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem. I powiedziała do służącej, która niezwłocznie się zjawiała:

– Przynieś klucze od dołu.

Kiedy się tam znaleźli, Sebastián dostrzegł od razu półokrągłe kamienie z dwoma uchwytnymi. Doskonała skrytka, pomyślał. Rozsunął je ostrożnie i wsunął do środka świecę, żeby sprawdzić, czy jest tam wystarczająco dużo powietrza do oddychania. Kiedy się okazało, że tak, bez trudu znalazł schowek z podwójnym dnem, a w nim – dokumenty, które przywiózł z Madrytu Álvaro de Fonseca, i szereg innych, pochodzących z archiwum w Limie.

* * *

Wdowa zaprowadziła go do salonu, pokazała na stół i zapaliła kandelabr, żeby mógł przejrzeć materiały wyjęte ze skrytki. Ze spisu dokumentów zorientował się, że tłumacz i skryba Diego de Acuña zmarł w Cuzco w 1572 roku, a zaraz potem Sírax wyruszyła do Hiszpanii z jezuitą Cristóballem de Fonsecą na pokładzie tajemniczego statku. Rejs był tajny.

Znalazł między innymi oświadczenie przełożonej klasztoru w Kadyksie, gdzie Sírax spędziła resztę życia w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego, nie licząc wizyt Cristóbal de Fonseki. Matka przeorysza stwierdziła, że zachowanie Indianki i jej służącej było przykładowe. Jedyne szkopało w tym, że nie pozwalała obciąć sobie długich, błyszczących, czarnych włosów, które wciąż czesała i pielęgnowała, jakby od tego zależało jej życie. Zakonnica wolała nie wnikać w szczegóły, ale dawała do zrozumienia, że byłoby co opowiadać. Złożyła to oświadczenie głównie po to, aby uwolnić klasztor od odpowiedzialności za śmierć i dalsze losy inkaskiej księżniczki.

Z innych dokumentów można było więcej dowiedzieć się o Sírax, choć były to informacje fragmentaryczne i niedokładne. Jedno nie ulegało wątpliwości: po śmierci w 1573 roku oddano jej zwłoki Cristóbalowi Fonsece, który zawsze służył jej za tłumacza. Zapewnił, że była ochrzczona i że pochowa ją w poświęconym miejscu, w kaplicy zamkowej rodzinnego majątku w prowincji Kadyks.

Tu następowała najistotniejsza wzmianka, która może okazać się głównym tropem, przez wielu pożądanym. Zabalsamowane ciało Sírax

załadowano na statek i popłynęło do Peru pod opieką indiańskiej służącej Sulki, która nigdy nie opuściła swej pani. Pochowano je w krypcie klasztoru Świętego Dominika w Cuzco. A wraz z nim jej największe sekrety i wszystko to, co pragnęła zwrócić swej rodzinnej ziemi. Taka była jej ostatnia wola i dlatego przewieziono zabalsamowane zwłoki na miejsce, gdzie kiedyś wznosiła się inkaska Świątynia Słońca – Coricancha. W tym samym miejscu spoczywa znaczna część jej rodziny.

– Nareszcie! – powiedział do siebie Sebastián, nie wierząc własnemu szczęściu. Znalazł się grób!

Chętnie przerwałby teraz lekturę, żeby przetrawić to odkrycie, ale nie mógł. Nie dysponował czasem. Zresztą w dalszej części wyciągu z dokumentów sporządzonego przez Gila de Ondegarda znalazł informację o uwięzieniu Cristóbala de Fonseki. Postawiono go pod sąd, ponieważ nie oddał Punchao, którego wicekról Toledo wysłał pod jego pieczę do Hiszpanii. Na próżno tłumaczył, że napadli go Indianie. Przedstawiał wiarygodne dowody, ale wszystko na nic. Resztę życia spędził w więzieniu w Kadyksie, gdzie dożył sędziwego wieku, umarł w 1596 roku. Ale nie śmiercią naturalną, tylko wskutek ran odniesionych podczas najazdu Anglików na to miasto. Większość jego notatek zniszczył pożar. Niepowetowana strata, ponieważ pisał głównie o Peru. Jeśli coś zachowało się dla potomności, to dlatego, że Inca Garcílaso wykorzystał to w swoich *Comentarios reales** jako zapiski uratowane z pożaru, choć niektórzy twierdzą, że najpierw je ocenzurował i zafałszował to, co jezuita napisał o kipu. A zwłaszcza o czerwonym kipu znanym tylko królom i ich najbliższym krewnym ze względu na swą bezcenną wartość – pozwalało odczytać wszystkie inne informacje zapisane w węzłach i sznurkach.

* Wyd. polskie: *O Inkach uwagi prawdziwe*, wyd. Trio, Cesia UW, Ambasada Peru, Warszawa 2000.

Kolejny dokument mówił o tym, że po śmierci Cristóbala de Fonseki Towarzystwo Jezusowe utworzyło sekcję jezuicką specjalistów od kipu, którzy zajęli się poszukiwaniem tego wyjątkowego kipu i gromadzeniem

materiałów archiwalnych na ten temat. Szkopuł w tym, że Trzeci Sobór Limeński zwołany w latach 1581-1583 uznał kipu za przedmiot bałwochwalstwa i rozkazał ich zniszczenie.

Te zwoje papierów świadczyły o wielkim uporze jezuitów, którzy badali najdrobniejszy szczegół mogący prowadzić do czerwonego kipu.

Dzięki pracy swych poprzedników Gil de Ondegardo miał dostęp do najtajniejszych materiałów i zdołał posiąść niezwykłą wiedzę w tej dziedzinie. Sam też wykonał wielką pracę, oddzielając ziarna od plew. Jego kompilacja nabierała teraz coraz większej wagi. Carvajal i Montilla wiedzieli o jej istnieniu i mieli świadomość, ile może znaczyć dla Anglików lub innych spiskowców.

Jeszcze nie ochłonał po tych rewelacjach, kiedy wpadły mu w oko trzy luźne kartki. Były tej samej wielkości i z tego samego gatunku papieru co *Kronika* Diega de Acuña. Atrament i charakter pisma też się zgadzał. Postrzępiony brzeg z lewej strony pokazywał wyraźnie, że zostały wyrwane z oprawionej książki. Zawierały wykaz imion i nazwisk w języku keczua.

– Teraz już wiem, z czym przyjechał do Limy stryj Álvaro – powiedział do siebie Sebastián. – Wyrwał te kartki, bo chciał dać je tu do tłumaczenia.

Weszła służąca mocno zaniepokojona. Szepnęła coś do ucha wdowie, a ta podeszła zaraz do okna. Odsunęła dyskretnie firankę i spojrzała w dół. Następnie wróciła na swoje miejsce i zapytała Fonsecę tonem pełnym wyrzutu, pokazując na ulicę:

– Rzekomo przyszedł pan sam?

Podniósł się i spojrzał w tym kierunku. Na dole przed wejściem do domu stało tych pięciu osobników, których wcześniej widział u wylotu ulicy.

– Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi – powiedział do Marii de Ondegardo. – Nawet nie wiem, kim są.

– Proszę już wyjść. Wolałabym uniknąć kompromitacji. Naraża się pan na niebezpieczeństwo.

Nie zamierzał odejść z pustymi rękami, zwłaszcza teraz, gdy zorientował się, jak cenne są te dokumenty. Nie chciał, żeby wpadły w ręce

bandytów. Na samą myśl o tym ogarnęła go taka wściekłość i bezradność, że bez namysłu wykrztusił z siebie:

– Czy mogę zabrać te papiery?

Był bardzo zdziwiony, ale się zgodziła.

– Proszę. Nie mogłabym panu odmówić, skoro tyle pan ryzykował. Będę spokojniejsza, jeśli uwolni mnie pan od nich.

– Bardzo pani dziękuję – powiedział, chowając je za pazuchę.

– Jeśli mnie pan nie okłamał, to znaczy, że ci ludzie czekają na pana, prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Wobec tego wyjdzie pan tylnymi drzwiami. Prosto na katedrę.

– Czy ma pani jakąś broń? – ośmielił się zapytać.

– Tylko to. – Pokazała na ścianę.

Wisiały tam dwie ozdobne dagi, które na niewiele mogły mu się przydać.

– Wolalbym jedną z tych garot, które widziałem.

Zadzwoiła po służącą i przekazała jej prośbę Fonseki. Chwilę potem pokazała mu tylne wyjście.

Drzwi wychodziły na wąski, ciemny zaułek tonący we mgle. Nie wyglądało to zachęcająco. Sebastián przesuwał się wzdłuż muru, pragnąc jak najszybciej dostać się na plac prześwietlający na drugim końcu uliczki.

Ale zanim tam dotarł, stanęło przed nim tych pięciu zabójców, którzy tym razem nie zamierzali go przepuścić. Wyciągnęli szpady i okrążyli go, odcinając również drogę odwrotu. Był przyparty do muru.

40 Kobieta z zasłoniętą twarzą

Ksiądz Tarsicio odmawiał z wiernymi różaniec. Stał na ambonie, która znajdowała się obok głównego ołtarza katedry, oparta o wysoki filar po stronie Ewangelii. W świątyni panował półmrok rozjaśniany niekiedy nieśmiałym promieniem słońca, który przedzierał się przez mgłę i wielkie kościelne okna. Ten nagły błysk światła ześlizgiwał się ku dymiącym świecom otoczonym wianuszkami pobożnych parafianek szepczących swe modlitwy pod nieustraszonym spojrzeniem apostołów, proroków i dziewic.

Trząsł się z zimna, choć zakrystianin przewidująco postawił mu przy nogach kosz z rozżarzonymi węglami. I mimo – co tu ukrywać – ratowania się winem mszalnym, którego dwa spore łyki pociągnął przed tym spotkaniem z parafiankami. Marzył o kolejnym łyku, kiedy usłyszał skrzypienie drzwi po swej lewej ręce, w drugim końcu transeptu, po stronie epistoły.

Uchyliły się ciężkie drewniane drzwi i w szparze pojawiła się jakaś męska głowa. Nowo przybyły obiegł wzrokiem panoramę z lewa na prawo, jakby się zastanawiał, czy wejść. Widać było po nim, że jest zadyszany i wyraźnie odstaje od stadka podejrzliwych kumoszek, któremu przewodził jako pasterz ksiądz Tarsicio. Patrzyły teraz na intruza spod oka, udając, że go nie widzą, i nie przestając klepać różańca.

Sądząc po jego zachowaniu, nowo przybyły miał świadomość, że jest nie na miejscu. Mimo to wszedł i zamknął za sobą drzwi. Przybrał pobożną,

jak mu się zdawało, minę, poprawił na sobie strój, przeszedł na palcach obok rozmodlonych kobiet i usiadł z tyłu za nimi.

Wkrótce potem drzwi znów zaskrzypiały. Wszyscy zgromadzeni spojrzeli w tym kierunku. I zobaczyli tym razem pięciu osobników, których miny nie wróżyły nic dobrego. Na pewno nie przyszli tu się pomodlić. Wręcz przeciwnie, rzuciwszy okiem na otoczenie, wymienili między sobą krzywe uśmiechy. Szepotali coś złowrogo. Ale nie zdecydowali się wejść.

Zniecierpliwiony ojciec Tarsicio dawał im znaki, żeby zamknęły, bo jest przeciąg. Najpierw dyskretnie. Potem coraz gwałtowniej.

Wreszcie cała piątka wyszła.

Dwie tajemnice dalej, a nie były to tajemnice radosne, znowu dało się słyszeć skrzypnięcie drzwi. Ksiądz był już przygotowany na wszystko. Ale nie na to, co zobaczył, kiedy uchyliły się drzwi i w progu stanęła kobieta z zasłoniętą twarzą. Rozejrzała się po kościele jednym okiem widocznym spod tego przybrania głowy, nie bacząc na oburzone spojrzenia innych kobiet.

To już szczyt wszystkiego, pomyślał ksiądz.

Przypomniały mu się słowa papieża Klemensa IX. Podobno kiedy ponad sto lat temu przedstawiono mu akta do kanonizacji Róży z Limy, Ojciec Święty załamał ręce i szepnął: „Święta limianka? To niemożliwe!”.

Kobieta z zasłoniętą twarzą weszła bez żenady. Zastukała obcasami, omijając spłoszone kumy, i usiadła z tyłu za mężczyzną, tym, który wszedł jako pierwszy i był jedynym prawdziwym mężczyzną na tym konwentyklu staroci.

– Nie ma wstydu! – mruknął do siebie ojciec Tarsicio, którego uwagi nie umknął żaden szczegół. – Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Dalszy ciąg wydarzeń zdumiał go jeszcze bardziej. Kobieta odsłoniła część twarzy i przysuwając usta do ucha intruza, coś krótko szepnęła. Mało tego. Ponieważ ów mężczyzna zdawał się nieprzekonany, zaczęła gestykulować i pokazała na filar z amboną, z której ksiądz prowadził modlitwy.

Następnie wstała i przeszła na drugą stronę, stronę Ewangelii, przesuwając

się za plecami parafianek. Ojciec Tarsicio stracił ją z oczu, gdyż znalazła się za wielkim filarem, przy którym stała jego kazalnica i który zasłaniał ją również reszcie zgromadzenia. Ale z prawej strony z tyłu dobiegł go nieomylny dźwięk: tak zgrzytały zawiasy w jego konfesjonale przy otwieraniu drzwiczek.

– Niesłychane! Żeby wchodzić do „mojego” konfesjonatu?! – zdziwił się.

Na dodatek zostawił tam swoją pelerynę i kapelusz. Zwykle tak czynił. Miejsce było wyjątkowo zimne, a łysinę i nerki miał bardzo wrażliwe i musiał się przykrywać, żeby całkiem nie zeszywnieć podczas wysłuchiwania penitentów.

Jeszcze nie otrząsnął się z tego zdumienia, kiedy zobaczył, że mężczyzna też wstaje z miejsca. W pierwszej chwili pomyślał, że zamierza wyjść tymi samymi drzwiami, przez które wszedł, bo skierował się w stronę epistoły. Ale szybko okazało się, że w gruncie rzeczy mężczyzna obchodzi od tyłu prezbiterium i główny ołtarz, aby przejść na stronę Ewangelii i zetknąć się z nieznaną.

Ksiądz obserwował to wszystko ze swego uprzywilejowanego miejsca na ambonie. Nikt oprócz niego nie widział tych manewrów męskodamskich. Przez chwilę wahał się, czy nie przerwać odmawiania różańca, ale nie chciał wywoływać skandalu, poza tym sam był ciekaw, co z tego wyniknie. Mimo woli podniósł głos, wygłaszając łacińskie gloryfikacje czystości i wyobrażając sobie zarazem profanację konfesjonatu. Wiele by teraz dał za łyk mszalnego wina.

Z konfesjonatu dobiegały takie odgłosy, że nie mógł skoncentrować się na modlitwie. Oburzał go taki zamach na przyzwoitość w Domu Pańskim. No dobrze – próbował przekonać sam siebie – a jeśli tych dwoje jest niewinnych? Czy nie po to istnieje prawo azylu? Bo przecież tamta grupa osobników, gotowych wtargnąć w ślad za intruzem, nie miała pokojowych zamiarów. Nie byli posłańcami sprawiedliwości ani miłosierdzia. Może wysłał ich jakiś zdradzony mąż szukający zemsty? Ale przecież Jezus ujął

się za cudzołożnicą. Co prawda nie wiadomo, czy w Limie postąpiłby tak samo i czy nie rzuciłby pierwszy kamieniem... Musiałby mieć ich wiele pod ręką.

Próbował skupić się na modlitwie. Zauważył, że parafianki niecierpliwą się, powtarzając skrzeczącym głosem *ora pro nobis* z akcentem na „is”, które wydłużało się niczym salwa z karabinu, jakby żądały odpowiedzi na pytanie, co tu się dzieje.

Podjął przerwany wątek różańcowy, kiedy nagle usłyszał stuk otwieranych drzwiczek konfesjonau. Odwrócił się dyskretnie i zobaczył kobietę z zasłoniętą twarzą, znikającą za prezbiterium i głównym ołtarzem. Kierowała się w stronę wyjścia. Pobiegł za nią wzrokiem i kiedy otwierała drzwi, zauważył, że uniosła lekko spódnicę, aby przejść przez próg i dalej w dół po schodkach. Mignął fragment nagiej łydki. Była zbyt umięśniona i owłosiona jak na nogę kobiecą.

Jezus, Maria, Józefie święty! Co tam się dzieje w „moim” konfesjonale? – zaniepokoił się w głębi ducha. Na samą myśl o tym poczuł, jak biją na niego zimne poty. Wypuścił z ręki różaniec, żeby poszukać chusteczki w jednej z przepastnych, skierowanych do tyłu kieszeni po bokach sutanny. Kiedy ponownie zaczął przesuwac paciorki między palcami, pomylił się i przeskoczył jedną tajemnicę. Zauważył, że parafianki spoglądają po sobie z niepokojem, pokazując odmówione dziesiątki różańca. Coś zaczęły szeptać. I wreszcie jedna z nich, pułkownikowa, wdowa po oficerze artylerii, który doszedł do tego stopnia, zaczęła dawać mu znaki, że się pomylił. Ksiądz Tarsicio próbował naprawić ten błąd, ale był tak zbity z tropu, że zamiast nowej tajemnicy powtórzył tę, którą już odmówił.

I trudno mu się dziwić, skoro w tym samym momencie zazgrzytały znowu drzwiczki konfesjonau. Z niecierpliwością wypatrywał, kogo tym razem ujrzy w przejściu za kolumną, którą zazwyczaj przechodziło czoło procesji w stronę głównego wejścia. Zobaczył księdza.

Przecież tu nie ma innych księży oprócz mnie, pomyślał i przerwał odmawianie różańca.

Dewotki podniosły głowy i znów czekały niecierpliwie, potrząsając swoimi różańcami.

Patrząc za nieznanym, ojciec Tarsicio uświadomił sobie, że ma on na sobie jego pelerynę i kapelusz.

41 O kartografii i teologii

Kolasa powożona przez Qaytu okrążyła fontannę z azulejos na patio i zatrzymała się przy łańcuchu u wejścia do domu, na wprost schodów prowadzących na piętro. Dopiero wtedy wysiadło z niej dwoje pasażerów. Książd i kobieta z twarzą zasłoniętą szalem. Don Luis de Zúñiga zakpił dobrodusznie z Uminy przebranej za księdza. Opowiedziała mu, jak szła krok w krok za Sebastiánem i nierozpoznana zaczepiła go niby przypadkiem na Plaza de Armas, a potem wybawiła go z opresji w katedrze.

– Nie rozumiem, jak można się w tym poruszać – narzekał inżynier, próbując się wyswobodzić z kobiecych fatalaszeków.

– Dużo jeszcze musi się pan nauczyć, jeśli chce pan adorować limianki.

– Niech się pan nie złości, przyjacielu. Przecież wszyscy wiedzą, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle – wtrącił Zúñiga. – Choć szczerze mówiąc, pierwszy raz widzę, aby ktoś posunął się tak daleko w zalotach do kobiety z zasłoniętą twarzą. Zaraz dam panu coś do przebrania.

Sebastián płonął chęcią podzielenia się odkryciem dokonanym w domu wdowy Marii de Ondegardo. Przebrał się szybko i szedł do salonu, gdzie wkrótce zjawiła się Umina.

Po ostatnich wydarzeniach bardziej niż kiedykolwiek przedtem podziwiał wdzięczne ruchy Metyski, kiedy schodziła po schodach. Miała w sobie

naturalną zmysłowość niezależnie od noszonego stroju. Kiedy usiadł przy niej na sofie, zmieszał się na wspomnienie bliskości fizycznej, do jakiej doszło w konfesjonale.

Z najwyższym trudem odzyskał panowanie nad sobą, żeby opowiedzieć o dokumentach z archiwum jezuitów. Przede wszystkim pokazał jej trzy kartki, mówiąc:

– Rodzaj papieru, charakter pisma i język wskazują na to, że są to owe brakujące strony *Kroniki*.

– A więc mamy tu zapis słów, które Sírax podyktowała umierającemu Diegowi. Zaraz sprawdzę, czy to na pewno jest w języku keczua.

Trzy wyrwane strony pokrywały od góry do dołu nazwy; jedne pisane dużymi literami jako epigrafy, inne, pod spodem, pisane małymi literami.

Umina zaczęła od tych pierwszych.

– PUCAMARCA, CHUMBIMARCA, ILLACAMARCA... to nazwy miejscowości. *Pucamarca* znaczy Czerwona Osada, *Chumbimarca* – Osada Tkaczy, *Illacamarca* – Osada Skarbu...

Inne epigrafy, też majuskułowe, należały do tej samej rodziny.

– CACHIPUQUIU, CORCORPUQUIU, CHURUPUQUIU, MICAYPUQUIU... Źródło Soli, Źródło Dzikiej Trzciny, Źródło Ślimaka, Źródło Mokradeł... – tłumaczyła Umina.

Pod nimi zaczynały się nazwy pisane minuskułami, które Fonseca odczytywał, a Metyska zaznaczała ich transkrypcję.

– *Qenqo Grande*.

– *Qenqo* znaczy w keczua coś krętego, jakiś zygzak. To miejsce znajduje się na obrzeżach Cuzco, obok naszych magazynów przy drodze do Pisac. Tam mieszka jedna z siostr Qaytu ze swoim mężem.

– *Ollantaytambo*. Tambo Ollantay. Tambo to schronisko budowane przez Inków przy drogach. Wiele z nich przetrwało do dziś. Ale może też oznaczać nazwę wioski. Jedna z nich leży niedaleko posiadłości mojej matki w Yucay, w dolinie rzeki Urubamby.

– *Cóndor Guachana*.

– Gniazdo Kondora. Takich miejsc jest wiele. Tyle, ile kondorów. A

może to jakieś sanktuarium?

– *Ñusta Hispana*.

– Tego nie będę tłumaczyć – oświadczyła Umina.

– Dlaczego?

– Mam swoje powody. Jakie jest następne słowo?

– *Totorgoaylla*.

– Pole totory.

– Co to jest totora? – spytał Sebastián.

– Taki gatunek trzciny, z której robi się dachy, a nawet łódki.

– *Cajana*.

– Myślę, że to inna forma słowa *Qasana*, które oznacza Miejsce Lodu, czyli lodowiec albo połączenie nigdy nietopniejącego śniegu.

– *Pactaguañui*.

– „Uwaga! Śmierć!”

– *Guanipata*.

– Miejsce Kary. Jeszcze jedno ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

– *Inca Ruminahui*.

– *Nahui* znaczy oko, a *Rumi* – kamień. W tym wypadku – Oko Inki.

Myślę, że to jakaś górská jaskinia.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zastanawiał się Sebastián. – Dlaczego te miejsca są takie ważne i tyle osób ich szuka?

– Te nazwy są zbyt ogólne. Dla kogoś, kto słyszy je po raz pierwszy, nie stanowią żadnej wskazówki. Myślę, że chodzi tu o *huacas* – odparła Umina.

– *Huacas*?

– Tak, święte miejsca.

– Świętynie?

– Niekoniecznie. Raczej szczyty górskie, źródła, jaskinie i skały o charakterystycznym kształcie. Takie punkty orientacyjne. Mieszkańcy okolicznych wiosek wierzyli, że stamtąd wyszli ich przodkowie. Oddawali im cześć. Te miejsca były dla wielu klanów czymś, co wiązało je z zamieszkiwaną ziemią, dawało im do niej prawo. Taki tytuł własności.

– Dlaczego dla Sírax było takie ważne, żeby je tu umieścić?
– Myślę, że chciała w ten sposób stworzyć dokument, który można by w razie potrzeby wykorzystać poza kręgiem kultury indiańskiej. Indianie utrzymywali w sekrecie nazwy tych miejsc, ponieważ składali tam ofiary, różne cenne przedmioty. Nie chcieli zdradzać ich Hiszpanom w obawie przed grabieżą. Albo zniszczeniem przez misjonarzy. Proszę mi dać tę listę.

Umina wzięła trzy luźne kartki i przesuwiała po nich palcem.

– Co pani robi? – zainteresował się Sebastián.

Dziewczyna zrobiła dłonią znak, żeby jej nie przerywał.

– Liczyłam słowa – powiedziała, kiedy skończyła.

– Po co?

– Zaraz to panu wyjaśnię. Proszę mi podać to kipu, które posłużyło do łączenia stron.

Inżynier zrobił, jak mówiła. Był pod wrażeniem jej spokoju i pewności siebie.

Umina wstała z miejsca. Podeszła do stołu w salonie, położyła na nim czerwone kipu i zaczęła je rozwijać. Przede wszystkim zadbała o wyprostowanie głównego sznurka, z którego wychodziło wiele nici. Następnie policzyła te ostatnie.

– Jest ich czterdzieści jeden, dokładnie czterdzieści jeden. Tyle samo, ile liter majuskułowych – podsumowała. – A teraz niech pan policzy supełki na tych wszystkich nitkach, a ja sprawdzę, ile na tej liście jest liter minuskułowych.

Zajęło im to trochę czasu, ale oboje otrzymali taki sam wynik: trzysta dwadzieścia osiem.

– Co pani o tym myśli? – spytał Sebastián.

– Istnieje ścisły związek między tą listą *huacas*, spisanych przez Diega de Acuña, i czerwonym kipu.

– Co to oznacza?

– O to trzeba zapytać kogoś z *quipucamayos*, znawców pisma węzłowego.

– Są jeszcze tacy?

– Myślę, że w Cuzco są. Moja matka pomoże nam ich znaleźć.
– Rozumiem... Ale jakie jest pani pierwsze skojarzenie z tym odkryciem?

– To kipu mogło być używane w szesnastym wieku jako mapa imperium inkaskiego, a przynajmniej mapa regionu Cuzco i Vilcabamby. Jeśli tak, to są to miejsca dobrze znane. Ale trudno będzie je zlokalizować. Trzeba po prostu tam pojechać. Niektóre wioski są już pewnie opuszczone i nikt o nich nie pamięta, inne przyjęły nazwę chrześcijańską albo bardziej hiszpańską.

– Teraz widzę, że mój ojciec nie postradał zmysłów – stwierdził Sebastián.

– Nie rozumiem...

– Zwróciła pani uwagę na jego biurko, kiedy była pani u niego z wizytą?

– Owszem. Zdziwiło mnie, że ma tyle przegródek.

– Używał ich do segregowania notatek i wzmianek o *Kronice*. Zastosował podział na: tektoniczne, związane z tkactwem i tekstowe.

– Czyli *huacas*, kipu i dokumenty pisane.

– Właśnie tak – potwierdził Fonseca.

– Pański ojciec wcale nie oszalał. Był doskonale poinformowany – przyznała Umina. – Jeśli chce pan go lepiej zrozumieć, proszę się temu przyjrzeć.

Pobiegł wzrokiem za jej ręką. Pokazywała na nowo budowany dom.

– Z tarasu będzie lepiej widać – zasugerowała.

Weszli na płaski dach. W sąsiedztwie powstawał nowy dom, przy którym uwijali się murarze. Wyjaśniła, że z powodu częstych trzęsień ziemi materiałów takich jak kamień czy cegła używano tylko w podpiwniczeniach. Wszędzie indziej wykorzystywano lżejsze materiały, zwłaszcza że w tym klimacie i przy niewielkich opadach nie sprawiało to większych problemów.

Najpierw murarz wkopuje w ziemię zakotwione słupy po obwodzie budynku. Potem łączy je ze sobą poziomo za pomocą tyczek powiązanych

rzemieniami z surowej skóry. Tak powstaje szkielet budynku. Między te elementy wkłada się trzcinę, tak jak przy wyplataniu koszyków. Na to kładzie się zaprawę z gliny i słomy, taką samą, jakiej używa się do wyrobu adobe, i już jest ściana. Potem przychodzi dacharz, a gotowy dach pokrywa się smołą. Na koniec zjawiają się sztukatorzy, żeby pokryć stiukem ściany z gliny, a malarz, który klnie po włosku, w okamgnieniu tworzy freski udające kamień albo marmur.

Te niezgrabne, choć na pozór bardzo solidne budynki są w gruncie rzeczy jak wielkie kosze albo klatki uplecione z trzciny, trawy czy wikliny, osadzone na niepewnym podłożu. Sebastián pomyślał, że gdyby nagle zerwała się ulewa albo burza z rodzaju tych, które występują pod innymi szerokościami geograficznymi, cała Lima rozpuściłaby się w wodzie. Zamieniona w rzekę błota popłynęłaby aż do Callao. Na miejscu pozostałyby tylko smutne wiklinowe szkielety. Jak druty krynoliny, z których opadła piękna suknia i dama została w bieliźnie.

Zrozumiał, do czego dążył ojciec, grzebiąc bez przerwy w papierach powkładanych w przegródki dziwnego biurka-detektywa: TECTUM, TEXTILIA, TEXTO. Zrozumiał, że dom jest jak osnowa. Prawdopodobnie kiedyś wszystkie domy budowano tak jak ten z naprzeciwka. Juan de Fonseca nie miał kipu ani tych trzech kartek wyrwanych z *Kroniki*, ani informacji przekazanej pośmiertnie przez Sírax i znalezionej w jej grobie. Domyslał się ich istnienia z rozmów przeprowadzonych z bratem Álvarem i próbował odtworzyć zawartą w nich treść na podstawie imion i nazw cytowanych przez Diega de Acuña, pamiętając o ścisłym związku między tekstem skryby a *huacas* i architekturą miast i wiosek. Te współzależności i kipu powinny naprowadzić ich na ślad Oka Inki i zaginionego miasta Vilcabamba.

* * *

Zeszli na dół do biblioteki, gdzie czekał na nich don Luis de Zúñiga, i Umina dokonała podsumowania:

– Nie widzę innego sposobu na zlokalizowanie w terenie miejsc wyszczególnionych na tej liście i w węzłkach czerwonego kipu, jak jechać

do Cuzco, odnaleźć grób Sírax i skonsultować się z *quipucamayos*,

– Powinniście się pospieszyć – zalecił don Luis. – Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że Carvajal i Montilla też się tam wybierają ze swą uzbrojoną bandą.

– Musimy przybyć do Cuzco przed nimi – powiedział Sebastián.

Zúñiga pokręcił z niezadowoleniem głową.

– To niemożliwe, jeśli panu życie miłe i woli pan umrzeć ze starości niż w rękach lekarzy albo w wypadku. Jeszcze trzy, cztery dni zabierze nam przygotowanie karawany mułów, z którą wyruszyście do Cuzco. Zajmuje się tym Qaytu. Jest doświadczonym mulnikiem i poganiaczem, ale nie cudotwórcą. Musi mieć te kilka dni, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Pokazał im trasę zaznaczoną na mapie Ameryki Południowej wyrysowanej przez Juana de la Cruz Cano y Olmedillę. Przesuwał patyczkiem po tych górach i dolinach po tysiącokrotnie skąpanych we krwi, a mimo to mających w nazwie Chrystusa, Zwiastowanie lub Trójcę Przenajświętszą.

– To przypomina bardziej traktat z teologii niż zwykłą mapę. – Sebastián nie mógł się powstrzymać od tego komentarza.

Gospodarz się uśmiechnął.

– Owszem, a piekło znajduje się tu – pokazał punkt na mapie i powiedział: – Most nad rzeką Apurimac między Curahuasi i Marcahuasi. Jest przeznaczony do naprawy, więc musicie się pospieszyć, zanim go zamkną. Jeśli nie zdążycie, czeka was droga okrężna, która zabierze wam cały tydzień.

– Dlaczego ten most jest taki niebezpieczny?

– Bo jest zrobiony ze sznurów rozciągniętych między skałami na dużej wysokości, nad rzeką, na którą strach bierze patrzeć. I kołysze się jak hamak. Ale najpierw pójdziecie wzdłuż wybrzeża do Asi, gdzie skręcicie w dolinę, która będzie się powoli wznosić w górę aż do Huancaveliki. Stopniowo oswoicie się z problemem przebywania na dużych wysokościach i miejmy nadzieję, że nie dopadnie was nagły atak choroby górskiej. Bo potem, między Huancavelica a Huamanga, czeka was najtrudniejszy etap drogi. Trzeba przejść przez Despoblado, pierwszą część Kordyliery. W

Huamandze nabierzecie siły przed wyruszeniem do Andahuaylas i Abancay. I tam się przygotujecie do przeprawy przez most nad rzeką Apurimac.

– Ile nam to zajmie?

– Cała trasa liczy sto osiemdziesiąt cztery mile, normalną drogą, ale Qaytu zna skróty. Zakładam, że przejdziecie ją w dwadzieścia dni, jeśli nie będzie żadnych niespodzianek.

– Niespodzianek?

– W górach jest bardzo niespokojnie. Może dojść do niepożądanego spotkania z którąś ze stron konfliktu. Ale i bez tego trasa jest wyjątkowo niebezpieczna, jeśli wziąć pod uwagę przeszkody naturalne: wezbrane rzeki, choć pora deszczowa minęła, zerwane mosty, osunięcia skalne, lawiny... Poza tym nawet najlepsze muły muszą odpocząć co dwa, trzy dni, a w ciągu jednego dnia przejdą nie więcej niż dziesięć mil. Pamiętajcie, że nie wszędzie będą pastwiska. Trzeba wziąć ze sobą paszę. Postaramy się wybrać dla was doświadczone zwierzęta, które już były na tej trasie.

– A co z jedzeniem dla nas? – zapytała Umina.

– W górach brakuje tłuszczu, więc powinniście zabrać spory zapas słoniny do smażenia, duszenia i w ogóle. Warto też zaopatrzyć się w peklowane mięso i wędlinę, ryż, pomidory, cebulę, czosnek i cytryny, bo tam brakuje octu albo jest kiepskiej jakości. Jajek nie trzeba brać na drogę, bo się zbijają, zresztą bez trudu dostaniecie je po wioskach.

– Zakupy to moja sprawa – powiedziała Metyska.

– Pomogę pani – zaproponował Sebastián.

Zúñiga pokręcił przecząco głową.

– To nie jest dobry pomysł. Lepiej weź ze sobą, Umino, kogoś, kto zna miasto, a my tu z panem Fonsecą dopilnujemy paru innych rzeczy.

– Wezmę Qaytu.

– Qaytu wybiera muły na targu. Ma bardzo mało czasu. Zaraz znajdę dla ciebie kogoś zaufanego.

Po wyjściu Uminy don Luis zaprowadził inżyniera do stajni i pokazał dwa wspaniałe konie.

– Jeden dla pana, drugi dla Uminy. Wychowały się w górach. Już

cztery razy przeszły ten szlak.

Następnie obejrzeli broń i tak minęło im całe popołudnie. Zúñiga doradził Sebastiánowi w sprawie ubrania. Dał mu ciepłą bieliznę, grube buty, szalik i poncho z wełny wigonia sięgające poniżej kolan.

Zasugerował, żeby na postojach raczej nie korzystali z hamaka, choć Sebastián cenił sobie jego zalety podczas podróży na pokładzie „Áfriki”.

– Owszem, chroni przed wilgocią i nie brudzi się tak jak koc – stwierdził kupiec. – Ale w górach na niewiele się przyda, bo jak już znajdziecie miejsce na nocleg pod gołym niebem, to pewnie nie będzie gdzie go przywiązać. Z kolei groty są za niskie i nie mają solidnych punktów zaczepienia. Osobiście doradzałbym kocy. Są lekkie, wełniane, podbite od spodu skórą. Łatwo dają się zwinąć i przytroczyć do muła. A w razie potrzeby można na nich usiąść.

Tak sobie miło rozmawiali, kiedy wpadł mężczyzna, który miał towarzyszyć Uminie na zakupach, zgodnie z poleceniem Zúñigi. Zadyszany wołał od progu:

- Panie, panie! Straszna rzecz się stała!
- Co takiego? – spytał don Luis.

Nowo przybyły pokazał na sznur na swej szyi z charakterystycznym węzłem, który Sebastián od razu rozpoznał, i powiedział:

- Porwali Uminę.

42 Carvajal

Sebastián chodził nerwowo po placu, nie reagując na uspokajające gesty Luisa de Zúñigi. Z tyłu za nimi czekało w pogotowiu dwudziestu uzbrojonych mężczyzn. Dowodził nimi Kreol Gálvez, były sierżant wojskowy, który teraz służył swym doświadczeniem najlepiej płacącemu. W normalnych warunkach don Luis nie zdecydowałby się tak szybko, żeby go wynająć. Ale nie miał wyboru, bo tylko ten patrol wyruszał do Cuzco w celu wzmocnienia tamtejszych środków bezpieczeństwa. Wynajął go za sowskim wynagrodzeniem w zamian za obietnicę Gálveza, że po drodze zaopiekuje się karawaną.

Fonseca od trzech dni ćwiczył z mulnikami bez chwili przerwy. Udało mu się zaprowadzić wśród nich dyscyplinę niezbędną dla bezpieczeństwa wyprawy.

– Powinien pan odpocząć – radził mu Zúñiga. – Ledwie się pan trzyma na nogach.

– Szkoda czasu. Długo to jeszcze potrwa? – niecierpliwiał się inżynier.

Miał na myśli ostatnie przygotowania czynione przez Qaytu, skrócone i tak do minimum, żeby jak najszybciej podążyć za Carvajalem i Montillą. Ta banda miała nad nimi dwa dni przewagi. A nade wszystko – mieli w swych rękach Uminę, którą porwali w sklepie, kiedy kupowała prowiant na wyprawę. Porywaczy nie zainteresował towarzyszący jej eskortant. Puścili

go wolno, żeby zaniósł wiadomość, komu trzeba.

– Każda godzina się liczy – nalegał Sebastián.

– Dobrze pan wie, że jestem tego samego zdania, ale jeśli czegoś nie dopilnujemy teraz, przyjdzie za to dużo zapłacić podczas drogi, proszę mi wierzyć. Znam się na funkcjonowaniu karawany. To nie to samo co kolumna wojskowa.

Pokazał na Qaytu, który właśnie zakończył wybieranie pół setki mułów dla około trzydziestu mulników. Sprawdzał je dokładnie jeszcze raz i z niektórych rezygnował na pozór bez powodu.

– Dlaczego tamte odrzucił? Nie nadają się? – spytał zniecierpliwiony Fonseca, pokazując na muły tłoczące się w korralu.

– Są za młode – odpowiedział Zúñiga. – Do takiej ciężkiej podróży muszą mieć przynajmniej cztery lata.

– A te, które się pasą na łące? Niech weźmie parę z nich, to szybciej skończymy i wyruszymy w drogę.

– One muszą odpocząć jeszcze pół miesiąca, bo dopiero niedawno wróciły z wyprawy.

– A tamte? Dlaczego nie idą z nami? – syknął inżynier na widok kilku mułów gotowych do drogi, które zabierał jakiś inny przewoźnik.

– To są muły dobre tu, na równinie, ale nie w górach. Wychowały się w piaszczystych dolinach wybrzeża i nie potrafią chodzić po twardym podłożu skał, męczą się pod górę, a z góry jeszcze gorzej, bo często spadają i roztrzaskują się o głazy. Trzeba dobrze wybrać, bo wasze życie będzie zależeć od mułów.

Kiedy Qaytu zakończył tę czynność, Sebastián chciał do niego podejść, żeby go ponaglić. Ale Zúñiga przytrzymał go za ramię.

– Jeszcze nie koniec. Niech pan zostawi go w spokoju. Za pół godziny będzie po wszystkim. Niech pan się przyjrzy, jak okiełznać muła. To może być przydatne w drodze.

Qaytu wziął powróż w jedną rękę, a w drugą poncho, przygotowując się do walki z wielką, silną mulicą, która nie dawała się ujarzmić.

Szczerzyła długie, żółtawe zęby, groźnie porykiwała i robiła kurbety, wierzgając przy tym tak mocno, że gdyby ktoś się nawinął, miałby połamane kości. Qaytu usuwał się w porę i dalej drażnił zwierzę, ale gdy te ataki furii zaczęły słabnąć, wtedy on zaszarżował, zapędził mulicę w róg korralu, przywiązał i przykrył łeb ponchem, żeby zasłonić oczy. Nie przedstawiała wierzgać i podskakiwać. W pewnym momencie Indianin rzucił się na nią i przygiął do ziemi. Nie ruszając się z miejsca, dał znak swoim pomocnikom, żeby spętali jej łapy, a sam w tym czasie trzymał ją mocno za łeb i zakładał uzdę. Szarpała się, ryczała jak byk, waliła łbem o ziemię, aż krew leciała z oczodołów i z pyska.

Po chwili wypuścili ją, nie zdejmując uzdy. Ledwie wstała na nogi, znów zaczęła skakać i wierzgać. Qaytu odczekał trochę i w momencie gdy mulica najmniej się tego spodziewała, rzucił się na nią i przygiął do ziemi z niesłychaną siłą. Zwierzę dyszało jak w agonii, ale nie poddawało się. Qaytu wiedział, że nadal musi być czujny i nie może uznać swej pracy za dokończoną, dopóki nie dosiądzie muła.

Nie przyjął ostróg zwanych nazarejskimi, które podawał mu pomocnik. Wolał użyć łagodnej perswazji albo siły w zależności od tego, co podpowiedzą mu instynkt i zachowanie zwierzęcia. Kiedy uznał, że mulica wyczerpała intencje rebelianckie, powoli zwolnił ucisk. Ale wiedział, że zwierzę ujarzmione to jeszcze nie znaczy: ułożone, jak mówi się o oswojonych mułach zdolnych do pracy. Najpierw pozwolił jej trochę poharcować i dopiero potem zaczął więcej wymagać, ściągając lekko cugle. Efekt był w pełni zadowalający.

Mulica dołączyła do wybranego stada, które obserwowało to wszystko z milczącym zdziwieniem.

– Widział pan? – powiedział don Luis do Sebastiána. – Nikt nie jest w tym tak dobry jak Qaytu.

– Po co zawracać sobie głowę takim narowistym zwierzęciem?

– Qaytu nie wyruszyłby bez Cerrery. Zna ją od małego. Wyciągnął ją z kopalni, gdzie zwierzęta są umieszczane niedługo po przyjsciu na świat, bo potem nie przejdą przez wąski otwór. A jak raz się znajdą na dole, to już

na zawsze. Muszą tak żyć bez słońca, bez świeżego powietrza, dźwigając ciężary aż do śmierci. Qaytu i Cerrera są nierozłączni. Tylko że jak go dłużej nie ma, tak jak ostatnio w związku z wyjazdem do Hiszpanii, to wtedy ona dziczeje i musi ją od nowa oswajać. Ona chce chyba w ten sposób sprawdzić, czy nadal ma pana, czy mięczaka.

– Przecież mógłby sobie wziąć innego muła.

– Cerrera jest wyjątkowa – stwierdził Zúñiga. – Ma niezwykle instynkt wynajdywania najlepszych przejść. Inne muły uznają jej wyższość i ślepo za nią idą. Cerrera na przodzie karawany to już pół sukcesu.

– Gdzie Qaytu nauczył się tyle o mułach?

– W manufakturze, w fabryce włókienniczej. Myślę, że tam porywacze chcą doprowadzić Uminę.

– Nie rozumiem.

Don Luis zauważył, że wszystko, co wiąże się z Metyską, budzi najwyższe zainteresowanie Fonseki, więc dodał:

– Nic panu o tym nie powiedzieli, prawda?

– O czym? – zdziwił się inżynier.

– Powinien pan poznać trochę Carvajala, skoro przyjdzie się panu z nim zmierzyć. Martwię się o Uminę tak samo jak pan. Ale najpierw muszę panu powiedzieć o nim, o jego fabryce tkanin i o Qaytu. Mamy na to kwadrans.

* * *

Opowiedział mu, że Qaytu wywodzi się z biednej indiańskiej rodziny. Aby móc wykarmić wszystkie swoje dzieci, rodzice postanowili posłać pierworodnego Qaytu do pracy w manufakturze La Providencia nad rzeką Apurimac. Należała ona wówczas do Towarzystwa Jezusowego. Administrator, ojciec Lucas, docenił dobre chęci chłopca, znalazł mu odpowiednie zajęcie, nauczył czytać i pisać.

Ów jezuita szybko zrozumiał, że zarobią dużo więcej na swych suknach, jeśli sami zatroszczą się o zdobywanie surowca i rozprowadzanie gotowych wyrobów, zamieniając się w dostawców. Zrozumiał również, że przyszłość

transportu leży w mułach. Problem w tym, że były za drogie, bo rodziły się na pastwiskach koło Buenos Aires, zimowały na pampach Salta i Tucumán i w miarę jak przesuwały się na północ, na płaskowyż centralny, do Cuzco albo Huamangi – drożały, osiągając niebotyczne ceny. Zaczął więc jeździć na południe, żeby kupować stada bezpośrednio u hodowców. Zabierał ze sobą Qaytu, który w wieku siedemnastu lat był już olbrzymem, samym swoim wyglądem gwarantował bezpieczeństwo w podróży, a poza tym miał dobrą rękę do zwierząt.

Tak się zaczęło. Zdobywał pierwsze szlify na wielkich targach w Salcie, gdzie każdego roku, w marcu, gromadzono ponad sześćdziesiąt tysięcy mułów. On i ojciec Lucas kupowali około pięciuset. Administrator zatrzymywał jakieś osiemdziesiąt, sto mułów na potrzeby manufaktury. Resztę sprzedawał mulnikom z folwarków w dolinie Cuzco. Brał za nie tyle, że ta pierwsza setka wychodziła mu za darmo.

Następnie ojciec Lucas zwoływał okolicznych chłopów i powierzał każdemu pewną liczbę zwierząt, w zależności od tego, ile mogli utrzymać. W ten sposób stawali się mulnikami na własny rachunek. Najpierw pracowali dla manufaktury, która była ich wierzycielem. Z czasem mogli się usamodzielnic, gdyż zarobki przewoźników pozwalały na szybszą spłatę długu. Warunki oferowane przez jezuitów i to, jak byli przez nich traktowani, spowodowało, że większość z nich wolała jednak pozostać w La Providencia. I tym sposobem, czyniąc zadość swej nazwie, manufaktura przekształciła się w dobrze prosperujący ośrodek włókienniczy. Przyciągała jak magnes okolicznych Indian, budząc zazdrość i podejrzliwość wśród bogaczy, którym nie w smak był nieustający rozwój tego ośrodka, a jeszcze bardziej przychylność okazywana Indianom przez jezuitów, która mogła stanowić zły przykład.

Qaytu zaczynał jako jeden z ubogich przewoźników, mając zaledwie siedem mulic. Ale rychło mógł się pochwalić stadem, które pozwalało na wykorzystanie większych zamówień w transporcie wełny lub tkanin. Jego ambicją było mieć dwa stada, żeby zapewnić ciągłość usług na wyznaczonych

szlakach. A to już zupełnie nie podobało się grupie *encomenderos*, którzy z trudem znosili działalność jezuitów, ale w głowach im się nie mieściło, żeby zwykły Indianin mógł robić to samo.

– Tak wszedł w kontakt ze mną i z ojcem Uminy. Potem... Będę się skracał. Przyszedł rok tysiąc siedemset sześćdziesiąty siódmy i wygnanie Towarzystwa Jezusowego. Początkowo – kontynuował don Luis – powstał Tymczasowy Zarząd Komisaryczny nad majątkiem jezuitów. Przestrzegano umów zawartych z mulnikami, którzy spłacali swój dług, wynajmując się do transportu towarów. Qaytu potraktował to jako swoją szansę, a że był przedsiębiorczy, powiększał stado, zadłużając się coraz bardziej.

Wszystko się zmieniło, gdy na scenę wtargnął Alonso Carvajal, człowiek nawykły budować swój majątek na ruinach własnego narodu. Miał posiadłości w tym rejonie i był wrogo nastawiony do jezuitów, to on zorganizował sprzeciw *encomenderos* i uchodził za ich przywódcę. Nadeszła dla niego chwila odwetu. Dzięki manipulacjom i łapówkom dawanym w Limie zdołał odkupić La Providencia wraz z terenem za śmiesznie małą cenę, uciekając się nawet do gróźb wobec przedstawiciela Zarządu Komisarycznego. Tym sposobem nie tylko przejął jedną z najlepszych fabryk w Peru, ale na dodatek zaczął rządzić transportem na głównym szlaku łączącym Limę z Cuzco i Potosí.

Potrzebował do tego ogromnych nakładów pieniężnych. I wtedy nawiązał bliższą znajomość z ojcem Uminy, Santiagiem de Silva, moim współnikiem. W tamtym czasie nie znaliśmy jeszcze prawdziwych intencji Carvajala. A jest to człowiek, który potrafi zauroczyć, jeśli chce. Bywał częstym gościem w domu don Santiaga w Cuzco, zdobywając sobie zaufanie jego i Uyán, matki Uminy.

Sebastián nie mógł wyjść ze zdumienia:

- Ta kanalia zdołała wkraść się w łaski rodziców Uminy?
- Do czasu gdy na drodze stanął mu Qaytu. Indianin był w kontakcie z jedynym bratem Uminy, Manuelem, starszym od niej, który pomagał ojcu w interesach. Manuel dowiedział się od mulnika, jak Carvajal traktuje Indian. Podniósł im podatki, zmuszał do kupowania zupełnie nieprzydatnych

rzeczy. Nawet okulary im sprzedał.

– Okulary?

– Tak jak pan słyszy. Została mu z przemytu skrzynia okularów, nie wiedział, co z nimi zrobić, i zmusił Indian, aby nosili je podczas mszy. Niech pan sobie wyobrazi tych biedaków, którzy ledwie mają co do garnka włożyć, nabywających za horrendalne ceny coś tak nieprzydatnego. Niezadowolenie Indian rosło. Carvajal musiał to dostrzec w oczach Qaytu i odebrał to jako wyzwanie. Postanowił dać Indianom nauczkę na przykładzie kogoś takiego jak Qaytu, który był związany z jezuitami, a na dodatek umiał czytać i pisać. Zażądał natychmiastowej zapłaty za muły wraz z odsetkami za zwłokę. Dobrze wiedział, że Qaytu nie ma z czego płacić, więc zmusił go do pracy w zakładach. A ponieważ sam Qaytu mu nie wystarczał, ściągnął jego rodziców i całą rodzinę, którzy też musieli pracować za darmo w ramach spłaty długu.

Przyzwyczajony do życia na wolności i długich podróży, jakie odbywał ze swymi zwierzętami, Qaytu nie wyobrażał sobie spędzania całych dni w zamknięciu. Na próżno błagał, aby nie pozbawiano go kredytu i pozwolono spłacać go, jak dotąd, frachtem mułami. Zabrali mu zwierzęta i wyznaczyli do najgorszej pracy w farbiarni przy ługach, wapnie, witiolu i innych środkach żrących używanych jako zaprawa. Była to dla niego tragedia: pragnął pomóc rodzicom i wyciągnąć ich z biedy, a tymczasem wpędził ich w jeszcze większą nędzę razem z resztą rodzeństwa. Nigdy już nie podniósł się z tego nieszczęścia.

Praca w manufakturze odbywała się na dwie zmiany po dwanaście godzin każda. Pracowali tam sami Indianie, młodzi i starzy, kobiety i dzieci. Carvajal zmuszał Indianki do służby w kuchni, zarówno mężatki, jak i panny, młode i stare, ciężarne i w połogu. Zdarzały się poronienia w czasie pracy albo złe ułożenie płodu w brzuchu matki i potrzebna była natychmiastowa pomoc, żeby ratować jej życie.

Częste były zgony przy krośnie. Zupełnie jak na galerze zagubionej w górach, która nigdy nie przestaje płynąć i nie zawija do żadnego portu, a

załoga nie ma chwili wytchnienia. Warunki pracy i kary były i są tak nie-ludzkie, że to przekracza wszelkie wyobrażenie. Ludzie zmuszeni do pracy w tej manufakturze mają takie same szanse na przeżycie jak galernicy. W gruncie rzeczy warsztaty tego rodzaju są traktowane jako więzienie z przymusową pracą. Najbardziej cierpią na tym Indianie. Carvajal woli stracić dziesięciu Indian niż jednego czarnego niewolnika. Za niego musiał zapłacić, a Indianie nic go nie kosztują.

– Nikt nie sprzeciwia się tym nadużyciom? – przerwał oburzony Sebastián. – Są chyba jacyś inspektorzy i wizytacje w manufakturach?

– Są, ale przymykają oczy i biorą łapówki, bo jak nie, to spotykają się z groźbami. Tych, którzy próbowali go zadencjonować, Carvajal wyeliminował z gry. To jego specjalność. Takie represje nazywa nauczka. A nauczka staje się przestroga.

– Słyszałem, jak wygląda praca w kopalniach, ale tu jest to samo.

– Nawet gorzej, bo ludzie nie mają co jeść, dostają zadania ponad siły, nie mają prawa do odpoczynku ani żadnych innych, są wyzyskiwani i okradani z dniówek. Słusznie powiedział pewien wicekról, że nie srebro płynie do Hiszpanii, tylko pot i krew Indian – podsumował Zúñiga.

– A brat Uminy? Co z nim się stało?

– Manuel długo nie widział Qaytu w Cuzco, więc pewnego dnia zjawił się niespodziewanie w manufakturze i wypytywał o niego. Carvajal próbował wszystko zatuszować, ale mulnik powiedział prawdę. Manuel wniósł skargę do gubernatora, że manufakturzysta nie przestrzega żadnych praw wobec pracujących dla niego ludzi. A gubernator powiadomił Carvajala o tej skardze, ponieważ był przekupiony. Oczywiście nie było mowy o żadnej karze. Jako ostrzeżenie dla wszystkich Carvajal kazał odciąć Qaytu język i rzucił na pożarcie swemu psu. Biedny Qaytu musiał na to patrzeć. Wtedy brat Uminy i ja zaproponowaliśmy mu pracę u siebie.

– Dlaczego Qaytu nie poskarżył się na Carvajala wobec władz?

– Carvajal zatrzymał w manufakturze jego rodzinę. Zresztą sam pan wie, jak to jest ze skargami. Dopóki Qaytu pracuje dla nas, nic mu nie

grozi. Carvajal nie zdecyduje się na atak frontalny. Choć nie zawaha się użyć wszelkich możliwych podstępów.

– A co się stało z bratem Uminy?

– To było okropne. Kiedy Manuel zobaczył, że tu nic nie wskóra, postanowił pojechać do Hiszpanii. Przede wszystkim pragnął upomnieć się o prawa swojej matki. A przy okazji ujawnić knowania Carvajala i innych *encomenderos*. Nie dotarł na statek. Został zamordowany.

– W jakich okolicznościach?

– Nie wiem dokładnie. Ale wiem, w jaki sposób powiadomiono o tym Uminę i jej matkę. Otóż pewnego pięknego dnia przysłała paczka na adres domu w Cuzco. Otworzyły i znalazły w niej głowę Manuela. Usmażoną w oleju, żeby się lepiej zachowała.

– Wielki Boże! Teraz rozumiem jej reakcję. Na statku płynącym do Callao powiedziałem, że to Carvajal stoi za tym wszystkim, co mi się przydarzyło. Wyobrażam sobie, co ona teraz czuje.

– Nie wątpię. Porwali ją dlatego, że uratowała panu życie i wyprowadziła w pole płatnych morderców. Ten osobnik potraktował to jak osobisty afront i postanowił się zemścić. Dziwne, bo nigdy dotąd tak się nie odsłonił i tyle nie ryzykował.

– Robi się coraz bardziej niebezpieczny.

– Niestety tak. Ale niech pan to weźmie i odda Uminie. – Trzymał w ręku czarne zwierciadło z obsydianu. – Znalazłem to w jej pokoju, a wiem, że nigdy się z tym nie rozstaje. To jej talizman.

43 El Despoblado

Wreszcie wszystko było gotowe i wyruszyli na południe, trzymając się wybrzeża. Minęli żyzne ziemie nad rzeką Rimac. Dalej droga prowadziła przez tereny piaszczyste, coraz bardziej pustynne. Kreol Gálvez zwrócił uwagę Sebastiána, że występują tu złoża saletry, którym towarzyszy zazwyczaj rzadkość pastwisk i niedostatek wody. W tej sytuacji inżynier postanowił ominąć Chilcę i jechać prosto do miejscowości Mala drogą krótszą o pięć mil. Qaytu nie miał nic przeciwko temu, bo wiedział, że znajdują tam bujne pastwiska z lucerną. Ale już wtedy Fonseca zauważył, że stosunki nadzorca z byłym sierżantem nie układają się za dobrze.

Nie było żadnych kłopotów na odcinku między Asią a Llangas, gdzie przejście przez rzeki umożliwiały mosty wiszące zachowane w całkiem dobrym stanie. Ludzie byli gościnni, przyzwyczajeni do podróży, a ceny dość rozsądne. W Viñac napotkali inne karawany wiozące owoce i warzywa do Huancaveliki. Czekala ich ciężka trasa wśród wysokich gór pokrytych wiecznymi śniegami. Coraz mniej pastwisk. Zaczynała się typowa puna z kępami twardej i kłującej jak igła trawy ichu.

Początkowo przyjemnie oddychało się zimnym, górskim powietrzem oczyszczającym płuca. Surowe, bezludne okolice rozaczały swój czar i majestat. Ale wkrótce powietrze zaczynało rzednąć i było coraz bardziej suche. Każdy ruch męczył. Wkraczali w strefę El Despoblado, gdzie życie

płynęło wolniej i monotonniej. Kondory szybowwały w przestworzach na tle czystego nieba, tak błękitnego, że aż raziło w oczy. Płochliwe wigonie przemykały grupkami pod opieką samca, który na najdrobniejszy sygnał trwogi uderzał kopytem w ziemię, wydawał dziwny świst, po czym całe stado zrywało się do ucieczki.

Mało było śladów bytności człowieka. Tu i ówdzie ścieżka oznakowana przez *apachetas*, kupki kamieni pozostawianych przez podróżników. Jeszcze rzadziej – ruiny schroniska, jedyna możliwość schronienia po zapadnięciu zmroku. Nocą chłód dawał się mocno we znaki, a o świcie sople lodu zwisały ze skał pokrytych grubą skorupą szronu w tych miejscach, gdzie za dnia płynęły strumyki wody. Sebastián zauważył, że puchną mu dłonie i wargi, zdarzały mu się ataki choroby górskiej.

Kolejny etap przyniósł jeszcze większe trudności. Wzdłuż wąskiego przejścia gniły resztki zwierząt, które nie zniosły trudów tej wspinaczki. Na skraju ścieżki kilka kondorów raczyło się mięsem roztrzaskanego o skałę muła. Obok dreptały cierpliwie królewskie sępy; nie dorównywały kondorom wielkością ani siłą i wołały zaczekać na swoją kolej w tej uczcie.

Były to nieomyłne znaki, że znajdują się w samym sercu El Despoblado. Podróżowanie na tych wysokościach bardzo wyczerpywało. Odtąd za schronienie posłużą im tylko jaskinie. Przez większą część drogi nie będzie pastwisk, wody ani drwa. Burza w tych warunkach byłaby prawdziwym nieszczęściem.

Posuwali się do przodu, walcząc z porywistym wiatrem, który obrzucał ich ostrym, kłującym piaskiem i twardymi kuleczkami gradu. Twarze mieli posiekane od zimna. Nie widzieli ścieżki w tej szarudze. Poruszali się na oślep, zwłaszcza że szybko zapadał zmrok. Sebastián nie czuł się dobrze. Cierpiał na chorobę górską, miał zawroty głowy i częste napady słabości. Wjeżdżając pod górę w szalejącym wichrze, stracił przytomność i spadł z konia. Qaytu kazał swym mulnikom, żeby go podnieśli i jak najszybciej zawieźli do najbliższego schroniska. Nie wiadomo, co by się stało z inżynierem, gdyby nie znaleźli zajazdu.

Był to niski budynek z kamieni i gliny pokryty strzechą z trawy ichu. Obok, za ogrodzeniem z luźno poukładanych kamieni, znajdowała się zagroda. Na noc zostawiało się tam muły i stada lam. Do budynku wchodziło się przez wąskie drzwi z niewyprawionej skóry, podłoga była gliniana, a za całe wyposażenie służył rozchybotany stół z taką samą ławą. Indianie, którzy przybyli wcześniej, ścieśnili się, żeby zrobić im miejsce przy ognisku z suszonego łajna. Leżeli na skórach z wigonia, które służyły im za posłanie.

Qaytu wynegocjował najpierw swój wkład do paleniska. Co prawda została jeszcze spora wiązka ostów, ale ich nie chciał, bo dają dużo dymu. Wolał odkupić od mulników trochę drewna brzoskwiniowego, które przewozili. Było bardzo drogie, lecz znakomicie nadawało się do palenia. Rozdzielił wśród nich bukłak wódki, po czym wziął się do przyrządzania pikantnej zupy z suszonych ziemniaków, kawałków dyni, bobu i ostrej papryczki, sera Paria i suszonej jagnięciny. Pamiętał jednak, żeby przynieść Fonsece parę liści koki do żucia, i postarał się dla niego o najlepsze miejsce przy ogniu oraz podczas posiłku.

Tymczasem Gálvez rozmawiał z ludźmi wracającymi z Cuzco. Łatwo nawiązywał kontakt z tubylcami, ponieważ dobrze mówił w keczua, i chociaż był biały, Indianie nie odnosili się doń podejrzliwie. Status Kreola urodzonego i mieszkającego w tym kraju pozwalał mu traktować Indian z pewną poufałością. Miał niewyparzony język, ale umiał tak pokierować rozmową, żeby wyciągnąć najpotrzebniejsze wiadomości. Nie wymienił ani razu nazwisk Carvajala i Montilli, a jednak dowiedział się, gdzie ci dwaj mogą obecnie przebywać.

Następnie były sierżant podszedł do leżącego bez sił Sebastiána, żeby przekazać mu tę informację.

- Ludzie mówią, że drogi są w dość dobrym stanie. Ale trzeba uważać na buntowników.
- Czy zetknęli się z ekspedycją Carvajala i Montilli?
- Myślę, że tak. Mówią o oddziale złożonym z pięćdziesięciu ludzi i o tym, że jeden z dowódców ma dużego czarnego psa. To musi być mastif Carvajala.

– A Umina? Dowiedział się pan, co z Uminą? – spytał zaniepokojony inżynier.

– Nie widzieli żadnej kobiety.

– To niemożliwe! – zawołał Sebastián.

– Niech się pan uspokoi. Przecież jej nie zabili.

– Skąd pan wie?

– Wiem tylko tyle, że w oddziale nie ma żadnej kobiety.

– Bardzo nas wyprzedzają?

– O kilka dni.

– To dlatego, że wyruszyli przed nami. Musimy się pospieszyć – upierał się Fonseca.

– Już szybciej nie można. Niech pan spojrzy na siebie. Jest pan bardzo słaby.

– Wytrzymam.

– Nie jestem taki pewien. Wiem, co mówię.

– Co się stanie, jeśli dojdą do mostu nad rzeką Apurimac przed nami?

– Wszystko może się zdarzyć. Obawiałbym się najgorszego.

– A co by pan zrobił na miejscu Carvajala?

– Odciałbym most, żeby zmusić nas do nadłożenia drogi. Stracilibyśmy na to cały tydzień, bo żeby przejść przez rzekę bez mostu, trzeba zatoczyć duże koło.

* * *

Sebastián długo nie mógł zasnąć. Co się stało z Uminą? Dlaczego nie ma jej w grupie Carvajala? Wyjął zwierciadło z obsydianu. Spojrzał na swoje odbicie: twarz rozgorączkowana, niespokojna, ciemna i wychudła. Rozważał różne możliwości, ale były tak przerażające, że wołał o tym nie myśleć. Pogrążył się w głębokim letargu, przyciskając do piersi przedmiot, który zachował zapach Metyski i ślad dotyku jej palców.

Rano zbudziły go jakieś krzyki. To Gálvez kłócił się z Qaytu.

Indianin nie mógł mu odpowiedzieć, ale na migi wytłumaczył Fonsece, o co chodzi.

Na zewnątrz wszystko dookoła pokrył szron. Bagaże zeszywniały jak suszony tuńczyk. Qaytu chciał jeszcze trochę zaczekać, aż słońce stanie wyżej i zrobi się cieplej, natomiast Galvez uważał, że powinni wyruszyć natychmiast, żeby jak najwięcej drogi zrobić za dnia, zwłaszcza że mają do pokonania strome i śliskie zleby.

Z bólem serca Sebastián musiał przyznać rację Kreolowi i zobaczył w oczach nadzorecy gorycz, którą tylko Umina umiała złagodzić. Był przekonany, że Qaytu opóźnił wymarsz z myślą o nim, żeby dać mu odpocząć po ataku górskiej choroby.

Kiedy zrównał się z koniem Gálveza, były sierżant nadal jątrzył ranę.

– Qaytu jest tak samo uparty jak ta jego mulica, z którą się nie rozstaje. On jest z tych Indian, co to ledwo im się coś uda, a zaraz zachowują się jak ogier osła. Słyszał pan, że takiego osła krzyżuje się z klaczą konia?

Fonseca wzruszył ramionami. Nie podobał mu się ton tej rozmowy. Ale Kreol kontynuował:

– Najtrudniej doprowadzić do tego, żeby osioł poczuł, że jest koniem. Trzeba wziąć żrebną klacz, która wkrótce będzie rodzić, i zamknąć ją w ciemnym miejscu, aż się ożrebi. Potem stajenny zabiera jej żrebaka, zabija i obdziera go ze skóry. A skórę zakłada osłątku i podrzuca go kobyle. W ciemności taką klacz łatwo oszukać, bo kieruje się głównie zapachem skóry, więc bierze osłątka za swoje dziecko. Po jakimś czasie wyprowadza się ją na światło dzienne. Ale wtedy osiołek jest już zaadoptowany i zachowuje się jak koń. Tak wczuwa się w nową rolę, że już nawet nie spojrzy na ośli-ce, choć zgodnie z prawami gatunku powinien je pokrywać.

Sebastián spał konia i zajechał Kreolowi drogę.

– Niech pan dobrze słucha, panie Gálvez, bo nie będę dwa razy powtarzał. Proszę nigdy więcej nie sprzeczać się z Qaytu w obecności innych ludzi. On nie może panu odpowiedzieć, a pan nie ma prawa go poniżyć i podważać w taki sposób jego decyzji. Jeśli z czymś się pan nie zgadza, powie mu to pan przy mnie, bez innych świadków. I nie życzę sobie, aby zwracał się pan do niego tak lekceważąco jak dzisiaj. Jasne?

– Jak najbardziej, panie Fonseca.

Były sierzant oddalił się, a Sebastián znów zatęsknił za Uminą. Ona umiałaby to załatwić lepiej, jestem tego pewien. Ma prawdziwy dar do takich rzeczy, a ja co? – lamentował. – Zrobiłem sobie nowego wroga. Ale nie mogłem puścić tego płazem.

Wiedział, że władza musi być niepodzielna. W przeciwnym razie może dojść do niebezpiecznych rzeczy. Zamiast stać jak mur, jak jeden mąż naprzeciwko wroga, ludzie zastanawiają się, kto ma rację. Poniosły go nerwy, ale to dlatego, że martwił się o Uminę, bał się, że grozi jej niebezpieczeństwo.

O ile jeszcze żyje, pomyślał. I natychmiast odsunął od siebie tę myśl.

Teraz, gdy schodzili ku dolinom i nie męczyła go już choroba górską, wciąż myślał o Uminie. Przypomniał sobie, jak opowiadała mu o tym kraju pełnym niepojętych różnic i kontrastów. Ot choćby między spalonym od słońca, pustynnym wybrzeżem, które widział z pokładu statku handlowego, i ośnieżonymi górami w głębi kraju, gdzie klimat zmienia się nieustannie.

Dotychczas wydawało mu się, że w Hiszpanii jest wiele nieprzejezdnych rejonów. Ale przesmyk Despeñaperros to dziecięca zabawka w porównaniu z tutejszymi przełęczami. Natura wykonała tu pracę na skalę niewyobrażalną dla Europejczyka. Tutejsze pustynie mogą rywalizować z Saharą, a bezludne płaskowyże z Alpami. Wszystko jest ogromniejsze i dzikiejsze. Głębokie, rwące rzeki spadające ze szczytów z niezwykłą furią torują sobie drogę przez skalne wąwozy, głębokie kaniony i strome urwiska. Były to widoki przyprawiające o zawrót głowy i w innych okolicznościach poświęciłby im więcej uwagi, ale teraz kojarzyły mu się głównie z Uminą.

Sądząc po kotlinie, która się przed nimi otwierała, wkraczali na bardziej przyjazny teren o klimacie umiarkowanym. Wkrótce znajdą się na uczęszczanej i dobrze utrzymanej drodze do Huancaveliki.

Ziemia była tu lepsza i częściej trafiały się przyzwoite schroniska. Zaczynały się pojawiać małe wioski, gdzie mieszkańcy żyli ze skromnej uprawy roli. Widać było małe stada lam, ale również gęsi, kaczki i kurki

wodne. Ustała wrogość przyrody, ale w zamian pojawiła się wrogość ludzi. Nikt nie chciał ich przyjąć na noc. Nie pomagały prośby ani groźby. Wszystko rozbijało się o mur obojętności, stoicki spokój Indian, połączony z fatalizmem.

Nawet Qaytu i Gal vez byli tym zdziwieni. Aż pewnego wieczoru znaleźli się we wsi, w której panowała wielka cisza. Początkowo myśleli nawet, że nikt tu nie mieszka. Ale to nie było tak. Ludzie poukrywali się, w domach pozostali tylko ranni. Jeden z nich opowiedział, że poprzedniego dnia napadło na wieś pół setki obcych. Z jego opisu wynikało, że to wataha Carvajala i Montilli.

– To mi wygląda na „nauczkę” – stwierdził Gálvez. – Carvajal lubi karać wioski, które protestują przeciwko nadużyciom ze strony *encomenderos*.

– Skąd mógł o tym wiedzieć?

– Może miał ją na liście, którą uzyskał w Limie, albo dowiedział się po drodze od obszarników.

– Niech pan zapyta, czy była z nimi kobieta.

Kreol opisał Uminę, posługując się płynnie językiem keczua. Jego rozmówcy potrząsnęli przecząco głowami.

– Zapadła się pod ziemię czy co?! Rozpacz człowieka bierze – poskarżył się Fonseca.

Noc spędzili nie w tej wiosce, tylko w opuszczonym zajeździe, co prawda bez żadnych wygod, ale za to z możliwością obrony w razie ataku, ponieważ budynek stał na wzgórzu za solidnym ogrodzeniem i miał mocne drzwi.

Zjedli kolację i szykowali się do snu, gdy w środku nocy rozległo się rżenie koni i jeden z wartowników zawołał: „Stój!”.

Na zewnątrz zastali dziwnego osobnika. W świetle ogniska widać było jego długie, skudłane włosy i łachmany, wyblakłe od słońca i niepogody. Miał zapadnięte oczy, w których czaiło się szaleństwo. Pomarszczona skóra zwisała na ciele chudym jak szkielet.

– Jestem *cachicamayo* – powiedział przepraszająco.

– Górnik pracujący przy saetrze – przetłumaczył Gálvez Sebastiánowi. – Kiepska robota, brudna i poniżająca w oczach ludzi. Wstąpił tu się przespać, bo szedł do miasta, żeby zgłosić kradzież saetry, którą miał dostarczyć na zamówienie do punktu skupu posiadającego monopol na ten produkt.

– Widział pan po drodze zbrojny oddział złożony z pięćdziesięciu mężczyzn? – zapytał Sebastián.

– Tak, ale nie spodobali mi się. Na wszelki wypadek ukryłem się, żeby ich nie spotkać.

– Była z nimi kobieta?

– Kobieta...? Aha! Teraz wszystko rozumiem! – odparł przybysz.

– To znaczy co? – naciskał inżynier, przysuwając się bliżej.

– Byłem w trzcinach, niedaleko strumyka. I przyszło dwóch mężczyzn na sam brzeg. Jeden był uzbrojony, drugi nie. Zdziwiłem się, bo to wyglądało tak, jakby ten pierwszy pilnował drugiego. Ten nieuzbrojony zaczął zdejmować ubranie, żeby je przeprać, i kazał tamtemu się oddalić. A głos miał taki delikatny, wcale nie jak żołnierz. A kiedy zdjął kapelusz, rozsypały się na ramiona długie włosy. Figurę też miał niemęską, choć widziałem go tylko z tyłu. Więcej nie zobaczyłem, bo ten uzbrojony stanął koło mojej kryjówki i bałem się wyglądać.

– Trzymają Uminę w męskim przebraniu! Powinienem się tego domyślić – powiedział Sebastián. I zwracając się do górnika, zapytał: – Jak to daleko stąd?

– Będzie pół dnia drogi.

Dali mu jeść, a w tym czasie Fonseca i Gálvez usunęli się na bok, żeby porozmawiać.

– Nie podoba mi się to, co ten człowiek mówi – stwierdził były sierżant. – Wie pan, dlaczego saetra jest objęta monopolem królewskim?

– Bo służy do wyrobu prochu.

– No właśnie. Wystarczy dodać siarkę i węgiel, które o wiele łatwiej zdobyć. Kradzież saetry oznacza, że szykuje się coś niedobrego.

Mimo że wstali o świcie i szybko wyruszyli, nie dogonili watahy Carvajala do końca dnia. Noc zapadła tak nagle, że musieli poszukać noclegu w pierwszej napotkanej osadzie.

Nic by z tego nie wyszło, gdyby nie pomoc księdza. Był nim młody mężczyzna, przedsiębiorczy w działaniu i gościnny, szanowany przez tubylców. Jego parafianie nie chcieli przyjąć obcych pod swój dach, więc zaproponował im nocleg na plebanii. Znajdowała się przy kościele byle jak zbudowanym, z niewielką dzwonnica odporną na trzęsienia ziemi i inne nieszczęścia.

Ksiądz zaprosił Sebastiána i Gálvéza do skromnie zastawionego stołu. Fonseca zapytał, czy może im towarzyszyć Qaytu. Ale nadzorca nie przyjął zaproszenia; wołał jeść z mulnikami. Przy kolacji zapytali księdza o watahę Carvajala i Montilli.

- Żadna uzbrojona banda tędy nie przechodziła.
- Wolą unikać ludzkich skupisk – stwierdził Fonseca.
- Wcale mnie to nie dziwi – odparł ksiądz. – I wam radzę to samo.
- Obронimy się w razie czego – zapewnił Gálvez.
- Śmiem wątpić, jeśli moje podejrzenia są słuszne. Coś wam pokażę po kolacji, żebyście nie myśleli, że przesadzam.

Kiedy wstali od stołu, zaproponował, żeby przejść do świątyni odświętnie udekorowanej w związku ze zbliżającą się uroczystością Bożego Ciała.

- Zaraz zobaczycie, co znalazłem dziś w kaplicy Świętego Jakuba – mówił po drodze. – Spójrzcie na to.

Pokazywał na drewnianą rzeźbę w bocznym ołtarzu z półprzezroczystego alabastru zwanego kamieniem z Huamangi. Wyobrażała brodatego rycerza na białym koniu z uprzężą przyozdobioną piórami. Święty miał na głowie morion konkwistadora, w jednej ręce szpadę, w drugiej tarczę i proporzec z krzyżem, a pod stopami króla lub innego wodza inkaskiego w stroju z atrybutami władzy. Aby nie było żadnych wątpliwości co do intencji jeźdźca, strzemień i but z ostrogami dotykały karku Indianina, wgniatając go bezlitośnie w ziemię.

- To chyba święty Jakub, pogromca Maurów, prawda? – zgadywał Fonseca.

- Pogromca Indian – poprawił go Gálvez.
 - Dlaczego ma związane ręce? – zapytał inżynier, pokazując na sznur z węzłami opasujący dłonie świętego.
 - Podobno w czasie podboju Cuzco objawił się święty Jakub Starszy, żeby wesprzeć Hiszpanów. Odtąd Indianie czują przed nim strach. I kiedy w powietrzu wisi coś groźnego, obwiązują albo przykrywają jego wizerunki, żeby święty nie próbował wrócić do swych złych nawyków.
 - To potwierdza relację górnika – zauważył Gálvez. – Znosi się na wielką awanturę.
 - To straszne dla Uminy. Znajdzie się między dwoma ogniami! – powiedział Sebastián.
 - Podobnie jak inni Metysi – zawyrokował Gálvez.
- Kreol chciał jeszcze dodać coś równie niestosownego. Ale zamilkł pod piorunującym spojrzeniem Fonseki.

44 Yahuar Fiesta

Pertraktacje z tubylcami w lokalach będących połączeniem tawerny i sklepu coraz częściej spełzały na niczym i coraz trudniej było zaopatrzyć się w ser, jajka i suszone mięso. Dlatego musieli zatrzymać się w Huancie dłużej, niż planowali, żeby uzupełnić zapasy i dowiedzieć się czegoś o Carvajalu.

– Nikt nic nie wie – poinformował Gálvez Fonsecę. – Chyba ominęli tę miejscowość.

– Wciąż mają nad nami przewagę – odparł Sebastián, zaciskając zęby ze złości.

Qaytu dał im do zrozumienia, że jeszcze nie wszystko stracone. Carvajal musi przejść przez miasto Huamanga, jeśli chce ominąć Quebrada Honda.

Wyruszyli natychmiast. Ale pech chciał, że w Huamandze natrafili na procesję Bożego Ciała. Wydawała się nie mieć końca, jak przystało na miasto diecezjalne z dwudziestoma kościołami i katedrą. Szedł w procesji *curaca* ze swymi ludźmi i wszyscy radcy miejscy; nieśli grube świece po pięć funtów sztuka, z najlepszego wosku, a nie jakieś łojowe.

Zeszli z koni i chcąc nie chcąc uczestniczyli biernie w procesji, przyglądając się uczestnikom uroczystości. Najpierw miejscy notable.

Dalej hałaśliwe bractwa ze swymi chorągwiami, werblami, dzwoneczkami i całą gamą *charangos*, instrumentów strunowych, z których słynie

Huamanga. Za bractwami szły zakony – od najstarszych do najmłodszych, biorąc pod uwagę datę powstania – a więc: dominikanie, franciszkanie i mercedariusze. Kilkunastu akolitów okadzało baldachim, pod którym niesiono złotą monstrancję. Procesję zamykał oddział halabardników.

Wreszcie droga była wolna i mogli jechać dalej. Trasa prowadziła po nierównym terenie z jałową, wypaloną od słońca ziemią. Minęli Ocros i Chincheros. W żadnym z tych miejsc nie uzyskali informacji o grupie Carvajala, gdyż mieszkańcy przejawiali wyraźną niechęć do obcych. Najgorzej było w Andahuaylas, gdzie spotkali się z otwartą wrogością.

Zaintrygował ich tłum stłoczony przed wejściem do kościoła. Na drzwiach wisiała kartka papieru przybita gwoździem. Był to wywrotowy paszkwil, który bardzo spodobał się zgromadzonym. Komentowali go z entuzjazmem, co nie uszło uwagi Sebastiána i Gálveza.

Rozpoczął się od druzgocącej krytyki przymierza, które w owym czasie połączyło hiszpańskich i francuskich Burbonów przeciwko Anglii. Naśladował, a raczej parodiował modlitewny rytm litanii na użytek wiernych przybywających do kościoła:

Na udany sojusz Hiszpanii i Francuzów s...am
Na wielką ekspedycję trzysta razy s...am
Na szańce obronne i wszystkie szpady s...am
Na cały ten tabor armat i moździerzy s...am
Zawsze i wszędzie, bez końca, amen.

Zakończenie było bardzo pomysłowe. Jedna zwrotka paszkwilu opiewała skuteczność działania i wielkość floty angielskiej:

Ma-ją w portach okrętów tysiąc
Ma-ją siłę i odwagę w narodzie
Ma-ją broni pod dostatkiem
Ma-ją szyny potężne
Ma-ją, wszystko ma-ją.

A kolejna kpiała sobie z Hiszpanii, nie szczędząc krytyk ludziom i okrętom:

Ma-ło radości w narodzie
Ma-ło okrętów bojowych
Ma-ło się ciebie boją
Ma-ło cię będą chwalić
Ma-ło, wszystkiego ma-ło.

– Mało kto ma taką łatwość pióra – zażartował Gálvez. Ale Fonseca nie miał ochoty na żarty ani gry słowne.

– Zabieramy się stąd, zanim zrobi się większe zamieszanie.

– Nic nam nie grozi. Mamy swoich fizylierów – powiedział były sierżant.

– Po co od razu strzelać? Musimy zdobyć zaufanie miejscowych, żeby pomogli nam zlokalizować Carvajala i Montillę. W żadnym wypadku nie wolno nam upodobnić się do tych bandytów.

Zachowali dużą czujność, dopóki nie znaleźli się poza miastem, w okolicy porośniętej bujną roślinnością, porytej wąwozami, pachnącej gorzko melasą i wytłoczynami z trzciny cukrowej. Było ciepło i sennie i tylko osy zakłócały ten nastrój błogości nieustannym brzęczeniem.

* * *

Zobaczyli ich, wychodząc z wąwozu.

– Są! Nareszcie! – zawołał Sebastián, wyciągając lornetkę, żeby lepiej widzieć.

Serce w nim zamarło, kiedy rozpoznał Uminę w męskim przebraniu, z włosami ukrytymi pod kapeluszem z szerokim rondem, ozdobionym piórami. Jechała między Carvajalem i Montillą. Odetchnął z ulgą, widząc, że jest w dobrej formie.

Rozkazał, aby karawana zatrzymała się w wąwozie, podczas gdy on z Gálvezem i Qaytu będą badać sytuację.

Nadzorca próbował mu coś powiedzieć. Fonseca nie rozumiał go zbyt dobrze, ale przyszedł mu z pomocą były sierżant:

– Chyba ma na myśli tych ludzi, którzy ciągną ze wszystkich stron do miasta.

Pokazał na ścieżki wydeptane między hacjendami, które zbiegały się w Abancay.

– Zaraz wejdą do miasta.

– Nie ma innej drogi?

– Nie. Dlatego Abancay nazywa się „zniewolonym miastem”. Dookoła są same hacjendy. Żeby przedostać się na drugą stronę, trzeba koniecznie przejść przez główną ulicę miasta.

Qaytu potrząsnął Sebastiána za ramię, żeby mu coś pokazać.

Rzeczywiście działo się coś dziwnego. Watahę Carvajala otoczyła liczna grupa ludzi, uniemożliwiając im dalszą jazdę. Tłum pociągnął ich za sobą do Abancay. Indian wciąż przybywało i nie było sensu wchodzić z nimi w konflikt.

– Co się stanie z Uminą? – zaniepokoił się Sebastián, widząc, że ją też popychają.

– Niech się pan nie boi, jest całkowicie bezpieczna. Carvajal ją obroni.

– Co pan insynuuje? – napadł na niego.

– Chcę przez to powiedzieć, że jest zbyt cennym zakładnikiem – odparł dwuznacznie Gálvez. – Prawdopodobnie zaprowadzą ją do hacjendy Carvajala, która zaczyna się na obrzeżach miasta i obejmuje również teren manufaktury. Ale najpierw muszą przejść przez całe miasto.

Qaytu nic tu nie dodał. Ale pokazał na nową grupę Indian, która dołączyła do tłumu otaczającego watahę Carvajala. Byli rozradowani i eskortowali wóz z jakąś klatką.

– Co to? – zapytał Sebastián, podając nadzorczy lunetę.

Mulnik popatrzył i oddał mu przyrząd, po czym zamachał ramionami,

naśladować lot ptaka. Fonseca go nie rozumiał i zwrócił się o pomoc do Gálveza

– To kondor – odpowiedział Kreol. – Zdaje się, że chodzi o Yahuar Fiesta, święto krwi. Coś w rodzaju korridy. Nie spodoba się panu. Uważam, że nie powinniśmy tam iść.

– To co mamy robić!? – wybuchł ze złością inżynier. – Od dwóch tygodni depczemy po piętach temu niczemnikowi i kiedy już go mamy dopaść, pan każe stać i czekać!?

– W porządku – wycofał się Gálvez, widząc, że tylko drażni Sebastiana, któremu sekunduje Qaytu. – Ale dziś jest już za późno. Zaraz będzie ciemno. Rozbijemy tu obóz i jutro wejdziemy do Abancay.

Tak też zrobili. A nazajutrz, gdy weszli do miasta, trafili na uroczystość zupełnie inną niż procesja Bożego Ciała w Huamandze. Tu dominowali Indianie, którzy zeszli z okolicznych gór, wypełniając miasto po brzegi.

Posuwali się między nimi z wielką ostrożnością, omijając tych najbardziej pijanych, a takich nie brakowało, gdyż wszędzie uwijali się sprzedawcy *chicha*, wódki kukurydzianej.

Wzdrygnęli się, słysząc w pobliżu gwałtowną eksplozję.

– Co to było? – zapytał Sebastián.

– Niech pan mocno trzyma konia. To nie żarty – poradził mu Gálvez.

Musieli skrócić cugle i uspokoić wierzchowce, bo wybuchy powtarzały się coraz częściej. Iskry przelatowały między nimi, łącząc przygotowane przez Indian fajerwerki. W powietrzu unosił się dym wyciskający łzy z oczu. Kiedy ustały wybuchy, rozległy się ponure dźwięki prymitywnego instrumentu dętego, w którego skład wchodził głównie róg bawoli.

Inżynier zauważył, że Indianie towarzyszący temu grajkowi zbliżyli się do Qaytu i coś szeptali mu do ucha. Pokazywali przy tym na Sebastiana, jakby go znali albo rozpoznali.

– Zejdźmy z koni – zasugerował. – Zbyt rzucamy się w oczy.

Ale było już za późno. Mulnik podszedł do Fonseki i próbował coś mu powiedzieć, silnie gestykulując. A że ten nie rozumiał, Gálvez przemówił do Indian w ich języku.

- O co chodzi? – zapytał inżynier.
 - Oprócz miejscowych jest tu sporo ludzi z innych okolic. Niektórzy znają Qaytu i jego rodzinę. Pochodzą z niezbyt odległej wsi po drugiej stronie rzeki, patrząc na północ. Jeden z nich pracował z Qaytu w manufakturze. Zapraszają, żebyśmy zostali i obejrzeni Yahuar Fiesta.
 - Święto krwi, o którym pan wspomniał?
 - Tak. Próbowałem im wytłumaczyć, że panu się to nie spodoba i że musimy jak najszybciej przejść przez most wiszący nad Apurimakiem. Ale nie chcieli mnie słuchać.
 - Dlaczego pokazują na mnie?
 - Biorą pana za kogoś ważnego i proszą, żeby przewodniczył pan ich świętu.
 - Ja?
 - Już im powiedziałem, że nie jest pan ważną osobistością – dodał Gálvez. – Ale zdaje się, że nie ma tu innego Hiszpana.
 - A Carvajal?
- Były sierżant przekazał to pytanie tubylcom, którzy zaczęli coś wykrzykiwać z oburzeniem.
- Mówią, że zamknął się w swojej hacjendzie – przetłumaczył. – Inni *encomenderos* już im odmówili. Podejrzewam, że nie chcą się w to wdawać, bo Indiancy są teraz bardzo rozdrażnieni. Poza tym Carvajal ma już swój udział w tym święcie, bo podarował tubylcom byka. Zapewnił ich przy okazji, że zjawi się nowy *encomendero*, który będzie przewodniczył zabawie. Miał na myśli pana.
 - Jest pan tego pewien?
 - Obawiam się, że tak. Ktoś musiał go powiadomić, że tu jesteśmy.
 - Aha, my tu się zatrzymamy, a on w tym czasie przejdzie przez most i go zniszczy, żeby odciąć nam drogę. Co z Uminą?
- Nastąpiła nowa wymiana pytań i odpowiedzi, po czym Kreol zakomunikował:
- Zdaje się, że cała wataha skierowała się do manufaktury.
 - Gdzie to jest?

– Bardzo blisko.
– Dobrze – odparł inżynier. – Niech pan im powie, że my też tam idziemy.

– Gálvez próbował wytłumaczyć Indianom, że nie mogą tu zostać. Wszystko na próżno. Indianie nie chcieli ich wypuścić.

– Niech się pan nie gniewa, panie Fonseca, ale oni muszą tak postąpić. Bez Hiszpana to święto nie może się odbyć.

– Po co im Hiszpan? Żeby klaskał? Wzywaj pan swoich ludzi. Nie zamierzam tu zostać!

– Wedle rozkazu – odburknął Gálvez, wzdychając.

Odwrócił się do swoich fizylierów i powiedział, że mają skręcić dyskretnie w pierwszą boczną ulicę, jaką napotkają, razem z Sebastiánem, Qaytu i resztą karawany.

Próbowali się wymknąć. Ale tubylcy zamknęli im drogę, powtarzając, że muszą zostać na Yahuar Fiesta.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, otoczył ich zwarty tłum, nic już nie mogli zrobić. Zwłaszcza że ta fala ludzka porwała im muły i zagnała aż na Plaza Mayor do zagrody przygotowanej specjalnie na to krwawe spotkanie.

Zatrzymali się dopiero na widok mężczyzny, który wyglądał na mieszańca. Zbyt biały jak na Indianina, za ciemny na Europejczyka. Ludzie zdjęli nakrycia z głów i pokłonili mu się z respektem, przestając na chwilę popychać Sebastiana, który znalazł się na wprost tego człowieka.

Sądząc po wyniosłej postawie i stroju, nowo przybyły mógł być hiszpańskim szlachcicem. Świadczyły o tym również jego koń, wspaniały rumak, który przestępował z nogi na nogę, że aż iskry leciały spod podkowy, w bogato haftowanej uprzęży i z dziesiątkami srebrnych kółek wplecionych w grzywę. Jeździec miał rysy indiańskie, może z wyjątkiem oczu, dużych i inaczej wykrojonych. Miał na sobie kasak, haftowaną koszulę i kamizelkę ze złotogłowia, czarne, aksamitne spodnie do kolan, białe jedwabne pończochy, złote sprzączki u kolan i na butach. Narzucił na kasak *uncu*, wełniany płaszcz w kolorze fioletowym haftowany w znaki rodowe. Długie, kręcone włosy przykrywał trójgraniasty kapelusz. Na twarzy

malował się majestat wielkiego pana.

Człowiek ten nie odrywał wzroku od Fonseki, podczas gdy Gálvez wyjaśniał szeptem inżynierowi.

– To José Gabriel Condorcanqui. Ten, który każe nazywać się Túpac Amaru.

A więc to jest ten słynny Condorcanqui, pomyślał Sebastián. Tyle o nim mówiono u don Luisa de Zúñigi. Rywal Carvajala i Uminy w walce o prawo do dziedzictwa Inków. Trzecia osoba w konflikcie.

Mimo to Sebastián nie czuł do niego niechęci. Kiedy tak stali naprzeciwko siebie, miał wrażenie, że patrzy w czarne lustro Uminy. Condorcanqui zdawał się równie zaskoczony. Reagował podobnie jak Metyaska i Qaytu, kiedy ujrzeli Sebastiana w madryckim teatrze. Z tym samym odcieniem poufałości i podejrzliwości.

Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie inżyniera, kiedy tłum popychał ich w stronę trybuny. Condorcanqui zajął jedną łożę, a Fonseca drugą. Znajdowały się naprzeciw siebie. Gálvez nie omieszkał zaznaczyć:

- Przypadło panu miejsce zarezerwowane dla Alonsa Carvajala.
- To ma być żart?
- Mówiłem, że Carvajal podarował byka i wykipił się od udziału w tej korridzie – powiedział Kreol. – Widać nie chce tracić czasu.
- Wcale mu się nie dziwię. Udał mu się ten podstęp!
- Uprzedzam, że ta korrida niewiele ma wspólnego z hiszpańską. Owszem, będzie byk, dziki, wychowany na wolności, z takich co nie przepuszczą własnemu cieniowi. Zmierzy się z kondorem złowionym specjalnie na tę okazję.
- To ten przywieziony w klatce na wozie?
- Ten sam. Jest dla Indian największą świętością obok pumy i węża.
- Nie wyobrażam sobie walki byka z kondorem.
- Zaraz pan zobaczy. Ta tradycja sięga czasów kolonii. Kultuwują ją tylko Indianie wolni, ci, którzy żyją na własnej ziemi, we wspólnotach zwanych *qyllus*. Nie zobaczy pan tego u Indian, którzy są na służbie u

Hiszpanów czy Kreolów.

- Ile czasu nam to zajmie?
- Trudno powiedzieć. Zależy, jak szybko kondor pokona byka.
- Skąd pan wie, że kondor zwycięży?
- Tak zazwyczaj bywa. Potem obnoszą go triumfalnie po całym mieście, z muzyką, i na koniec puszczają wolno, żeby poleciał w góry i stamtąd strzegł ludzi.

- A jeśli wygra byk?
- Niech się pan modli, żeby tak się nie stało. Jeśli kondor odniesie poważne rany lub, co gorsza, zginie, będzie to zwiastunem nieszczęścia. Nastroje i tak są ponure.

Umilkli na widok pirotechnika, który zapalił lont. Rozległ się gwizd, a zaraz potem wybuch. Był to sygnał do wypuszczenia zwierząt. Na trybunach i rusztowaniach z drewna zawrzało, tłum wiszący na ogrodzeniu zagrody zafalował i otwarty się drzwiczki boksu dla byków.

Byk wpadł na arenę, bodąc na wszystkie strony. Na jego grzbiecie stał kondor przywiązany łańcuchem w taki sposób, żeby mógł poruszać dziobem i szponami. Przykuty do swej ofiary sam też był ofiarą: stanowili jedno. Wystraszony fajerwerkami i krzykiem tłumu, chwiał się na swym wierzchowcu i poruszał skrzydłami, żeby nie spaść. Ostre jak brzytwa szpony i dziób wbijały się w grzbiet byka.

Zdesperowane taką karą zwierzę biegało jak szalone, atakując wszystko, co było na jego drodze. Krwawiło coraz silniej. Sebastián był zbulwersowany tym widowiskiem.

Wybiegło wtedy kilku młodych Indian, nagich do pasa, z głową przystrzoną kolorami swej gminy. Za kapę służyło stare poncho albo w ogóle nic nie mieli oprócz rąk, żeby podrażnić byka, odwrócić jego uwagę, wystawiać się na rogi i robić unik w ostatnim momencie. Każdy taki pokaz brawury był dedykowany najważniejszemu widzom, czyli Fonsece i Condorcanquiemu, którzy zajmowali główne łóżce.

Nawet nie znając keczua, można było się domyślić, że nazwisko kacyka wiązało się ze świętym ptakiem Inków. Siedząc naprzeciwko siebie, obaj

mężczyźni obrzucali się ukradkowymi spojrzeciami. Krew rozlewana na arenie zdawała się ich łączyć, a zarazem niepokoić.

Sebastián doznawał dziwnie przykrego uczucia. Nie tylko dlatego, że od czasu swej pierwszej korridy obejrzanej w Hiszpanii nienawidził takiego okrucieństwa. Miał niemiłe wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Ta konfrontacja kondora z bykiem symbolizowała niejako walkę i opór uciśnionych przeciwko najeźdźcy. Ale to wszystko jeszcze nie tłumaczyło głębokiej rozterki, jaka w nim narastała. Było w nim jakieś wewnętrzne rozdarcie, które czuł aż do szpiku kości, dzika i bezlitosna walka krwi.

Gal vez starał się mu wyjaśniać przebieg zdarzeń na arenie. Zresztą trudno było nie dostrzec w tym widowisku zemsty Indian. Oto kondor żyjący na wolności, który nie zna granic ani innych ograniczeń, staje do walki z bykiem utożsamianym z *encomendero*, właścicielem hacjendy obwarowanej i zawłaszczonej. A przelana krew, fundament tego święta, jest daniną dla Matki Ziemi, *Pacha Mama*; użyźnia ją i zwraca jej to, co jej się służyć należy.

Sebastián miał już dość tej męczarni. Byk i kondor, parokrotnie podżegane do walki, były kompletnie wycieńczone. Byk zaszył się w kącie, spieniony, z językiem na wierzchu, i desperacko bódł i rył racicami ziemię. Pokryty skrzepami krwi wydał z siebie ryk, który wstrząsnął placem. Zaczął się chwiać. Indianie próbowali go podeprzeć, ale nikt nie był w stanie utrzymać tej zakrwawionej masy ciała, które zwały się na bok, przygniatając kondora.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, zapadła przejmująca cisza. Zanim spojrzenia ludzi skierowały się na zajmowaną przez Sebastiana łożę *encomendero*, Qaytu już zareagował. Nie chciał tracić czasu na ocenę sytuacji. Dał znak swoim ludziom, żeby przyprowadzili konie, mulnicy stanęły za trybuną.

Gálvez pochylił się do Sebastiana, szepcząc:

– Niech pan choć raz zrobi to, co mówię, bez zadawania pytań. Proszę się odwrócić, poszukać Qaytu, spokojnie wyjść mu na spotkanie i wsiąść

na konia, którego panu wyprowadził. Musimy opuścić to miejsce, ale tak, żeby to nie wyglądało na ucieczkę.

Na niewiele zdały się te środki ostrożności. Indianie już ich otaczali ze wszystkich stron i nie mogli uczynić żadnego kroku.

– A mówiłem, żeby tu nie przychodzić – powiedział Gálvez z posępnym uśmiechem.

45 Manufaktura

W tym momencie dobiegł zza tego muru ludzi donośny, władczy głos, mówiący coś w keczua. Indianie zatrzymali się, przestali napierać na Sebastiana. Po chwili rozsunęli się, robiąc przejście na wprost niego. Wtedy zobaczył, kto ma taki posłuch wśród tubylców. To José Gabriel Condorcanqui, ten sam, który każe nazywać się Túpac Amaru. Słuchali jego słów w ciszy, z taką samą uwagą jak dwa wieki wcześniej wysłuchano jego przodka na placu w Cuzco, jak podaje *Kronika*, którą Sebastián przeczytał.

Ruszył przed siebie tym przejściem, które tak cudownie się otworzyło. Miał się na bacności, ale nikt nie śmiał dotknąć go nawet palcem. Chwilę potem był już poza placem.

Kiedy Sebastián przeszedł obok niego, kacyk nic mu nie powiedział. Rzucił mu tylko świdrujące spojrzenie, takie samo jak tuż przed korridą. Inżynier odniósł wrażenie, że Condorcanqui byłby bardziej rozmowny, gdyby nie obecność Gálveza. Nie chciał angażować się przy świadkach ani kompromitować inżyniera.

Fonseca zastanowił się, dlaczego on to zrobił. Z pewnością ratując go z opresji, wykazał się politycznym zmysłem, bo w przeciwnym razie cała odpowiedzialność spadłaby na niego. Niemniej było w tym jeszcze coś, co wymykało się ocenie rozumowej.

Kiedy znaleźli się poza miastem wraz z całą karawaną i eskortą, zapytał Gálveza:

- Co powiedział Condorcanqui, żeby uspokoić tłum?
- Przypomniął im, że to nie pan odpowiada za to wszystko.
- Miał na myśli Carvajala?
- Oczywiście. Powiedział, że ta osoba powinna tu być i stawić czoło, a nie zamykać się tchórzliwie w swojej hacjendzie.
- Manufaktura! Idziemy tam! – stwierdził stanowczo Sebastián.
- Zwariował pan?! Ten kacyk dobrze wiedział, co robi. W jego słowach było nakłanianie do ataku na Carvajala. Jak pan myśli, gdzie udadzą się ci wszyscy ludzie?
- Dopiero teraz pan mi to mówi, Gálvez! Przecież tam jest Umina. I rodzina Qaytu.

Były sierżant odwrócił się, żeby spojrzeć na nadzorcę, i od razu wszystko wyczytał z jego niespokojnej twarzy.

- Bez wsparcia artyleryjskiego nie da się zdobyć tego miejsca. To niemożliwe! – oburzył się Kreol. – Ta manufaktura jest jak twierdza. Poza tym mają zakładników, o czym pan dobrze wie. Co możemy zrobić sami?
- Nie jesteśmy sami.

Fonseca pokazał na zacietrzewiony tłum, który był już w hacjendzie i teraz kierował się do manufaktury.

- Jeszcze czego! – zaprotestował Gálvez. – Chyba nie chce pan być współnikiem tej zgrai. Ja i moi fizylierzy zobowiązaliśmy się do eskortowania karawany, a nie do napadania na posiadłości *encomenderos*. Zwłaszcza że chodzi tu o Carvajala.

– Na nikogo nie napadamy. Uwolnimy tylko Uminę i ludzi przetrzymywanych jako zakładnicy. A pan co? Pozostawi ich pan własnemu losowi?

– Widzę, że całkiem stracił pan głowę dla tej Metyski. Może pan być spokojny, nic jej nie grozi. Od początku próbuję to panu wytłumaczyć, ale pan nie chce zrozumieć. Nieraz pracowałem dla ojca Uminy, eskortowałem jego karawany i widywałem Carvajala w domu Uminy w Cuzco. Dobrze go tam przyjmowali. A wie pan dlaczego?

– Co to za nędzne insynuacje!?! – zawołał Sebastián gotów sięgnąć po szpadę.

Gálvez zmierzył go wzrokiem i czekał w otoczeniu swych fizylierów. Fonseca zrozumiał, że walka z Kreolem może mieć nieoczekiwane konsekwencje w momencie, gdy Uminie grozi największe niebezpieczeństwo. Pohamował swój gniew i cierpliwie wysłuchał rady byłego sierżanta.

– Jeśli chcemy pomóc zakładnikom w manufakturze, powinniśmy zawiadomić najbliższy posterunek milicji albo wojskowy. W każdym razie ja tak zamierzam postąpić.

Zwracając się do swych ludzi, rozkazał, aby w żadnym wypadku nie zbaczali z głównej drogi w stronę hacjendy. Ich obowiązkiem jest dojść do Cuzco, tak jak było zaplanowane.

Sebastián i Qaytu, zaciskając pięści, patrzyli bezsilnie za odchodzącym oddziałem. Wymienili spojrzenia. Nie było czasu na refleksje. Rozumieli się teraz bez słów. Dobrze wiedzieli, czym grozi wtargnięcie na cudzy teren. Z przykrością musieli przyznać, że Gálvez miał rację. Władze nie wezmą pod uwagę okoliczności łagodzących i potraktują ich jak napastników. Zwłaszcza gdy się dowiedzą, że skorzystali z pomocy Condorcanquiego, który podzegał Indian do buntu.

W przypadku Fonseki taka sytuacja oznaczałaby przekroczenie delikatnej linii, która formalnie dzieliła go od przestępstwa. Nic już nie mogłoby go uratować. Zarzut udziału w buncie złamałby mu karierę raz na zawsze. Poszłyby na marne długie lata studiów, niebezpieczne misje wojskowe, wysiłki ojca, aby ułatwić mu ścieżkę awansów nawet za cenę popadnięcia w nędzę... Ale to nie wszystko: zostałby wyzuty z prawa. Jako oficer nie mógłby stanąć przed sądem i wyjaśnić osobistych, humanitarnych racji, które przemawiałyby na jego obronę.

Z drugiej strony dręczyły go podejrzenia co do Uminy i Carvajala. Gálvez zasiał w nim wątpliwości. Co było między nimi? Zgadywał, że coś mętnego i zatrutego, co teraz okaże się decydujące.

Na domiar złego zostali bez zbrojnej ochrony, a taka karawana jest

łakomym kąskiem dla bandytów. Choć zadał sobie sporo trudu, aby zrobić z mulników strzelców doborowych, znakomita większość słabo radziła sobie z bronią, a jako Indianie nie będą strzelać do swoich. Tymczasem rozjątrzony tłum szedł na fabrykę i nikt nie zdoła go powstrzymać.

– Czy jest tu gdzieś jakieś miejsce, gdzie możemy zostawić muły z mulnikami? – zapytał Sebastián Qaytu.

Nadzorca skinął twierdząco głową i zwrócił się do zaufanego człowieka, żeby przekazać mu potrzebne instrukcje.

Kiedy karawana się oddaliła, znów popatrzyli sobie w oczy.

– Na co czekamy? – powiedział Sebastián.

Spięli konie i popędzili przez hacjendę Carvajala prosto w wąwóz, który robił się coraz węższy i kończył się murem. Murem manufaktury.

Podjeżdżając bliżej, Fonseca przekonał się, że Gálvez nie przesadzał, nazywając to miejsce twierdzą. Wysoki mur zamykał wąwóz, nie zostawiając żadnego przejścia. Jedyna brama miała po obu stronach otwory strzelnicze, przy których zmieniali się uzbrojeni wartownicy. Strzelali do wszystkiego, co się rusza na placu przed bramą.

Napastników było jednak wielu i choć padali martwi albo ranni, widać było, że są gotowi na wszystko. Ich uzbrojenie pozostawiało wiele do życzenia. W większości wypadków były to zwykłe proce. Ale Fonseca musiał przyznać, że wyjątkowo celnie z nich strzelają kamieniami. Zmienił zdanie co do szans na zwycięstwo, gdy zobaczył, że podgrzewają te kamienie w ogniu i celują w dachy z suchej trawy. Wkrótce w najbardziej strategicznych miejscach buchały kłęby dymu.

Obrońcy coraz gorzej radzili sobie z gaszeniem ognia. Płomienie ogarniały budynki ze wszystkich stron i groziły przeniesieniem się na mury obronne. Indianie tylko na to czekali, by wtargnąć na teren manufaktury.

Ale Sebastián zamartwiał się, że wtedy może być już za późno, żeby uratować Uminę. W jeszcze gorszej sytuacji byli rzemieślnicy, których z pewnością zamknięto i przykuto do miejsca pracy. Qaytu również o tym myślał. Chodził tam i z powrotem zrozpaczony, próbując uzmysłwić

procarzom, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi Indianom zamkniętym w manufakturze. Odsuwali go na bok, pokazując na poległych od kul i tłumacząc, że druga taka okazja już się nie powtórzy. Zresztą byli przekonani, że ludzie Carvajala uciekną od tyłu, a wtedy oni zwolnią pracowników.

Jednym z niewielu, którzy podzielali zdanie i troskę mulnika, był jego ziomek napotkany wcześniej w Abancay. Podobnie jak Qaytu służył w tej fabryce, potrafił sobie wyobrazić dalszy rozwój sytuacji i nie był takim optymistą jak inni.

– Właściciel zły człowiek – tłumaczył Fonseca, z trudem dobierając hiszpańskie słowa. – Na pewno wszystkich zakuł w kajdany. Jak zobaczy, że płoną szopy, ucieknie. A Indianie zostaną. Wszyscy zgina.

– Ilu ich tam może być? – spytał inżynier. Qaytu i jego kolega popatrzyli na siebie i ten ostatni odpowiedział:

– Trudno powiedzieć. Trzysta, może czterysta osób...

– A Umina? Gdzie jej szukać?

Nadzorca zastanowił się nad tym wraz z kolegą, który po chwili zaryzykował:

– W domu Carvajala, na samym końcu manufaktury.

– Mógłbyś narysować mi plan tego terenu? – poprosił Fonseca Qaytu, wygładzając piasek i podając mu patyk.

Podczas gdy nadzorca rysował na ziemi usytuowanie poszczególnych budynków, jego kolega opisywał ich przeznaczenie. Mulnik starał się jak nigdy, by zostać zrozumianym, tu chodziło o ludzi mu bliskich i kochanych: Uminę, rodziców i rodzeństwo, resztę rodziny i znajomych.

Jak wynikało z naszkicowanego na piasku planu, całą manufakturę otaczał wał z gliny ze słomą wzmocniony od przodu murem, na który teraz patrzyli.

Fonseca słuchał, nie przerywając, notując w pamięci wszystkie szczegóły. Ale już zaczynał się niecierpliwić.

– Pokaż mi na tym planie, gdzie jest Umina. Gdzie mieszka Carvajal, kiedy przebywa w manufakturze? – nalegał.

- W tym domu w głębi. Za foluszami – odparł ziomek.
- Tam, gdzie są folusze, musi być młyn wodny i rzeka zasobna w wodę – zauważył inżynier.

Qaytu gwałtownie potwierdził, rysując na piasku fale wzdłuż lewego boku manufaktury. Na samym końcu, tuż przy wale, narysował trzy budynki.

- Co to?
- Młyny prochowe – odparł kolega Qaytu.
- To zmienia postać rzeczy. Nie mamy czasu do stracenia.

Inżynier rzucił okiem na dym i płomienie buchające wewnątrz manufaktury. Wkrótce pożar obejmie wszystkie budynki.

- Gdzie jest rów nawadniający folusze? – spytał.

Indianin chciał pokazać na planie, ale Fonseca go powstrzymał.

- Nie na planie tylko w terenie. Prowadź nas tam.

Nadzorca ruszył przed siebie. W skalnym podłożu wąwozu wyżłobiony był kanał przylegający do zewnętrznej strony wału. Idąc z nurtem wody, mają szansę przedostać się na teren manufaktury, omijając płomienie.

- Umiecie pływać? – zapytał Sebastián Qaytu i jego kolegę.

Przytaknęli i wszyscy trzej rzucili się do wody. Wąskim tunelem wydrążonym w skale dotarli do miejsca, gdzie znajdowało się ujęcie wody dla folusza. Młyn wodny przechodził w solidną budowlę z drewnianym wałem. Na nim osadzone było koło napędowe z potężną osią zaopatrzoną w dwie łopatki. Obracając się, wprawiało w ruch stęporę, które naprzemiennie podnosiły się i opadały z ogromną siłą.

W murze z suszonej cegły był otwór, przez który przechodziły stęporę, i tylko tędy można było przedostać się na drugą stronę. Ale te młoty pracowały bez przerwy i groziły zmiążdżeniem. Aby je zatrzymać, należało powyrywać, jedną po drugiej, łopatki koła, żeby woda nimi nie poruszała. Tak zrobili i wszyscy trzej znaleźli się w obrębie manufaktury.

Wszędzie było pełno dymu, panował potworny żar. Płomienie rozprzestrzeniały się po dachach. Nie można było oddychać. Fonseca poradził swoim towarzyszom, żeby przykryli usta wilgotną chustką.

Qaytu zaprowadził ich prosto do centralnego budynku, po drodze musieli uważać na pękające mury i dachy, które kawałami spadały na ziemię w płomieniach.

Obrońcy uciekali w rozsypce tylnymi drzwiami. Jeden z nich pozostał nieco z tyłu, dopadli go, rozbroili i kazali poszukać kluczy od kajdan skuwających robotników.

– Gdzie Carvajal? – zapytał Sebastián.

– W domu – odparł zatrzymany, pokazując ręką na budynek w głębi terenu.

Fonseca spojrział w tym kierunku i zobaczył zasłonę z ognia opadającą na stajnie i pełną dalej, w stronę budynku mieszkalnego oraz prochowni usytuowanych za nim. Odległość między nimi była dość duża, ale ogień szybko ją pokona, gdy tylko dojdzie do domu, zwłaszcza że teren porośnięty jest krzakami.

– Jak się tam dostanę?! – wykrzyknął Sebastián, aby Qaytu go usłyszał.

Nadzorca dał mu znak, żeby poszedł z nim do jednego z budynków, które cudem jeszcze stały z nienaruszonym dachem. W środku byli folusznicy przykuci łańcuchami do swoich miejsc pracy. W miarę uwalniania udzielali im instrukcji, jak mają oswobodzić ich kolegów.

W farbiarni Qaytu zastał jednego z młodszych braci, który zaprowadził go do rodziców w szopie z krosnami. Widok był okrutny. I smród też – cuchnęło odchodami. Tu pracowali starcy i dzieci, wszyscy wychudzeni jak szkielety, z trudem utrzymujący się na nogach, wycieńczeni, w stanie atrofii. Niektórzy siedzieli na pniu drzewa, do którego byli przykuci łańcuchami – ci mieli szczęście. Ale większość nie mogła oderwać się od ciężkiej belki, która służyła za łóżko, choć przypominała bardziej narzędzie tortur niż miejsce odpoczynku.

Rodzice uściskali Qaytu, szlochając i mówiąc coś w swoim języku. Pewnie pytali go o brata, bo pokazał na niego, że jest cały i zdrowy. Chłopak biegł do nich z rozpostartymi ramionami w geście powitania.

Spokojny o los tych osób Sebastián nie mógł już dłużej czekać. Miał wolną drogę do domu Carvajala. Płomienie lizały ściany, skacząc po drewnianych balkonach od strony fasady. Fonseca szedł ze szpadą w dłoni, bo widać było tu i ówdzie uzbrojonych mężczyzn. Zdawało mu się, że w jednym z uciekających rozpoznaje Montillę, choć nie widział jego twarzy.

Główne wejście do domu okazało się niedostępne. Paliły się schody. Stopnie w dolnej części były zwęglane i odpadały kawałkami.

Nie tracąc ani chwili, okrążył budynek, aż zobaczył otwarte okno na wyższym piętrze. Próbował wspiąć się na parapet, ale było za wysoko. Rozejrzał się za czymś, co pomogłoby mu pokonać tę wysokość, i znalazł ramę krosna mechanicznego, które Carvajal przywiózł z Hiszpanii i stało jeszcze niezmontowane. Oparł je o ścianę i w ten sposób dostał się na drugie piętro.

Z góry było widać, że ogień rozprzestrzeniła się wokół domu i zbliża się do młyna prochowego. Wybuch groziłby popękaniem ściany skalnej w pobliskim wąwozie. Kamienie zwałą się na dom i trudno będzie uciec.

Budynek, w którym się znajdował, miał w dachu centralne okno lunetowe. Tędy wpadało światło prosto na klatkę schodową. Wokół niej były rozmieszczone pokoje. Paliła się cała część frontalna. Sebastián modlił się, żeby Metyski tam nie było.

Zsunął z twarzy wilgotną chustę i wrzasnął na całe gardło:

– Umina!

Nie było odpowiedzi.

– To ja, Sebastián! – nie ustępował. – Gdzie jesteś?

Krzyczał, aż ochryplł i zaczął kasłać, nałykawszy się dymu.

Była to duża nieostrożność z jego strony: zdradził się ze swą obecnością, przez co stracił inicjatywę i możliwość działania przez zaskoczenie. Ale musiał się dowiedzieć, gdzie jest Umina, żeby pospieszyć jej z pomocą, zanim będzie za późno.

46 Między dwoma ogniami

Wydawało mu się, że słyszy głos Uminy tłumiony przez trzaskający ogień. Brzmiał tak słabo, iż w pierwszej chwili pomyślał, że to złudzenie zrodzone z niepokoju i pragnienia, by ujrzeć ją jak najszybciej. Potem doszedł do wniosku, że głos dociera tak słabo, bo Umina nie znajduje się na tym piętrze, tylko na dole. Powtórzył wołanie. Wydało mu się, że odpowiedź dociera jednak z któregoś z pokoiów na tym piętrze.

Zaczął otwierać po kolei wszystkie drzwi i zaglądał do środka.

Wychodząc z jednego z pomieszczeń, zderzył się z jakimś człowiekiem.

Był to Carvajal. Szalał z wściekłości. Z osmoloną twarzą i zaczerwienionymi oczami, w których odbijały się płomienie, wyglądał naprawdę groźnie. Ogień strawił już fasadę domu i sunął dalej zygzakami, wypełniając otwór klatki schodowej.

– Gdzie jest Umina? – zapytał Fonseca.

Carvajal nie odpowiedział. Ze szpadą w rękę rzucił się na niego rozjuszony jak byk. Sebastián zrobił krok do tyłu, żeby odeprzeć pierwsze pchnięcie. Kontratakując, starał się wyczuć przeciwnika. Wiedział, że musi zachować spokój, mimo że stoi naprzeciw mordercy ojca i stryja. Nie może kierować się takimi emocjami, bo stawką jest życie Uminy. I jego własne. Nie ulegało wątpliwości, że Carvajal znakomicie włada szpadą i doskonale

zna teren, po którym się porusza. Właśnie wykonał pchnięcie tak dobrze obmierzone, że nie było sposobu odparować, Sebastián znów musiał się cofnąć. Zorientował się, że tamten próbuje zepchnąć go w stronę schodów, tak żeby wpadł do ognia.

Udałoby mu się, gdyby nie ten niespodziewany incydent. Coś huknęło nad ich głowami, hałas był tak silny, że zagłuszył na chwilę wycie ognia. Płomienie porozrywały się na tysiące fragmentów jak w kalejdoskopie. Fonseca poczuł pieczenie na dłoni ściskającej szpadę i uzmysłowił sobie, że spada na nich szklany deszcz. Główna lukarna rozpękała się na kawałki.

Carvajal był bardziej poszkodowany, bo w tym momencie zadarł do góry głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Krew spływająca po twarzy ranionej odłamkami szkła rozwścieczyła go jeszcze bardziej. Otarł twarz rękawem koszuli i natarł na Sebastiana jak huragan.

– Gdzie Umina? – powtórzył inżynier, odpierając cios.

– W dobrych rękach. Na twoim miejscu zająłbym się sobą, bo nie wyjdiesz stąd żywy. Uminą zajmę się ja.

Czuł, że Carvajal go prowokuje i wie o jego uczuciach dla Metyski. W przeciwieństwie do innych mężczyzn, z którymi zmierzył się w pojedynku, ten ani na moment nie stracił zimnej krwi, choć miał napady furii. Umiał zdyskontować słabe punkty przeciwnika, który nie był w stanie skupić się tylko na walce. Fonseca nie orientował się dobrze w tym terenie i wciąż nasłuchiwał, skąd dochodzą okrzyki Uminy. Były coraz wyraźniejsze, w miarę jak walczący zagłębiali się w korytarz.

Ogień szalał po całej klatce schodowej, która zamieniła się w jeden wielki komin, ponieważ lukarna nie stanowiła już zapory dla wiatru. Płomienie lizały ściany pomieszczenia, gdzie była uwięziona dziewczyna. Jej krzyki brzmiały coraz bardziej rozpaczliwie.

Sebastián już wcześniej zauważył kłódkę na drzwiach i zrozumiał, że Umina sama sobie nie poradzi, choć waliła pięściami w drzwi, usiłując je wyważyć.

Desperacko manewrował tak, żeby znaleźć się jak najbliżej tych drzwi.

Miał świadomość, że osłabia w ten sposób swą pozycję, bo Carvajal z góry odgadywał jego ruchy. Znów przyparł go do muru.

W tym momencie spadła między nich płonąca belka. Carvajal musiał się odsunąć, żeby go nie przygniotła. Kiedy tak stali rozdzieleni niespodziewaną przeszkodą, powiedział pogardliwie do Fonseki:

– Przyglądam ci się i teraz rozumiem, dlaczego ten przekłety Condorcانqui przyszedł ci z pomocą w Abancay. Bękarci solidaryzują się ze sobą... Łatwo dyktować prawa z Hiszpanii pod pretekstem obrony Indian. To służy tylko uspokojeniu waszych sumień. Bo wiecie, że te prawa nie będą przestrzegane i że macie tu, na miejscu, kogoś, kto wykona za was brudną robotę... Od początku było dla mnie jasne, że prędzej czy później przejdiesz na stronę tej hołoty.

Inżynier nic nie odpowiedział, ale zdziwienie musiało odbić się na jego twarzy, bo Carvajal kontynuował prowokująco:

– Jeśli nie wiesz, o czym mówię, szkoda, że nie zapytałeś o to Uminy, kiedy miałaś okazję. Ona wie dużo więcej, niż ci się zdaje, nieszczęśniku.

Rzucając takie insynuacje, roześmiał się złośliwie. Zwłaszcza że dopiął swego, bo wzmianka o dziewczynie wytrąciła z równowagi Sebastiána, który przystąpił do kontrataku, jak należy.

– Widzę, co do niej czujesz – sztydził Carvajal, parując jego ciosy. – Jeszcze jeden wpadł w sidła. Drogo mi za to zapłacisz!

Fonseca przeskoczył przez płonąca belkę na podłodze i pobiegł w stronę miejsca, skąd dobiegały krzyki Uminy i walenie w drzwi. Zanim Carvajal się poruszył, spróbował je otworzyć. Ale nic nie mógł zrobić, bo były zamknięte na wielką kłódkę.

Podczas gdy Carvajal zbliżał się powoli, zauważył, że jedna ze ścian jest popękana i lada moment runie. Widział przez okno w głębi korytarza, że ogień rozszerza się w kierunku pierwszego młyna prochowego.

Czas nie grał na jego korzyść, więc Sebastián nie czekał, aż Carvajal do niego dojdzie. Wskoczył mu na spotkanie, przypuścił atak z gatunku „wszystko albo nic”, zmusił go do zrobienia kroku wstecz i nie ustąpił

nawet wtedy, gdy poczuł na swej piersi zimną stal szpady swego wroga. Parł do przodu tak zdecydowanie, że ostatnim, desperackim wysiłkiem wytrącił mu broń z ręki i wrzucił do płonącej studni schodów.

Wtedy przysunął szpadę do szyi Carvajala i rozkazał:

– Otwórz te drzwi!

Właściciel manufaktury wyjął powoli klucz i włożył do kłódki.

– Szybciej! – ponaglił go Sebastián.

Kłódka ustąpiła z trzaskiem. Ale nie zdjął jej do końca. Wyraźnie z tym zwlekał i dłubał przy zamku, odwracając się co chwila, żeby spojrzeć przed siebie, a Fonseca, gdyby nie był tak zniecierpliwiony, zauważyłby w jego oczach czające się niebezpieczeństwo.

Kiedy się zorientował, było już za późno. Poczul ostry ból w prawym ramieniu. Potężne zęby zacisnęły się na nim jak obcęgi tak, że musiał wypuścić szpadę. Zanim zdążył zareagować, został powalony na ziemię.

Zęby szukały teraz jego gardła. W świetle płomieni błyszczały ostre kły, z których ściekała piana.

Pies Carvajala, wielki czarny mastif, warczał, gotów rozszarpać go na kawałki.

Carvajal rzucił się, żeby podnieść szpadę Sebastiána. Umina krzyczała coraz głośniejsze. Otoczona ogniem szarpała za drzwi, żeby rozewrzeć do końca uchwyt kłódki.

Fonseca zasłaniał gardło przed zębami mastifa. Ale pies był niezwykle silny i miał mordercze instynkty. Carvajal trzymał teraz szpadę Sebastiána i zamierzał go dobić.

Zawahał się przez moment, bo z zewnątrz dobiegł ich straszliwy huk wybuchu, po którym nastąpiło kilka mniejszych eksplozji. Kawałki skały przelatywały w powietrzu, gwizdząc jak kartacze. Zawalił się dach nad pomieszczeniem, w którym znajdowała się Umina. Nieustannie wołała ratunku. Takie były skutki eksplozji pierwszego młyna prochowego.

W tym momencie coś przesunęło się tuż przy uchu inżyniera. Jakiś przedmiot, którego nie zdążył zidentyfikować, musnął jego twarz i wbił

się w stojącą nad nim bestię. Mastif drgnął, jakby go coś zabolalo, zawył jak wilk, puścił zdobycz i ciężko zwałił się na bok.

Dopiero wtedy Sebastián zobaczył Qaytu. Trzymał w ręku metalowy grępel z ostrymi zębami. Najpierw uderzył psa, żeby odsunąć go od Sebastiana. A teraz wyładowywał na nim furię nagromadzoną latami; przez te wszystkie dni i godziny, kiedy próbował coś powiedzieć, musiał przypominać sobie psa, który pożarł przy nim jego język.

Indianin podniósł wysoko grępel jak ktoś, kto zamierza wyorać bruzdę w stwardniałej ziemi. I zadał cios tak silny, że nie tylko pogruchotał psi kręgosłup, ale przeciął na pół całe ciało.

Carvajal był tym tak przerażony, że na widok Indianina, który zbliżał się do niego, trzymając przed sobą grępel, zaczął się cofać i potknął się o resztki zwęglonej belki. Natychmiast się podniósł, robiąc unik, żeby uchylić się od ciosu zadanego przez nadzorcę. Niewiele myśląc, pobiegł do okna w głębi korytarza i wyskoczył na zewnątrz.

Wyglądając za nim, mulnik zobaczył, że Montilla i jego ludzie podnoszą z ziemi Carvajala, który utykając, rzuca się do ucieczki tylnym wyjściem z manufaktury.

Nastąpiła kolejna eksplozja. Sebastián szarpał już za kłódkę, żeby uwolnić Uminę, kiedy na resztki płonącego domu spadł drugi deszcz kamieni.

Z chmury dymu wyłoniła się wreszcie dziewczyna, umorusana sadzą, i rzuciła się w ramiona inżyniera, ściskając go i szlochając. I staliby tak dłużej, stopieni w jedno wstrząsane drzeniem ciało, gdyby nie Qaytu.

Nadzorca obserwował tę scenę ze smutnie pochyloną głową, oczyszczając się z krwi, która go popryskała. Pociągnął ich w stronę okna, przez które tu się dostał, a wcześniej wszedł Sebastián, ustawiając na dole ramię krosna.

Wokół nich spadały zwęglone fragmenty murów, dachów i całe ściany. Kazał im również uważać na biegające spłoszone konie. Poprowadził ich do głównego wyjścia. Cała manufaktura stała w ogniu.

Kiedy przechodzili przez dziedziniec, eksplodował trzeci młyn prochowy, powodując nowe obsunięcia skał w wąwozie. Fabryka znów znalazła się pod gradem kamieni, kawałków drewna i metalowych odłamków.

Wyszli na plac za bramą. Stojąc teraz w pewnej odległości od ognia, rozglądali się po ludziach i ocenili, że większość robotników zdołała uratować się z pożaru.

Aby to potwierdzić, Sebastián chciał zapytać Qaytu o jego rodzinę. Ale nadzorcy nie było w pobliżu. Został z tyłu, odłączając się od reszty zgromadzonych. Nie mógł oderwać wzroku od manufaktury, a raczej tego, co po niej pozostało. Jego wielkie cielsko odcinało się na tle ognia. Stał jak sparaliżowany. Widziana z profilu twarz koloru miedzi, o archaicznych rysach i wystających kościach policzkowych w kolorze sinofioletowym, miała w półmroku, patrząc pod światło, barwę popiołu. Płomienie błyszczały w wilgotnych oczach, zamglonych wspomnieniami, w których odbijały się wielowiekowe sieroctwo i smutek. Niezgåębiony świat nacechowany grabieżami.

Doznawał sprzecznych uczuć. Jak wielu Indian nieraz marzył, że skończy się ten koszmar, zniknie to piekło na ziemi. W ostatnich latach manufaktura jawiła mu się jako bestia pożerająca bogactwo i ludzi tego regionu. Ale pamiętał wcześniejsze lata, kiedy wszystkiego nauczył się w tych murach. Tu zostały pogrzebane jego nadzieje i ponad połowa życia. Tu był kiedyś szczęśliwy, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Qaytu podszedł do rodziców i długo ich ścisnął, nie mogąc powstrzymać łez. Dołączyła do nich Umina z Sebastiánem. Dopiero teraz rodzice nadzorcy zdali sobie sprawę z obecności inżyniera. Zanim Umina im go przedstawiła, ojciec Qaytu podszedł bliżej i przyglądał się Sebastiánowi ze zdziwieniem.

– Pańska twarz wydaje mi się znajoma – powiedział w keczua.

Umina przetłumaczyła, a inżynier zauważył:

– Chyba myli mnie pan z kim innym. Ktoś mi już powiedział, że jestem podobny do José Gabriela Condorcanquiego.

– Nie, to nie tak – odparł jego rozmówca. – Nie znam tego człowieka, choć dużo o nim słyszałem.

Ta odpowiedź wprawiła Sebastiána w jeszcze większe zdumienie. Do tej pory sądził, że mylą go z kacykiem, zasugerował mu to sędzia Ampuero. Ale nawet ci, którzy nie znają Condorcanquiego, twierdzą, że Sebastián im kogoś przypomina.

Na wieść o tym, że Qaytu udaje się do dawnej stolicy, matka poprosiła, żeby odwiedził swoją siostrę, która razem z mężem prowadziła w okolicy zajazd. Dała mu prezent dla wnuków: materiał, który dawno temu utkała i ukrywała pod ubraniem.

– Musimy już iść – powiedziała Umina.

Zapadła pełna wyrzeczeń i rezygnacji cisza, która zwykle poprzedza rozstania. Qaytu pożegnał się z rodzicami i bratem – zamierzali wrócić w rodzinne strony. Umina wiedziała, że czasem kontaktują się z góralami z regionów położonych bardziej na północ. Poprosiła, żeby ostrzec ich przed Carvajalem i opowiedzieć o tym, co się stało. Bo na pewno będzie on szukał zemsty, jak tylko dojdzie do siebie.

Kiedy inżynier zrelejonował jej pokrótce, co zdarzyło się w Abancay, dziewczyna nie ukrywała swych obaw.

– Fatalna historia. Gálvez wszystko opowie, kiedy tylko dotrze do Cuzco. Powie, że Condorcanqui wam pomógł. Wtedy na pewno oskarżą ciebie i Qaytu o udział w ataku na manufakturę.

W naturalny sposób Umina zaczęła mówić mu ty. On też przeszedł na tę formę, zwracając się do dziewczyny:

– Carvajal odpowie za porwanie ciebie. Bardzo cię skrzywdził?

Wzdrygnęła się i powiedziała:

– Nie. Ale teraz wszystko się skomplikuje.

– Czy coś cię z nim łączy? – nie ustępował Sebastián.

– Nie mówmy o tym teraz – poprosiła. – Teraz najważniejsze to przejść przez most nad Apurimakiem, zanim Carvajal i Montilla zbiorą siły i wyruszą w drogę. Bo jak nie, to złożą na nas donos i nawet nie będziemy mogli się bronić.

47 Wiszący most

W zajeździe przy trakcie królewskim czekali na nich mulnicy z karawaną gotową ruszyć do Curahuasi. Tam zamierzali spędzić noc i przygotować przejście na drugi brzeg Apurimacu. Wszyscy się bali tej rzeki i ścisiali głos, kiedy o niej mówili. Byli tak przejęci, że nie przejęli się zbytnio dezercją Gal veza i fizylierów. Brak zbrojnej eskorty rekompensowała im zawiązką obecność Uminy.

Bez zbędnych słów przejęła dowodzenie wyprawą. Tylko Qaytu był jakiś nieswój, stronił od ludzi, najchętniej zajmował się mułami i bagażem. Czuł się niepotrzebny, widział, że Sebastiána i Uminę połączyła nowa, serdeczna zażyłość.

Kiedy opatrywała mu rany, inżynier raz jeszcze spróbował zadać jej parę pytań o Carvajala, bo nie dawały mu spokoju insynuacje tego człowieka i Gal veza. Jednak wzrok dziewczyny, jej nieme błaganie o litość kazało mu zrezygnować z tego zamiaru. Poszukał w torbach podróżnych zwierciadła z obsydianu, które Zúñiga dał mu dla Uminy jeszcze w Limie.

Metyska przyjęła z wdzięcznością ten cenny dla niej przedmiot, przycisnęła lusterko do piersi i obiecała, patrząc na Sebastiána wilgotnymi oczami:

– Kiedyś ci wszystko opowiem... Daj mi trochę czasu...

Doszli do Curahuasi, małej wioski zagubionej na płaskowyżu pośród

gór, od których zapierało dech w piersiach na myśl o wspinaczce. Tu urządzili postój, zamówili kolację i nocleg w zajeździe i dowiedzieli się przy okazji, że już rozpoczęto rozbiórkę mostu.

– Nie ma przejścia.

– Czy byli tu ostatnio fizylierzy? – zapytał Fonseca, mając na myśli Gálveza.

– Tak, im udało się przejść – odparł ich rozmówca, uznając za rzecz najzupełniej oczywistą, że zrobiono wyjątek dla zbrojnego oddziału.

– To nam też się uda! – stwierdziła z przekonaniem Umina.

Ranek wstał spowity w srebrzystą, lodowatą mgłę, która kłębiła się wokół nich, kiedy tak szli, trzęsąc się z zimna, w kierunku Apurimacu. Sporo czasu upłynęło, zanim zrzędała i ukazało się słońce, migocząc w trawie pokrytej grubymi kroplami szronu. Kiedy wreszcie się przejaśniło, ujrzeli z lewej strony wyniosłe, ośnieżone szczyty Soray i Salcantay.

Mieli za sobą już wiele trudnych przepraw przez doliny, wąwozy i górskie żleby z rwącym potokiem w dole. Ale żadna nie dawała się porównać z przejściem przez most nad Apurimakiem.

Wszyscy Indianie z karawany odnosili się doń z lękiem i respektem. Nie było w tym nic z zabobonu. Tak samo reagowali ci, którzy widzieli ten most po raz pierwszy. Wisząca kładka wyglądała jak gigantyczny hamak i była tak samo chwiejna. Niewiele różniła się od tych, które budowali Inkowie. Świadczyła o nadzwyczajnych zdolnościach tkackich i znakomitym wykorzystaniu produktów tej ziemi, co pozwoliło pokonać przeszkodę bez gwałtu na przyrodzie. Ze względu na niedostatek drewna most został upleciony z konopnych sznurów i włókien agawy. Zręczne połączenie tych składników dało w efekcie grube liny zakotwione na obu brzegach do przyczółków. Liny napinano za pomocą kabestanu.

Sebastián miał okazję przyjrzeć się konstrukcji takiego mostu przy przekraczaniu rzeki Pampas, między Ocros i Uripe. Najpierw rozwieszano poziomo trzy mocno splecione liny o dużej średnicy, tworzące oparcie dla pomostu. Na to nakładano nie grube deski, tylko bardzo lekki materiał,

taki jak listewki z grubej łądygi agawy. Oprócz tych trzech lin podstawowych nieco wyżej były dwie boczne, przymocowane do pomostu lianami i rzemieniami z surowej skóry, podobnie jak się wzmacnia kosze. Te dwie liny nie tylko zapobiegały nadmiernemu bujaniu, ale głównie służyły za poręcz, żeby podróżni mogli się przytrzymać, a także dla uspokojenia koni i mułów, kiedy przechodzili przez most z całym bagażem na grzbiecie.

Most nad rzeką Apurimac był trzykrotnie dłuższy od mostu nad rzeką Pampas. Mierzył co najmniej dwieście kroków. I wisiał nad przepaścią, która największych śmiałków przyprawiała o zawrót głowy.

Qaytu tak zaplanował trasę, aby doszli do mostu we wczesnych godzinach rannych. To był najlepszy moment na przeprawę. Potem zrywał się gwałtowny wiatr więziony w kanionie rzeki i szarpał kładką. Często zdarzały się wypadki.

Ścieżka prowadząca do mostu wychodziła na przyczółek, gdzie była budka strażnika i kabestan do naprężania kabli. Gardziel stawała się coraz węższa, kamienie i występy skalne tarasowały drogę, która kończyła się urwiskiem. Dalej była już tylko mroczna przepaść, skąd dobiegał łoskot burzliwej, spienionej rzeki. Była tak wciśnięta między skały, że wiry rozbijały się o trące krawędzie kamieni koryta. Gdyby ktoś na nie spadł, niechybnie poniósłby śmierć.

W tym pełnym grozy krajobrazie rozkołysany most wyglądał jak delikatna pajęczyna. Strach brał na samą myśl o tym, że trzeba na niej stanąć. A jeszcze bardziej, gdy czuło się mocne uderzenia wiatru, pomimo wczesnej pory. Na dodatek z powodu prac remontowych usunięto część bocznych rzemieni, które służyły do ochrony.

Kiedy dotarli do budki strażnika, dowiedzieli się, że most jest zamknięty. Umina użyła swego daru perswazji, wspartego sutym napiwkim, aby strażnik zezwolił im przejść na ich własne ryzyko i odpowiedzialność. Długo musiała go jednak przekonywać, że to nie wyklucza użycia kabestanu do naprężania lin, żeby przeciwdziałać kołysaniom od silnego wiatru.

Strażnik wydał polecenie swoim ludziom, ale zrobił to niechętnie i w rezultacie liny zostały naprężone nierówno. Most miał przechył w jedną stronę, a liny boczne, które powinny służyć jako balustrada, zwisały nisko, nie zapewniając odpowiedniej ochrony. Paski łączące te liny z pomostem były bardzo zniszczone, co dodatkowo zwiększało niebezpieczeństwo.

Qaytu popędzał ich, żeby nie tracić cennego czasu. Podmuchy wiatru w kanionie z każdą chwilą przybierały na sile. Nie oglądając się na innych, Qaytu postanowił wejść na most jako pierwszy. Wiedział, że jego mulica Cerrera potrafi dać przykład reszcie stada, które chętniej pójdzie za nią. Umina i Sebastián mieli zamykać ten pochód, żeby ponaglać najbardziej bojaźliwych.

Akurat gdy weszli na tę kruchą kładkę, zerwał się gwałtowny wiatr i liny wpadły w wibrację tak silną, że ich drganie udzielało się idącym, zwiększając jeszcze bardziej ich niepokój. Nie była to wibracja pozioma, jak w sztywnych mostach, i kładka utworzyła dołek w kształcie litery U. W normalnych warunkach, przy dobrze naciągniętych linach, kładka opada na początku, przy wchodzeniu, i potem podnosi się, tak że trzeba się trochę wspinać przy wychodzeniu. Ale teraz ten spadek był wyraźniejszy. Nie dość, że niestabilna, kładka była jeszcze śliska: listewki zawilgotniały, pokryły się mchem i zielonkawym śluzem. W niektórych miejscach popękały i łatwo było wpaść stopą do takiej dziury.

Najgroźniejszy moment przeprawy nastąpił wtedy, gdy Qaytu zbliżał się do drugiego brzegu, a Umina i Sebastián zamykali karawanę. Wszyscy znajdowali się na tej kładce nad rzeką, bez możliwości zrobienia kroku do tyłu. W środku były najbardziej objuczone muły z cennymi towarami. Znalazły się akurat na dole tego „U” utworzonego przez liny mostu. I tam utkwiły, zwis był zbyt głęboki, aby mogły wspiąć się pod górę.

Umina wrzasnęła do Qaytu, próbując przekrzyczeć ryk rzeki i wycie wiatru. Nadzorca odwrócił się i dał znak mulnikom najbliżej siebie, żeby szybciej przeprowadzili swoje muły i zrobili miejsce dla tych z tyłu, najbardziej obciążonych. Ale przerażone zwierzęta zapały się nogami i sparaliżowały całą przeprawę.

Nie można było pozwolić, żeby ta sytuacja się przedłużała, niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą, panika ogarniała ludzi i zwierzęta, a zwis mostu pogłębiał się coraz bardziej. Umina zrozumiała natychmiast, czym to grozi. Po raz kolejny Sebastián mógł się przekonać o niezwyklej stanowczości i zimnej krwi dziewczyny, która zaczęła dawać rozkazy w języku keczua tak energicznie i z taką precyzją, że pozazdrościłby jej niejeden znamienity strateg.

Przede wszystkim nakazała Qaytu nie zatrzymywać się.

– Pospiesz się! – powiedziała. – Jak znajdziesz się na brzegu, zaprzęgnij muły do kabestanu, żeby naciągnąć sznury!

Następnie rozkazała mulnikom, którzy znajdowali się na środku mostu:

– Odwiązać juki i resztę tobołów! Wyrzucić do wody! Szybko!

Mężczyźni zawahali się, czy mają jej posłuchać, bo dobrze wiedzieli, co to oznacza. Wieźli towary, które przybyły z Hiszpanii przez Panamę do Callao. Pozbyć się ich oznaczało ogromną stratę: nie tej jednej wyprawy, ale w skali całego sezonu.

– Słyszeliście? – zawołała dziewczyna. – Wykonać!

Spuszczali powoli w przepaść worki, które niechętnie odczepiali od mułów.

– Szybciej! – krzywała. – Więcej! Jeszcze więcej!

Wydawała rozkazy i kontrolowała sytuację, dopóki kabestan nie naciągnął kładki, likwidując niebezpieczny zwis. Zwierzęta uwolnione od ciężarów tym łatwiej przeszły na drugi brzeg.

Nikt nie pozwolił sobie ani innym choćby na chwilę odpoczynku. Dobrze wiedzieli, że niebezpieczeństwo trwa. Sebastián pomógł Qaytu zreorganizować karawanę, rozdzielając uratowane towary i bagaż między wszystkie muły. Teraz mieli się wspinać w wysokim kanionie utworzonym przez rzekę.

Spoglądając do góry, Sebastián podziwiał stromy zygzak gościńca, biegnący zakolami, żeby ułatwić wspinaczkę. Szlak torował sobie drogę, jak mógł, między skałami, zataczając koła, owijając się wokół siebie jak korkociąg.

Chwilami stawał się tak wąski, że ledwie mieściła się na nim ludzka stopa. Leżało na nim tyle odłamów skalnych, że prawie nie było widać ziemi. Jeden fałszywy krok oznaczał osunięcie się w dół, prosto na skały. Na wielu odcinkach wspinaczka była kwestią życia lub śmierci: z jednej strony pionowo stercząca ściana, z drugiej przepaść. Stopnie wyżłobione w skale i rozpostarte wachlarzowato schody w kształcie ślimaka były często jedynym punktem zaczepienia dla ręki. Zmęczone zwierzęta domagały się częstszych postojów, mulnicy podtrzymywali je własnym ciałem, żeby mogły odpocząć.

Na czele konwoju szedł Qaytu ze swą mulicą Cerrera. Na każdym zakręcie tak manewrował, aby pokonać go w najbezpieczniejszy sposób. Na początku nie było problemów. Ale im wyżej się wspinali, tym wiatr był silniejszy, wznosił tumany pyłu, oslepiając ludzi i zwierzęta. Mulice gubiły ścieżkę, mimo że ją dobrze znały.

Już prawie dochodzili do szczytu, kiedy Cerrera zaparła się i nie chciała wyjść zza skały. Zwierzę coś wyczuwało, ale Qaytu zmusił je do kontynuowania drogi pod górę. Idący z tyłu obserwowali ten manewr z duszą na ramieniu: jeśli mulica się poślizgnie, wszystkich pociągnie na dół.

Cerrera musiała mieć jakiś powód, że odmawiała wspinaczki. Qaytu cofnął się, żeby obejrzeć jej tylne łapy. Idąc za naturalnym instynktem, mulica poszukała oparcia w najtrwalszej skale, ale nadzorca nie mógł tego dostrzec ze względu na osuwanie się terenu. Kiedy chciał coś poprawić, zwierzę straciło równowagę, usiłując zmienić pozycję. Jeśli ześliznie się, zginie cała karawana. A Indianin był za daleko, żeby złapać za lejce i odzyskać nad Cerrera kontrolę.

Umina zareagowała natychmiast, bez wahania. Dała Sebastiánowi lejce swojego konia, wyjęła strzelbę z pokrowca i oparła się o występ skalny, żeby lepiej wycelować. Nie mogła chybić. Nie miałaby drugiej szansy.

– Odsuń się, Qaytu! Podejdź bliżej skały! – krzyknęła.

Rozległ się strzał. Kula trafiła dokładnie między wystraszone, szeroko otwarte oczy Cerrery. Zwierzę osunęło się na bok. Straciło oparcie w

tylnych łapach i spadało w przepaść. Najpierw brzuchem do góry, potem obracając się w miarę obijania się o skały. Chmura pyłu wzniosła się w górę. Stracili mulicę z oczu, ale nadal słyszeli trzask pękających kości, uderzanie kopyt i inne głuchoe odgłosy, które wkrótce połknęła rycząca rzeka.

Po tej wyczerpującej wspinaczce dotarli wreszcie na szczyt górujący nad kanionem rzeki. Umina położyła dłoń na ramieniu przygnębionego Qaytu, mówiąc tym gestem więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

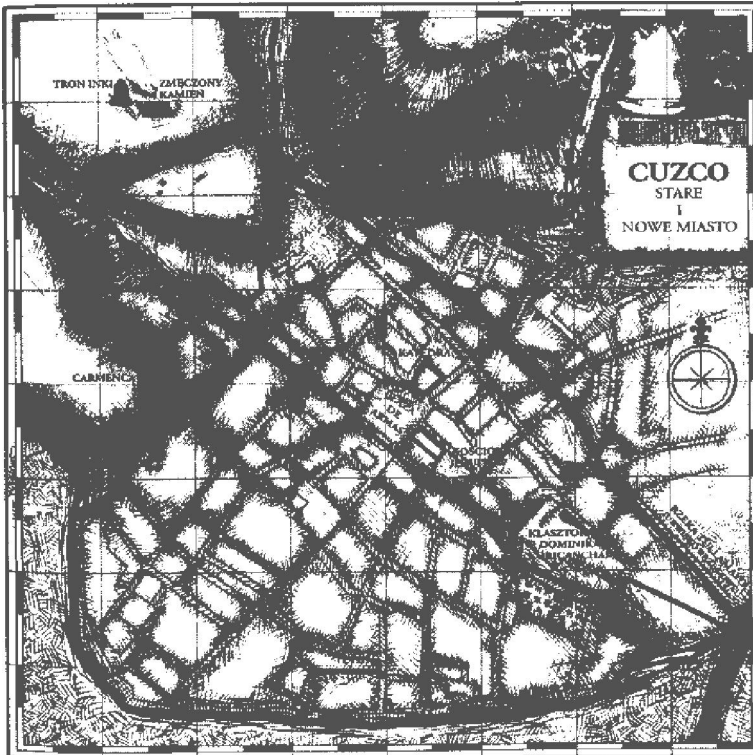
Sebastián zauważył, że nadzorca nie wie, co ze sobą począć, i jak błędny chodzi wśród stada, szukając nowej mulicy. Wreszcie wybrał sobie jedną z końca i uwolnił od ciężarów, żeby na nią wsiąść. Unikał ludzi i widać było po nim bezradność i dezorientację, które bardziej niż kiedykolwiek przedtem kontrastowały z potężną, zwalistą sylwetką.

Kawałek dalej zobaczyli *apachetas*^{*}, co znaczyło, że sana granicy między dwoma łańcuchami górskimi. Od Cuzco dzieliły ich już tylko trzy stacje pocztowe.

^{*} *Apachetas* – pagórki usypane z kamieni, rodzaj kapliczki na cześć Pacha Mama.

II

Miasto Słońca



48 Cuzco

Ze szczytu góry Carmenca patrzyli na dawną stolicę, która rozpościerała się u ich stóp. Ospały dym unosił się powoli z kominów, barwiąc na niebieskawo dachy z czerwobrunatnej dachówki. Poniżej ochrowe, przesycone światłem wzgórze migotały w delikatnym, przezroczystym powietrzu. Mulnicy odkryli głowy na znak szacunku. Oto są już u celu podróży i widzą Cuzco, które wciąż jest dla nich świętym miastem. Inkowie nazwali je pępkiem swego imperium. Stąd wychodziły najważniejsze drogi Tahuantinsuyu, państwa Czterech Części.

Choć położone wysoko w górach, stanowiło istną oazę w tych niesprzyjających warunkach geograficznych. Wybudowano je w samym sercu widlastego rozgałęzienia rzeki Apurimac, opływającej miasto od zachodu, i Urubamby, która chroniła je od wschodu, zanim połączyła swe wody z Ukajali, jedną z macierzystych rzek Amazonki.

Cuzco znajdowało się w głębi bolsonu, w dolinie Huatanay, czyli Anudado, jednego z dopływów Urubamby. Mieli właśnie tę rzekę u swych stóp, biegnącą z północnego wschodu na południowy wschód. Równoległe do niej, bardziej na północ, płynęła Rodadero, czyli Tullamayo. To właśnie ich koryta wytyczały granice starego Cuzco.

Powstało na klinie ziemi pochodzącej z erozji wzgórze, którego strzegła twierdza Sacsahuamán. Klin ten wbijał się między dwie rzeki łączące się na

południu. Miał kształt gigantycznej pumy, świętego zwierzęcia Inków. Z głową od strony północno-wschodniej, gdzie znajdowało się wzgórze z twierdzą wybudowaną w taki sposób, że wygląda jak otwarty pysk pumy. Z ogonem u zbiegu rzek na południowym wschodzie. Pośrodku, tam gdzie Plaza de Armas – serce wyrysowanego na ziemi drapieznika. A w miejscu jego genitaliów – Świątynia Słońca, czyli Coricancha, przemianowana na klasztor Świętego Dominika.

– Oto cel naszej wyprawy – powiedziała Umina, pokazując na klasztorną wieżę. – Tam jest grób Sirax.

– Nie będzie łatwo tam wejść – stwierdził Sebastián.

W mieście było dużo wojska. Zastosowano szczególne środki bezpieczeństwa, co mogli zauważyć już wcześniej, kiedy jechali z Callao. Wszystko dlatego, że na dniach miała się odbyć egzekucja Farfana de los Godos i innych buntowników, którzy wystąpili przeciwko podatkom nałożonym przez nowe władze. Atmosfera była pełna napięcia, więc Sebastián i Umina musieli zachować dużą ostrożność, bo z pewnością dotarła już tu wiadomość o napadzie i podpaleniu manufaktury. Tylko patrzeć, jak Carvajal oskarży Sebastiana i Qaytu o podżeganie do buntu, a wtedy skończy się dla nich możliwość swobodnego poruszania się po mieście.

Nie było czasu do stracenia. Nadzorca i mulnicy podążyli do magazynów położonych w nowej części miasta, a Umina i Sebastián udali się od razu do Domu Wężów. Budynek ten znajdował się w samym centrum, obok Plaza de Armas, gdzie wznosiły się katedra i kościół Jezuitów. Po rozwiązaniu zakonu ten ostatni przekształcono w koszary wojskowe.

Inżynier doznawał dziwnych uczuć, gdy szedł przez to miasto pełne Indian. Wszędzie zwyczaje i obyczaje inkaskie. Wszystko to, co sobie mgliście wyobrażał, czytając *Kronikę*, cały ten pochód twarzy i obrazów, nabierało teraz konkretnych, namacalnych wymiarów. Rzeczywistość nie rozczerowała go, wprost przeciwnie, zrobiła na nim nieodparte wrażenie, zwłaszcza dom rodzinny Uminy, którego godność od razu rzucała się w oczy. W przeciwieństwie do innych gmachów wysokiej rangi, gdzie parter

zajmowały sklepy złotnicze, tekstylne lub z przyprawami korzennymi, tutaj cały pałac pozostawał do dyspozycji rodziny. Fonseca nie umiał ukryć wzruszenia na widok miejsca, gdzie rozegrała się historia życia Quispi Quipu i Sirax. Zwłaszcza gdy stanął przed tą samą bramą, w której dwa wieki temu Diego de Acuña wypatrywał młodej Indianki.

Splecione węże na nadprożu wyglądały, jakby strzegły wejścia. Umina wyjaśniła mu, że potrafią przepowiadać pogodę: wydają rozmaite dźwięki w zależności od tego, skąd wieje wiatr, który przez nie przelatuje.

Stąd wchodziło się do przestronnej sieni zawdzięczającej swe rozmiary i surowe ściany z kamienia budowniczym pałacu Huayny Cápac wznoszącego się dawniej w tym miejscu. Nie było tu żadnych ozdób oprócz idealnie ociosanych kamieni, ciasno dopasowanych i połączonych bez użycia zaprawy.

Ta architektura sprawiała, że cały budynek dawał poczucie bezpieczeństwa ponad wszelką wątpliwość. Jedynym odstępstwem od tej zasady były ambrazury, otwory po bokach wejścia, przez które – w razie potrzeby – można wysunąć arkebuzy.

Zachował się również kamienny podjazd dla jeźdźców i powozów prowadzący prosto na duże patio z tokańskimi łukami i kolumnami, między którymi rosły w donicach pelargonie i miniaturowe drzewka cytrynowe. Stąd wchodziło się na piętro po szerokich schodach z czarnego kamienia. Masywne stopnie i gęste światło padające z góry, niczym kurtyna, potęgowały uroczyste wrażenie.

* * *

Uyán, matka Uminy, schodziła w tym świetle po schodach. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, widząc, że córka wróciła cała i zdrowa, a uśmiech rozjaśnił jej piękną jeszcze twarz o wyraźnych rysach indiańskich. I zawołała, ściskając dziewczynę:

– Tyle się naczekałam, córeczko! Nie zostawiaj mnie więcej samej na tak długo.

Łzy spływające po policzkach nie przeszkodziły jej obrzucić Sebastiana badawczym spojrzeniem. Przyjrzała mu się uważnie jeszcze raz, kiedy Umina dokonała prezentacji, po czym kazała służącym zająć się bagażami, a sama zaprowadziła gości do salonu. Mimo siwych włosów była pełna kokieterii i żwawa.

Salon był ogrzewany srebrnymi piecykami. Ściany pokrywały finezyjne dywany indiańskie z wełny wigonia na przemian z flamandzkimi i hiszpańskimi. Wisiały cenne obrazy. Meble ze skóry i z palisandru sąsiadowały z meblami z drewna palmowego, a drewno olchowe z Paucartambo z cedrowym z Amaybambuy. Hebanowe komódki w stylu Bargas zachwycały tak samo jak dzbany z chińskiej porcelany i weneckie żyrandole. Była w tym pewna osobliwość, z którą Sebastián nigdzie indziej do tej pory się nie spotkał: sztukę indiańską traktowano na równi z europejską, eksponując rzeźby z terakoty, malarstwo ze szkoły Cuzco i obfitość tkanin o niezwykłych splotach i kolorach. Wszystko to było przemieszane, dając w efekcie nową jakość, ponad podziały na indiańskość i hiszpańskość.

Najpełniej wyrażało się to w domowej kapliczce z pięknym ołtarzem poświęconym Matce Boskiej, którą Uyán darzyła szczególnym nabożeństwem.

– Codziennie modliłam się za ciebie – powiedziała, zamykając drzwi do kapliczki. – Zwłaszcza po tym, jak przyszedł list z Limy od don Luisa de Zúñigi.

– Przysłał ci list? – zdziwiła się Umina.

– Zaraz po twoim porwaniu, żeby uspokoić mnie na wypadek, gdybym otrzymała taką wiadomość z innego źródła. Napisał też o panu – dodała, zwracając się do inżyniera. O reszcie dowiedziałam się z opowieści Gálveza i innych podróźnych.

– Mówisz o manufakturze?

– Tak. Ta wiadomość wszystkich zaalarmowała. Do tego stopnia, że mówiono by tylko o tym, gdyby nie sprawa, którą zajmuje się obecnie *corregidor*.

– Domyślam się, że chodzi o egzekucję Farfána de los Godos – powiedziała Umina. – Widzieliśmy patrole wojskowe.

– Egzekucja publiczna przez powieszenie odbędzie się na dniach – poinformowała Uyán. – Lepiej nie mieć teraz do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, każdy podejrzany drogo zapłaci za swą przewinę, wojsko aż się pali do wymierzania kary.

– Jak postąpi w tej sytuacji Carvajal? – zapytał Sebastián.

Zauważył, że w tym momencie matka rzuciła córce spojrzenie, jakby prosiła o radę, i zwlekała z odpowiedzią, pozostawiając inicjatywę Uminie.

– Wkrótce się tu zjawi, możesz być pewien – odparła dziewczyna.

– Żeby oskarżyć Qaytu i mnie o podpalenie manufaktury – dodał z przekąsem inżynier.

– To też. Ale tak jak rzeczy stoją, nie sędzę, żeby dochodził swego na drodze prawnej. Zajęłoby mu to za dużo czasu i musiałby odpowiadać za moje porwanie. Mając do pomocy watahę Montilli, będzie wołał działać na własną rękę i bez czekania. Z pytań, jakie mi zadawał, można wywnioskować, że najbardziej mu teraz zależy na odszukaniu grobu Sirax w klasztorze Świętego Dominika. Oczywiście postara się tam dotrzeć przed nami.

Wysłuchawszy Uminy, Uyán potrząsnęła głową i powiedziała z wyrzutem:

– Postąpiłaś wobec Carvajala bardzo nieostrożnie, moja droga. Zwłaszcza po tym, co było między wami.

Zaskoczony Sebastián przypomniał sobie złośliwe insynuacje Gálveza i fabrykanta.

– O czym mówi twoja matka? – zapytał Metyskę.

– Widzę, że nic mu nie powiedziałaś – skarciła Uyán Uminę.

Dziewczyna zmieszana się i zaczęła mówić do matki w keczua. Matka odpowiadała w tym języku równie karcącym tonem, nie idąc na żadne ustępstwa. Kontynuowały tę dyskusję, dopóki oburzona Uyán nie wyszła z salonu, zostawiając ich samych. Zapadła kłopotliwa cisza, którą przerwał Sebastián.

- O czym mi nie powiedziałaś?
- Że byłam zaręczona z Carvajalem.

Wpatrywał się w nią osłupiały. Potem przeszedł kilka razy po salonie wielkimi krokami i zawołał:

- Nie do wiary!
- Chciałam ci o tym powiedzieć, dobrze wiesz. To nie jest tak, jak myślisz...

– Wziąłem w Limie zbrojną eskortę, ponaglałem ludzi, narażałem ich na wielkie niebezpieczeństwo. A to była tylko gwałtowna sprzeczka zakochanych! Co za głupiec ze mnie!

Jego słowa wytrąciły Uminę z równowagi. Podeszła do niego zagniewana. Stała przed nim i musiał się zatrzymać. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, dopóki Umina nie ustąpiła. Spojrzała na niego błagalnie wilgotnymi oczami.

– Wysłuchaj mnie. Byłam bardzo młoda, kiedy Carvajal zaczął się zalecać. Nie wiedziałam, co to za człowiek... Mój ojciec też się na nim nie poznał... Potem ojciec zmarł. I dopiero Qaytu otworzył nam oczy. Powiedział mojemu bratu Manuelowi, jak ten człowiek traktuje Indian w manufakturze i że ma on swój interes w tym, aby związać się z nami.

Sebastián nic nie powiedział targany wyjątkowo sprzecznymi uczuciami.

– Spójrz na mnie, na miłość boską! – błagała Umina. – Wiedziałam, na co się narażam, kiedy wtrącałam się w Limie w twoje sprawy. Ale co miałam zrobić? Zostawić cię samego w niebezpieczeństwie?!

Sebastián odwrócił się, omijając porozstawiane piecyki, podszedł do ściany i wałnął pięścią tak mocno, że zadźwięczało w całym salonie. Potem zaczął powoli zbliżać się do dziewczyny i kiedy stanął przy niej, wziął ją za rękę, żeby powiedzieć:

- Przykro mi, powinienem był się domyślić... Przepraszam.
- Między mną a tym człowiekiem do niczego nie doszło... Nie wstydź się tego, co do mnie czujesz. Bo ja czuję do ciebie to samo. – Wzięła go za

rękę i pokazując na prawe ramię, zauważyła: – Znowu krwawi, otworzyła ci się rana, trzeba zmienić opatrunek.

– Jakie to ma teraz znaczenie... – powiedział i przytulił ją do piersi.

Stali tak, ciasno objęci, dopóki głos Uyán nie przywrócił ich do rzeczywistości.

– Pokoje dla was są już gotowe – zakomunikowała. I zwracając się do córki, dodała: – Położyłam ci na łóżku suknię, którą dla ciebie zamówiłam na Boże Ciało.

Usta Uyán nie zamykały się. Sebastián miał wrażenie, że tym razem Umina była wdzięczna matce za podsuniecie tematu do rozmowy. Wyjaśniła, że to taki stary zwyczaj włożyć na siebie coś nowego z okazji tego najważniejszego święta w mieście, jakim jest niedawno obchodzone Boże Ciało.

Uyán rozpląwała się w pochwałach tegorocznego święta, opowiadając o nabożeństwach w katedrze, któredy szła procesja, jak dołączały do niej poszczególne grupy i któredy wracały.

– Parafia Świętego Hieronima ścigała się z parafią Świętego Sebastiana, która pierwsza dotrze do centrum – poinformowała córkę. – Oczywiście, wygrał Święty Sebastián...

Uzmysłowiwszy sobie, że jest to patron jej gościa, dodała filuternie:

– Święto trwa tak długo, że niektórzy święci muszą zostać na noc w miejscach przeznaczonych dla świętych patronek. Różne wieści krążą na temat tego, co tam się wyprawia, choć to przecież święte miejsce...

– Matko, nasz gość jest zmęczony, chciałby odświeżyć się po podróży i zmienić ubranie... – przerwała jej Umina, która bała się jak ognia matczynych niedyskrecji.

Bo Uyán nawiązywała wyraźnie do sceny w konfesjonale, o której musiała się dowiedzieć z listu Zúñigi; don Luis zawsze rozpisывał się o wszystkim ze szczegółami... Widząc, że z córką nie pójdzie jej tak łatwo, przynajmniej w obecności Fonseki, matka przeszła na keczua, mówiąc, że zrobiła się bardzo ważna i zarozumiała po tej podróży do Hiszpanii i pobycie w Limie.

Umina wzięła się pod boki i przyjmując wyzwanie, zapytała matkę również w keczua.

– Co chcesz wiedzieć? Czy walczyłam w Madrycie o nasze prawa, tak jak mi kazałaś? Czy wykorzystałam wpływy i znajomości ojca?

– To może poczekać – przerwała Uyán, pozostając przy keczua. – Przede wszystkim chcę wiedzieć, co cię łączy z tym przystojnym młodzieńcem.

– Nic mnie nie łączy.

– Nic? – mruknęła. – Przyplłynęliście z Hiszpanii tym samym okrętem i chcesz mi wmówić, że nic was nie łączy? Narazasz dla niego życie, rzucając wyzwanie Carvajalowi, i uważasz, że mam nad tym przejść do porządku dziennego? Zwłaszcza po tym, co przed chwilą widziałam...

Sebastián nic nie zrozumiał z tej rozmowy, ale zauważył, że Umina się rumieni.

– I co? – powiedziała Uyán w swoim języku triumfującym tonem. – Gdzie się zamieniliście ubraniami?

– Widzę, że don Luis de Zúñiga niczego nie pominął w swym liście – westchnęła dziewczyna z rezygnacją. – To było w katedrze w Limie.

– No jasne, a gdzieżby inaczej jak nie w tej Sodomie i Gomorze...

– Przebraliśmy się w konfesjonale! – zaprotestowała dziewczyna.

– Mój Boże, ta dzisiejsza młodzież niczego nie uszanuje!

– To nie tak, jak myślisz!

– Właśnie, że tak – zaatakowała Uyán. – Nie spodziewałam się tego po tobie. Nawet limianki korzystają z konfesjonale po to, by oczyścić się z grzechów. A tobie on służy do popełniania grzechów. O Jezusie, Maryjo, święty Józefie!

Przypomniały sobie wreszcie o Sebastianie i Uyán rzekła do córki, uśmiechając się od niechcienia:

– Zajmijmy się naszym gościem, bo biedaczek niczego nie rozumie. Widać, że jest dobrze wychowany i wykształcony. Ale nie łudź się, moja córko, mężczyzna dobry na zięcia nie musi być dobrym mężem. A dobry mąż nie zawsze jest dobrym kochankiem. Tak to bywa w tym życiu: coś za

coś. Więcej już nic nie powiem.

– Mam nadzieję, matko, bo głowa mi pęka od tego wszystkiego – jęknęła dziewczyna.

– Chodź, pokażemy mu dom i jego pokój – powiedziała Uyán po hiszpańsku, zwracając się do Uminy i Sebastiána.

W pałacu było dużo służby. Co krok natykali się na Indianki i Indian, którzy wypełniali najróżniejsze obowiązki domowe, a jednocześnie pilnowali swoich dzieci, obcinali chłopcom włosy. Uyán mimo całego zamieszania znakomicie panowała nad sytuacją. Zwracała się do każdego po imieniu, orientowała się w problemach i kłopotach, przyjmowała dostawców, wydawała polecenia ekipie remontującej dach. Była osią, wokół której obracał się cały dom. Nic się nie działo bez jej wiedzy. Pod jej spokojnym wzrokiem wszystko chodziło jak w zegarku.

* * *

Wieczorem Umina włożyła nową suknię od matki. Sebastián widział ją już w stroju galowym, w stylu europejskim, na spektaklu w madryckim teatrze i na statku. W typowym stroju limianki na przyjęciu w domu don Luisa de Zúñigi. A teraz miała na sobie strój w stylu indiańskim. Ten chyba najbardziej do niej pasował, podkreślał głęboką czerń włosów i czystość krwi pod lekko skośnymi oczami, bo składał się jedynie z białej, satynowej chusty upiętej czerwonymi szpilkami, ozdobionej lamówką w geometryczne wzory *tocapus*, które były oznaką godności szlacheckiej przynależnej członkom rodu królewskiego. Jak mało wiem o jej życiu w Cuzco, czyli tu, gdzie jest najbardziej u siebie, pomyślał Sebastián. Ile jeszcze rzeczy przed nim niedokrytych!

Rozpalono ogień w kominku w jadalni, gdzie centralne miejsce zajmował stół mogący swobodnie pomieścić ponad dwadzieścia pięć nakryć na obrusach haftowanych przez klaryski. Kolacja podana na srebrnej zastawie zaspokajała najwybredniejsze gusta i największy głód każdego chrześcijanina, który ma za sobą drogę przez góry, doliny i płaskowyże.

Po przystawkach i zupach pojawiły się na talerzach ziemniaki z różnych

stref klimatycznych i o różnych smakach, marchew, bób i ostra papryczka w kilku odmianach. A Uyán rozpoczęła przesłuchiwanie:

– A więc jest pan wojskowym – powiedziała do Sebastiána – podobnie jak mój zmarły mąż.

– Ależ matko! – przerwała jej Umina. – Pan Fonseca jest z zawodu inżynierem wojskowym i przeszedł chrzest ognia. A ojciec nie znał innego ognia niż ten na kominku.

– Przecież kierował oddziałami milicji.

– Finansował je, żeby móc korzystać z jurysdykcji wojskowej i zdobywać nowe koncesje na usługi transportowe. W niedzielę lubił włożyć mundur, perukę, przypasać broń, a po mszy iść z przyjaciółmi postrzelać do bezbronnych kamieni.

– Ale ciebie nauczył dobrze strzelać.

Dziewczyna zmieniła temat i tak przygadywały sobie aż do końca kolacji. Podano jeszcze kury faszerowane rodzynkami i migdałami, świnki morskie i kuropatwy z oliwkami z rejonu Angostury. Głównym daniem było pieczone prosię z Huaracundo ze złocistą, chrupiącą skórką pachnącą aromatycznymi przyprawami. Wino pochodziło z ciepłej doliny Yungas.

– Idź do kuchni i sama zdecyduj, co na deser – powiedziała Uyán, zwracając się do córki.

Skorzystała z nieobecności dziewczyny, żeby zapytać Sebastiána, jak się poznali. Wyjaśnił jej najlepiej, jak umiał, i zakończył słowami:

– Dzielna kobieta.

– Tak, ma to po mnie – potwierdziła Uyán. – Całe szczęście, że jest nieduża i drobna.

– Nie powiedziałbym tego.

– Umina jest niewysoka – upierała się matka. – Ale zawsze trzyma się prosto. Chodzi z podniesioną głową.

– Jest dumna, ale nie wyniosła.

– Może trochę. To po ojcu. Hiszpańska krew odnowiona w Limie. Zawsze była niezależna i zbuntowana. Mnie się nie słucha, sam pan to

widział. Dlatego chciałam prosić, żeby się pan nią opiekował. Nie wiem, jakie macie plany, ale proszę mi to obiecać.

– Plany? – powtórzył inżynier. – Co pani ma na myśli?

– Pan wybaczy, nie wyraziłam się jasno. Chodzi mi o cel waszej wyprawy. W inne rzeczy się nie mieszam. Tego się nie da przewidzieć. Ja poznałam swego męża, gdy jeszcze bawiłam się skakanką. Nie miałam dziesięciu lat, kiedy nasi rodzice uzgodnili, że się pobierzemy. Na początku mi się nie podobał, był mały i drobny jak Umina. Ale z czasem pokochałam go do szaleństwa. Kto by kiedyś powiedział, że tak będzie.

Fonseca wahał się, czy zadać pytanie, które chodziło mu po głowie i nie dawało spokoju, a mianowicie: jak doszło do zaręczyn Uminy i Carvajala. Uznał jednak, że byłoby to niegrzeczne z jego strony. Uyán musiała mimo wszystko coś wyczuć, bo sama powiedziała:

– Pewnie się pan zastanawia, jak moja córka mogła się zaręczyć z takim niegodziwcem...

– Ależ nie! Nie chcę być niedyskretny – skłamał.

– Wie pan, ja myślę, że ten człowiek chciał przejąć nasze ziemie w Yucay... Nie ma od nich lepszych w całym Peru. Dużo dla mnie znaczą i zawsze należały do mojej rodziny. Wie pan, kim był Huayna Cápac?

– Ostatnim władcą Inków przed nadejściem Hiszpanów.

Popatrzyła na niego mile zaskoczona i kontynuowała:

– Te ziemie pochodzą wprost od niego. Mój mąż włożył w nie wszystkie swoje pieniądze, chociaż mógłby zarobić dużo więcej, gdyby posłuchał rad Zúñigi. Chcieliśmy zatrzymać te ziemie dla naszych dzieci.

Tu przerwała, żeby opanować żal, jaki ogarnął ją na wspomnienie syna pierworodnego, Manuela, który zginął z ręki Carvajala, jak się zdaje. Zanim Sebastián zdążył zareagować, powiedziała:

– Teraz te ziemie należą do Uminy. Ja mam swoje lata. Chcę umrzeć tam, gdzie się urodziłam, i spocząć w grobie obok męża.

Byliśmy tacy szczęśliwi! Pragnę wszystkiego co najlepsze dla mojej córki. Tu czy gdzie indziej. Zasluguje na to. Bardzo się starała. Nie było

jej w życiu łatwo. Mogłoby się здаwać, że tak, bo jest ładna, energiczna i uparta.

– Mnie tego pani nie musi mówić!

– Życie jej nie oszczędzało. Wiele zdobyła siłą woli. Zaraz po urodzeniu nikt nie dałby reala, że przeżyje dwa dni. A jednak! Potem baliśmy się, czy przeżyje tydzień, rok... Minał jeden, drugi i trzeci. A ona żyła. Teraz ma dwadzieścia pięć lat.

– Kobieta z żelaza! Na statku i w Limie to ona o mnie dbała – powiedział Fonseca.

– Tylko tak się wydaje, że z żelaza, bo jest uparta, ale... – Uyán nie dokończyła, widząc, że córka już wraca z trzema służącymi, którzy niosą desery.

Ustawily na środku stołu owoce czirimoja, figi nadziewane orzechami, marcepany, ciastka z Oropesy... A do tego nalewki z owoców dojrzewających w dolinie Yucay.

Przyszła kolej na Uminę i Sebastiáną. Opowiedzieli o swoich odkryciach i planach – że zamierzają zajrzeć do klasztoru Świętego Dominika i odszukać grób Sírax, gdzie powinna być trzecia, oprócz *Kroniki* i czerwonego kipu, wskazówka, jak dotrzeć do zaginionego miasta Inków.

– Tego się obawiałam – powiedziała zaszępiona matka. – Vilcabamba to wielkie słowo. Nie mogliście wybrać gorszego momentu.

– Chodzi ci o egzekucję Farfána de los Godos? – zapytała córka.

– To jedno – odparła matka. – Sytuacja jest bardzo wybuchowa i ta egzekucja ma, w zamyśle władz, zapobiec nowym buntom. I ukrócić aspiracje takich osób jak José Gabriel Condorcanqui. Wie pan, o kim mówię?

– Zna go – poinformowała ją Umina.

– Tak – potwierdził Sebastián. – Spotkaliśmy się w Abancay. Pan Condorcanqui wyciągnął mnie z pułapki zastawionej przez Carvajala.

– Słyszałam, co się stało podczas Yahuar Fiesta – wtrąciła Uyán. – Nie wiedziałam, że pan tam był. Osobiście nie znam tego kacyka, ale podobno każe się nazywać Túpac Amaru. To zastanawiające.

– O tym też wiem – powiedział Sebastián. – Znam szczegóły od audytora sądu limskiego, którego spotkałem u don Luisa de Zúñigi. Opowiedział nam o procesach, które Condorcanqui wytaczał, żeby uznano go za jedyne go spadkobiercę Inków z Vilcabamby.

– To miałam na myśli, mówiąc o problemach, jakie się pojawią, kiedy zaczniecie szukać tego miasta. Skoro Condorcanqui żąda przyznania mu prawa do tronu w Vilcabambie, to nie jest dobry moment, aby mu wchodzić w drogę. Lepiej nie okazywać zainteresowania tymi sprawami. Pewni ludzie usiłowali wplątać go w spisek Farfána de los Godos, chociaż niczego nie udowodniono.

– A co z klasztorem Świętego Dominika? – spytała Umina.

– W żadnym wypadku nie uda wam się zejść do krypty – odpowiedziała matka. – Mnisi mają dość poszukiwaczy skarbu Inków rozgrzebujących groby. Nie dość, że was nie wpuszczą, to jeszcze powiadomią władze.

– Dużo ludzi wie, że tam są groby królewskiej rodziny Inków. Tam spoczywają: Túpac Amaru, Sayri Túpac i Beatriz Clara Coya.

– Wiadomo również, że klasztor wybudowano na ruinach Coricanchy – dorzuciła Uyán. – A ta Świątynia Słońca była najświętszym miejscem Cuzco i całego imperium. Wciąż wybuchają wśród Indian bunt, więc władze hiszpańskie nie dopuszczą do żadnych nowych odkryć dotyczących inkaskich dynastii. Poinformowały dominikanów, że nikomu nie wolno grzebać w tych grobach. Idąc tam, narażacie się niepotrzebnie na przykrości.

– Nie mamy innego wyjścia – odparła Umina. I zwracając się do Sebastiana, powiedziała: – Pokaż matce *Kronikę*, czerwone kipu i te trzy strony poświęcone *huacas*.

Inżynier poprosił o pozwolenie wstania od stołu i po chwili przyniósł te kilka rzeczy, które wręczył Uyán.

– Przyjrzyj się temu – powiedziała dziewczyna. – Zdobycie tych dokumentów dużo kosztowało Sebastiana. Ale one są nic niewarte bez tej wskazówki ukrytej w grobie Sírax. Musimy ją odnaleźć.

Uyán długo wpatrywała się, nie bez trwogi, w te sznurki z węzłkami.

– Znasz kogoś, kto potrafi odczytać to kipu – nie ustępowała córka.

– To bardzo skomplikowane. Potrzebny wam prawdziwy *quipucamayo*.

Znam takiego jednego. Jeśli on sobie nie poradzi, to nikt wam nie pomoże.

49 Klasztor Świętego Dominika

Nazajutrz rano Umina z Sebastianem postanowili zajrzeć do klasztoru Świętego Dominika. Ona ubrała się zwyczajnie, jak Indianka, a on z powodzeniem mógł uchodzić za jasnego Metysa. Te dwie kasty dominowały w liczącym ponad czterdzieści tysięcy mieszkańców Cuzco. W przeciwieństwie do Limy, miasta białych, Cuzco było indiańskie i wszędzie słyszało się język keczua.

Zanim wyszli z domu, postarali się zebrać jak najwięcej informacji o dominikanach. Ten klasztor nie zaliczał się do najbogatszych w mieście, podobnie jak kościół przyklasztorny. Znajdowały się zbyt daleko od centrum i ważne osobistości zaglądały tu od wielkiego dzwonu. Dawniej zgromadzenie liczyło pół setki zakonników, teraz zaledwie trzydziestu. Mieli co prawda nowicjat oraz lektorat, ale wykładali głównie filozofię i teologię, koncentrując się na ripostach w rozprawach literackich, w których brały udział wszystkie zakony.

Niechętnie pogodzili się z tym, że mają parafię skromniejszą, niżby chcieli, a parafianie nie należą do elity miasta. Pozwolili mężczyznom brać wodę z klasztoru. Studnia znajdowała się na wirydarzu. Wybudowana w czasach Inków zachowała się w stanie nienaruszonym. Słynęła z najlepszej wody w całym Cuzco; pod tym względem dorównywała jej tylko studnia przyszpitalna. W normalnych warunkach służyła wyłącznie zakonnikom, ale teraz, oprócz okolicznych mieszkańców, korzystali z niej również

chorzy z przytułku szpitalnego, w którym trwały prace budowlane i na pewien czas zamknięto tamtejsze źródło wody. Sebastián zabrał ze sobą bukłak, żeby mieć pretekst do wejścia na teren klasztoru.

Oglądając dawną stolicę Inków, Fonseca podziwiał wyrefinowanie tej cywilizacji. Cuzco było jednym z nielicznych miast, które zasługiwało na miano metropolii: zaspokajało swoje własne potrzeby i utrzymywało łączność z całym imperium. Monumentalna architektura robiła niezwykle wrażenie. W porównaniu z Cuzco Lima wyglądała jak ogromna dekoracja stiukowa, a tu wąską perspektywę ulic flankowały grube mury z idealnie ciosanego kamienia niepostrzeżenie przechodzące w ciemną skarpe.

Parwienuszkowskie budowle kolonialne z byle jakich ciosów nie wytrzymały porównania z inkaskimi. Niemniej jednak Cuzco miało też coś z najstarszych, szacownych miast hiszpańskich. Najwięcej z Toledo, mniej z miast andaluzyjskich, gdzie dominowały drewniane balkony z ażurowymi okiennicami. Stara kultura inkaska zawarła w Cuzco rozejm z kulturą hiszpańską, żeby przyjrzeć się sobie nawzajem.

Zbudowane na zboczu góry miało strome ulice, którymi płynęły w dół ścieki, niczym rwący potok, porywając po drodze wszelkie nieczystości. A było tego niemało: według Uminy dzień w dzień dwa tysiące zwierząt zaprzęgowych i około tysiąca kupców zjawiało się w Cuzco w celach handlowych.

Dziewczyna była szczęśliwa, że może pokazać Sebastiánowi swoje miasto.

– Mój ojciec pochodził z Limy – mówiła – a matka, sam widziałeś, jest typową mieszkanką Cuzco. Mimo to przeżyli ze sobą zgodnie tyle lat. Szkoda, że Lima i Cuzco odwracają się do siebie plecami. Jeżeli ktoś od nas wybiera się na dół na wybrzeże, to znaczy, że ma ważną sprawę sądową, bo tego nie robi się dla przyjemności. Z kolei tamci przybywają tu głównie w interesach. Droga pod górę nie jest łatwa. No i nie każdy dobrze znosi te wysokości.

Byli na Plaza de Armas, w połowie tego klina ziemi, która obsunęła się ze wzgórza zwieńczonego potężną twierdzą Sacsahuamán widoczną z

każdego miejsca w mieście.

– W czasach inkaskich były tu świątynie i pałace dostojników, urządano obchody najważniejszych świąt – wyjaśniała Umina.

Stali przed niezgrabną, ponurą katedrą. Dużo bardziej elegancko wyglądał kościół Towarzystwa Jezusowego po drugiej stronie placu. Był świadectwem minionej potęgi zakonu. Jezuici przybyli do Cuzco jako ostatni, jednak zdobyli pod budowę jedno z najlepszych miejsc w mieście: tereny dawnego Amaru Cancha, pałacu Huayny Cápaca.

– Szkoda, że po wygnaniu jezuitów zamieniono ten kościół na koszary wojskowe.

Minęli Plaza de Armas i szli dalej, a Umina z ferworem wyjaśniała Sebastiánowi, dlaczego Cuzco było dla Inków pępkiem świata.

– Wokół centrum znajduje się dwanaście dzielnic. W każdej z nich osiedlała się grupa ludzi pochodzących z podbitych terenów. Ich status w Cuzco odpowiadał randze danej prowincji w życiu imperium.

– A więc stolica była swoistą makietą imperium.

– Coś w tym rodzaju. Pójdziemy teraz na koniec tego klina ziemi, gdzie zbiegają się dwie rzeki, tworząc ogon pумы. Tam była Coricancha – powiedziała Metyska, pokazując na klasztor i kościół Świętego Dominika.

– Co znaczy Coricancha?

– Złota zagroda. Podobno Hiszpanie wywieźli stąd ponad pięćset tysięcy złotych płyt o wadze od pięciu do dwunastu funtów każda.

Klasztor wznosił się na lewym brzegu rzeki Huatanay, wysokim i stromym. Droga prowadziła przez zaniedbane i zarośnięte chaszczami tarasy, kilku uzbrojonych w kosy mężczyzn próbowało coś z tym zrobić. Umina zwróciła uwagę Sebastiáną na duże brezentowe namioty złożone na uboczu.

– Nie podoba mi się to. Będą rozbijać obóz.

– Często tak bywa?

– Nie, ale w mieście jest pełno wojska. Muszą gdzieś kwaterować.

Idąc dalej, podziwiali balkon oparty na murze inkaskim w kształcie koła: kunsztownie ciosane kamienie ustawione były ukośnie i wzmocnione

przyporą, co zabezpieczało taką ścianę przed zawaleniem w razie trzęsienia ziemi.

Umina nie mogła wejść do klasztoru, więc zatrzymała się w kościele, gdzie trwało akurat nabożeństwo żałobne. Natomiast Sebastiána wpuszczono za furtę do krużganku, żeby nappełnił bukłak wodą. Przez cały czas tej krótkiej wizyty nie odstępował go ani na krok nieufny brat furtian, więc niewiele mógł zobaczyć poza studnią, z której czerpał wodę. Wykuta z jednej bryły i obrobiona w kształcie ośmiokąta wewnątrz miała miedzianą rurę z wodotryskiem, która prawdopodobnie odchodziła od jakiegoś podziemnego kanału. Zdążył jeszcze rzucić okiem na główne mury z hiszpańskich ciosów nieudolnie naśladowujących inkaskie kamieniarstwo. Nie mógł wyjść poza strefę patia. Nawet nie próbował, żeby nie budzić podejrzeń. Najważniejsze, że sporządził kompozycję tego miejsca.

Kiedy wrócił do Uminy, która czekała na niego w kościele, zauważył zmianę w jej zachowaniu. Była mocno zdenerwowana. Ukradkiem dawała mu znaki, żeby odsunął się od drzwi i natychmiast do niej podszedł.

Tak też uczynił, choć wydawało mu się niestosowne mieszać się między żałobników, zwłaszcza że msza dobiegała końca.

Wśród zgromadzonych dominowali Indianie. Może dlatego na zewnątrz ustawił się patrol milicji wojskowej z zamiarem kontrolowania wychodzących. To było powodem zdenerwowania dziewczyny.

– Trzeba będzie przejść między żołnierzami – powiedziała. – Wiesz, kto nimi dowodzi?

Sebastián spojrział w kierunku, który dyskretnie mu wskazała, i zobaczył znajome sylwetki.

– Carvajal i Montilla!

Markiz i manufakturzysta burzliwie o czymś dyskutowali, nie zsiadając z koni. Zdaje się, że nie było między nimi zgody co do sposobu przeprowadzenia akcji kontrolnej.

Sebastián i Umina popatrzyli na siebie z niepokojem.

– A więc to oni rozbijają obóz w pobliżu kościoła – powiedziała.

Ksiądz zakończył mszę przy głównym ołtarzu i orszak pogrzebowy

ruszył do wyjścia. Brat dominikanin poganiał opieszających, gdyż chciał zamknąć kościół. Kierował wszystkich w stronę drzwi, przy których stali Carvajal i Montilla w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy milicji. Kościół powoli pustoszał.

W tej niebezpiecznej dla nich sytuacji Umina zrobiła coś zaskakującego. Zaczepiła małżeństwo Indian uczestniczących w pogrzebie i zaczęła z nimi rozmawiać. Sebastián przyglądał się jej ze zdziwieniem i lękiem, zwłaszcza że byli coraz bliżej drzwi. Nie mniej zdziwiona i załęczniona była para tubylców, którym Metyska coś tłumaczyła w ich języku.

W pewnym momencie wsunęła im do ręki kilka monet. To poskutkowało bardziej niż słowa, bo natychmiast ściągnęli z głowy żałobne nakrycia i wręczyli je dziewczynie.

– Zakładaj to, szybko – powiedziała do Sebastiána, podając mu jedno nakrycie głowy, a sama włożyła drugie.

Wzięła od Indianina zapaloną świecę, dała ją inżynierowi i powiedziała szeptem:

– Pochyl głowę, rozpleć warkocz, zarzuć włosy na twarz i rób to samo co ja.

Metyska chwyciła go za ramię i wciągnęła do orszaku krewnych odprowadzających zmarłego w ostatnią drogę. Kiedy znaleźli się w tłumie, wybuchnęła tak wielkim płaczem, że można ją było wziąć za wdowę.

Sebastián nie mógł się nadziwić Uminie, że jest zdolna do takich ekscesów zarówno w kościele, jak i w konfesjonale, ale robił, co mu kazała, i próbował ją naśladować, choć nie bardzo mu to wychodziło.

Przeszli przez drzwi razem z grupą Indianek, które rwały sobie włosy z głowy, płakały rzewnymi łzami, wydając przy tym tak straszliwe jęki, że żal było patrzeć. Towarzyszący im mężczyźni szli pogrążeni w bólu, z pochylonymi głowami, trzymając w rękach zapalone świece.

Kroczyli dalej za trumną, aż stracili z oczu klasztor i znaleźli się nad rzeką. Mężczyźni weszli na most, żeby przenieść zwłoki na drugą stronę, podczas gdy większość kobiet została na brzegu. Nagle przestały płakać, otarły łzy i otoczyły ubranego na czarno osobnika, który wspiał się na

balustradę. Podchodziły do niego kolejno, brały po jednej monecie i odchodziły, plotkując, roześmiane.

– Nic z tego nie rozumiem. Co tu się dzieje? – dziwił się Sebastián.

– Wracają pod szpital, żeby poczekać na nowy pogrzeb i opłakiwać kolejnego zmarłego równie żarliwie. To zawodowe płaczki.

– A my? Co teraz zrobimy?

– Nam wystarczy na dziś ten jeden pogrzeb. Przejdziemy na drugą stronę rzeki i wrócimy do domu okrężną drogą. Nie uda nam się wejść do tej krypty. Zresztą nie mam ochoty natknąć się na Carvajala. Boję się, że on i Montilla już wymyślili, jak się tam dostać. Przegraliśmy. Carvajal na pewno uzyskał zgodę na ekshumację, a my zostaliśmy z niczym.

50 Tahuantinsuyu

– Przyszedł *quipucamayo*.

Umina zdziwiła się, słysząc te słowa z ust matki, kiedy wróciła z Sebastianem do Domu Węzów.

Bo ona знаła tego człowieka. Chociaż nie od tej strony. Nazywał się Chimpu i był krzepkim jeszcze starcem o żywym spojrzeniu i niezwykle jasnym umyśle. Jego sposób bycia i rozumowania świadczył o wykształceniu i wiedzy nie tylko na temat dawnych Inków czy zwyczajów tego kraju. Nowinki wieku oświecenia znał równie dobrze jak każdy Europejczyk.

Uyán przedstawiła go Fonsece:

– Chimpu jest złotnikiem i antykwariuszem. To on wyszukał dla mnie wiele z tych rzeczy – wyjaśniła, wskazując na dywany i meble stanowiące ozdobę domu.

– Obejrzymy to kipu – powiedział starzec. – Podobno to coś nadzwyczajnego.

Umina poprosiła Sebastiana, żeby je przyniósł. Widząc, że inżynier się ociąga, Chimpu zadał mu pytanie nie bez złośliwego błysku w oczach:

- Dziwi pana, że nie mam pióropusza i sznurów koralii?
- Cóż znowu! Proszę tak nie myśleć – usprawiedliwiał się Fonseca.
- Czuję, że byłby pan bardziej usatysfakcjonowany, gdybym wyglądał

tak jak mój ojciec. To był prawdziwy *quipucamayo*, strażnik wspomnień na starą modłę.

– Bardzo przepraszam, jeśli dałem panu powód do tej wypowiedzi. Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak można pisać węzełkami na sznurkach.

– Starożytni pisali na glinianych tabliczkach, na kamieniu, zwojach roślinnych, skórach zwierzęcych i na papierze. Dlaczego mielibyśmy nie pisać na sznurkach? Materiał łatwy do przenoszenia, wytrzymały, lekki, wytwarzany z surowców, które mamy u siebie, jak bawełna i wełna. Nie potrzeba żadnych dodatkowych narzędzi: rylców, piór czy atramentu. Tylko ręce. I, co najważniejsze, materiał ten znakomicie współgra z sednem inkaskiego imperium, jest wprost stworzony dla jego ludzi. Proszę nie zapominać, że nasz język nazywa się „keczua”, co znaczy „sznur”. Istnieje jakby znak równości między mówieniem a tkaniem.

– A więc jeśli ktoś w krańcowej sytuacji pragnął przekazać coś wyjątkowego, zrobiłby to za pomocą kipu?

– Bez wątplenia – odparł Chimpu. – Imperium inkaskie, z milionami mieszkańców rozsiansych w niedostępnych miejscach, musiało mieć skuteczny system rejestrowania, znakomitą organizację. Zapewniało swym poddanym środki do życia w zamian za bezwzględne posłuszeństwo: przebywanie w określonym miejscu, uprawianie konkretnego pola, wysiew danej rośliny w oznaczonym terminie. Coś za coś. Bez pozwolenia władcy nawet ptak nie przeleciał i liść nie drgnął.

Osiągnięcie takiego stanu – wyjaśniał dalej Chimpu – wymagało wiedzy o bieżących i przyszłych potrzebach królestwa. Wiedzę tę zapisywano w kipu. Dokonując inwentaryzacji jakiegoś miejsca, *quipucamayo* musiał zachować jedną kopię dla siebie, a drugą wysłać zwierzchnikom. Te nici, zawierające codzienną porcję informacji o całym kraju, składały się na dywan nieustannie odnawiany.

Ale to nie wszystko. Wraz z umiejętnością tkania mieszkańcom wpajano od dziecka poczucie ładu i hierarchii przestrzeni, normy postępowania, wartości i zasady moralne. Przestrzegając sposobów przeplatania się jednej

nitki z drugą, poznawali zasadę równowagi przeciwieństw, tak ważną w każdej dziedzinie życia. Kipu wyrażało treści wspólnotowe dużo bogatsze niż te zawarte w linearnym piśmie o charakterze konkluzywnym. Sprzyjało otwartości, gromadnemu rozprawianiu o przeróżnych sprawach, podziałowi zadań i dóbr, słowem: szerzyło i umacniało zasady współżycia społecznego.

To miał na celu Huayna Cápac, kiedy nakazał wykuć złoty łańcuch z okazji narodzin swego syna Huáscara. Wcześniej mężczyźni i kobiety tańczyli, ustawiając się po obu stronach zwykłej liny. Łańcuch ze złota, metalu uważanego za pot Słońca, nadawał temu wyższą rangę. Pojawiały się różne techniki splotów, na przykład w mostach wiszących, których konstrukcja opierała się na podobnej zasadzie jak kipu. Albo rozgałęzienia kanałów nawadniających i dróg. W ten oto sposób te posuplane sznurki stały się kręgosłupem wspólnoty.

– Tragedia konkwisty polegała na niezrozumieniu prawdziwej roli kipu – podkreślał *quipucamayo*.

– Chodzi panu o ten zakaz?

– Chodzi mi o to, że od początku pismo stało się przeszkodą w kontaktach między Inkami i Hiszpanami. Zna pan historię pierwszego spotkania Pizarra z Atahualpą w Cajamarce w tysiąc pięćset trzydziestym drugim roku?

– Nie bardzo.

– Pewien dominikanin ze świty Pizarra namawiał Indian do uznania władzy króla Hiszpanii, któremu, jak twierdził, Bóg przyznał prawo do tych ziem. Atahualpą zdziwił się, że Bóg miał takie plany wobec jego królestwa, i zapytał mnicha, gdzie to jest stwierdzone. Dominikanin podał mu Biblię, zapewniając, że zawiera Słowo Boże. Inka podniósł księgę do ucha, żeby posłuchać, a że nic nie usłyszał, rzucił ją na ziemię, sądząc, że mnich z niego zakpił. Hiszpanie uznali to za profanację i natarli na Indian. Zrobili okrutną rzeź i wzięli w niewolę ich króla.

Fonseca chciał zareplikować, lecz Chimpu dał mu znak, że jeszcze nie skończył:

– Atahualpa nie był głupi i szybko pojął znaczenie tego nowego systemu rejestrowania, który przynieśli najeźdźcy. Poprosił jednego z żołnierzy Pizarra, żeby napisał mu na paznokciu imię ichniego Boga. I pokazywał napis różnym Hiszpanom. Ku jego zdziwieniu wszyscy odczytywali i wymawiali to słowo tak samo. Tylko Francisco Pizarro nic nie powiedział. Atahualpa wydedukował, że szef konkwistadorów nie umie czytać, i przestał go cenić, uznawszy, że nie dorównuje on swym żołnierzom. Pizarro domyślił się tego i nigdy mu nie wybaczył. Niektórzy twierdzą, że to było prawdziwym powodem skazania Atahualpy na śmierć.

– Rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć – przyznał Sebastián. – Nie będę obstawał przy piśmie. Z pewnością są inne sposoby rejestrowania. Ale ciekawi mnie, co takiego inwentaryzowali Indianie za pomocą kipu.

– Wszystko: zawartość magazynów, daniny, zwierzęta, ziemie, mieszkańców każdego domu... Wszystko.

Inżynier poruszył sceptycznie głową:

– Nie do wiary!

Chimpu wyjął swoje sznurki, z którymi się nie rozstawał, podobnie jak skryba nie rozstaje się z przyborami do pisania, i zaczął zaplatać kipu, żeby pokazać Sebastiánowi, na czym to polega.

– Załóżmy, że chodzi o spis ludności w pewnej gminie, którą oznacza ten najgrubszy sznur. Najpierw umieszczamy znak wskazujący na nazwę miejscowości.

Na poparcie swych słów rozciągnął na stole dość gruby sznur.

– Do głównego sznura przyczepiamy prostopadle szereg cieńszych, oznaczających domy i rodziny przypadające na każdy dom. Dla ułatwienia zastosuję sznurki różnokolorowe. Czerwony będzie reprezentował dorosłych płci męskiej... Proszę bardzo. Robię supełki. Jeden na każdego dorosłego mężczyznę w danej rodzinie. Niebieski sznurek przeznaczymy dla kobiet w różnych przedziałach wiekowych, o czym mówią te kolejne supełki.

– Takie spisy robiono co roku?

– Raz na dwa lata. Jedno kipu zawierało dane z dwóch ostatnich lat. Proszę tu spojrzeć: mam gruby sznur poziomy i szereg cieńszych, pionowych, połączonych z tym pierwszym. Po jednym na każdego członka rodziny.

– Wygląda to jak kiść winogron.

– Właśnie tak. Można dodać sznurki w innych kolorach na oznaczenie zapasów kukurydzy lub ziemniaków w wioskowym spichlerzu liczebności zwierząt, liczby mężczyzn zdolnych do walki i podlegających mobilizacji w razie wojny. Ilu wdowom trzeba pomóc zaorać pole, bo same nie dadzą rady. Z każdą informacją postępuje się tak samo. System jest bardzo przydatny i praktyczny. Trzeba tylko przechowywać kipu w odpowiednich warunkach.

– Owszem, to wydaje się możliwe – przyznał Sebastián. – Podobnie działają liczydła. Ale czy można w ten sposób pisać?

– Można – uśmiechnął się Chimpu ubawiony sceptycyzmem inżyniera. – Można zapisywać pieśni, opowiadania, zbiory praw. Istnieją ustalone formuły, takie jak kalendarze, drzewo genealogiczne, katalogi oraz inwentarze. Na przykład relacja ze spotkania przywódców zawiera zwykle listę zaproszonych gości wraz ze swiątą, opis podawanych dań, wykaz prezentów, przemówienia każdej ze stron itd. Te formuły i powtórzenia stanowią szkielet porównywalny ze szkieletem węzłów i sznurów ułatwiających rejestrację w kipu. Potem są recytowane przez ekspertów, którzy przyozdabiają i uatrakcyjniają podstawowy zapis dla dobra słuchaczy.

– Myślę, że ten sposób gromadzenia informacji wynika z bardzo precyzyjnej wizji świata, bo trzeba wszystko spamiętać w określonym porządku.

– Tak jest. Ale to bardzo przydatne, bo taki schemat, stając się sposobem myślenia, służy wielorakim celom, jak podział terytorialny kraju, kwestie rodowodowe, nawadnianie, prace rolne... To tak jak z alfabetem, który, raz wyuczony w określonym porządku, pozwala klasyfikować dokumenty pisane.

W tym momencie wtrąciła się Umina, żeby im przypomnieć:

– Może zechcieliby panowie kontynuować tę rozmowę na przykładzie czerwonego kipu.

Nie do końca przekonany Sebastián przyniósł je wreszcie i pokazał Chimpu. *Quipucamay* przeprowadził dokładne badania, ostrożnie przesuwając kipu między palcami.

– Zrobione z wełny alpaki.

– To takie dziwne?

– Bardzo. Najczęściej kipu robi się z bawełny lub ze zwykłej wełny.

Alpaka daje bardzo delikatną, połyskliwą nitkę.

– Pochodzi z Vilcabamby – stwierdziła Umina.

– Skąd ta pewność? – zapytał Chimu.

Umina pokazała mu lustro z obsydianu, które należało do Sírax.

– Ma identyczny węzeł na srebrnej ramce. To taki znak firmowy Vilcabamby.

Chimu obrzucił lustro fachowym spojrzeniem, co nie uszło uwagi Sebastiana ani Uminy. Zauważyli również, że ponownie wziął do ręki posuplane sznurki, tym razem z największą ostrożnością, bo już wiedział, że to królewskie kipu.

Starzec rozpostarł je na dużym stole w taki sposób, że główny, najgrubszy sznurek utworzył koło. Potem rozprostowywał boczne sznurki, jakby to były promienie słońca. I policzył je.

– Dokładnie czterdzieści jeden.

Następnie zabrał się do liczenia węzełków.

– Powinno być ich w sumie trzysta dwadzieścia osiem na wszystkich sznurkach.

– Skąd pan wie? – zapytał Sebastián.

– Bo to wyjątkowe kipu. Zawiera *ceques* i *huacas*: największy sekret całego imperium.

– Umina wyjaśniła mi, że mianem *huacas* określa się naturalne formy terenu czczone przez dawnych Indian. Ale nie wiem, co znaczy *ceques* – powiedział Sebastián.

– Coś w rodzaju osi współrzędnych. *Ceques* znaczy „promienie”. Z

Cuzco, a dokładniej z Coricanchy, Świątyni Słońca pogrzebanej pod murami klasztoru Świętego Dominika, wychodziły takie wyimaginowane linie. I rozciągały się na całe terytorium niczym szprychy koła, przeplatając się z *huacas*. Tworzyły wielką sieć, taką pajęczynę, pokrywającą Cztery Części Tahuantinsuyu.

– *Ceques* przechodziły przez doliny, rzeki i góry, zamieniając całe terytorium Inków w gigantyczne kipu rozpostarte na ziemi – dodała Umina.

– Właśnie tak. *Huacas* to jakby węzłki na sznurkach kipu utworzonego z *ceques*. Taka struktura wynikała z potrzeb imperium inkaskiego. Początkowo Inkowie stanowili mniejszość. W miarę dokonywania nowych podbojów i poszerzania swego terytorium wokół miasta musieli znaleźć sposób na zintegrowanie podbitej ludności. Zwycięzonym pozwalano zostać tam, gdzie żyli, zachować własne *huacas* z mumiami przodków. Ale jednocześnie musieli uznać nowy ład, ustanowiony przez zwycięzców, i nawiązać więź z Cuzco, a konkretnie z wielką *huaca*, czyli świątynią, w której przebywał Punchao, wschodzące słońce.

– Ta więź materializowała się w *ceques*.

– Chodziło o potwierdzenie, że wszyscy wyznają kult Słońca promieniującego z Coricanchy. Inka, syn Słońca, umacniał te więzi, nadając córkom królów i wodzów podbitych plemion status swych żon. Mamy tu do czynienia z *Yahuar quipu*, „krwawym węzłem”, gdyż odzwierciedla również związki genealogiczne, które emanowały z władcy imperium rządzącego w Cuzco i spowinowaconego z klanami rozsianymi po całym terytorium. Tę politykę związków i lojalności widać w kształcie miasta podzielonego na dzielnice. Jest to jakby szkic całego imperium, poselstwo ludu żyjącego obok pałacu Inki i Świątyni Słońca.

– Pojąłem to dzięki Uminie – powiedział Fonseca.

– Podobnie jak Tahuantinsuyu Cuzco jest podzielone na cztery dystrykty za pomocą dróg prowadzących do Czterech Części. Część północno-zachodnia nazywa się Chinchaysuyu; tam mieściła się druga stolica imperium Quito. Południowo-wschodnia, Cuntisuyu, obejmowała nieduży region aż po wybrzeże. Rozciągała się do jeziora Titicaca i nosiła nazwę Coyasuyu. Część północno-wschodnia, czyli dżungla, to Antisuyu.

– To znaczy, że kiedy przybyli tu hiszpańscy konkwistadorzy ponad dwa wieki temu, *ceques* i *huacas* miały taki sam kształt jak kipu ułożone teraz przez pana na stole.

– Tak. Trzysta dwadzieścia osiem węzłków zawiązanych na tych sznurkach to główne *huacas*, najważniejsze święte miejsca Indian, które stanowiły zarazem punkty orientacyjne w terenie. Najczęściej były to jakieś wzniesienia czy inne osobliwości tego terenu: szczyty górskie, skały o kształtach łatwych do rozpoznania, jaskinie i źródła, z których, jak sądzili Indianie, wyłonili się przodkowie. Hiszpańscy misjonarze i tępiciele bałwochwalstwa zniszczyli wiele z tych miejsc kultu indiańskiego. Te, które pozostały, splądrowano w poszukiwaniu cennych darów, które kiedyś tam składano.

– A więc to kipu można czytać jak mapę.

– Oczywiście. Pieczę nad tymi świętymi miejscami powierzono gminom, aby utrzymać prawa do ziemi i nawadniania. Pewnie pan wie, ile trudu wymaga budowa tarasów i kanałów nawadniających. A ponieważ w *huacas* czczono mumie przodków, miejsca te przechodziły na własność poszczególnych klanów.

Starzec przebiegał palcami po sznurkach i węzłkach jak ktoś, kto modli się na różańcu, recytując szereg słów w keczua.

– Gdzie jest lista *ceques* i *huacas* spisana przez Diega de Acuña pod dyktando Sírax? – zapytała Umina Sebastiána.

– Istnieje taka lista? – zdziwił się Chimpu. – Skąd ją macie?

– Z archiwum jezuitów w Limie – wyjaśnił inżynier, udając się po trzy strony *Kroniki*.

Kiedy wrócił, *quipucamayo* nadal recytował nazwy w keczua, przesuwając między palcami sznurki i węzłki. Umina zaznaczała je na papierze i okazało się, że wszystko dokładnie pasuje. Sebastián nie mógł nie przyznać im racji.

Nareszcie pojął w pełni sens poszukiwań ojca, który kazał skonstruować biurko-detektyw i napisał przed śmiercią słowo: KIPU. To był ten klucz do zagadki łączącej „tekstylią” sznurów i węzłów z „tekstem” *Kroniki* i z

formami „tektonicznymi”: *ceques* i *huacas* w terenie, budowle architektoniczne i zamieszkujących je ludzi.

Czerwone kipu to jednocześnie mapa i drzewo genealogiczne. Podwójna współrzędna przestrzenno-czasowa. Geografia i historia. Węzeł krwi.

Umina przywołała go do rzeczywistości.

– W najlepszym wypadku jest to mapa używana w epoce Vilcabamby i *Kroniki* Diega de Acuña.

– To niemało.

– Tak, ale nie wiemy, jak zaznaczono na niej kierunki, czy zlokalizujemy te miejsca w terenie, którą drogą pójść, aby dojść do zaginionego miasta.

– Obawiam się, że odpowiedź na te pytania znajduje się w grobie Sírax, w krypcie Świętego Dominika – stwierdził Sebastián.

– Ale jak tam wejść? Carvajal i Montilla rozbili obóz koło klasztoru i nie przepuszczą nas.

W tym momencie odezwała się Uyán, która dotąd obojętnie przysłuchiwała się rozmowie.

– Ja wiem jak – powiedziała. – Nie będzie łatwo, ale warto spróbować.

51 Spory o wodę

Matka Uminy opowiedziała im historię jednego ze swych przodków Carlosa Inki, wnuka brata Quispi Quipu, tej staruszki, która pojawia się w *Kronice* i którą Diego de Acuña ujrzał, gdy wychodziła z Domu Wężów. Carlos był jednym z niewielu szlachciców inkaskich ożenionych z Hiszpanką. Nazywała się María Esquivel i niedługo po ślubie zaczęła mu robić wyrzuty, że taki szlachcic, a żyje prawie jak nędzarz. Mąż nie mógł już tego dłużej znieść i pewnego dnia powiedział do żony:

– Chodź ze mną, a zobaczysz, że mam więcej skarbów niż sam król Hiszpanii.

Zawiązał jej oczy, wziął za rękę i poprowadził nad jakąś rzekę. Brodząc po kolana w wodzie, doszli do grotty i po przesunięciu wielkiego ciężkiego kamienia znaleźli się w podziemiach miasta. Zanim weszli w ten tunel, usłyszeli bicie zegara na katedrze. W tunelu pojawiły się inne, bardziej niepokojące dźwięki. Ich kroki odbijały się echem od sklepienia wysoko ponad ich głowami, skąd kapiała woda, dopóki nie zagłuszyło ich nieludzkie wycie ogromnej, zdawało się, bestii. Miejsce to napawało strachem i szcękając zębami, poprosiła męża, aby jak najszybciej wrócili tam, skąd przyszli.

Niebezpieczeństwo minęło lub tylko oddaliło się, kiedy skręcili w boczny korytarz i zeszli na dół po kamiennych schodach. Tam zdjął jej opaskę

z oczu. Kiedy przyzwyczała wzrok do słabego światła, nie mogła uwierzyć w to, co ujrzała. Otaczały ich niezwykle skarby. W niszach ściennych stały posągi inkaskich królów z najdelikatniejszego złota. Jak daleko sięgnęła wzrokiem, wszędzie widziała przedmioty z cennego kruszcu. Maria Esquivel nabrała pewności, że ma przed sobą największe skarby świata.

– Chciwa kobieta doniosła na męża hiszpańskim władzom. Ale nic z tego nie miała. Nieco wcześniej Carlos Inka uciekł z miasta i schronił się w Vilcabambie. Zabrał ze sobą swój sekret.

– Ależ matko, to tylko legenda – zaprotestowała Umina.

– Też tak myślałam, moja droga. Też tak myślałam, dopóki nie trafiłam na wiadomość o starym sporze.

Uyán podeszła do komódki, wyjęła pozółtkłe papiery i wręczyła je córce. Były to dokumenty z roku 1534, kiedy Hiszpanie przeprowadzili pierwszy podział świeżo podbitego Cuzco. Wkrótce potem doszło do sporu między mieszkańcami i zakonem kaznodziejów z klasztoru pod wezwaniem Świętego Dominika. Spór dotyczył podziemnego kanału nawadniającego, który brał swój początek na wzgórzu u stóp twierdzy Sacsahuamán. Stamtąd przepływał przez Colcampatę w połowie zbocza. Okrężał całe miasto pod ziemią i dochodząc w pobliże Plaza de Armas i Domu Wężów, kończył swój bieg w dawnej Świątyni Słońca. Czyli w klasztorze Dominikanów.

– W Cuzco często można natrafić na kanały przy okazji różnych prac budowlanych – podsumował *quipucamayo*. – Nie wiadomo, gdzie jest początek, a gdzie koniec tych wodnych labiryntów.

– Tak było i w tym sporze – kontynuowała Uyán. – Dominikanie przedstawili jako dowód akt darowizny, na mocy którego otrzymali ten kawałek ziemi pod budowę klasztoru. Podziemny kanał zaopatruje w wodę ośmioboczną studnię z wodotryskiem w stylu inkaskim, która znajduje się na dziedzińcu.

– Krążą pogłoski, że dominikanie pozostawili w obrębie klasztoru fragment dawnej pogańskiej świątyni, żeby nie zmieniać koncesji na wodę i uniknąć sporów – zauważył Chimpu.

– Jeden z tych dokumentów – ciągnęła Uyán – a mianowicie protokół

aktu notarialnego, opisuje, jak mnisi udowodnili, że przedmiotem sporu jest kanał nawadniający. Weszli z notariuszem na szczyt fortecy Sacsahuamán i wrzucili do wody poprzycinane kolorowe pióra. Następnie wrócili do klasztoru i czekali, aż wypłyną. Tak też się stało. Było jasne, że woda na tym odcinku płynie rurami, które nie mają odnóg ani bocznego kanału, a więc nie zachodzi konieczność służebności nawadniania czy zaopatrywania w wodę.

– To musiał być fragment Chincana Grande – stwierdził *quipucamayo*.

– Co to takiego? – spytał Sebastián.

– Labirynt tuneli, które łączyły Sacsahuamán ze Świątynią Słońca, przechodząc przez świątynie i pałace inkaskie w najstarszej części miasta, między rzekami Rodadero i Huatanay.

– To te dwa potoki, które wytyczają ciało pumy. Przechodziliśmy tamtędy – przypomniała Umina inżynierowi.

– No właśnie – potwierdził *quipucamayo*. – Na górze, w fortecy, woda była potrzebna do napełniania sadzawki przy obserwatorium, w której przeglądały się gwiazdy podczas czerwcowego przesilenia. Na tej podstawie przepowiadano wydarzenia na najbliższy rok. Następnie otwierano śluzy i woda spływała aż do Świątyni Słońca, gdzie zasilala studnię z wodotryskiem...

– Nic się nie zmieniło – przerwał mu Fonseca. – Napełniłem bukłak wody. W tym samym miejscu, na krużgankowym dziedzińcu klasztoru Świętego Dominika. To znaczy, że kanał jest otwarty i nie mówimy tylko o przeszłości. Wiadomo, którędy przechodzi?

Quipucamayo zajrzał do dokumentów i odpowiedział:

– Łączy w linii prostej główne kościoły Cuzco: Świętego Krzysztofa, katedrę, Świętą Katarzynę, kaplicę Świętej Róży i Świętego Dominika. Wszystkie zostały wybudowane na miejscu dawnych świątyni inkaskich. Myślę, że kanał zachował się w stanie nienaruszonym, bo stanowił kiedyś naturalne przejście podziemne pozwalające ewakuować się z miasta do twierdzy Sacsahuamán.

– Jak można do niego wejść?

– W czasach Inków niektóre świątynie i pałace miały specjalne przejścia, które potem zabudowano. Zdaje się, że tylko jezuici utrzymali swój dostęp do kanału, a nawet go powiększyli. Wejście znajdowało się między grobami w krypcie kościoła Jezuitów na Plaza de Armas.

– Rzecz w tym, że teraz koszaruje tam wojsko – zauważyła Umina.

– To prawda, córko – powiedziała Uyán. – Ale zarówno kościół Jezuitów, jak i Dom Wężów, w którym się znajdujemy, powstały na miejscu dawnego pałacu Huayny Cápaca, Amaru Cancha. Mają wspólną własność źródła, z którego brano wodę podczas oblężenia miasta. Tam jest wejście do dużego tunelu, który zapewniał Ince możliwość odwrotu. Wychodziło się z niego na wzgórze w obrębie twierdzy Sacsahuamán.

– To znaczy, że można dostać się stąd do tego panteonu jezuickiego? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? – wyrzucała matce Umina.

– Bo nie wiedziałam. Nikt o tym nie wiedział. To wyszło na jaw stosunkowo niedawno, przy okazji tych wszystkich sporów i procesów, kiedy trzeba było sięgnąć po dokumenty świadczące o naszym prawie do wody. Wtedy dowiedzieliśmy się o tym zbiorniku wody zamkniętym ze względów bezpieczeństwa i o tym tunelu.

– Jak można to sprawdzić? Ten dom musiał mieć jakiś dostęp do podziemnego źródła wody.

– Oczywiście. Wystarczy poszukać w miejscu, gdzie kończą się schody.

– Tam jest lew z czarnego kamienia!

– Trzeba było jakoś zamaskować wejście. Myślę, że lew pełnił funkcję strażnika.

– Jeśli dobrze rozumiem, tym przejściem dojdziemy do krypty kościoła Towarzystwa Jezusowego, a następnie poszukamy wylotu głównego tunelu – powiedział Sebastián.

– Tak jest.

Długo jeszcze dyskutowali, zwłaszcza że *quipucamayo* uparł się iść razem z nimi i nalegał, by zabrać czerwone kipu; nie zdołali mu wyperswadować tego zamiaru.

Matka znalazła rozwiązanie: Chimpu może im towarzyszyć, pod warunkiem że wezmą również Qaytu, który zaopiekuje się starcem, gdyby ten opadł z sił.

– Qaytu ma więcej rozsądku niż wy oboje razem – powiedziała Uyán, patrząc na córkę i Sebastiáną. – Zaraz poślę po niego i nakazę odsłonić to wejście.

52 Coricancha

Schody prowadziły do lochów pod Domem Wężów, ale nie miały bezpośredniego połączenia z kościołem Jezuitów. Przejście kończyło się przy zbiorniku wody wspólnym dla posesji, które zostały wydzielone z dawnego Amaru Cancha. Cembrowina z gładkiego kamienia i duży kamienny czerpak dawały wyobrażenie, czym było kiedyś to miejsce.

Wąski korytarz prowadził stąd dalej, w podziemia świątyni Towarzystwa Jezusowego. Ciężkie inkaskie ściany z ciosanego kamienia nabierały hiszpańskiej lekkości, w miarę jak zbliżali się do mauzoleum z płytami nagrobnymi.

Sebastián skierował światło latarni w tę stronę i zatrzymał się przed jednym z grobów. Przetarł wilgotny, zaśniedziały kamień, żeby odczytać napis:

– Diego de Acuña! – wykrzyknął zaskoczony.

Podeszła do niego Umina i długo trwali w milczeniu. Wspominali memoriał i ostatnie momenty z jego *Kroniki*, to wszystko, co wydarzyło się dwa wieki temu w miejscu, które znajdowało się dokładnie nad ich głowami.

– Szkoda, że człowiek tak utalentowany spoczywa w opuszczonym kościele, do którego nikt nie zagląda – odezwała się Umina.

Szukali innych wskazówek, lecz skromna płyta nic więcej nie zawierała. Zniecierpliwiony Qaytu dawał im znaki, żeby podeszli zobaczyć odkrycie, jakiego dokonał razem z Chimpu.

Stali w zagraconym kącie, gdzie panteon przypominał raczej rupieciarnię. Nadzorca oświetlał dość duży obraz na płótnie kompletnie spleśniałym. Sebastián wziął szmatę i starał się usunąć zielonkawy nalot.

Pomagała mu przy tym Umina. Zaczęła z drugiego brzegu i posuwali się razem do środka, każde ze swojej strony. W trakcie tych czynności odsłaniał się widok dobrze znany inżynierowi: ten sam, którego miniaturowa kopia zdawała się prześladować Fonseców. Przedstawiał ślub bratanicy Túpaca Amaru, Beatriz Clary Coi, z Martinem García Loyolą, stryjecznym wnukiem świętego Ignacego. Ta para stała po lewej stronie. A po prawej znajdowała się ich córka, Lorenza Ñusta, z mężem Juanem Enríquezem, wnukiem świętego Franciszka Borgii.

– Znam ten obraz – powiedział Sebastián. – Symbolizuje genealogiczną więź Inków z jezuitami.

Z obecnej perspektywy malowidło nabierało cech profetycznych, gdyż Towarzystwo Jezusowe, złączone więzami krwi z królewskim rodem Tahuantinsuyu, spotkał ten sam nieszczęsny los co to państwo.

– Popatrz na to. – Umina wskazała na jedną z księżniczek. – Czy to nie przypomina stroju, który włożyłam wczoraj wieczorem do kolacji? Takie *tocapus* nosi się w rodzinie mojej matki. To te kolorowe pasy z wzorami heraldycznymi.

Przeszłość znów stawała przed nimi jak żywa. Była jakaś smutna obsesja w tym obrazie, tak typowa dla malarstwa szkoły Cuzco. I dużo desperacji w tej nieustannej walce pędzą z zapomnieniem, w ciągłym odtwarzaniu wizerunków inkaskich królów. Melancholijny orszak cieni w rytualnych strojach wywierał przygnębiające wrażenie. Zwłaszcza gdy się pamiętało *Kronikę* Diega de Acuña wypełnioną tym samym nastrojem.

Sebastián dobrze znał jezuicką zręczność figuratywnego przedstawiania pojęć. Wbijali je wrażliwym wychowankom do głowy tak skutecznie, że

powodowało to gwałtowne emocje. Sam stosował kiedyś „rachunek sumienia” i „kompozycję miejsca”. Właściwie nadal to robił, kiedy chciał uporządkować płochliwe myśli. Wiele razy w Cesarskim Kolegium w Madrycie obrazy analizowane bez przerwy w ciągu dnia nachodziły go również we śnie. Nie mógł się od nich uwolnić: wciskały się w każdą szczelinę pamięci pełnej najintymniejszych lęków. Zaloty, śluby, wszystko się mieszało i powstawała nowa jakość.

Niemniej jednak rzadko miał do czynienia z tak wymownym symbolem kondycji Metysów. Obraz ten ukazywał nie tylko problem krwi i rasy, ale również burzliwe dzieje dwóch narodów uzbrojonych każdy w swe tradycje. I mimo wysiłków czcigodnych ojców jezuitów, by zrobić z tego chwalebłą apoteozę, wyczuwało się udrękę i ból. Tę samą nutę wyczuwał w głosie Uminy, kiedy przechodziła z hiszpańskiego na keczua, żeby wymówić imiona inkaskich władców.

Wyrwał go z tego zamyślenia *quipucamayo*, informując o kolejnym odkryciu, którego dokonał Qaytu:

– Kończą się ciosy kamienne.

Zamiast nich była glina i rozkopana ziemia.

– Widać ślady od kilofa w stwardniałej glinie. To robota Hiszpanów.

Popatrzyli po sobie zaniepokojeni.

– Co to może być? – zastanawiała się Umina.

– Może wejście do głównego tunelu? – zaryzykował Sebastián.

Oboje próbowali przekonać Chimpu, żeby wrócił tą samą drogą, którą przyszli.

– Nic mi nie jest – zapewniał ich starzec. – Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym stracił taką okazję zwiedzenia Coricanchy. Zresztą beze mnie nie uda wam się zrozumieć, co jest w tym grobie.

W miarę jak zagłębiali się między ściany z gliny, rosło wrażenie wilgoci. Dostrzegli nawet parę przecieków wodnych.

– Zdaje się, że w tym miejscu nurt Huatanay staje się bardziej rwący. Dochodzimy do ruin Coricanchy – powiedział Chimpu.

Jakby na potwierdzenie jego słów tunel zaczął się rozszerzać, znów

pojawiły się kamienne ciosy i doskonale gładka ściana przechodząca w łagodny zakręt.

Umina oglądała kamienie, przesuując palcami po krzywiznach.

– Gdzieś tu powinno być wejście – oświadczyła. – Założę się, że ten mur oporowy Świątyni Słońca stanowi obecnie absydę kościoła przy klasztorze Świętego Dominika, gdzie byliśmy na pogrzebie.

Szukając dalej, natrafili na chodnik zasypany gruzem. Sebastián i Qaytu sięgnęli po kilofy, które mieli przy sobie, żeby usunąć tę pierwszą przeszkodę. Powoli odsłaniał się wąski otwór biegnący przez całą szerokość grubego muru.

Niecierpliwość kazała im podwoić wysiłki, chociaż uderzenia kilofa musiały rezonować w całym prezbiterium kościoła Dominikanów, zwłaszcza w obrębie głównego ołtarza.

Kiedy usunęli ostatnią warstwę żwiru i osadów rzecznych, oczom ich ukazało się jakieś pomieszczenie. Fonseca wsunął głowę i zajrzał do środka.

– To krypta.

Uradowani odkryciem przyspieszyli odgruzowywanie i wkrótce mogli wejść do obszernej krypty.

– To mi wygląda na dzieło rąk hiszpańskich.

Ściany, napisy na płytach nagrobnych i daty z XVII wieku potwierdzały jego przypuszczenie.

Po dokładnym zbadaniu krypty entuzjazm ustąpił miejsca rozczarowaniu. To nie to, czego szukali. Chimpu wskazał na kamienne schody zamknięte na górze drewnianą klapą i powiedział ostrzegawczo:

– Znajdujemy się pod głównym ołtarzem kościoła przyklasztornego. Grób, którego szukamy, musi być głębiej. Obejrzyjmy płyty posadzki. Mogły zajść jakieś zmiany po trzęsieniu ziemi, jakie nawiedziło Cuzco w tysiąc sześćset pięćdziesiątym roku.

W rogu znaleźli kupkę gruzu. Zaczęli go usuwać, aż trafili na początek pochylni, która zagłębiała się w podziemiu.

– Musimy znowu kopać – powiedział zrezygnowany Sebastián.

– Ostrożnie, bo usłyszają nas na górze – prosiła Umina, wskazując na drewnianą kłapę łączącą kryptę z kościołem.

Z góry dobiegały śpiewy i modlitwy rozpoczynającego się nabożeństwa. Kopali coraz głębiej, starając się nie uderzać o ściany nośne zachowane w świątyni chrześcijańskiej. Po pewnym czasie przejście nadawało się do użytku.

Sebastián wśliznął się do środka i czołgając się, dotarł do pomieszczenia, które wyglądało inaczej niż poprzednie. Obiegł je wzrokiem, zanim odstawił na ziemię lampę i wydostał się z przewodu. Przeszedł się wzdłuż i wszerz i musiał stwierdzić, że ta komora jest kompletnie pusta.

– Tu nic nie ma! – zawołał do pozostałych.

– Ciszej – poprosił Chimpu. – Niech pan dokładnie obejrzy ściany. Może są jakieś występy albo nierówności.

Tak uczynił. Okazało się, że w jednym miejscu ciosy nie pasują do siebie. Wyglądało to tak, jakby zostały poruszone. Ścierając kurz i pajęczyny, dostrzegł zarys czegoś, co mogło być dawniej wejściem. Albo przebitym w ścianie kanałem nawadniającym. Może to ten sam przewód kanalizacyjny, o którym mówiła Uyán, że był przedmiotem sporu z dominikanami, a który, jak sam widział, dostarcza wodę do ośmiokątnej studni w klasztornym wirydarzu. A to by znaczyło, że są na dobrej drodze.

Kiedy powiadomił o tym swych towarzyszy, Chimpu powiedział, że on musi to zobaczyć i żeby pomogli mu wejść. Zapewnił Uminę i Qaytu, że przypuszczenia Fonseki są całkiem uzasadnione.

– Nie ulega wątpliwości, że tu było przejście. Zamurowano je dopiero po trzęsieniu ziemi, o czym świadczą te źle osadzone kamienie.

– A więc możemy się przebić bez obawy, że ściana się zawali.

Poszukali szpary, aby wsunąć kilof i zrobić z niego dźwignię. Ciosy granitowe były bardzo ciężkie, ale po wielu próbach udało im się je podważyć.

W pewnym momencie dał się słyszeć świst.

– Co to? – zapytała Umina.

– Gazy. Zwykle zbierają się w zamkniętym pomieszczeniu. Mogą być

niebezpieczne. Lepiej się odsuńmy – poradził Sebastián.

Odczekali chwilę, zanim wrócili do pracy. Jeden z kamieni, popchnięty mocniej, wpadł do środka. Zrobiła się dziura, przez którą widać było przejście, a w głębi dużą komorę.

W miarę jak powiększali otwór wiodący do starego kanału inkaskiego, dochodziły ich coraz silniejsze trzaski.

– Trzęsienie ziemi mogło naruszyć ścianę. Przydałyby się jakieś stemple – stwierdził Sebastián.

Kiedy weszli do środka, wsunęli z powrotem w otwór dwa kamienie, żeby prowizorycznie podtrzymały ścianę. Następnie zagłębili się w tunel, którym dotarli do krypty, gdzie stało kilka grobowców. Była zupełnie inna niż ta, którą widzieli poprzednio, różnice widać było w obróbce kamieni i sposobie pochówku: tam były wnęki grobowcowe w ścianach, tu wolno stojące sarkofagi.

Doznawali niezwykłych emocji, widząc je w świetle swych latarni. Wstrzymywali oddech w oczekiwaniu na werdykt *quipucamayo*.

– Tak, to krypta Inków, nie ulega wątpliwości – zapewnił Chimpu, pokazując na bogato zdobiony grobowiec w centralnym miejscu krypty. Był największy, oznaczony krzyżem. Umina podeszła bliżej i drżącym głosem przeczytała trzy wyrazy składające się na nazwisko zmarłego. Zabrzmiały jak inwokacja:

– Felipe Túpac Amaru.

– Lepiej sprawdzić, czy to na pewno on – powiedział Chimpu.

We czterech spróbowali podnieść wieko. Ciężka płyta stawiała opór i przesuwiała się powoli. Najpierw zobaczyli duże pantofle na wysokich obcasach z zadartymi czubami. Potem strój w kolorze pomarańczowym ze specjalnie sporządzonej tkaniny, przeznaczonej tylko dla wybranych, i czarne *uncu* używane wyłącznie podczas wielkich uroczystości. W miarę jak odsuwali kamienną płytę, oczom ich ukazywała się okazałej postury postać z rękami wyprostowanymi wzdłuż ciała.

Głowa była osobno, oddzielona od tułowia. Obie zmumifikowane części znajdowały się w bardzo dobrym stanie.

– Tak, to jest Túpac Amaru – powiedziała Umina ze ściśniętym gardłem, doznając dziwnych uczuć na widok jednego ze swych przodków, ostatniego Inki.

Qaytu z szacunkiem odsunął się na bok, podczas gdy Chimpu mruczał jakieś słowa w keczua.

Sebastián poszedł obejrzeć inne sarkofagi, nie chcąc przeszkadzać swym towarzyszom w tym momencie skupienia. Zwrócił uwagę przede wszystkim na okazały grób Sayriego Túpaca, brata Túpaca Amaru, który wcześniej zasiadł na tronie w Vilcabambie. Obaj władcy zaginionego miasta spoczywali w tej krypcie.

Miał wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Jednak dłuższe pozostawanie w tym miejscu było ryzykowne, gdyż w każdej chwili ktoś mógł otworzyć klapę tuż obok głównego ołtarza w kościele Dominikanów i zejść tu na dół.

Teraz najważniejszą rzeczą było znaleźć ten jeden grób, dla którego zadali sobie tyle trudu.

Sebastián wciąż szukał. Kierując się, wygrawerowanymi na płytach napisami bez trudu zidentyfikował groby Beatriz Clary Coi i Quispi Quipu. Pierwszy ociekał bogactwem, drugi wyglądał przy nim skromnie.

Był jeszcze jeden, zupełnie niepokazny, grobowiec. Na płycie wyryto zamiast krzyża, widniejącego na wszystkich pozostałych, krwawy węzeł niczym godło obok imienia. Sebastián poczuł dreszcz emocji, kiedy przesuwiał po nim palcami. Myślał o tym, co zostało z rodzinnego herbu, i o pustym grobie na zamku w Andaluzji.

Poczuł na swym ramieniu czyjąś dłoń. Umina podeszła bliżej i stanęła obok niego. Razem pochylali się teraz nad tym grobem. Jedno krótkie spojrzenie wystarczyło Uminie, aby odgadnąć myśli Sebastiána, chociaż zatarte litery rozplywały się w kamieniu.

- SÍRAX – odczytała ledwie widoczny napis. – To ona, prawda?
- Tak, to ona. Nareszcie. Nie mogę w to uwierzyć.

Wyprostowali się i przywołali gestami Qaytu, żeby pomógł im podnieść pokrywę grobowca.

– Tylko ostrożnie – prosiła Umina. – Nie wiemy, co jest w środku.

Ta płyta ważyła mniej niż wieko na grobie Túpaca Amaru, a ciało pod nią leżące było wyjątkowo drobne. Też z mumifikowane, w bardzo dobrym stanie, od głowy po czarne pantofle z zadartymi czubami, wedle ówczesnej mody.

Przyglądali się uważnie, usiłując znaleźć jakiś znak, który naprowadziłby ich na trop zaginionego miasta.

Jednak to, co widzieli, nie napełniało ich optymizmem. Grobowiec ukrywał tylko zwłoki Sírax.

– To wszystko? – spytała Umina z niedowierzaniem.

– Spróbujmy postawić się na jej miejscu – zaproponował Sebastián. – Sama w obcym kraju, nie zna języka, nie uznaje roli pisma, mimo to pragnie przekazać swoim ważną wiadomość, która ma pokonać dwa oceany i wysokie góry. Chce im powiedzieć, gdzie znajdowała się Vilcabamba. Jak to zrobić? Jak zaznaczyć szlak wiodący do tego miasta? Narysować mapę na papierze?

– Nie, bo taki papier można zgubić albo ktoś go ukradnie – odpowiedziała Umina.

– Więc pozostaje kipu.

– Ale tu nie ma żadnego kipu – oświadczył Chimpu.

Znów wbili wzrok w grobowiec. Niecierpliwie badali każdą szparę.

Po dokładnym sprawdzeniu musieli uznać za fakt oczywisty, że niczego więcej tu nie ma.

– Tylko mumia owinięta w biały całun – podsumował Sebastián, nie ukrywając rozczarowania.

– Może ktoś już tu był przed nami?

– To niemożliwe, sam pan wie – odparł *quipucamayo*. – Od dawna nikogo tu nie było.

Umina nie poddawała się tak łatwo. Wpatrzona w mumię nakazała, żeby się uciszyli.

– Chwileczkę, zobaczymy co jest pod *ñañaca*.

Mówiła o chuście owiniętej wokół głowy Sírax i przykrywanej ściągnięte do góry włosy. Podnieśli ją i zaniemówili ze zdziwienia.

53 W brzuchu pumy

Włosy Sírax uwolnione z chusty rozsypały się na białym płótnie całunu, ukazując wyjątkowo staranne uczesanie. Splecione w warkocz tworzyły na czubku głowy kok w kształcie koła. Wychodziły z niego promieniście cieńsze warkoczyki, na których w regularnych odstępach znajdowały się grubsze sploty wyglądające jak węzły.

Umina szybko przeliczyła warkoczyki ułożone na głowie niczym diadem.

– Jest ich dokładnie czterdzieści jeden – oświadczyła. – Pokaż czerwone kipu – poprosiła Sebastiana.

Inżynier rozpiął koszulę i zdjął z szyi kipu. Umina wzięła w obie ręce te czerwone sznurki i zaczęła liczyć supły, porównując je z grubymi splotami na warkoczykach.

– Nie ulega wątpliwości, że ta fryzura ma taki sam kształt jak kipu – podsumowała.

– Jak to możliwe, żeby włosy zachowały się w tak dobrym stanie mimo upływu tylu lat? – zapytał Fonseca.

– Inkaskie księżniczki bardzo o nie dbały i myły w soku roślinnym. Sírax posunęła tę dbałość o włosy jeszcze dalej, zrobiła z nich kipu, które trwa do dziś.

– Odtworzyła na swoich włosach wszystkie szczegóły kipu, które następnie ukryła w oprawie *Kroniki*.

– Ja sędzę, że znała je na pamięć i nie musiała mieć go przy sobie, żeby zrobić takie uczesanie.

– Zapewne miała w tym jakiś cel – stwierdził Sebastián. – Ale jaka z tego korzyść dla nas?

– Może właśnie to.

Pokazała na czerwoną nitkę wplecioną w niektóre sploty warkoczyków wychodzących z kolistego koka i oznajmiła:

– Zakładając, że kipu, które nosisz na szyi, jest mapą i że jego boczne sznurki to *ceques*, a węzłki *huacas*, ta nitka może oznaczać szlak wiodący do zaginionego miasta.

– W takim razie powinniśmy przenieść ją na kipu.

– Nic prostszego – odparła Umina.

Zdjęła ze swych włosów białą jedwabną wstążkę i podała ją Chimpu, żeby połączył węzłki na sznurkach czerwonego kipu w taki sam sposób, jak czerwona nitka łączy sploty na włosach Sírax.

– Dlaczego wybrała taki ryzykowny sposób przekazania tej wiadomości swojemu ludowi? – dziwił się Sebastián. – Czy nie pomyślała, że nitka może się wysunąć, a fryzura zepsuć?

Młodzi popatrzyli na siebie: była spora luka między *Kroniką* Diega de Acuña a dokumentami znalezionymi w Limie. Coś się wtedy musiało wydarzyć, coś poważnego, skoro ta kobieta postanowiła działać tak desperacko. Z jakimi problemami musiała się zmierzyć Sírax, aby dojść do wniosku, że nikomu nie może zaufać, tylko własnemu ciału?

– Odpowiedź przyniesie droga wskazana przez tę nitkę – powiedziała Umina.

– Trzeba najpierw przełożyć te wskazówki na realia w terenie – upierał się Sebastián. I dodał, zwracając się do *quipucamayo*: – Owe *ceques*, czy też promienie rozchodzące się z Cuzco we wszystkich kierunkach, to konkretne linie? Można je zobaczyć, jak człowiek znajdzie się w danym miejscu?

– Nie można – odpowiedział Chimpu. – Stanowią pewne wyobrażenie, jak granice wynikające z mapy. Powstały z połączenia różnych *huacas*

występujących w terenie, czasem w dużej odległości między sobą.

– To znaczy, że ci, którzy je nakreślili, nie widzieli sąsiedniej *huacas*.

– Niektóre *huacas* są przedzielone górami albo inną przeszkodą.

– Więc jak mogli połączyć za pomocą *ceques huacas* leżące za horyzontem? Skąd pewność, że nie poblądzili?

– Pomogli im w tym gwiazdy. Główne ośrodki miały obserwatoria astronomiczne. W Cuzco takie obserwatorium znajdowało się na szczycie twierdzy Sacsahuamán.

– Nie zdołamy odtworzyć tego szlaku w terenie bez instrumentów pomiarowych, którymi posługiwali się Inkowie, żeby utkać to kipu pokazujące *ceques* i *huacas*...

Przerwał, słysząc głuchy stuk na drugim końcu przejścia, które doprowadziło ich do krypty.

– Co to było? – zawołała Umina.

– Zdaje się, że to tąpnięcie.

Spojrzeni na sufit. Mieli nad głowami całe tony kamieni. Gdyby zaczęły się osuwać albo zatkały przewód kanalizacyjny, z którego skorzystali, nikt nie przyszedłby im z pomocą.

– Nie możemy tu dłużej zostać. Szkoda – ubolewał Fonseca. Zwracając się do Chimpu, zapytał: – Zdążył pan przekopować ten szlak na czerwone kipu?

– Tak, proszę bardzo – powiedział, zwracając mu kipu. – Wszystko jest tak samo jak w uczesaniu Sírax.

Kierując się do wyjścia, usłyszeli nad głowami głośny huk; oślepiła ich chmura kurzu i posypały się okruchy kamieni, blokując przejście.

– Do tyłu! Szybko! – krzyknął inżynier.

Dookoła leciały już nie okruchy, ale większe odłamki i całe fragmenty kamiennych bloków.

– Runęła ściana nośna. Teraz nie uda nam się odsunąć kamieni w otworze, przez który weszliśmy.

Przesunął latarnię po pozostałych ścianach. Żadna nie wskazywała na możliwość wyjścia.

– O Boże! – jęknął Fonseca. – Jesteśmy pogrzebani żywcem w tej Świątyni Słońca, a nad nami jest kościół przyklasztorny.

– Wyjdziemy stąd – powiedziała z przekonaniem Umina.

– Ale jak... – Obrócił się na pięcie i zawołał: – Mam pomysł!

Poszedł na drugi koniec krypty i coś sprawdzał w podłodze. Po chwili wrócił, wziął kilof i poprosił Qaytu o pomoc:

– Spróbujemy przewiercić kanał między podłogą i murem. Sami nie znajdziemy wyjścia. Woda nam pomoże, jeśli wierzyć dokumentom sądowym, które pokazała nam matka Uminy.

Po kilku uderzeniach kilofem trysnęła woda, zalewając kryptę. Zbyt późno zdali sobie sprawę, że skoro spływa z góry, musi mieć wielkie ciśnienie. Było jej coraz więcej, nie miała gdzie wsiąkać ani którędy odpływać i poziom podnosił się alarmująco. Wkrótce sięgała im do pasa.

– Przeklęty pomysł! – oskarżał się inżynier. – Jak będzie jej przybywać w takim tempie, potopimy się wszyscy.

Chcieli podsadzić Chimpu na jeden z grobowców, żeby uchronić go przed zalaniem, a potem sami usadowić się w podobny sposób, kiedy usłyszeli trzask. Ściana w głębi krypty ustępowała pod naporem wody, która wypełniła szczeliny spowodowane tąpnięciem. Mur wybrzuszył się i zaczął pękać.

Nastąpił nagły wstrząs i ściana zwała się na zewnątrz.

Prąd wessał ich, pociągnął do przodu i rzucił w koryto podziemnej rzeki. Po dłuższej szamotaninie Qaytu pierwszy znalazł coś, czego mógł się przytrzymać, i pomógł reszcie wydostać się na brzeg.

– Nikt nie jest ranny? – zapytała Umina.

Zaprzeczeni jeden po drugim. Dziewczyna dała znak Sebastianowi i Qaytu, żeby pomogli Chimpu, który wyglądał na najbardziej poszkodowanego.

– Nic pan sobie nie złamał? – wypytywała.

– Wszystko w porządku. Dam radę iść o własnych siłach.

Stracili latarnie, którymi oświetlali sobie drogę. Mimo to całkiem dobrze widzieli.

- Skąd bierze się to światło? – zapytał Fonseca.
- Stąd – pokazała dziewczyna. Wysoko w górze była wąska szczelina.
- Albo się myślę, albo jesteśmy pod ośmiokątną studnią na krążgankowym dziedzińcu. Po tym wszystkim woda przestała z niej tryskać.
- Tylko patrzeć, jak zauważą brak wody, zaczną badać i Carvajal domyśli się, co się stało.
- Nie będzie zadowolony, że go wyprzedziliśmy.
- Martwię się o matkę – przyznała Umina.
- Nic jej nie zrobi, nie ośmieli się – uspokajał ją Chimpu. – Uyán ma wpływowych przyjaciół w Cuzco.

Zastanowili się nad swoim położeniem. Przed nimi rozpościerał się podziemny przewód kanalizacyjny, początkowo wąski, potem coraz szerszy, jak stwierdzili Sebastián i Qaytu po pobieżnym zbadaniu. Zabrali parę pochodni z tych, które flankowały ściany w pewnych odstępach.

– Nie ma innej drogi niż ta – uznał Fonseca. I dodał, zwracając się do *quipucamayo*: – Starczy panu sił?

– Za nic w świecie nie stracę takiej okazji – odparł starzec. – Jesteśmy w tunelu, który przecina pod ziemią całe miasto, równoległe do obu rzek. Prowadzi na sam szczyt Sacsahuamán.

Było to dawne koryto rzeki, którą wzgórze podzieliło na dwie części. Kiedy znalazło się pod ziemią, Inkowie obudowali je stemplami i zagospodarowali, żeby mieć wyjście awaryjne z miasta. Widać to po umocnieniach z ciosanego kamienia. W tunelu słychać było bulgot płynącej pod ziemią wody.

Tu, w głębi ziemi, jeszcze silniej niż na powierzchni przejawiał się konflikt jurysdykcyjny między miastem hiszpańskim i dawniejszymi cywilizacjami pogrzebanymi pod przyczajoną pumą utworzoną przez kontury starego miasta. Teraz znajdowali się w brzuchu tego świętego drapieznika i posuwali się w kierunku jego gardła i pyska.

Im dalej, tym słabsze oznaki konkwisty i walki na pergaminy, dokumenty, świadectwa pochodzenia. Wszystko wracało do swego pierwotnego

stanu mineralnego: kamień do kamienia, a woda – która zeszła z odległych lodowców i włożyła wiele trudu, aby tu dotrzeć – do mułu.

Długa wędrówka przez tunel okazała się bardzo męcząca. Droga pod górę stawała się coraz bardziej stroma i nierówna: zaczynały się tarasy pałacu Colcampata, wzniesionego przez pierwszego Inkę na stoku wzgórza, które dominowało nad Cuzco i w które wdzierał się spiralnie tunel, okrążywszy parę razy miasto pod ziemią.

– Przed nami największe niebezpieczeństwo – uprzedził ich Chimpu. – Chincana Grande, która strzeże tego wejścia.

Mówił o labiryncie podziemnych przejść łączących fortyfikacje Sacsahuamán. Składał się z tylu ulic, odgałęzień, zakrętów i ślepych zaułków, że łatwo było się pogubić.

Sebastián, który niósł jedną z pochodni, poprosił o ciszę:

– Posłuchajcie.

Z daleka dobiegał ryk powtarzający się w nierównych odstępach czasu. Wydawało się, że pochodzi z góry. W miarę jak pokonywali krótkie, strome odcinki labiryntu, pełne zakrętów, nie wiedzieli, co może ich za nimi czekać.

Stopniowo przybierał na sile, zdawał się coraz bliższy i groźniejszy, wprawiał w wibrację ściany tunelu.

– Co to? – spytał Chimpu.

Nikt się nie odezwał, choć wszyscy przypomnieli sobie opowieść Uyán o tym, jak jej przodek Carlos Inka prowadził swą małżonkę Marię Esquivel z zawiązanymi oczami do skarbu Inków, bo nie mógł już dłużej ścierpieć jej wyrzutów. Wtedy też rozległ się ryk „straszliwego zwierza”, mroząc kobiecie krew w żyłach.

Najbardziej przerażony był stary *quipucamayo*. Tyle razy słyszał o niebezpieczeństwach czyhających na każdym kroku w labiryncie podziemnych przejść, że wszystko wydawało mu się możliwe. Na pewno wyjście na wzgórze jest strzeżone, bo nie można zostawić na pastwę losu całej forticy ze zbiornikami i ujęciami wody.

Alarm wywołała Umina, wzywając głośno Qaytu, który szedł przodem z pochodnią i nagle zniknął jej z oczu.

Sebastián rzucił się w ich stronę. Za jednym z zakrętów silny przeciąg zgasił światło i wyrwał mu pochodnię z rąk. Schylił się i zaczął szukać jej po omacku. Macając dookoła, natknął się na nadzorcę.

– Qaytu jest tutaj! – zawołał do Uminy Chimpu, próbując przekrzywić ogłuszający ryk, który przechodził z niskich, posepnych tonów w przejmujące wycie, aż włosy stawały im dęba.

– Gdzie pochodnie? – spytała dziewczyna.

– Zgubiliśmy.

– Poblądzimy bez światła. Nie możemy tak iść.

– Musimy. Nie mamy wyboru. Zresztą nawet gdyby znaleźć pochodnie, i tak nie będą się palić w tym przeciągu.

– Trzeba poszukać innej drogi, gdzie nie będzie takiego wiatru! – wrzasnęła, żeby Sebastián ją usłyszał.

– Ten prąd powietrza być może jest gwarancją, że zbliżamy się do wyjścia.

Z wysiłkiem posuwali się w ciemnościach pod wiatr.

– Pójdę przodem – zaproponował Sebastián. – Podam Qaytu rękę i będę go uprzedzał o wyrwach i innych przeszkodach. Qaytu podtrzyma Chimpu. Umina zamknie szereg.

Fonseca powiadamiał towarzyszy o wszelkich uciążliwościach na tej trudnej drodze pod górę, którą pokonywali bardzo powoli. Wkrótce znaleźli się na szerokiej rampie, miejscami zamieniającej się w kręcone schody. Stopnie były bardzo strome i śliskie. A na dodatek tak zniszczone i rozchobotane, że każde potknięcie groziło niebezpiecznym upadkiem. Poruszali się po nich z największą ostrożnością.

Przytrzymując się słupa stanowiącego oś tych krętych schodów i wchodząc coraz wyżej, w pewnym momencie stwierdzili, że to stąd wydobywał się przeraźliwy ryk modulowany lekkim powiewem z bocznych uliczek. Ów cyklon szalejący po całym labiryncie powoli cichł. W górze zamigotało światelko.

– To nadzwyczajne – odezwał się Chimpu. – Jesteśmy w gardle wielkiej pumy, którą tworzy to miasto. Takie wycia, groźne dźwięki i przeciągi mają za zadanie odstraszyć największych śmiałków od wchodzenia do labiryntu.

Kiedy zrobiło się widniej, Fonseca zwrócił uwagę na staranne rozplanowanie głównego tunelu i bocznych rozgałęzień, gdzie powstawały przeciągi. Powietrze wpadało do szerokich galerii, które stopniowo ulegały zwężeniu, przez co prąd powietrza nabierał prędkości i przechodząc przez różnego rodzaju otwory, powodował wibracje o zmiennym natężeniu, jak w gigantycznej muszli. To, w połączeniu z totalną ciemnością i niemożnością utrzymania jakiegokolwiek światła, naruszało poczucie rzeczywistości u intruzów, wystawiając ich na najgorsze lęki.

Inżynier przystanął, żeby złapać oddech, i kiedy odzyskał siły, zapytał *quipucamayo*:

– Jak Inkowie orientowali się w tych przejściach?

– Prawdopodobnie dzięki Punchao, który znajdował się w Coricanchy. W czasie czerwcowego przesilenia słońce padało na patenę wokół głowy idola, ogniskując promienie w szeregu wklęsłych luster porozmieszczanych w całym tunelu. Były tak precyzyjnie zestrojone, że raz odbite światło obiegało cały labirynt.

Podjęli na nowo wspinaczkę. Niewiele dzieliło ich od wyjścia i można już było dostrzec kawałek nieba. Parę metrów przed końcem Sebastián znów przystanął.

– Zaczekajcie – poprosił. – Po co się tak spieszyć? Nie wiemy, co nas czeka na górze.

– Przy odrobinie szczęścia znajdziemy się w twierdzy Sacsahuamán – odparł Chimpu.

– Wzgórze jest ogromne – zauważyła Umina. – A my tak kręciliśmy po tych galeriach, że nie wiadomo, gdzie teraz jesteśmy.

54 Gwiezdna woda

Postanowili, że Sebastián i Qaytu wyjdą na powierzchnię jednocześnie. Każdy pójdzie w innym kierunku, żeby zbadać sytuację i uprzedzić o ewentualnym niebezpieczeństwie. Kiedy zbliżyli się do wyjścia i spojrzeli w górę, ze zdziwieniem stwierdzili, że to jeszcze nie koniec, a światło dnia wpada przez otwór wyglądający zupełnie jak cembrowina studni.

Wdrapali się na wierzch i rozejrzeli wokół siebie: znajdowali się w centrum dziwnej konstrukcji z kamienia. Dookoła była pusta przestrzeń otoczona przez trzy mury, trzy koncentryczne pierścienie. Przecinało je w poprzek dwanaście ścian rozchodzących się jak segmenty promieni.

– Co to? – spytał inżynier nadzorcę.

Qaytu wzruszył ramionami na znak, że nie potrafi określić, gdzie się znaleźli.

Nie było nikogo. Po wyjściu na zewnątrz stwierdzili, że znajdują się w środku czegoś, co ze względu na swe rozmiary może uchodzić za ruiny twierdzy. A więc to była głowa wielkiej pumy zamykająca miasto od strony północno-wschodniej. Otwór, przez który wyszli z labiryntu, był w tej sytuacji jak otwarte oko drapieznika.

Znajdowali się na szczycie wzgórza Sacsahuamán, które dominowało nad Cuzco. Spoglądając na miasto u swych stóp, dostrzegli spore ruchy wojska na rogatkach. Zbliżał się moment egzekucji buntowników, więc

kontrolowano wchodzących dokładniej niż zazwyczaj. Nie widać było stąd obozowiska Carvajala i Montilli w pobliżu klasztoru Świętego Dominika. Z pewnością jednak ci dwaj już wiedzą o zejściu w krypcie i są na ich tropie.

Pomogli wyjść na zewnątrz Uminie i Chimpu. *Quipucamayo* uważnie oglądał kamienną konstrukcję.

– Wygląda mi to na fundamenty cytadeli – powiedział Sebastián.

– A ja myślę, że to resztki baszty Muyumarca – dodała Umina.

– Nazwa się zgadza – potwierdził starzec. – Ale to nie są żadne fundamenty ani resztki baszty.

– A więc co?

– Ma pan przed oczami odpowiedź na pytanie, które zadał mi pan wcześniej – powiedział Chimpu. – Ja znam tylko *huacas* położone najbliżej Cuzco, ukształtowania terenu i słupy milowe ciągnące się stąd, ze szczytu wzgórza, do horyzontu. Pytał mnie pan, jak można było poprowadzić linie *ceques* dalej poza góry otaczające miasto. Pamięta pan?

– Tak. A pan odpowiedział mi wtedy, że za pomocą gwiazd. I że nie dowiemy się, jak działa czerwone kipu, jeśli nie poznamy instrumentów pomiarowych, z których korzystali Inkowie przy oporządzaniu poszczególnych splotów.

– No właśnie. Jesteśmy wśród nich.

– Gdzie?

– W obserwatorium astronomicznym. Te trzy pierścienie otaczające wylot z tunelu, którym przyszliśmy, i dwanaście segmentów promieni, które je przecinają, stanowią część dawnego obserwatorium. Znajdujemy się w ogromnym zegarze słonecznym i kalendarzu. Dzięki nim Inkowie orientowali się w porach roku, kontrolowali prace polowe i ustanawiali główne uroczystości. Największa z nich, Inti Raymi, przypada właśnie teraz, w czasie przesilenia czerwcowego.

– A ta wolna przestrzeń koło cembrowiny?

– Służyła do obserwowania gwiazd nocą. Teraz wszystko wyschło, ale kiedyś była to okrągła sadzawka. Inkowie napełniali ją wodą ze studni i

używali jako lustra do oglądania nieba. Rezultat swoich obserwacji zapisywali za pomocą ustalonych znaków na kamiennych pierścieniach między poszczególnymi segmentami.

– A więc jeśli napełnimy ją wodą i poczekamy do nocy, będzie można odtworzyć system pomiarów stosowany przez Inków i zorientować się, którędy biegnie szlak, który skopiowaliśmy z włosów Sírax na kipu.

– Czerwone kipu na pewno powstało na podstawie danych z tego obserwatorium. Ale trzeba by spędzić tutaj całą noc.

– Nie możemy pominąć takiej okazji.

– Nadal pan żałuje, że zabrał mnie pan na tę wyprawę?

– Jeśli mam być szczery – wyznał Fonseca – to kiedy z trudem łapałem oddech na tych przeklętych schodach, myślałem o panu. Ani razu się pan nie poskarżył, i to dodawało mi siły. Nie mogłem okazać się gorszy. Nie pozwalał mi na to mój egoizm.

– A co pan sądzi o Uminie? – zapytał *quipucamayo* poufale.

– Podziwiam ją. Nigdy nie widziałem tak odważnej kobiety.

– Ja też nie i choć mam dwa razy tyle lat co pan – roześmiał się Chimpu – nie znam innej tak odważnej ani takiej ładnej jak ona. Zresztą ma to swoje wytłumaczenie.

– Ach tak?

– Członkowie rodu królewskiego poślubiali najpiękniejsze panny z całego imperium. One rodziły im dzieci i musiały zadbać o ich miejsce w linii dynastycznej. Trzeba było mieć charakter, żeby nie ulec intrygom pałacowym. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Po dokładnym zbadaniu Sebastián stwierdził, że centralny zbiornik jest suchy, ponieważ nurt wodny, który go zasilął, skierowano do rzeki Rodadero. Natomiast kanał i stawidła zachowały się w dobrym stanie.

– Sądzę, że uda się przywrócić nawadnianie, napełnić sadzawkę i zobaczyć, jak to działa, dzisiejszej nocy.

– Mamy kipu. Wspaniale! Marzyłem o czymś takim całe życie – powiedział Chimpu, zacierając ręce.

Przy pomocy Qaytu inżynier zabrał się do dzieła. Nie było to takie trudne, ale trochę się namęczyli. Po skończonej pracy postanowili coś przegrzyć dla nabrania sił. Na szczęście wzięli na drogę prowiant.

Czekając, aż zapadnie noc i sadzawka napełni się wodą, Umina z Sebastiánem zrobili dokładny obchód, żeby uniknąć niespodzianek.

Spoglądając na północ na wzniesienia, które były dobrze widoczne z miasta, dostrzegli wzgórze wyrzeźbione przez człowieka w taki sposób, że przedstawiało profil twarzy króla Karola III, postaci dobrze znanej z monet. Próbowano, bez większego skutku, zmusić Indian do wierności dalekiemu monarsze, nawiązując do pradawnych zwyczajów rzeźbienia w nierównościach terenu. Jak wyjaśniła Umina, jej przodkowie wierzyli, że Inkowie wyszli z ziemi, z kamieni, a ich pierwszy król wyłonił się z jaskini.

Następnie skierowali wzrok w inną stronę, na miasto, które z twierdzy Sacsahuamán można było obejrzeć w całej krasie.

– Cuzco jest bardzo piękne – powiedział Sebastián.

– Kiedy przychodziłam tu jako dziecko, żeby puszczać latawce, matka nieraz mi tłumaczyła, jak wyglądało Cuzco w czasach Inków – wspomniała melancholijnie Umina.

Zamilkła i długo się nie odzywała.

– Martwisz się o nią, prawda? – zapytał.

– Wiem, że nie powinnam – odpowiedziała Umina. – Chimpu ma rację, Carvajal nie odważy się jej nachodzić. Ale wiesz, jaka ona jest. Wszystkim się przejmuje. Nie potrafi przejść obojętnie obok cudzej krzywdy. Zawsze stara się pomóc. Na pewno dotarła do niej wieść o tym zdarzeniu.

– Chodzi ci o to, co się stało u Świętego Dominika?

– Założę się, że cały czas myśli o tej katastrofie i niepokoi się o nas. A jak zaczniesz wypytywać wśród przyjaciół i znajomych, może tylko pogorszyć tym sprawę. Boję się tego i martwię się o nią. Już dawno powinna przenieść się do naszej posiadłości w dolinie Yucay.

– Miasto żyje teraz głównie egzekucjami. Sądzisz, że kogoś może obchodzić, co stało się w klasztorze?

– Na pewno nie gubernatora, to oczywiste. Jednak Carvajal i Montilla nie bez powodu rozbili tam swój obóz. Oni dobrze wiedzą, czego chcą... Nie mogę już o tym myśleć. Mamy to, czego szukaliśmy, i musimy wykorzystać to jak najlepiej.

Dalej badali twierdzą. W gruncie rzeczy było to coś więcej niż cytadela. Rozległe tarasy zostały wzmocnione murami cyklopowymi, które nie tylko zapobiegały osuwaniu się ziemi. Ogromne bloki ciągnęły się w terenie zygzakiem jak zęby gigantycznej piły. Te kamienie nie były bezwładne ani obłaskawione. Zdawały się żywe, emanowały wciąż światłem i powietrzem pampasów, skąd pochodziły. A w zachodzącym słońcu wyglądały jak otwarta szczęka smoka lub innego baśniowego potwora. Albo jak zęby pumy, którą przypominało swym kształtem Cuzco.

Kamienie były takich rozmiarów, że wydawały się częścią góry, a nie zwykłymi ciosami. Niektóre miały wysokość trzech mężczyzn ustawionych jeden na drugim i szerokość trzech innych stojących obok siebie z rozłożonymi ramionami.

– Jakim sposobem przetransponowano je tutaj z kamieniołomów? – Sebastián nie krył podziwu. – Bo o ile wiem, Inkowie nie używali koła.

– Nawet go nie znali. Podobnie jak wołów czy innych zwierząt pociągowych, żelaza albo stali do obróbki kamieni.

– Ciekawe, jak zdołali bez bloczków i maszyn poustawiać z taką precyzją te kamienie. Ileż razy musieli je wciągać i zdejmować, żeby idealnie przylegały jeden do drugiego? Nie mieli innych urządzeń oprócz siły własnych ramion. Nie widziałem czegoś takiego w żadnym miejscu Europy.

Umina podeszła do jednej z baszt i coś zdrapywała.

– Wśród tych śladów ołowiu nie brak także moich. Często przychodziłam tu z ojcem i jego kolegami, żeby ćwiczyć strzelanie do celu.

Wyszli poza wały obronne i zatrzymali się przy rozległym wzniesieniu zamykającym esplanadę od północy. Na jego szczycie można było podziwiać tak zwany Tron Inki. Nieopodal znajdował się olbrzymi głaz ociosany na setki możliwych sposobów przez dawnych kamieniarzy i pokryty tyłoma

ozdobami, że oczy bolały na to patrzeć. Była to dziwna plątanina figur geometrycznych bez ładu ni składu.

– To Sayacusa, Zmęczony Kamień – powiedziała dziewczyna. – Nazwano go tak dlatego, że przebył długą i trudną drogę, aby tu się znaleźć, ale nie starczyło mu już sił, aby dojść na miejsce przeznaczenia. Zatrzymał się i zapłakał krwawymi łzami.

– Skąd się tu wziął?

– Z bardzo daleka, ponad trzystaście mil stąd. Tak mówią ludzie. Ciągnęło go dwadzieścia tysięcy Indian, którzy mieli z tym wiele kłopotów. Trzeba było uważać, żeby nie spadł na dół. Połowa Indian podtrzymywała go z tyłu na grubych powrozach, a druga połowa ciągnęła za sznury z przodu. Mimo tych starań kamień wysliznął się, spadł i zabił trzy do czterech tysięcy tragarzy. Potem już się nie dał ruszyć z tego miejsca, gdzie upadł. Ludzie zrozumieli, że nie chce iść dalej, kiedy zapłakał krwawymi łzami. Więc go tu zostawili.

* * *

Słońce zachodziło. Młodzi przyłączyli się do Qaytu i Chimpu siedzących nad sadzawką napełnioną wodą. Bezchmurne, czyste niebo ukazywało cały swój splendor.

W miarę jak zapadała noc, pojawiał się olśniewający firmament andyjski. Starzec wziął od Sebastiána czerwone kipu i trzymał je w swych dłoniach, pokazując na odbicie świetlistej, biegnącej ukosem szramy.

– To Droga Mleczna. Mayu, w keczua, czyli „rzeka”. Inkowie myśleli, że z niej pochodzi deszcz, a piorun otwiera stawidło.

Chimpu był szczęśliwy. Obserwatorium znów stało się okiem pumy spoglądającym ze świętego miasta Cuzco. Łączyło niebo i ziemię po to, by Imperium Czterech Części mogło poznać swe losy i wtopić się w kosmos.

– Stąd wychodzi czterdzieści jeden *ceques* jak szprychy wielkiego koła, które przechodzą przez trzysta dwadzieścia osiem *huacas* rozsianych po całym terytorium. Mówi się, że zostały wybrane tak mądrze, że ich

rozmieszczenie pokrywa się z układem gwiazd na niebie.

– Po co im były te mury cyklopowe? – spytał go Sebastián.

– Myśli pan, że inne ostałyby się do naszych czasów? Jeśli tkwią nadal na swoim miejscu, to dlatego, że są tak wielkie i nie sposób ich ruszyć. W przeciwnym razie posłużyłyby już dawno za materiał do budowy kościołów i pałaców. Inkascy królowie uważali się za synów Słońca. Od ich wiedzy i umiejętności obserwowania firmamentu właśnie stąd, z tego miejsca, zależała stabilność Tahuantinsuyu. Wszystko obracało się wokół tej osi, a kamienie gwarantowały jej nienaruszalność.

Ukończywszy długie i żmudne obserwacje gwiazd w zestawieniu z odpowiednimi zapisami na sznurkach i węzłach czerwonego kipu, Chimpu opowiedział im, jak przebiegały takie ceremonie za panowania Inków.

W noc przesilenia czerwcowego Inka zasiadał nad tym samym okrągłym zbiornikiem wody, przy którym teraz oni siedzieli. Towarzyszyli mu: największy kapłan, przedstawiciel każdej z Czterech Części i *quipucamayo*. Całe Cuzco zachowywało w tym czasie absolutną ciszę, aby nie rozpraszać obserwujących niebo. Kapłan długo badał firmament odbity w wodzie i sygnalizował pojawianie się najważniejszych gwiazd znanych również z tego, że były wyryte na ołtarzu Świątyni Słońca. Najdłużej zatrzymywał się przy kosmicznej rzece Drogi Mlecznej.

Szereg złotych znaków umieszczonych na murze otaczającym kolistą sadzawkę pokazywało, jak przesuwają się konstelacje gwiazd w ciągu roku. Kapłan dokonywał obliczeń i dyktował swe przepowiednie, a *quipucamayo* rejestrował je na sznurkach z wełny wigonia. Następnie *quipucamayo* sprawdzał poprzednie rejestry zachowane w swoich archiwach i przystępowano do określania czasu siewu i zbiorów, czy i kiedy pojawią się meteory, jaka będzie pogoda. Od dokładności rejestrowania na sznurkach i węzłach zależała pomyślność całego imperium. Przedstawiciele Czterech Części zawozili te informacje do swych krain, aby zaplanować odpowiednie działania.

Na koniec podnoszono stawidło połączone z całą siecią kanałów zaopatrujących miasto w wodę. Wypuszczano tę „gwieźdną wodę”, aby popłynęła tunelem do studni w Świątyni Słońca, a obecnie w krużgankach klasztoru Świętego Dominika. Tym samym tunelem, który ich tu doprowadził. W ten sposób rozchodziło się po stolicy niebiańskie orędzie i następowało zespolenie obu światów, górnego i dolnego, będących odbiciem jeden drugiego, zbratanie odległych *ceques* i *huacas*, źródeł i skał, które łączyły się z Cuzco, przywracając mu jego pierwotny pejzaż.

Teraz musieli zrekonstruować owo rozległe kipu rozrzucone na terytorium, którego centrum było to miasto, badając gwiazdy, aby wyprowadzić świętą oś. Mijały godziny, a Chimpu wciąż studiował czerwone sznurki i węzłki. W miarę upływu czasu nabierał coraz większej pewności co do sposobu wykonania tych splotów. Korzystając z przesilenia czerwcowego, mieli znaleźć w gwiazdach odpowiedź, którym miejscom na ziemi odpowiada szlak naniesiony na kipu z misternej fryzury *Sírax*.

Dwanaście segmentów kamiennych promieni przecinających trzy kręgi murów wokół sadzawki ułatwiało orientację, na co zwrócił ich uwagę *quipucamayo*.

– Szlak, który skopiowałem na tym kipu, zaczyna się w Qenqo Grande, *huaca* na obrzeżach Cuzco.

– To niedaleko od miejsca, gdzie mamy swój zajazd i magazyn – powiedziała Umina.

– Masz rację, to są wasze ziemie. Mój ojciec sporządził kiedyś wykaz genealogiczny, z którego wynikało, że Qenqo było własnością tej części królewskiego rodu Inków, z której wy pochodzicie. Dalsza trasa odpowiada następującym konstelacjom Drogi Mlecznej. – Pokazywał je w miarę, jak wymieniał ich nazwy: – Lama, Kondor i Wąż. Gwiazdozbiór Węża jest bardzo długi i dlatego odpowiadają mu dwa węzłki na kipu, jeden przypada na ogon, a drugi na głowę, konkretnie oko.

– Jak to się przekłada na miejsca na ziemi? – spytał Sebastián.

– Droga Mleczna odpowiada Świętej Dolinie, środkowej części rzeki

Urubamby, gdzie matka Uminy ma hacjendę Yucay. Odpowiednikiem gwiazdozbioru Lamy jest Ollantaytambo położone niedaleko od Yucay. Wzgórza Ollantaytambo przypominają swym kształtem lamę, tak jak Cuzco ma kształt pumy. Tam się dowiecie, z czym korespondują na ziemi gwiazdozbiory Kondora i Węża.

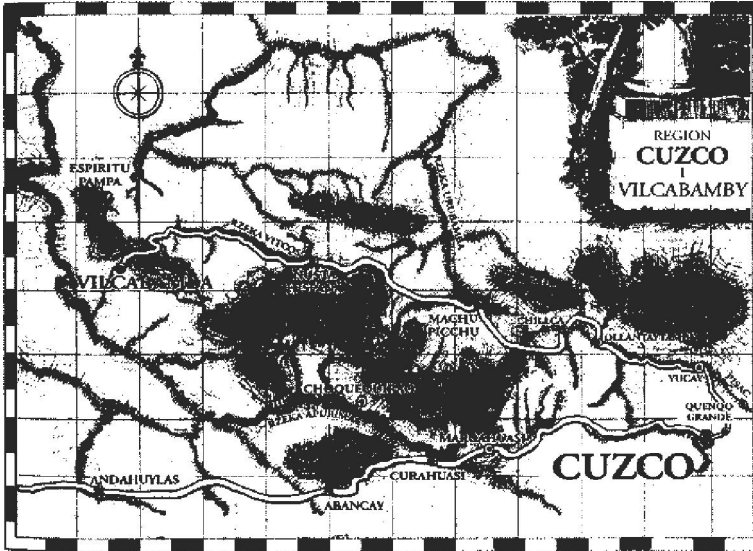
– A więc nasz pierwszy etap to Qenqo Grande – powiedziała Umina.

– Tak jest. A następnie Ollantaytambo. Znam tamtejszego *quipucamay*, nazywa się Sinchi, przyjaźnimy się. Przekażecie mu ode mnie kipu z prośbą, aby pomógł wam znaleźć kolejne miejsca.

Nad Cuzco, śpiącym spokojnie w kołysce z wysokich gór, zaczynało świtać. Na ośnieżonych szczytach pojawiły się pierwsze błyski słońca, przecinając diamentowe powietrze konturami pejzażu. Nocną ciszę przerywało coraz częstsze ćwierkanie *chihuacos*, które nawoływały się wesoło, podczas gdy cała natura budziła się ze snu, formując swe szyki na wyszczerbionych zębach twierdzy Sacsahuamán.

III

Zaginione miasto



55 Qenqo

Sebastián i Qaytu czekali niecierpliwie w zajeździe niedaleko Cuzco, przy drodze do doliny rzeki Urubamby i miasteczka Pisac. Widać było po nich zdenerwowanie, choć starali się to ukryć. Siedzieli przy stole w jak najdalszym kącie od drzwi, które się nie zamykały. Ubrani jak miejscowi Indianie starali się jak najmniej rzucić w oczy. Z kuchni dobiegały zapachy i trzaskanie garnkami, przy których uwijała się Usca, siostra Qaytu. Na zewnątrz, przy drodze, jej mąż Anco naprawiał drewniany płot.

Nagle usłyszeli galop trzech koni od strony Pisac. W miarę zbliżania galop przechodził w stępa, zatrzymując się przed zajazdem.

Inżynier i nadzorca popatrzyli na siebie czujnie. Indianin dotknął instynktownie noża, który miał na podorędziu, Fonseca wymacał pistolet pod kamizelką.

W drzwiach stanęli sierżant i dwóch hiszpańskich żołnierzy. Za nimi wszedł Anco, który zaprowadził ich do stołu i zapytał, czego się napiją.

Choć wojskowi grzecznie się przywitali i zdjęli czapki z głów, Sebastián i Qaytu wciąż czuli się niepewnie. Podobnie jak gospodarz. Dał znak córce, żeby zabrała z podwórka do domu trójkę młodszego rodzeństwa. Rzucił szwagrowi spojrzenie, z którego jasno wynikało, że bardzo mu nie pasuje ta niespodziewana wizyta.

Anco szybko obsłużył nowo przybyłych i miał nadzieję, że zaraz sobie

pójdą. Przez cały czas nadstawiał ucha i obserwował drogę. Jednak sierżantowi i hiszpańskim żołnierzom nie spieszyło się z powrotem do Cuzco. Ucięli sobie dłuższą pogawędkę, aż stało się to, co było nieuniknione.

Na zewnątrz dał się słyszeć głos kobiety domagającej się otwarcia wjazdu do zagrody. Anco dał ukradkiem znak Qaytu i Sebastiánowi, żeby nie ruszali się od stołu, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Sam zamierzał otworzyć bramę. Ale zanim wyszedł, sierżant zapytał, ile się należy. Zapłacili, wzięli karabiny i wyszli razem z Indianinem.

Fonseca i Qaytu natychmiast rzucili się do okna, skąd mogli obserwować przyjazd Uminy. Sierżant przypatrywał się jej uważnie, oparty o pobieloną wapnem ścianę, na którą padało słońce. Nie było to spojrzenie z gatunku tych, jakie zazwyczaj wywoływała piękna Metyska samym swym pojawieniem się. Oczywiście była odpowiednio przebrana, dzięki czemu nie musiała obawiać się kontroli dużo bardziej surowych u wejścia do Cuzco niż u wyjścia. Niemniej jednak sierżant obrzucał ją nieufnym spojrzeniem i zadał kilka pytań. Z gestów dziewczyny inżynier i nadzorca mogli wywnioskować, że usiłuje mu wytłumaczyć, dokąd jedzie i w jakim celu.

Nic to nie pomogło: żołnierze weszli na wóz i zaczęli rewizję.

Sebastián spojrział na Qaytu z przerażeniem. Mulnik przytrzymał go za ramię i próbował wytłumaczyć na migi, żeby się nie martwił, gdyż Umina na pewno jest przygotowana na taką okoliczność i przeszła już wcześniej przez kontrole.

– To nie to samo – odparł Fonseca. – Nas tam nie było i kontrolujący nie wiedzieli, że zatrzyma się w tym zajeździe.

Qaytu gestykulował, usiłując go przekonać, że taka kontrola jest rzeczą normalną. Pokazał na sierżanta i żołnierzy, którzy zeszli z wozu, dosiedli swych koni i ruszyli w stronę dawnej stolicy.

Kiedy już ich nie było widać, Sebastián podbiegł do Uminy.

– Nic ci nie jest? – pytał, chwytając ją za rękę i pomagając zejść z koźła.

- Wszystko poszło zgodnie z przewidywaniami.
- Jak twoja matka?
- Nic jej nie grozi, przynajmniej dopóki jest w Cuzco.
- Co z Carvajalem i Montillą?
- Byli u gubernatora miasta, ale nie poświęcił im większej uwagi, bo jest zbyt zajęty przygotowaniem do egzekucji. Zwijają obóz, który rozbili koło klasztoru.

Fonseca zaniepokoił się.

- To znaczy, że chcą wyruszyć w drogę.
- Na pewno. Wynajęli tropicieli, którzy dobrze znają ten region, dokąd się udajemy.
- Ale nie wiedzą, jaką drogą pójdziemy.
- Nie ma wielu dróg z Cuzco do Vilcabamby. Wszystkie prowadzą przez dolinę Urubamby. Carvajal wie, że mamy swoją hacjendę w Yucay.
- Będziemy unikać najbardziej uczęszczanych szlaków.
- To nie zawsze będzie możliwe. Musimy trzymać się ustalonej trasy. Nie ma wyjścia. Zaczynamy od pierwszej *huaca*, Qenqo Grande, tu niedaleko. Potem zaraz wyjeżdżamy. Niebezpiecznie być tak blisko drogi.

Qaytu z siostrą i jej mężem wprowadzili do zagrody na tyłach domu wóz, którym przyjechała Umina. I teraz wypytywali o prowiant i inne rzeczy potrzebne na wyprawę, żeby wszystko przygotować na ich powrót z Qenqa.

- Usca i Anco uważają, że najlepiej iść tam piechotą. Oni w tym czasie zajmą się końmi i mułami – poinformowała Umina Sebastiana.

Qaytu odwołał na bok Anca i na migi wypytywał o to miejsce w Qenqo. Szwagier odpowiedział mu w keczua. Trwało to dość długo i Fonseca, który ich obserwował, sądził, że nadzorca przekaze Metysce uzyskane informacje. Tymczasem stało się coś dziwnego: słuchając szwagra, Qaytu poczerwieniał, wpadł w złość, a na koniec ogarnęło go przygnębienie. Do tego stopnia, że Umina, nie czekając, sama podeszła do niego i zapytała.

- O co chodzi?

Nie odpowiedział ani nie zrobił żadnego gestu, tylko wdał się w ostrą kłótnię z siostrą i bratem.

Inżynier był zaskoczony, nic z tego nie rozumiał. Zniecierpliwiona Metyska przywoływała ich do porządku, wreszcie siostra Qaytu odwołała ją na bok i zaczęła gorąco przeproszać. Kobiety długo coś szeptały między sobą, kiwały głowami i okazało się, że wszystko już w porządku, można wyruszyć do pobliskiego Qenqo Grande.

Poszli we trójkę. Po drodze Sebastián zapytał dziewczynę:

- Macie jakieś sekrety?
- Nigdy nie byłam w tym miejscu – odparła Umina. – Według Chimpu to *huaca* jest początkiem Chinchaysuyu, jednej z Czterech Części imperium Inków, tej północnej.
- I dlatego tu zaczyna się szlak Sirax?
- Nie wiem.
- Co mamy zrobić, jak znajdziemy się na miejscu?
- Zobaczysz – ucieła sucho, jakby udzieliła się jej reakcja, którą wcześniej zaobserwował u Qaytu, Uski i Anca.

Zadał jeszcze parę pytań, ale niczego więcej się nie dowiedział. Odpowiedzi Uminy były wymijające. Inżynier zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi, jaki jest powód takiego zachowania. Nie znajdował wytłumaczenia.

Kierując się wskazówkami szwagra, Qaytu poprowadził ich kotliną między dwoma grzbietami górskimi. Ścieżką wzdłuż potoku doszli do samego źródła o przezroczystej, obficie tryskającej wodzie.

Nie było to jedyne miejsce rytualne. Nieco dalej znajdował się skalny pagórek. Musiał mieć duże znaczenie, na co wskazywały rzeźby wykonane z pietyzmem i wielką rozrzutnością w tym osobliwym stylu, który Sebastián miał już okazję podziwiać na wzgórzu z twierdzą Sacsahuamán, kiedy Umina pokazała mu Zmęczony Kamień. Teraz już wiedział, że inkascy snycerze ozdabiali w ten sposób swe najważniejsze sanktuaria, miejsca godne najwyższej czci.

Pagórek otaczała wychodnia skalna w formie półkolistych tarasów, które tworzyły naturalny amfiteatr ze schodkami. Wszędzie było mnóstwo figur geometrycznych.

Naprzeciwno, wyraźnie oddzielony od reszty, stał długi kamienny monolit zwrócony na południe. Jego cień padał na amfiteatr.

W wychodni była szeroka rozpadlina, przez którą wchodziło się do położonej w głębi pieczary. Wyglądało to całkiem naturalnie, choć z pewnością zostało udoskonalone ręką człowieka. Sebastián zdawał się dostrzegać wewnątrz jakiś ołtarz. W dół prowadziło kilka stopni ułatwiających zejście. Umina stała przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad czymś głęboko, zanim zdecydowała się wejść do środka.

Sebastián chciał iść za nią, ale poczuł na ramieniu dłoń Qaytu. Odwracając głowę, zobaczył, że mulnik daje mu wyraźnie znak, aby zostawił ją samą.

Podczas gdy Umina znajdowała się w pieczarze, Qaytu, siedząc, obserwował z najwyższą uwagą cień monolitu, który przesuwiał się po skalnym amfiteatrze jak gnomon zegara słonecznego.

Minęła dłuższa chwila. Nagle mulnik zerwał się i poszedł szybko do Uminy, jakby chciał jej coś powiedzieć.

Po wyjściu z pieczary dziewczyna ruszyła w stronę skalnego pagórka. Obaj mężczyźni towarzyszyli jej do momentu, gdy weszła na wykute w skale schody prowadzące na sam szczyt *huaca*, a oni zostali na dole.

Kiedy znalazła się na górze, rozejrzała się za cieniem monolitu. Padał akurat na grupę rzeźb otaczających wyżłobiony w kamieniu rowek. Tu cień zatrzymał się dłużej, jakby chciał obieć wszystkie rzeźby i dziewięć zakoli rowka.

– Mówiłaś, że Qenqo znaczy coś, co biegnie zygzakiem. Czy chodzi o ten rowek? – zapytał inżynier.

Umina zignorowała jego pytanie, podobnie jak samą obecność Sebastiána. Nawet nie spojrzała na rowek. Wpatrywała się w dwa zaokrąglone słupki na jednym z jego końców. Jednocześnie śledziła uważnie bieg słońca, które za chwilę miało rzucić cień na te balaski.

Sebastián nic z tego nie rozumiał i niewiele więcej zobaczył, ponieważ Umina zwróciła się do Qaytu w keczua obrażonym tonem, jakby wyrzucała mu, że nie zrobił tego, co powinien. Mulnik aż się skurczył od jej gniewu. Na migi wyrażał skruchę i prośbę o przebaczenie, a jednocześnie chwycił inżyniera za rękę, żeby go stąd zabrać.

Sebastián chciał zaprotestować. Ale nic z tego nie wyszło. Qaytu odciągnął go bezceremonialnie na drugą stronę, skąd nie było widać Uminy. Inżynier pokręcił się trochę i próbował wrócić na stare miejsce, ale wyczytał z oczu mulnika, że to nie żarty i ma trzymać się z dala od dziewczyny, dopóki sama do nich nie dołączy.

Aż skręcało go ze złości, ale musiał czekać. Wreszcie Umina zeszła na dół. Miała dziwny wyraz twarzy.

Próbował do niej zagadnąć, ale spojrzała na niego z takim smutkiem, że zrezygnował z dalszych indagacji.

Nie mógł jednak długo wytrzymać w milczeniu, zwłaszcza po tym, jak został potraktowany. Już miał rzucić jakąś złośliwą uwagę, kiedy rozległ się strzał.

Zdaje się, że strzelano w zajezdzie.

56 Yucay

Przerażeni wbiegli na wzgórze, skąd rozciągał się widok na całą okolicę, i zobaczyli, że stało się to najgorsze. Wokół zajazdu kręciło się co najmniej pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn. Jakiś człowiek leżał na ziemi w kałuży krwi. Sebastián wyciągnął swą lunetę i od razu rozpoznał ranne go. To Anco, szwagier Qaytu. W tym momencie wyszli z budynku szefowie grupy napastników. Poznał ich bez trudu.

– Carvajal i Montilla!

Siłą przytrzymywali Uscę, która wrywała się do męża i dzieci. Najstarsza córka biegła za nią z trójką młodszego rodzeństwa.

Nie pozwolili kobiecie podejść do męża, który wykrwawiał się, leżąc na ziemi. Carvajal kazał otwierać zagrodę, gdzie stał wóz Uminy i konie przygotowane do drogi.

– Co za łajdactwo! – oburzył się Fonseca. – Chcą pociągnąć za język siostrę Qaytu.

Kobieta uporczywie pokazywała na drogę w kierunku Pisac.

– Próbuje ich zmylić, żeby jak najszybciej wyjechali, zanim wpadną na nasz trop.

Carvajal i Montilla pozostali jeszcze przez dłuższą chwilę na zapleczu zajazdu, zaglądając w każdy kąt.

Potem wsiedli na konie i razem ze swymi ludźmi pognali w kierunku

wskazany przez Uscę.

Kiedy cała trójka dotarła do zajazdu, niewiele już mogli zrobić dla Anca, który dogorywał i wkrótce potem zmarł. Umina i Sebastián zajęli się dziećmi, a Qaytu próbował pocieszyć siostrę.

Kobieta nie dawała się oderwać od zwłok męża, choć trzeba było go czym prędzej pochować. Posłuchała dopiero wtedy, gdy powiedzieli, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi im wszystkim, jeśli pozostaną tu dłużej. Umina dodała, że ma natychmiast udać się do Cuzco, do domu Uyán, i opowiedzieć, co się stało, a na pewno znajdzie się tam schronienie dla niej razem z dziećmi.

Gdy kobieta z czwórką dzieci zniknęła na horyzoncie, zaprzęgli konie do wozu. Załadowali na jedną mulicę najbardziej niezbędne rzeczy, Qaytu wsiadł na drugą i bezzwłocznie ruszyli na północ, wybierając drogę na przełaj, starając się unikać najbardziej uczęszczanych tras.

– Carvajal był już kiedyś w tym zajeździe? – wypytywał Sebastián Uminę.

– On dobrze wie, że moja rodzina tu się zatrzymuje w drodze do hacjendy w dolinie Yucay.

– Tam też był?

– Niestety, tak.

– Co on teraz zrobi?

– Domyśla się, gdzie jedziemy, ale sądzi, że wybraliśmy drogę doliną, i będzie chciał nas dopaść na tej drodze. Musimy go wyprzedzić, żeby powiadomić o niebezpieczeństwie naszych arendarzy, bo jak nie znajdzie nas w Yucay, będzie się na nich mścił. Pojedziemy na skrót, przez mesetę, a nie drogą okrężną przez Pisac.

– Co nam to da?

– Co najmniej dwa dni przewagi, zakładając, że tamci będą robić postoje, żeby zdobyć prowiant i zasięgnąć języka u miejscowej ludności.

– Sprawdziłem na mapie. Od początku mogliśmy jechać na przełaj do Ollantaytambo. Po co było skręcać do Qenqo Grande?

– Bo tak każe szlak ustalony przez Sírax – odpowiedziała dziewczyna.

– Myślę, że chciała pokazać nie tyle najprostszą drogę do Vilcabamby, ile historię swego życia i swój własny szlak.

– Takie podwójne przesłanie?

– Sama nie wiem. Nadal nie rozumiem, w jakiej mierze kipu pokrywa się z konkretnymi miejscami w terenie. To się dopiero okaże, gdy obejrzymy kilka z nich.

* * *

Przybyli do hacjendy w Yucay pod wieczór. Ludzie pokończyli już pracę. Umina nie chciała żadnej specjalnej kolacji: ona i Sebastián zjedzą to samo co inni. Poleciała tylko, żeby im podano w osobnym pokoju, i zaprosiła do stołu Qaytu oraz Yarpaya, do którego miała pełne zaufanie. Chciała opowiedzieć mu o swych planach.

– Posłuchaj – powiedziała do indiańskiego zarządcy – zostaniemy tu tylko dwie noce. Lepiej nie ryzykować za wiele. Pojutrze wyjedziemy stąd przed świtem do Ollantaytambo, żeby porozmawiać z tamtejszym *quipucamayo*. Nikt nie może wiedzieć, dokąd jedziemy, bo szuka nas wataha uzbrojonych ludzi. Ty znasz ich przywódcę.

– Kto to taki? – spytał Yarpay.

– Alonso Carvajal.

Fonseca zobaczył, że gdy padło to nazwisko, zarządca zmienił się na twarzy.

– Dlatego tu jesteśmy – mówiła dalej Umina, starając się go uspokoić. – Żeby was uprzedzić. Jutro pokażesz nam, czym dysponuje hacjenda do obrony. Sprawdzisz to wszystko. Trzeba się przygotować na wypadek ataku ze strony Carvajala.

Ze swej strony Yarpay przedstawił sytuację hacjendy i wspólnie omówili najważniejsze sprawy.

– Pora iść spać – zaproponowała dziewczyna. – Jutro czeka nas ciężki dzień pełen pracy.

Było już widno, kiedy Sebastiana obudziły odgłosy domowej krzątani-ny. Otworzył okno w swej sypialni i zmrużył oczy, gdy poraziły go

pierwsze promienie słońca. Z pobliskiego patia dochodziło ryczenie grubych jak beka krów z pełnymi wymionami, które czekały na wydojenie. Pachniało mlekiem, śmiały się indiańskie dziewczyny, które ubijały świeże mleko i nalewały spienione do kubków ze rżniętego kryształu.

Uwagę Sebastiana zwróciła jedna z nich, choć była odwrócona plecami; jej rozpuszczone włosy opadały na nagie ramiona, niedbały strój dodawał jej tylko uroku. Inne dziewczyny uprzedziły ją, że ktoś się jej przygląda, bo odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto to taki. To była Umina. Uśmiechnęła się do niego na przywitanie. Widać było, że świetnie się tu czuje, wypoczęta, bez tego napięcia, które dręczyło ją w Qenqo Grande. Jeszcze nigdy nie wydawała mu się taka piękna jak teraz.

Podeszła do niego z tacą, na której postawiła koszyczek z owocami, ciastka, czekoladę i dwa kubki mleka.

– Świeżo wydojone – powiedziała. – Zapraszam na śniadanie.

Musiała zauważyć zdziwione spojrzenie inżyniera, kiedy siadali do stołu. Sebastián nie mógł oderwać oczu od rozpiętej koszuli, która uwydatniała kształty Uminy.

– To nie Lima ani Cuzco – powiedziała ze śmiechem. – Tu się żyje w zgodzie z naturą i zwyczaje są inne, bardziej swobodne.

– Jasne, jasne – przytaknęła, rzucając się na ciastka.

– Matka przywiozła mnie tu, gdy byłam mała. Tu się wychowałam. Klimat lepszy niż w Cuzco, mniej wieje. No i nie tak wysoko.

– To było wtedy, jak miałaś kłopoty ze zdrowiem?

– Widzę, że matka powiedziała ci o tym. Tak, wtedy. Po jakimś czasie mnie zabrała, bo stwierdziła, że robi się ze mnie dzikuska.

Wypili czekoladę i wyszli na patio, gdzie czekali już Qaytu i Yarpay. Zarządca pokazał Fonsece fosę i stary mur obronny, wszystko bardzo zaniedbane. Inżynier obejrzał i spytał:

– Macie jakąś broń?

– Trochę strzelb, dzidy, szpady i proce. W sumie niewiele.

– Zmierz tu pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych mężczyzn – przypomniał Fonseca i zasępił się. – Trzeba naprawić mur, zrobić ostrokół, który

będzie przeszkodą dla koni, napełnić fosę wodą, postawić wartowników. W ten sposób przynajmniej nie dacie się zaskoczyć i zdążycie wezwać pomoc z sąsiednich hacjend. Jak daleko stąd jest garnizon hiszpański?

- W odległości jednej mili.
- No dobrze, bierzmy się do roboty. Skąd wziąć wodę do napełnienia fosy? Przydałby się tu jakiś porządny strumień.
- Jest taki. Płynie ze zbocza góry.
- Pójdziemy go obejrzyć – zaproponowała Umina Sebastiánowi.

* * *

Wspinali się na płaskowyż otoczony wspaniałym sadem, najżyźniejszą ziemią w dorzeczu Urubamby. Minęli stare wierzby, *duraznos**, drzewa pomarańczowe i granatowce. Droga wiodła wśród janowców tak wysokich, że wyglądały jak prawdziwy las.

* *Durazno* (hiszp.) – odmiana brzoskwini.

Powyżej błyszczały w słońcu śniegi i lodowce szczytów Calca i Paucartambo stanowiące zachwycające tło dla Yucay. Strome ściany gór schodziły aż do rzeki, łagodniejąc w dolnych partiach zboczy, układając się schodkowo w tarasy poprzecinane źródłami i potokami; zawsze tu było zielono, nawet w zimie, a o tej porze roku krajobraz mienił się wszystkimi kolorami.

- To najlepsze ziemie w całym kraju – powiedziała Umina, wciągając głęboko powietrze do płuc.
- Zawsze należały do waszego rodu?
- Tak, matka jest z nich bardzo dumna. Dawniej były to niezdrowe, bagniste tereny, dopóki Huayna Cápac, ojciec Quispi Quipu, przodek mojej matki, nie kazał ich osuszyć. Długo usuwano kamienie z tarasów, żeby zapewnić dobre zbiory. Teraz wszystko wygląda tak naturalnie, ale to dzieło rąk człowieka.

Umina pokazała na ruiny rozrzucone po szerokich, wysoko położonych tarasach, nad którymi wznosiły się lodowce góry Calca.

- To letni pałac Huayny Cápaca. Matka mówi, że tu zgromadził

najlepszych swych ludzi i stworzył najważniejsze dziedzictwo naszej kultury z czasów przed przybyciem Hiszpanów.

– Plan Inki?

– W pewnym sensie tak. Spójrz na ten system tarasów i rowów nawadniających.

Już od dłuższej chwili inżynier przyglądał się im bardzo dokładnie, szukając najkrótszej drogi dla sprowadzenia wody spod kamieni młyńskich ze stoku nad doliną do starej fosy hacjendy.

Widział ogromny wysiłek włożony w tworzenie tych tarasów: wyrównanie powierzchni, budowa murów zapobiegających osuwaniu się ziemi, naniesienie ziemi, zapory wodne i kanały. Inkascy budowniczowie respektowali fizjonomię każdego miejsca, które miało dla nich własną, ukrytą tożsamość. Tym sposobem pozostała nienaruszona i z czasem zaczęła przejawiać się w formach, które tylko woda potrafi wyrzeźbić dzięki głębokiej znajomości terenu, po którym płynie.

Wiedział dobrze, ile pracy wymaga budowa kanałów nawadniających nawet w warunkach tysięcy razy lepszych niż te. Wyliczenia trzeba było zacząć na samej górze, na granicy wiecznych śniegów i lodowców, usuwając z nich rumowiska, żeby można było przystąpić do wykorzystania strumieni wodnych. Te wszystkie rozproszone roztopy trzeba było najpierw zebrać w jeden kanał, ujarzmić w kamiennych korytach, powstrzymać ich impet w zaporach. Następnie, już na terenie mniej stromym, rozdzielić ten górski potok do różnych rowów i kanałów. I na koniec doprowadzić do poszczególnych tarasów, uwzględniając kąt nachylenia i gradienty dla różnych form, poziomów i przepływów, tak żeby wszystkie tarasy i uprawy były równo nawadniane. Takie tarasy musiały być starannie zaplanowane, aby zatrzymać w sam raz tyle wody, ile trzeba; w przeciwnym razie ulegały erozji i rozmyciu.

W związku z tym należało również zaplanować odpowiedni system zbiorników regulacyjnych o określonej pojemności wody, która płynęła z daleka, zamykać je w porze deszczowej, otwierać w porze suchej. Trzeba było dokładnie poznać cykle i zaburzenia opadów i roztopów. Sebastián

przekonał się podczas podróży, że niektóre z tych kanałów ciągnęły się na wielką odległość i można było godzinami jechać wzdłuż nich. Był pewien, że zajęłoby to całe dni albo i tygodnie bez przerwy, gdyby chciał objechać zygzakami.

Ale to nie wszystko. Teraz, gdy miał u swych stóp ziemie Huayny Cápaca, rozłożone jak mapa, lepiej pojmował ogrom i zasięg renowacyjnego Planu Inki.

– Czy zwróciłaś uwagę na kształt tych terenów? – zapytał Uminę.

Obejrzała dolinę od końca do końca, jak daleko sięgał jej wzrok, i odpowiedziała pytaniem:

– Co masz na myśli?

– Przypomniałem sobie, co powiedział Chimpu. Jego zdaniem kipu są wzorem dla wszystkiego. Również jeśli chodzi o jakieś terytorium. Na przykład rowy nawadniające mają kluczowe znaczenie. Bez nich nie ma upraw, więc inkascy inżynierowie musieli najpierw porobić te wyliczenia. Woda biegnie głównym kanałem, który schodzi z gór. Wychodzą z niego prostopadle boczne kanały, które rozgałęziają się na poszczególne tarasy. Z kolei tarasy dzielą się na mniejsze półki.

– Chcesz powiedzieć, że główny kanał jest w rodzaju grzbietu grzebień, a boczne zębami – zauważyła dziewczyna.

– Właśnie tak. Ten sam wzór powielają drogi, schody, stawy nawadniające i budynki mieszkalne. Nigdy kipu nie było bardziej podobne do mapy.

– Sądzisz, że to zamierzone?

– Z pewnością tak. Jeśli kanały i półki tarasowe są zbudowane na wzór kipu, łatwo naszkicować ich plan za pomocą tego systemu rejestrowania.

– A także prowadzić rachunki, ustalać kolejność poszczególnych prac polowych w zależności od tego, czy to czas siewu, uprawy czy zbiorów. Zaplanować nawadnianie, pastwiska i produkcję dla każdego miejsca.

– To wszystko miało na celu ułatwienie gromadzenia informacji, żeby jednym rzutem oka móc ogarnąć całą strukturę systemu, sprawdzając jakiś

szczegól. Przedstawiało ideę ładu i porządku, kontrolowania rządu i władzy. Było wyrazem prestiżu politycznego.

– Te same zasady przyświecały architekturze w czasach Huayny Cápac – zgodziła się Umina.

– I prawdopodobnie nimi kierowała się Sírax przy sporządzaniu tego kipu – dodał Sebastián, zdejmując je z szyi i porównując z panoramą rozciągającą się przed ich oczami.

Coraz lepiej rozumiał, co chciał przekazać mu ojciec. Kipu to oczywisty sposób na bezpośrednie przedstawienie danego terytorium, bez struktur pośrednich, niejako żywa mapa. Ziemia, woda i gwiazdy ukształtowały miejsca jedyne w swoim rodzaju, użyźnione grobami przodków, nawilżone ich potem, połączone w jedno wielkie kipu tarasów i kanałów. A ludzie odwzorowali dokładnie ten splot wąwozów, źródeł i rodowodów.

* * *

Ustalwszy, z których rowów najszybciej i najpewniej popłynie woda do fosy, oznaczyli je tyczkami z czerwonymi chorągiewkami. Sebastián przez resztę dnia nadzorował roboty wodne. Umina nie pozwoliła mu brać do ręki narzędzi.

– Nie zagoiły ci się jeszcze rany na prawym ramieniu, a będziesz go potrzebował podczas wyprawy. Oszczędzaj siły. Tu nie brak ludzi do pracy.

Przysłała mu również do pomocy najstarszego syna Yarpaya, bystrego młodzieńca, który nie miał jeszcze szesnastu lat. Następnie sama zrobiła przegląd broni, podczas gdy zarządca hacjendy kierował naprawą starych murów obronnych, a Qaytu pilnował wyrębu drzew potrzebnych do wzmocnienia palisady.

Późnym popołudniem ta pracowita armia zakończyła działanie. Myli się, zadowoleni z wykonanej pracy, kiedy rozległ się dzwonek zwołujący na podwieczorek, który był zarazem obiadem i kolacją.

Ustawiono naprędce zbite stoły pod rozłożystą koroną *pisonay*, drzewa tak wysokiego i potężnego, że w jego cieniu zmieścili się wszyscy, którzy

pracowali nad zabezpieczeniem hacjendy przed atakiem z zewnątrz. Z tego miejsca mieli dobry widok na całą posiadłość aż po góry na horyzoncie i łąki wzdłuż rzeki.

Umina wydała instrukcje, żeby niczego na stole nie zabrakło. Znoszono tamale i kolby młodej kukurydzy ze świeżym serem, potrawy proste i zwyczajne, a obok nich pieczone koźlę i kapłony z jajkami. Piwo kukurydziane, wino i aromatyczna wódka z winogron *pisco* lały się strumieniami.

Umina nalegała, żeby Sebastián spróbował *uñuelas*, sama go częstowała tymi owocami z gatunku brzoskwini, o aksamitnej skórce. Inżynier zauważył, że wszyscy biesiadnicy czekają na jego opinię. Po degustacji musiał zresztą przyznać:

– Nigdy w życiu nie jadłem czegoś tak delikatnego.

Dostał oklaski za te słowa. Niemniej jednak miał wrażenie, że jeszcze czegoś od niego oczekują. Siedzący przy nim Yarpay trącił go po kryjomu łokciem i podał owoc, którego jeszcze nigdy nie widział.

– Dziękuję, ale już się najadłem – powiedział Fonseca.

Kilka kobiet roześmiało się. Zarządca hacjendy szepnął mu do ucha:

– To nie dla pana. Kiedy dziewczyna ofiarowuje chłopakowi taki przysmak jak *uñuelas*, on powinien jej się odwzajemnić. To papaja. Niech pan weźmie i poda Uminie.

Sebastián podniósł się, zwracając się do Metyski, i zaczerwienił się po uszy. Wśród kobiet znów rozległy się śmiechy. Jedna z dziewcząt z kręgu koleżanek Uminy z dzieciństwa wstała wypchnięta przez resztę.

Wokół niej zapadła cisza, kiedy zaczęła śpiewać *yaravi*. Czysty, miarowy głos nucił słowa w keczua tonem typowym dla przyśpiewek miłosnych, w których kobiety figlarnie i bez ogródek mówią o swych uczuciach:

Caylla llapi

puñunqui.

Chauptuta

samusac.

– Co to znaczy? – spytał Sebastián Uminę.

– „Pobaw się i kładź się spać, a ja przyjdę do ciebie o północy” – przetłumaczyła.

Inni też chcieli coś zaśpiewać, więc trzeba było przynieść gitary, *quenás* i *charangos**. Zapanował radosny nastrój, choć słońce znikало już za horyzontem. Nawet Qaytu, zazwyczaj tak posepny, włączył się do zabawy, i to w dobrym towarzystwie.

* *Quenas, charangos* (hiszp.) – tradycyjne instrumenty Indian peruwiańskich.

– Kim jest ta sympatyczna Indianka obok Qaytu? – spytał Sebastián Uminę.

– Miłość z czasów młodości. Niestety, większość dziewczyn unika Qaytu. Boją się jego milczenia. Przejdziemy się?

– Chętnie.

* * *

Umina zaproponowała spacer do ruin pałacu Huayny Cápac, skąd o zachodzie słońca roztaczał się najpiękniejszy widok na okolicę.

Wykorzystując to miejsce i jego uprzywilejowane położenie, utworzono tu ogród ze schodami, żywopłoty z mirtu i marmurową fontannę. Pośrodku znajdował się grób ojca Uminy. Nie sprawiało to wcale przygnębiającego wrażenia. Zwłaszcza teraz, gdy z doliny dobiegało pobrzękiwanie dzwoneczków i zapach wiciokrzewów. Wyglądało to raczej na powrót do domu.

– Twoja matka powiedziała mi, że chce być tu pochowana – powiedział Sebastián. – Teraz ją rozumiem.

– Myślę, że tak wygląda raj.

– A pałac? Dlaczego jest w takim stanie? – spytał, pokazując na ruiny.

– Rozebrano go i kamienie wykorzystano do budowy klasztorów i kościołów w dolinie.

– Co to? – spytał inżynier, słysząc jakiś hałas.

Zdziwił się, widząc strach w oczach dziewczyny. Wiedział, że nie jest bojaźliwa. Pobiegł oczami za jej wzrokiem.

Oprócz nich ktoś jeszcze był w ruinach. Poruszał się bezszelestnie jak zjawą. Fonseca podniósł się, gotów podejść bliżej, ale Umina dała mu znak, żeby nic nie robił i nie zostawiał jej samej.

Był to Indianin, stary człowiek, przygarbiony pod brzemieniem lat. Miał pomarszczoną twarz o groteskowym wyrazie, ponieważ jedno oko było przecięte ukośną blizną. Na dodatek żuł liście koki, które wypychały mu policzek. Nosił spodnie ze skóry lamy, tak poplamione i brudne, że gdyby je postawić, utrzymałyby się same, bez pomocy człowieka.

– Kto to?

– Szaleniec. Mówi, że pilnuje ruin. Pamiętam, że był stary już wtedy, kiedy ja jeszcze nie odrosłam od ziemi. Strasznie się go bałam w dzieciństwie, ale zdaje się, że jest nieszkodliwy.

Przeszkadzała im jego obecność, więc przenieśli się trochę dalej, nad położony na uboczu staw.

– Jak daleko stąd do Ollantaytambo?

– Około czterech mil. Jeśli wyruszymy wcześniej rano, dotrzemy po południu.

Starzec usiadł na kamiennym bloku, rozpostartym na ziemi w miejscu, gdzie zaczynały się ruiny pałacu. Jakby to była najnaturalniejsza rzecz w świecie, wyjął młotek kamieniarski i zajął się gładem. Ledwie raczył na nich spojrzeć. Mlaskając cienkimi, chudymi wargami, czarnymi od koki, zgniół konika polnego, który przycupnął obok niego. Przez resztę czasu był tak pochłonięty ostukiwaniem kamienia, że nie zwracał na nich żadnej uwagi. Zniknął, gdy zapadła noc.

U ich stóp rozpościerała się Święta Dolina, a w górze bezdenna głębia nocy andyjskiej. Powietrze było tak lekkie i czyste, że można było nieomal dotknąć gwiazd. Niebo nie wydawało się czarne ani puste, tylko zalane światłem. Wyróżniała się Droga Mleczna, zwierciadło i kosmiczny odpowiednik rzeki Urubamby. Jej konstelacje iskrzyły się tak intensywnie, że można było zrozumieć poufałość Inków, którym wydawała się tak samo bliska jak krajobrazy i zwierzęta na ziemi.

– Teraz widzę, dlaczego porównuje się ją do rzeki – powiedział Sebastian, pokazując na odbicie Drogi Mlecznej w stawie i wspominając nocne obserwacje gwiazd ze szczytu Sacsahuamán.

– Biada tym, którzy noszą gwiazdę na czole! – zawołała Umina, dotykając palcem miejsca na jego czole między brwiami.

– Dlaczego tak mówisz?

– Odkąd pamiętam, matka zawsze mi powtarzała, że mam motylki w głowie.

– To prawda, że jak się urodziłaś, nie dawano ci nawet tygodnia życia?

– Tak, ale przeżyłam. Może dlatego, że miałam w oczach dużo gwiazdek. Prawie tyle, ile teraz jest w stawie.

Sebastian spojrzał na gwiazdy skaczące i łzawiące się w wodzie.

– Wyglądają jak świetliki. Raz w dzieciństwie je pomyliłem. Pewnej sierpniowej nocy, gdy byłem na wsi, zobaczyłem deszcz spadających gwiazd. Jedna upadła na trawę, więc ją podniosłem. Trzymałem ją w lekko zaciśniętej dłoni przekonany, że spadła dla mnie z nieba. Zaniósłem ją do domu i położyłem na szafce koło łóżka, przykryłem odwróconą szklanką. Leżałem w ciemnościach i patrzyłem na nią, dopóki nie usnąłem. Nazajutrz rano okazało się, że robak zjadł moją gwiazdę.

Roześmieli się oboje i zamilkli. Po chwili Umina przerwała ciszę, szepcząc:

– Widziałam cię dzisiaj przy pracy między naszymi ludźmi. Podobało mi się to, jak się do nich odnosisz. Wcale nie po wojskowemu.

– Zawsze chciałem być inżynierem. Budować.

– To dlaczego wstąpiłeś do wojska?

– Bo w Hiszpanii nie ma inżynierów cywilnych jak we Francji. A od czasu wypędzenia jezuitów nauki ściśle na odpowiednim poziomie oferują tylko szkoły wojskowe.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

– Nie czuję się urażony. Sam setki razy zadawałem sobie to pytanie.

Znów umilkł wsłuchany w vibracje nocy, które oddziaływały na zmysły jak wabik. Czuł nieodparty pociąg do Uminy. Całe jego ciało przebiegł dreszcz, który wstrząsnął nim dogłębnie i uzmysłowił, jak bardzo pragnie tej dziewczyny. Ale jednocześnie coś go powstrzymywało, jakaś dziwna nieśmiałość nie pozwalała posunąć się dalej. Ileż gwiazd zamieniło się w jego życiu w robaki, pozostawiając po sobie pustkę i rozczarowanie? A z drugiej strony, dlaczego właśnie teraz o tym myśli? Nie wiedział, czy to skutek jezuickiego wychowania, staroświeckich przesądów o dumie rodowej i czystości krwi, czy też, jak się tego obawiał, poczucie klęski wyniesione z wcześniejszych związków, które rozpadły się po drodze.

Na dole w hacjendzie ustały śpiewy i muzyka. Teraz słyhać było tylko pracowity szum wody i śpiew świerszczy – dźwiękowy przekład majestatycznego sklepienia gwiazd, które przeglądały się w dolinie.

Czuł oddech Metyski zmieszany z jego własnym w drgającym powietrzu tego magicznego miejsca. Ale bał się odezwać.

Ona zrobiła to pierwsza:

– Jutro trzeba wstąpić. Myślę, że zasłużyliśmy na odpoczynek.

Zeszli na dół i udali się do domu. Odprowadził ją pod drzwi jej sypialni. W progu Umina odwróciła się do niego, dotknęła delikatnie jego dłoni i poprosiła, żeby się zbliżył. A następnie uniosła do góry kaganek, żeby Sebastian mógł zapalić swój od jej płomienia. Miała rozpuszczone włosy, jej półotwarte usta wyrażały pragnienie i przyzwolenie. Oczy świeciły niezwykłym blaskiem. Zazwyczaj wyrażały niezłomną wolę działania, siłę i stanowczość. Ale teraz, z bliska, patrzyły inaczej. Była w nich obietnica szczęścia i prośba, żeby nie bał się zaufać swym uczuciom.

Otworzyła drzwi, a on w tym czasie zbierał wszystkie siły, wstrzymując oddech i przygryzając wargi, żeby nie powiedzieć za dużo. Wahał się. Miał za sobą wspaniały dzień, jeden z tych, kiedy zmęczenie fizyczne przechodzi w intymne doznanie pełni. Od dawna tak się nie czuł. To wszystko było zbyt piękne, aby zepsuć to jakąś nierozważną decyzją.

Odsunął swój kaganek od kaganka Uminy i powiedział drżącym głosem:

– Dobranoc. Śpij dobrze.

Usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi. Idąc do swego pokoju, poruszał się jak automat. Widział swoje nogi stawiające równe kroki niezależnie od jego woli, serce tłukło mu się w piersiach, czuł suchość w gardle. Przeklinał tę swoją nieśmiałość. Ale było już za późno.

Nagle usłyszał krzyk. Wrócił biegiem pod drzwi Uminy i zapukał.

Otworzyła mu i powiedziała, pokazując na zakratowane okno:

– Tam, na zewnątrz!

Okno wychodziło na patio, wychylił się i wydało mu się, że dostrzega falowanie żywopłotu tuż koło ściany.

– To ten stary jednooki Indianin – skarżyła się Umina. – Boję się. – Wzięła go za rękę i poprosiła: – Nie zostawiaj mnie samej, Sebastianie.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Te słowa zawierały nie tylko prośbę. Otwierały się na pragnienie, pragnienie odwzajemnione, które wydobywało się z wielkiej głębi i torowało sobie drogę, aż nabrało takiej temperatury, że wybuchło wszystkimi porami i poczuli się przeniesieni daleko od tego miejsca i poza czas. Ale ona mówiła mu jeszcze więcej. Oddawała mu swój świat. Swoje zabawki i wspomnienia z dzieciństwa ukryte głęboko w szafie razem z lusterkim z obsydianu. Wołała do niego stamtąd, otwierała mu drzwi do swego tajemniczego raju, zapraszała, prosząc, aby wszedł i dzielił z nią to wszystko. Wzruszała go jej szczerłość, rozbrajające słowa i obietnica pieśczot.

57 Ollantaytambo

Wschód słońca zastał ich już w drodze. Uminie ciężko było opuszczać Yucay. Zatrzymała konia w momencie, gdy mieli stracić z oczu widok hacjendy.

Sebastián uszanował jej smutek i potrzebę skupienia, poszedł napoić konie w rzece. Po chwili Umina zbliżyła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu, szukając otuchy w tym geście milczącego porozumienia ciał, które pokonały już wszystkie bariery. Ożywiający dotyk ciepłej skóry wśród przesywającego chłodu o poranku.

Słońce stało w zenicie, kiedy dotarli do Ollantaytambo, a to, co zobaczyli w jego intensywnym świetle, pozwoliło im zrozumieć, dlaczego odpowiednikiem tego miejsca w ziemskich ekwiwalencjach Drogi Mlecznej był gwiazdozbiór Lamy. Górę, na której przycupnęło miasto, pokrywały tarasy zrobione przez tubylców w taki sposób, że pola uprawne i przestrzeń zabudowana tworzyły razem kształt lamy, opiekuna astralnego Ollantaytambo.

Na najwyższej wieży widać było jeszcze świeże ślady ognisk. System sygnałów dymnych ułatwiał łączność z rozsianymi po górach osadami i był najszybszym sposobem przekazywania wiadomości.

Krzyż górujący nad doliną wskazywał na skupisko domów. Tubylcy

przyjęli ich nieufnie. Ale gdy zapytali o *quipucamayo* Sinchiego, wskazano im jego dom.

Był zbudowany wokół podwórka, na którym pasły się świny, biegały kaczki, kury i świnki morskie.

Quipucamayo stanął w progu, usłyszawszy ich wołanie. Jego podejrzliwość się rozwiąła, gdy pokazali mu wiadomość od kolegi z Cuzco. Mieli dla niego wiadomość, którą Chimpu sporządził tytułem prezentacji. Zapoznawszy się z nią, przywitał się, nakazał jednemu z Indian zaprowadzić ich konie na pobliskie pole lucerny i zaprosił ich do środka.

Wyszedł na moment, żeby przynieść kipu. Trzymając je w rękach i przesuwając po nim palcami, wyjaśniał mozolnie i nieskładnie po hiszpańsku.

– Mój przyjaciel Chimpu pyta. Chce wiedzieć moje kipu. Czy jest wśród nich o Vilcabambie – poinformował. – Ja odpowiadam, że jest. Przynajmniej jedno. Jedna historia. Inkaska księżniczka.

– Kiedy zdarzyła się ta historia? – spytał Sebastián.

– Dwa wieku temu. Przechodziła tędy. Znacząca księżniczka. To stara historia. Zapisana jest w kipu. Raz w roku w tych ruinach pod gołym niebem jest przedstawienie tej historii. Jak w teatrze. Przychodzą ludzie z sąsiednich wiosek. Całe tłumy. Często płaczą.

Z tego wszystkiego, co im mówił Sinchi, wywnioskowali, że cały ten system kipu, *ceques* i *huacas* stapia się w jedno z miejscami związanymi z pamięcią o tym, co tam się wydarzyło.

– Jest taka fiesta. Wspominanie zmarłego – ciągnął *quipucamayo*. – Jak był ubrany i co posiadał. Śpiewa się o jego czynach. Odwiedza się jego ulubione miejsca. Idzie się tam, gdzie on chodził, siada tam, gdzie siedział. Widzi się to, co on widział.

– I w ten sposób przechowuje się pamięć o tej inkaskiej księżniczce? – spytała Umina.

Sinchi przytaknął i biorąc do ręki kipu, które przyniósł ze swego archiwum, zaczął recytować sztukę. Znał ją na pamięć, więc tylko od czasu do

czasu sięgał do węzłków i sznurków, żeby odświeżyć sobie jakiś wątek tej opowieści.

– To mowa wierszowana. Musiałbyś dobrze znać keczua, żeby to zrozumieć – powiedziała dziewczyna do Sebastiána.

Słuchając tego języka, miał wrażenie, że harmonizuje on z ruinami i przywraca im życie. Brzmiał twardo w spółgłoskach wymawianych z przydechem. Było w nim echo dzikiej przyrody i wojowniczych skał. Ale także odbicie urodzajnej doliny, łagodzące epicką treść w samogłoskach, brzmiałych śpiewnie i hipnotycznie, niczym delikatna perswazja. W rezultacie skarga wydobywająca się z samych trzewi kończyła się jakąś wewnętrzną harmonią i zgodą na swój los pomimo tylu buntów i niepowodzeń.

W miarę jak Umina przekazywała mu szeptem treść słów *quipucamayo*, starając się tłumaczyć dokładnie przynajmniej niektóre wiersze, Fonseca wyczuwał wzbierające w niej wzruszenie. Była to opowieść o miłości, o płomiennym uczuciu zbuntowanej księżniczki, gotowej walczyć ze wszystkimi, którzy nie uznawali tej miłości i nie pozwalali jej kochać. Udzielił im się nastrój tej historii i zaczęli inaczej patrzeć na to miejsce.

– Może dlatego Sírax wybrała je na swoje prywatne *huaca* – powiedziała Umina. – Była pewna, że Ollantaytambo przetrwa. A legendy żyją dłużej, gdy mają swoje terytorium.

– Jest też drugi powód – odezwał się *quipucamayo*. – Nie da się ominąć Ollantaytambo. Bo tędy prowadzi droga do sanktuarium, w dół rzeki. Hiszpanie nigdy go nie odkryli.

– Gniazdo Kondora?

– Tak. Nazywa się Cuntur Guachana. Kobiety tkają tę powieść. Utrwalają w tkaninach. Na swój sposób. I wspominają inkaską księżniczkę – powiedział Sinchi. A zwracając się do Uminy, dodał: – Jesteś kobietą. Tobie opowiedzą.

Przeprosił, że musi odejść, żeby przygotować dla nich pokoje na noc.

Tymczasem Sebastián i Umina postanowili zwiedzić dawną fortecę Inków. Szukali jakiegoś spokojnego miejsca.

– Sądysz, że ta inkaska księżniczka z legendy, na którą powołał się Sinchi, to Sírax?

– Nie ulega wątpliwości.

– Skąd ta pewność?

– Z tego, co zdołałam zaobserwować w Qenqo Grande.

– A co tam właściwie widziałas?

– Próbuję wczuć się w jej sytuację.

– W sytuację Sírax?

– Tak. I choć nie umiem wszystkiego odgadnąć, coraz bardziej zadziwia mnie jej odwaga. Rozpoczęła swoją podróż od tego miejsca co my.

– Mówisz o tym miejscu, gdzie byliśmy kilka dni temu?

– Tak, chodzi o ten talweg niedaleko zajazdu. Potem musiała przejść tędy, żeby dojść do Gniazda Kondora. To, co się jej przydarzyło, musiało wiele znaczyć dla ludzi z tych stron, skoro przetrwało w legendach i tkaniach, które wciąż jeszcze przędą tutejsze kobiety. Podejrzewam, że tego właśnie chciała i zrobiła to celowo.

– Celowo?

– Sporządziła szlak, który można odtworzyć tylko wtedy, gdy mieszkańcy tych ziem, przez które on prowadzi, zachowują pamięć o swej przeszłości. W przeciwnym razie nie warto byłoby się trudzić, tylko poczekać na lepsze czasy.

Spletli swoje dłonie, kiedy nagle usłyszeli gromki, chrapliwy głos.

– Co tu się wyprawia?

Odwróciwszy się, ujrzeni człowieka o pyzatej twarzy.

– Kim pan jest? – spytał Sebastián.

– Proboszczem tej wioski – odpowiedział.

Rzeczywiście, był w sutannie. I choć krzepka, przysadzista sylwetka wskazywałaby raczej na wieśniaka, nawykłego do pługa, dłonie miał wydelekowane od mszy i błogosławieństw.

– Co mężczyzna robi sam na sam z kobietą o tej porze? Z tego co słyszę, jest pan Hiszpanem. No właśnie, Hiszpan przebrany za Indianina.

Mnie pan nie nabierze. Wiem, czego szukacie. Skąd się tu wzięliście?

Fonseca chciał go przepędzić na cztery wiatry. Ale Umina ścisnęła go za rękę, żeby się uspokoił.

- Z Yucay – odpowiedziała.
- Gdzie zatrzymaliście się w wiosce?
- U Sinchiego.

– U tego *quipucamayo*? To potwierdza moje podejrzenia. A więc dlatego nie przyszlście przywitać się z księdzem, jak przystało na dobrych chrześcijan. Wiem, do czego wam potrzebny ten bałwochwalca!

Dopiero teraz Umina i Sebastián zdali sobie sprawę, że ksiądz jest pijany.

– Dobrze wiem, że szukacie skarbów – kontynuował. – I nie chcecie dzielić się nimi z biednym sługą bożym. Ale uwaga! Tutejsi Indianie to zabobonne dzikusy pomimo moich wysiłków sprowadzenia ich na dobrą drogę. Będziecie mieć kłopoty, jak zaczniecie grzebać w ruinach. Skoro byliście w Yucay, to musieliście widzieć w pałacu Huayny Cápaca tego Indianina uzbrojonego w młotek.

Umina i Sebastián wymienili spojrzenia, przypominając sobie jednookiego starca, ale nic nie powiedzieli. To nie przeszkodziło księdzu perorować.

– Znać go – roześmiał się z sarkazmem. – Ten człowiek szwenda się po całej dolinie. Wiedziecie, że nic się przed nim nie ukryje. Ma ponad sto lat i nigdy nie był ochrzczony. Nadal składa ofiary w *huacas*. Teraz szpieguje na rzecz buntowników indiańskich, którzy zatruwają nam życie. Założę się, że zna miejsce ukrycia tych przeklętych skarbów inkaskich. To musi być gdzieś tutaj. Dlatego pilnuje, żeby nikt ich nie zabrał.

Widząc w ich oczach sceptycyzm, dodał:

- Jeśli szukacie skarbów, mogę wam się przydać.

Pochylił się do Sebastiana, chwiejąc się na nogach, i zionął mu w twarz wódczanym oddechem.

– Dobrze znam te okolice, pokażę wam, gdzie kopać, ale chcę mieć swój udział w podziale bogactw. Nie wypada, żeby proboszcz włóczył się

po górach z osłem, łopatą i kilofem – roześmiał się. – Co nie znaczy, że nie mogę przyjąć darowizny.

Sebastián pokazał mu gestem, żeby się odsunął. Ksiądz nie ustępował.

– Dajcie mi przynajmniej coś do picia! – wrzeszczał.

Inżynier strząsnął jego ręce ze swoich. Ksiądz odsunął się, ale źle obliczył odległość, potknął się i poleciał na dół.

Zaraz się podniósł i z trudem utrzymując się na nogach, zaczął miotać groźbami. Wcale nie wyglądało to śmiesznie.

58 Cuntur Guachana

O świcie obudziło ich mocne pukanie do drzwi. Sinchi poszedł otworzyć i wrócił z młodym Indianinem. Od razu go poznali: to był syn Yarpaya, zarządcy hacjendy w dolinie.

– Co się stało? – zapytała przestraszona Umina.

Chłopiec odpowiedział w keczua – mówił dość długo, głos mu się załamywał z napięcia i na koniec rozplakał się z bezsilności.

Dziewczyna była załamana tym, co usłyszała, gniew wykrzywił jej twarz. Z trudem się opanowała, żeby przekazać wiadomość Sebastianowi.

– Carvajal... Podpalił hacjendę Yucay.

– Co z ludźmi? Dlaczego się nie bronili?

– Próbowali, ale ktoś mu dopomógł i otworzył drzwi.

– Kto?

Umina zwróciła się z tym pytaniem do chłopca, a następnie przetłumaczyła jego odpowiedź.

– Jednooki starzec, którego spotkaliśmy w ruinach.

– Przeklęty wariat! – wykrzyknął Sebastián.

– Zrobił nie tylko to. Kiedy Carvajal wtargnął do hacjendy, od razu zapytał o nas. Yarpay zaprzeczył, że byliśmy. Ale ten stary Indianin powiedział, że nas widział i słyszał naszą rozmowę, z której wynikało, że udajemy się dalej, do Ollantaytambo. Ludzie Carvajala pobili zarządcę do utraty przytomności.

– Żyje?

– Tak. Carvajal nigdy nie posuwa się do morderstwa w obecności świadków, o ile nie może powybić wszystkich. Ale Yarpay już nigdy nie będzie chodził. Połamali mu wszystkie kości...

– Przynajmniej oskarży tego łotra o podpalenie...

– Niestety, nie. Carvajal dowiedział się od starego Indianina, że spędziłam z tobą noc, i dostał ataku furii. Jednak postarał się, aby wszyscy widzieli, że to nie on podłożył ogień w moim łóżku, tylko ten staruch. Opuścił hacjendę dopiero wtedy, gdy płonęły już wszystkie budynki.

– To zemsta za pożar w manufakturze!

– Moja biedna matka tego nie przeżyje, jak się dowie. Jej ukochana hacjenda!

Wszedł *quipucamayo*, żeby ich uprzedzić:

– Obcy ludzie... Uzbrojeni... Tam na dole. Skręcają do wioski.

Fonseca wspiął się na wieżę, która górowała nad okolicą, wyjął lunetę i zobaczył, że to forpoczta.

– Carvajal zaraz tu będzie. Montilli nie widać, ale pewno zabezpiecza mu tyły i węszy po drodze... Carvajal rozmawia z tym księdzem, który wczoraj wieczorem napastował nas po pijanemu. Patrzą w naszą stronę.

– Musimy stąd jak najszybciej zniknąć – powiedziała Umina. – Jest inne wyjście z wioski.

– Tak, z tyłu. Droga do Chillki – opowiedział *quipucamayo*. – Potem trzeba skręcić. Zaraz obok doliny. Tam, gdzie płynie w dół inna rzeka. Nazywa się Silque.

– Nie możemy jechać doliną Urubamby. Zobaczą nas ludzie z wiosek położonych przy drodze. A poza tym widać nas będzie z góry. Nie ukryjemy się przed Carvajalem.

– Tylko kawałek drogi w dolinie. Zaraz za Chillcą – uspokajał ich Sinchi. – A potem pod górę wzdłuż rzeki Silque. To stary inkaski trakt. Bardzo stromy. Łączy Silque z Cusichacą i Pacamayo.

– Wiesz, gdzie to? – spytała Umina Qaytu.

Mulnik niechętnie pokręcił głową. Nie był do tej trasy zbyt przekonany. Wiedział, że na tym szlaku, który jest dużo bardziej stromy niż droga w dolinie, nie ma wiosek i punktów kontroli wojskowej, a więc ominą miejsca będące dla Carvajala dobrym źródłem informacji na ich temat. Jednak w zamian ryzykują inne nieprzyjemności, ponieważ można trafić na przemytników lub na złodziei okradających *huacas*.

– To dobra droga – przekonywał ich Sinchi. – Wyjdziecie prosto na Gniazdo Kondora.

– A jeśli zabłądzimy? – martwiła się dziewczyna.

– Pytajcie o Cuntur Guachana.

* * *

Przebyli pierwszą część szlaku bez żadnych niespodzianek, trzymając się prawego brzegu rzeki Urubamby aż do Chillki, tak jak powiedział *quipucamayo* Sinchi. Następnie, zgodnie z jego wskazówkami, zjechali do doliny, przeprawili się na drugi brzeg w miejscu, gdzie do Urubamby wpada Silque, i dalej jechali wzdłuż tej rzeki.

Droga pięła się coraz bardziej pod górę. Mijali strome miejsca zupełnie bezludne, gdzie królował myszołów andyjski i sokół rdzawobrewy. Panowała cisza, z rzadka przerywana gwizdem kosów, które skakały po kamieniach w potoku, wydziobując robaki. Kaczki zbrojówki, pluskające przy brzegu potoku, nurkowały głęboko, słysząc tętent końskich kopyt.

Gdy pokonali wysoką przełęcz, droga zaczęła się obniżać i wkrótce weszli w strefę umiarkowaną. Mgła się ociepliła i snuła się bardziej leniwie, a ścieżkę coraz bujniej obrastała po bokach roślinność typowa dla deszczowych lasów górskich. Gigantyczne paprocie i zarośla bambusowe przeplatały się z kłębowiskiem drzew, pokrytych mchem, i drobną zwierzyną, pożerającą się nawzajem, a nad głowami zwisały bromelie i orchidee upstrzone purpurowymi cętkami. Kolibry trzepotały skrzydłami w tej gęstwinie obok górskich tukanów ostrodziobych, wypatrując dzikich poziomek i dojrzałych jagód passiflory.

Trakt inkaski wił się leniwie między zakosami, jakby zapraszał podróżnych

do zwolnienia kroku i podziwiania wspaniałości pejzażu. Mimo wszystko Sebastián nie był przygotowany na to, co go czekało za ostatnim zakrętem. Nagle ujrzał przed sobą jeden z tych tajemnych bastionów, do których Hiszpanie nigdy nie trafili i nawet nie wiedzieli o ich istnieniu.

Widok tej cytadeli robił ogromne wrażenie. Porośnięte selwą ruiny rozpościerały się w kształcie podkowy u stóp wysokiej, stożkowej iglicy zamykającej ten teren z drugiej strony. Wszędzie wirowały tarasy, place i budynki rozrzucone na wzgórzu otoczonym górami i ukoronowanym chmurami.

Pilnujący stada lam pasterz z małym chłopcem wzdygnął się na ich widok. Zeszli z koni, żeby go uspokoić, i zaprosili do wspólnego posiłku.

Zapytali, jak się nazywa to miejsce. Odpowiedział, że niektórzy mówią Machu Piechu, co znaczy Stara Góra. Potwierdził, że w ruinach tego miasta jest sanktuarium znane jako Gniazdo Kondora i wielu uważa je za pozostałość dawnej świątyni, ponieważ cały ten rejon miał kiedyś, tak mówią, kształt tego ptaka.

Zaproponował, że pokaże im główne *huaca*. Był to granitowy głaz wyrzeźbiony w taki sposób, że udawał głowę, dziób i kryzę kondora. Z tyłu za nim wznosiły się dwie skały, które pełniły niejako funkcję rozłożonych skrzydeł.

Sądząc po ośmiu ścieżkach, które się tu zbiegały, musiał to być kiedyś ważny ośrodek kultu. A także znaczące obserwatorium astronomiczne, o czym świadczył zachowany *intihuatana*.

– Co to jest *intihuatana*? – spytał Sebastián.

– „Wiążący słońce” – przetłumaczyła Umina. – Kamienny słup wycięty w skale i ustawiony w wysoko położonym miejscu. Służy do rytualnego przywiązania słońca w czasie przesilenia czerwcowego, żeby nie uciekło na zawsze w tym dniu, który na tych szerokościach geograficznych jest najkrótszy w roku.

Z rozmowy z tym człowiekiem Metyska wywnioskowała, że nigdy tu nie słyszano o odprawianiu mszy ani o pieniądzech. Nadal obowiązywał

handel wymienny. Nie było księży, handlarzy ani innych pośredników zajmujących się towarami albo duszami. Nie przeprowadzono żadnych spisów ludności i mężczyźni nie podlegali mobilizacji w razie wojny.

– Szczęśliwi ludzie – orzekł Sebastián, kiedy Umina przetłumaczyła mu to wszystko.

Pasterz zaproponował, że zaprowadzi ich do pobliskiej osady, gdzie wybierał się razem z synem. Tam dowiedzą się więcej.

Na placu kobiety tkwały pod drzewem, używając stopy i lewej ręki do przytrzymywania tkanin, które zdawały się wyrastać z ich ciała, jakby tkanie było naturalną funkcją ludzkiego organizmu. Wykorzystywały w swej pracy dawne wątki i motywy nasycone wibrującymi kolorami pól, błękitem nieba, żółtością słońca, falowaniem wody. Na tej nieziennej kanwie powtarzających się cykli i zmieniających się pór roku wyplatały historię swej krainy.

Pasterz zaprowadził ich do kobiety, która zdawała się przewodzić pozostałym.

Na pytanie Metyski, co przedstawiają te tkaniny, kobieta odpowiedziała:

– Prawa, wydarzenia, zwyczaje. Są jak kalendarz: pokazują dni, zbiorry, wszystko.

Opowiedziała im, że tkaniny noszą nazwę *quechua* i że nie przecina się wątków. Stanowią absolutną ciągłość, podobnie jak pokolenia tkaczek. Są jak żywe istoty. Pokazała dominujący motyw: romby i jeszcze raz romby splecione ze sobą, przestrzeń jako miejsce niemające granic, sieć ukośnych linii biegnących w nieskończoność. Most matryc przedłużający życie. Kobiety, które celebryją płodność przez kontakt z ziemią, rozwijają swą inwencję przy jednoczesnym przywiązaniu do tradycji, która daje im wolność, pozwala wyrażać w tkaniu radość, marzenia, ból i niepokoje. A także najintymniejsze wierzenia i przekonania. To wszystko mieści się w tkaninach, a te z kolei są dla kobiet schronieniem, okryciem i osłoną jak dach nad głową...

Sądząc, że zdobyła zaufanie kobiety, Umina pokazała jej zwój materiału

znaleziony w grobowcu Sírax, ten, który przykrywał jej włosy. Kobieta obejrzała go dokładnie. Z niedowierzaniem badała osnowę. Pokazała innym kobietom i coś mówiły między sobą. Sebastián usłyszał parę razy słowa: *Ñusta Hispana*. Wiedział, że tak nazywa się jeden z punktów orientacyjnych na szlaku wytyczonym przez Sírax, ale Umina nie chciała mu przetłumaczyć, co znaczą te słowa.

Matrona rządząca w tym gineceum nagle spowaźniała. Jej twarz przybrała wyraz udręki i zmartwienia. Powiedziała coś do Metyski, a ta poprosiła Sebastiana i Qaytu, żeby odeszli. Zdaje się, że podobnie jak w Qenqo Grande działa się tu rzeczy przeznaczone tylko dla kobiet.

Obaj mężczyźni usiedli koło poletka tarasowego i z daleka obserwowali grupkę kobiet. Matrona wzięła w obie ręce tę tkaninę i przysunęła do oczu. Odwróciła na lewą stronę, potem znowu na prawą i chyba zaczęła liczyć nitki, starając się rozpoznać kierunek splotu. Trwało to dłuższą chwilę, a potem jeszcze naradzała się z koleżankami. Na koniec zwróciła się do Uminy – otoczyły ją zwartym kręgiem i coś mówiły.

– Dowiedziałaś się czegoś na temat Sírax? – zapytał inżynier, kiedy dziewczyna do nich podeszła.

– Znają historię inkaskiej księżniczki w tej samej wersji, jaką usłyszeliśmy od *quipucamayo* z Ollantaytambo. Tu musiał być jeden z ostatnich bastionów wiedzy Inków przechowywanej z nadzieją, że któregoś dnia ktoś się o nią upomni. Sírax przybyła tu, żeby uzupełnić swą edukację w sanktuarium, które przed chwilą widzieliśmy. To było po tym, jak opuściła Cuzco i swoją matkę Quispi Quipu.

– I rzeczywiście kobiety opowiadają o tym w swych tkaninach?

– Twierdzą, że pracują tak, jak to robiły ich matki i babki, a ich styl opiera się na motywie zwanym Ogonem Węża, który ma związek z tą księżniczką i z Yurac Rumi, Białym Kamieniem *Ñusta Hispana* w dolinie rzeki Viteos, dopływie Urubamby, na północ stąd. Może powiedziałyby coś więcej, gdybyś pokazał im czerwone kipu.

– Czemu nie, chodźmy do nich – zgodził się Fonseca, rozpinając koszulę.

– Tylko nie tak – zawołała Umina. – Zdejmij kipu z szyi i daj im do ręki. Okaż im zaufanie, nie zachowuj się tak, jakbyś się bał, że ci je ukradną.

Zrobił, jak powiedziała, i kiedy wręczył kipu kobiecie, ta rzuciła okiem na płataninę sznurków i supłów i natychmiast podała je dalej, jakby parzyło ją w palce. Wszystkie zachowywały się tak samo, przekazując sobie kipu z rąk do rąk. Wymieniły się uwagami, po czym zapadła wielka cisza.

Matrona pokręciła głową, mrucząc, że to są bardzo trudne sprawy. Odmówiła odpowiedzi na zadawane pytania. Przywołała pasterza i coś mu powiedziała ostrym tonem. Nie ulegało wątpliwości, że atmosfera uległa zmianie.

– Co się dzieje? – spytał Sebastián Uminę.

– Mówi, żebyśmy sobie poszli.

– Ale dlaczego?

– Podejrzewam, że ten „krwawy węzeł” zawiera coś, czego nie chcą nam zdradzić.

– Plan Vilcabamby? – próbował odgadnąć Fonseca.

– Ciszej, nie używaj słów, które mogą zrozumieć. Nie ufają nam. Zdaje się, że nie jesteśmy pierwsi, którzy o to pytają, i obawiają się problemów.

Jeden z mężczyzn trzymających się dotąd na uboczu szybko podszedł do Uminy i powiedział coś, co nie zabrzmiało przyjemnie.

– Zabieramy się stąd – powiedziała Metyska do Sebastiána i Qaytu. – Szybko na konie. Niech widzą, że nie udajemy, tylko naprawdę odjeżdżamy.

Kobiety usiłowały załagodzić sprawę. Nie chciały, żeby doszło do przemocy. Doradziły dziewczynie, by nie zwracała uwagi na tego osobnika, on nie jest stąd, chodzi swoimi ścieżkami i nie żyje dobrze ani z Indianami, ani z *chapetones*.

Pojechali górą wzdłuż rzeki Urubamby. Kiedy byli już daleko, Umina powiedziała z ubolewaniem:

– Jedyne, co uzyskaliśmy, to informacje, jak znaleźć Ñusta Hispana. Tam zaczyna się ogon naszej ostatniej konstelacji. Konstelacji Węża. Ale nie wiem, czy nie zapłaciliśmy zbyt wielkiej ceny za tę wiadomość.

– Dlaczego tak mówisz?

– Pytania, które zadawaliśmy tym ludziom, mogą obrócić się przeciw nam. Wyszliśmy na poszukiwaczy Vilcabamby. Teraz wiedzą, że udajemy się do Ñusta Hispana. Carvajal na pewno ma swych szpiegów wśród tych Indian. Dobrze im za to płaci. Tylko patrzeć, jak go zawiadomią, gdzie jesteśmy. Na przykład ten osobnik, który kazał nam się wynosić. Źle mu patrzyło z oczu.

Miała rację. Kiedy byli już daleko od wioski, Qaytu pokazał im sygnały dymne unoszące się nad wzgórzami. Później, wieczorem, zapłonęło jeszcze więcej ognisk na wieżach będących częścią dawnego systemu łączności w państwie Inków. W ten sposób poszła wiadomość do sąsiednich wiosek, że dwóch mężczyzn i jedna kobieta udają się w tamtą stronę. Wrogowie także się o tym dowiedzieli.

59 Ñusta Hispana

– Oto Biały Kamień – powiedziała Umina. Pokazywała na wielką skałę na zboczu góry pokrytej licznymi potokami. Dominowała nad okolicą. Tryskało spod niej źródło, a jego lśniące strumyki rozbiegały się na wszystkie strony, dopóki nie znalazły ujścia w rzece Vitcos, która przecinała dolinę. Jasny granit skały rysował się wyraźnie na tle jeziora o niepokojąco ciemnych wodach, nadając temu miejscu charakterystyczny klimat skupienia i zamyślenia, właściwy sanktuarium.

– Inkowie z Vilcabamby umieścili na niej złoty wizerunek Punchao.

– Ten ze Świątyni Słońca w Cuzco? – spytał Sebastián.

– Ten sam. Zabrali go stamtąd i przynieśli tutaj, żeby nie ukradli go Hiszpanie.

Chmury walczyły ze słońcem o miejsce na niebie, spuszczać na ziemię nierówne strugi deszczu. Zbliżyli się i obeszlili kamień dookoła, oglądając pięknie rzeźbione schodki, pomosty, nisze i obfitość figur geometrycznych... Przecinające się linie rzeźb tworzyły wspaniałą grę światła i cieni, a cała konfiguracja powierzchni kamienia mogła być wykorzystywana dla celów obserwatorium astronomicznego.

Była to w gruncie rzeczy ta sama sztuka snycerska, którą już mieli okazję podziwiać na Zmęczonym Kamieniu w twierdzy Sacsahuamán w Cuzco i na skalnej wychodni Qenqo Grande. I znów rodziło się pytanie: Po co to wszystko? W jakim celu?

Ñusta Hispana była swoistym łącznikiem między wodą tryskającą z głębi ziemi i słońcem, którego promienie padały z wysoka na Punchao, kiedy ustawiano figurę na szczycie skały. Diego de Acuña wspominał w swej *Kronice*, że być może Ñusta Hispana jest grobem Manca Inki, ojca Túpaca Amaru. Byłaby to jeszcze jedna cecha wspólna ze Świątynią Słońca w Cuzco, jako królewskim panteonem. Prawdopodobnie Sírax pragnęła wytyczyć drogę między tymi dwoma sanktuariami solarnymi, z którymi jej rodzina była mocno związana, utworzyć oś zawierającą odniesienia do dawnej stolicy i nowej, w Vilcabambie. A zarazem przypomnieć o swym pochodzeniu i historii swego życia.

Umina patrzyła na ten wielki kamień, jakby chciała wydrzeć mu jego sekret.

– Co znaczy Ñusta Hispana? – spytał Sebastián. Już po raz drugi zadawał to pytanie.

– Znaczą „panna” albo „księżniczka hiszpańska”. Ale prawdziwa nazwa brzmi: Ñusta Jispana.

– Na czym polega różnica?

Umina zwlekała z odpowiedzią. Fonseca wyczuł jej zakłopotanie. Wreszcie po dłuższej chwili milczenia zdecydowała się i powiedziała:

– To dotyczy spraw kobiecych. Chodź za mną.

Po stopniach wykutych w skale zaprowadziła go na sam szczyt. Wierchołek został ścięty na płasko, a szczeliny przekształcone w kanały. Pokazała mu rowek wyłobiony na grzbiecie skały, który schodził do jednej z krawędzi. Czuć było moczem.

– Ñusta Jispana znaczą dokładnie: „nocnik księżniczki”. Widzisz tę szczelinę?

– Nadal nic nie rozumiem.

– Przypominasz sobie Qenqo? – spytała Umina.

– Oczywiście, bardzo dobrze pamiętam. Na szczycie skały były dwa okrągłe słupki, a między nimi taki sam rowek jak tutaj.

– No właśnie. Tam odbywał się sprawdzian dziewictwa. Polegało to na tym, że panna poddawana tej próbie robiła siusiu między tymi słupkami.

Jeśli trafiała w rowek, była dziewicą. Mocz powinien ściekać tą szczeliną, poprzecinaną dziewięcioma zakosami, i spłynąć po prawej stronie. Tu mamy coś podobnego. Inkowie wiedzieli, że dziewica kontroluje oddawanie moczu lepiej niż kobieta po defloracji i potrafi nasikać w jeden określony punkt, taki jak ten.

- A jeśli nie jest dziewicą?
- Zaraz ci pokażę.

Zeszli tą samą drogą, którą wchodzili. Umina pociągnęła go za sobą ku północnej ścianie tej wielkiej skały pokrytej mchem i porostami. Przecinała ją na całej szerokości pozioma kreska wyżłobiona w granitowym łożysku, z której wystawały niewielkie okrągłe grudki.

– Widzisz? – zapytała, pokazując na te wypukłości. – Są jak węzły na sznurze, coś opisują, coś mówią. Ile ich jest?

- Dziewięć.
- Teraz rozumiesz?
- To może być zwykły przypadek.
- Przypadek...? Idziemy dalej.

Zabrała go teraz na wschodnią stronę kamienia. Była tam grota oflanowana ścianą, z której wystawały starannie wyrzeźbione bryłki. Poprosiła, żeby policzył.

– Dziewięć, nie da się ukryć – musiał przyznać Sebastián.

– Podobieństwo Ñusta Hispana do Zmęczonego Kamienia z Cuzco i skały Qenqo Grande wynika prawdopodobnie z tego, że służyła do badania ruchów słońca poprzez obserwację cieni, które padały na poszczególne formy geometryczne odpowiadające najważniejszym *huacas*. To mapa tych świętych miejsc.

– Kamienny odpowiednik kipu Sirax.

– Raczej uzupełnienie. Poza tym tereny wokół kamienia były kiedyś polami uprawnymi, choć teraz są całkowicie zaniedbane. Te poziome i pionowe rysy, które tu widać, oznaczają poletka tarasowe. Mamy tu plan tego miejsca. Coś w rodzaju makiety Tahuantinsuyu. A więc Ñusta

Hispana to jednocześnie kalendarz, miejsce kultu i centrum prognozowania urodzajów. Pod tym pojęciem mieści się również kobieca płodność.

– Rozumiem. Dziewięć bryłek to dziewięć miesięcy, czyli kalendarz ciąży.

– Inaczej mówiąc, Sírax była w ciąży.

– Jesteś tego pewna?

Umina wyjęła mantylę, którą zabrali z grobu Sírax w krypcie Świątyni Słońca. Tę samą, którą pokazała kobietom z osady koło Gniazda Kondora.

– Poznajesz? – zapytała. – Nazywa się *lloqe pañamanta*. To bardzo delikatny wyrób. Osoba, która utkała tę tkaninę, musiała być wyjątkowo zręczna i utalentowana, żeby tak sprawnie przekładać pięć nitek na prawo, a pięć innych na lewo. Pośrodku powstawał kanalik, którym może spływać woda, nie wsiąkając w tkaninę. Efektem jest nieprzemakalność.

– O czym to świadczy?

– Z tego co słyszałam, tak ubierały się ciężarne.

– No dobrze. Załóżmy, że Sírax była w ciąży i że grobowiec oraz szlak opowiadają o historii jej życia. Co z tego wynika? Podsumujmy.

– Dziewczyna żyje sobie spokojnie z matką Quispi Quipu w Domu Wężów w Cuzco do momentu, gdy Túpac Amaru obejmuje tron. Wtedy ona otrzymuje wezwanie z Vilcabamby, żeby urzeczywistnić Plan Inki. Emisariusze nowego władcy przychodzą po nią.

– I w tym samym czasie poznaje Diega de Acuña, który ratuje ją przed napaścią hiszpańskich żołnierzy.

– Tak jest. Emisariusze z Vilcabamby prowadzą najpierw na skałę Qenqo Grande, następnie do Ollantaytambo i wreszcie do Gniazda Kondora. Właśnie tam ma dojść do spotkania z osobą najwyższej rangi. Sírax przechodzi inicjację i poznaje wszystkie sekrety, które ma przekazać swemu potomstwu. Na koniec przyprowadzają ją do Białego Kamienia, żeby uzyskać potwierdzenie, że jest w ciąży.

– W ciąży? Z kim?

– Ze swym bratem Túpakiem Amaru, któremu winna urodzić dziedzica najczystszej krwi. Tak kaže tradycja.

– No to dlaczego musiała uciekać na Czarnym Okręcie? Co takiego się stało, że nie mogła zostać tu albo w Cuzco?

– Odpowiedź znała tylko służąca, która wyjechała razem z nią do Hiszpanii. Nazywała się Sulca. To ona zabalsamowała zwłoki Sirax i przewiozła je do Peru, żeby pochować w krypcie Świętego Dominika, a potem wróciła do rodzinnego miasta, żeby umrzeć. Do Vilcabamby. Tam musimy teraz iść. Do Oka Inki. Do Głowy Węża, którego ogon jest tu, w Ñusta Hispana. Trzeba ci wiedzieć, że Túpac Amaru znaczy: Królewski Wąż.

– Dobrze, ale najpierw znajźmy jakieś miejsce do spania.

– Tutaj teren jest zbyt otwarty. Poszukamy czegoś bezpieczniejszego.

Wsiedli na konie i pojechali nierówno usypaną drogą, która doprowadziła ich do wąwozu.

Ale tu też nie byli bezpieczni. Zaraz za zakrętem, w miejscu gdzie ścieżka się zwężała, trafili na pół tuzina Indian. Z ich zachowania wynikało, że to nie było przypadkowe spotkanie.

Umina zbliżyła się do Sebastiána.

– Nie wiemy, czy to buntownicy, bandyci, czy rabusie *huacas*. Unikaj gwałtownych ruchów, żeby nie myśleli, że sięgasz po broń. Bądź ostrożny, błagam – prosiła.

– Lepiej zawróćmy – zasugerował inżynier.

Za ich plecami rozległ się hałas, jakby ktoś usłyszał te słowa. Odwrócili głowy i zobaczyli, że drugie tyle Indian wychodzi z gęstwiny, żeby odciąć im drogę.

Obie grupy były uzbrojone i wzięły ich w dwa ognie.

– Nie ma dla nas ratunku – jęknął Fonseca.

– I nie ma świadków.

60 Totorgoaylla

Robiąc dobrą minę do złej gry, ruszyli naprzeciwko grupy, którą mieli z przodu. W miarę zbliżania się zauważyli, że tamci też mają pietra. Byli niepewni i podejrzliwi. A to czyniło ich jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Zwracając się szeptem do Qaytu i Sebastiána, którzy wzięli ją między siebie, Umina powiedziała z naciskiem:

– Zbliżamy się powoli, bez sięgania po broń, bez okazywania strachu.

Nie uwzględnili grupy z tyłu, która zamknęła im odwrót. Jeden z mężczyzn podszedł teraz do dziewczyny i przytrzymał jej konia za uzdę. Sebastián widział, że przymila się do niej w keczua, a ona patrzy na niego wzgardliwie.

Tymczasem Qaytu oburzyły te słowa, gdyż spiął swego konia, pochylił się i świsnął go w twarz szpicrutą.

Zaległa nieznośna cisza, dopóki ów szef nie otrząsnął się z osłupienia. Parsknął śmiechem tyleż wymuszonym, co złowieszczym, i wymierzył do nadzorcy ze strzelby. Umina rozdzieliła ich i nie tracąc spokoju, zwróciła się do grupy, która stanęła im na drodze jako pierwsza; przemówiła do nich stanowczym tonem w ich języku.

Sebastián nic z tego nie rozumiał. Z duszą na ramieniu śledził rozwój sytuacji.

Zobaczył, że po dłuższej chwili milczenia jeden z mężczyzn wysuwa się z grupy i podąża ku nim. Zatrzymał się przed człowiekiem, który mierzył ze strzelby do Qaytu. Dwa słowa ostre jak dwa policzki sprawiły, że opuścił broń i odwrócił się jak niepyszny.

Umina zeszła z konia, rozejrzała się dookoła i zwracając się do tego, który zdawał się przewodzić obu grupom, wskazała miejsce w gęstwinie na skraju drogi.

Mężczyzna rzucił suchy rozkaz swym kompanom, zanim ruszył za Uminą. Widząc, że Qaytu i Sebastián zeskakują z koni, dał im wyraźny znak, że mają się nie ruszać, bo ta sprawa ich nie dotyczy. Następnie dołączył do Uminy, odgarnął splątane gałęzie i oboje zniknęli w dobrze zamaskowanej kryjówce.

W miarę upływu czasu inżynier coraz bardziej się denerwował. Co tej dziewczynie znowu strzeliło do głowy, zadawał sobie pytanie. Qaytu był jeszcze bardziej niespokojny niż on.

Oczekiwanie przedłużało się. Nic nie było słychać, więc Sebastián pomyślał o najgorszym: ten mężczyzna skrzywdził Uminę, a teraz zabije jego i Qaytu, żeby zabrać ich konie i żywność. Bandyci obrzucali ich takim wzrokiem, że wszystko było możliwe.

Martwił się również o Qaytu. Mulnik naraził się krzykliwemu osobnikowi, który wyglądał na zastępcę głównego szefa i teraz wyraźnie szukał zaczepki. Wymyślał mu brutalnie, co Fonseca mógł wywnioskować z tonu jego głosu. Brak reakcji ze strony Qaytu bandyta uznał za prowokację. Nie mogąc dłużej na to patrzeć, inżynier powiedział:

– On jest niemy.

Napastnik skreślił się jak zmija i wbił w niego nabiegłe krwią oczy. Zaczął coś groźnie wykrzykiwać, wykonywał gwałtowne ruchy i zachowywał się jak szaleniec. Sprawa przybierała zły obrót.

W tym momencie z kryjówki w gęstwinie drzew wyszła Umina. Była opanowana i pewna siebie. Musiała usłyszeć wrzaski i natychmiast zareagowała. Postawiła się ostro temu krzykaczowi, lecz on nie przerywał i pokazywał palcem to na swoją grupę, to na Sebastiana.

Przywódca całej bandy zmierzył się z inżynierem, a Umina tłumaczyła jego słowa:

– Mówi, żebyś zdjął kapelusz. – Widząc wahanie w jego oczach, dodała: – Zrób to, jeśli nie chcesz nas pogrążyć.

Posłuchał. Główny herszt przyglądał mu się długo, ze zdziwieniem, i wymieniał jakieś uwagi ze swym zastępcą.

Wreszcie odezwał się do Uminy, a ona z kolei zwróciła się do Qaytu w keczua. Oboje, Metyska i nadzorca, poszli z głównym hersztem do kryjówek. Zostali tam dłuższą chwilę, a kiedy wyszli, Qaytu wyjął z juków mulicy bukłak napełniony mocną wódką, która zwała z nóg niejednego, i wręczył go szefowi. Nieufny bandyta wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: Najpierw ty.

Qaytu wypił pierwszy i podał bukłak szefowi, który pociągnął spory łyk. Jego zastępca domagał się swojej kolejki, ale jednym warknięciem szefa został przywołany do porządku. Bukłak powędrował do Uminy, która odmówiła, przekazując go Sebastíanowi.

Umina i Qaytu podeszli do mułów, wyjęli żywność, dwa noże i toporek i wręczyli szefowi. Wydawał się usatysfakcjonowany i krzyknął do swoich coś, co zabrzmiało jak rozkaz odwrotu, ale zwrócił się jeszcze do Uminy i pokazał na Fonsecę, wpatrując się w niego uważnie.

– Gdzie masz proch i kule? – spytała Sebastiana Umina.

– Co mówisz?

– On chce mieć twoją strzelbę – powiedziała, akcentując oddzielnie każde słowo. – Razem z amunicją.

– Ale... co będzie z nami? Zostaniemy bez broni.

– Daj mu, i to szybko, jeśli chcesz, żebyśmy uszli stąd z życiem. On tu dowodzi i nie zadowoli się byle czym. Z trudem przekonałam go, że nie musi nas okradać, bo sami zapłacimy za prawo przejazdu przez tereny, nad którymi uzurpuje sobie władzę. Zdaje się, że jego zastępca otrzymał niezły haracz od ludzi Carvajala. Więc on nie chce być gorszy i musi pokazać, kto tu rządzi.

Fonseca nie sprzeciwiał się dłużej. Herszt wziął od niego strzelbę, róg

prochu i torbę z kulami. Sprawdził, czy wszystko zostało załadowane, i rozkazał swoim ludziom zejść z drogi. Kiedy zostali sami, inżynier zapytał Uminę:

- Możesz mi powiedzieć, do diaska, o co w tym wszystkim poszło?
- To bardzo proste – odparła. – Z zachowania tych dwóch mężczyzn wywnioskowałam, że są to dwie grupy jednej bandy i mają jednego szefa. To ten, który stał z przodu. A ten drugi, stojący na czele grupy, która odcięła nam odwrót, to jego zastępca, zwykły krzykacz. Zwróciłam się więc do szefa, pomijając zastępcę, i z nim negocjowałam nasze uwolnienie, żeby pokazać, że uznaję jego autorytet i on jest najważniejszy.
- Dlatego nagrodziłaś go moją strzelbą.
- To dużo bardziej skomplikowane. Musiałam tak postąpić, żeby poczuł się ważny. Wiesz, jak drażliwi są mężczyźni.
- Nie mam pojęcia, ale ty z pewnością się na tym znasz.
- Nie gniewaj się. Miałam z tym dużo kłopotu. Zdaje się, że zastępca trzyma z tymi, którzy nas szukają.
- Czyli z Carvajalem...
- Odniosłam takie wrażenie. Natomiast główny szef opowiada się raczej za Condorcanquim. Albo próbuje grać na dwa fronty. Bo on nie uważa się za bandytę, tylko za buntownika przeciwko Hiszpanom, którzy wyzykują Indian. Lubi o sobie myśleć w tych kategoriach. Szybko zorientował się, że jesteśmy poszukiwani w związku z pożarem manufaktury. Rodzina Qaytu i ludzie przez nas uwolnieni rozgłosili, że gdyby nie my, spłonęliby tam żywcem. Dlatego herszt nas tak dobrze potraktował.
- Rozumiem. Jesteś nieocenionym strategiem i negocjatorką. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili.
- Ty też masz w tym zasługę.
- Żartujesz?
- Jeden z grupy powiedział, że twoja twarz wydaje mu się znajoma. I napomknął coś o José Gabrieli Condorcanquim. Właśnie wtedy szef zapragnął mieć coś twojego, coś osobistego. Zaproponowałam mu strzelbę. Inaczej nie doszłoby do ugody.

Sebastián zadumał się nad tym swoim podobieństwem. Nie pierwszy raz miał z tym kłopoty. Obcy ludzie reagowali na jego widok, jakby kogoś im przypominał. Poczynając od Condorcanquiego w czasie spotkania w Abancay na Yahuar Fiesta, a kończąc na Uminie, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w teatrze w Madrycie. Czuł, że dzieje się coś dziwnego. I choć teraz wyszli z opresji cało, następnym razem konsekwencje mogą być dużo poważniejsze.

Do tych zmartwień doszły wyjątkowo trudne warunki podróży. Po zejściu z bandytami, nauczeni przykrym doświadczeniem, znów wybierali strome drogi, omijając bardziej uczęszczane doliny. Unikali wiosek, zajazdów i schronisk. Musieli bardzo uważać przy rozpalaniu ogniska, żeby nie pozostawić kompromitujących śladów.

Podróżując w ten sposób, dotarli do kotlinki między górami, z której wychodziły dwie ścieżki. Jedna, bardzo zniszczona, kierowała się na północ wzdłuż dopływu rzeki Pampaconas. Druga wiodła na południe przez bagna, wyżyny *prasom* i pustynne *punas*. Od Indianina, który pędził stadko lam, dowiedzieli się, że druga droga prowadzi do położonych wysoko w górach starych, porośniętych gęstą roślinnością budowli. On tam był i je widział, ale ludzie mówią, że te ruiny to nic w porównaniu z wielkim miastem, którego strzegą nieulekli i nigdy niepokonani wojownicy.

Postanowili wybrać tę drugą drogę i szybko się przekonali, że ma wszelkie cechy starych szlaków inkaskich wiodących nad przepaścią lub stromym brzegiem wąwozu z szumiącą w dole rzeką. Jechali w paśmie *ceja de selva*, gdzie zaczynają się mgliste lasy. Musieli zwolnić tempo. Było potwornie duszno i nie mogli opędzić się od komarów i bąków, które cięły ich bezlitośnie.

Wypatrywali ruin, aż bolały oczy. Ale każda góra lub wąwóz mogły ukrywać zaginione miasto Vilcabamba. Roślinność była tak gęsta, że szpada zanurzona po rękojeść utknęłaby w zaroślach.

Jedyna szansa to trafić na stare ulice, resztki fortów i zajazdy, które flankowały miasto.

Mieli szczęście, bo Qaytu odkrył starą drogę wysadzaną kamiennymi

plytami, pnącą się pod górę aż do grani i wpadającą w skalisty wąwóz, gdzie ze względu na znaczną wysokość nie było roślinności.

Przejechali spory kawałek, kiedy nagle podnosząc wzrok, zobaczyli obserwujących ich ludzi na koniach.

Od jak dawna za nami idą? – zastanawiał się Sebastián.

Wyciągnął lunetę i po dokładnej obserwacji stwierdził to, czego wszyscy troje się obawiali.

– To Carvajal i Montilla z trzydziestką dobrze uzbrojonych mężczyzn. Chyba chcą nam zajechać drogę.

Przyspieszyli i nie zauważyli, że kanion powoli się zwęża, a ściany strzelają w górę niemal pionowo. Zbyt późno się zorientowali, że nie ma stąd wyjścia.

– Wpadliśmy w pułapkę.

W miarę jak posuwali się do przodu, ziemia robiła się coraz bardziej grząska, wręcz bagnista. Kopyta końskie zapadały się w niej głęboko i musieli zejść z koni, wziąć je za uzdy i pociągnąć, sami zanurzeni po pas w zdradzieckim błocie. Dookoła żaby i ropuchy rechotały niczym zgraja przygłupów. Milkły na chwilę, uciekając przed ich stopami, po czym znowu podejmowały koncert z towarzyszeniem bulgotu trzęsawiska.

Zobaczyli swych wrogów, kiedy zdołali wspiąć się na wąski pas suchej ziemi na końcu wąwozu, którą uformowały odpady z wysokiej skały. Dopiero teraz mogli się przekonać, że Carvajal i Montilla wzięli miejscowych przewodników, którzy pomagają im omijać najbardziej niebezpieczne przejścia i prowadzą między kępami trzciny *titora* zwieńczonej żółtymi pióropuszcami.

– Już im nie uciekniemy – powiedział Fonseca.

W tym momencie Qaytu zaczął dawać znaki, żeby podprowadzili konie pod skalną ścianę zamykającą kanion i się stamtąd nie ruszali.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała go Umina.

Gesty nadzorca były aż nadto wymowne. Wyjął zapalniczkę i uderzał kołem zębatym o kamień, aż zapalił się bawełniany knot nasączony siarką. Dmuchał, żeby rozniecić ogień, wrócił na bagno i kiedy znalazł się na tyle

daleko, że płomienie nie zagrażały Sebastianowi i Uminie, zaczął podpalać suchą roślinność.

Wiatr mu sprzyjał i wkrótce pojawiła się przed nimi zasłona ognia. Skażąc po kępach szuwarów, płomienie sunęły prosto na ich prześladowców, którzy musieli uciekać, taplając się w błocie.

Qaytu wrócił na pas ziemi, gdzie schroniła się Umina z Sebastianem. Do tej pory wszystko szło dobrze. Ale nagle stało się coś, co pokrzyżowało im plany.

– Zmienia się kierunek wiatru! – ostrzegł inżynier.

Ogień wracał, skąd przyszedł. Niektóre iskry poleciały na szkielety wielkich, pokrytych mchem drzew, rozprutych przez lawiny. Drzewa zaczęły płonąć i szerniały gałęzie spadały na pas roślinności, który nadzorca przezornie pozostawił wolny od ognia, żeby ich ochronić.

– Tam ogień, tu kamienna ściana! Udusimy się! – zawołała Umina.

– Uwaga na konie!

Już od jakiegoś czasu zwierzęta niespokojnie biegały po wąskim skrawku ziemi, starając się uciec przed płomieniami. Ale teraz zachowywały się tak, jakby wyczuły jeszcze większe niebezpieczeństwo. Z głośnym rżeniem zerwały się do ucieczki przed czymś, co nadciągało od strony bagien.

Na próżno usiłowali je powstrzymać. Przeżalone zwierzęta wierzgały jak szalone, stawały się niebezpieczne, nie pozwalały do siebie podejść. Qaytu dał znak, żeby je puścić. Nawet nie zdążyli zabrać broni. Tylko mulnik, najbardziej zżyty ze zwierzętami, zdołał zbliżyć się do swej mulicy, która wydawała się łagodniejsza niż pozostałe, i wyciągnął z juków koce, żeby je zwilżyć i użyć do ochrony przed ogniem. Puszczone wolno popędziły na bagno, prosto w śmierć.

– Co się tam dzieje? – spytała Umina.

Wszystko następowało tak szybko po sobie, że nie zdążyli zareagować. Coś ruszało się w trzcinach, których jeszcze nie dosięgną! ogień. Żółte pióropusze ślaniały się w ich stronę. Sądząc po gwałtownym falowaniu trzciny, musiało to być coś potężnego.

– Uwaga!

Ostatnie rzędy trzcin rozsunęły się i pojawiło się to, co wystraszyło im konie i muły, powodując ich ucieczkę.

Umina pierwsza zdała sobie sprawę z nowego niebezpieczeństwa.

– Stado pum!

Były to cztery duże pumy z dwoma małymi. Uciekając przed ogniem, musiały znaleźć się tutaj i zawalczyć o kawałek przestrzeni, która jeszcze nie paliła się pod nogami.

Sebastián, Umina i Qaytu zrobili krok do tyłu i przyłgnęli do skalnej ściany.

Największy samiec, przewodnik stada, zaryczał na ich widok i przystanął, oflankowany przez swych towarzyszy. Przyczał się, zamiatając ziemię ogonem i nadstawiając uszu, błysnął wściekle ślepiami, odsłonił ostre kły, wysunął potężne pazury i tak trwał, gotowy do skoku.

61 Qasana

Nadzorca próbował coś im powiedzieć. Ale w tych okolicznościach nawet Umina nie potrafiła go zrozumieć. Na każdy ruch, każde słowo Metycki, samiec pумы odpowiadał rykiem, który odbijał się echem w reszcie stada.

– Zdaje się, że Qaytu chce nam powiedzieć, że mamy stać nieruchomo, nic nie mówić i zasłaniać się kocami... – powiedziała cieniutkim głosem.

Ogromny samiec wciąż stał przed nimi sprężony jak do skoku, ale samica z dwoma małymi już się powoli oddalała.

Zrozumieli, że przewodnik stada osłania odwrót. Matka dwóch małych pum zatrzymała się przed wąską, poziomą rozpadliną w skalnej ścianie tuż przy ziemi, skąd tryskała bagienna woda.

Najpierw weszły do środka młode, a potem ona. Dołączyły do nich dwie dorosłe pумы. I na koniec wielki samiec, który dotychczas groźnie tkwił na posterunku. Teraz się cofnął, potruchał do miejsca, gdzie była dziura w skale, przywarł do ziemi i po chwili zniknął wchłonięty przez kamienną ścianę.

– Tam musi być grotą – powiedziała Umina, porozumiewając się z Qaytu spojrzeniem.

Dym wdzierał się im do płuc i utrudniał oddychanie, piekielny żar groził usmażeniem. Mulnik potwierdził ruchem ręki, że nie mają czasu do stracenia.

– Jeśli tam wejdziemy, to czy pумы nas nie zaatakują, czując się znów zagrożone? – spytał Sebastián.

– Musimy zaryzykować. Albo to, albo śmierć w płomieniach. Zwierzęta nie weszłyby, gdyby to była zwykła jama bez wylotu z drugiej strony.

Sebastián obejrzał otwór wydrążony w skale przez tryskającą wodę, położył się w błocie i przeczołgał do środka. Było tak ciasno, że nic nie widział ani nie słyszał i nie potrafił określić, gdzie się znajduje. Posuwał się na czworakach, mając za całe zabezpieczenie koc i słabo wypchany żołnierski plecak. Na szczęście nie było tu dymu; wąski korytarz wypełniał silny prąd zimnego powietrza.

Kulił się, jak mógł, ale i tak ostre występy skalne wbijały mu się w nieosłonięte plecakiem żebra. Dotarł do części środkowej, gdzie chodnik tworzył zakole. Panowała totalna ciemność. Nie wiedział, co go czeka za zakrętem. Modlił się w duchu, żeby pумы nie wyczuły zapachu człowieka. Byłby łatwą zdobyczą, w tych warunkach nie miałby żadnych szans.

Ujrzawszy światło, powstrzymał oddech. Nieco dalej wąski przesmyk rozszerzał się w kawernę. Ostatni odcinek wędrówki na czworakach dłużył mu się w nieskończoność, zanim doszedł do miejsca, gdzie mógł się wyprostować i stanąć na nogach.

Z zaskoczeniem rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, skąd pochodzi światło. Dopiero gdy zadarł głowę, zobaczył wysoko nad sobą dużą rysę, która stanowiła komin.

Rozglądał się za pumami, ale nie było po nich śladu. Cofnął się szybko do wjazdu i wychylając głowę, krzyknął:

– Możecie wchodzić! Droga wolna!

Kiedy Umina i Qaytu znaleźli się obok niego, pokazał na sufit kawerny.

– Ta szpara, woda i zimny prąd powietrza dowodzą, że musi być stąd jakieś wyjście. Dobrze, że mamy światło, łatwiej będzie szukać.

Czekała ich długa, uciążliwa wspinaczka rynną odpływową.

W miarę jak zbliżali się do światła, robiło się coraz zimniej. Początkowo było to nawet przyjemne, ale szybko zmarzli.

Kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczyli poszarpaną krawędź zbitego lodu.

– To musi być *Cajana* albo inaczej *Qasana*, czyli Miejsce Lodu. Znaleźliśmy to słowo w dokumencie zawierającym wykaz *ceques* i *huacas*, pamiętasz? – powiedziała Umina.

Wspięli się na ten płaskowyż i oczom ich ukazała się rozległa, niebieskawa powierzchnia lodowca. Ta zamrożona rzeka spadała pomiędzy szczytami gór, które ograniczały jej zasięg i wytyczały krawędzie, tworząc jęzór przesuwający się w stronę czoła lodowca.

Zanim ruszyli przed siebie, Qaytu poprosił na migi, żeby zrobili to samo co on. Obciął nożem wąski pasek koca i owinął nim buty, żeby zabezpieczyć stopy przed mrozem. Potem uciął gałąź z pobliskich zarośli *chachacoma*, wycisnął sok żywiczny i posmarował nim twarz i ręce, tak żeby powstała gruba warstwa ochronna. Następnie pomógł im owinąć się kocami, sam też się przykrył.

Zaczęli schodzić w dół po lodowcu. Kiedy zostawili za sobą wąskie przejście i znaleźli się na otwartej przestrzeni, z oddali dobiegł ich niewyraźny huk odbijający się głośnym echem niczym eksplozja na dnie studni.

- Co to było? – spytał Sebastián.
- Jakby wystrzał armatni – odpowiedziała Umina.
- Armata tutaj? To niemożliwe.

Qaytu machał rozpaczliwie rękami, żeby szli szybko, bez zatrzymywania.

Po chwili usłyszeli ten sam złowrogi huk jak seria grzmotów wydobywających się spod ziemi. Tym razem rozległ się dużo bliżej.

Powierzchnia zaczęła trząść się pod ich stopami. Raptem, zanim się spostrzegli, rozwarła się z ogłuszającym traskiem. Mało brakowało, a ta głęboka ryna by ich połknęła. Teraz już wiedzieli, co to za wybuchy i jak bardzo niebezpieczny jest ten ciągły, choć niedostrzegalny ruch jęzora lodowcowego, który przesuwa się do przodu, powodując podziemne wibracje, tworzenie się szczelin, pęknięcie, odpadanie bloków lodowych – głuche odgłosy walki toczonyj we wnętrzu ziemi.

Poszukali środka tego śliskiego grzbietu o fascynującym, turkusowym kolorze, który w innych okolicznościach zachwyciłby ich swym pięknem. Ale nie teraz. Oślepiające dotąd światło skryło się pod chmurami. Zaczął padać śnieg. Rozszalała się śnieżna zawieja. W całym ciele czuli lodowate zimno, porywy wiatru utrudniały marsz, ale nie mogli się zatrzymać, bo zaraz zamieniliby się w sople lodu albo jeszcze jedną kupkę śniegu.

Rozrzedzone na tej wysokości powietrze zatykało dech w piersiach. Łapały ich skurcze w łydkach, a nogi mieli jak z drewna. Brnęli odrętwiali z zimna i wyczerpania. Qaytu zatrzymał się, żeby im podać liście koki, które pomogą przewyciężyć zmęczenie.

Dzień miał się ku końcowi. W blasku zachodzącego słońca bryły lodu lśniły jak gigantyczne klejnoty. Zmieniały kolor z intensywnie błękitnego na czerwony, a potem ciemny fiolet.

Kiedy opadła mgła, zaczął się taniec form fantasmagorycznych, jakby natura przyswoiła sobie ich lęki i majaki. Miasta, ruiny, piramidy, dolmeny, kapitele nieprawdopodobnej katedry lodowej, kopuły i minarety defilowały przed nimi jak w sennym kalejdoskopie. Ogarniało ich przerażenie.

Droga ginęła w śniegu, nabierając nierealnych kształtów, tracili orientację i poczucie odległości. Było bardzo zimno. Światło chowało się za wysokimi szczytami. Zapadał zmrok.

Qaytu na migi dał im znać, żeby poszli za nim, i skręcił na bok.

– On ma rację – powiedział Sebastián do Uminy. – Nie możemy tak dłużej iść. Zbyt wielkie ryzyko. Jeden nieostrożny krok i po nas. Trzeba rozejrzeć się za jakimś schronieniem na noc.

Dotąd trzymali się grzbietu jęczora lodowcowego, ale zeszli z tego szlaku, kierując się w stronę skalistej wysepki ze skrawkami ziemi porośniętymi krzewami. Dzielili ich od niej duża rozpadlina, nad którą zwieszał się fragment lodu niczym kładka nad przepaścią. Nie było innego sposobu, żeby pokonać tę przeszkodę.

Najpierw przeszła Umina, jako najlżejsza. Sebastián i Qaytu ustępowali sobie nawzajem pierwszeństwa. Wygrał nadzorca, przekonując inżyniera,

że powinien iść przed nim, bo on za dużo waży. Sebastián przeszedł bez kłopotu. Natomiast Qaytu doszedł zaledwie do połowy, kiedy rozległy się głośnie trzaski, lód zaczął przyskać, spadające kawałki odbijały się od dna rozpadliny. W ostatniej chwili mulnik zrobił kilka kroków i chwycił wyciągnięte do niego ręce Fonseki i dziewczyny. Zaraz potem lodowa kładka pękła i z hukiem poleciała w dół.

Umina obeszła szybko skalną wysepkę i pochylając się nad przepaścią, stwierdziła z niepokojem:

– Jesteśmy odcięci ze wszystkich stron.

Sebastián próbował ją uspokoić:

– Nie myśl teraz o tym. Zaraz będzie noc. Musimy szybko przygotować sobie schronienie w tej niszy w skale. Mogłabyś przynieść trochę drzewa na opał, a my w tym czasie poszukamy kamieni, żeby obłożyć ognisko. Bez ognia nie przeżyjemy tej nocy.

Kiedy wszystko było gotowe i mogli wejść do środka, gwiazdy wisiały wysoko na niebie, niczym zastygłe sople lodu.

* * *

Rozpalenie ogniska nie przyszło im łatwo. Ale wreszcie się udało i mogli się trochę ogrzać. Zasłonili kocem wąskie wejście, żeby zatrzymać jak najwięcej ciepła.

Umina przypomniwała wykaz *ceques* i *huacas* i powiedziała:

– Jeśli *Totorgoaylla* to były te kępy totory na bagnach, które mamy za sobą, a to jest *Qasana* ze względu na lodowiec, zostały nam jeszcze tylko dwie *huacas* na szlaku do Vilcabamby: *Pactaguañui*, czyli „Uwaga! Śmierć!”, i Guanipata.

Słyszając wycie wiatru na zewnątrz, popatrzyli na siebie bez słowa w świetle płomieni: co będzie, jak zgaśnie ognisko?

– I pomyśleć, że za tą górą jest Vilcabamba! – jęknęła dziewczyna. – Moja biedna matka nigdy się nie dowie, co się stało. Nie dość, że straciła hacjendę, to jeszcze musi się zamartwiać brakiem wiadomości o córce.

– A Carvajal i Montilla postawią na swoim, nie otrzymają kary za swą niegodziwość.

– Najgorzej, że ludzie mieszkający w pobliżu Vilcabamby niczego się nie spodziewają i może dojść do prawdziwej rzezi. A gdy skarb wpadnie w ręce tych dwóch łotrów, wtedy będą już całkiem bezkarni i mogą narobić naprawdę dużo złego.

– Tyle czasu skarb był bezpieczny w ukryciu, a teraz im się dostanie. To niesprawiedliwe!

– Nie żal ci, że tyle się natrudziłeś i w ostatniej chwili wszystko przepadło? – zapytała ona.

– W sumie nie było tak źle... Dzięki temu poznałem ciebie. Choć wyobrażałem sobie lepszy koniec, niż zamarnąć tu na śmierć.

– Co sobie wyobrażałeś?

– Bo ja wiem? Jak byłem młody, myślałem o czymś chwalebny. W każdym razie wołałbym nagłą śmierć.

– Przeżyjemy. Mam swoje lustro z obsydianu, a ty masz czerwone kipu. To są talizmany.

Umina przytuliła policzek do twarzy Sebastiána i zmieścili się oboje w ciemnej wypolerowanej powierzchni zwierciadła. Patrzyli na swoje odbicie: dwie istoty z dawnego świata, wyłaniające się z kamienia, żeby zajrzeć w niepewną przyszłość.

– Najbardziej żałuję, że nie spotkałem cię wcześniej. Kiedy byliśmy w Yucay, myślałem, że tak mogłoby wyglądać nasze wspólne życie. Podobało mi się...

– Mów dalej, nie przerywaj – poprosiła ona.

Sam się zdziwił, że to powiedział. Zwłaszcza w obecności Qaytu. Pokazał dyskretnie na mulnika. Indianin wzruszył ramionami, uśmiechając się, jakby chciał powiedzieć: „I co tu się wstydzić? W tej sytuacji i w takim miejscu...”. Wykonał serię ruchów z zakrywaniem dłonią ust i podał inżynierowi bukłak z wódką.

– Qaytu mówi, że nikomu nie powie – przetłumaczyła Umina. – A ta wódka to chyba po to, żeby podtrzymać cię na duchu. Słyszałam, że

żołnierze dostają wódkę tuż przed walką.

Mulnik poszperał w kieszeniach i wyjął resztki biszkoptów suchych jak okrętowe ciastka. Mimo to połknęli je w okamgnieniu.

– Powoli, przetrzuwajcie powoli – poradził inżynier. – Hermógenes, cieśła z „Áfriki”, opowiadał mi, że pewnego razu, po jakiejś katastrofie morskiej, kiedy już prawie nie mieli co jeść i zostały im tylko suchary, na śniadanie każdy dostawał po jednym, oglądał go czule i chował. W porze obiadu na dany znak wyjmowali te suchary, ugryźli raz i znowu chowali. A wieczorem, na kolację, zjadali całego. Tak udało im się przeżyć...

Roześmieli się wszyscy troje. Po kilku okrążeniach bukłak był prawie pusty, a im zrobiło się raźniej i cieplej.

Potem zapadła cisza, zmogło ich zmęczenie i zasnęli. I czy to pod wpływem alkoholu, wydarzeń minionego dnia, czy też z powodu bliskości Metyski, która spała w jego objęciach pod tym samym kocem, przyśnił mu się dziwny sen.

Widział w nim wielki kamień podobny do Ñusta Hispana. Siedziała na nim Umina. Spod jej spódnicy wypływały rzeźbione figury i rozpierzchały się we wszystkich kierunkach. Było ich mnóstwo, a oddalając się, zamieniały się w doliny, rzeki i góry, znikające na horyzoncie. Dziewczyna wiedziała, że on na nią patrzy, i podniosła do góry prawą dłoń. W pierwszej chwili nie zrozumiał tego gestu. Dopiero potem zorientował się, że trzyma w palcach czerwoną nitkę. Kiedy podniosła dłoń jeszcze wyżej, zobaczył, że drugi koniec tej nitki wypruwa się z piersi Metyski. Być może z jej serca. Trudno powiedzieć, bo to było tak, jakby ona, pociągając za tę nitkę, pruła swoje ciało. Robiła się w nim dziura, przez którą widział niekończący się labirynt drzwi i schodów. Czerwona nitka zaczynała żyć własnym życiem, osuwała się i łączyła ze skałą przykrytą spódnicą Uminy, zamieniając się w gęsty płyn tryskający z ciemnego źródła. To była krew, krwawe łyżki Zmęczonego Kamienia płaczącego nad losem ludzi, którzy zginęli, prowadząc go do Cuzco. Tronem Metyski nie była już twarda skała, tylko lepka płatanina żywych, pulsujących trzewi, z których wysuwały się żyły niczym macki, owijały się wokół niego, pięły się coraz wyżej, ciągnęły i dusiły, a

on nie mógł się od nich uwolnić...

W tym momencie poczuł, że ktoś szarpie go za ramię i woła:

- Wstawaj!
- Co się dzieje? – podskoczył.
- Posłuchaj – powiedziała Umina.

Na zewnątrz coś sapało i huczało, jakby toczyły się kamienie. Hałas dobiegał od strony lodowca. Był coraz bliżej i potężniał, przechodząc w ogłuszający ryk.

- To lawina – stwierdziła Metyska.

Skała aż się zatrzęsała od pierwszego uderzenia. Czoło lawiny szło prosto na nich. Czuli, jak szybko sunie śnieg niszczący wszystko na swej drodze. Na szczęście skalna wnęka, w której się okopali, była zabezpieczona od góry solidnym występem mogącym służyć jako dach. Gorzej było z wejściem, gdyż zaporą z kamieni, ustawioną naprędce, zanim poszli spać, miała ich chronić głównie przed zimnem.

- Trzeba natychmiast podeprzeć te kamienie, bo wpadną prosto na nas!
- zawołał Sebastian, usiłując przekrzyczeć wycie zamieci, która wdzierала się do środka.

Przytulili się do siebie i objęli się ciasno ramionami, żeby dodać sobie odwagi. Lawina przewalała się nad nimi. Otoczyła ich ze wszystkich stron. Spiętrzyła się u wejścia grubą taflą śniegu. Byli pogrzebani.

62 Guanipata

Cierpliwie czekali na świt, starając się oszczędzać siły, żeby nie tracić ciepła. Zaczęli torować sobie drogę na zewnątrz, gdy mlecznobiałe światło rozjaśniło bryłę śniegu przykrywającą wyjście. Wtedy zdjęli koc, który posłużył im za drzwi do tej skalnej wysepki oferującej schronienie.

Qaytu pierwszy wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się i zaczął im dawać jakieś znaki, gestykulując jak szaleniec.

– Nie wiem, co to znaczy: dobre wiadomości czy złe – zastanawiał się Sebastián.

– Pomóż nam się wydostać! – krzyknęła Umina do nadzorcy.

Następnie również ona wychyliła się na zewnątrz, po czym podała rękę inżynierowi, mówiąc:

– Jesteśmy uratowani! Możemy kontynuować drogę!

Uściskali się uradowani, pokazując sobie nawzajem koryto otwierające się pod nimi w miejscu, gdzie przedtem była ogromna szczelina, która odcięła ich od świata, kiedy pękł lodowy most z sopła. Śnieg wypełnił częściowo tę rozpadlinę. Nie na tyle, żeby mogli przedostać na drugą stronę, ale wystarczająco, by zejść niżej i tam poszukać innego wyjścia.

– To bardzo niebezpieczne – stwierdził Sebastián.

– Po tym jak śmierć zajrzała nam w oczy, nic mnie już nie przeraża.

Schodzili po tej śniegowej skarpie, aż znaleźli się pod wielką,

zamarzniętą kopułą wewnątrz lodowca. W niższych partiach zaczynała się odwilż i często zdarzały się wstrząsy. Musieli iść przy ścianie tunelu, bo środkiem płynęło coraz więcej wody. Nurt przyspieszał, nabierał siły i porwał bloki, a te, kołysząc się na wodzie, uderzały o ściany, powodując nowe osuwiska.

Schodzili już dość długo, kiedy usłyszeli potężny szum wody. Koryto zaczęło pękać i wypiętrzać się wskutek ruchów brył lodu, a rwący strumień spienionej wody runął na ostre skały. Widzieli z góry, jak pędzi i wiruje w licznych kaskadach. Powstał efekt katarakty z kurtyną wody mieniającą się wszystkimi kolorami tęczy w blasku słońca, które pojawiło się nagle u wylotu jaskini.

Nadszedł moment, żeby opuścić brzeg tego strumienia i wydostać się na ziemię. Znajdowali się w wielkiej jamie z czarnej skały. Wyjście po drugiej stronie było zavalone pniami drzew i gałęziami. Zabrali się do usuwania tej przeszkody, przekonani, że powstała w sposób naturalny. Ale pnie stawały większy opór, niż można było sądzić. Jednocześnie góra nad nimi zatrzęsa się. Qaytu i Umina rzucili się do ucieczki. Wyjście zostało oczyszczone na tyle, że można było się przecisnąć.

Ale Sebastián powstrzymał ich, krzyżąc:

– Cofnąć się! Nie wychodzić!

Usłyszeli głośny huk. Na wąskie przejście, z którego zamierzali skorzystać, zaczęły spadać wielkie głazy. Zostaliby zmiażdżeni, gdyby opuścili swój schron.

– Myślę, że jaskinia to *huaca* o nazwie „Uwaga! Śmierć!” – powiedział Sebastián. – Pamiętacie ten opis w *Kronice* Diega de Acuña? To jedna z dróg, których musi unikać, bo grożą mu spadające z góry kamienie. Są przywiązane sznurami do tych pni, które zamykają wejście do jaskini. Wystarczy je niechcący poruszyć, a kamienie spadają na ścieżkę.

– W takim razie jest to jedna z dróg wiodących do Vilcabamby – odparła dziewczyna.

– Miasto jest wciąż dobrze strzeżone. Może dlatego, że nadal mieszkają tam ludzie.

Przedzierając się na czworakach między kamieniami, wydostali się na zewnątrz. Ujrzeni przed sobą przełęcz w kształcie półksiężyca. Sebastián przypomniał sobie ten fragment *Kroniki*. Wszystko się zgadzało. Nawet ściana wysoka na ponad dwieście kroków z krenelażem czterech wież po bokach.

Cuchnęło zgnilizną. Pod lawiną kamieni, które dopiero co spadły, odkryli jeszcze jedną, wcześniejszą, ale musiała stoczyć się niedawno, ponieważ widać było zwłoki przygniecionych mężczyzn. Sądząc po strojach i uzbrojeniu, większość z nich była Hiszpanami.

– Tu nie ma Carvajala ani Montilli – powiedział inżynier. – Jednak ci ludzie na pewno są z ich grupy. Wpadli w pułapkę, kiedy próbowali wejść do jaskini. Ale drugie tyle jeszcze pozostało.

– A więc grozi nam atak z ich strony albo ze strony mieszkańców. Musimy bardzo uważać.

Za przełęczą droga gwałtownie spadała do wąwozu poprzecinanego licznymi potokami. Dzięki temu, że skrócili sobie drogę przez jaskinię, znaleźli się od razu w dużo cieplejszej strefie. Świadczyły o tym również dobrze utrzymane tarasy na różnych poziomach. Wszystko wskazywało na to, że były to poletka doświadczone, ponieważ na poszczególnych tarasach rosły różne gatunki roślin typowych dla innych regionów i stref klimatycznych.

– Może nareszcie coś zjemy. Co to za rośliny? – zapytał Sebastián.

– Kartofle albo inaczej ziemniaki, jak wolisz – odpowiedziała Umina.

– To wszystko ziemniaki? – zdziwił się inżynier.

– Mamy tysiące odmian. Całe wioski, a nawet rodziny specjalizują się w uprawie odmiany znanej tylko sobie i przechowują to jak największy sekret.

– Dlaczego? Przecież to tylko ziemniaki.

– Bo sadzą pięć albo sześć różnych gatunków. Jeśli zrobi się zimno, niektóre wymrą. A inne utrzymają się nawet w warunkach mrozu, ponieważ są takie odmiany, które, żeby się chronić, zamykają liście na noc. Ale

z kolei one zgniją, jeśli jest za dużo słońca, bo nie są przystosowane do wysokiej temperatury. Dlatego jest tak bardzo ważne, żeby istniały więzy pokrewieństwa między mieszkańcami różnych regionów i stref klimatycznych, ponieważ gdy jednych dotknie klęska nieurodzaju, inni zawsze mogą przyjść z pomocą.

– To znak, że tu mieszkają ludzie – powiedział Sebastián. – Zaginione miasto na pewno jest niedaleko, a tu gdzieś musi być *huaca* Guanipata, czyli Miejsce Kary, a to nie brzmi zachęcająco.

Kiedy nabrali siły i podjęli na nowo swą wędrówkę, zaczęli coraz częściej napotykać ruiny rozrzucone na podgórzu. I to nie zwykłe szalasy, tylko stare budowle. Przyspieszyli kroku gnani ciekawością. Po wejściu na górę zobaczyli jaśniejsze miejsce w gęstwinie wypełnione tarasami, szopami i kanałami.

– Vilcabamba! Nareszcie! – zawołała Umina.

Mieli przed oczami ostatnie miasto wybudowane przez Inków w desperackiej walce o przetrwanie i życie w wolności.

– Inaczej ją sobie wyobrażałem – musiał przyznać Sebastián.

To, co widniało przed nimi, było nieomal fragmentem dżungli, która powoli odzyskiwała utracony dawniej teren, porastając puste miejsca płataniną drzew, lian i zarośli.

Qaytu przywołał ich do rzeczywistości, bo niemal zapomnieli o groźnych niebezpieczeństwach. Musieli zachować najdalej posuniętą ostrożność i unikać jakiegokolwiek hałasu: żadnych trzasków gałęzi pod stopami czy potrącenia nogą kamyka, który potoczy się w dół i pociągnie za sobą inne.

Zewnętrzne mury z granitu zachowały jeszcze swój dawny układ. Widać było wieże i baszty obronne, do których wchodziło się po stromej pochylni. Inne budynki służyły chyba jako koszary. Kiedy minęli pierwsze wały ochronne, zobaczyli centrum miasta rozpartego na skalnym wzgórzu.

Zafascynowana Umina chodziła jak w transie, nie mogąc się napatrzeć

– Tak długo czekałam na tę chwilę! – mówiła, przyspieszając kroku.

– Trzymaj się nas – poprosił. – To miejsce jest pełne zasadzek i łatwo wpaść pułapkę.

Jednak po dokładnym zbadaniu terenu nie znaleźli ani śladu ludzkiej bytności.

– Nikogo tu nie ma, nie trzeba się bać – upierała się.

– To właśnie mnie dziwi.

Przed nimi było kilka tarasów, które schodziły schodkami do rzeki wypływającej z sąsiednich gór. Duże wały zaporowe chroniły ją kiedyś przed lawinami. Teraz były pełne dziur, w których gromadziły się groźne odłamy skalne.

– Widzisz? – powiedziała Umina, pokazując na mury. – Pusto. Nikt tu nie mieszka, choć to jest chyba główny plac.

Miała na myśli otwartą esplanadę na końcu szerokich kamiennych schodów, która kiedyś musiała wyglądać wspaniale, a teraz była porośnięta krzakami.

Tu czekał Diego de Acuña, zanim wezwano go przed oblicze Túpaca Amaru, przypomniał sobie Sebastián.

Przeskoczyli przez spróchniałe pnie drzewa i po grubej warstwie zgnitych liści przeszli na skapaną w słońcu polanę.

Tu też nikogo nie było widać. Drzewa – cedry *yanais* i *quebrachos* – były grubsze i wyrastały wysoko ponad budynki, w dużej części zniszczone i porośnięte roślinnością.

Mimo to pałac Inki łatwo było poznać: wyróżniał się jakością kamienia. Półokrągła baszta chroniła go od obcych spojrzeń. Tuż przy wysokim, na wpół zniszczonym murze, znajdował się, otoczony niższymi zabudowaniami, staw termalny, który Sebastián rozpoznał od razu.

– To na pewno ten basen, w którym Diego zastał kąpiącą się Sirax, kiedy przeskoczył przez mur z suszonej cegły.

W powietrzu unosił się lekko duszący zapach czerwonych kwiatów Inki i siarczane opary źródeł gorącej wody. Wiszące lilie nadawały temu miejscu nastrój intymności, co nie przeszkadzało w podziwianiu wspaniałych widoków w dolinie

– Pusto. Nie ma żywego ducha – powiedział zdziwiony Sebastián, robiąc nad oczami daszek z dłoni, żeby lepiej obejrzeć kanały nawadniające, miejsca zgromadzeń, świątynię, ogromne zbiorniki na ziarno. – Jeśli miasto jest zamieszkane, jak nam powiedziano, to w takim razie gdzie jest ta nowa osada?

– Może z drugiej strony, za rzeką – zasugerowała Umina.

Miała na myśli zakątek za rogiem esplanady, którego jeszcze nie zbadali, ponieważ leżał na drugim brzegu niewielkiej rzeczki o wzburzonych wodach szumiących w wąskim korycie. Jedyнным sposobem, żeby się tam przedostać, było przejście po niebezpiecznie chwiejącym się pniu drzewa przerzuconym przez rzekę.

Zrobili to i ujrzeli zupełnie inny widok. Zza skał unosiły się smugi gęstego dymu, znak obecności człowieka.

– Co się tam dzieje? – spytała zaniepokojona Umina.

– Szkoda, że nie mamy broni – jęknął Sebastián, naśladując Qaytu, który ułamał gruby konar drzewa i przygotowywał sobie drogę.

Posuwali się naprzód z wielką ostrożnością. To na pewno był teren zamieszkały. Zbliżali się do pierwszych zabudowań, na oko dość skromnych. Kiedy weszli między domy, zatkało ich ze zdziwienia.

– Mój Boże! – zawołała Umina. – Co oni zrobili tym biednym ludziom!

Wokół nich były same zgliszcza. Dachy z nadpalonymi belkami leżały na ziemi. Sępy krążyły nad drzewem, z którego zwisały okaleczone ciała Indian.

– Pastwili się nad nimi – powiedział Sebastián. – To robota Carvajala. Zemsta za śmierć jego ludzi, których widzieliśmy zmiażdżonych u wylotu z pieczary.

Qaytu zjrzał do jednego z budynków i szybko cofnął się przerażony. Usiłował powstrzymać Uminę. Ale ona chciała to zobaczyć – i Sebastián też.

Spomiędzy dymiących ruin sterczały trupy starców, kobiet i dzieci. W powietrzu unosił się specyficzny odór spalonej krwi i rozkładających się ciał.

Postanowili się wycofać. Za późno. Na zewnątrz czekała gromada uzbrojonych Indian. Usiłowali coś powiedzieć, ale nie dano im dojść do słowa. Błyskawicznie zostali obezwładnieni.

Ciosy spadały na nich z niepohamowaną wściekłością. Najmocniej obezwładniał Qaytu, bo wydawał się najgroźniejszy i najtrudniej było go poskromić.

Kiedy upadli, związano ich, po czym szturchnięciami postawiono na nogi. Sebastián potrząsnął głową i zamrugał, aby uwolnić powieki od pyłu, który mu się pod nie wdarł. Przejrzawszy na oczy, zauważył dziwny strój i ozdoby Indian.

Dlaczego tak się ubrali? – zastanawiał się. – Mają jakieś święto czy szykują się do złożenia ofiary?

Chętnie zapytałby o to Uminę. Uzmysłowił sobie, do jakiego stopnia stał się od niej zależny, jeśli chodzi o zrozumienie tego kraju i tych ludzi.

Ale musiał z tym zaczekać, gdyż prowadzono ich pojedynczo na esplanade w nowej osadzie.

Rzucił jej pytające spojrzenie, pokazując na rozjuszonych Indian, którzy coś gardłowali podekscytowani perspektywą rozprawienia się z pojmanymi.

Uminie wystarczyło usłyszeć kilka słów, aby domyślić się, co zaszło.

– Biorą nas za ariergardę Carvajala i Montilli – wyjaśniła Sebastiánowi.

– Trzeba wyprowadzić ich z błędu.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Pragną zemsty.

Próbowała do nich przemówić, ale potraktowali ją jak powietrze.

Podniosła głos i stanęła w miejscu, musiała wrzasnąć, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Zapadła konsternacja. O ile od początku dziwiła ich obecność kobiety, o tyle zupełnie nie spodziewali się, że zaczną na nich krzyczeć.

Nie wyglądali na takich, którzy mają ochotę wysłuchać jej żądań. Uciszyli ją obraźliwymi słowami.

– Co ci powiedzieli? – zapytał Sebastián.

– Że jako Metyska w ogóle nie powinnam się do nich odzywać. Ty też nie.

– Biorą mnie za Metysa?

– Tak. Powiedziałam, że nie znasz naszego języka, a Qaytu jest niemową, dlatego ja mówię w waszym imieniu. Ale to ich nie wzruszyło. Dla nich Qaytu jest renegatem, który przyprowadził aż tu uzbrojonych Hiszpanów.

– Zabili całą ekipę Carvajala i Montilli?

– Nie wiem. Zaraz się przekonamy. Spójrz na tego człowieka. Przypuszczam, że to inkaski kapłan.

Zbliżali się do placu, gdzie wyszedł im na spotkanie mężczyzna, który, sądząc po zachowaniu i wyglądzie, pełnił jakąś ważną funkcję obrzędową.

Najwyraźniej Umina mu się nie spodobała, bo spiorunowała ją gniewnym spojrzeniem, tak że zaraz umilkła i skuliła się w sobie, jakby się bała, że ją uderzy. Szperając w torbie dziewczyny, znalazł zwierciadło z obsydianu.

Długo wpatrywał się w krwawy węzeł zdobiący ten przedmiot. Wydawał się mocno poruszony i coś wołał w kierunku jednego z domów.

– Mam nadzieję, że ten talizman zadziała – powiedział Sebastián. – Bardzo potrzebujemy pomocy.

Osobnik w stroju kapłana wołał tak długo, aż wreszcie ktoś wyszedł. Zdaje się, że wódz tej osady. Stał na pomoście przed drzwiami i nie ruszył się z miejsca. Spoglądał na nich z góry z surowym wyrazem twarzy.

Kapłan wciąż coś mówił. Jednak wódz go nie słuchał. Utkwił wzrok w Sebastiánie. Raptem zrobił coś, co wydawało się dziwne nawet dla jego otoczenia. Zszedł po schodach, podszedł do Sebastiáną i dotknął jego szyi przez rozchyloną na piersiach koszulę, skutek wcześniejszej szamotaniny.

Wszyscy byli zdziwieni tą reakcją. Ale wódz na tym nie poprzestał.

Złapał mocno za brzegi koszuli, szarpnął na boki i rozdarł materiał od góry do dołu.

Oczom zgromadzonych ukazało się czerwone kipu zawieszona na szyi inżyniera. Wódz wskazał na krwawy węzeł, charakterystyczny znak tego kipu. A wtedy jego ludzie zaczęli wyć jak opętani, potrząsać bronią i wygrażać Fonsece.

Ten natychmiast pojął, co to znaczy, i powiedział do Uminy.

– Nasze talizmany obróciły się przeciwko nam. Węzeł ze zwierciadła i z kipu musi mieć coś wspólnego z tym miejscem. Oni myślą, że posłużyliśmy Carvajalowi i Montilli za przewodników. Oskarżają nas, że sprowadziliśmy na nich nieszczęście.

63 Intihuatana

Wódz osady długo wpatrywał się w krwawy węzeł, po czym podniósł rękę na wysokość twarzy Sebastiána. Powoli przesunął po niej palcami jak ślepiec albo rzeźbiarz, który modeluje rysy w glinie.

– Dlaczego on to robi? – spytał zaniepokojony inżynier.

– Nie wiem – odpowiedziała Umina. – Bardziej martwi mnie to, co mówi ten drugi.

Chodziło jej o kapłana, który wciąż perorował gwałtownie, wdając się w ostrą dyskusję z wodzem.

Postanowiła interweniować, ale skutek był taki, że obaj na nią naskoczyli. Jednak zamiast się uciszyć albo przestraszyć, zareagowała jeszcze większym gniewem.

Sebastián próbował odgadnąć treść tej kłótni z gestów i tonu głosów. Obserwował też Qaytu, usiłując coś wyczytać z jego twarzy, która potrafiła być bardzo wyrazista.

Ale nie tym razem. I nic nie wskazywało na to, że Indianie puszczą ich wolno albo przynajmniej rozwiążą.

Na rozkaz wodza poprowadzono ich, jak w procesji, w stronę tarasów, które nie wyglądały na nowe i należały raczej do starego miasta inkaskiego.

– Czy to nie jest przypadkiem Miejsce Kary? – zapytał Sebastián Uminę, nawiązując do przedostatniego *huaca* z listy Diega de Acuña.

Zaczekała z odpowiedzią, aż się zrównają:

– Nie wiem. Ale wiem, że to Carvajal i Montilla ich zaatakowali.

– Jak tu trafili?

– Znaleźli Indian renegatów, którzy dobrze znają ten teren. Nawet nie ukrywali, że szukają Oka Inki.

– Przecież powiedziałaś wodzowi, że nie mamy nic wspólnego z tamtą bandą.

– Staralam się go przekonać, że tamci ludzie są również naszymi wrogami. Ale mi nie uwierzył. Tak jak podejrzewałeś, krwawy węzeł z mojego lusterka i twojego kipu świadczy przeciwko nam. Ci Indianie uważają, że byliśmy źródłem informacji dla napastników. Kapłan w swych oskarżeniach posuwa się jeszcze dalej. Jego zdaniem my to wszystko zorganizowaliśmy... Wódz nie widzi tego w ten sposób i mówi o twojej twarzy.

– Co ma z tym wspólnego moja twarz?

– Nie wiem. O ile jednak wódz jest nam przychylny i pragnie nas wysłuchać, o tyle kapłan wciąż mówi o naszej winie. Jest wściekły, ponieważ dali się zaskoczyć napastnikom. Uważa, że wybór tej daty nie był przypadkowy. Mieszkańcy osady szykowali się do obchodów Inti Raymi, święta przesilenia czerwcowego. Aby uciąć dyskusję, wódz zaproponował, żeby poddać nas jednej małej próbie.

– Jakiej próbie?

– Tego też nie wiem. Ale od niej zależy nasz los.

Ponaglił ich i kazali zamilknąć, pokazując na słońce. Chyliło się ku zachodowi. Parę razy padło słowo *intihuatana*.

Wepchnęli ich bezceremonialnie na wąską ścieżkę między skałami. To musiało być jedno z kilku przejść prowadzących do zaginionego miasta. Kazano im patrzeć pod nogi i omijać dziury w ziemi. Wydzielały straszliwy fetor przyciągający muchy i bąki.

– Patrz – powiedział do Uminy. – Tam w dole.

– To straszne!

– Jeszcze jedna pułapka.

W dole leżały kolejne trupy hiszpańskich najemników. Wypadając, nadszeli się na ukośnie przycięte łodygi bambusa.

- Jest tam Carvajal? Albo Montilla?
- Trudno powiedzieć. Twarze są zbyt zniekształcone.

Kapłan krzyknął, pokazując na słońce, które wprost raziło w oczy. Znów ich popychali, żeby szli szybciej.

Wkrótce znaleźli się przed kamiennym dyskiem w kształcie koła; była to ogromna skała, ociosana ze wszystkich stron w taki sposób, że pośrodku wystawał tylko prostopadły do płaskiej powierzchni słupek przechodzący w gnomon ze złotym szpicem.

- Oto *intihuatana* – powiedziała Umina.

Pokazywała na słupek, który miał być bohaterem tej ceremonii przesilenia czerwcowego, kiedy najkrótszy dzień w roku grozi pozbawieniem słońca już na zawsze i dlatego Indianie starają się je zatrzymać.

- I co się teraz stanie?
- Kapłan musi przywiązać słońce do tej złotej podpórki. Indianie wierzą, że złoto powstaje z promieni słonecznych. Przywiązując słońce, mają pewność, że znów zaświeci i wyruszy w drogę powrotną do dłuższych i jaśniejszych dni.

- Jak można je przywiązać?
- Prośbami i ofiarami.
- Czy dlatego tu jesteśmy?

Uciszyli ich, rozwiązali i popchnęli w stronę kamienia. Słońce miało zająć lada moment na wprost nich, za wierzchołkami gór, które strzegły miasta, zamykając je od zachodu.

Na kilka kroków przed *intihuatana* Sebastián, który szedł pierwszy, przed Uminą, zatrzymał się, żeby ją ostrzec:

- Ostrożnie. Nie przestrasz się. Pytałaś o Montillę? Oto on.

Na ziemi leżał trup w podartym hiszpańskim stroju. Twarz była zbyt zniekształcona, aby ją rozpoznać. Ale to na pewno był markiz.

- Mój Boże! Co mu zrobili? – zapytała dziewczyna.

Siniaki na twarzy, zapuchnięte oczy, resztki włosów posklejanych na policzkach strzępami krwi, ropne rany na kolanach, zgniecione i powykręcane członki świadczyły, że wymierzono mu okrutną karę. Nie mogła dłużej się nad nim litować, bo Sebastián znów ją zaalarmował, krzyząc:

– Uwważaj! Tam jest Carvajal! Ma broń!

Skrył się na skalnej półce z tyłu za *intihuatana*, co dawało mu pewną przewagę.

– Myślę, że Indianie kazali Montilli walczyć z Carvajalem, a on nie chciał – mówił inżynier. – To przykład tego, co nas czeka, jeśli postąpimy jak on.

Carvajal miał broń palną przygotowaną do strzału i Indianie nie odwadzali się podejść bliżej. A powinni to zrobić ze względu na uroczystość Inti Raymi. Dlatego użyli ich jako przynęty, żeby wyciągnąć Carvajala z jego kryjówki i przy okazji zorientować się, czy młodzi są przyjaciółmi, czy wrogami tego człowieka.

Kiedy ich rozwiązali, inżynier poprosił o jakąś broń. Indianie odmówili, popychając ich w stronę skały. Umina wysunęła się do przodu.

– Pójdę pierwsza – powiedziała. – Do mnie nie będzie strzelał.

– Nie rób tego! – krzyknął Sebastián.

Rzucił się na dziewczynę i przewrócił ją na ziemię. Usłyszeli strzał. Kulą świsnęła tuż nad ich głowami.

– Carvajal nie żartuje. On strzela, żeby zabić.

Fonseca dał Qaytu znak, aby przytrzymał Uminę, a sam wspiął się na skałę. Natychmiast rozległ się drugi strzał. Sebastián był na to przygotowany, bo widział ruchy przeciwnika. I zdążył paść na ziemię jak długi, szukając schronienia za skalnym gnomonem, co nie było łatwe.

Aby nie chybić po raz kolejny, Carvajal wyszedł z ukrycia i złożył się do strzału. W tym samym momencie Uminie udało się wyciągnąć spod Montilli szpadę i rzucić ją inżynierowi, który leżał nieruchomo na skale.

Nie zdołał jej osiągnąć. Szpada uderzyła w *intihuatana*, odbiła się i upadła koło Qaytu. Nadzorca wysunął się naprzód, żeby ją złapać, i zdążył odrzucić do Sebastiána, kiedy rozległ się nowy strzał. Mulnik upadł

trafiony kulą Carvajala, Umina próbowała go ratować.

– Nie ruszaj się, bo ciebie też zabije – przestrzegł ją Sebastián.

Chwycił szpadę i zanim przeciwnik naładował strzelbę, doskoczył do niego, zmuszając go do walki.

Carvajal runął na inżyniera z całą furią nagromadzoną wskutek osaczenia, a także z powodu głodu i pragnienia, które mocno mu doskwierały. Fonseca potraktował to jako swój atut. Wytrzymał pierwsze natarcie i pozwolił zdobywać przewagę, przesuwając się w stronę krawędzi rytualnego kamienia wiszącego nad urwiskiem.

Obaj znaleźli się na skraju przepaści. Skrzyżowali szpady, zwarli się ciałami, twarzą w twarz, mocując się, kto pierwszy zepchnie drugiego ze skały. Nagle rozległ się krzyk Uminy:

– Uważaj! On ma pistolet!

Manufakturyzista sięgnął ręką do tyłu, wyciągnął zza pasa pistolet i przystawił go do serca Sebastiána. Byli tak blisko siebie, że nie mógł nie trafić.

Fonseca poczuł szarpnięcie od kuli. W piersi miał ogień. Trysnęła krew i przewrócił się na bok.

To, co potem nastąpiło, postrzegał niewyraźnie, jakby czas stanął w miejscu. Słowa docierały do niego zwielokrotnione echem. Najpierw usłyszał krzyk Uminy. Potem Carvajala. Nie od razu zrozumiał, co on krzyczy. Dopiero po chwili zorientował się, że przeklina Qaytu.

Nadzorca rzucił się na swego śmiertelnego wroga i pociągnął go za nogi w momencie, gdy ten strzelał do Sebastiána. Carvajal zachwiał się, dzięki czemu kula poszła trochę bokiem. Uwolnił się kopniakiem od mulnika, odrzucając go aż na brzeg urwiska. Qaytu walczył ostatkiem sił, żeby nie spaść. Ale jednocześnie Alonso Carvajal sam stracił równowagę i upadł na ostry gnomon ze złota, instrument do mierzenia deklinacji słońca podczas *intihuatana*. Trzask rozdzieranego ubrania złał się w jedno z suchym odgłosem uderzenia ciała i wibrującym dźwiękiem metalu. Carvajal już się nie podniósł, przeбитo na wskroś złotym ostrzem, na którym pojawiły się krople krwi.

Ledwie Sebastián zdołał uzmysłwić sobie to zajście, usłyszał rozpaczliwy krzyk Uminy:

– Qaytu! Nie! Nie!

Dziewczyna rzuciła się, żeby złapać go za rękę, ale było już za późno. Mulnik ześliznął się po skale i poleciał w otchłań. Przez chwilę słychać było, jak ciało odbija się o krawędzie skały i wpada do wody, która pienila się w dole. Potem wszystko ucichło. Nawet Indianie zaniemówili, nie spodziewając się takiego zakończenia.

Inżynier dowłókł się do Uminy, wziął ją w ramiona i odciągnął w bezpieczniejsze miejsce, powtarzając:

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

Długo nie mogła się uspokoić. Dopiero gdy przestała szlochać i spojrzała na niego załzawionymi jeszcze oczami, zdała sobie sprawę, że był poważnie ranny w lewe ramię.

– Wciąż krwawisz – powiedziała.

– Na szczęście kości są całe. Wystarczy wyjąć kulę i zabandażować.

Przez chwilę nie myśleli o tubylcach. Ci zresztą nagle zaczęli zachowywać się zupełnie inaczej. Sam wódz pomagał Uminie opatrzyć ranę Fonseki, podczas gdy inni usuwali ciała Carvajala i Montilli.

Słońce zachodziło za górami otaczającymi miasto. Chowało się właśnie za najwyższą skałą, która flankowała miasto z tej strony.

– *Sinca!* – powiedział wódz, wyciągając rękę ku słońcu.

– Mówi coś o jakimś nosie – próbowała tłumaczyć zachrypnięta od płaczu Umina. – Jakie to teraz ma znaczenie!

Wódz najwyraźniej nie podzielał jej zdania i był gotów zrobić wszystko, by go wysłuchali, jeśli nie dobrowolnie, to pod przymusem. Sekundował mu w tym kapłan. Obaj pokazywali na linię łączącą *intihuatana* ze wzgórzem, które było ostatnim *huaca* na ich szlaku. Wnosząc z ich słów, tłumaczonych przez Uminę, promienie lada moment padną na Oko Inki.

Rozdzielili ich i zmusili do kontemplowania zachodzącego słońca, które w przeczystym powietrzu Andów wyglądało urzekająco.

W jakiś dziwny sposób pojawiło się nagle w szczelinie, czy też grocie, w połowie zbocza góry, która strzegła Vilcabamby. Patrzyli na nią pod światło.

Było oślepiające, raziło oczy. Wciąż jeszcze zapłakana Umina poprosiła o zwrot zwierciadła z obsydianu. Po czym przysunęła się do Sebastiána, żeby razem patrzeć na słońce przez lustro.

To, co zobaczyli, wprawiło ich w wielkie zdumienie.

Mieli przed sobą profil ludzkiej twarzy, jeśli wziąć za punkty odniesienia Oko Inki i szczyt w kształcie nosa, który nazywał się Sinca.

Góra widziana pod słońce, wraz z cieniami, które właśnie się na niej pojawiły, wyglądała jak twarz człowieka leżącego na wznak.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak mi się przyglądali – odezwał się Sebastián.

– Ta góra to twój portret, jak żywy.

Odkąd stało się oczywiste, że Sebastián nie ma nic wspólnego z ludźmi, którzy napadli na osadę, Indianie brali go za potomka Inki, na którego cześć ich przodkowie wybrali te wzgórza i ukształtowali je na jego podobieństwo. Kipu, noszone przez Sebastiána na szyi, tylko to potwierdzało. Słowami i gestami dawano im do zrozumienia, że muszą udać się tam jak najszybciej.

64 Punchao

Zbocze tego wzgórza porastała zbita roślinność. Indianie szli przodem, prowadząc ich sobie tylko znanymi ścieżkami na taras, na którym rośło gigantyczne drzewo. Słońce przebłyskiwało między jego korzeniami, co było dziwne i niezrozumiałe. Tym bardziej że korzenie opasywały budowlę wrośniętą w górę, rozbiegały się po niej jak zastygły w drewnie promień. Kamienne ciosy były wyszczerbione przez ten wspaniały okaz drzewa, które rozsadziło je swymi korzeniami, zacierając wszelki ślad nadproża. Ale nie zniszczyło wejścia do galerii, skąd teraz wydostawała się smuga światła.

Indianie oczyścili wejście maczetami i uderzyli w kamień, żeby wystraszyć węże, które mogły się tam ukrywać. Weszli do środka i razem z Uminą pomogli wejść Sebastiánowi, wciąż wyczerpanemu z powodu rany. Powykręcali korzenie, które i tam się przedostały w poszukiwaniu wilgoci. Kiedy to robili, ich cienie tańczyły niespokojnie na ścianie.

Dotarli w ten sposób do miejsca, gdzie galeria wchodziła do wnętrza góry. Indianie zapalili przygotowane wcześniej pochodnie. Podali je Sebastiánowi i Uminie, uprzedzając, że dalej muszą iść sami. Wódz wioski pokazał na korytarz ze schodami wyżłobionymi w twardej czarnej skale.

- To mi się wcale nie podoba – powiedziała Umina, kiedy zostali sami.
- Masz rację – zgodził się Sebastián. – Wolą być z tyłu, jak wtedy, gdy

popchnęli nas na skałę z *intihuatana*, gdzie ukrywał się Carvajal. Ale co możemy zrobić?

– Posłuchaj.

Stanęli w miejscu, żeby ich kroki nie zakłócały dźwięków, które docierały do nich, odbijając się echem wśród kamieni. Słychać było niepokojący, rytmiczny poszum, jak oddech z zatkanej w momencie agonii tchawicy. I dalekie, ostre piski, które wznosiły się i nagle opadały w nierównych zrywach.

– Dostaję gęziej skórki od tych krzyków – powiedziała Umina. – Co tam jest na dole?

– Nic nie widać. Dowiemy się, jak zejdziemy.

– A ten smród? Czujesz?

Gryzący zapach amoniaku wdzierał się im do oczu, powodując pieczenie i atakując wszystkie zmysły, wyostrzone w ciemnościach do granic możliwości, chociaż z mizernym skutkiem.

Na końcu długiego zejścia widniało obszerne pomieszczenie z wysokim stropem.

Te same piski były teraz wyraźniejsze, wzmocnione pogłosem. Towarzyszył im niepokojący świst, który miejscami przechodził w głucho pogwizdywanie.

W ścianie pieczary było kilka niszy, a na podłodze stał kamienny ołtarz, który początkowo widzieli tylko z góry i z pewnej odległości. Kiedy znaleźli się nieco bliżej, dostrzegli blask złotego idola o ludzkim kształcie. Wokół głowy miał wachlarzowato ułożoną dużą patenę w formie wklęsłego lustra. Skupiała padające na nią promienie słońca i odbijała je, nadając pomieszczeniu nierealny wygląd i nastrój z innej epoki, jakby wyłaniało się ze światła.

– Tu Punchao! – wykrzyknęła Umina z nieskrywanym wzruszeniem.

– W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że go zobaczę – wyznał Sebastián.

Był tu, symbol wschodzącego i odradzającego się słońca, świadek corocznych przesilen, gwarantujący powrót gwiazdy, która spoczywała na

jego piersi. Relikwiarz, w którym przechowywano prochy z serc wszystkich Synów Słońca. Inkowie poświęcili mu Tahuantinsuyu, Imperium Czterech Części, i rządzili nim w jego imieniu.

Ale Punchao nie był sam. I zdaje się, że nie był bezbronny. Między nimi a tym idolem ze złota rozciągał się na ziemi szereg ludzkich szkieletów.

Wtedy zrozumieli, że tubylcy poddali ich decydującej próbie.

– Należało się tego spodziewać – powiedział Sebastián.

– Jak oni zginęli? – zapytała Umina, pokazując na ludzkie szczątki.

– Nie ma spadających głazów ani śladów od strzał czy innej broni. To gorsze niż Carvajal. Niewidzialny wróg.

– A te wyziewy? Czy ty nic nie czujesz?

Cuchnęło teraz tak silnie, że drapało ich w gardle. Na dodatek groźny, rytmiczny szum zamieniał się w trzaski, szczęknięcie zębów, wielki zgiełk i ponure piski.

Kiedy podnieśli oczy, ogarnęło ich przerażenie. Omiatając krzywizny kamiennego stropu, pochodnie wydobywały z ciemności ciasno zbite narośla jaśniejszego koloru na ciemnym tle skały wulkanicznej. Płomienie łuczycywa odbijały się w punkcikach małych jak łeppek szpilki, które niespodziewanie zaczynały tańczyć.

– Co to, do diabła? – spytał Sebastián.

– Nietoperze – odpowiedziała ona.

Setki nietoperzy zwisały głową w dół zbite w złowieszcze grona. Umina pierwsza otrząsnęła się z przerażenia.

– Pamiętasz *Kronikę* Diega de Acuña?

– No jasne.

– Przypominasz sobie scenę, w której Sírax tkala dla Túpaca Amaru rytualną szatę?

– Tak, to było wtedy, gdy on zaskoczył ją w kąpielni.

– Używała przędzy z włosów nietoperzy.

– Myślisz, że stąd je brali?

– Czemu nie?

Nietoperze zatrzepotały silniej skrzydłami, jakby chciały zerwać się do

polowania na owady. Jeden oderwał się niechcący i już nie zdołał się zaczepić, bo inny zajął jego miejsce. Odpadł i sfruwał w nieregularnych skrętach w kierunku ołtarza z Punchao. Runął jak rażony gromem po wyjściu ze strefy oświetlonej promieniami słońca, które wytyczały nienamacalną ścieżkę, odbite od pateny otaczającej głowę idola. Rozległ się głuchy odgłos zderzenia ciała z podłogą.

Dopiero wtedy uznysłowili sobie wyraźnie, gdzie się znaleźli: wewnątrz przewodu wulkanicznego, który przechodził przez górę od wierzchołka do samego dna. Wpadał tędy wiatr i wchodziło słońce, kiedy chołało się za szczytem Sinca. W różnych odnogach tego przewodu były wyziewy gazów. Ale promienie, odbite od wklęsłych luster ze złota, pokazywały bezpieczną drogę, wolną od trujących wyziewów. Tylko że teraz łatwo mogli ją zgubić, ponieważ powoli się ściemniało. Światło zanikało i nie wróci tu, dopóki nie znajdzie sobie innego wejścia położonego niżej niż to obecne.

– Jak trafimy na zatrute przejścia, zostaniemy tu już na zawsze – powiedział Sebastián.

– Przypomnij sobie, co Sírax poradziła Diegowi: „Omiń jaskinię, bo zawiera wielkie niebezpieczeństwo. Jednak gdybyś musiał do niej wejść, trzymaj się tych miejsc, gdzie są nietoperze”.

– Zrobimy tak samo.

Posuwali się ostrożnie, starając się mieć nad sobą ten osobliwy parasol, gwarancję świeżego powietrza. Zamierzali dotrzeć na sam środek, gdzie w najgłębszym wnętrzu skały, oświetlonym jeszcze promieniami słońca wpadającymi przez naturalny komin wentylacyjny, znajdował się Punchao.

Kiedy się tam znaleźli, doznali prawdziwego wstrząsu.

– Popatrz na to – szepnęła Sebastián.

– Skarb Inków! A więc to prawda, nie legenda!

Po obu stronach ołtarza wznosiły się złote i srebrne sztaby, naczynia pełne monet i klejnotów, zwierzęta odlane z tych metali. A wokół tego wszystkiego wił się gigantyczny złoty wąż, niczym stróż.

– Łańcuch z ogniwami ze złota! Huayna Cápac kazał go wykuć na cześć swojego nowo narodzonego syna Huáscara.

– A to co? Czyżby kipu? – zapytał Sebastián, pokazując na cały arsenał sznurków starannie ułożonych i wyprostowanych.

– To mi wygląda na archiwum. Może jest tu rejestr różnych innych *huacas* zawierających skarby i pamięć swoich plemion.

– Można by je zlokalizować i odzyskać dzięki temu kipu, które mam na szyi.

– Kto wie, czy czerwone kipu nie jest tym najważniejszym kluczem...

– Tu jest coś jeszcze. Co to?

Inżynier pokazywał na przedmiot, który znajdował się na końcu złotego łańcucha. Podeszli bliżej. Ledwie zdołali ochłonąć z wrażenia na widok tych wszystkich skarbów, wpadli w jeszcze większe zdumienie. Czegoś takiego się nie spodziewali.

– Kufer! – wykrzyknęła Umina.

– Stary hiszpański kufer – potwierdził Sebastián.

Rzecz nie do wiary. W tym miejscu i pod tą szerokością geograficzną hiszpański kufer wyglądał równie egzotycznie jak kipu na kastylijskiej, jałowej ziemi.

Ale tu był. I nagle cała ich podróż, całe to długie i pełne perypetii pielgrzymowanie nabrały wymiarów, które ich przerastały. Kiedy podchodzili bliżej, trzęsły im się ręce.

Sebastián postawił swą pochodnię na ziemi, żeby uwolnić lewe, zdrowe ramię, popatrzył na dziewczynę i razem wzięli się do otwierania. Z trzaskiem ustąpiło wieko, opadając do tyłu.

Wnętrze kufra wyglądało całkiem niewinnie. Wręcz banalnie. Były tam tylko kobiece fatalaszki. Stare europejskie stroje z dawnych czasów. Popatrzyli na siebie z rozczarowaniem.

– Po co go tu przydźwigano? – spytała.

– Z tak daleka? To niemożliwe.

Grzebali w ubraniach, gdy nagle rozległ się jakiś przytłumiony dźwięk.

– Co to? – zapytał inżynier.

- Na spodzie jest coś ukryte. – Wsunęła głębiej rękę.
- Nie rób tego! – ostrzegł ją Sebastián i przytrzymał za ramię. Ale było już za późno. Umina na coś trafiła i zaczęła wyciągać, żeby mu pokazać.

– Ołowiana rurka!

Walcowaty pojemnik o średnicy jednego palca i długości nieco powyżej dwóch piędzi, zamknięty i zalakowany pieczęcią.

– Ma taki sam krwawy węzeł jak lusterko i kipu – powiedział.

Umina przytrzymała, a Sebastián zerwał pieczęć.

W środku był zwój z papieru czerpanego. Wyciągnęła go, rozwinęła i przysunęła do światła.

– Tu jest napisane po hiszpańsku.

– Sądząc po kroju pisma, pochodzi z tej samej epoki, co suknie i *Kronika* Diega de Acuña.

– Tu jest data: rok tysiąc pięćset siedemdziesiąty trzeci.

– To data przybycia Sírax do Hiszpanii.

Treść dokumentu nie budziła żadnych wątpliwości. Był to dowód królewskiego pochodzenia Sírax, uwierzytelniony przez służkę księżniczki, Sulcę, która figurowała jako świadek. Wyjaśniała powody, jakimi kierowała się jej pani, żeby postąpić tak, jak postąpiła. Było to więc świadectwo panny Sulki o życiu i śmierci Sírax, zachowane dla potomności przez jezuitę Cristóbal de Fonsecę.

Zaczęła od przedstawienia rodowodu tej inkaskiej księżniczki, po czym opowiedziała, jak Quispi Quipu, matka Sírax, postanowiła przywrócić przystary zwyczaj, ten sam, który zastosowano wobec niej i jej brata Manca Cápac. Jako siostra, czyli najbliższa krewna Túpaca Amaru, tylko Sírax mogła obdarzyć go potomkiem najczystszej krwi, prawowitym dziedzicem.

– Dlatego musiała najpierw przejść próbę dziewictwa w Qenqo Grande – przypomniała Umina. – Głównie ze względu na ten incydent z hiszpańskimi żołnierzami w Cuzco.

Następnie zatrzymali się w Ollantaytambo, ale głównym celem było sanktuarium Gniazdo Kondora, żeby poznała wszystkie tradycje przodków. W tym nigdy nieodkrytym przez najeźdźców sanktuarium Inków odwiedził

ją Túpac Amaru, który był wtedy władcą Vilcabamby. Kiedy uznano, że mogła zająć w ciążę, odprawiono rytuał płodności na Białym Kamieniu w Ñusta Hispana.

– Jak do tej pory wszystko się pokrywa z tym, co sami wydedukowaliśmy.

Ale dalej sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Jak wynikało z dokumentu, Sírax wcale nie była w ciąży. Zarówno ona, jak i Túpac Amaru odmówili realizacji tego planu pod pretekstem, że wróżby nie są pomyślne. Oboje zgodnie oświadczyli, że nie uzyskali pozwolenia od mumii przodków, czyli ojca Túpaca Amaru i matki Sírax, a bez tego nie wolno im było skonsumować związku. Dużo bardziej prawdopodobne jest jednak to, że każde z nich ulokowało gdzie indziej swe uczucia. Inka darzył miłością pozostawioną w Vilcabambie żonę, która wkrótce miała mu urodzić syna.

– Jakiś czas potem okazało się, że Sírax jest w ciąży, ale nie ze swym bratem Túpakiem Amaru, na co liczyli zwolennicy Planu Inki, tylko z Diegiem de Acuña.

– Sírax i Diego! – wykrzyknął Sebastián.

– No jasne, to wiele wyjaśnia – dodała Umina. – Sírax wiedziała, że kiedy urodzi się dziecko, zginą wszyscy troje: ona, ono i Diego. Zabiją ich.

– Dlatego po egzekucji Túpaca Amaru, kiedy rannemu Acuñi niewiele już pozostało czasu, postanowili opowiedzieć wszystko Cristóbalowi de Fonsece.

– W tym samym czasie wicekról Toledo powierzył jezuitce wyjątkową tajną misję. Chodziło o Punchao, najbardziej czczone bóstwo Inków. Hiszpanie zdobyli tego idola dopiero po czterdziestu latach poszukiwania. Po śmierci Synów Słońca i zniszczeniu ich mumii stanowił on jedyny dowód na to, że niegdyś Inkowie byli narodem wolnym i suwerennym. Wicekról zdawał sobie sprawę, że decyzją o egzekucji Túpaca Amaru naraził się w Hiszpanii. Dlatego pragnął coś przekazać Filipowi Drugiemu, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie i osłabić protesty. Wyśle mu tego idola z sugestią, że to najlepszy prezent dla papieża. Hiszpański monarcha naprawi dzięki temu swe relacje z Ojcem Świętym, zepsute sporami na temat podziału

terytoriów Ameryki. Złoży u stóp Jego Świątobliwości pył z serc wszystkich królów inkaskich, przechowywany w Punchao, głównym obiekcie idolatrii najpotężniejszego imperium na tym kontynencie.

Pomysł podróży do Hiszpanii pojawił się w okresie między latami tysiąc pięćset siedemdziesiąt dwa i tysiąc pięćset siedemdziesiąt trzy. Zabierając ze sobą Sírax, Fonseca miał na uwadze własne plany i zamierzał je realizować w interesie Towarzystwa Jezusowego. Natomiast ona była gotowa wykorzystać każdą szansę. Postawiła kilka warunków, z których najtrudniejszy do zaakceptowania przez jezuitę zakładał, że Punchao nie opuści tej ziemi. W przemówieniu wygłoszonym w miejscu stracenia Túpac Amaru wielokrotnie nawiązywał do tego idola i jego słowa nabrały mocy nakazu. Jednocześnie było wiadomo, że panowanie wicekróla Toledo nie potrwa długo: sprawozdania na temat egzekucji ostatniego władcy Inków, które mogły go kosztować utratę stanowiska, były już w drodze do Hiszpanii. W tej sytuacji jezuita żywił pewność, że gdy tylko wsiądzie na okręt, znajdzie się poza zasięgiem władzy Francisca de Toledo. I nie pozostanie żaden ślad jego misji utrzymywanej do końca w najwyższym sekrecie. Drugi warunek postawiony przez Sírax dotyczył zabrania *Kroniki* Diega de Acuña, dokumentu, który miała nadzieję kiedyś wykorzystać i obrócić na swoją korzyść. Domagała się również, aby po śmierci jej ciało spoczęło w Cuzco, w krypcie Świątyni Słońca. Gwarantem spełnienia tego trzeciego warunku była towarzysząca jej w podróży pokojówka Sulca.

Tak też się stało. Punchao zniknął w drodze do Limy. Nastąpił z góry zaplanowany atak grupy wiernych poddanych na orszak jezuity. Odzyskanego idola ukryto w nieznanym miejscu, w oczekiwaniu na lepsze czasy, kiedy będzie mógł wrócić na swoje miejsce w Vilcabambie. Cristóbal de Fonseca i Sírax kontynuowali bez przeszkód podróż na wybrzeże. Tam wsiedli na tajemniczy statek. Wysadzono ich w Andaluzji, eliminując po drodze niewygodnych świadków. Sírax trafiła pod opiekę siostr z klasztoru w Kadyksie.

Tymczasem jezuita rozpoczął skomplikowane zabiegi, starając się nie zdradzać miejsca pobytu księżniczki, zwłaszcza że jej ciąża stawała się

coraz bardziej widoczna. Pomimo jego wysiłków rodzina Diega odmówiła przyjęcia pod swój dach kogoś takiego jak Sírax.

– Dla rodziców było nie do wyobrażenia mieć wnuka Metysa, a nawet gdyby chcieli, młodsze rodzeństwo Diega nigdy by na to nie pozwoliło – powiedział Sebastián. – Po ujawnieniu memoriału do Filipa Drugiego, w którym Diego krytykował działalność Hiszpanów w Ameryce, cała *Kronika* straciła na wartości i nie przysłużyła się dobrze ambicjom rodziny Acuña.

– Mimo to jakiś czas potem jeden z potomków tego rodu przybył szukać szczęścia w Peru i dał początek gałęzi, z której pochodzi Alonso Carvajal.

Poród Sírax nastąpił przedwcześnie i przebiegał z komplikacjami, czytali w dokumencie. Wiedziała, że umiera. Cristóbal de Fonseki nie było w tym czasie w pobliżu i nie mogła mu przekazać swej ostatniej woli. Zaczęły się jego problemy ze zwierzchnikami zakończone internowaniem. Księżniczka zrozumiała, że jej syn ma szansę przeżyć tylko wtedy, gdy przy pomocy Sulki powierzy go opiece jezuity, a ten znajdzie jakąś rodzinę chętną do adopcji, która uszanuje sekret pochodzenia dziecka w oczekiwaniu na bardziej sprzyjające czasy. Bez zachowania całkowitej dyskrecji temu potomkowi królewskiego rodu Inków groziła niechybna zagłada. Stojąc przed dylematem ratowania życia syna lub ratowania dziedzictwa Vilcambaby, Sírax wybrała to pierwsze. Ale nie sprzeniewierzyła się swej księżęcej kondycji, ponieważ jednocześnie pozostawiła wiadomość, którą tylko jej ludzie potrafili zrozumieć. Zrobiła to w takiej formie, żeby mimo upływu czasu była czytelna również dla ich spadkobierców.

Kazała służącej, żeby zaplotła jej włosy w warkocze przedstawiające szlak do Vilcabamy wedle czerwonego kipu, którego nauczyła się na pamięć, jeszcze zanim użyła go do opracowania *Kroniki*, aby stanowił z nią jedność. *Kronikę* przekazała Cristóbalowi de Fonsece. Na jej prośbę Sulca po śmierci zabalsamowała ciało i zwróciła się do jezuity, żeby pomógł jej wywieźć zwłoki do Peru, ponieważ muszą spocząć w Świątyni Słońca w Cuzco.

Po powrocie do Kadyksu Cristóbal de Fonseca zajął się całą resztą. Oficjalnie pochował Sírax w kaplicy rodzinnego zamku, choć w rzeczywistości służąca zrobiła to w Peru. Zadał też o to, żeby w herbie rodziny adoptującej dziecko Sírax pojawił się krwawy węzeł, symbol Vilcabamby.

To wszystko zawarł jezuita w dokumencie, z którego zrobił jedną kopię dla Sulki jako świadka.

Umina i Sebastián popatrzyli po sobie. Nic nie powiedzieli, bo też nie potrzebowali słów. Oboje pomyśleli to samo: jak wielka była wiara Sírax w przyszłość swojego narodu, jak wielki był upór tych ludzi, żeby zachować pamięć o własnej historii mimo braku znajomości pisma. Jak wielka jest moc ochronna krwi, która wiąże ludzkie życia, nadaje właściwy bieg pragnieniom i decyduje o czyimś losie.

– Teraz rozumiem udrękę tej kobiety – powiedziała Umina. – Znalazła się między młotem a kowadłem: wierność dziedzictwu przodków albo z troszczenie się o bezpieczeństwo życia syna.

– I o prawa dla jego potomków. W ten sposób łatwiej zrozumieć, skąd wzięły się wydarzenia i legendy, których byliśmy świadkami.

– A co stało się z synem Sírax i Diega de Acuñi?

– Krwawy węzeł widniał kiedyś w herbie Fonseców. A z tej rodziny pozostałem tylko ja.

– I co zamierzasz począć? – spytała ona.

– Nie wiem. Jak Inkowie rozwiązywali te wątpliwości?

– Pytali swych przodków.

– Zwracali się do mumii? – zdziwił się Sebastián. – Przecież mumie nie mówią.

– Wolę przodków przekazywała im wyrocznia.

– Przydałaby nam się teraz.

– Masz ją przed sobą – powiedziała Umina, pokazując na Punchao. – Lepszej nie znajdziesz. Z nim konsultowano najważniejsze decyzje.

Ostatni promień słońca wpadł z góry, kładąc się na hieratycznym obliczu idola. Odbił się od otaczającej jego głowę pateny i poszybował dalej, obejmując swym blaskiem Uminę i Sebastiana.

Stało się tak, jakby ogniwa łańcucha pełzającego między skarbem i kufrem roztopiły się w złotej steli, sącząc się przez nich, łącząc ich. Jak gdyby wysuszone na pył serca w piersi Punchao wciąż jeszcze były, przekazując z pokolenia na pokolenie swoje rysy i gesty, związki krwi ożywianej pragnieniami, bataliami, ambicjami i tajemnym dziedzictwem. Krwi zdolnej pokonać odległość w czasie i przestrzeni, która pulsowała w nich teraz z całej siły.

Zestawienie faktów

(Nota autora)

Nazwa „krwawy węzeł” pochodzi od bicza o dziewięciu ogonach, którym chłostano marynarzy. Technika wykonania tego narzędzia kary stanowiła przez wieki dobrze strzeżony sekret i dopiero w 1910 roku inżynier morski Jack Purvis za pomocą mikroskopu zdołał je rozłożyć na czynniki pierwsze, a rezultat swych badań opublikował w prasie.

Natomiast kipu jest zagadką po dzień dzisiejszy, z wyjątkiem kipu numerycznych. Nie mają jeszcze swojego Kamienia z Rosetty, który pomógłby je rozszyfrować, tak jak to się stało w przypadku egipskich hieroglifów albo glifów Majów. Wciąż brakuje nam klucza, aby dotrzeć do intymnego jądra jednej z najważniejszych kultur historycznych.

Istnieją dwie duże kolekcje, jedna w berlińskim Muzeum Etnologicznym, licząca około trzystu kipu, a druga w Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku, która posiada około setki egzemplarzy. Jeśli dodać do tego pozostałe kolekcje prywatne i publiczne, łączna liczba kipu wyniesie około sześciuset. Mało znacząca próbka w porównaniu z wieloma tysiącami kipu, którymi posługiwano się w państwie Tahuantinsuyu.

Badania naukowe w tej dziedzinie są stosunkowo niedawne. Gary Urton prowadzi projekt na Uniwersytecie Harvarda, analizując system binarny kipu pod kątem cyfrowego magazynowania informacji. Inni eksperci porównują kipu z protokołem EAN-13 obecnych kodów kreskowych. W gruncie rzeczy, jeśli zastąpić powiązanimi w supelki sznurkami pionowe kreski o różnej grubości (które oznaczają artykuły i są przeznaczone dla czytników elektronicznych w ramach nowoczesnej kontroli), otrzymamy właśnie kipu.

Badania nad kipu dają tak niezliczone możliwości, że wszystkie hipotezy pozostają otwarte. Susan Niles i Frank Salomon łączą kipu z organizacją terytorium uzupełnioną przez system *ceques* i *huacas*, co do którego wśród naukowców również nie ma jednomyślności. System opisany w tej powieści bierze pod uwagę wyniki prac Zuidemy i Bauera, a także relację jezuitę . Bernabé Cobo z XVII wieku. Towarzystwo Jezusowe poświęcało tym sprawom zawsze wiele uwagi i nie przypadkiem

autorem wspomnianej relacji jest zakonnik jezuita. Inspiracją do fryzury Sírax były mumie zachowane w Domu Inki Garcílasa w Cuzco i w Muzeum Złota w Limie.

Te i inne odniesienia, które można by mnożyć, świadczą o głębokiej oryginalności kultury inkaskiej. Można przyjąć system rejestrowania alternatywny do systemu pisma, połączony z tkactwem, pokrewieństwem i terytorium. Pod tym względem *Krwawy węzeł* jest dłużnikiem *Universalismo constructivo* Joaquina Torresa Garcíi i *Paradigma amerindio* Cesara Paternosto. Ten ostatni przypomina, że sanskrycki termin *tantra* jest równoznaczny z określeniami „krosno”, „tkanina”, „osnowa”, termin *sutra* oznacza „nić”, natomiast *I Ching* – szacowna chińska księga wyrocznia – oznacza „wątek”. W podobny sposób trzy kategorie, którymi posłużył się Juan de Fonseca (TECTUM lub Tecton – TEXTILIA – TEXTO) nawiązują do wspólnego przodka, łacińskiego słowa *texere*, „tkać”, które z kolei ma indoeuropejski korzeń teks, „tworzyć szkielet (czegoś)”, skąd wywodzą się greckie słowa *tekton* („cieśla”, „budowniczy”) i „architekt”. A także *tékhne*, „technika”, oznaczająca pierwotnie „pleść, splatać”, aby potem przejść do oznaczania innych umiejętności, które powstały dzięki wielkiej rewolucji, jaką było powroźnictwo, koszykarstwo i tkactwo.

Aby przedstawić te sprawy zgodnie z osiemnastowieczną perspektywą, posłużyłem się sprzętem, który nazwałem „biurkiem-detektywem”. Anachronizm jest tu zamierzony, jako że termin „detektyw” zaczyna funkcjonować dopiero dzięki Edgarowi Allanowi Poe. Ale obejmuje tylko sam termin, ponieważ mebel jako taki wywodzi się w prostej linii od biurka-segregatora Albrechta von Hallera (1708-1777), ojca neurologii, który prowadził badania nad tkankami nerwowymi. Jakiś czas temu jego rodzinne Berno, na poświęconej mu wystawie, ogłosiło go „pierwszym internautą”, „człowiekiem w sieci”. Naukowiec ten prowadził korespondencję na skalę masową, zbierając informacje do swych badań, pozostawił po sobie siedemnaście tysięcy listów w różnych językach, sieć jego korespondentów – ponad tysiąc dwieście osób – obejmowała obszar od Dublina do Moskwy i od Sztokholmu do Malagi. Jego biurko pełniące funkcję segregatora zostało uznane za ważne narzędzie badań nad siecią neuronów i ogniwo pośrednie między tradycyjną pracą naukowca a internetem.

Wiele postaci przewijających się na kartach tej powieści to postacie historyczne: bracia Pizarro, Manco Cápac, Túpac Amaru, Beatriz Clara Coya, Francisco de Toledo, Martín García de Loyola, Farfán de los Godos itd. Inne stanowią mieszankę

fikcji i rzeczywistości, jak Quispi Quipu, której pierwowzorem była księżniczka Quispi Quipi, córka cesarza Huayny Cápac, zapamiętana pod swym chrześcijańskim imieniem: Beatriz Manco Cápac.

Podobnie rzecz się ma z przedstawianymi w powieści faktami. Spośród autorów wielu kronik i świadectw, do których sięgałem przy pisaniu tej powieści, zasługuje na wymienienie Mansio Serra de Leguizamón. Jego testament posłużył mi za punkt wyjścia do memoriału Diega de Acuña dla Filipa II. Ten wyjątkowy dokument został odtworzony i przywrócony potomności przez Stuarta Sterlinga.

Los Punchao nadal owiewa tajemnica. Faktem jest, że w 1572 roku ten złoty bożek znalazł się w triumfalnym orszaku Martina de Loyoli w czasie wjazdu do Cuzco. Faktem jest również, iż wicekról Toledo chciał wysłać go Filipowi II, żeby król mógł go podarować papieżowi. Jednak ta sławna relikwia nigdzie więcej się nie pojawia. W opowiadaniach *Sol de los soles* i *Espejo de Constelaciones* Luis Enrique Tord snuje rozważanie na temat ukrycia Punchao gdzieś w Peru, a także na temat zastosowania astronomicznego wieży Muyumarca. Kilka szczegółów tego ostatniego wątku wykorzystałem w rozdziałach 5, i 54.

Inna historyczna postać to José Gabriel Condorcanqui. Stał na czele największego indiańskiego powstania przeciwko Hiszpanom w Ameryce, które wybuchło w listopadzie 1780 roku, ogłosił się spadkobiercą Túpac Amaru i przyjął jego imię. Powstanie poniosło druzgoczącą klęskę, a jego przywódcę okrutnie zamordowano w roku 1781. Jednak pamięć o nim nie zginęła. W 1816 roku, w przeddzień ogłoszenia Deklaracji Niepodległościowej, generał Manuel Belgrano przedstawił na Kongresie w Tucumán *Plan del Inca*, zakładający przywrócenie tronu dawnych władców Peru. Podobna idea przyświecała José de San Martín, który zaproponował jako kandydata na tron Juana Bautistę Condorcanquiego, młodszego brata José Gabriela; warto wspomnieć, że obaj bracia byli absolwentami szkoły jezuitów. W rezultacie Juan Bautista spędził trzydzieści pięć lat w więzieniu w Ceuta, uwolniony w 1822 roku, wyjechał do Buenos Aires. Tam umarł w roku 1827, a jego prochy spoczywają na cmentarzu la Recoleta.

Nie ma absolutnej pewności co do tego, gdzie znajdowała się Vilcabamba. W różnych epokach utożsamiano ją z takimi miejscami, jak: Choquequirao, Vitcos, Machu Picchu lub Espíritu Pampa. Dość długo przeważały opinie na korzyść tego ostatniego. Ale w 1987 roku Maria del Carmen Martín Rubio dostarczyła nowych śladów, odnalazłszy zaginiony rękopis kronikarza Juana de Betanzosa. Skorzystał

z nich w roku 1997 Santiago del Valle, podejmując kilka wypraw do mało rozpoznanego przez kartografów regionu na północ od Nevado Choquesaфра, w promieniu czterdziestu kilometrów na południowy wschód od Espiritu Pampa, pięćdziesięciu na północny wschód od Choquequirao i osiemdziesięciu kilometrów na zachód od Machu Picchu.

Jeśli chodzi o bajeczne bogactwa Inków, żadne nie da się porównać z ziemniakiem, który Pablo Neruda nazwał „niekończącym się skarbem narodów”. Jego spożycie światowe wynosi osiemset ton na godzinę. A co dopiero mówić o wartości ogólnoludzkiej, takiej jak uratowanie od głodu całych pokoleń na przestrzeni lat. Udomowienie kartofla jest nadzwyczajnym wyczynem, choć rzadko oddaje się rolnikom, anonimowym bohaterom, cześć choćby w części porównywalną do holdów składanych kaście wojskowej.

Na koniec muszę przyznać się do pewnej dowolności i długu, jaki mam wobec innych autorów.

W trosce o większą jasność zredukowałem do jednego słowa – Urubamba – nazwę rzeki, która w XVIII wieku pojawia się na mapach jako Vilcamayo, u swego węzłowania nazywa się Vilcanota, a następnie Ukajali, kiedy łączy się z rzeką Apurimac, tworząc główną rzekę źródłową Amazonki.

Wiersze cytowane w spektaklu *Węzła gordyjskiego* pochodzą z *Trilogía de los Pizarro* Tirsy de Moliny.

Rzekomo madryckie przysłowie *Es natural al más crudo varón /ser algo retrechero y coquetón* * pochodzi z *El diablo mundo* Esproncedy.

* Naturalną cechą każdego, nawet najtwardszego mężczyzny, jest to, że lubi się podobać i kokietować.

Obraz opisywany w rozdziale 13, jest parafrazą płótna Remedios Varo *Haftowanie płaszcza ziemskiego*.

Parę innych wątków, takich jak czekolada jezuitów, zainspirowały *Tradiciones peruanas* Ricarda Palmy.

Pragnę wyrazić podziękowanie Albertowi Cabezie z Biblioteki im. Marii Moliner na Uniwersytecie w Saragossie. Pablowi Jiménezowi i Danielowi Restrepo z Instytutu Kultury Mapfre. Centrum im. Bartolomé de las Casas w Cuzco za uprzejmość w czasie mojego pobytu w tym miejscu w marcu 2000 roku. Concepción Oliveros, Juanowi José Mendy i Anie Martínez de Aguilar. A także Juanowi Marquesánowi i Amparo Martinez za ich bezcenne uwagi.

Spis treści

Prolog: Czarny Okręt	11
Część pierwsza: Węzeł gordyjski	13
1. Metyska	15
2. Montilla	24
3. Pojedynek	30
4. Maskarada	34
5. Ojciec	38
6. Kret	42
7. Zielona opończa	48
8. Wątek	51
9. Plan Inki	60
10. Paco Powroźnik	66
11. Przepowiednie	71
12. Nagie fakty	77
13. Tkając płaszcz świata	87
14. Biurko-detektyw	96
15. Czas strapienia	102
16. Zaplombowany grób	108
17. Lucia	116
18. Kadyks	120
19. Stocznia La Carraca	123
Część druga: Zapominany sen	131
20. Młoda Indianka	133
21. Czerwone kipu	141
22. Dom Węzów	150
23. Dylemat	161
24. Życie na pokładzie	170
25. Machina na wiatr	179

26. Ludzie do wszystkiego	186
27. Ukryty pasażer	190
28. Zwierciadło z obsydianu	194
29. Partia szachów	204
30. Sytuacja bez wyjścia	212
31. Sztorm	223
32. Gorzkie przebudzenie	232
33. Zawieszenie broni	244
34. Memoriał	251
35. Twarzą w twarz	262

Część trzecia: Zmęczony Kamień 269

I. Miasto Królów	271
36. El Callao	273
37. Lima	283
38. Maria de Ondegardo	293
39. Czekolada jezuitów	300
40. Kobieta z zasłoniętą twarzą	308
41. O kartografii i teologii	313
42. Carvajal	322
43. El Despoblado	331
44. Yahuar Fiesta	341
45. Manufaktura	352
46. Między dwoma ogniami	360
47. Wiszący most	367
II. Miasto Słońca	375
48. Cuzco	377
49. Klasztor Świętego Dominika	391
50. Tahuantinsuyu	397
51. Spory o wodę	406
52. Coricancha	411
53. W brzuchu pumy	419
54. Gwiazdna woda	427

III. Zaginione miasto	437
55. Qenqo	439
56. Yucay	445
57. Ollantaytambo	459
58. Cuntur Guachana	465
59. Ñusta Hispana	473
60. Totorgoaylla	479
61. Qasana	486
62. Guanipata	494
63. Intihuatana	503
64. Punchao	510
Zestawienie faktów (Nota autora)	521